

Józef Ignacy Kraszewski

Sfinks



calibre 0.9.27

*Człowiek urodzony z niewiasty, żywiąc przez
czas krótki, napelnion bywa wielą nędz.
Który wychodzi jako kwiat i skruszony bywa,
a ucieka jako cień, i nigdy nie trwa w tymże stanie.*

Księgi Joba *XIV*. 1. 2.

SFINX.

Powieść

przez

J. I. Kraszewskiego

Warszawa.

Nakładem S. H. Merzbacha, Księgarza,

przy ulicy Miodowej Nr.486.

1847. Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

W Warszawie dnia 24 Grudnia (5 Stycznia) 1846/7 roku,

Cenzor

Niezabitowski.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego.

DO

KAZMIERZA KOMORNICKIEGO.

w Ujźdzcach.

Gródek dnia 3 listopada 1846 roku.

Pozwól kochany Kazimierzu, ażebym imię twoje na pierwszej kartce tej powieści zapisał. Tyle ci tylko przyjaźń moja, nie licząc serca, dać może, że rzuci imię twoje z mojem razem na fale czasu, na znikomej, o! i bardzo znikomej kartce papieru.

Sfinx jest jedną z powieści moich, nad którą najwięcej pracowałem; — wcale nie zaręczam, żeby przeto lepszą być miała. Sam przedmiot, życie artysty, wyznaczał mi komu ją mam przypisać: Tobie i W. Smokowskiemu po połowie, dwóm co rozumiecie i uprawiacie u nas sztukę.

Weźmij więc pierwszą część Sfinxa i wierz, że chciałbym ci ofiarować co lepszego, ale na nieszczęście nie mam.

Przykro mi nawet, że cię niejako z losami tej powiastki związę. Ty wiesz, jaką jest dzisiaj u nas krytyka, i nie zdziwi cię mój ojcowski niepokój o jedno z ulubieńskich dzieci. — Krytyka! mamyż ją?

Nie wiem! To wiem, że człowiek, co jak ja, do żadnego literackiego nie należy i nie chce należeć stronnictwa, któren żadnej wyłącznej, zbiegających dziś po świecie, nie hołduje teorii, dla tego, że sobie swoją właściwą wyrobił — jest w najopłakańszem położeniu. Nieszczęsne pokrajanie się ludzi na partyę pełne namiętności, robiło stanowisko moje najdziwniej niebezpiecznem. Wszyscy estetycy nasi napadać mnie. muszą, każdy w imię swego obozu, bo do niego nie należę. Ze wszystkich stron podnoszą się wrzaski, przymówki, ucinki obwiniające, wzgardliwe. Ale człowiek sumienny nie powinien ulęknąć się i pokłonić krzykaczom, nie może przystać do nich dla tego tylko, że mu pałkę nad głową trzymają. Radbym szczerze przekonać się o doskonałości jakiej literackosocyalnej teorii, aby ją całemi popierać siłami; cóż, kiedy mnie żadna z nich nie zaspokaja. Jedni wrzeszczą o wywrót wiary i starych; jak zowią, przesądów dla nowego światła, które niosą dla filozofii w ich mniemaniu nowej; drudzy trzymają się rękami i nogami wszystkiego co stare, gotowi się cofnąć byleby nie iść naprzód tylko, bo im ciemno na drodze i straszno. — Powieść, dawniej tylko fantazyi i sztuki dziecię, dziś jak tragarz zmuszona jest dźwigać wypadki najrozmaitszych teoryj. A jestli wprost tylko fantazyą, pytają jej placówki literackie o hasło i zabijają niemiłosiernie gdy go nie ma.

To poniekąd i moje spotyka. Czytelnicy a nawet estetycy nasi niemogąc się dopytać co myślę, łatwiejszym i krótszym znaleźli, na stronę odrzucić; wyrzekają, że nie mam myśli i systemu. A! panowie kochani, wy to raczej nosa nie macie, żeby się dowąchać gdzie się co znajduje! Cóżem winien! że popsuwszy sobie powonienie, jeden tylko jakiś zapach waszej szkoły czuć możecie? Cóżem winien, że wyłączni, a zatem niesprawiedliwi, pojąć nie możecie wszelkiego utworu co do waszej nie przypada miary? Cóżem winien, że ultra-katolicy nazywacie mnie niereligijnym może, a neo-filozofowie obskurantem?

Winienem chyba, że do żadnego z obu tak odznaczonych silnie nie należąc obozów, sam jeden idę z boku. Wiem bardzo dobrze, iż od wieków, ludzie tego rodzaju zapozwani i kamienowani być musieli; lecz mnie to nie ustrasza bynajmniej.

Nie, nie chce postępu kosztem całej przeszłości, lecz nie chcę też cofania się pod pozorem konserwacji. Jedno równie szkodliwe jak drugie. Filozofia począwszy od Platona powinna była nauczyć was panowie, że prawda nie leży nigdy w ostatecznościach. Życie nie rozwija się ani na chłodu, ani na skwaru biegunie, ale w pośrednich umiarkowanych strefach.

Jedni z was chcą wyrzucić wszelką wiarę i wszystko co stare, dla tego tylko, że im się zdaje, iż nagle przerobić potrafią świat cały i uczynić zeń Eden doskonały — (szkoda, że w programm nie wchodzi przerobienie natury ludzkiej, bo bez tego za nic reszta); drudzy uczepili się tego co jest, niewierząc, aby co lepszego być mogło. Lecz możnaż nie wierzyć w postęp ludzkości, a wierząc weń, nie opierać go jedną stopą na przeszłości, aby drugą wwniść wyżej, posunąć się dalej? Obu dziś walczącym stronnictwom, powiedziećby można: Nie macie słuszności, a nie macie jej i mieć nie będziecie, dopóki nienawiść dzielić was będzie, dopóki wzajemnie nie poznacie się lepiej.

Bez miłości braterskiej, tej spójni powszechnej, nic się nie rodzi i nie trwa. Dla czegoż nie chcecie okiem prawdziwej filozofii z jednej strony, z drugiej okiem chrześcian prawdziwych, spojrzeć na siebie? Dla czego nie przyznacie sobie wzajemnie prawdy gdzie jest prawda, aby razem wytepić fałsz zastarzały, kędy on jest? Dla czego, miasto kłócić się o słowa, nie dobijacie się myśli?

Wypadki filozofii, które wyraża socjalizm, nie sąż wypadkami ewangelii? Chcecie braterstwa, miłości, dobra dla wszystkich a zwłaszcza dla tych co cierpią wieki przez odwieczne niedbalstwo lub samolubstwo? Czegoż innego żąda i co innego nakazuje ewangelia? *Cóż* przyszedł opowiadać Chrystus?

Wielkie i za nowe dziś uważane słowa: ludzkości, postępu, braterstwa, miłości, pierwszy raz prysnęły ze krwią krzyża Golgoty.

Wyście je przyswoili i uczynili wypadkiem własnych myśli, gdy w istocie one są tylko zapomnianem prawem Chrystusa.

O cóż więc chodzi? — o słowa. A potrzebaby było? czynu. Tak jest, nie rozprawiać tyle o filozofii niemieckiej i katolicyzmie, a filozoficzniej i bardziej po katolicku żyć i działać. Uznać braćmi tych, których Chrystus braćmi nazwał i kochać jak on przykazał. A kochać nie słowy ale uczynkami. W czynie miłości, braterstwa, pojednałyby się moje zwaśnione stronnictwa.

Dziś, spór zajątrza, rozzarza niepotrzebny ogień i z obu stron ściele trupem żywotne prawdy, bez korzyści dla tego postępu i ludzkości, o których tyle gadamy.....

Lecz postrzegam się po niewczasie, kochany Kazimierzu, że niestosowną zupełnie napisał do książki przedmowę, pod pretextem listu do ciebie. Dość więc tego. Jak silna zaraza obyczajów wieku! Wszak i ja, na pierwszej kartce książki mającej treścią sztukę, wpadłem w rozprawę — i tak niepotrzebną!

Zamykam ją i życząc ci spokoju a zdrowia i wszelkiego dobra, proszę abyś nie zapominał o mnie.

SFINX.

Cześć Pierwsza.

I.

Na ludziach co świat jeszcze kochają, co młodzi sercem tak dalece, że wszystko żywe i wesołe kołacze im do niego i głowę zawraca; — klasztor ze swemi cichymi murami, ciemnymi, okopciałymi sklepieniami i przerywanym tylko powolnym krokiem człowieka lub zegaru milczeniem, robi ściskające, smutne wrażenie, takie właśnie jakie na ich czele czyni chłód zimnego sklepu. Radzi się co najprędzej wynisnąć z niego na świeże powietrze, do ruchu, do tłumu i wrzawy, jakby się obawiali aby kamienna trumna umarłych dla świata nie zamknęła się nad niemi na zawsze, nie przytrzymała ich zimnym swym uściskiem. Lecz dla tych, co ciałem i myślą przewędrowali przez krainy wesela i młodości, ten obraz doskonałego spokoju, *pokoju jakiego świat dać nie może*, tyle ma ponęty i uroku!

Niech co chcą pisać ludzie dumni i nową jakąś nauką pijani, oszaleni, nie widząc prawdy za złocistymi blaskami nowości, niech wyrzekają przeciw instytucji, której uprzedzenie pojąć im dziś nie pozwala lub przedstawia fałszywie ze stanowiska na jakim stoją; — ileżto przecie zawiedzionych i utrapionych przez świat, westchnie ku niedostającej im ciszy klasztornej! Te westchnienia daleko silniej mówią nad wszelkie rozumowania przeciwne. Samo pozornie najcięższe dla człowieka wyrzeczenie się własnej woli, jakże się staje pożądanym, gdy ilekroć jej użył, zawsze go wiodła ku zgubie, gdy unużony padał, nie wiedząc co począć z sobą. Naówczas z rozkoszą wyrzekł się kierunku życia i zdał je w ręce starszego, jako lekarza duszy; z rozkoszą oddzielił się od świata zawodów, walk, czczego już dlań na zawsze.

W wiekach wiary wszyscy dzisiaj kończący samobójstwem moralnym lub cielesnym, których dziś boleść spodła lub zabija, szli w zacisze klasztorne, rozdmuchać w sobie ostatnią, zawsze na dnie tlejącą iskierkę religijnego uczucia, aby się ogrzać przy świętem, od niej roznieconym ognisku. Dawniej klasztor istotnie był portem, gdzie nie zawiewały wiatry ni burze świata, gdzie słodka dla skołatanych, jednostajna cisza, długie lata w chwilę niespostrzeżoną zmieniała.

Nie wiem czemu, ja także lubięciszę klasztorną i nie minę, gdy mogę, żadnego z tych starych mieszkań pustelniczych, nie zaczerpnąwszy w nich spokoju, jak się czerpie u cichego źródła chłodną i orzeźwiająca wodę dla ust spieczonych podróżą. Dotąd jeszcze stare nasze klasztory tchną dawnym spokojem.

Lat temu kilka przejeżdżałem przez małe w naszej starej, pocziwej Litwie miasteczko (nazwisko pozwolicie mi zataić, jak ja pozwalam wam je zgadywać), — miasteczko u którego przedmieścia, w pewnym od wrzawy mieszczańskiej i rynkowej oddaleniu, wznoszą się białe i czerwone mury kapucyńskiego klasztoru i kościoła.

Mieścina ta zewsząd wzgórzystym i pięknym otoczona krajem, któren zamyka prawie dokoła widok sinych, ciemnych lasów sosnowych i jodłowych, wznosi się na dolinie opasanej gajami dotąd

niemytrzebionemi, brzoż podszytych jałowcem. Gaje tego rodzaju widzieć można tylko w Litwie: składają. -} je smukłe, białe brzoży, przez których przerzedzone szeregi sinieje niebo dalekie; a ciemne i pokrzywione jałowce rozścielają się u nóg, jakby broniąc przystępu. Rzadko inne drzewo zabieży do brzeźniaku, a wzrosłszy w nim stoi z brzegu i zdaje się smutne, samo jedne, jak wśród obcych, radeby uciec a nie może.

Mała rzeczulka, z jednej strony wijąca się po ogromnej zielonej łące tatarakami obrosłej, z drugiej tworząca staw czysty, osadzony wierzbami staremi, podchodzi prawie pod same mieszczan ogrody. Za rzeczką zielone uprawne wzgórki, gdzieniegdzie urozmaicają stare drzewa z wykarczowanych pozostałe lasów i grusze po miedzach stojące, sosny na których barć oparta ochroniła je od siekiery. W dolinach pomiędzy pagórkami, widać wsie szare i białe, ciemnych kościołów kopuły i dzwonnice staruszki. Z drugiej strony miasteczka ogromny klasztor kapucyński, postawiony w XVII wieku, wspaniałymi murami swemi i drewnianym krzyżem kościoła, na ciemnym tle jodeł się maluje.

W tym wieku powrotu do wiary katolickiej tylu rodzin polskich, od niej odpadłych wprzódy, powrotu spowodowanego zarówno gorliwością Zygmunta III, wymową księdza Skargi i reakcją konieczną przeciw niestrawionym a zapalczywie przyjętym jak pożądana nowostka zasadom protestanckim; — wzniosły się u nas kościoły i klasztory w większej może liczbie niż wprzódy, gdy wiara jedna, niezachwiana świeciła jeszcze.

Nawróceni na wiarę ojców i dziadów synowie i wnuki spieszyli ze wspaniałymi budowy i bogatymi dary, dowodząc swej gorliwości ku katolicyzmowi i szczerości nawrócenia. Mnożyły się wspaniałe klasztory, a szwedzki marmur, którego pobożny użytek wskazał, sprowadzając go do wileńskich kościołów, Zygmunt III, ozdobił nie- tylko ołtarze, ale zewnętrzne facyaty kościołów, na których wyginanych gzymsach wznosiły się kamienne kwiatów kosze i kamienni aniołowie ze złożonemi rozpiętymi skrzydłami. Świecące krzyże wieńczące miedziane kopuły, strzelały nagle z głębia lasów i pustyń. Posypywano kalwaryjskie drogi ziemią umyślnie z Jeruzalem przywiezioną; chwytało święte obrazy w Rzymie (jak Sapieha kodeński), kradziono relikwie męczenników świętych, zakupywano w Augsburgu bogate trumny, srebrne sarkofagi, przepyszne monstrancje od złota i drogich kamieni, zamawiano najdroższe obrazy u najświetniejszych malarzy. Domy Boże jaśniały przepychem, które im ze skrucą i pokutą ofiarowała gorliwa pobożność nowo nawróconych. Wielkie siola i włości zapisywano sługom Bożym aby się modlili o przebaczenie winy ojców i późne opamiętanie obłąkanych dzieci. W tymto czasie wznosił się klasztor i kościół Kapucynów, na samem wybrzeżu lasu jodeł i sosen, opodal na ówczas od małej miejsciny, którą składały kilkadziesiąt mizernych domostw nad brzegiem błotnistej rzeczki Bystrzyczki.

Później dopiero Bóg płacąc dzieciom za ojca, zasilił miasteczko handlem. Urosło ono niespodziewanie i jakby podziękować chciało klasztorowi, do murów jego pokornymi przysunęło się lepianki. Do nagłego i niespodziewanego wzrostu tej, dosyć od innych oddalonej i zasunionej w lasy osady, przyczyniły się niemało: stawa odpustów kościelnych i obrazu Ś. Antoniego, które cudami począł naokoło słynąć. Corocznie, w czerwcu, pobożne tłumy pielgrzymów, odbywszy nowennę, zalewały miasteczko, cały prawien tydzień w niem trawiąc. Stary parafialny modrzewiowy kościółeczek, założony tu w XIV wieku, po przejściu parafii i *cura ammarum* do zakonników, został opuszczony. Otoczyły go dokoła nowe mogiłki; poprawiony, podparty, później przebudowany stał się cmentarzową kapliczką, gdzie w dzień Ś. Józefa odprawiało się uroczyste nabożeństwo, bo to był

dawny patron parafii.

Nowe mury z całym staraniem i przepychem, na jakie tylko dawniej budując się zdobywano, wznosił się na obszernym placu, nadanym dziedzictwem OO. kapucynom. Nie żałowano ziemi, cegły i pracy. Ogród zarwał aż jodeł od lasu i szeroko się rozłożył poza klasztorem; cegła z gnojonej długo wypalana gliny, dźwięcząca, czerwona, w krociach tysięcy wzniosła się i wyciągnęła ogromnem i mury opasującemi nie tylko mieszkanie klasztorne, kościół, podwórzec, ale wielki i prawie wytworny ogród kapucyński, gdzie na kwiaty, drzewa, szpalery i kwatery, sadzawkę, kapliczkę, mostki i niewinne starców rozrywki, było dość miejsca. Tam widziałeś dawniej owe cyfry z bukszpanu, imię Jezusa i Maryi zielenią na piasku wypisujące, cudne kompasy na ziemi wysadzone i tysiączne pobożne wynalazki tego rodzaju.

Fundator miał widać na myśli uprzyjemnić życie samotnikom, o ile tylko było w jego mocy. Ciemne dla modlitwy i dumań szpalery lipowe, altany w których stały kamienne ławy, stoły i świętych posągi; osadzona olchami na których bociany klekotały, sadzawka; sad bogaty w wyborne owoce, bawiły oko i dozwalały cieszyć się zielenią, powietrzem, szczebiotaniem ptastwa, nie patrząc na obcych Judzi i nie będąc dla nich widowiskiem. Tu mógł zachwycony lub spłakany zakonnik, paść wśród przechadzki na natchnioną modlitwę, nie wstrzymując się myślą, *ie* ludzie obcy, ludzie świata, wezmą uczucie jego prawdziwe, za obłudny rachunek.. W owych czasach, gdy taka jeszcze mnogość protestantów kraj zalewała, zakonnik często nawet modlitwę ukrywać musiał przed światem; bo i ona mogła być powodem zgorzenia i grzechu. W pośrodku ogrodu pagórek wyniosły, na którym przezroczystą zbudowano szopkę opartą na dębowych z kory nieodartych słupkach, dozwalał spojrzeć ztąd na cały otaczający krajobraz, któren oko obejmowało panując nad nim. Ztąd miasteczko, rzeczułka niebieska lub złocista wedle stanu nieba, zielone łąki i sioła szarzejące i wzgórza i ciemne lasy i żółte pola i ruch gościńca osłoniętego obłoczkiem kurzawy, widać było jak na dłoni. Tu nieraz najstarszy z zakonników z siwą brodą, o kiju przychodził pogrzać się na słońcu, gdy cały ogród murem i szpalerami zacieniony, już w chłodzie wieczoru lub jeszcze w rosie porankowej spoczywał. Tu patrząc na mogiłki czarnemi i białemi krzyżykami, płowemi świeżemi grobami zasiane, modlił się o śmierć nienagłą, przytomną, na którąby się, jak podróżny na ucztę idący, mógł przygotować zawczasu i ubrać duszę w najbielsze szaty.

Bliżej klasztoru, zwrócone ku południowej stronie, zakryte od północy, sławne kapucyńskie gwoździki pełne, i białe lilie hodowane rękoma starców, zakwitwały na pstrych grzędkach, gdzie jeszcze nie było żadnego z tych nowo poznanych i polubionych u nas kwiatów obcych ziem, ale stare i z klimatem naszym już oswojone narcyzy, irysy, orliki i t. p.

Wpółśród kwiecica i liścia rozsypane znaki pobożności przypominały wszędzie modlitwę. Wysoki mur opasujący arkadami dokoła cały ogród, w kilku miejscach zdobiły kapliczki z kalwaryami i posąжки świętych. Wzniosły krzyż drewniany, pomalowany brunatno, wznosił ramiona litości nad gałęzie drzew zielone. Przy nim rośl jeden z tych rzadkich, pięknych jałowców, przybierających kształt drzewa i podobnych do jodły.

Prócz zakonników i ptaszków, rzadko ciekawy przychodzień zawitał do cichego ogrodu. Tu przecież nie jedno, długie nawet życie między kościołem, celą a grzędką kwiecistą spłynęło; niejeden sino-brody starzec podlewał i oczyszczał posadzone wątlą latoroślą drzewko, na Którego liście poglądał niespokojnie sądząc, że los wychowawca przepowie mu zgon blizki. Kwiaty kapucyńskie

nie tylko zabawą dla nich samych, ale często wdzięczną dla sąsiadów bywały ofiarą, zwłaszcza białe, wonne lilie i przepyszne gwoździki szkarłatne.

Kościół podobny wszystkim kapucyńskim był bardzo obszerny, trochę przyciemniony i ozdobny snycerskimi na drzewie robotami, które tu kruszcowe zastępowały. Wielki ołtarz, ławki i kilka mniejszych ołtarzy bocznych z dębu wyciosane zastanawiały delikatnością roboty i pięknym, choć w smaku XVII wieku rysunkiem. Posągi kilku świętych także były z drzewa. W pośrodku nawy pod sklepieniem, stała jakby w powietrzu zawieszona kalwarya, Chrystus konający na krzyżu i Jan z matką Bożą, oczyma łzawymi wpatrujący się w Zbawiciela. Za ołtarzem głównym, całkowicie w drewnianą snycerzczyznę strojnym, zamknięty chór kapucynów zajmował obszerną salę.

Nieraz z nity dochodzące głosy pieśni, poruszały przechodnia co ukląkł na chwilę pomodlić się w kościele. Na sklepieniach kilka obrazów z życia matki Bożej, wprawną ręką Dankertsa malowanych, zachwycały kolorytem i wielką rysunku śmiałością. Wpośrodku na kopule było wniebowzięcie wyrażające chwale Maryi i chwałę kościoła, którego ona wedle wielu tłumaczy była figurą. Ciemny kościół, od ozdób drewnianych przyciemniony bardziej jeszcze, czysty i utrzymany starannie przez rok cały, w chwale, blasku i wdzięku ukazywał się, gdy jedno z wielkich świąt obchodzonych tu z przepychem na jaki ubodzy żebracy Chrystusowi zebrać się mogli — nadeszło. Na Ś. Antoni.

S. Franciszek, Porcyunkulę. Zielone Świeta zwłaszcza i Boże Ciało wszystko tu okrywało się zielenią i kwiatami. Od posadzki kamiennej, potrząśnionej tatarakiem i jedlinką siekaną do najukrytszych ołtarzy, wszędzie błyszczały kwiaty i szemrały liścia. Pilastry nawet ostawiano jedliną, a w wielkim ołtarzu potężne bukiety, wazony rozkwitłe, błyszczały razem z mnóstwem świec jarzących. Ta zieloność i kwiecistość świętego miejsca, nadawały mu nowy i nieopisany wdzięk. Z pośrodku gałęzi gdzieniegdzie na murze wyglądał stary wyszczerbiony grobowiec, z herby rytymi na kamieniu, znikłymi postaciami rycerzy nieuleknionych i niewiast pobożnych i mężnych.

Na posadzce kamiennej, niedaleko wniścia do podziemnych sklepień grobowych, oznaczonego dwoma żelaznemi kolkami, leżało wieko marmurowe założyciela, skromne i umyślnie z pokorą rzucone pod nogi pobożnych. Tu żadnego znaku, żadnego herbu, coby wysokie urodzenie i piastowane

przypominało godności — kilka tylko wierszy proszących o modlitwę za grzesznika.

Znacznie później na facyacie kościoła położono czarny marmur z długim napisem pochwalnym, na którego wysiliła się wdzięczność zakonników. Tam żony, dzieci, starostwa, kommissye graniczne i poselstwa na sejmy założyciela, obszernie i skrupulatnie wyliczone zostały, cnoty uwielbione wymownie. Wśród innych grobowców, uderzał mauzol synowski, hetmańskiego dziecięcia, co dokończył ojcowską ręką poczęte mury; mauzol wspinały, przedstawiający rycerza w całej zbroi, wspartego na zdjętym hełmie jakby chciał pot otrzeć z uznojonego czoła. Symboliczny wieniec owoców i kwiatów, ubierający ramy grobowca, oznaczał przymioty towarzyskie i dobre uczynki zmarłego.

Kamienna kropielnica przedziwnej roboty, wsparta na czterech aniołkach, atrybuta czterech cnót unoszących, zdobiła wniście kościelne. Wspinały organ, błyszczące swe flety wznoszący jak pęki strzał ku górnemu sklepieniu, zajmował cały chór nad wniściem. Drewniane, takiejże roboty jak posągi wielkiego ołtarza anioły z trąbami stały na wierzchu jego. Organ *ten* za szczególną dyspensą

dla odpustów mnogi lud przywabiających, mieli sobie dozwolony kapucyni.

Takim był kościół zakonników. Ale trzeba go było widzieć w dniu uroczystości, pełnym ludu, w świetle mnóstwa świec jarzących, w obłokach dymu kadzideł, w kwiatach i zieloności, aby całą świetność i piękność jego ocenić. Wygodny i obszerny klasztor przytykał do niego, długie swe ramiona podparte szkarpami i zakończone półokrągłymi wieżyczkami wyciągając od kościoła na prawo i lewo. Tu z równą troskliwością, myślano o wygodnym pomieszczeniu ojców i upięknienu im niewinnym pobytu ich w tym porcie schronienia doczesnego. Nieskończone korytarze, sklepione i wygodne wschody, łączyły z sobą piętra i cele. Na ścianach tych długich linii murów, ten sam Dankerts de Ruy, żywoty Ś. Franciszka, Antoniego i wiele z historii świętej w wielkich arkadach cele oddzielających wystawił. Błyszczały jasnymi kolorami te nieśmiertelne dzieje religijnego ducha, aby na każdym kroku miał je przytomnymi oczom duszy i ciała zakonnik. Stary gdański zegar, poważnym krokiem od lat przeszło dwóchset idący, przerywał sam jeden wielką ciszę korytarzy. Drzwi celi i izb wychodzące na nie, okładane były dębowymi odrzwiemami nie wytwornej roboty, ale przedziwnych linii, pełnych prostoty. W jednej arkadzie paliła się lampa niezgasła dniem i nocą, przed ogromnym krucyfiksem, u którego zwykle na krótką modlitwę przyklękali przechodzący zakonnicy. Dalej piękny założyciela portret, ale bez buławy, zbroi i błyskotek, w stroju pielgrzyma, przypomniał go modlitwom przechodzących. Jeszcze dalej twarze synów jego, dobroczyńców spadkowych klasztoru i znakomitszych zakonu generałów i świętych, pozawieszane były naprzeciw okien, między drzwiami celi. Obrazy zakonników do ostatniej, najbliższej nas należały epoki; dawniej bowiem nazwiska się zapierając, przez pokorę też nie dozwolali rysów znikomego ciała podawać potomności.

Na tych ogromnych korytarzach, po których długo z przyjemnością przechadzać się było można, cisza uroczysta panowała nieprzerwanie prawie. Odmykające się ciężko drzwi celi, kroki uzbrojonych trepkami nóg zakonników, świergot ptasząt a zwłaszcza jaskółek klejących gniazdko pod dachami, stapanie powolne zegaru, słycać było po całym gmachu. Na korytarze wychodziły drzwi wielkich sal refektarza, biblioteki i innych. Ztąd także na pierwszym piętrze było wyjście na chór. Refektarz wedle zwyczaju ogrzany piecem niezmierniej wielkości z niebieskich kafli zbudowanym, w którym mało było na raz całą drzew furę spalić, znajdował się jak zawsze na dole. Sufit jego z ruchomych desek złożony, przepuszczał ciepło do nieopalanych cel zakonników.

Wszystko tu obrachowano na ogromną skalę; a że ilość choć szczupłych cel była bardzo wielka, refektarz więc rozciągał się niemal przez całe jedno skrzydło klasztorne, wsparty będąc tylko na murowanych słupach, podtrzymujących belki misternie wyrabiane, zczerniałe od czasu i ciepła. Całą szerzyne ściany poprzecznej zajmował i tu jeszcze krucyfix; drugą obraz Ś. Antoniego. Na murach były zakopcone freski i wypisane zdania z pisma świętego. Dokoła otaczały go dębowe ławy i także stoły na skrzyżowanych w X sparte nogach, zastawione kuflami glinianymi, polewanymi misami i wytwornej czystości naczyniem. Drewniane bukszpanowe łyżki leżały na swoich miejscach, wysłużony już kilku pokoleniom i powoli ustępując miejsca nowszemu, gorszemu, lipowemu. Od strony okien wzniesiona trybuna dębowa dla lektora, który wedle zwyczaju zakonnego czytywał w czasie jedzenia, odznaczała się piękną, ale niewytworną robotą.

Okna refektarza wychodziły na ogród. Przez nie widać było kwatery kwiatowe osadzone bukszpanem i zapach lilij zalatywał przez kraty, misterną robotą ślusarską wykute, w pośrodku

których wieniec obejmujący imię Marya wyrobił pobożny rzemieślnik.

Oprócz opuszczonej sali obrad i wyborów na piętrze znajdującej się, gdzie widzieć było można, nad lawami, wiele ciekawych portretów rodziny założyciela z twarzami widocznie innego świata, innej epoki - była

tu jeszcze wielka biblioteka. Sklepiona ta sala, w górze obwieszona żywych kolorów freskiem wyobrażającym czterech Doktorów kościoła z dodatkiem S. Franciszka przysłuchującego się ich dyspacie, — ostawiona była szafami dębowymi roboty jednej ręki co i ołtarze kościelne. Ale tu snycerz widocznie się wysilił. Wieńce kwiatów, owoców, emblemata pobożne, stroiły każdej szafy wierzchołek. Stół w pośrodku stojący, sparty na czterech delfinach, miał w pośrodku śliczny kościany krucyfiks staroświecki, przypominający aby nauce przewodniczyła wiara.

Biblioteka początkowa, ofiarowana przez hetmana, pomnożona darami synów jego i wnuków, obfitowała w dzieła ciekawe. Nawrócony niedawno założyciel, miasto spalić folianty różnowierców, dał je z innemi zakonnikom, aby co na zgubę duszy służyło, w innych rękach, na ratunek obrócić się mogło. W zamkniętych szafach, w dole zbrojnych kratą, trzymano tych niebezpiecznych więźniów, których grzbiety tylko pergaminowe poglądały złocistemi literami z zamknięcia. Klucz *prohibitorum* był u O. gwardyana, który wedle potrzeby udzielał starszym Bezy, Melanchtona, Ockolampada, Kalwina, Lutra, Serweta i mnóstwa broszur XVI. wieku tu złożonych. Na górnych półkach. kolekcya Bollandistów, Bullarya, wielkie biblioteki i encyklopedye teologiczne, przepyszne edycje ojców kościoła, biblie, polyglotty, komentarze, słowniki i zbiory podróży zalegały, ledwie się ciasno mogąc pomieścić. Tu kryły się w oddziale *manuscriptorum*, ciekawe *historia domus*, konnotacje, *compendia privilegiorum* przez pobożnych braci spiswane; tu nie jedna nota rzucona na białym brzegu foliantu, zdradzała umysł niepospolity lub nieznaną światu wielką walkę odbytą z szatanem wątpliwości, w zaciszy klasztornej.

Niestety! im bliżej nas, tem trudniej było o noty i rękopisma, bo duch zakonny nikł

i z serc wygaszał. Dawniej droga biblioteka, teraz zasuwiała się pyłem, a zamek jej potężny jeden już tylko braciszek i zakrystyan umieli otwierać. Z okien biblioteki widać było podwórzec klasztorny, na którego zielonej murawie, stały dwa posągi: Matki Bożej i Ś. Antoniego z dziecięciem Jezusa na rękach, z lilią w dłoni; widać było gościniec i miasteczka część, łąki, rzekę, dalekie wsie i lasy.

Gdym jeszcze zwiedzał to miejsce, klasztor żył dawnem, pozostałem z przeszłości życiem. Poczciwi zakonnicy byli przyjaciółmi całego sąsiedztwa, ich klasztor najgościnniejszym z domów, ich obiady ze sławnym stokfiszem uchodziły w poście za najsmaczniejsze, choć je dobre serce więcej niż wytworne przyprawy krasilo; a stary miód tylko na Porciunkulę i Ś. Antoni w małych kieliszczykach podawany, sławny był na mil dwadzieścia dokoła. Wszystkie prawie cele były jeszcze zajęte, ale po większej części przez siwych jak gołębic starców, którzy jedną nogą stali już w grobie, choć z żywością młodzieńczą pieszo nieraz spieszyli z pociechą i modlitwą, do oddalonego łoża chorych i konających.

Któż nie zna celi kapucyńskiej ? wszystkie one na jeden wzór stawione: z jednym okienkiem na ogród, z gwoździkiem na oknie, z maleńkiem łóżeczkiem zasłanem twardą sukienką pościelą, z krucyfiksem w głowach tapczanu, ze dzbanem wody u drzwi. Rzadko nawet obraz, nagie mury tej

ciasnej komórki wielkiego ula, rozwesela.

Całe sąsiedztwo kochało kapucynów i żyło z nimi jak z przyjaciółmi. Dobijano się o dozwolenie kilku tygodni pobytu na wsi, przy dworów wiejskich kapliczkach. W niedziele i święta tłumnie zbierano się do kościoła. W poście posyłano ryby, w lecie brano od nich kwiaty, radośnie pokazywano śliczne i misterne ich roboty, zielone i białe stoczki. Szlachta okoliczna składać się zdawała familią zakonników, a każdy z chęcią, z troskliwością spieszył uprzedzając ich potrzeby, i dając datek, radował się jakby go odbierał. Pomimo ciszy klasztornej, zamknięcia posępnych murów i sąsiedniego ciemnego jodłowego lasu ze swym szumem posępnym, tak tam było lekko i wesoło!! kwiaty wschodziły w ogrodzie bujne, rozkoszne, silne; ptacy szczebiotali na gałęziach, chłopięta do posługi kościelnej wzięte z puciołowatemi twarzyczkami aniołków, figlowali na podwórzu; starcy nawet uśmiechnięci, spokojni, tak widocznie w tej ciszy klasztornej kosztowali szczęśliwości.

Nigdy spór, nigdy zwada żadna nie gorszyły sąsiedztwa, a familia zakonna kochała się jak istotna rodzina, lepiej od niejednej krwią i interesami połączonej. Lecz powoli, powoli zaczęły się wypróżniać cele, a zapełniać cmentarz; grzędy ogrodu chwastem zarastać, brukowany podwórzec otoczyły chciwe ruin pokrzywy; wielki krzyż ogrodowy, spróchniał od spodu i upadł. Gwardyan ujrawszy go nazajutrz po burzy na ziemi, zapłakał; bracia milczący i zamyśleni odeszli.

Gdym raz pierwszy zajrzał do tego uroczego klasztoru, był on jeszcze w całym blasku życia i pomyślności. Przejeżdżając gościńcem, który około wrót dziedzińca kościelnego się przesuwają, zasłyszałem śpiewy, ujrzałem drzwi otwarte i zastanowiłem się zdjęty ciekawością. Była to godzina popołudniowa, nikogo w kościele prócz kilku chłopców i dziadów, w chórze za wielkim ołtarzem śpiew zakonników rozchodził się poważny pod wysokie sklepienia. Ukląknąłem naprzód, potem poszedłem oglądać napisy, nagrobki i obrazy. Właśnie gdym się z ciekawością Wniebowzięciu Dankerts'a przypatrywał i dobywał ołówka dla zanotowania tej pięknej kompozycji, ujrzałem przed sobą zakonnika (bo śpiew w chórze już był ustał a chłopcy uwijający się z miotłami, musieli o bytności mojej rozchodzącym się z chóru powiedzieć).

Staruszek powitał mnie zwykłym chrześcijańskim pozdrowieniem, przypominającym dawne wieki, kiedy znak krzyża i te słowa tajemnicze różniły w tłumie pogan, pierwszych sług ukrzyżowanego Messyasza.

— Cóż to za piękny kościół! zawołałem w uniesieniu. Jakie wspaniałe malowidła!

— Prawda, że śliczne? uradowany przerwał mi śmiejąc się wesoło staruszek. Stare to są panie dzieła starej pobożności i talentu! A widziałeś pan piękne posągi drewniane w wielkim ołtarzu, które tak wychwalają artyści? Widziałeś pan ołtarzowe obrazy nasze? Jeśliś pan ciekawy a lubiący te rzeczy, poprosiłbym go i do klasztoru, na korytarzach są tej samej ręki sławnego Dankerts'a roboty, w bibliotece też; a w sali wyborów portrety, jak mówią, ciekawe.

Widząc, że na same wyliczanie oczy mi się zapalały, uśmiechnął się starzec i począł od oprowadzania naprzód po obszernym kościele; tłumacząc, wskazując, objaśniając, ciesząc się jak dziecie gdym wychwalał.

— Pobożni ludzie dawniej, rzekł, niech im Bóg da za to niebo, co mieli najdroższego to pod

skrzydła krzyża składali. Hetmani, najwyżsi dygnitarze myśleli o ubogim zakonniku, aby się on za nich pomodlił, gdy wysokiego stanu obowiązki, gdy świat otaczający odrywał ich pomimo woli od Boga i modlitwy. Pobożna myśl więcej wzniosła monumentów, więcej dzieł wielkich sztuce natchnęła, niż duma nawet i próżność. Dziś — dodał — ale nie czerńmy swych czasów, mają i one zaprawdę swoje dobre!

Westchnął zakonnik; po cichu rozmawiając przyszliśmy pod ołtarz w kaplicy ukryty; ale starzec, przeciwko zwyczajowi, nie zwrócił uwagi mojej na obraz zajmujący wielkie ramy dębowe, kolorem drzewa świeższy wskazujące robotę. Spojrzałem od niechcienia tylko, myśląc, że w istocie może robota nie zasługiwała na uwagę. Ale jakżem się zdziwił widząc nowy, świeżo jeszcze skończony, kolorytem uroczym ozdobny obraz, zdradzający mistrzowską prawdziwie rękę.

Stałem zdumiony, z oczyma weń wlepionymi. Nowych obrazów tego rodzaju nikt już podobno u nas nie ujrzy; głębokiej wiary, zapału i prawdziwego talentu potrzeba było aby stworzyć coś podobnego. Obrazy religijne naszych czasów są zimne i sztywne, życia w nich nie ma, bo ducha braknie.

Ten, z całą naiwnością starych mistrzów szkoły florenckiej, przedstawiał znajomy rys podania. Był to wizerunek Ś. Łukasza zachwyconego widzeniem Matki Bożej, której rysy anielskie miał przenieść na płótno. W górze obrazu na czystym lazurze, wśród lekkich obłoczków, w wieńcu drobnych aniołków splecionych rączkami, ukazywała się królowa niebios w białej szacie zwycięstwa. Korona z siedmiu gwiazd błyszczała nad jej czołem. Na rękę dziecię Jezus spoczywało, z dziwnym wyrazem bóstwa w maleńkiej twarzyczce, spoglądając z matką razem na świętego ewangelistę.

W dole starzec klęczący, zachwycony, z pędzlem w dłoni, z oczyma wlepionymi w obraz niebieski, zdawał się żyć i oddychać. Wpół otwarte jego usta, jakby zbytek uczucia i westchnienie radosne rozwarły. Dwóch aniołków uśmiechających się, podtrzymywali płótno i paletę. Wół, symboliczne znamię Ofiary, padł na nogi i świetne przytulił skrzydła. Zwierzę to nawet było tak naturalne a tak razem idealne, tak wiele miało wyrazu, że się coraz bardziej wpatrując dziwił i zachwycił. Ogół tego utworu kolorytem pełnym życia i harmonii uderzał. Każda twarz doskonale mówiła co jej malarz kazał, wszystko żyło, a żyło tem idealnem życiem drugiego świata, którego chciwie w dziełach sztuki szukamy.

— Zkądże ten obraz, zawołałem zdziwiony.

— Alboż istotnie tak piękny? spytał mnie naiwnie starzec, patrząc mi w oczy z uwagą.

— Cudnie piękny!

— No! Doprawdy! Dziwy panie!

— Któż go malował? spytałem znowu, bo widocznie świeży.

— Boć nie ma w istocie i tygodnia, jak go poświęcono i na ołtarz wzniesiono.

— A z kądżeście go dostali?

— E! to robota klasztorna! dodał staruszek ciszej potrząsając głową — tutejsza.

— Jakto? tutejsza? coraz bardziej zdziwiony spytałem żywo.

— Tak jest, tak. Malował go ci brat Maryan.

— Zapewne kopiował z jakiego starego, a kopia mu się, nie ma co mówić, prześlicznie udała. — O! nie! on to całkiem swoją inwencją zrobił. Ale ojcu gwardyanowi wcale się nawet to nie podobało, prawdę rzekłszy przedmiot nam niebardzo do ołtarza przypadła i nowe musieliśmy dać robić ramy, bo daleko większy rozmiar od starego obrazu co tu był wprzód, a który w kawałki się od wilgoci z muru sączącej popadał.

Gdyby kto inny mi to mówił, za ledwiebym uwierzył, żeby w celi tego klasztoru zasuniętego w głąbą ciszę lasów litewskich, mógł się taki utwór urodzić; utwór niepospolitego natchnienia, pojęty po mistrzowsku i po mistrzowsku rzucony na płótno.

— A malarz ten? spytałem staruszka.

— Brat Maryan mówicie? to laik klasztorny, odpowiedział zażywając tabaki kapucyn.

— Wielki malarz! a tak nieznany! tak nieoceniony! zakrzyknąłem z podziwieniem, oczów nie mogąc oderwać od obrazu.

Staruszek zdawał się pochwał tych słuchać z powątpiewaniem o mojej znajomości rzeczy; odwodził mnie nawet od tego obrazu do fresków Dankerts'a i snycerszczyzny niemieckiej, ale długo napróżno. Ja cały zajęty byłem nieznanym wielkim malarzom, spółrodakiem...

— Nie mógłbym odwiedzić w celi jego, brata Maryana? spytałem nieśmiało po chwili namysłu.

— Czemuż nie? zapewne można będzie. Ale to panie trochę dziwny człowiek, smutny, zamknięty w sobie, milczący. W klasztorze wybacza mu się to, po części przez miłość chrześcijańską, po części że i klasztor ma od niego dosyć, pracuje dla nas. Nie wiem czy odwiedziny nieznanego będą mu smakować, lubi biedaczysko samotność.

— Ale na chwilę?

— Chodźmy! rzekł ojciec Serafin, chodźmy, spróbujemy, jeśli się nie modli to nas musi przyjąć. Po drodze nie mogłem wytrzymać, żebym nie rozpytywał o brata Maryana, ale niewiele o nim dowiedzieć się mogłem.

— Świat go utrafił, mówił ojciec Serafin, szukał spokoju, jakiego on dać nie może, w cichych murach naszych. Nic o nim tak dalece nie wiemy, prócz, że zapewne szczęścia nie zaznał. Ze wszystkiego widać, że malarzem być musiał i za świeckiego życia. Ślady niezagasłych cierpień aż tu z nim przysły. Modlitwa, praca, to wiele ran goi. W nich on szuka lekarstwa i pociechy.

Zbliżyliśmy się do drzwi celi i ojciec Serafin zapukał.

Głos przytłumiony Odpowiedział niezrozumiale ze środka.

— To ja, to ja, rzekł łagodnie starzec, ja, z gościem co waszego świętego Łukasza w kościele zobaczywszy, chciał koniecznie brata poznać i w celi odwiedzić.

Drzwi się otworzyły i weszliśmy do szczupłej izdebki zakonnika. Była to cela wszy- stkim innym podobna, jedno okno kraciaste oświecało ją tylko. Wązkie łóżeczko, stoliczek i stołek prosty stały na swoich zwyczajnych miejscach. W pośrodku ze zdumieniem postrzegłem najniewygodniej rozpięte duże płótno na trzech prostych kijach sznurami jako tako powiązanych, oparte. Potrzeby malarskie, farby, kamień, paleta, pędzle, leżały obok na ziemi. Między obrazem a ścianami, za ledwie przecisnąć się było można. Jednym rzutem oka pojąłem jaką męczarnią było żyć w tej ciupce tak ciasnej i tworzyć tu, niemając gdzie usiąść, jak łokcie wyciągnąć. Niepodobieństwem było zrobić tu kilka kroków lub przejść nie zachowując największej ostrożności. Światło padające było niewygodne i niedostateczne, słońce biło na płótno, a smugi cieniów rzuconych przez kraty, krzyżowały się na niem i dzieliły je dziwacznie.

Pospolity artysta, który tyle potrzebuje wygódek, światła tak jednostajnego, tak obszernego miejsca; nie pojąłby nawet jak tu malować było można. Prawie pod kątem prostym z konieczności ustawiony obraz, zdawał się umyślnie jak najniewygodniej umieszczony. Inaczej byłby całkowicie zapał przejście między drzwiami a łóżeczkiem. Dowiedziałem się później, że gwardyan opuszczoną salę obrad dawał bratu Maryanowi na pracownię, ale ten chcąc czemś okupić przyjemności malowania, dobrowolnie na niewygodny ciasnej celi się skazał.

Na wielkim płótnie węglem, śmiało, ogromnymi pociągami, narzucony był projektowany rysunek. Kilka innych ram wisiały na ścianach, stały na podłodze sparte o nie, tak, że ruszyć się tu wśród tylu rzeczy trudno było. W pośrodku celi, w habicie bez kaptura stał zakonnik wysokiej postawy i ślicznego charakteru głowy. Wypełzłe z włosów czoło, porysowane zmarszczkami poprzecznymi, oczy wpadłe lecz świecące, nos suchy, kształtny, usta wązkie i blade ale pięknych linii, szyja muskularna i silna, wystawały tylko z pod grubej sukni braciszka. Ręka brunatnym włosom pokryta, trzymała pędzel gdym wchodził. Wyraz tej postaci i twarzy zapału pełnej, smutku i rezygnacji, zachwycał jak niespodziane zjawisko.

Stałem w progu, braciszek spojrzał ku wchodzącym i zmieszał się widocznie, rumieniec przelotny pokrył mu chude policzki, zadrzała ręka; szybko pędzle wsunął w paletę, rzucił o podłogę i pospieszył ku nam.

Jak błyskawica tylko dumne jakieś uczucie przeleciało po twarzy jego, natychmiast zmienił się gwałtownym wysileniem jej wyraz i schylone czoło poblądło znowu. w

Na zapytanie moje, zadziwienia i pochwały, odpowiedział kilką niewyraźnymi słowami, pełnymi skromności i pomieszania; pomieszania dziwnie wydającego się przy pooranym czole i siwiejącym włosie! Zdawało się jakby bronił nam wniścia i chciał wyprzeć na korytarz koniecznie. Mnie zaś bardzo o to chodziło, żeby zobaczyć inne roboty Braciszka. Podwoilem pochwał i usilnej prośby, a za wstawieniem się ojca Serafina, pozwolono mi nareszcie, wespół prawie gwałtem wcisnąć się do

celi i spojrzeć na nowe obrazy. Wszedłem spiesznie z uwagą jednak jakiej wymagało przeciskanie się między natłokiem sprzętów.

Najpierwsza robota mokra jeszcze i niedawno habitem przechodzącego nielitościwie starta, wyobrażała Ś. Antoniego z dzieciątkiem Jezus. Nie wiedziałem wówczas kto, czy sam malarz, czy jeden z braci przechodząc posunął po niej suknią i prawie całkiem zniszczył. Westchnąłem, bo obraz był prześliczny. Wielkie płótno podmalowywać zaczęte, wyobrażało przyjęcie stygmatów Ś. Franciszka. Chrystus w niebiosach i zakonnik na ziemi połączeni cudownymi promieniami, oba po mistrzowsku byli pojęci. Z części wnosząc o całości, nowe dzieło mogło przejść Ś. Łukasza. Założyciel zakonu zostawiony w półcieniu sztucznym (gdy najwyższe światła otaczały Zbawiciela), zaczęty był z doskonałą znajomością wszystkich materyalnych sztuki resursów. Drugi zakonnik od blasku zasłaniający się ręką, pełen naiwnej naturalności, zdawał się nic widzieć i nie pojmować nadnaturalnego zjawiska.

Twarze dwóch zakonników wystawiały doskonali} sprzeczność dwóch natur ludzkich: natury poetycznej, idealnej z prozaiczną i poziomą. Obie zresztą były piękne, łagodne i ślachetne. Chrystus ukazujący się w niebiesiech miał bóstwo w obliczu. Widok otaczający, złożony z drzew odwiecznych, pokręconych dębów, smukłych jodeł i ciemnych sosen, wyborne tło stanowił.

Koloryt ciepły był i żywy, a tak misternie urozmaicony, stopniowany, że choć bez pomocy wzorów i całkiem z praktyki (*de pratique*) malowany obraz, zdał się owocem długich studyów. Stałem przed nim długo, nie mogąc się odeń oderwać. Inne pomniejsze *quadri*, przedstawiały poczęte lub wykończone już całkiem obrazki: *Smierć Ś. Józefa, ucieczkę do Egiptu, nawrócenie Ś Pawła, męczeństwo S. Katarzyny* i t. d. We wszystkich też sama wprawna ręka, silne uczucie, koloryt pełen harmonii.

Gdym się wpatrywał w te niespodzianie napotkane skarby, brat Maryan stał w progu, prawie zawstydzony, ze spuszczonei oczyma i rękami, rzadką swą siwiejącą już brodę na piersi zwiesiwszy. Nic mi nie odpowiedział na pochwały, na zapytania, jak gdyby lękał się wylać, jakby bał w sobie obudzić myśl nowemu stanowi niewłaściwą. Próżno usiłowałem go do rozmowy nakłonić, musiałem wreszcie odejść, dziwnie niepowodzeniem swoim dotknięty. Z pokorą i łagodnością pożegnał mnie braciszek, ale bał zdaje się rzec słowa, lękał spojrzeć na mnie, w którym opuszczony świat widział. Prokowałem nabyć jedną z prac jego, lecz gdym o to przebąknął żądanie, odpowiedział mi skłopotany, że prace jego do niego nie należą, że niemi rozporządza ojciec gwardyan, linii.

Poszliśmy więc ze staruszkim do celi gwardyańskiej, gdzie przyjęty gościnnie i uczęstowany, gdym spytał czyby nie można co z robót brata Maryana dostać; — rumiany, otyły i rubaszny przełożony, odpowiedział mi z głośnym i szerokim śmiechem:

— Mój Jegomościuniu! albow to doprawdy co tak osobliwego?

— Są to bardzo piękne obrazy, a kiedyś może i wysokiej będą ceny. Brat Maryan będzie drugim Lexyckim, jest nim już dzisiaj. .

— Któż to dobrodzieju Lexycki?

— Sławny krakowski malarz, zakonnik reguły Ś. Bernarda.

— A! a! Jestże tam co skończonego u brata Maryana? — Zdaje mi się, dodałem żywo, że ucieczka do Egiptu.....

— To dobrze!! Pieniądzy od Jegomości nie chcemy, ale gdybyś pan co wzamian ofiarował dla klasztoru?

— Co będziecie życzyli sobie? Bardzo chętnie; rzekłem żywo.

— Gdyby tak piękny ornat pąsowy? Nie mamy już w czem przystojnie dni świętych Męczenników obchodzić. (Mówiąc to zdawał się powątpiewać azali to otrzymać może). Zgodziłem się chętnie na żądanie. Gwardyan zwyczajko trochę się uśmiechnął jakby dziwiąc i litując nademną, a podnosząc z miejsca rzekł:

— Chodźmyż po tę Ucieczkę.

Zwróciliśmy się powtórnie do celi brata Maryana.

Gwardyan wszedł do niej nie pukając, a malarz nie musiał nawet usłyszeć skrzypnięcia drzwi, bośmy go zastali klęczącego przy łóżku z twarzą w dłoniach ukrytą. Przed nim był dziwny krucyfix, który mnie uderzył — krzyż bowiem Zbawiciela wetknięty był na grzbiecie brązowego Sfinxa. Na rubaszne powitanie przełożonego, zerwał się dopiero żywo i jakby zawstydzony stanął przed nami uśmiechając się, z założonemi po monastycznemu na piersiach rękoma.

— A! a! jak to tu przejść! zawołał otyły gwardyan — ledwie się za temi gratami przecisnąć można. Poza wczoraj już jakieś malowidło zatarłem, a co gorzej daleko nowiuteńki habit powalałem na nic. — Ot, dodał, ten pan życzyłby sobie waszej Ucieczki do Egiptu, malowidła, które wychwala bardzo. Ofiaruje za nie pąsowy ornat dla konwentu, na dni Męczenników. Jeśli to wam bracie nic zrobi wielkiej przykrości rozstawać się ze swoją pracą...

To mówiąc łagodnie spojrział na mnicha; ten pobladł trochę, ale nic nie rzekł tylko głowę skłonił, szybko zwrócił się ku obrazowi, zdjął go z pośpiechem, wlepił weń oczy raz jeszcze jakby go zegnał i (bojąc się może żeby mu później odwagi nic zabrakło) oddał w ręce przełożonemu.

— Wszystko to, rzekł, własność klasztorna. Bogu dziękuję, zem się zdał na coś przecie. Bierzcie proszę.

Cenę ornatu wypłaciłem natychmiast, uszczęśliwiony nabyciem tak łatwej rzeczy tak pięknej, a tak niespodzianie wśród drogi schwytej. Ojciec gwardyan z Serafinem odwołani dla pilnej sprawy wyszli na chwilę, a ja pozostałem sam na sam z bratem Maryanem.

Zbliżyłem się do niego usiłując wybadać, czyby nic przyjął jakiej małej ofiary dla siebie, pozbawiając się obrazu, którego zdawał się żałować; ale mi odpowiedział z uśmiechem litości łagodnej:

— Reguła nasza nie dozwala nam mieć własności; zresztą ja nic nie potrzebuję. Spokój, cisza

klasztoru, oto moje skarby. To mówiąc przyłożył rękę do serca i dwie łzy zakręciły mu się w oczach.

— Świat więc zranił ci serce? spytałem z współczuciem.

— Nie pytaj pan, odpowiedział. Musiałbym przypominać, czego chcę zapomnieć. Miłośby ci było dla próżnej ciekawości, drogiego, najdroższego na długo pozbawić mnie pokoju, który nareszcie zyskałem?

— To nie jest ciekawość, odparłem, to prawdziwe współczucie. Ująłeś mnie wielkim talentem, jesteś artystą. Niedawno zapewne wdziałeś tę suknię. Cierpiałeś wprzód pod inną, a cierpiałeś srodze zapewne? gdyś w końcu skryć się musiał pod kaptur mniszy z duszą zdaje mi się nie do niego stworzoną.

— Jakto? rzekł kapucyn z pogodnym smutkiem wpatrując się we mnie. Już sądzisz o mnie bracie! tak mało mnie znając? tak rychło? któż wie do czego stworzony byłem! dodał. To pewna, żem tutaj szczęśliwy, o ile człowiek na ziemi nim być może.

Wtem usłyszeliśmy kroki nadchodzących zakonników, brat Maryan umilkł. Zaledwie Gwardyan z Serafinem weszli, pożegnaliśmy się. Nie wypadało mi pozostać dłużej, aby nie zabierać czasu zakonnikom i nie przerywać podróży: uniosłem z sobą, tylko przedmiot do długich rozmyślań i zdobytą Ucieczkę do Egiptu.

Słońce się miało ku zachodowi, gdym przeprowadzany przez poczciwego ojca Serafina uporczywie częstującego mnie tabaczką, przeszedł znowu ciche dziedzińce klasztorne i dostał się do moich ludzi i koni zniecierpliwionych niespodziewanie długą po klasztorze wędrówką. Wszystkie projekta podróże złamane zostały stratą czasu; musiałem nocować w miasteczku, gdyż o dobrych cztery mile dopiero mogłem się spodziewać wygodnej karczmy na trakcie, a tyle już

zrobić nie było podobna przed nocą lasem i dosyć złemi drogami.

Nazajutrz raniuchno wstąpiłem jeszcze na mszę do kapucynów, potem na kawę do ojca Gwardyana, ale brat Maryan, jak mi mówiono, był trochę niezdrów i już go widzieć nie mogłem. Nie bardzom się o to starał lękając się mu uprzykrzyć, wiedząc jak nie miło świat przypominać może, to co od niego przychodzi do zakonnika pragnącego zapomnieć wszystkiego co za sobą zostawił.

W kilka dopiero lat później, dostałem w miasteczku wieści o pochodzeniu zakonnika i jego młodości, a znacznie później przypadkiem wpadły mi w ręce i inne materyały tej powieści. Ani jak, ani z kąd ich nabyłem, nie widzę tu potrzeby wypisywać.

Brat Maryan wedle jednych już nie żył, wedle drugich w dalekim podobno gdzieś klasztorze kończył spokojnie życie. Nic o nim z pewnością powiedzieć mi nie umiano. Sam klasztor zostawiony pustką, ruj- nował się z tą przerażającą szybkością, z jaką nikną dzieła ręki ludzkiej dane na pastwę czasowi.

Kilka lat zmieniły go do niepoznania. Mur obwodowy powywalał się w wielu miejscach, z kościoła poopadały tynki, na klasztorze dach świecił licznymi dziurami, zielsko zarastało dziedzińce,

wróble gnieździły się w bibliotece i refektarzu. Pająki, niedoperze, myszy mieszkaly same po celach i korytarzach milczących.

Freski Danckerts'a pozaciekały, a wiele obrazów i snycerszczyzny niewiedzieć gdzie i jak poznikały. Nagie ściany na których tylko ślad długo przytknionych ram pozostał, dziwnie smutne robiły wrażenie. Bezbożne ręce żydów z miasteczka, wiele drzewa z budowli klasztornej do pieców swoich poprzemiosły. W ogrodzie cyfra tylko Maryi wśród chwastów jeszcze trochę widna była. Zdziczały i strzeły w górę szpalery, za- zieleńiała sadzawka zieleciem, wiatr powyłamywał drzewa.

Stary zakrystyan sam jeden jeszcze pilnował ruin i czekał śmierci na dawnym swem stanowisku; złamany we dwoje, blady jak upiór, a jak grób milczący, obchodził z kluczami gmach we dnie, a w nocy przysłuchiwał się głosom, które zdawały mu się z pustej wylatywać budowli. Przysięgał on, że nie raz słyszał grające z cicha organy i księży o północy odśpiewujących *Requiem*.

Nie byłbym mógł nigdy nic stanowczego powiedzieć wam o młodości tego, którego później znałem pod suknią mniszą i nazwiskiem brata Maryana; gdyby nie nowa podróż i przypadkowy nocleg w miasteczku. Wiedziałem już z będących w ręku moim papierów, o dalszym życiu i losach artysty co obiół habit zakonny; ale nic jeszcze o jego pochodzeniu i dziecinnych latach, o których milczały udzielone mi notatki. Naprózno starałem się czegoś dowiedzieć od sąsiadów klasztoru: starzy wymarli, młodszy zapomnieli. Jużem był powiedział sobie, że się nic nigdzie nie dowiem, gdy nocując w miasteczku, znudzony w długi wieczór jesienny, ujrzałem wchodzącego do mojej izdebki żyda gospodarza domu, który potrząsając jarmułką, z jedną ręką w kieszeni czarnej sukni, wsunął się by w oczy zajrzeć podróżnemu i trochę go wybadać.

Był to starzec już pochyły, na jedno oko ślepy z wypadku; siwych ogromnych włosów i długiej brody, chudy, zgięty, ale pomimo lat żywy. Jedyne okiem, które mu pozostało błyskał dowcip i przebiegłość; głos jego silny jeszcze i młody (bo nie stracił zębów), zadziwiał przy pomarszczonej twarzy.

Zaczęła się rozmowa poczęta jak zwykle wzajemnym badaniem. Żyd starał się dowiedzieć kto byłem, z kąd jechałem, dokąd, i po co? ja niedbale wypytywałem o okolice, o ceny zboża i t. p.

— A pan tu pierwszy raz w tej stronie? rzucił żyd. — Nie, byłem już razy kilka, odpowiedziałem, i w klasztorze.

— Był pan dawniej w klasztorze?

— Tak; jeszcze za kapucynów. Przyszedł mi na myśl brat Maryan i westchnąłem.

— Szkoda poczciwych zakonników, dodał żyd przypochebiając mi się. Od ich wyjścia i miasteczko znacznie podupadło.

— A znaliście zapewne dobrze zakonników?

— O! o! jakże nie! wszystkich! Trzymałem u nich grunt gdzie była wapniarnia.

Od słowa do słowa, przeszliśmy do brata Maryana.

— Malarza? spytał żyd.

— Wiesz i o tym? podchwyciłem ciekawie.

— Nu! jak nie! ruszając ramionami zawołał żyd stając przy piecu gorącym i zakładając ręce za pas.

— Wiesz z kąd był rodem? — Jak?? Rodem był prawie z miasteczka, bo tuż z okolicy. Gdyby nie mrok, pokazałbym jegomości miejsce gdzie stał domek jego ojca. Dziwo, że wiem jego historią i ojcowską! Pewnie lepiej nikt jej nie wie!

Tak przypadkiem od starego Szmula dopytałem się pierwszej części historii, którą czytelnikom moim daję. Wprowadzony na trop dopełniłem ją później w sąsiedztwie zebranymi powieściami. Niedaleko opisanego w pierwszym obrazku naszym litewskiego miasteczka, za rzeczulką, na której brzeg drugi wiódł wąty mostek jakby cudem dziwnym na dygocących utrzymujący się palikach; w dolinie małej, u kraju lasu z sosen, jodeł, brzoź i grabów a niskiej dębiny złożonego, stał mały domek przed laty. To *przed laty*, nie oznacza więcej nad kilkadziesiąt. Dziś tam kupa gruzu tylko i poorane do koła pole, a stary omszony krzyż wśród grzędy świadczy, że niegdyś szła tutaj drożyna, gdzie teraz miedza tylko się przesuwą. Domek ów dawny, który otaczały pozostawiane na niedawnej trzebieży brzozy białe i wysmukłe sosny, płoty kamienne, malownicze chat litewskich stróże i płytkie zarosłe rowczaki; trzymał środek między dworkiem ślachcica a chatą wieśniaka.

Widać było spojrzawszy nań, że człowiek co tu zamieszkał był także ni to prostym wieśniakiem, ni ślachcicem. Coś pośredniego między temi dwoma. Dworek miał ganek o dwóch cienkich słupkach i wystawce, który już pretensyi niby do ślachectwa dowodził. Bo dawniej, jak wiadomo, *rodziłem się pod gankiem, znaczyło jestem ślachcic*. Ale pominąwszy ganek, była to tylko dość obszerna i porządna chata z bierwion sosnowych na mech układanych zbudowana, z małemi okienkami, o sporych czystych szybkach. Wysoka słomiana strzecha, pod cieniem drzew porosła rychło zielonym axamitnym mchem, unosiła na sobie jeden murowany, czerwonawy komin dość niekształtny i nadkąszony od słaty i wiatrów. Małeńkie podwórko obrzucone płotem kamiennym, zamknięte było z jednej strony szopką skleconą niestarannie, o wrotach podwójnych i nieszczelnie z dranic zbitych. Za dworkiem pociągał się ogródek warzywny i sadek owocowy, w którym szczepy wcale nie bujały. Zielona łączka żerdziami niedbale opasana, musiała także do właściciela dworku należeć. Las sąsiedni, prawie do szopki przytykał, i w piękne ranki wiosenne słyhać tu być musiało wśród ciszy pól, gruchanie dzikich gołębi, dziwaczne sztukotanie dzięciołów, zawodzenia słowika, naw et szmery owadów leśnych. Bocian przyjaciel człowieka usiadł na strzesze szopki, aby sąsiadować z nim wedle zwyczaju i pod jego opieką gniazdo mógł odlatując zostawić.

W tym dworku-chałupce, mieszkała podówczas cała rodzina Bartłomieja Rugpiutisa. Nazwisko samo i jego litewskie znaczenie dowodziły pochodzenia tego człowieka i jego pierwiastkowego stanu. Ale pan Bartłomiej dawno z właściwej Litwy (a raczej ze Żmudzi) wyszedłszy, tu uchodził już za coś nakształt ślachcica, bo ubierał się w kapotę. Wszyscy tak u nas za ledwie sierp porzuciwszy lub łokieć sklepowy, chwyтали zaraz za tarczę i szablicę. *Rugpiutis* po żmudzku oznacza *troskliwego o żniwo*, o zboże. Zacni też a poczciwi przodkowie Bartka o nic się więcej długie lata nie troszczyli krom o zbawienie duszy a o chleb powszedni. Poddani żmudzkich włości familii Hetmana, który

zbudował kapucyński ów klasztor wyżej opisany, Rugpiutisy pracowali dotąd jak dawniej około rodzinnego zagonu. Jeden Bartek przypadkiem ze stanu, w którym się urodził, wyszedł na nowe stanowisko. Potomek Hetmański wziął go był naprzód za pacholika, przypadkowo z potrzeby wybrawszy jako roztropniejszego na miejsce zmarłego nagle sługi. Zostawiono go potem przy dworze. Bartek wiele się tu nauczył, ale też zapomniał wiele. Nauka świeżo nabyta była ułamkową i śmieszną, a zapomnienie dotknęło najważniejszych wieśniaczych cnót ludu, skromnych prawda ale wysokiej ceny w oczach tych, co cenią uczynki ich prawdziwą wartością, nie połyskiem i pozorem.

Bartek chciwie chwycił wszystko co było z brzegu; nie wiele mu chodziło o użytek jaki z tego miał uczynić. Ciekawy był i pragnął wyniesienia się nad swoich: co tylko go od nich oddalało, dobrem mu się zdawało. Cudaki w głowie potworzyły się z pomieszanych wiadomości; ale on tak był nabytkiem swoim szczęśliwy! Pochlebnik niezręczny ale niczem niezmierny, i bezwstydnym, nieustannością uniżeń i pochlebstwa płacił za jego grubiaństwo i niezgrabność. Rysy jego twarzy nieforemne, okrągłe, sklepane, czoło niskie a szerokie, usta ogromne a obwisłe, szare oczki, wieczny uśmiech głupkowato frantowski i niczem nie- zachwiana wiara w siebie, w każdym widna ruchu stanowiły powierzchowność tego człowieka. Mały, pękaty, kwadratowy, silnie zbudowany, miał odwagę bezrozumną dziecka co się jeszcze nigdy na niczem nie sparzyło, nieprzezorność dziecięcia roztrzepanego, a w złym razie głupiał zupełnie nie pojmując co się z nim dzieje.

Chciwy jak najwięcej się nauczyć, nie pytał czego i jak się uczył, byleby coś nowego. Wszystkich rzemiosł po trochu zakosztował, każdego umiał po odrobinie, a nic do rzeczy. Lecz talenta swe wychwalał z tak silną i niezachwianą w nie wiarą, że nią nieraz nawet zawiedzionych obietnicami swemi znowu potrafił w pole wyprowadzić.

Jedyną myślą i dążeniem Bartka było wznieść się i pozyskać niezależność. Tak też służył i nadskakiwał panu, że wkrótce nietylko zupełną swobodę ale kawał ziemi na pograniczu miasteczka odebrał w nagrodę. Goły ale znakomicie odważny, ruszył na plac budować się tak właśnie jak Fernand Cortes na zdobycie Meksyku; bez odpowiednich środków, ale z silną żądzą dopięcia co zamierzył.

Nieforemny ów dworek, któryśmy widzieli był prawie dziełem rąk jego, a przynajmniej dziełem jego przemysłu.

— Co to mądrego ciesielka! rzekł nocując u ogniska pod sosną na *swojem* już polu, pierwszego wieczora po objęciu wytknionego żerdziami dziedzictwa pustego jeszcze. Co to mądrego ciesielka! Siekiera, piła, sznur a dobra wola, ot i cieśla!

Nazajutrz więc zaraz kupił w miasteczku siekierę i pilę, ale jednakże *dla bezpieczeństwa* jak powiadał, najął na tydzień cieślę do pomocy, aby się jego robocie przypatrzyć. Po tygodniu, wyczerpnawszy z niego co tylko potrafił pochlebstwem, gorzałeczką, gawędką poufałą, rozstał się z pomocnikiem i na gotowych podwalinach, począł bierwiona sosnowe, już posprowadzone na plac, ukła- dać. Ale wybrnąwszy szczęśliwie z uszaków, gdy przyszło do dachu, znowu sam sobie rady dać nie mógł. Powrócił więc do cieśli. Założywszy z nim pierwszą parę krokiew odprawił majstra, który widząc jak z niego żartują doprawdy się już pogniwał.

Gniewającego się pana majstra Bartek pocałował w ramię, a sam wrócił do poczętego domku. Ile

się napracował nim krokwiwie powciągał i poustawiał, sam tylko Pan Bóg, a on drugi wiedział. Często nie mogąc sam ciężarowi podołać lub dać sobie rady, czyhał na drodze na przechodzących do kościoła i miasteczka wieśniaków i za niuch tabaki lub wesołą pogadankę, zyskiwał pomoc ich łatwo.

Tak nareszcie wzniósł się dach, ale czem go było poszyć?? Słomy nie było za co kupić; łaskawego pana coby może dopomógł daleko szukać, wyjechał z domu; kommissarz, nielitościwy i główny nieprzyjaciel Bartka. Poszedł do głowy po rozum. We dworze uczył się różnych rzeczy, między innymi, był tam jakiś Klein, Niemiec, co drzwi, uszaki, ławy i stołki a nawet kufry pokostował. Patrząc na jego robotę i rozcierając mu farby, Bartek jak powiadał, nauczył się *malować*. Niemiec, ani się spodziewał, żeby mu figlarz Żmudzin miał taką splatać sztukę a koniec końców chleb odebrać. Ale po niejakiem czasie obeznawszy się z farbami, smażeniem pokostu i robotą całą, Żmudzin poszedł cichaczem do pana ofiarując się officynę nową darmo pokostować, byleby mu kupiono farby i kamień. Starego tedy Kleina odprawiono, a Bartek stanął do roboty i wyszedł zwyczajko.

Cały dwór wziął go za wielkiego człowieka obaczywszy jak on, *co się nigdy nie uczył*, doskonale wypokostował wszystko, *gdyby sam Klein*. Pan śmiał się, a Bartek dostał wówczas w darze kamienną płytę, kurant, rogowy nóż i pęzle: wziął je był 7. sobą nawet na nowe dziedzictwo. Ten kamień rzucony z początku pod drzewo, przyszedł mu na myśl gdy słomy do poszycia dworku zabrakło. Spojrzał na poczęty i tak szczęśliwie do góry doprowadzony budynek, westchnął, uderzył się w czoło kilka razy, potem nie wiele myśląc chwycił za tłómczek, za kij, świsnął, obejrzał się na cztery wiatry i poszedł drogą w prawo.

Na prawo widać było w pewnem oddaleniu nowo wystawiony i żółty jeszcze od drzewa świeżego dwór, którego bieluteńkie kominy błyszcząły na zielonym dywanie wznoszącego się po za nim pagórka. Tam udał się Bartek dźwigając na plecach cienką swą płytę i cały przybór malarski. A idąc nieraz poskrobał się w głowę; dziwne bowiem i trudne do spełnienia krzyżowały się w niej projekta.

Nowego-dworu właścicielem był ex-ekonom dóbr pańskich, których częśćkę wioski nabył na dziedzictwo, nałupiwszy i nadusiwszy niemało grosza. Znany ze swego sknerstwa i szachrajstwa nie łatwo dawał się wyprowadzić w pole; a tu właśnie o coś podobnego szło Bartkowi. Zbliżając się do wrót zwolnił kroku, chcąc widać koniecznie na drodze gdzie spotkać się z nowym dziedzicem. Tak też się dobrze wyrachował, czy los mu posłużył, że właśnie nowy obywatel wychodził w białym kitlu w pole, gdy Bartek niby już pomijał obojętnie zabudowania jego.

— A! niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus! Ot to kopę lat *Wielmożnego pana* nie widziałem.

Wielmożny pan bardzo już polectał dumę szlachetki.

Na wieki wieków, to *Waćpan panie* Bartłomieju ! rzekł stary wyga wyplacając się tąż samą monetą. A jak mi się tam miewacie?

— Żle! pomyślał Bartek, za *Wielmożnego* płaci gotówką *Waćpanem*, nie chce zostać w długi, podobno nic nie wskóram. At zwyczajnie, dodał głośno, mam się jak groch przy drodze. Ale cóż to ja

widzę; panisko śliczny dwór pobudował! Co za dwór! a! a! co za dwór! wykrzyknął z coraz wzrastającym niby zapałem i uniesieniem jakby *go* pierwszy dopiero raz oglądał. Dalipan w całej okolicy nic podobnego nie zobaczyć. Całą gębą, pański dwór!

— Alboż to asan co myślałeś? ozwał się uśmiechając polechtany po duszy ex-ekonom.

— Otoż z Jegomości teraz taki pan całą gębą, — pan Wielmożny! — obywatel.

— Widzisz kochanku, Pan Bóg nagroził i pobłogosławił pocziwej pracy mojej. Ale to na starość chleb, gdy zębów już omal.

— Gadaj pan zdrow! oj! oj! Sto lat wam! Dajże mnie Boże takie zęby nie urzekając! I przeżegnał się, a po chwili dodał: Ale taki jednej rzeczy tu braknie. Źle, źle, jak Bóg miły, niedobrze i nie dokończono. — A cóż tam u licha widzisz niedokończonego panie Bartłomieju!

Bartek raz drugi niby stroskaną robiąc minę głową pokiwał.

— Widziałem, rzekł do siebie, wiele pańskich dworów, ale nigdzie bez tego się nie obeszło. Chyba to może na później odłożone; ale i tak nic do rzeczy.

— Cóż to ty tam szepczesz? nic do rzeczy.

— A! juściz! Drzewo nie pokostowane! Okiennice, uszaki, okna, wszystko się w mig popaczy, pozsycha, powykrzywia a potem popruchnieje i pognije!

— Dlaczego? drzewo suche, spuszczone w jesieni!

— Śmieć się pan z tego! Co to pomoże kiedy nie pokostowane?

— A! ty myślisz, że ja pokostować będę?

— Nie wiem, ale gdybyś pan robił całą gębą po pańsku i chciał żeby potrwało, trzeba by koniecznie. W każdym porządnym dworze nie inaczej. — Frant, stręczysz mi się na robotę.

— Cha! cha! ja! zawołał śmiejąc się Bartek z dość dobrze udanem podziwieniem. Właśnie Wielmożny pan trafiłeś! Gdybyś mnie pan jak prosił i przepłacał, czasu nie mam i zamówiony jestem do Zasiszek.

A w Zasiszkach mieszkał główny nieprzyjaciel ex-ekonoma, stary kawaler, któremu darować niemógł obywatel świeżej kreacyi jakiegoś wykrzykniku obelżywego, wyrzeczonego z powodu projektu starania się o jego siostrę..

— Zgodzono mnie malować cały dwór na *de novo* i wcale po pańsku, dodał Bartek. Ten sobie nie żałuje.

— Hm! ten szerepetka z Zasiszek! rzekł przez zęby szlachcic, doprawdy? ;

— Wziąłem nawet *bargeld* dwa złote zadatku, mówił Żmudzin, muszę pospieszać na noc tam koniecznie, przyrzekłem być dzisiaj. Dobranoc Wielmożnemu panu!

— Poczekajno bo, poczekaj! zawołał exekonom, a jakim tam kolorem będziecie malować?

— Już to oni nie żałują! *Honeste!* Biało! biało, odparł Bartek. Blejwasem calusienki dom, blejwasem, a tylko od tyłu czerwono. A co mają płacić temu partole, temu partaczowi pijanicy z miasteczka, u którego zawsze farba pęka i osypuje się, a taki drogi — zgodzili mnie. Ja niewiele wymagam. Dobranoc Wielmożnemu panu, muszę pospieszać; spóźnia się.

— Czekaajno! sam widzisz, że już późno, przecedził przez zęby niewyraźnie szlachcic zastanawiając się i myśląc, do Zasiszek przed nocą nic zajdziesz. Kiego licha się tak spieszyć? Dwór ci nie uciecze, przenocuj u mnie.

Bartek choć udawał, że mu było pilno, nie dał się jednak bardzo długo prosić i mówić sobie do trzech razy; zawrócił się skrobiąc w głowę, niby niechętnie... i skutkiem dyplomatycznych kłamstw swoich nazajutrz miał robotę we dworze, kilkanaście złotych zarobku; a tymczasem wyprawieni ze słomą ludzie kryli mu chatę w dodatku. Z dziedzińca Nowego-Dworu ujrzawszy złocisty daszek chałupy swojej, z bijącym sercem dokończył jako tako pokostowania i pospieszył napowrót.

Murów, drzwi i okien brakło. Nie zafrasował się wcale Żmudzin, obejrzał tylko, jakby latające po świecie myśli chciał połapać na drodze, nacisnął czapkę na uszy i ruszył do miasteczka z miną poważną. Mina ta była mu potrzebna. Tu trudniej było niż ze słomą, brakło bowiem cegły, wapna i majstra, a w dodatku pieniędzy. Bez majstra, rzekł w duchu, oszczędłbym się łatwo. Alboż to święci garnki lepia? Widziałem ci to ja jak się piece stawia, trochę mam wyobrażenia o zasklepianiu i wiązaniu cegieł, wapno rozprawię. Kielnią to blichtr tylko bo i drewnianą łopateczką toż samo zrobię. Aby kamień to i młotek, aby sznurek a tarciczka to i pion. Ale wapno i cegła, to sęk! Tego nie zrobię sam, trzeba dostać.

Przychodziło mu na myśl kupić, ale obrachowawszy się z kasą w skórzanym woreczku u pasa wiszącą i pomyślawszy, że będzie potrzebował pieniędzy na zagospodarowanie, nie czuł się w siłach kupić, postanowił *dostać* cegły i wapna jak mówił po prostu *psim swędem*. To znaczyło, że chciał nie zapłacić a mieć.

Pod miasteczkiem na tak zwanych *Glinkach*, nie opodal od chałupy Bartka były cegielnie żydowskie, tam udał się Żmudzin grając rolę sługi od dworu Starosty. Począł się dopytywać o gatunek cegły, o cenę i dawał niby mimowolnie do zrozumienia, że ze dwakroć sto tysięcy na nową stajnię potrzebować mogą. Żydzi gorąco chwycili się tego z łatwowiernością, której powodem było że wiedzieli, iż Starosta nie miał cegielni. Bartek popatrzawszy, pomruczawszy odszedł tymczasem, ale tak aby go mogli wyśpiegować w miasteczku. Chaim, stary, szczwany lis, postawił kwartę miodu i począł badać go, naglić, usiłując wyrozumieć. Żmudzin udawał głuptaszka, potem trochę podpitego.

— Bo to widzisz Asan, rzekł dobrodusznie, rzeczy są jeszcze dalekie i niepewne. Albo będą murować stajnię jeśli cegły dostaną tanio, albo ją będą stawić z drzewa.

Żyd się zapalił domyślając tajemnicy jakiejś, której nie było.

— Ja tylko tu tak przyszedłem ze swego domysłu, dodał Żmudzin, mnie tu nikt nie posłał, ręczę Wąsami, że nikt mnie nie posłał. At tak, chciałem sobie zobaczyć.

— Nie zapieraj się Wasan.

Bartek począł się zaklinać ale tak doskonale, że żyd mocniej się jeszcze utwierdził w przekonaniu, iż to był poseł tajemny.

— Co Waść do mnie się uczepiłeś! mówił napastowany, niby się broniąc. Ja nic nie wiem! Ja tak sobie zaszedłem. Ja sam tu niedaleko się buduję i potrzebuję cegły dla siebie, zajrzałem zobaczyć i potargować. A jakby była dobra a tania, nawiasemby się Jaśnie Wielmożnemu panu o niej mogło powiedzieć jakie słówko.

I tak dobrze grał komedią, że żyd nadzieję dostarczenia dwóchkroć sto tysięcy cegieł dla Starosty, opłacił darmo dostawując parę tysięcy kopciałki i dobrej wypalanej cegły Żmudzinowi do jego chałupy. Szczęściem wkrótce potem istotnie zamówiono cegłę u Chaima, a żyd pozostał w przekonaniu, że Żmudzin tajemnie mu to wyrobił, był więc jeszcze dla niego z wysokim szacunkiem.

Gdy już cegła stała w kostrach na placu, poskrobał się znowu Rugpiutis w głowę i począł głęboko zamyślać nad wapnem. Kapucyni mieli wapniarnię na kawałku gruntu przytykającym do ich ogrodu, sprzedaż wapna robiła im kilkaset złotych do roku, a mieszczanie najęci, wypalaniem jego się zajmowali.

W sobotę poszedł Kartek do Kapucynów, a że był i z natury swej bardzo pobożny i wiele miał do Boga interessów, gorliwie się też modlił. Po nabożeństwie zaszedł do celi Ojca Gwardyana.

Tu pokłoniwszy się i ucałowawszy pasek Ojca Dobrodzieja, westchnął.

— A co tam powiesz moje dziecko? spytał starszy łagodnie. Czego tak głęboko wzdychasz?

— Ja tu Dobrodzieju, do jego łaski, po radę przyszedłem.

— No, i po jakąż to przecie?

— Aby tylko Dobrodziej łaskawego dał ucha.

— Dlaczegoż nie! mój kochanku: jeśli ci potrafię poradzić, z całej duszy.

— Miałem to ja sen Dobrodzieju!

— O! o! sen! Sen mara, Pan Bóg wiara kochanku. — Toć to ja wiem, ale sen bardzo dziwny.

— Naprzykład ? spytał zażywając tabaczki starszy. Cóż tam takiego?

Bartek znowu westchnął, ręce załamał, w niebo spojrzął.

— Trzeba Dobrodziejowi wiedzieć, że ja jestem biedny chudypachołek, sierota, biedota. Starosta

wywiózł mnie ze Żmudzi, a że mu się służyło poczeiwie i co mogło skarbiąc łaski jego czyniło, dał mi kawalinę gruntu, ot tu nie opodał pod lasem. Ja tedy własnymi rękoma i z wielkim mozołem pobudowałem sobie chałupinę. Dostałem cegły na piecysko, a majstra i wapniska mi braknie. Wapno zwłaszcza spać i jeść mi nie daje, a kupić go nie mara za co. Otóż wczoraj nastękwszy się około tego wapna, którego z palca nie wyłamać, a nie wiedzieć z kąd go wziąć, bo nawet nie słyszałem czy gdzie bliżej dwóch mil się znajduje — Starszy się uśmiechnął i zażył tabaki.

— Wczoraj tedy usypiam z tą troską gryzącą. Aż we śnie widzę patronkę moję, która mi się objawia w jasnym obłoku i powiada wyraźnie: " To czego żadasz tak bardzo znajdziesz u OO. Kapucynów. Jutro pomódl się w kościele, a potem idź do O. Gwardyana, pokłoń mu się do nóg, a otrzymasz czego żadasz. On cię i zrozumie i wysłucha i obdarzy. " Obudziłem się w zimnych potach, pomodliłem i ot kłaniam do nóg Dobrodziejowi.

Gwardyan wesoło się rozśmiał.

— A wiesz Waść, rzekł, musi to być prawda co powiadasz, bo i ja sobie teraz przypominam, że się mnie także śniło abym ci dał wapna. Ale razem odebrałem rozkaz z nieba, aby za każdy korzec wysypać ci trzydzieści pasków z ogórkami kapucyńskimi.

Bartek pobladł. — Tego rodzaju sny święcie spełniać potrzeba, bo są widocznie natchnione z niebios, dodał Gwardyan. Wieleż ci tam korcy wapna potrzeba mój kochanku?

Bartek po swojemu skrobiąc się w głowę myślał jakby się z tego wykręcić ale konceptu mu brakło. Starszy śmiał się w duchu z konceptu Żmudzina.

— Coś nie mogę się obrachować, rzekł nareszcie Rugpiutis, — ale wie Dobrodziej co? Prosiłbym tymczasem o wapno, a po ogórki przyjdę na ostatku gdy już będę wiedział wiele mi się ich należy.

Naśmiawszy się do woli z przebiegłego chłopka Gwardyan dał mu chętnie wapno potrzebne, a z nim razem naukę, aby mogąc pracować nie zebrał bezwstydnie. Pracuj moje dziecko, rzekł, nie jesteś wcale głupi, masz zdrowie i siły, wiek po temu, mógłbyś łatwo zarobić co; wstyd i upokorzenie ostatnie wykręcać i wypraszać figłami.

Zamiast przyobiecanych pasków, dano Bartkowi robotę, kazano odnowić pokost na drzwiach smentarzowych i balustradzie chóru kościelnego.

Tak wszystek już mając gotowy materyał Żmudzin jął się roboty; ale ta nie łatwo mu poszła. Żle sobie przypominał jak się co robić powinno, i nie mógł podołać całkiem nowej dla siebie pracy. Rzuciwszy więc zaimprovizowaną kielnię i linię, poszedł do miasteczka. Tam trzy dni tabaczką częstując wszystkich majstrów mularzy, dla których szczególny teraz powziął szacunek smakując nadzwyczaj w ich towarzystwie; przypatrywał się robocie, opowiadając im bajeczki. Czwartego dnia wrócił do chałupy i śmiało już wdał się w wyprowadzanie komina. A chociaż mur jego inwencyi nie bardzo był gładki, choć komin nie trafił w zostawiony na umyślnie otwór na środku dachu chałupy, przecież jakoś to się zrobiło. Z piecem było mnóstwo trudności, ale na- łamawszy ręk, głowy i cegły, dał i temu

radę jako tako.

Stała tedy owa chałupa, ale drzwi jeszcze, okien i stołów brakło. Główne wejście zaparłszy tymczasowo zbitymi z kilku opiłków wrotkami na drewnianych biegunach, Bartek puścił się na wędrówkę raz jeszcze i to nie ostatni.

— Najpotrzebniejsza mi teraz, mówił do siebie w drodze, przyjaźń jakiego stolarza. Poczciwi bo to ludzie w ogólności ci stolarze! Naród cnót pełen i uczuć najmoralniejszych, nie tak jak mularze, którzy z żydami jedzą i za pan brat przestają z niemi. Prawda, że stolarze napijać się czasem lubią, ale któż bez słabości ?

Mularze, teraz zwłaszcza gdym już piec postawił, wydają mi się dziwnie barbarzyńskim ludem.

Przebiegł myślą wszystkich w miasteczku majstrów stolarzy, ale na żadnego z nich widać wiele rachować nie mógł, bo fraso- bliwie głową kiwał. Wszystkie interesa z mieszczany najłatwiej się w szynkach zawiązują i kończą. Bartek więc zasiadł pod wiechą, czekając co mu los nadarzy. Wierzył on bardzo w trafę, w szczęśliwy los, ale przez nabożeństwo nazywał Opatrznością fatalność, której ponęty go łudziły.

Nieraz tak sobie samym kłamiemy. Szczęście tak dobrze Bartkowi dopisywało, że się go i nadal spodziewał.

Pod wieczór nadeszła z flaszką wódki, córka majstra cechowego Łukasza Justysia, którą Bartek znał i dawniej. Wypadało koniecznie do niej się ponmizgać, a że to łatwo zwłaszcza po piwie przychodziło Żmudzinowi, począł od: *Dobry wieczór panience*, przeszedł z dziwną łatwością do zapytań o zdrowie godnej rodziny, nareszcie odprowadził dziewczynę do drzwi domku ojcowskiego.

Justysia, jedyne dziecko pana Łukasza wielkiej używająca swobody, zawdzięczając miłe słowa Bartka zaprosiła go do środka. Początek tych odwiedzin nie poszedł łatwo, gdyż majster powód ich przypisał nie tak wdziękom Justysi, jak raczej ponętom flaszki z wódką, niesionej przez nią pod fartuszkim. Ale gdy nie w ciemę bity Rugpiutis, rozpoznał przyczyny zimnego przyjęcia, i kwaśno mu ofiarowanego odmówił kieliszka, a cały się zajął Justysią, zmieniła się całkiem postać rzeczy. Stolarz przypomniał sobie nagle, że Bartek był uwolniony przez pana, miał własny kawałek gruntu i gadano o nim, iż skrycie grosz gromadził. Chłodne więc w początku przyjęcie przybrało rychło pozór gorącej przyjaźni, zwłaszcza gdy Bartek miodu przynieść kazał i począł zręcznie rzemiosło stolarskie wynosić.

— Bo to zdaje się nic, nic! mówił podweselony. — Stoi na pniu drzewo, kloc gruby i bez formy, czarny, niezgrabny. A niechno do niego zawężmie się stolarz, patrzaj! już wypiłował tarciczkę, a z tarciczki dłubie, dłubie i robi co dusza zapragnie: stoliczki, stołki, szafki. Ot to! aż miło spojrzeć. To mi sztuka! Niewielka rzecz mularzowi nagromadzić cegły, polepić, i coś tam z tego wybudować, to i bobry panie budują. Stolarz u mnie panie człowiek.

Przy miodzie poczęła się coraz serdeczniejsza gawędka i od słowa do słowa Żmudzin wszystkie swoje starania o nową chałupę szumnie nazwaną dworkiem z pewnemi jednak potrzebnymi odmianami i poetyzując niektóre okoliczności, opowiedział. —

— Gniazdeczko się ściele, rzekł w końcu, a później, ba i czas będzie pomyśleć o ptaszku! Człowiekowi samemu źle i nic do rzeczy żyć. A byle było dwoje, będzie wszystko.

Majster wziął to za delikatne przymówienie się do Justysi, zwłaszcza, że w opowiadaniu dowiedział się o wyprowadzonym już kominie i postawionym piecu. Justysia zaś dla pewnych, bardzo ważnych, niemogących się tu wyłożyć przyczyn, potrzebowała koniecznie iść za męża, nie w miasteczku gdzie była nadto znajoma, ale kędyś dalej. Zastawiono więc sidła na Bartka a Bartek niby dla interesu kilka dni przebawił w miasteczku, uczęszczając także do szklarza z którym uczynił umowę o okienka, nawzajem mu zobowiązawszy się wypokostować dwie szafy. Ze *one* koniecznie pokostowane być były powinny, o tem postarał się szklarza przekonać. Dziwił się żyd jak tego dotąd wcale się nie domyślał.

Ze stolarzem było trudno i szło tępo, trzeba było doprawdy umizgać się do bladej Justysi, do której Bartek wiele serca nie miał, a lękał się, by potem nie roszczono do niego jakich dziwacznych pretensyj i nie kazano mu się żenić. Justysia, niebezpieczna Syrena, szczerze chcąc już pójść za męża tak się przymilała do Bartka, że Żmudzin począł zamyślać się o niebezpieczeństwie swego położenia. Naprózno usiłował on prowadzić interesa serdeczne stępo, ona ciągnęła go galopem do celu. Zląkł się by go za sobą nie uniosła. Historia drzwi i ławek mogła się skończyć tragicznie. Żmudzin podumał nad tem, zważył wszystko i wieczorem z miasteczka po dwóch tygodniach pobytu, zniknął nagle.

Powróciwszy do chałupy z oknami pod pachą i kupionem narzędziem stolarsko-ciesielskiem, wziął się sam Rugpiutis do roboty ław, stołów, drzwi i polic. Nie szło to łatwo: paczyło się i darło surowe drzewo pod surową ręką, ale choć nie gładko, dokonał Bartek dzieła winszując sobie, że wczas się opatrzył jak dalekoby go zawieść mogło upodobanie w stolarskiem rzemiośle i Justysi. Jakiś dobry duch czuwał nad Żmudzinem, bo mu jeszcze jednego niebezpieczeństwa oszczędził. Trzeciego czy czwartego dnia po powrocie z miasteczka zajęty był właśnie oglądaniem deszczek na lipowy stół głównej izby: gdy wyszedłszy na próg gdzie suszył tarciczki, ujrzał zdaleka drogą od miasta ku chałupie idącą, postać kobiecą. Przeczucie jakieś mówiło mu że to była Justysia goniąca za nim i uważająca go już za narzeczonego. Bartek zaledwie miał czas zawołać: I nie uwódź nas na pokuszenie! rzucił się żywo na strych, wciągnął za sobą drabinkę i zaszył się w siano. Wkrótce dały się słyszeć kroki nadchodzącej a potem wołanie, a potem śpiewka wesola.

Justysia (doskonale ją widać było ze strychu) ubrana jak od święta, świeża, z minką figlarną, w gorseciku czerwonym, fałdzistej spódniczce i białej jak śnieg koszuli, w granatowym kabaciku, stanęła w progu różnemi głosami wołając na wszystkie strony.

— Panie Bartłomieju! Panie Bartłomieju!

Bartek wciąż szeptał sobie: I nie wódź nas na pokuszenie! A wpatrując się niepostrzeżony w Justysię, zimnym się potem oblewał. Dziewczyna śpiewając usiadła na progu aby poprawić pończochy, zajrzała potem do izby, opatrzyła cały domek jakby już swój własny, nie minęła najmniejszego kątką, rzuciła nawet okiem na strych gdzie marzył biedny Rugpiutis. Wyczekawszy się dobrze, stolarzanka nareście położyła w pierwszej izbie na najwidniejszym miejscu tombakowy pierścionek ze szkiełkiem, i powoli, bardzo powoli, oglądając się kilkakrotnie odeszła nazad do miasteczka.

Bartek zlął złamany ze strychu i to nie prędko, obawiał się długo powrotu natrętej dziewczyny.

Na tem skończył się romans poczęty, gdyż Justysia nie mogąc dłużej czekać, we cztery tygodnie potem wydała się za czeladnika przybyłego zdaleka i przyjętego przez ojca na naukę. Bartek zjawił się dopiero na wesele, udając, że z dalekiej za interesem Starosty powraca podróży, a tak dobrze kłamał wielką rozpacz i żale, że Justynka (pocziwe serce) uwierzyła mu i pozostała na długo najwierniejszą jego przyjaciółką. Z jej nawet natchnienia, posłuszny mąż, poprawił nieco stolarszczyzny w domku Bartłomieja. Na zimę tedy chałupa była zupełnie skończona, opatrzona, i poświęciwszy ją wprzód (bo Bartek był niezmiernie pobożny), wniósł się do niej dumny dziedzic, nasycając dziełem swoim.

Wprawdzie ze ścian wiało, komin dymił niepohamowanym sposobem, drzwi żadne szczelnie się nie przymykały; ale to były maleńkie niedogodności w miarę, wielkiej rozkoszy posiadania domu. Aby go zaopatrzyć we wszystko co było potrzeba, począł znowu Bartek uciekać się do przemysłu, jedno sam klejąc, drugie dostając psim swędem. Tak naczynia i spiżarniane zapasy po trochu się zebrały. Justysia teraz najlepsza przyjaciółka Bartka, odwiedzała go czasem dobrą niosąc radę; on się już od niej na strych nie chował nie widząc niebezpieczeństwa.

Nadeszła wiosna, Bartek począł się mocno zadumywać znowu. Za ledwie śniegi zląły, pomyślał o opasaniu granic dziedzictwa swojego płotami. Główny dziedziniec wedle zwyczaju potrzeba było murem z dzikich kamieni obrzucić. W tej stronie Litwy o nic łatwiej jak o kamień. Leży ich tysiące wszędzie po polach, błotach, nad drogami, najrozmaitszych barw, dziwnych czasem kształtów, niekiedy drobne, to znów ogromne i na wpół w ziemię zaryte, zdają się szczątkami potrzaskanego jakiegoś świata. Pokładów skał nie ma w ziemi nigdzie: gładkie, otarte, przyszły tu widać z wielkimi wody potopu i oschłe zarzuciły łożysko bajecznego morza co łączyć miało Bałtyk z Czarnem. O drobne więc kamienie łatwo było, ale węglowe wielkie i idące na spód bryły, nie bez potu i znoju trzeba było wyważać z ziemi, toczyć na miejsce i ustawiać pod linią. Wierchnie zebrały się tuż prawie i bez wielkiego zachodu; trochę nakrajanej ukradkiem na cudzej łące darniny, posłużyło do spojenia wątlej, ale mającej z czasem nabyć trwałości, budowy. Ogród i łączkę otoczył Bartek żerdziami, o które równie łatwo mu było jak o kamień. Z pomocą przyjaciół zaciągnięto dwa wielkie szare kamienie do wrót i płaską płytę czerwoną na próg chaty, wykuwszy na niej nieforemny krzyżyk. Dwie mniejsze zastępowały ławki w ganeczku. Podrapawszy ogród motyką posiał na nim trochę konopi, lnu i jarego żyta.

— Tandem, rzekł biorąc za kij i oglądając się z uśmiechem, potrzeba mnie się ożenić a ożenić bogato, bo inaczej rady sobie nie dam. Potem pomyślemy o sposobie do życia.

Zaparłszy starannie drzwi chałupy i polecivszy strzelcowi Starosty, który tedy około lasu chodził, aby mu jej pilnował, Rugpiutis puścił się pomodliwszy i nażegnawszy drogę, siebie i cztery świata strony. Nie wiedział dokąd idzie, ale stałe miał postanowienie powrócić jeśli nie żonatym to zaręczonym.

Z tą myślą, zakasawszy poły, utwierdziwszy na kiju nowe buty, podtoczywszy spodni i rozpocząwszy rozmyślanie o słodyczach stanu małżeńskiego, machinalnie puścił się ku Nowemu Dworowi. Minał jednak nie zastanawiając się Nowy Dwór i wijącą się pomiędzy wzgórkami drogą zapuścił dalej, niekiedy tylko spoglądając na słońce. Wiedział, że droga, którą szedł, prowadziła do

Zasiszek, ale po co się nią kierował, nie myślał; ze słońca wnosząc mógł się spodziewać zejść na noc do tej wioski.

Kraj, którego tak wesoło bosem nogami przebiegał Bartek, pięknym był obrazem, ale nań mało zważał podróżny. Na prawo kamieniste litewskie wzgórza, gdzieniegdzie rzadkim gaikiem odziane, wznosiły uprawne swe grzbiety. Dołem płynął strumień. po- psuty moczeniem konopi, natkany licznymi kołami, które je wstrzymywały na dnie; — przecież piękny. Liczne stada gęsi nadające imię Zasiszkom, rozkoszowały się na wodzie. Brzegi strumienia gęste zielono-żółte zarastały tataraki. Na piaszczystych wybrzeżach czerniały rozsypane ciemne kształtne jałowce; drobna rokicina z popielatą zielenią tuliła się w wilgotnych dołach. Z gęstych drzew wyglądał dwór biały o wysokim dachu. Były to Zasiszki. Od dworu linią stały wysznurowane czarne chatki wieśniaków, ich odryny, szopy i stodoły. Gdzieniegdzie z pomiędzy dachów jodła, brzoza lub grabina podnosiła szumiące czoło. Dwór Zasiski, którego właściciel był, jakiegoś widzieli, srogim antagonistą pana ex-ekonomy, dosyć wspaniale poglądał zdaleka. Na prawo murowana kuchnia, na lewo lamus i sernik wysoki z blaszaną chorągiewką, dalej maleńki skarbiec, patrzyły z drzew gęstych. Mieszkał tu stary kawaler pan Tomasz z Burdzie Burda, z siostrą swą panną Weroniką Burdzianką, starą już ale jeszcze żywą, i nietracącą nadziei wyjścia za mąż panną. Ani wiedział jak do wrót dziedzica doszedł nasz Bartek i jak musiał się już na wszystkie strony oganiać kijem i butami na nim wiszącymi, oskakującym go psom.

Pan Burda siedział w ganku. Jak wszyscy próżniacy, którzy czatują tylko na gawędkę, pan Tomasz łaknął jej wielce, bo nie miał co robić, a pracować prócz tego nic lubił. Obaczywszy człowieka w stroju podróżnym odwołał zażarte psy i począł kiwać nań, aby się zbliżył do ganku.

Pan Tomasz (gdyż historia nasza obejść się nie może bez jego wizerunku), był typem dawniej może pospolitym, dziś zapewne rzadkim. Małego wzrostu, gruby, szerokich ramion, konopiatego włosa, siwych oczek, wielkich brwi mężczyzna. Ospa oznaczyła go desenikiem wyszukany na policzkach teraz czerwoną zachodzącą barwą. Oprócz tego był piegowaty, miał plamę od ostndy na niskim czole i cztery piękne brodawki na twarzy. Pomimo tych przypadkowych dodatków, uchodził w owych błogosławionych czasach za wcale przystojnego mężczyznę, z mocy axyomatu, który powiada, że chłopcu dość być trochę piękniejszym od diabła. W istocie p. Tomasz miał to *trochę*, i uważał się za kawalera przystojnego. Nizkie owe czoło napiętnowane ostudą niekiedy siną, a najczęściej koloru brudnego i nieoznaczonego, zdobiła jedna ze czterech brodawek na samej skroni naksztalt przejrzalej poziomej wyrosła. Na tyra pagórku puszczały się już coraz bujniej i gęściej długie włosy białe. Druga siostra umieściła się przy nasadzie nosa, trzecia w środku lewego policzka, czwarta na brodzie. Był to rodzaj samorodnej hiszpanki. Usta pana Tomasza koloru brodawek, były obwisłe, a dolna warga przecięta zupełnie na dwoje, co mu szczególny nadawało wyraz. Ryże, zamaszyste, do góry podczesane bakembardy, kolczyk w uchu z turkusem: dopełniały fizyognomii. Ubiór pospolity, w lecie mieszkańcom wsi właściwy, składał się z pasa rzemieennego na kitlu i szarawarach płóciennych. Chustki na szyi nikt w domu latem nie nosi i pan Tomasz cierpieć jej nie mógł, zwał ją nawet pogardliwie chomątem. Naprzeciw p. Tomasza siedziała panna Weronika Burdzianka, osóbką maleńka z zadartym noskiem, trochę do brata podobna, ale nieskończenie od niego przystojniejsza, zjedna tylko nic nieznaczący brodaweczką na uchu, którą brać było można za znamię przyczyniające piękności. Skutki umywania starannego ogórkową wodą, okazywały się na prawie białej jej twarzy. Tłuszcuchna, okrągła, rumiana, blondynka, lubiąca zaloty, piosenki

wieczorne, plotki pokątne, odpusty tłumne, skoki rubaszne, młodzież śmiałą i ochoczą i t. p. Spodziewam się, że z tych kilku słów łatwo już rozumiecie pannę Weronikę, której podobnych kapryśnych, dziś wesołych jak ptaszęta, jutro milczących jak ryby blondynek, mających łzy i śmiech na pogotowiu zawsze tak jest wiele po świecie! Któż z was jednej przynajmniej w życiu nie znalazł panny Weroniki?

Brat panny, Tomasz Burda, lubił także polowanie, hulankę, czasem kieliszek w dobrym towarzystwie, ale słabość miał prawdziwą, nieszczęsną namiętność dla płci pięknej. Całe życie kochał się, starał lub pokątnie biegał za wszystkimi ładniejszymi dziewczętami dworskimi i wiejskimi, jakie mu się tylko na oczy nawinęły. Panna Weronika udawała, że tego nie widzi i była zupełnie neutralną nawet gdy pan Tomasz wdzierał się do garderoby zostającej pod jej bezpośrednim zarządem. Ta powolność panny Weroniki zyskała jej szacunek i nie-

złomną przyjaźń brata. Kto wie ażali nie było trochę rachunku w postępowaniu siostry? Tak bajali sąsiedzi, którzy sądzili przebiegle, że zamykając oczy na figle braterskie, siostra zagrażała mu drogę do ożenienia, a tak odziedziczyć kiedyś po nim majątek spodziewała się. Panna Weronika była o dziesięć dobrych lat młodszą od pana Tomasza, pan Burda zaś liczył sobie (gdy go do tego zmuszono rozumie się) coś około czterdziestu. Ale byłyto tylko domysły i gadaniny, jakich na wsi pełno i nic więcej.

Opadnięty od psów warkliwych Bartek i oswobodzony od nich jednym słowem gospodarza, postąpił ku gankowi, ze zwykłym pobożnym powitaniem: — Niech będzie pochwalony. —

— Na wieki! A zkadże to kochanku?

— A! to Wielmożny pan mnie nie poznaje?

— Dalifur, (to było zakłęcie zwykle pana Tomasza). Dalifur nie, kochanku. Cóż mi się ochapia, ale, ale, czy nie ze dworu Starosty?

— Tak, tak, dawniej, odparł Bartek, a teraz dziedzic gruntu własnego pod.....

iczami i domu, a do usług pańskich malarz z professyi. Pokostowałem cały dom w Nowym Dworze, prawda, że tylko na czerwono —

— U tego ślachetki! szerepetki! nowej fozy szlachcica i dziedzica! U tego...

— Łupiskury, dodał Bartek.

— Cha! cha! wybornie, masz słuszność, Łupiskura. Ojciec jego handlował końmi, syn z ludzi skórę drze. Inaczej już go nie będę nazywał. Siostruniu każ mu dać kieliszek wódki, a jako dworskiemu *starki*. No, ale cóż cię tu sprowadza?

— Szukam roboty, może jaka u Wielmożnego pana się znajdzie?

— Zobaczemy. A powiedz mi naprzód jak to tam w Nowym Dworze? Bartek zrozumiał, że trzeba mu było pomalować Nowy Dwór na czarno, dziedzica także nie szczędząc; a że nie było w

istocie nic bardzo dobrego o nim mówić, puścił cugle językowi.

— W Nowym Dworze, rzekł uśmiechając się figlarnie, jak zwyczajnie w Nowym. Wszystko nowe, pan jak z igły, buty nowe bo niedawno jeszcze chodził w postołach, i państwo nowe, bo niedawno przed panami czapkę zdejmował do ziemi. Ludzie skwierczą, pan cały dzień łaje: jedno drugiego się nie trzyma. Chce coś z pańska kroić, a nie bardzo mu się klei, wszędzie z pod pańskiego kontusza ekonomski kańczuk przegląda. Kupił już Jegomość dryndulkę po nieboszczyku proboszczu z Chorochorowa, żeby po staremu kałamaszką nie jeździć.

Pan Tomasz słuchając śmiał się i coraz podjudzał jeszcze Bartka do gadania. Wkońcu tak mu się żmudzkie koncepta podobały, że zaprosił przybyłego na noc, i wytrzymał go cały wieczór u drzwi swego pokoju częstując piwem i gorzałeczką, do których wrodzony jakiś pociąg miał Rugpiutis.

Nazajutrz rano znalazła się jakaś robota, pod której pozorem wstrzymał Bartka pan Tomasz. W istocie chodziło mu tylko o łatwą pogadankę, w której nie miał wcale potrzeby ze słowami się rachować; gdzie pytanie każde żadaną wywoływało odpowiedź, żart przychodził na zapotrzebowanie, a szeroki i bujny śmiech rozlegał się swobodnie. To też przy ucierającym farby Rugpiutisie, pan Burda przesiedział cały ranek i pospieszył do niego znów po spoczynku poobiednim. Ludzie dworscy widząc tak wysoce ceniony talent przez pana, z uszanowaniem poglądali na wielkiego człowieka w osobie Żmudzina i pękali od śmiechu ledwie gębę otworzył, tak byli przekonani, że co tylko powie warte jest współczucia i sowitych oklasków. Bartek ucierając farby i rozmawiając żywo a ochoczo, rzucał przecież oczyma po swojemu, tak że nic nie uszło jego uwagi. Na pozór cały oddany pracy, więcej przecież zajmował się tera co go otaczało, niżeli robotą nad którą zdawał się wysilać. Postacie, ruchy, obyczaje ludzi otaczających połapał zaraz na korzyść swoją i wiedział już drugiego dnia kto ze sług jest ulubieńcem pana Burdy, kto upodobań i protegowany przez pannę, znał na palcach wszystkie intrygi dworskie. I niekoniecznie w widoku jakichś korzyści czynił te postrzeżenia, po większej części przychodziły mu one starym nałogiem, mimowolnie, jak rodzaj zabawki co to przecie w razie i przydać się na coś może. Wśród roboty, ku wieczorowi nagle kurant stanął w ręku Bartka, usta mu się szeroko rozwarły, głowa podniosła, szyja wyciągnęła, osłupiał. Przyczyną tego niezwykłego podziwu była postać, którą ujrzał na drożynie od obór ku folwarkowi wiodącej. Było to dziewczę lat może ośmnastu lub dwudziestu (świeżość nie dozwalała sądzić dokładnie o latach bo świadczyła przeciw innym oznakom wieku), ciemnowłose, czarnookie, maleńkie, zgrabne, krągłe, z pańską minką i chodem jaśnie wielmożnym. Była ona tem, co to dawniej zwano *hożą czarno-brewką*, ale i czemś więcej jeszcze. Owa młodziuchną i śliczną czarno-brewką miała twarz, chód, dumne wejrzenie i ruchy wielkiej pani, coś ślachtetnego i samowolnego w sobie; zdradzającego albo ślachtetność wrodzoną, albo bardzo tylko przesadzone udawanie charakteru wręcz przeciwnego naturze. Biała jak mleko, zaledwie nieco zarumienione mając policzki (a po staremu jagódki) z twarzyczką podłużną, prześlicznie zaokrągloną, z oczyma dziwnie jasnymi i wielkimi, a czarnymi jak dwa węgle, okrytymi powieką oszytą długą rzęsą ciemną i opasanymi wyżej brwią jak ciemna linia śmiało rzucona przez malarza, z usteczkami rumianemi, drobnymi i podrzuconymi w dwóch końcach ku górze, z bródką dołkiem oznaczoną, świeża, tak, że puszek zda się jak na nietkniętym owocu jeszcze ją okrywał; szła Franka przesuwając się jak zjawisko przed oczyma Bartka. Czarne jej włosy, wyczesane i świecące, spadały w dwóch długich warkoczach na kształtną kibić. Ubrana czysto i starannie a nie jaskrawo (miała na sobie bladoróżową sukienkę i czarny fartuszek, biały klinik na niemniej białej szyjce i czarne trzewiczki

odbijające od świeżej pończoszki), wydawała się Bartkowi czemś wielkiem, najmniej kuzynką Jejmości. Wracała wprawdzie z obory od dojenia krów z kluczami w ręku, a za nią niosły dwie hoże dójki śmiejąc się i chichocząc ogromne naczynie z mlekiem, przykryte czystym cedzidłem; ale w Litwie i panienki dworskie często do krów chodzą. Bartek z uszanowaniem zmierzył oczyma śliczną dziewczynę, która ukradkiem spojrzała także na niego, a tak w nią oczy wlepił chciwie, że aż uśmiech mimowolny ale prędko pohamowany, na usta jej wywołał. Pan Tomasz nadchodzący schwytał Żmudzina na uczynku.

— A co to Waszeć już — dalifur na dziewczęta mi się zagapiasz? zawołał pan Burda śmiejąc się. Zawstydzony Bartek począł zapalczywie trzeć farbę i szukać konceptu na odpowiedź w głowie, aby się wyklamać z zagapienia. Nic chciał być bowiem posądzony o utratę przytomności z jakiegokolwiek bądź powodu, a uczuł, że musiał mieć minę dość głupawą. Wyobrażał też sobie, że ta panna nieskończenie być musiała wyższą stanem od niego; a kto zna obyczaje litewskie, zwykłą skromność stroju wieśniaczek i chętnie zajmowanie się gospodarstwem, nie zadziwi się omyłce Bartka. Była to bowiem omyłka, z której wkrótce wyprowadzony został przez pana Tomasza.

— A któżto waści wpadł w oko, zawołał Burda, czy sroga Naścia upodobana zazdro- snemu ekonomowi, czy Parasia rumiana ulubienica Fedora gumienego, czy może sama Franka?

— Wszystkie trzy! rzekł ochłonawszy Bartek.

— O! dalifur! na raz za wiele! zawołał pan Tomasz rycząc od śmiechu,

— Dla oczów nie, odparł Żmudzin schylając się nad kamieniem.

— A prawda, że Franka ładna? spytał stary kawaler klaskając językiem.

— Któraż to Wielmożny panie?

— Niby nie wiesz! o! franta kawałek! Różowa sukienka, nieszpeta panienka! dodał Burda rad wielce z rymu i konceptu, przymrużając jedno oko.

— Królewski kąsek!

Tomasz wąsa przymusnął: Prawda! rzekł. Ot wiesz co, dodał żywo jakby myśl chwytając, masz chatę, masz ochotę jak widzę, ja ci będę swatem, żeń się i kwita. Bartek spojrzał wielkimi oczyma na pana Tomasza, biorąc to za żart gospodarza i ruszył ramionami wracając do tarcia.

— Wysokie progi na moje nogi! rzekł wzdychając.

— Dalifur nie! sierota! moja siostra ją z łaski na opiekę wzięła. Nie bez tego żeby też wydając ją za mąż, trochę grosiwa i coś na gospodarstwo nie dała. Ot gotowa dla Waszeci żona, a cóż?

— Nadto coś na wielką panią wygląda.

— At! at! to tylko zdaleka!

— He? A pan ją zna i zbliska? spytał złośliwie Bartek. Pan Tomasz pokręcił go za ucho.

— Łotrze! zkaż ci ta domyślność?

— Służyłem we dworze pana Starosty, to dosyć powiedzieć.

— Ale u mnie to wcale co innego — u mnie tego nie ma! — Oh! oh! mruknął Żmudzin pochylony obiema rękami na kurancie. Znamy Wielmożnego pana! Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi! Ślachta jadąc na odpust do Chorochorowa z córkami, objeżdżają nawet grunta Zasiskie.

P. Tomasz serdecznie śmiać się począł.

— O Frankę nie masz się co bać, to dla mnie zakazane. Faworyta mojej siostry, z mała przy niej dniem i nocą. Bartek głęboko dumiał.

— Djabie piękna, rzekł po chwili, ale nadto ma minę wielmożnej pani. —

— A pracowita dodał p. Tomasz, a łagodna gdyby gołąbek.

— Cóż to ją pan tak zachwala, jak zepsuty towar na sprzedaż?

— Żart żartem, żeń się doprawdy, począł naglić p. Tomasz.

— A gdyby ? Mnie bo i potrzeba żony, ale z dodatkami wielą, z pieniędzmi, z krowami, z koniem, trzódka, kuferkami, nasypkami i strasznie bogatej!

— Franka nie żartem będzie miała wyprawę, rzekł nastając dziedzic.

— Gdyby to nie pan rekomendował? odparł Żmudzin śmiejąc się.

— A cóż to ja szkodzę? Będiesz miał opiekuna we mnie, nic więcej.

— I przyjaciela przy żonie? he?

Oba poczęli się śmiać i na tem skończyła się rozmowa. Bartek wieczorem wymknął się nazwiady i szpiegi. Z dobrze dosyć udaną obojętnością począł wypytywać o Frankę nim się do niej zbliżył. Ale wszyscy jakby sobie dali słowo, wynosili jednogłośnie jej przymioty, najmniejszej nie ukazując plamki.

— Wiesz Waćpan co, powinienbyś się z nią ożenić, rzekł Bartek ekonomowi, wysłuchawszy zapalczywych jego pochwał.

— Albo to ja głupi! odpowiedział tamten machając ręką nad głową.

— No? a toż czemu?

— Waćpan, rzekł Intendent z miną głębokiego dyplomaty, — waćpan udajesz bardzo

przebiegłego, a takiej błahej rzeczy poniuchać i domyśleć się nie możesz. Franka paniczowi się podoba (paniczami zowią się kawalerowie do lat choćby siedmdziesięciu), a nie śmie się do niej umizgać bo dziewczyna harda jak królowa i wie, że wstydem by go tylko nakarmiła. Czeka więc zacziwszy się, a gdy obdarzywszy ją suto i ująwszy, zaręczy za jakiego mazgaja, wtenczas Franka jego! a mężysko, no! potrzyma się za głowę!

— Takie to interessa! zawołał Bartek, masz Waćpan racją, to bardzo być może!

— Panicz i mnie ją stręczył, i kilku innym dorzucił ekonom, ale nie w ciemę nas bito. Ładna Franka, piękne dwie krowy, ślicznych para klaczy i inne dodatki, ale, ale. To, *ale* niebardzo smaczne. Ja się dzielić nie lubię. Bartek twardo się zamyślił, wziął powoli za czapkę i dawszy wkoło — Dobranoc! wyszedł kiwając głową, szturchając w palce.

— E! rzekł w końcu do siebie, kto nie waży nie ma! A no! spróbujmy! Gdyby co najgorszego wypadło, jużciż to ja nie pierwszy podobno; a to takie głupie nieszczęście, że plunąć na nie chyba, a nic gryść się niem.

Trafem spotkał Frankę na drodze i pozdrowił ją zdjęciem czapki i —

— Dobry wieczór! Dziewczyna uśmiechnęła się i nie zdała daleką i trudną do zawiązania rozmowy. Bartek przeprowadzając ją powolnie do bliskiego przełazu, z całym jaki tylko miał dowcipem, śmiałością i wesołością się popisał. Dumna i poważna Franka kilka razy białe śmiejąc się pokazała ząbki. Na ten dzień tak się skończyło.

Nazajutrz kilka razy rzucał farby malarz i podchodził pogadać między bzy pod okno garderoby. Franka też z kluczami przeszła mimo niego daleko więcej razy niż wczora. Przebiegły Żmudzin wyrachował nawet, że dłuższą drogę wybrała do lochu pod pozorem, że ta była suchsza.

Na zawiązujące się stosunki p. Tomasz patrzył okiem wesołym i żartował z Bartka. Żmudzin się uśmiechał, ale nie zapierał i nie bronił, gdy mu zarzucono, że się w France pokochał. W istocie nie było się czego wstydzić.

— No, ale co to z tego będzie ? spytał nareście Burda w tydzień potem, gdy już cały dwór szeptał o miłostkach ładnej dziewczyny, ze żmudzkim, jak go nazywano, niedźwiedziem.

— Co ma być, odparł Rugpiutis, niedźwiedź zwyczajnie niedźwiedź, wydrze barć i pójdzie w las.

— O! tak nie, mój kochanku! szybko i marszcząc się rzekł pan Tomasz, niedźwiedź mógłby dostać po skórze. — A jakże?

— Niech niedźwiedź weźmie sobie barć na plecy i rusza.

— Wić pan jak się łapią niedźwiedzie w puszczech około Miodnik?

— Nie.

— Ja panu powiem: przy barci robią klatkę, meszka lezie do miodu, a wpada w niewolę.

— A na co mu się miodu zachciewa?

— Ba! to prawda! Ale gdyby niedźwiedź zabrał sobie barć, to co będzie miał w dodatku?

— Mówiłem ci już nie raz.

Bartek potrząsnął głową.

— Wie, wielmożny pan co. Gdybym ja się ożenił, a ktoś mi dając posag żonie, chciał kupić moją hańbę...

— To cóż? z przymuszonym śmiechem zapytał p. Tomasz. — To cóż?

— Nie dałbym się.

— Któż ci to naplotł banialuków?

— Tak *to*, samo przyleciało

— Zkąd? Nie zkąd tylko z głupich ludzkich języków?

— O! z wiatrem, wielmożny panie!

— Niechże sobie i pójdzie z wiatrem. Waść lichy wie co i dla czego wymyślasz. Chcę wyposażyć Frankę, przez wzgląd dla Weroniki. Nie mam do niej żadnej pretensyi. Dość naturalnie mówiąc to ruszył ramionami, ale pomieszany wzrok nie uszedł baczości Żmudzina.

— Żadnej pretensyi? spytał głupkowato Kartek udając łatwowiernego.

— Dajże mi pokój! pogardliwą robiąc minę, rzekł Burda.

— No, kiedy tak, to prosiłbym pana, schylając się do kolan Burdy zawołał Bartek, prosiłbym pana o Frankę i o poparcie życzenia mojego u Wielmożnej panny. Niech ją państwo wydadzą za mnie. Mam grunt własny, dworek (nigdy Bartek chatą nie na-

zywał tego, co istotnie nią było), mam i sposób do życia.

Radość źle utajona błysnęła w oku pana Tomasza, który natychmiast poszedł do siostry. Bartek porzucił robotę i wymknął się ku garderobie, dając z za bzu znaki France. Franka na próg wybiegła

— A co? spytała.

— A cóż! słowo się rzekło.

— A pan?

— Ma mnie z pozwoleniem za dudka, poszedł wesolutki jakby się dopiero na świat narodził. Ale pamiętaj panienko śliczna.

— Wszakżem przyrzekła? dumnie przerwała Franka.

— Ja od dziś zaraz ruszę ztąd niby do domu, ale na zawołanie od zmroku zawsze czatować będę. Jeśliby panu przyszła jaka dziwna fantazyja, proszę mi dać znak albo zawołać, a ja się przystawię w mig.

Tych kika słów tylko powiedziawszy, rozeszli się szybko; gdy p. Tomasz powrócił przed oficynę już Bartek zamyślony z udaną pilnością czyścił starannie zaklapane pęzliska.

— Ciesz się Rugpiutis, rzekł, panna pozwala, ja także, ma się rozumieć. Dajemy France pięćset złotych, dwie krowy, dwie szkapy ze źrebiętami, dziesięć owiec i wyprawę przystojną. Dla sieroty, trzeba coś puszczając ją w świat uczynić. Dzisiaj was zaręczym, a po zapowiedziach ślub. Ale pamiętaj szanować żonę, żebyśmy nie żalowali tego co dla was czyniemy!

Żmudzin rzucił się do nóg z pozornem wylaniem i uściskał je, a podnosząc się rzekł:

Wielmożny panie, gdyby nie jedna wada, jestem pewny, że Franka byłaby ze mną szczęśliwa.

— No i cóż to?

— Z rodu wszyscy jesteśmy niepohamowanie zazdrośni — Boże odpuść — źli jak szatani i podejrzliwi haniebnie. Już to tak się rodziemy wszyscy Rugpiutisy, że krwią się to przelewa widać. Mój dziad żonę swoją po pijanemu zabił z powodu jakichś nieforemnych podejrzeń. Ojciec nie raz okrutnie i najniewinniej pierwszą swoją łomotał, stryj skaleczył srodze kommissarza, który się zbyt przysuwał do jego Teklusi.

— Bądź sobie zazdrosny jak chcesz! rzekł markotnie pan Tomasz odgadłszy do czego to zmierzało. Co mnie tam do tego, że wy jesteście zazdrośni.

I odszedł zukosa pogładając na Bartka. Wieczorem odbyły się zaręczyny suto i huczno obchodzone. Panna Weronika złośliwym wejrzeniem mierzyła Frankę zawsze dumną i milczącą, Żmndzina na pozór oddającego się wesołości i brata, który szeptał coś do ucha raz wraz dziewczęciu. Tomasz zachował się zresztą bardzo przyzwoicie, a postrzegłszy, że Rugpiutis szepty jego uważa, z podełba już potem tylko rzucał niekiedy okiem ku pięknej czarnobrewie, jakby mówi w duchu:

— Co się odwlecze, to nie uciecze! Stara panna zdawała się doskonale o wszystkich prawdopodobnych skutkach tego związku oświeconą, znać to było z jej miny szyderskiej i błyszczących oczek. Bartek ciągle udawał największe zaufanie i uszczęśliwienie niczem niezmacone, śladu niepokoju i podejrzliwości nie pokazał po sobie. Franka czerwona jak wiśnia, onieśmielona, ale dumna jak zawsze i nieprzystępna. Ludzie dworscy chichotali wskazując palcami to ją, to pana, to Bartka, widzącego wszystko nawet szyderstwo, ale grającego ślepotę umyślną. Hulanka i tańce przeciągnęły się długo w noc, narzeczony nie spuszczał oka z Franki, gdy się rozeszli, czekał aż p. Tomasz do siebie pójdzie i położył się dopiero spocząć w krzaku bżów pod oknami panińskiego pokoju.

Rano pożegnawszy wszystkich, zabrał manatki i w oczach ludzi, poszedł drogą wiodącą do Nowego Dworu i swojej chaty. Pan Tomasz odprawił go opłaciwszy suto i uczęstowawszy starą gorzałeczką na drogę, nie dość umiając pokryć jak był rad, że się go pozbywa.

Po odejściu narzeczonego, zaczął dopiero nadskakiwać po swojemu France, która uprzedzona spodziewała się tego. Stara panna zajęła się tymczasem wyprawą, która nie tak rychło mogła być ukończona, a dla niej nawet nastawał pan Tomasz aby ślub odłożyć. Chciał, jak powiadał, przyzwoicie opatrzyć sierotę. Tymczasem czyhał nie spuszczać z oka najmniejszej sprzyjać mu mogącej okoliczności.

Smutna i brudna historia! Lecz gdybyśmy wszystko niemiłe i wstrętliwe wyrzucać chcieli z życia i powieści, cóżby pozostało? Tak mało jest pięknego i czystego! Życie się składa ze światła i cieni, a powieść, zwierciadło życia, musi nie raz zejść w brudne zakręty żywota, aby otworzyć w pełni to co się zowie światem i człowiekiem. - Ileż-to zgubionych istot przez podobnych panów Burdów, co zerwać owoc i uwieść młode stworzenie namową, upojeniem, siłą, za nic sobie mają?

Na ten raz jednak spełzły zamiary pana Tomasza. Dziewczyna na jego poszepty odpowiadała zawsze milczeniem ledwie nie pogardliwym, lub śmiechem gorszym jeszcze. Czasem brała miłości za żarty, czasem gniewała się prawie. Burda przywykły do łatwych zwycięstw zrozumieć tego nie mógł. Czas ubiegał z okrutną szybkością, zapowiedzie zbliżały się, a wyprawa jakkolwiek do niej coraz coś nowego dodawano dla przeciągnięcia, już była na ukończeniu. Co nocy Bartek niepostrzeżony, niespokojny czuwał pod oknami narzeczonej.

Nareście do ostatniej niecierpliwości przywiedziony jednego dnia pan Tomasz, srogie sobie czyniąc wyrzuty, postanowił wcale nie w porze po ciemku wkraść się do pokoju siostry, gdzie od niejakiego czasu, przeniosła się była Franka, mimo uwag panny Weroniki. Nie wiadomo dla czego stara panna nigdy na klucz drzwi swoich w nocy zamykać nie dozwalała. Sama sypiała w rodzaju alkowy ciemnej, do której prowadziły drzwi osobne. Brat troskliwy o wygodę siostry, niedawno jej w ten sposób urządzać kazał oddzielną sypialnię. Służąca, którą teraz zastępowała Franka, sypiała w przedpokoju na wielkim kufrze, a raczej gdańskiej skrzyni, na której uścielano sienniczek i ubogą pościółkę przenośną.

Gdy wszyscy we dworze już się byli pokładli, skrzyły drzwi, ale razem dał się słyszeć przeraźliwy krzyk Franki:

— Złodziej! złodziej! Głos ten przenikliwy, donośny, rozszedł się po całym domu. Panna Weronika zaszyła się w pościel, lękając nadzwyczajnie złodziei i rozbójników. W tejże chwili prawie kilku ludzi ze światłem zjawili się u okien i we drzwiach. Bartek w ubraniu podróżnym wpadł z lichtarzem do izby. — A! to pan! zawołała ze wzdrganiem Franka.

— A to wielmożny pan! powtórzył kłaniając się nisko Żmudzin. Gdyby p. Franciszka wiedziała o tem nie krzyczałaby tak głośno. To mówiąc uśmiechnął się, ale na żółto. Pan Tomasz w niepojętym kłopotcie zaszył się w kątek i mrugał, kiwał aby go nie wydawano. Wstyd mu było siostry i ludzi. Dziwną rachubą, czy nie wiem jakim ostatkiem wstydu, pan Tomasz sam nadużywając, najsrożej ludziom na pozór wszelkiej bronił rozpusty. Najpierwszy do posądzeń, bez najmniejszego powodu najczęściej rzucanych, karał srogo, a sam udawał człowieka najniewinniejszego,

najprzykładniejszego, choć wszyscy otaczający go wiedzieli jak się prowadzi i co dokazuje. Powinni byli udawać, że o niczem nie wiedzą. Bartek wchodząc natychmiast w położenie dziedzica, obejrzał się, rozśmiał i rzekł niby do stojących za nim u drzwi: — To nic, to nic. Kot półkę zrzucił i stukotu narobił. Dobry wieczór panie Franciszce, przechodziłem dziwnym trafem mimo dworu, wracając z Krumli, posłyszałem jej głos. —

To mówiąc dał znak panu Tomaszowi, że wszystko się pokryje. Ludzie odeszli, światło zagasło, pan Tomasz cicho się wysunął z Bartkiem, który rzekł do Franki:

— Niech jednak panienska drzwi zamknie na klucz, bo kot czasem i klamkę otworzy, jak się sera dowącha.

— Wielmożny panie, rzekł do dziedzica gdy zostali sami, a co będzie?

— A cóż ma być? Dziękuję asami i —

— Wielmożny pan jak uważam słowa nie dotrzymał i wcześniej chciał mnie wystrychnąć na koziorożca. Ja pod tym znakiem nie rodziłem się. Już nie wypada mi się z Franką żenić.

— He! chcesz co wytargować — — Na co tu targ, kiedy to taka sprawa, której opłacić nie można.

— Ale ja palca jej nie tknąłem?

— Gadaj pan zdrów, a ja wiem co wiem! i po wszystkim!

Tomasz rozśmiał się przez próżność, ale zaklął się zaraz — Dalifur, panie Bartłomieju, głowa mnie bolała, chciałem dostać z półki konwaliowej wody, i —

— Gadaj pan zdrów! A ja wiem co wiem! powtórzył Bartek. Tymczasem prosiłbym Wielmożnego pana dać temu pokój nadal. Za to co się stało nie zawadzi mi gęby zatkać, nie przeczę, bo jak ludzie, nie wyjmując i mnie zacząną paplać — Pan się stara

o Magdalenę Snopkównę z Suchej wierzby, wiem. Ja gotów panu sam popsuć tam językiem interessa. A tam drażliwi na to. —

To powiedziawszy Bartek odszedł ukłoniwszy się i zniknął, pan Tomasz gniewny

i zrażony poprzestał starań, choć w duchu prędeż później poprzysiągł zemścić się na Żmudzinie. Różne myśli przychodziły mu do głowy. To odmówić posagu, to dać chude szkapy i krowy stare, ale rachował zawsze na przyszłość, nie chciał zrażać Franki i prędko je zarzucił. Przy weselu okazał się wspaniałym i państwo młodzi odjechali udarowani, ubłogosławieni przez pannę Weronikę i jak tylko być może najszczęśliwsi.

Pan Tomasz stał w ganku patrząc na odjazd z dość głupią miną, skrobiąc się w głowę. Siostra się uśmiechała nad pończoszką, on powtarzał po cichu:

— Li li li, zakpili. Dalifur frant ze Żmudzina; proszę o kieliszek starki, panno Weroniko; kat go

wiedział, że licho takie przebiegłe.

Gdy Burda odśpiewuje tak Elegię w ganku, na gościńcu Bartek pieje Dythyramb radosny, zacina parę tłustych klaczy, za którymi biegną dorodne łoszaki i dwie krowy śliczne wloką się przywiązane do ładownego wozu. Żona siedzi na zielonym kufrze okrytym porządnie. Obok niej nastawione w przyjemnym dla oka właściciela nieładzie, pudełka, nasypki, graciki.

Z boku wspaniały, malowany wygląda kołowrotek i przęślnica. Za niemi pastuszek najęty pogania kilkoro owiec i świnek długouchych, ciągle wyrrywających się z gościńca dla skosztowania co rośnie na polu. Kartek coraz to się obejrzy na swoją Frankę, piękną jak królowa, ale smutną czegoś, zadumaną. To uśmiech radości, to szyderstwa (gdy spojrzy ku dworowi), to wewnętrzne dumania o przyszłości, błyszczącym mu strzelą okiem. Niebardzo zważa na kamienie rozsypane po drodze, na których podskakują koła wozu, tak urocza dla niego twarzyczka żony. Coraz to ją obejdzie oczyma i pokiwa głową, jakby swojemu szczęściu nie wierzył; potem zatnie klacze spiesząc do swojej chaty. Późno wieczór stanęli w *Brzozowym ługu*, (tak się zwało uroczysko gdzie pobudowana została chata Bartka) i zastali tam już kilka wózków gości sproszonych na przenosiny z miasteczka i ze dworu Starosty. Franka pomieszana ledwie spojrzała na wystrojoną chatkę, na zastawione stoły i zebraną ciekawą gawieź. Noc była piękna, tańczono w dziedzińcu po księżycu i przy łuczywach do rana, pijani spoczywali pod cieniem drzew i płotem kamiennym.

Nazajutrz około południa całkiem już pusto było w chacie, państwo młodzi zostali sam na sam. Bartek się zamyślił uprzątając w sieni.

— Warto pójść Ś. Antoniemu podziękować za ożenie, bom co się ożenił tom się ożenił, prawda to być musi, że śmierć i żona od Boga przeznaczona! Gdzieby się to kto spodziewał! Z takiego dworu, taki skarb wywieźć! Bo to skarb i klejnot! A! anioły malowane po kościołach nie tak piękne. Skromna, niewinna i posażna, wszystko co trzeba w dom mi unosi. Co zaś najlepsza, że łagodna jak baranek, pokorna i słuchać mnie będzie. Będęz sobie Pan! będęz sobie

Pan!

To mówiąc zaśpiewał:

— I nic nie dbam! i o nic nie dbam! Franka już chodziła po wszystkich kątach i gospodarzyła w spiżarni, w obórce, koło koni nawet: ustawiała kufry swoje (w których posag gotówką wypłacony zamknęła) podpierając na ceglach w głowach swojego łóżka. Rozwiesiła obrazki świętych przywiezione z sobą; zgotowała obiad, nakryła do stołu i z progu zawołała męża na jedzenie. Bartek z założonemi w tył rękoma przechadzał się po dziedzińcu.

Wszystkiemu był rad i w wyśmienitym humorze. Po obiedzie, otarłszy usta i przeżegnawszy się, rozparł się Bartek na stołku i spytał żony:

— A gdzie duszko klucze od pieniędzy?

— U mnie! krótko i sucho odpowiedziała żona. Tej odpowiedzi takie towarzyszyło wejrzenie, że Bartek osłupiał. — A! a! wybąknął, ja myślałem —

— Jak będziemy potrzebowali, mówiła dalej Franka, to się poradzimy i dam.

— Poradzimy się! poradzimy! powtórzył kiwając głową Bartek. Ja bo dotąd tylko siebie samego, a czasem snu się radziłem.

— Naturalnie, bo mnie nic było. Teraz będziesz się ranie radził, przemówiła żona.

— Naturalnie! zagadał głupiejac Żmudzin.

— A jakże.

W oczach i mowie Franki malowała się taka moc charakteru, pomimo słodyczy i wdzięku jej wzroku w wyrazie całej twarzy rozlana, że Bartek dopiero postrzegł, iż sobie panią kupił.

— Oj! czemu to mnie panna tego wprzód nie powiedziała, mruknął, byłbym się jeszcze namyślił wprzód czy się żenić.

— Teraz już się nie ma co namyślać, odpowiedziała żona. Poszłam za ciebie bo rai gorąco było wyjść z tego domu, choć wiem żeś Frant, że lubisz się zakrapiać i próżnować, a pracujesz tylko gdy ci przyjdzie ochota a bardziej fantazja. Ale to się przerobi z pomocą Bożą.

— A na cóż to się przerobi? spytał Bartek coraz bardziej zdziwiony.

— Będziem oboje pracować szczerze, ciągle i zbierać.

— A, po diabłaż zbierać?

— Na przyszłość, na złą godzinę.

— A dziś?

— Dziś, choćby przycierpieć przyszło.

— Wiele Aspani lat? spytał nagle Żmudzin powstając.

— Dwudziesty pierwszy.

— Nie może być! Musisz Aspani jak koń Wrześniak pokazywać tylko na tyle, ale mieć daleko więcej.

Franka się uśmiechnęła.

— Będziesz miał dostatek w domu, gospodynią, pomoc, ale trzeba statkować.

— Całe życie statkuję, bo nie mogę inaczej.

— I zapomnieć o Justysi. — Aspani o niej lichy szepnęło ?

— Nie, ludzie na wczorajszych przenosinach. Zapomnieć o hulance, gorzałeczce i włóczęgach.

— Za pozwoleniem, rzekł Bartek, któremu się w oczach ćmiło, bo swobodę i włóczęgę nade wszystko cenił. Ja sfiksuję z waćpanią. A co to ma znaczyć?

— Ma znaczyć, że Waćpan ze mną żartów nie myśl stroić. Sam nic masz rozumu, to będziesz mnie słuchał.

— Ja nie mam już i rozumu! nie mam rozumu! nie mam rozumu! A! a! Żmudzin chwycił się za głowę i wyskoczył z izby. — Jezu! Jezu! co ja zrobił! co ja najlepszego zrobiłem! Otom wlaź! a co to będzie za rok, za dwa, kiedy dziś takie лихо. — O źle! trzeba radzić.

Chciał zaraz ująć z domu dla szukania rady po świecie, ale świeża, młoda twarzyczka żony ułatwiła zgodę i uległość do czasu. Choć Bartek skrobał się w głowę często i chodził dumać pod płoty kamienne; kluczy od kuferka o które się starał, przypocholebiał, których śpiegował, macał po kątach, szukał po nocach, żadnym sposobem dostać nie mógł.

— Wyszedłem na dudka!! rzekł jednego ranka po miesiącu pożycia i drapnął rano do 00. Kapucynów do O. Gwardyana na poradę.

— Czy znowu po wapno ? spytał starzec śmiejąc się, czy po należne ogórki?

— Aj! aj! gorzej Ojczye wielebny, po radę, po radę, bom wlaź w biedę po uszy.

— No, cóż ci się stało? piec się obalił?

— Żebyż piec się był obalił! — Ale Ojczye Dobrodzieju — wilczysko się ożeniło, uszy opuściło.

— O o o o, doprawdy! A cóż to, Waść się tak zawiódł na żonie?

— Uchowaj Boże! Takem się dobrze ożenił, tak wyśmienicie, tak doskonale, że aż nadto. — Cóż to tam, zanadto? Pan Bóg dał moje przychówek przed czasem?

— Uchowaj Boże! To cnota sama!!

— Cóż stara i brzydka jak się Waść rozpatrzył? spytał kapucyn.

— Lat dwadzieścia, świeża jak jagoda, a śliczna gdyby anioł.

— Nie mieszaj waść aniołów do tego, więc uboga?

— Oj nic! Dla mnie to nawet i bardzo bogata i nadto.

— Chyba głupia zbyt, włos długi a rozum krótki ?

— Żebyż to, Dobrodzieju, ja był na taką trafił! Ale w tem sęk, że nadto rozumna!

— Źłe się wiedzie?

— A źle, bo mnie chce gwałtem za nos wodzić.

— Cóż *to*, ona Waszeci na złe naprowadza?

— Zapewne nie na dobre. Chce żebym od rana do nocy pracował i co gorzej żebym w domu siedział.

— O!... Gwardyan począł się śmiać tak serdecznie, że się aż za brzuch i boki z kolei podtrzymywał.

— Wielebny Ojciec się śmieje, a wiadomo, że gdzie ogon rządzi... Jak to może być żeby kobieta miała w domu być głową?

— To nie daj jej być głową i rządzić.

— A kiedy nie mogę.

— Widać kochanku żeś słabszy. Zdajże się na wolę Bożą. A kiedy cię żona do niczego złego nie prowadzi, podziękuj jeszcze.

— Ja myślałem Ojciec że mi co poradzi!

— Naprzykład, cóżeś mógł myśleć, że ja ci poradzę!

— Myślałem, że Ojciec jej to rządziszestwo z głowy wybić zechce. Jabym ją tu przywiódł. Bo to nawet bezbożna rzecz kobiecie chcieć rej prowadzić i prym brać przed mężczyzną. Wszak to wiadomo, Ojcie Dobrodzieju, że Ewa jak się poczęła rządzić w raj, tak tem swoim gospodarstwem cały ród ludzki zgubiła. — To prawda, rzekł kapucyn, ale to złe dawno zostało zmazane, a Waść nie do rzeczy pismo cytujesz.

Bartek poskrobał się w głowę.

— No cóż mi Ojciec Dobrodziej radzi?

— Słuchaj póki na dobre, a gdyby uchowaj Boże do złego cię namawiała oprzyj się; jesteś głową domu, masz prawo.

— Ja jej to ciągle powtarzam, że głową domu, ale cóż! ona się śmieje z tego. I co jeszcze? Ma kilkaset złotych posagu, a jak mi Bóg miły grosza jeszcze z nich nie widziałem, pieniędzy z kufra nie puszcza a mnie każe iść pracować, zarabiać. Chciałem być na odpuszcie, na mszy świętej, nie dała mi

nie na odwilżenie się i posiłek, opuściłem odpust. Ot i grzech. Gotowa duszę moję zgubić. To kryminal.

Ojciec Gwardyan odprawił Bartka naśmiawszy się z niego i rzekł zamykając drzwi celi: Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma. Bartek poszedł do Justysi na poradę i spotkawszy się z nią w rynku rozpowiedział jej swoją przygodę. Justysia pokiwała głową jakby mówiła:

— Podwójnie żałuję teraz, żeś się ze mną nie ożenił! A potem:

— Wiesz co Bartku ? wybierzno się w drogę a na długo. Udaj gniew, powiedz, że ją chcesz porzucić. Zobaczysz jak ci zmięknie. Oddalno się tylko na jaki czas z domu.

— A pan Tomasz? rzekł Bartek zafrasowany.

— Już on do was nie zajrzy.

— Ej! kto to wie! pewny jestem, że czeka tylko aby ja z domu.

I jakby co go ukłuło szarpnął z miasteczka wprost do domu, ale szpiegując żonę zaszedł od lasu. U płotu stał właśnie koń pana Tomasza i pies leżał przy koniu.

— Ot! nie darmo mnie coś piknęło! rzekł w duchu. Podślucham co robią. I podkraść się powoli pod okno. Franka śpiewała głośno, pan Tomasz mruczał. Jedno było za stołem, drugie na ławic daleko.

— Źle! rzekł Bartek, odsunęli się od siebie. Może mnie się spodziewają, to musi być udanie!

Ale próżno zaczywszy się stał pod oknem, nic nie posłyszał ani się dowiedział, krom że Franka żadnych ofiar przyjąć nie chciała.

Ale to Herod baba! rzekł w duchu, niczem jej przełamać nic można! Szalony charakter. I wszedł do chaty z nienacka.

— A, pan Wielmożny tu! zawołał niby z podziwieniem.

— Od dwóch godzin czeka na ciebie, odparła Franka, chce ci dać robotę w drugiej wiosce swojej, którą niedawno okupił.

— Tak! tak! a Wielmożny pan będzie tymczasem mojej chałupy pilnował! O! nic z tego.

— Ja bez ciebie się obejdę i sama sobie dam radę, pogardliwie odpowiedziała kobieta. Pan Tomasz zgodził się o jakąś wcale niepotrzebną robotę i mrużąc odjechał. Bartek tymczasem zaraz po jego odjeździe, nauczony od Justysi, odegrał z żoną scenę przygotowaną. Ona zniosła ją jakby się do tego przygotowała wcześniej i powiedziała na

końcu:

— A chcesz iść! to idź sobie z Bogiem! Szczęśliwej drogi panie Bartłomieju!

Bartek do żywego obrażony poszedł, włączył się po odpustach, pił, podglądał wieczorami ukradkiem pod chatę na żonę, ale nic do czego by się mógł przyczepić nie wypatrzył. Franka wzięła sobie dziewczynkę z miasta i starego dziada pijaka najęła za stróża, krzątała się około gospodarstwa, szyła, śpiewała. Widząc, że gniew i odda lenie nic nie pomaga Bartek powrócił. Żona spytała go, co do domu przyniósł?

Bartek odrzekł dumnie: — Brzuch próżny! A gdybym co i miał to do mnie tylko należy — rozumiesz Jejmość. — Nie, Bartku, odpowiedziała powolnie Franka, co moje to wspólne i co twoje to wspólne. Ale nie dla tego aby stracić lecz żeby zbierać. Już też i czas o tem pomyśleć, bo wkrótce pan Bóg nam da dziecko.

Zwyczajem swoim Żmudzin poskrobał się w głowę, ale nie znalazłszy języka w gębie zamilkł. Urodzenie syna rozdobruchało go nieco, zjednoczyło małżeństwo i ustaliło władzę żony. Franka w niczem nieposzlakowana, pracowita, zawsze wesoła i spokojna, odważna za dwoje, co dzień piękniejszy objawiała charakter, zgłupia frant Bartek nie umiał się na nim poznać, ani go ocenić. Dla niego żona nakazująca pracować, oszczędzać, była nieznośną. Uciekał więc jak najczęściej z domu i niechętnie do niego powracał. Wkrótce dał Bóg i więcej dzieci, a matka sama prawie wychowywała je jak mogła. Żmudzin bowiem ze swych wędrówek rzadko jaki grosz przyniósł; tracąc co miał na hulki, na pijatykę, dalej dalej w lata idąc, często walał się opity po szynkach i gościńcach. Charakter jego z wiekiem nie zmienił się, ale uległ naturalnie prawu powszechnemu wzrostu, rozwinięcia. Ceniony jako dowcipniś, wesoły gamrat, umiał zaczmucić wybornie, zręcznie grosz wyłudzić, pochlebić, pokłonić się, słabość ludzką wymacać i z niej skorzystać bezwstydnie. Grosz łatwo nabyty nigdy też go się nie pottrzymał, bo go przepił lub z równą łatwością jak sam wyrwał komuś, dawał wydrzeć sobie. Nadzwyczaj nabożny i nie opuszczając żadnego odpustu, uroczystości, nabożeństwa solennego, zawsze się w końcu upijał, a czasem i pobił. Po pijanym marzyły mu się dziwy w mózgu rozpalonym, które wytrzeźwiony opowiadał jako istotne wypadki, widzenia, extazy, zjawiska i t. p. najpewniejszy będąc, że miał je przed sobą najrzeczywiście.

Opowiadał naprzykład, że raz ukazał mu się Ś. Antoni grożąc palcem na nosie, za to, że dziewięciu wtorków (nowenny) nie odpościł, że go w drodze szatani całą noc wodzili pod postacią strzelców, zawiedli do jakiejś chałupy, upoili, dali pieniędzy na drogę, lecz gdy się przebudził nazajutrz znalazł się w głębokiej puszczy, z której salwował się modlitwą, a w kieszeni pełno osikowych trzasek i czegoś gorszego jeszcze. Inną razą szatan, osobisty nieprzyjaciel jego, miał go do żony i dzieci na swój dworek, stojący na trzęsawisku, przez grobelkę z kości ludzkich zaprowadzić. Tam szatanica, bardzo piękna kobiecina, koniecznie go spokusić chciała, ale on jej w oczy plunął i przeżegnał, wszystko w chwili znikło, a Bartek wyrzucony w powietrze, padł w sadzawkę p. Burdy. Szczęściem rybak tonącego odratował. Ile razy spotkał go kto pijanym, zawsze oszołomienie i nieprzytomność swoją składał na szatańskie figle i prześladowanie doznane. Bredni tych niewyczerpanych lud słuchał z uwagą i wiarą. Miewał Żmudzin i sny prorocze, umiał zgadywać zguby i kradzieże, leczyć febry i robaki bydło napadające karteczkami jakimiś, krwotoki zamawiał skutecznie, ale zawsze z nabożeństwem jakimś lub znakami świętymi.

Malarstwo zwłaszcza, że nie wiele miał praktyki, bardzo mu się podobało i ostatecznie na niem poprzestał. A że pokostować nie zawsze było co, począł więc odważnie choć *invita Minerva*

malować poczarwane chorągwie z trupiami głowy, obrazy wotalne i t. p. do cerkwi i kościółków wiejskich. Skutkiem kilku prób podobnych wziął się za artystę i zdumiał we troje. Nie zniżał się już chyba rzadko do pokostowania, krom krzyżów naddrożnych, które przez nabożeństwo, spotkawszy na drodze nucąc koronkę na wpół pijany często, zapalczywie obmazywał czarno, zielono lub żółto, wedle zapasu podróznego. Co się tycze jego obrazów, trzebaby się przenieść w owe wieki pierwiastkowe, po których na całej kuli ziemskiej pozostały nieforemne postacie, trzebaby owe roboty poprzedzające historią malarstwa zobaczyć, aby z nich wyobrażenie powziąć o pracach Bartka Rugpiutisa. Przypadek był mu jedynym mistrzem, ręka jechała po płótnie w nadziei, że z nieforemnych rysów coś się przecie skleci. W ogólności ręce jego figur dla wygody bywały długie po kolana, twarze przeciągłe, nogi laskowate i cienkie, oczy po chińsku ku skroniom zwrócone w kątach, nosy grubawe, usta zaś dwojakie: dla kobiet małe i malinowe, dla mężczyzn szerokie i czerwone. W nosach Bartka nie było wielkiej różnorodności, znał ich tylko podobno trzy gatunki: nos orli długi, nos zadarty (którego używał dla Judasza i łotrów) i nos kształtu kaczego wygięty i wystający na przód. Oczy malowały się różnie: wzniesione w niebo, spuszczone w ziemię i patrzące wprost. Oko z profilu widziane, malował Bartek dobrodusznie. całkowitem i pełnem; utrzymując, że ono tak dalece odmienić się nie może, żeby aż trójkąt robiło. Suknie i draperye mocno kolorowane w cieniach, a blade w miejscach oświeconych, składały się tak dziwnie, że prawdziwie warte były zastanowienia. W ogólności wypukłości ciemno, a zagłębienia robiły się najpowszechniej jasno. Z czasem nabywszy wprawę Rugpiutis, potworzył na swój użytek więcej typów, które powtarzał nieskończenie. Kolorowane sztychy roznoszone przez Węgrów, wielką mu w studiach jego bywały pomocą. Największym obrazem jego ręki było Ukrzyżowanie ofiarowane do blizkiego kościołka w Chorochorowie, gdzie je przyjęto wdzięcznie; Kapucyni bowiem zawieszenia go odmówili. Na niebie czarnem jak atrament malowały się postacie białe jak płótno, długie, chude i połamane. W oddaleniu piorun leciał na Jeruzalem. Na wierzchu głównego krzyża był kogutek blaszany zwyczajem naddrożnych figur, naiwnie posadzony tu przez Rugpiutisa. Jego ofiara Abrahama z podpisem: *Ne utnesz Abrahame Izaaka*, znana jest tak powszechnie wszystkim u nas amatorom malarstwa krajowego, że jej opisywać nie widzimy potrzeby, powiemy tylko dla przypomnienia tego arcy-dzieła, że Abraham zabiera się strzelać z pistoletu do syna, gdyby nie Anioł który wielce dowcipnie wystrzał niepodobnym czyni, trafiłby niechybnie Patryarcha, tak dobrze wycelowaną broń artysta przedstawił. Rugpiutis podniosłszy się do malarstwa obrazów kościelnych, tak spyszniał, zdumiał i poczuł wielkim, że całym już począł pogardzać światem.

Wyłysiał też od myśli i pijaństwa, co mu nadawało wyraz poważniejszy, zwiększając małe z natury czoło.

Jejmość rządziła zawsze domem, ale malarz wędrowny, większą część życia spędzający na pielgrzymkach fantastycznych, uchylał się z pod jej władzy i unikając jej milczkiem przeciwko exystencji protestował nie tylko przeciw nadużyciom. W domu milczący był i gniewny, ale hamując się potrafił przyzwoicie obchodzić. Najsrożej gniewał się na żonę za to, że nie mógł do niej za nic się przyczepić, że postępowanie jej było nieposzlakowane i nie dawało powodów nawet do najmniejszego podejrzenia. Rugpiutis cierpiał zawsze obwiniony, nigdy obwinić nie mogąc. To mu życie truło.

— Żeby to choć jakiegokolwiek głupstwo zrobiła! powiedział. Ale nie. Już to takie moje szczęście!

Tak płynęły lata małżeństwu naszemu. Pan Bóg dał im syna i dwie córki, które wychowywały się pod okiem Franki, pomimo bowiem czułości jaką okazywał im ojciec, nałóg włości i pijaństwa nie dozwalał mu nigdy długo na miejscu usiedzieć. Osamotniony w domu zaczynał ziewać, nu- dzić się, mrużyć, gderać, gniewać, i rozdaśany chwycił za kij, ruszał do miasteczka, potem dalej a dalej gdzie oczy poniosły. Od dworu do dworu wszędzie znajomy, wszędzie witany dla swej wesołości i rozlicznych talentów kabalisty, wróżbita, artysty i plotkarza, choćby roboty żadnej nie było zatrzymywany, traktowany, częstowany starką, przyjmowany po karczmach piwem i miodem; musiał się rozwłóczyć. Sąsiedztwo przywykło do niego, jak do roznosiciela plotek, wieści, do gaduły wesołego i dowcipnisia. To gubiło Bartka podsycając jego próżniactwo i dumę. Żmudzin doskonale wiedział gdzie wstąpić jako malarz, gdzie jako pobożny pielgrzym, pełen widzeń i snów cudownych człowiek. Żona płakała widząc jak nic nie przybywa krom dzieci, kilka razy próbowała pytać go o ich przyszłość.

— Przyszłość, moja pani, mówił Bartek na to — przyszłość przed niemi. Pójdą w świat i po wszystkim. Jak sobie pościelą tak się wyśpią.

A matka płakała.

Na starość Bartek stawał się coraz obojętniejszym dla domu i rzadszym w nim gościem. Widzenia cudowne, sny prorocze, podróże pijaka, w których najłatwiej mógł nałogowi się swemu poddawać, coraz częstsze się stawały. Wracał kiedy niekiedy, pijany, z nóg się waląc, a nie dostawszy wódki w domu, bo tej nigdy w Brzozowym ługu nie bywało, ruszał nazajutrz dalej, malując przez nabożeństwo drewniane krzyże po drodze. Stare podnosił, pochylone podpierał, obmyte od deszczu piększył; nie zanedbując u spodli zapisać: *B. R. restaurował*. Jak wielu ludzi co źle robiąc myślą, że czemś maleńkiem dobrem, wszystkie winy zapłacą, malarz może w duchu tłumaczył sobie, że za te krzyże Bóg mu jego grzechy odpuści. Śmierć tego wielce oryginalnego człowieka, była też niepospolicie dziwnym zdarzeniem.

W sąsiedztwo zjechał był na jakiś czas, dla polowania niby, z Warszawy Kasztellanic Trąbski; człowiek młody jeszcze, wychowany na dworze Augusta III; wielkiego upodobania w sztukach, wykształconego smaku i dziwnie samowolnego charakteru. Kasztellanic nasz, napatrzywszy się na obrazy i dzieła sztuki w zbiorach Augustów i naśladowcy ich Brühla, nietylko pojmował sztukę w sposób właściwy wiekowi, wedle przepisów *Lairress'a* i *Mengs'a*, ale kochał ją namiętnie. Przybywszy na wieś znalazł kraj swój (pierwszy raz oddawna go oglądał) tak po większej części prozaicznym, tak we wszystkim, co zrobił w nim człowiek, nie pięknym; iż go to zdziwiło, zasmuciło, potem zniecierpliwiło i zniechęciło do niego. Trąbski z wielu względów miał słuszność: gdziekolwiek bowiem człowiek u nas co zbudował, zasadził, przemienił, zdaje się, że myślał tylko jakby kraj swój zeszpecił. Najmniejsze nawet instynktowe uczucie piękna, nie przewodniczyło czynności. Piękne prawdziwie położenia leżały dzikim odłogiem (i dziś jeszcze po większej części tak zostały); inne widocznie zbrzydzone i zepsute były lub najnieszczęśliwiej wybrane. Kasztellanic spodziewał się szwajcarskich Szaletów, domków niemieckich, a zastał chaty podobne do indyjskich wigwamów, płoty wysokie, rowy błotniste i budowy podobniejsze do stosów drew niż do pomieszkali ludzi. Nigdzie nie odzywało się to boskie uczucie piękności, które żyje w człowieku, ale się nie łatwo rozwija na północy. Cóż dopiero mówić o ludziach! Kasztellanic co zachwycał się lazzaronami neapolitańskimi, zawsze zdaje się gotowemi służyć za wzór malarzowi, odwracał oczy

z niesmakiem od naszych łachmanami nieszlachetnymi okrytych kobiet i mężczyzn, którzy zwłaszcza zimą, chodzili jak ożywione bezkształtne bryły bielizny i futer, podobni Eskimosom. Czasem tylko na tem tle szarem krajobraz podobny do widoku klasztoru Kapucynów, piękny i tem piękniejszy, że się go już zdesperowany podróżny nie spodziewał; wpadał mu w oko nagle. Ale ten sam pejzaż psuły blizkie sznury chat wieśniaczych swą niekształtnością, brudotą, zaniedbaniem, świadczące wymownie o stanie chłopka, niemającego ani upodobania w życiu, ani myśli o jutrze, ani wiary w przyszłości, ani uczucia żądy podniesienia się ku wyższym a przeciw dostępnym gdzieindziej dla jemu równych, ideom. Zmuszony przepędzić czas jakiś na wsi pod pozorem zabawy, a w istocie z powodu wypadku politycznego do którego wmieszany, musiał na jakiś czas ze stolicy i oczów się usunąć, Kasztellanic śmiertelnie się nudził. Szukał rozrywki i myślał o niej tylko jako warunku życia. Dwór, który objął po ojcu nazywany Troba (po litewsku izba, budowa) chociaż nie w kraju języka litewskiego dzisiaj położony, pochodzeniem nazwy świadczył jak inne sąsiednie, że i tu się dawniej rozciągała litewszczyzna. Był to stary folwark wzniesiony z pruskiego muru, o wysokim dwupiętrowym dachu i ogromnym ganku. Zrujnowanie i malowniczość (wedle dzisiejszego wyrażenia) tej budowy, ogromne, stare, otaczające ją olchy i blizki staw, przypominające razem pejzaż jaki Breughla, zjednały łaski Kasztellanica. Zamieszkał tu bez wstępu, ale dla zabawy zajął się upiększeniem okolicy, o której dotąd nikt nie pomyślał, aby była piękną, prócz Boga. W tej porze właśnie ozdoby zwane *rustykami*, z drzewa, nieobranego z kory, wchodziły w modę bardzo. Zastawiano ogrody niezliczoną ilością chatek, świątynek nawet, mostków, skał (właściwiej skałek) i rozlicznych pięknotek, których myśli zapożyczano u chińskich ogródków. Kasztellanie coś podobnego przedsięwziął zrobić u siebie. Około domu zasadzono kwiaty, zrzucano stare otaczające budowle, oczyszczono zarosłe brzegi stawu; a bociany na starych olszach podobno dla tego tylko miały pozwolenie pozostać, że na sławnym — jedynym pejzażu Rubensa, gniazdo ich się znajduje. Na rzeczce zrucano most-rustyk; postawiono chatę rybaczą w tymże smaku dla łabędzi, obwieszoną sieciami i kłómlami dla ozdoby; dalej wzniosła się świątynka rustyk i t. d. i t. d. Na przeciwnej stronie stawu nad drogą, stała między dwoma massami olch starych i wyniosłych, odwieczna połamana figura Ś. Jana, Kasztellanic chciał ją bez ceremonii kazać wyrzucić, ale mu to jakoś odradzono, bo lud pobożny uważał ją za opiekuńczą i byłby nie zniósł świętokradztwa popełnionego dla fantazyi pańskiej. Chcąc się przeciw pozbyć nieforemnego posągu i niezgrabniejszej jeszcze okrywającej go kapliczki, wystawił Kasztel-

lanie gotycką lekką, nową, a pod nią umieścił sprowadzonego z za granicy kamiennego Ś. Jana — wcale niezły, chociaż trochę manierowany posąg.

Ludzie uwielbiali pobożność dziedzica i w imię jej wiele mu darowali dawniej nieprzebaczonych dziwactw.

Kapliczka była biała i kamiennego koloru, posąg naturalnej barwy kamienia także. Dawniej Ś. Jan tę miał wyższość w oczach wszystkich, że był polychromem, (*vulgo* pomalowanym kolorowo).

Po za figurą szła droga z Zasiszek na Nowy Dwór do Brzozowego Ługu wiodąca. Wracający tędy raz i trochę podпиты Bartek, nad wieczór jakoś trafił na nową figurę.

— Cud! zawołał, nowa! dalibóg nowa! i wcale piękna! To tylko bieda, że fundator poskapił kosztu na pomalowanie, boby była daleko piękniejsza jeszcze. Niechże się wstydzi, bo mu ją muszę pomalować, jakim Rugpiutis. Prawda, że farb wyjdzie

na to nic mało; ale na cześć i chwałę Bożą, na pamięć Ś. Spowiednika nie pożałuję.

To mówiąc złożył manatki na trawie, rozsiadł się, dobył farb z tłómczka, nauczywszy się niedawno nosić je z sobą w pęcherzykach, dostał deszczułki gruszkowej, pęzlów i wdrapawszy się za żelazną kratę otaczającą posąg, wziął się seryo do Ś. Męczennika Pragskiego. Twarz błysła rumieńcem, oczy zaczerniły zezowato, bródka stała się widoczną, birecik okrył czoło, stuła, suknia i popielicowy płaszczyk i komża, właściwemi kolorami *oddane* (styl Rugpiutisa) zostały. Rugpiutis uśmiechał się do siebie i mruzczał pod nosem:

— Oto się zadziwią! oto się zdumieją poczciwe ludziska! a! a! zaraz powiedzą, szedł tedy Rugpiutis.

Robota zbliżała się do końca, a Żmudzin już się nią rozkoszował, gdy tentent koni i krzyk dały się słyszeć. Kasztellanic w rozpaczy dostrzegłszy zdaleka roboty fatalnej, leciał galopem w passyi, w gniewie, zajadły tak, że z początku słowa wyrzec nie mógł.

— Co robisz łotrze! zawołał, co robisz zbójco! rozbójniku! Co robisz!

Bartek odwrócił się nie rozumiejąc o co chodziło. W głowie mu się pomieścić nie mogło, za co go tak apostrofowano.

— Łotrze! łotrze! powtórzył nareszcie odwracając się swobodnie. Co to jest? Za co ten krzyk? Maluję na chwałę Bożą! A pan czego się tak gniewa?

— Kto cię prosił o malowanie, zbójco!

— Zbójco? Co to jest? jak żyję nie słyszałem podobnej mowy do siebie!

— Kto ci pozwolił?

— Kto pozwolił! Albo się *to* potrzeba starać o pozwolenie żeby figurę pomalować? Ja od lat dwunastu wszystkie krzyże i figury po drogach na chwałę Bożą i dla odkupienia grzechów maluję. Bartek przyłożył pęzel znowu do figury, ale kasztellanic zbliżając się zawołał z impetem:

— Porzuć to i uciekaj głupcze, bo cię każę oćwiczyć.

— Oćwiczyć! mnie! mnie!

— Idź! mówię ci idź! jeśli po uszach ober wać nie chcesz.

Bartek począł się lękać o siebie, ale dotąd nie mógł zrozumieć o co chodziło. Zebrał pęzle i farby i milcząc przełazi powoli przez kratę rzucając wzrokiem pogardy na dziedzica.

— Zmywać! ścierać, szorować! zawołał kasztellanic w rozpaczy. Ten łotr obrzydził mi posąg wybornej roboty i takiego efektu. A! sto łóz za taką sprawkę byłoby mało. Na galery! na galery! (kasztellanic wychowany za granicą myślał dobrodusznie, że w Polsce były galery).

— Co to jemu jest ? spytał Bartek ludzi po cichu. Czy nie oszalał wasz pan?

— Idź mi z oczu! idź rai z oczu! zakrzyczał w tej chwili kasztellanic, zamierzając się pejczem, który trzymał w ręku.

— Mój panie, odparł prostując się dumnie Żmudzin, jeśli nie dla chwały Bożej tylko dla swojej fantazyi jakiejś stawisz figury, mniejsza o to, choć się gubisz na duszy, ale co do mnie ja miałem prawo malować, jak baby mają prawo wieszać fartuszki na krzyżach. To moja ofiara.

Nie dosłuchawszy tych słów kasztellanic zniecierpliwiony podniósł pejcz i kropnął nim Żmudzina. Bartek zdumiały, oburzył się, wzdrygnął, zczerwienił, chciał coś mówić jeszcze, wyprężył tylko konwulsyjnie, i padł bez ducha.

Zmieniła się scena i wszyscy od Ś. Jana pobiegli do leżącego Bartka, ganiąc milczeniem wymownem popędliwość i niewyrozumiałość kasztellanica. Puszczono natychmiast krew uderzonemu krwi przystępem do głowy, lecz pomimo największe staranie, pomimo troskliwą pieczę samego winowajcy, sprowadzenie doktorów, śmierć już zapewne przygotowana nadużyciem trunków, w kilka tygodni przyszła zakończyć prace i kłopoty Bartka Rugpiutisa.

Kasztellanic srodze wyrzucając ją sobie i dręcząc jej wspomnieniem, z największą troskliwością postanowił zająć się losem wdowy i dzieci. Pogrzebł wspaniale kosztem swoim Bartka na kapucyńskim cmentarzu; parę tysięcy złotych przyobiecał wdowie, procent od nich zaliczywszy zaraz; pomyślał nareszcie i o dzieciach.

Franka, która jak większa część prawdziwie pięknych kobiet zatrzymała długo piękność swoją, czarnemi hiszpańskimi oczyma ujęła za serce kasztellanica. Oddawna nic ludzkiego w tym kraju nie widząc, poruszył się pan Trąbski wejrzeniem jej, pełnem nieodgadnionych tajemnic. Lecz wdowa przyjmowała go poważnie, zimno, surowo, a kto wie czy ta дума smutna nie przyczyniła się jeszcze do rozdrażnienia młodego znudzonego łatwemi miłości człowieka?

Często wieczorami kasztellanic przyjeżdżał do Brzozowego-ługu; ale odjeżdżał smutny, zamyślony i pomieszany. Nie mógł zrozumieć tej kobiety, do której przystąpić śmiało nie miał odwagi. Dzieci tylko szczebiotaniem go witały, bo im przywoził zabawki i podarki; ona zimnem wejrzeniem i wywachowanemi słowy.

Starszy syn Bartka, Jan, miał już lat około dwunastu, podobny do matki, piękny jak aniołek Albana, jak dzieciątko Guida z czarnemi oczyma wielkimi, podłużną twarzą, ciemnym włosom, biały i zaledwie rumieńcem lekkim niekiedy ożywiający się, był ulubieńcem kasztellanica. Matka także najlepiej podobno z dzieci go kochała, chociaż to przy wiązanie tajone, ledwie się czasem mimowolnie objawiło. Kasztellanic długo karmiąc nadzieję podobania się wdowie, wreszcie zawiedziony, zamiast mścić się i opuścić ją, powziął dla niej jakiś czułości pełen szacunek. Nie przestał bywać w chacie Rugpiutisa, a Franka widząc, że się zrzekł dawnych myśli, przyjmowała go z wdzięcznością pełną jednak jakiegoś uczucia własnej godności, nigdy jej nicopuszczającego. Piękny był ranek, gdy jadący z chartami kasztellanic mimo dworku nieboszczyka Bartka, zastanowił się u wrót dla powitania gospodyni. Sądząc, że ją gdzie koło domu zobaczy wspiał się na strzemionach, ale pusty dziedziniec zmierzył okiem ciekawem. Jaś tylko jeden za płotem kamiennym

siedział nieruchomy i na płaskim szarym głazie upadłym z ogrodzenia, rysował coś kredą białą. Stare psisko podwórzowe z miną głęboko zamyśloną siedziało koło chłopczyka i zdawało się wpatrywać w niego, czy w dziecinną jego robotę; kasztellanic ciekawie się zastanowił po cichu. Przypomniał mu się młody Angelo Bondone (Giotto) rysujący owieczki swej trzody; uznał w tem oznakę talentu widząc dziecię tak pilnie zajęte rysunkiem; myśl mu przebiegła po głowie zrobić z niego malarza, jak Cimabue z Giotta.

— Jasiu! zawołał po chwili, dobry dzień waszeci. Co to robisz ?

Pies i dziecko razem głowy podnieśli, a uśmiech i rumieniec na pięknej wykwitły twarzyczce. Stary Rozbój ogonem pokiwał i na płot spiąwszy się radośnie szczeknął.

— Co robisz? powtórzył pan z uśmiechem.

— Co? maluję! odpowiedziało dziecko poważnie i powoli powstając.

— Cóż malujesz?

— Obłoki! odparł Jaś. Ale tatulo mój ładniej malował bo farbami. Ja ich nie mam tylko białą mażę po kamieniu. Jak nie ma co robić, całe godziny się tu bawię. — Chciałżebyś, rzekł kasztellanic, lepiej od tatula twego malować? Chciałbyś się uczyć?

— To nie dla mnie, odpowiedziało smutnie dziecko. Matunia co dzień powiada, że czas mi pójść służyć a na chleb pracować. Kto się uczy ten nie zarabia.

— Jabym ci pomógł gdybyś miał ochotę. Jaś wyskoczył na płot rzesko, oczy mu się zaiskrzyły, obejrzał się i rzekł po cichu ze strachem prawie. A matula?

— Matka się na to zgodzi, bo to chleb piękny i więcej coś niż chleb jeszcze, sława, imię. —

Dziecię nie zrozumiało wcale, ostatnich słów kasztellanica.

— Jakto? zawołał Jaś żywo, jabym umiał doprawdy malować i ludzi i obłoki i lasy i niebo cudowne i wszystko co Bóg tak prześlicznie stworzył. A panie! nie żartuj! nie żartuj! serce mi bije.

— Nie żartuję mój Jasiu, ale wprzód potrzeba ci się pójść nauczyć czytać, pisać.

— Czytać umiem, pisać piszę, ale bardzo brzydtko.

— A maszże ochotę uczyć się?

— O! gdyby tylko można, takbym był szczęśliwy!

Kasztellanic schylił się do dziecka, które uderzył parę razy po zarumienionej twarzyczce, potem zawrócił konia we wrota dziedzińca. Franka ukazała się właśnie na progu.

Po przywitaniu, usiadłszy na ławie ręką Kartka wystruganej, kazawszy podać sobie mleka, młody protektor począł mówić z matką o Jasiu. Jaś przysłuchiwał się niespokojny z za drzwi.

— A co moja Jejmość, rzekł, wartoby pomyśleć co o Janie?

— Gdyby można, odparła wzdychając wdowa, gdyby można! Dawno go myślę gdzie oddać, ale boję się żeby się nie popsuł i żal mi stracić go z oczów. — Znalazłem go właśnie teraz rysującego coś na kamyku. Ma ochotę, mógłby może wyjść na malarza, jabym mu pomógł.

— A! panie! Tyle tylko odpowiedziała kobieta i łzy jej stanęły w oczach. —

— Pomyślimy o tem, rzekł kasztellanic schylając głowę, pomyślim i postaramy się.

Nie było sposobu umieszczenia chłopca dla nauki malarstwa inaczej jak w Wilnie, gdzie kasztellanic polecił wyszukać malarza, u któregooby początków rysunku Jaś mógł się nauczyć. Ale nie łatwo o to naówczas było w Wilnie. Wprawdzie i tam powolnie budziło się już zamiłowanie sztuki: znajdowali się ludzie co tworzyli Gucewiczów, co skupowali obrazy i okrywali niemi ściany swych pałacyków; ale nie było nauczycieli malarstwa ani kursu przy akademii. Kilku bazgraczy, portrecistów, kopijstów, składali cały zasób artystyczny miasta Wilna. Trochę na los wywieźdawszy się o nich kasztellanic więcej podobno na ucznia niż na mistrzów rachując (bo nadewszystko w talent wrodzony wierzył), pierwszemu z brzegu niejakiemu Szyrko, posłał swojego wychowanka.

Jaś spłakawszy się przy pożegnaniu, upadłszy do nóg kasztellanica, który mu woreczek wcisnął do ręki, oblany łzami matki, wyściskany od dwóch siostrzyczek, na żydowskiej furze, puścił się w pierwszą podróż życia.

Któż opowie wrażenia tych dni kilku tak zupełnie nowych dla niego?

Jan, gorących ale głęboko tajonych uczuć, wyobraźni żywej, pełen szlachetności, którą mu matka wpoila, nabożny, bo go od dzieciństwa otaczało nabożeństwo, należał w tej porze życia do dzieci naiwnych; czujących więcej niżeli myślących, rozkoszujących się światem więcej niż usiłujących go badać. Dwojakie bowiem bywają zwykle dzieci. Dzieci co się z siebie samych i ze swego dzieciństwa śmieją w niem jeszcze żyjąc, co szydzą ze wszystkiego i wszystko przyjmują jak przypomnienie, jak coś dawno znanego i po śnie długim powitanego znowu; i dzieci naiwne (do nich to Jan należał) dla których wszystko zachwyceniem, pięknnością, wielkiem i wspaniałem, które nie wyuczą się ironii i szyderstwa chyba zgwałcone i przymuszone cierpieniem i zawodami długimi. Dziecię nasze było już ślicznem chłopięciem, jakim malują Ś. Jana Chrzciciela na pustyni, białe ale ogorzałe, czarnookie, z tem łzawem spojrzeniem uczuciowym ludziom właściwem; zamyślające się często i na długo, gotowe do łez nawet wśród śmiechu i wesela.

Duma, matczyna spuścizna, już mu się odzywała w piersi; a ta duma czyniła go pokornym. Tak jest: prawdziwie dumni ludzie chowają się z dumą swoją, okrywają płaszczem pokory, aby nie dać się ranić w to, co mają najboleśniejszego. Głupcy tylko dumni, swój skarb, dumę noszą na głowie, pokazują ustawicznie i dają na cel ciosom wszystkich.

Dla Jasia, który nad miasteczko, kościół Kapucynów, ogród kapucyński, Zasiszki, Nowy-Dwór i

Trochę, mało co znalazł więcej — świat wydał się ogromny i wspaniały. Dotąd zdawało mu się może, że niebo zapadające sinemi zasłony za widnokrąg, gdzieś niedaleko nieprzebite stawi zapory; teraz pierwszy raz poczęło mu wszystko uciekać z przed oczów, wyciągnął się świat, przedłużyła ziemia i zarysowała nieskończoność.

Coraz nowe przedmioty ściągały jego uwagę nienasyconą, nie mógł spać, żal mu było szybkiej jazdy. Nieznane kwiaty, nowych postaci drzewa, dziwne wód zakręty, wyrwy nad rzek brzegami, szerokie złociste drogi, ludzie w takiej liczbie i coraz tak odmienni; kamyczki nawet chrupiące pod kołami: wszystko go zachwycało. Ptastwo, którego śpiewu dotąd nie słyszał, chaty jakich nie widział, kościoły białe z przysa-

dzistemi wieżami, gaje przezroczyte z brzóz białych stojące nad wodami jak płaczliwe narzeczone nad grobem, zda się przybiegłe i zdrzewniałe od żalu, dziwnych nieznanych myśli napędzały mu do głowy. Co chwila chciał uprosić żyda aby stanął, pozwolił mu patrzeć, ale Izraelita, który chłopca miał za trochę postrzelonego, odwracał się na niewyraźne pytanie milczący, ruszał tylko ramiony i popędzał konie. Był najpewniejszy, że wiezie biednego do szpitala waryatów.

Tak przecie dojechali do Wilna. Tu go już czekał pan Szyrko. Przypatrzmy się zblizka nauczycielowi jakiego los wyswatał dla Jana, nim znowu do ucznia powrócimy.

Pan Szyrko, człowiek lat około pięćdziesięciu, był sobie bazgraczem jednym z najpospolitszych; typem malarza jakich i dziś u nas mnóstwo się znajdzie jeszcze. Trochę nabytej zręczności, trochę szczęścia i trochę szyderskiej protekcji Biskupa Mas-salskiego wywiodły go na dostojność artysty. Trzymał się na tem stanowisku jak mógł. Spojrzawszy nań już się po nim wielkich rzeczy spodziewać nic było można. Mały, gruby, otyły z siwym włosem w harcapf ujętym, po niemiecku ubrany, w szaraczkowym zwykle na przednich kłapkach zatabaczonym fraku, białej pomarszczonej kamizelce, z żabotem przepiętym szpilką nazywającą się złotą, w białych niegdy pończochach i trzewikach z klamrami stalowymi; miał minę wesołą, radą sobie a uroczyście głupią.

Ten wyraz głupstwa w oczach bladych, spłowiałych i ustach uśmiechem wykręconych, i w nosie trochę zadartym a jak u zwejnosa rozbitym w końcu na dwoje, i w brodzie przeciętej rowem, i w mince bez powodu czasem dumnej niby lub zamyślanej głęboko; dobitnie się malował. Cały Boży świat żartował sobie z Szyrka, który pomimo to nigdy się nie opatrzył, iż był szy-derstwa celem, że zawsze i wszędzie drwiono sobie z niego. Dla niższych nieco był nielitościwie grubiański, srogi, a tem sroższy, że głupi, nie wiedział więc gdzie i z kim jak mu być należało.

Kiedy czasem ukazał się na publicznej przechadzce z laski} o gałce kościanej, z pudlem faworytem misternie wystrzyżonym na lewka i pełnij satysfakcyi miną; wszyscy spotykający odwracali się patrzeć na niego i uśmiechali z zadowolenia, tak wybornie był śmieszny. Znajomsi zatrzymywali go częstując tabaczką i poddrwiwali rozmawiając. On wszystko co go spotykało brał dobrodusznie za wyborną monetę, za dowody życzliwości i przyjaźni powszechnej. Utrzymywał nawet czasem, że mało było ludzi równie kochanych i powszechnie lubionych, mało kto mógł się poszczycić taką jak on liczbą przyjaciół. Miał się w duszy za człowieka pełnego przymiotów towarzyskich, za zjadacza serc. W stosunkach *zplcią* jeszcze naówczas zwaną *piękną*, pan Athanazyusz (takie nosił imię umyślnie na *usz* zakończone) był tej wyszukanej grzeczności francuzkiej, śmiesznej i przesadzonej, której przykłady pozostały nam jeszcze w niedobitkach XVIII

wieku z siwymi włosy grających rolę młodzików i prawiących komplementa niezgrabne a propos kataru, upadłej chustki lub rozlanego sosu. Niegdyś Athanazyusz miał się za pięknego, pod starość podejrzewał siebie, że jeszcze mógłby być niebezpiecznym; miał sobie niejako za święty obowiązek smalić cholewki do wszystkich *dam* (sam zwał się z cudzoziemską kawalerem Athanazyuszem) i jakby się wyuczył historyjki miłości na obrazkach sielankowych XVIII wieku, często pasterki i pasterzy Arkadyjskich wspominać lubił w rozmowie z płcią *nadobną*. Mowa jego z niższymi grubiańska, z kobietami w lepszym towarzystwie była napuszczoną, pełną słów niepotrzebnych, ponapychanych w niesłychanej ilości, czczą myśli, rozwlekłą i ciągle na szczytach wzniesioną. Najmniej zrozumiałe a najwięcej dźwięczące wyrazy, były mu najulubieńsze: kilka ich ukochawszy szczególnie co chwila je powtarzał potrzebnie czy nie. Uczciwym był zresztą człowiekiem jak ci wszyscy co otwarcie złego nic nie robią; głupi może być kiedy całkiem uczciwym, gdy na czym polega uczciwość zrozumieć nie jest w stanie, a uczucia mu braknie?

Jak wyszedł Szyrko na malarza? zabawna historia. Zmłodu mazał on wprawdzie dla kawałka chleba poczarne obrazy do wiejskich cerkwi i kościołków, chorągwie i t. p. potem wziął się do malowania pokojów. Biskup Massalski (a raczej jego plenipotent) polecił mu malowanie domu mającego czasowie być mieszkaniem księcia. Szyrko dzieła tego wszakże sam dokonać nie czując się w stanie, przybrał do porady i pomocy jakiegoś starego Niemca, co na tym chlebie zjadł zęby. Zarozumiałość malarza tak śmieszyła księdza Biskupa, że ją począł podsycać wmawiając mu aby się starał *większe dzieła* przedsiębrać. Szyrko posłuszny, rozmarzony począł zuchwale rysować, malować i biskupiami pochwałami ludziom oczy mydlić. Biskup pękał od śmiechu, kupował roboty, pokazywał przyjaciołom te twory nieuprawnego talentu, a tymczasem Szyrko doprawdy trochę się poduczył. W końcu nabywszy przy innych malarzach mechanizmu, którego głupcy zawsze najlepiej nabyć mogą, kontentując się robotą portretów i kopiami dosyć wiernymi, a często po chińsku nawet plamy wzoru odtwarzającymi; Szyrko pomieścił się w rzędzie malarzy. Głośno o tem zawsze mówił, że go ksiądz Biskup protegował i bardzo się tem przechwalał. W istocie krom zupełnie nieznanających się, wszyscy śmieli się z Szyrka; a tłum za to miał go może w dobrej wierze za wielkiego artystę. Biskup i jego otaczający, gdy Szyrko przyniósł obraz z jakiego sztychu bardzo znanego zrobiony i pokolorowany niezgrabnie, mieli upodobanie unosić się nad kompozycją. On przyjmował wszelkie pochwały dobrodusznie, dumnie prawie, z uśmiechem udającym skromność, której wszakże potrzebę wywyższając się rozumiał. W sobie nieraz jednak zmuszony był powtarzać:

— Ktoś z nas dwóch musi być głupi, ale to pewna, że nie ja.

Szyrko miał roboty w mieście, portretował stare baby i otyłych panów burmistrzów, kupców i bogatych mieszczan pragnących potomności podać nos czerwony lub obwisłe policzki. Czasem trafiało mu się, że zamawiano obraz do jakiego wiejskiego kościoła. Naówczas szukał sztychu w thece lub obrazu podobnej treści i najbezwstydniej przemalowywał *mutatis mutandis*; ale śmiało, ale z taką pewnością, iż przysięgłbyś, że był pewien exystencyi muskułu lub żyły gdzie je zuchwale oznaczał, chociaż anatomik byłby to przyjął z podziwieniem za wcale nowy wynalazek. Trafiały się tak osobliwsze ręce i tak dziwne skurcze u pana Szyrko, że ksiądz Biskup wielki znawca, cały dzień śmiał się do łez, stojąc przed obrazem. Gdybyż Massalski umiał się być całe życie kontentować tą niewinną zabawką!

Jaś, jak widzicie, nie wiele mógł się od takiego mistrza nauczyć. Szyrko który pierwszy raz w

życiu miał ucznia, trzy dni spodziewając się go chodził po mieście i nieznacznie się tym wielkim wypadkiem w życiu przechwalał.

— Wiesz panie Mieleski, muszę się śpieszyć do domu, co chwila spodziewam się ucznia, którego mi przysyłają z prowincyi. Chłopiec pełen nadziei, protegowany przez Kasztellanica Trąbskiego, który słysząc o mnie...

Dalej kupując tabakę w sklepie: — Dzień dobry pani Matjasowa, proszę prędszej o tabaczkę, bo się śpieszę. Otwieram szkołę malarstwa: dziś mi uczeń przybywa, zdaleka, z prowincyi, protegowany etc.

Potem spotkawszy się z kim znowu:

— Cha! cha! wie pan, nowa praca! nowe trudy.

— Nowy obraz ?

— A! gdzie tam! Uczeń mi przybywa z prowincyi. Co chwila go wyglądam. Protegowany Kasztellanica, który słysząc o mnie etc.

Całe więc miasto wiedziało o wielkim wypadku, jeszcze przed przybyciem Jasia. Szyrko seryo wieczorami zamyślał się czego i jak uczyć będzie. Nic lepiej nie maluje człowieka nad te rozmysły pierwszy raz z potrzeby wylęgle.

— Czego ja go uczyć będę? Jak? Oczewiście trzeba mu dać coś rysować. Uchowaj tylko Boże przez okno! Tego potrzeba surowo pilnować. Naprzód będzie rysował ze sztychu, potem z natury, potem farby trzeć go nauczę; a nareście jak postąpi i malować. Najważniejsze to mieszanie farb i trzymanie pędzla, rysunek jako tako zawsze się znaleźć musi, tyle ich po świecie! Co się tycze natury, ta tylko dawnym początkowym malarzom była potrzebna; teraz weszła już w sztukę ile jej się może zmieścić i pod panowaniem jest naszym. Co nie zmieściło się, tem gorzej dla natury i musi zostać na stronie. Znamy teraz naturę na palcach i możemy się wybornie obejść bez żywych wzorów. Wzięliśmy dla siebie co było do wzięcia, a z reszty kwita. Tak, najważniejszy cień a farba. Przecież trzeba mu będzie dać co rysować: pożyczę sztychów u Batraniego, niech się pastelem, kredą i tuszownikiem z niemi mierzy tymczasem. Ja sam nic rysowałem prawie nic, a przecież wyszedłem na malarza. Biskup mówi zawsze: Przeniuchałeś waszeć, że koloryt to grunt! a ksiądz Biskup zawsze ma racją, któżby ją miał, gdyby nie on? Tak bo jest, tak jest! ostatni nawet mój obraz do łez go rozczulił, powtarzał ciągle: — Co za expressya! jaki wyraz! udawał tylko, że się śmieje (dla *decorum*), ale widziałem łzy w oczach.

Gdy Athanazyusz duma tak, Jaś nareście nadjechał.

Szyrko, który nigdy w życiu ani się uczył ani nauczał, poczuł się nagle mistrzem dostawszy ucznia, i zacząć postanowił od wielkiej srogości, usiłując naprzód natchnąć chłopca zbawiennym strachem. Strach, rzekł w duszy kawaler Athanazyusz, uczy, naprawia, zniewala i wszelkiego dobrego jest początkiem. A zatem pocznijmy od niego. Ukazał się więc Janowi nauczyciel w postaci zatabaczonej karykatury Jowisza Olimpijskiego. Spojrzenia, gesta, rady tak śmieszną były przybrane powagą, że

patrząc na nie obcy, polegali od śmiechu. Jasia dziwił wielce ten mistrz o którym z góry miał najwspanialsze wyobrażenie. Z początku uwierzył w niego zupełnie, ale prędko naturalny rozsądek wskazał mu nicość człowieka, który dla dziecka nawet nie potrafił ukryć potężnej głupoty swojej, na wszystkie strony wylewającej się jak z dziurawego naczynia próżno drutem umocowanego. W przekonaniu, że się czegoś nauczy, Jaś postanowił słuchać i pracować. Nie wiele może ufał mistrzowi, ale więcej rachował na wzory i wprawę samą. Zdrowy rozsądek dziecka powiedział mu, że pracą dochodzi się wszystkiego, że żadna nie jest bez korzyści. Szyrko zaś sam nie wiele umiając, a prócz mechanicznej wprawy i pewnej jednostajnej manieri żadnej myśli i tajemnicy w sztuce nieumiejący się domacać, psuł raczej niż poprawiał i prowadził ucznia. Dla niego jeszcze sztuka ograniczała się rzemiosłem.

Życie mistrza było jednym z najprozaiczniejszych w świecie. Obrał on sobie mieszkanie za Ostrą Bramą w jednym z tych domów świeżych, niezamieszkanych, ledwie przeschłych, i przez to samo że nowych, nielitościwie nagich i nudnych. Wszędzie gdzie noga stąpiła, zdawała się pierwsza zdobywać miejsce. W naturze, utworze Boga, pustynia jest zachwycającą i rozkoszną; w dziele ludzkim dziewiczość ta przez brak wspomnień staje się nagością zimną i smutną. Dzieło człowieka potrzebuje może postarzyć aby wypięknąć i z otaczającym się światem złąć w jedność. Ogromne izby okrutnie białe, nagie, wilgotne, przerażały swą niczem niesplamioną nowością, niezamieszkaniem. W jednej z nich umyślnie przyrządzonej na malarnię pracował Szyrko za trójnogiem. W niej theka jego wiecznie okradanych sztychów i zatabaczona chustka leżały z paletą na jednym krześle, pod którym stała butelka z piwem i oblepła szklanka. Jakby na przekór nowości pomieszkania meble przeniesione były doń z domu starego, połamane i brudne. Tu się jeszcze bardziej zużyte wydawały. Kilka obrazów lichych a jaskrawych wisiały, w różnych epokach dojrzałości talent malarza ukazując po ścianach: jedne podmazane, drugie poprawione trochę, inne wylizane do obrzydliwości jak porcelanowe kwiatki. Kilka starych płócien ciemnych, jak wielkie plamy, rozkładały się krzywo i niedbale powieszane na świeżo potynkowanych ścianach. Kurz i pajęczyny przybyły z niemi z dawnego mieszkania. Łóżeczko mizerne, wyduszone, którego pasy obwisłe przybrały formy ciała zawsze na nich jednostajnie spoczywającego, poduszka skórzana stłuszczona od głowy, miska do umywania, dzban od wody, trochę odzienia i kufer, dopełniały obrazu tej izby. Pierwsza, w której się farby tarły, zarzucona gałgankami i bibułą od wycierania palet wyrzucaną, pełna butelek z pokostem i werniksem, flaszek z olejem, odartych płócien, kamieni nieczystych i słoików, w których ugry czyszczono; była mieszkaniem Jasia i Maćka chłopaka do posługi, jednego z tych miejskich uliczników odartusów, co w latach piętnastu umiejają się zepsuć jakby przeżyli pięćdziesiąt.

Pan Szyrko jadał w pobliskiej garkuchni, a sługa Marcyanna u lokatorów na dole mieszkająca, prała mu bieliznę i gotowała kawę. Tłusta, czerwona i wesoła ta Maritorna w wielkich była łaskach u malarza, któren się z nią nie spotkał, żeby jej nie wyściskał. Nie zdawała się ona wcale odstręczać tem, ani gniewać za natręctwo z jego strony; odchodziła fartuch trzymając u gęby, śmiejąc się i poprawiając włosów, że aż na dole piosnkę jej i śmiech często słyhać było. Maciek, wisus w całym znaczeniu tego wyrazu, okradał pana, płatał figle wszystkim, umiał się wyłgać i wylizać z każdej psiej sztuczki swojej, latał po nocach ale doskonale udawał zaspanego choć ledwie się na swem barłogu wyciągnął. Był to istny narzeczony szubienicy. '

Pan Szyrko, jakeśmy wyżej mówili, malował najczęściej portrety, rzadziej obrazy kościelne i t. p.

Ale wcale nie wiele w ogólności miał zajęcia, a że płatny był też skromnie, nie wiadomo jak się utrzymywał i czy zbierał co na starość. Miano go przecież za człowieka wcale rządowego i zamożnego, chociaż tajemnicy kufierka i starej szkatułki nikt nie wiedział. Życie jego, prócz wieczora, widne było jak na dłoni. Wieczorem wychodził, ale Maciek nawet mający własny w wyśpiegowaniu interes, nie wiedział dokąd i po co, powracał czasem o północy, czasem później lub nad rankiem, wesół, śpiewający, albo wściekle gniewny i rozjadły. Niekiedy rzucał laskę w jedną, kapelusz w drugą stronę i nieruchomy padał na swoje łóżysko; czasem znowu otwierał kuferek, coś w nim składał i zamykał. Maciek jeszcze był nic nie wyszpiegował, ale się wielu rzeczy domyślał; Maritorna kręciła głową nie wiedząc jak sobie te peryodyczne zaćmienia tłumaczyć.

Wielka ta przecież tajemnica, tłumaczyła się namiętności!}, która u nas w Polsce w XVIII wieku dopiero weszła w obyczaje i nałóg powszechny. Szyrko był namiętnym graczem. Przed panowaniem Sasów a nadewszystko Stanisława Augusta, gracza może szukać potrzeba było między szującą próżniaczą i zepsutą hałastrą. Wyjątkiem byli dworscy o których ksiądz Skarga w kazaniach wspomina, że grywali z królem w Prymirę i to uważano za grzech i występki wielki. Dopiero, gdy ta okropna, chorobliwa obojętność na przyszłość pół kraju w zimnem dusiła objęciu, gdy szła zabawa, rozkoszy, rozpusty, użycia, zawrzał w sercach zepsutych i gra zjawiała się w pierwszych salonach Warszawy, jak nieodstępna towarzyszka zepsucia obyczajów powszechnego, jako na- rządzie częstokroć, które zręcznie użyte zyskiwało ludzi lub ogałając ich z pieniędzy, przedajnymi czyniło. Pan podskarbi koronny, potem Wal... i, pierwszymi byli namiętnymi i graczami z professyi w Polsce. Ta igraszka wyższych klas zapożyczona od tłumu i namiętnie panująca próżniakom a ludziom zesłałym, wysilonym, co w niej szukali wrażeń nie mogąc innych doświadczyć; od panów znowu zesła stopniami do niższych, i aż do przedpokojów. Czegóż u nas nie naśladować gdy tylko możni przykład dadzą? Zdaje się nawet, że gdyby panowie uwzięli się dawać przykłady cnoty, bezinteresowności, pokory i pracowitości, i toby może starano się małpować. Rzecz warta próby. Dość, że gra jak kropla połknięta ustami, rozlała się w krew całego człowieka, narodu. Jak zwykle przyszła ona zabawić na śmiertelnym wyciągniętym łożu! W Wilnie także gra panowała podówczas i po pałacach i po smrodliwych domostwach gdzie sterani ludzie ogrywali łatwociernych a namiętnych głupców. Pan Szyrko był dla tych przemyślnych rycerzy wyborną *krówką*, jeśli się godzi użyć tego wyrażenia. Wydajali z niego co tylko miał, a on z metodycznością maszyny ciągnął się do nich co wieczór ze zwykłym swoim podatkiem. Wstydział się jednak namiętności i dla tego grał tylko tam gdzie myślał, że go nikt nie zna (choć doskonale wiedziano, kto i co zaczął być). Po solennej przegranej brał się do roboty podsycając wenę butelką piwa stojącą zawsze pod krzesłem.

Jaś pracował w pierwszej izbie. Ale jakże to była praca?

Nakazano mu wielkie dość mizerne sztychy kopiować czarną kredą i starannie wycieniowywać, wykropkować, wylizywać, aby robota była o ile możności *jak sztych*. Sztych to najczęściej zdradzieckie tłumaczenie obrazu, tę stenografią myśli (czasem) uważano jeszcze wówczas za najwyższy prawie szczebel doskonałości w sztuce. I nie sztych Rembrandta złożony z poplątanych misternie nici pajęczych, nie zamazyste ryciny Callota lub naszego Gdańszczyzny Falcka, nie sztych Dürera lub Marc-Antonio it. p. ale niedorzeczne, twarde, bezimienne jakieś blachy bez wartości, w których sensu, myśli i eksekucji nawet mechanicznej coby linie pojąć dała, brakło. Szyrko zachwycał się gdy sztrychy szły regularnie i krzyżowały się dając w pośrodku miejsce posadzonym punkcikom. Na to zwracał uwagę gdy mu uczeń przynosił robotę. Tak się biedny Jaś uczył. Ale ani pan Szyrko,

ani niedorzeczne wzorki jego, nie potrafiły zepsuć, zniszczyć tego uczucia idealnej piękności, które natura dała Jasiowi. Na widok kalekich ciał, spoczwarzonych postaci na sztychu, wzdrygał się czując instynktowie ich brzydkość, oswoić się z nimi nie mógł; przeciwnie inne, w których myśl błyszczała formami uroczemi wydana z śmiałością mistrzom tylko właściwą; całował, zamyślał się nad nimi i płakał. Dwa zapalczywe sztychy stare z Leonarda da Vinci, dwie przepyszne a pełne prostoty kompozycje Rubensa (co rzadka bo grzeszy przesadą i zbytkiem nic umiając się w karcach utrzymać), kilka wspaniałych postaci wysokiego stylu N. Poussin'a, jakby nowy świat odkryły oczom ucznia: poczuł, że się tu niczego nie nauczy, ale posłuszny przeznaczeniu cierpiał i pracował. Opisać wam to życie? — niepodobna.

Szyrko był w obejściu się z uczniem ostry, bez przyczyny często srogi, chwalił też bez powodu: nic nie wiedząc co robił, szedł na oślep zupełnie. Szczęściem miał u siebie dla fanfaronady dwa niezgorsze gipsy całych postaci z posągów dawnych, jedno niezłe *ecorché* (muskulatura) i parę głów. Te ukradkiem w chwilach odpoczynku, sam nie wiedząc dla czego, próbował kopiować uczeń. Ale Szyrko gdy te roboty ujrzał, tak się gniewem zapalił, że podarł arkusze i wyrzucił za okno. Wiedział on, że inni uczą się tym sposobem, ale sam nie umiając rysunku, może przez zazdrość niewytłumaczoną, uczniowi go dać nie chciał. Jaś przecie gipsy owe choć na tablicy z różnych stron przerysowywał. Tak upłynął rok jeden; tak dwa prawie jednostajnie przeszły. Wiele chwil sam na sam z nagiemi ściany przepędzał Jaś, ale książek mu nie brakło, bo w izbie w której siadywał, były ich dwa kufry wielkie, razem z innemi gratami w kącie przez Szyrkę rzucone i nigdy nawet niezamykane. Z foliantów drogich wydzierano niemiłosiernie karty dla ścierania palet jeśli były bibulaste.

W tych to kufrach, prawdziwej puszczy Pandory, leżała cała przyszłość Jasia. Znalazł w nich pokarm, ale jak zwierzątko nieumiejące rozłamać łupiny, długo się trudził nim dostał do ziarna. Umiął wprawdzie czytać, a z pomocą polskiego języka podczytał się łaciny, której pocziwe a litośne dziecko ubogie stojące w tejże kamienicy nabyć mu dopomagało. Student ten przyjaciel Jana, którego towarzysze i Jan potem spoufaliwszy się nazywał Orzeszkiem, pokochał Jana. Był sierotą, a sieroty szukają serca jak ubodzy chleba. Przyjaźń ich cicha, kryjoma, zawiązała się silna i na życie całe, jak zwykle związki młodzieńcze najtrwalsze ze wszystkich. Jaś i on pędzili na galerji pustej otaczającej dom wewnątrz długie godziny na rozmowie i wzajemnej nauce.

Powiedzieć, wyrachować ile kosztowała Jana każda nabyta wiadomość, trudno. Któż z tych co się sami uczyli, nie pojmie tego? Uczto razy zadumać się trzeba było nad wyrazem tajemniczym, nad pojęciem nieznanem i przeskoczyć je westchnieniem i nadzieją, że się jutro wytłumaczy! Ileż potu, ile znoju, ile cierpliwości anielskiej i dobrej woli! Dwie owe skrzynie pełne były grammatyk, dykcyonarzy, ksiąg historycznych, encyklopedyj naiwnych jakie pisywano w XV i XVI wieku, pobożnych i ascetycznych dzieł, ksiąg o medycynie popularnej i t. p. Zdaje się, że anioł stróż wybrał je tam i położył dla Jana, dla którego były skarbem, pociechą, rozkoszą. Stary kanonik, jeden z najdziwniejszych skąpców jakimi się naówczas pochlubić mogło Wilno, w spadku jedynym zostawił je synowcowi malarzowi. Więcej nic po nim nie wziął kawaler Athanazyusz, bo pieniądze zakopał tak, że ich ani synowiec ani kapituła w kamienicy zajmowanej przez niego lat dwadzieścia pięć znaleźć nie mogli. Jedyny więc ten spadek po kanoniku, który składały dwie stare sutanny, brewiarz tłusty i lichtarz, przekazał prawemu dziedzicowi; — księgi te poszły na korzyść obcemu zupełnie. Dwa lata grzebał się w nich Jan tajemnie, dwa lata uczył się na nich i czytał. Wielkie

zdolności dopełniały mu czego w książkach brakło, co tylko Indzie, towarzystwo i ustny wykład dać mogą. One wiązały te książę głosy tak często sprzeczne, tak niezgodne z sobą, tak dziwnie się sprzeczące i wykrzywające jak dwie kamienne maski u drzwi starego domu.

Wszakże nauka, wiadomości i pojęcia, których nabrał Jan walcząc z tysiącem zawał, nosiły cechę książkowego pochodzenia swego. Pojmował on świat jak pojmują ci co tylko w książkach widzieli życie, w sposób całkiem idealny. Wszystko tajemne, przechodzące, przypadkowe, znikome, brudne, co się w dawnych księgach nie mieściło, nie rachowało dawniej w bycie (choć tak wielką gra w nim rolę), pozostało obcem

Janowi. Świat więc wyobrażał on sobie dalszym ciągiem historii Greckiej i Rzymskiej, sceną bohaterów, igrzyskiem fatalności heroicznej, łożyskiem olbrzymiem, teatrem wielkich bojów i wielkich zwycięstw. Komedia życia pozostała mu nieznaną, tajną, niepojętą; tragedią tylko, epos i kawałki dramatu wyczytał w księgach.

Dla dziecka któremu groziła przyszłość bez opieki, takie pojęcie świata było wielką klęską, było zatajeniem wszystkich przepaści i zasadzek. Wiara w *dobre* była w nim główną, o złem wiedział, ale o złem co chodzi, jak bywało w literaturze, jawnie, widocznie, dające się palcem namacać, z czołem napiętnowanym hańbą i sromotą, z tablicą na plecach wskazującą, *oto złe*. Dla niego złe uosabiało się w postaciach Anytusa, Melitusa i Lykona na Pnyxie Ateńskim, stającym w obec ludu tysięcznego z zaskarżeniem boskiego Sokrata. O złem co się kryje, farbuje, co się przysięga że jest cnotą, i za rękę ściska i z rozczulenia płakać umie, zapewniając o szczerych swych uczuciach, — ani miał wyobrażenia. Złe piękne i powabne, złe szatanem siły pełnym i ukradzionego wdzięku, — było ma zakryte. Wielkie dziejowe postacie odmalowane naiwnie, jak je dawniej umiano przedstawiać, unosiły go. Klaskał w dłonie olbrzymom i czasem podnosił głowy mówiąc w duszy: — Ja im zrównam!

Księgi ascetyczne, które czytał z dobrą wiarą i nabożnem wiejskiem sercem, dodały mu zapału, wprawiły do uniesień, kazały się co chwila spodziewać cudu, utwierdziły w pocieszającym przekonaniu o związku nieustannym Opatrzności z człowiekiem, któren tak silnie wpływa na ulepszenie opuszczonych zkał inąd. Zył w świecie z jednej strony olbrzymów, z drugiej świętych i męczenników, a w oczach jego gnili Sokrates, Themistokles, Aristydy i Epaminondasy przy Ś. Antonim, Ś. Józefie i kolosalnych postaciach dwunastu Apostołów, ubogich wielkiego Boga posłańców, których jak dwanaście ziarn piasku wybrał z tłumu dla pokazania potęgi swojej, aby utwierdził *nowinę*, którą nieśli, samem przyjęciem jej z ust nieuków i maluczkich, — otwartych cudem widocznym. I świetna cywilizacya Rzymu, padła od dźwięku słów rybaków, wieśniaków, celników, jak niegdyś mury Jerycho od trąb odgłosu. Jan zachwycał się wspaniałym obrazem historii Chrześcijaństwa. Jestże w istocie co wspanialszego i cudowniejszego ?

Takie były dwa lata życia u pana Szyrko. Jaś wyrósł i dojrzewał zawcześnie, szybko, jak dzika a pełna siły latorośl. Przez te dwa lata dwa razy tylko miał listy od matki jej ręką pisane i przesłane za okazyą ze słabym zasiłkiem do Wilna. Kasztellanicowi Szyrko posłał owe kopie ze sztychów z nadpisem: *owoce wdzięczności*; on zapłacił za nie podziękowaniem, zachętą i wyliczeniem w porze należnej pensyjki za utrzymanie i lekcye.

Wszystkie pieniądze szły do rąk pana Szyrko, który je w swym tajemniczym domku na Trockiej (a

wówczas zwanej Sena- torską jeszcze) ulicy przegrywał; nie troszcząc się o potrzeby chłopięcia wcale. Ubóstwo Janka było wielkie, ale dla niego znośne bo lepszego bytu nie zaznał; widząc go zaś u drugich umiał w poczciwem sercu nie zazdrościć. Chciwy tylko nauki pożerał ją, żył nią. Wielkie postacie idealne historii starożytnej, śniły mu się na jawie; marzyły we snach. Surowy kawałek chleba czasem zwilżony zlewkami jadła, owej Maritorny z dołu, zgodzonej o stół dla Maćka i dla ucznia, powietrze przedmieścia, przechadzka za miasto, wystarczały chłopcu umięjącemu już wzgardzić dumnie najsrozszą boleścią i nędzą. Uczucie to w dzisiejszych czasach coraz bajeczniejszym się staje. Wytarte odzienie stare, którego mistrz nie łątał nawet choć na nowe grosz miał dany, wystarczały mu — duszę ubierał, a o resztę nie dbał.

Trzeci rok nauki począł się; było to na wiosnę, Janek i Orzeszek siedzieli na galeryi razem i rozprawiali, jak dzieci co dziećmi już być przestają, o najważniejszych rzeczach w świecie, mierząc się z niemi nie siłami ale żądzą ich poznania. Dzwony kościołów odzywały się w dali, pana Szyrko nie było w domu, Maciek uciekł urwisować na ulicy, a śpiew chrapliwy Maritorny, rozlegał się po wilgotnych dolnych mieszkaniach fałszywy, cierpki, bez wdzięku. W ulicy skrzypiały koła bryk ładownych, wlokących się do miasta. Nagle głos malarza czyli jak go tam zwano pospolicie kawalera Athanazyusza, suchy jak dźwięk grzechotki stróża nocnego odezwał się w dole, rozległ potem dobitnie nawołując:

— Jan! Jan ! Janek! ..

Jaś wybiegł naprzeciw.

— Gdzie byłeś?

— Tu na galeryi.

— Czemu nie w stancyi ?

— Ciemno już.

— A klucz? — Oto jest.

— Daj go i bywaj zdrów.

— Jakto? spytał chłopiec nie mogąc zrozumieć nagłego pożegnania..

— Tak to, — żeś powinien w rękę mnie pocałować i ruszać do licha.

— Ja? ale cóżem winien?

— Winienesz, — za kwartał utrzymania.

— Spodziewam się, że JW. Kasztelanic...

— Wieczne mu odpocznienie! rzekł obojętnie malarz. — Nie zapłaci, bo umarł.

Jaś schwycony nagle tą wiadomością rozplakał się tak bardzo, że musiał się oprzeć o ścianę aby nie upaść. W oczach mu się zaćmiło, nie wiedział co począć z sobą. W jednej chwili przemknęło mu się przed oczyma duszy jego, sieroctwo całe. Matka uboga, daleko, tak daleko! więcej już nikogo! Wrócić do matki było to poświęcić przyszłość, w którą dla niej, więcej niż dla siebie samego, miał ufność. — Odwagi! odwagi! cierpliwości! rzekł sam do siebie i podniósł głowę z niejaką dumą, czując, że już tylko o swej sile pozostał. Malarz patrzył na niego kręcąc kluczem we drzwiach.

— Panie, rzekł Jaś, wypędzisz-że mnie, nie dając mi nawet przenocować?

Kawaler Athanazyusz nic zrazu nie odpowiedział, potem szepnął jakby zawstydzony: — Przenocuj sobie, ale trzymać darmo w mieście i uczyć darmo nie mogę. To mnie tyle czasu kosztuje! I utrzymanie! nie, nie mogę! Jutro zaraz pomyśl o sobie. Ja nie jestem w stanie biednych wspierać; sam pracuję na kawałek chleba. Znajdź sobie sposób do życia.

Jaś nic nie rzekł więcej; a gdy artysta wchodził do swego mieszkania, chłopiec wysunął się ze łzami w galeryą gdzie się spodziewał znaleźć towarzysza przyjaciela, z którymby się boleścią i myślami o przyszłości podzielił. — Adamie! Adamie! Adamie! zawołał zdaleka.

Student żywo wyścibił głowę przez okienko.

— Czego chcesz Janie?

— A nieszczęście!

— Nieszczęście! cóż to się stało?

I wybiegł na galeryą. Mówże, mów a prędzej.

— Mój opiekun umarł, nie mam nikogo. Jedną ubogą matkę, opuszczoną jak ja. Co ona poradzi, co ja? Jutro każe mi się ztąd wybierać malarz, nie wiem co począć z sobą, głowa mi się zawraca.

— Masz choć trochę pieniędzy?

— Trochę, nie wiele przysłanych od matki, ale to zaledwie na dni kilka wystarczyć może. Gdybym chciał wrócić do swoich, nie będę miał nawet o czem, chyba za jałmużną. A! radź, mów, co mara począć?

Adam się zamyślił i rękę załamał. — Nic wiem, nie wiem. Czekaaj, jutro, pomyślemy o tem, trzeba ci coś poradzić. Znajdziemy ci może jakie miejsce.

— Miejsce sługi! wolałbym wyrobnika, przerwał Jan. Wyrobnik sprzedaje tylko pracę swoją, sługa całego siebie.

— O! stokroć prawda! ale mamyż do wyboru? Co poczniemy?

— Tylu jest malarzy w Wilnie, może mnie który choć do tarcia farb przyjąć zechce.

— O! większa ich część, tną sobie farby sami, rzekł Adam, tak są biedni. Żaden inaczej uczniów nic przyjmuje jak za opłatą.

— Ale jaby pracował dla niego ?

— Cóż ty umiesz!

— Prawda! nie! nie! rzekł smutnie spuszczać głowę Jan. To okropnie! pójdę więc do domu. To mówiąc usiadł nieprzytomny pod ścianą, podparł się na rękę i zapłakał gorzko. Lepsza przyszłość zamarzyła mu się chwilę, teraz spadał z wysokości nadziei do życia znoju i ubóstwa. Sny piękne, które roił dla matki, siostr, dla siebie, dotknięciem jednym w popiół się zmieniły. Wszystko się skończyło, trzeba było powracać, powracać nieukiem i pracować jak ojciec i zginąć może jak on, zszargać się jak on. Nędza! nędza! ileż to ona zabija ludzi, ileż geniuszów zjada w zarodku! ileż pożera przyszłości wielkich i jasnych !

— Poczekaj, poczekaj! nie rozpaczaj jeszcze, rzekł wstrząsając nim Adam, będzie na to czas, gdy już żadnego ratunku nie stanie. Probujmy wprzód wszystkiego czego probować można. Ja trochę, zdaleka znam malarza Batraniego, byłem parę razy z jednym uczniem u niego. Albo nie, lepiej samego ucznia tego uproszę, on bogaty i łatwiej mu będzie przystąpić, bierze lekcye rysunku. Spróbujemy przez niego.

— Któż taki ten twój uczeń?

— O! złote dziecko! wyśmienity chłopiec. Znasz przecie lub przynajmniej widziałeś Wawrzyńca Szemiakę? On powie Batraniemu o tobie, on go poprosi, a w najgorszym razie rachuję na niego, że nam musi dać pieniędzy.

— Z wielkiej łaski Szyrko dziś jeszcze pozwolił mi przenocować u siebie. Wyobraź sobie, jam na jego łasce, jak ubogi pod kruchtą! Jutro koniec, jutro nie będę już miał gdzie położyć głowy ani mizernego węzełka.

— A! to od dziś przenoś się zaraz do mnie, zawołał gorąco Adam, prawda, że nawet chleba podostatkiem nie mam, abym się z tobą podzielił, ale to co mam, mieszkanie, wszystko: wspólne.

Adam jak wielu ubogich a pracowitych chłopaków żył z korrepetycyj; ale ówczesna za nie oplata była bardzo mała. Z niesłychanym trudem ucząc się sam i ucząc drugich, ledwie mógł wystarczyć na stancjkę lichą, jadło mizerne, odzienie zaś co rok odnawiane i poprawiane oszczędnie.

Adam byłby mógł żyć daleko wygodniej gdyby był chciał mieszkać z uczniami, ale rozrachowawszy korzyści materyalne ze stratami jakieby poniósł przez to, wybrał stancją, jadło, utrzymanie osobne choć najbiedniejsze. Tu był już panem siebie, panem domu, sam jeden i swobodny. Tu mógł płakać niespytany czemu, niewysztydzany, uczyć się kiedy chciał i rozrządzać kilką przynajmniej chwilami wedle myśli i żądania, nic podlegając nikomu. Izdebka Adama najęta na piętrze była prawdziwie studenckiem mieszkaniem: nikt inny w czterech tych ścianachby nie wytrzymał. Drzwiami jednemi wychodziła na galeryą; oknem małym na mur sąsiedniego domu nagi i bez okien, który nigdy słońca do mieszkania nie dopuszczał. Jedna mała izdebina ciasna całe stanowiła

mieszkanie: piec kaflowy część jej zajmował; łóżko, stoliczek, dwa stołki drewniane wyslizgane i kuferek gdzie książki razem z odzieniem w pokoju przebywały, ubierały ją. Ale pomimo ciasnoty, ubóstwa, czysto tu było i z ładem; umieciono, uporządkowano, każda rzecz na wyznaczonym sobie miejscu, nigdzie pyłu, tego szkaradnego *memento*, które posyła co chwila *zniszczenie*, przypominając nam, że nas goni, wciskającego się wszędzie, zjadającego wszystko.

Adam otworzył drzwi, a Jan ścisnął go czule za rękę.

— Nie nadużyję twego serca, rzekł mu, ale dzięki ci, że mnie ocalasz od *łaski* tego pana! O! dziękuję ci. Idę, zabieram co mam i powracam tu. Nie zabawię długo. Pomieszczę ci się w kątku u proga, na podłodze, abym ci nie był ciężarem, mnie mało potrzeba, bom nigdy wielkiego nie próbował.

I Jan zarumieniony, pobiegł chyżo do drzwi pana Szyrko, który przechadzał się szerokimi krokami po pokoju, dumając może z czem pójdzie grać na Senatorską ulicę. — Przyszedłem podziękować panu i pożegnać go, zawołał zdyszany chwytając swoje manatki.

— Co? już! dziś? w nocy? a prosiłżeś o nocleg? rzekł zdziwiony Szyrko, któren chciał się dowiedzieć, gdzie tak rychło barłóg mógł sobie znaleźć jego uczeń.

— Nie chcę wam być ciężarem, więc żegnam i idę.

Pan Szyrko nie miał całkiem złego serca, wadą jego główną było głupstwo szerokich rozmiarów; ta ucieczka nocna poruszała go trochę i łechtala zgryzotą. Wreszcie miał już nałóg widzenia tego ucznia u siebie; coś go niepokoilo widząc, że odchodzić zamyśla.

— Ale dokądże? spytał.

— Daje mi tu przyjaciel, znajomy, schronienie.

— Ale któż taki?

— Ubogi, litościwy student. — Hm! hm! wychrząknął Szyrko. A po cóż się spieszyć. Maciek wisus i łajdak o czem się co dzień przekonywam, dam mu kolaniem odprawę; z ciebie chłopak stateczny, niczego, gdybyś chciał trzeć farby i czyścić trzewiki i buty i izbę umiatać, dałbym ci miejsce Maćka.

— Dziękuję, dziękuję, rzekł Jan. Nie mogę być sługą, bo nie o sobie tylko myśleć muszę, ale o losie matki biednej i siostr przyszłości; będę szukał sposobu uczenia się i wyjścia na coś lepszego.

— A! z panem Bogiem! urażony trochę i tknięty rzekł pan Szyrko. Z panem Bogiem i krzyżyk na drogę. Ruszajże sobie, próbuj a pamiętaj, że także za początki mnie winieneś wdzięczność i za kwartał utrzymania nie opłacono. Początki! wszystko jest w dobrych początkach! powtórzył. Bądźże zdrów, rzekł do całującego w rękę Jana, bądź zdrów, a jeśli zostaniesz w Wilnie odwiedź mnie czasem i daj wiedzieć o sobie.

Jan wyszedł ocierając łzę, a Szyrko otworzył powoli kuferek i dobył kilka dukatów w pęcherz

zawiniętych, obejrzał się, zamknął i wyszedł na swoje wieczorne stanowisko. Adam czekał na towarzysza, noc już była, usiedli razem i w ciemności gadali długo, potem ze łzami w oczach Jaś ukląkł się pomodlić, i nie spodziewając snu, po cichu położył na sienniczku. Ale sen młodości, tem silniejszy im większe było dnia wzruszenie, objął go i przeniósł w mgnieniu oka do poranku wrót.

— Idę do Szemiaki, czekaj na nas, rzekł Adam. Bądź zdrów do zobaczenia i nie trać nadziei.

W myślach i sam z sobą spędził cały czas do południa przyszły nasz artysta; były już dzwony zwiastując dwunastą, gdy szybkie kroki dały się słyszeć na wschodach i głos po którym poznał Jan, że Adam nic sam powraca: otworzyły się drzwiczki. Młody chłopiec wszedł z jasną twarzą i ciekawymi czarnymi oczyma. — Dzień dobry! dzień dobry!

Adam szedł za nim wpół wesół także, ale na jego bladej i spracowanej twarzy wesołość przesuwała się jak zachodzącego słońca blaski po chmurkach, co migną i gasną, a po nich siny tylko, zimny obłok znów zostaje.

— Dobra nowina! dobra nowina! rzekł Adam: — Ot kochany Wawrzyniec był już u Batraniego. Batrani poczciwy nic odmawia ale kładzie dwa warunki: naprzód, żeby miał czas żonę uprzedzić i wymódl na niej zgodzenie się na twoje przyjęcie; powtóre, żąda abyś mu za chleb i za naukę czasem trochę w domu posłużył.

— Muszę i będę, — rzekł smutnie Jan.

— Chodź więc ze mną. Janie, zawołał Wawrzyniec, zostaw węzełek u Adama, ubierz się w co masz najlepszego i ruszajmy.

— Lepsze! to jedyne co mam, odpowiedział Jan, nie mogę go odmienić. — Idźmy więc i tak, poczekasz na mnie w ulicy, a ja pójdę wprzód oznajmić cię malarzowi.

W milczeniu zeszli ze wschodów, wysunęli się w ulicę, a Jan skłonił się i pokląkł na chwilę w Ostrej Bramie, tej świętej relikwii wiszącej na piersi miasta; powoli postępowali dalej mijając stary opalony Ratusz opiewany przez Jachimowicza, mury Jezuickie, aż do Zamkowej ulicy. Tu w jednym z kanoniczych domów stał na tyłach Batrani, zajmując obszerne dosyć mieszkanie. Był to jeden z ówczesnych lepszych malarzy, lecz skromny i okolicznościami domowemi spętany, wspomnień po sobie nie wiele zostawił.

Rodem Włoch z Florencyi, młodo wyszedł z kraju, z tem przekonaniem często cudzoziemcom właściwem, że na wschodopólnocy znajdą chleb, bogactwo, sławę, wszystko czego im w ojczyźnie braknie. Ale jak bardzo wielu, zawiódł się Girolamo Batrani. Szedł pełen nadziei i upadł w tę samą kałużę, którą mu los gotował tam jeszcze, od której uciekał z Florencji. Batrani był jednym z najlepszych uczniów ostatnich malarzy, co tradycje szkoły dawnej florenckiej zachowali. Studya jego młodości tradycyjnym szły porządkiem. Przechodził z malarni do malarni z początku chłopcem dalej uczniem; rysował z antyków, z natury, podmalowywał mniej ważne części obrazów mistrzowskich, niekiedy dawano mu wykończać akcesorya. Teorya sztuki naówczas przelewała się w rozmowach, ułamkowo udzielając, częściami, każdy ją dla siebie rozwijał i dorabiał w duchu. Ale w dodatku do niedostatecznych może mistrzowskich nauk, dawała Florencya to, czego dziś jeszcze

nic nie zastąpi gdzieindziej. Wspaniałe dzieła Michała Anioła, Rafaela, Dominiquino, Guida otaczały tu ucznia, codziennie na każdym kroku rzucając mu w oczy idealnej piękności wzory. Campanilla, Baptisterya, posągi, arcydzieła malarskie po kościołach i pałacach, freski naiwne a pełne wielkiej myśli mistrzów starych spotykał wszędzie. I lud włoski, lud co umie zawsze ukazywać się jakby siadał do malowania, co i instynktowie piękność czuje i stara się ją wyrazić sobą, otaczał artystę. Wszystko co widział było piękne, same wzory wyborne karmiły go od dzieciństwa. Od wielkich a prześlicznych proporcjami gmachów aż do dziecięcia w łachmanach wszystko jak do obrazu stworzone się zdawało. Batrani więc wyssał uczucie piękna, nauczył się rysować łatwo, nabył stylu nie wiedząc jeszcze prawie co styl, i dzieckiem miał już mechaniczną wprawę, owe narzędzie niezbędne dla wydania myśli.

Przenosząc się z malarii i do malarni choć już skarłałych Florentczyków, pozbierał różne indywidualne ich przymioty, pojmując z kolei koloryt jednego, wyraz drugiego, trzeciego uczucie linii i światła, co słowy nauczyć się nie da. Ale skromny, nieufający sobie, a z zapalem wielbiący mistrzów co wślawili czasy Medyceuszowskie tak się czuł małym, tak nieudolnym, że i drugich o nikkczemności swej przekonał i sam wolał szukać losu za granicą niż w kraju swoim, gdzie nie spodziewał się zrównać nigdy wielkim nieśmiertelnym XVI wieku, a ciągle musiał być z nimi porównywany. Wyszedł więc, ale to co mu szkodziło w ojczyźnie, szkodziło mu wszędzie: mała cena, którą do prac swych przywiązywał, lekceważenie siebie i wiecznie nie rada sobie tchórzliwość, nie dawała drugim poznać się na jego wartości. Ludzie najczęściej są łatwowierni do śmieszności, a gdy im kto powie: Jam wart nie wiele, biorą go za słowo. Mierność szumnie się przechwalająca i wskazująca każdy swój krok jako arcydzieło, zyskuje poklaski i wzięcie powszechne.

Rzadki, niepodległy i silny umysł inaczej potrafi ocenić człowieka niżeli on sam siebie ceni. Ale o to jak trudno! Batrani był zapалу pełen jak dziecię nieodrodne Południa, jak dziecię Florencji: łzy nin w oczach stawały gdy przypominał sobie owe *Bramy Raju*, owe arcydzieła, gdy zagorzały mu żywymi blaski w duszy wspomnienia dzieł Sanzia, Bartholomeo, Michała Anioła, Caraccich. Czuł on głęboko ich piękność a tak ślepo ich wielbił, iż sądził się prawie niegodnym trzymać pędzel, ze strachem, niedowierzaniem, boleścią i nieufnością, jakby zmuszony tylko brał się do roboty, porównywając ją potem w myśli, do swoich ideałów; w każdej robocie własnej tyle znajdował wad, tyle słabości i błędów, iż wreszcie odpychał ją prawie ze wzgardą lub usuwał z bolesnem westchnieniem.

Była to jedna z rzadkich dusz wzniosłych co pojmują uwielbienie i cześć jako skrzydła zbliżające nas ku *wielkiemu*, co widzą wszędzie ślady rozłuczonego *piękna*, nie rozumiejąc krytyki, nauki braków i niedostatków lub zostawiając ją tylko na użytek dla dzieł własnych; jedna z tych dusz, które męczennicami uczucia swojego, przechodzą przez świat wzgardzone, pocieszając się słodkimi wrażeniami jakie daje kontemplacja *wielkości* i *piękna*. Pobożny, łagodny, litościwy, umiejący bawić się jak dziecię, a myślący głęboko jak myśli ów sławny posąg na grobie Wawrzyńca Medyceusza, Batrani ze łzami w oku szedł życiem w ciągłym zachwycie, siebie nie wiele ceniąc i najpierwej poświęcić gotowy.

Średniego wzrostu, posiwiały, w czarnych oczach zdawał się mieć wiecznie gotowe do wylania wezbrane łzy: głęboko wpadłe źrenice pływały w nich ciągle. Wyraz ust ważkich był pełen słodczy

i uśmiechu miłego; czoło wzniosłe ale zmarszczone troskami, posiwiałą resztką miękkich włosów okryte, mogłoby za wzór było służyć snycerzowi. Nieco zgarbiony, w ruchach nieśmiały jak dziecko, bojaźliwy, mil-

czący, wzbudzał politowanie mało znany, lepiej poznany, szczere uczucie przyjaźni i przywiązania. Nikt też lepiej na nie nie zasługiwał: gotów się był poświęcić sto razy dla niewdzięcznych i słowa nie rzec zdradzony. Batrani ożenił się w Litwie, z kobietą najniższej prawie klasy, ale niezwyklej piękności. Młodszy jeszcze przybywszy do Wilna postrzegł w tłumie dziewczę, które mu Włochy przypomniało oczyma, usty i budową ciała kształtną a dziwnie czystych i idealnych linii. Marya ukochana, Maryetta Batraniego, była córką ubogich piekarzy z Zarzecza i zepsutą jak jedynaczka, samowolną, a w pączku już zatruta oddechem miasta, które starości ani dzieciństwu czystymi przetrwać nie daje.

Daleko młodsza od Włocha, który rozkochał się poczynając już siwieć, Maryetta śmiała się z niego, gardziła nim, popychała, odtrącała go, aż w końcu musiała przyjąć za rękę. Marya bowiem miała kochanka, który się z nią ożenić nie chciał choć był powinien: rozpacz ogarnęła dziewczynę wystawioną na sromotę. Włoch korzystał z tej chwili rozpacz i poświęcił się przyjmując matkę i dziecię; ani słowem, ni wejrzeniem, ni smutkiem nawet nic dając jej poznać co mu kosztuje hańba jej, hańba własna i położenie ich obojga. Ludzie bowiem plwali wzgardliwie na Włocha, nie pojmując takiego poświęcenia i biorąc je za podłość. Marya stawszy się żoną jego, żelazną ręką wzięła rządy domu; poczęła rzucać mężem jak dziecię piłką. Próżna, gadatliwa jak srocza, samowolna jak zepsute dziecię, pięknnością swoją dumna, zdawała się mieć przyjemność w dręczeniu męża: spokojność jego, posłuszeństwo, wytrwały charakter, jeszcze ją rozdrażniały. On wszystko znosił od ulubionej, ubóstwionej Maryetty. Niewolnik we własnym domu, zabijał się pracą, podlił podejmując robót najlichszych, tracił sławę, aby jej wypracować co mieć chciała. Kaprysy dziwaczne tej kobiety nie miały granic, mściła się na mężu za kochanka, za wszystkich znieawidzonych mężczyzn. Batrani w ciągu kilkoletniego pożycia ani razu nie pisał i nie poskarżył się: patrzył w oczy Maryetty i *tego* ma dość było.

Pożycie ich było podziwem sąsiadów, politowaniem dla wielu, bo Batrani przez przywiązanie niepojęte dla złej, próżnej i głupiej kobiety poświęcał się, uniżał, upokarzał niewypowiedzianie, niczem niewynagradzany. Ona miała w ręku wszystko, ona była panią samowładną. Nie kochając męża i ojca swych dzieci (mieli ich bowiem dwoje oprócz pierwszego naturalnie ulubionego Maryi nad inne), pomiatała nim jak cichym a nieznośnym sługą, którego powolności jesteśmy pewni. Najmniejszy brak w domu wyrzucała mu gniewliwie jak zbrodnię. Dwoje tych aniołków, które się później urodziły, biła, popychała, znęcała się nad nimi jak nad nieswejami dziećmi, a biedny Batrani musiał w kątku tylko ze łzami je ścisnąć, bo mu wyrzucała za każdym otwartym okazaniem dla nich czułości, że jej ulubienca nie cierpi, a tem ją w oczach całego świata obwinia; Kiedy spłakane dwoje młodszych szły do kolan ojca, musiał je gdzieś w kątek uprowadzić aby otrzeć ich łzy, pocieszyć ich i ucieszyć się nimi. Starszy, żywy obraz matki, piękny jak aniołek Albana, zły jak żmijka, pędzał młodsze biczem, pędzał ojca mniemanego, znęcał się nad sługami i uczył wcześniej nie mieć serca. Rodzice Maryi pomarli wkrótce, zostawując jej w spuściźnie lichy i odłużony domek tylko na Zarzeczu, który, jako wspomnienie lat młodości i kochanka, kazała okupić malarzowi żona. On posłuszny zabijał się pracując na to. Tymczasem stroje Maryetty, życie jej wrzawliwe, pożerało powoli co on zapracowywał.

Sechł biedny i szalał w nieustannej pracy, ale się nie skarżył, patrzył w oczy Maryetty. Jeśli cudem, przypadkiem, litością, rachubą Maryetta mu się uśmiechnęła, Batrani gotów był w ogień skoczyć, duszę dla niej zaprzedać. Ten uśmiech długie lata oczekiwań, łajań, gniewów, nagradzał chwilą jedną.

Takim był malarz, do którego Wawrzyniec Szemiaka miał wprowadzić Jana. Dom Włocha składał się z niego, z żony, trojga dzieci niedorosłych, trzech sług kobiet, jednego służącego i chłopaka wyrostka. Uczniowie nieliczni naówczas, byli eksterni. A gdy żona, dzieci, sługi bez litości trwonili pracę Włocha i rozsypywali ją marnotrawnie, on jeden w sukni łataniej, nie miał często grosza na własną potrzebę, ani sposobu zarobić go sobie, bo żona zabierała wcześniej wszystko do siebie i godziny mu rachowała.

— To biedne dziecko opuszczone, mówił cicho Wawrzyniec malarzowi. — Ma ochotę, wyszedłby może na artystę, ale opiekun, który mu pomagał, oddawał go na naukę, umarł. Nie ma się gdzie podziąć. — Gdybyście go przyjąć chcieli...

— Gdybym mógł! westchnął malarz — ale sami widzicie, moja dobra żona, moja kochana Maryetta, tak zawsze biedna, chora i chorobą znękana, zniecierpliwiona, tak nie lubi obcych, tak...

— Możeby się przecie zgodziła; Jan mógłby wam trochę posługiwać, a poduczysz się czegoś, pomagać.

— O! to nie prędko, rzekł malarz łagodnie, ale poczekaj Lorenzo, pójdę ja do niej, poradzę się z kochaną Maryettą.

I chwilę się zastanowiwszy, jakby dla zebrania myśli, odważnie potem postąpił ku drzwiom, za którymi wrzał i buchał piskliwy, to groźny głos *ukochanej Maryetty*.

— Czego to? zawołała kobieta zaledwie okryta narzuconą suknią kosztowną ale poszarpaną, z włosami rozpuszczonemi, twarzą zapyrzoną. Zawsze te twoje nieznośne dzieciśka naprzykrzają się mojemu Michasiowi, patrz, musiałam je obić.

Włochowi na widok zapłakanych dwojga tulących się do siebie dziątek, łzy zakręciły się w oczach.

— Moja droga Maryetto! rzekł z westchnieniem.

— *Moja droga Maryetto!* powtórzyła podrzeźniając go żona. Tak! tak! droga Maryetta, a ona się musi zabijać z twemi dzieciśkami nieznośnemi jak ty. Czemu ich gdzie nie poddajesz?

— Moje dzieci!

— Ja nie wytrwam w tem piekle!

— Cierpliwości trochę Maryetto! cierpliwości!

— Ja nie mam cierpliwości, wiesz o tem i nie chcę jej mieć. Głupcy tylko są cierpliwi jak ty.

Włoch zamilkł, a po chwili:

— Chciałem cię spytać się Maryetto... miałem do ciebie prośbę. — Wszakże zwykłeś robić wszystko bezemnie lub na przekór mnie.

— Ja?

— A tak! ty! ty! O cóż to przecie raczysz się mnie pytać? dodała szydersko i złośliwie.

— Potrzebuję kogoś coby mi mógł później w robotach pomagać. Chcę wziąć ucznia. Tym sposobem zarobekby się mógł powiększyć może. Ty wiesz ile potrzebujemy, jak trudno mi wystarczyć. Trafia mi się właśnie.

— A! jakiś ulicznik jak ów może coś go przez litość a raczej przez głupstwo wprowadził, co to nas okradł potem i uciekł. Jesteś i umrzesz cieleciem.

— Ale kochana Maryetto... —

— *Ale, kochana Maryetto! kochana Maryetto!* Chcesz znowu dać się na pośmiech ludziom. Gdybyż zresztą siebie, ale i mnie. Zkądżeś znów wygrzebał tego chłopca?

— Lorenzo przyprowadził mi go, był jakiś czas u Szyrka. Te słowa — *Był u Szyrka* uderzyły Maryette: spojrziała na męża.

— Dla czegoż się ztamtąd oddalił? spytała.

— Szyrko dwa czy coś lata brał za naukę jego opłatę, od protektora chłopięcia kasztellanica Trąbskiego, który właśnie umarł niedawno.

— Tak! a gdy goły to ty go chcesz wziąć darmo. Marnotrawniku! o! jak to do ciebie podobne. Żona i dzieci nic nie mają, a ty cudzemi się myślisz opiekować. Ale cóż to za łotr z tego Szyrka, dodała.

Trzeba wiedzieć, że Maryetta nienawidziła kawalera Athanazyusza.

— Dobrze, dobrze, zawołała namyśliwszy się, upokorzym tego łajdaka, tego bazgrałę co się ma za malarza dla tego, że się z niego ksiądz Biskup naśmiewa, i śmie mierzyć się a nawet prym brać przed tobą. Dobrze, pokażemy całemu miastu, że nie ma serca, tak jak nie ma głowy. Weźmiemy tego chłopca. — O! ty masz złote serce Maryetto! zawołał uradowany Włoch całując zabrukane jej ręce. Tyś tak dobra! Tak! tak! weźmiemy sierotę, przyjmujemy, przytulim.

— Daj rai pokój z tem dobrem sercem! Ja ze złości go biorę. Ale pokażże mi go wprzódy — chcę go widzieć, bo tyś gotów kalekę jakiego, obrzydliwca wziąć na niewidziane; ty wszystko robisz bez najmniejszej uwagi.

— Zaraz go zobaczysz! zaraz! I Batrani wybiegł do Lorenza z uradowaną twarzą.

— Wołaj tego chłopca! wołaj! Moja złota Maryetta chce go widzieć wprzód, ona ma zawsze słusność, ona taka rozumna, tak przenikliwa.

Wawrzyniec zbiegł ze wschodów i z bramy domu dał znak biedakowi, który oparty o ścianę czekał patrząc osłupiałem okiem na dym wijący się z komina i latające nad dachem wróble. Patrzył a nie widział nic! — Janie! Janie, zawołał żywo Wawrzyniec, chodź! chodź!

I Jan wyrwany z zadumania długiego, sennego prawie, poskoczył zarumieniony, przerażony, zegnając się bojaźliwie nim na wschody wstąpił.

Na górnym stopniu, u wniścia czekał już na niego Batrani z ciekawością, a gdy Jaś pocałować go chciał w rękę, uściskał go i pocałował w głowę z rozczuleniem, (bo pomyślał o własnych dzieciach w tej chwili) i dodał:

— *Nie* dziękuj, nie dziękuj mi jeszcze, poczekaj. Rzecz dotąd niepewna, nic wiadomego dotąd, wstrzymaj się, chodź za mną.

I wpatrując się w twarz Jasia drżącego, pomieszanego, prowadził go do żony. Jan piękny zawsze, teraz okryty tym królewskim purpurowym płaszczem, rumieńcem niewinności, któren tak wdzięcza twarze młode, piękniejszy był jeszcze. Spuszczone oczy jego, postawa zalękniona, były najlepszą zaletą w oczach kobiety, która właśnie chciała, żeby wszystko drżało przed nią, i przywykła do tego.

Niecierpliwa Maryetta już otworzyła drzwi swego pokoju, i czarnymi oczyma ściagała nową ofiarę. Lecz, o cudo! błyszczące oczy jej czarne zaszły nagle łzami, głos w piersi zwinął się i stłumił, zmieszała się, zajękła i zakrywszy twarz dłonią, zatrzaskała drzwi tak silnie, tak impetycznie, że Batrani przerażony, wylękły, nie wątpiąc, iż Jan wypędzony być musi, począł się mieszać, niepokoić, nie wiedząc jak *to* nowo przybyłemu objawić. Nigdy on odmówić nie potrafił, tyle go kosztowało, ilekroć był do tego zmuszony.

Wawrzyniec widział także zatrzasknięcie drzwi, ale nie zrozumiał go wcale. Wtem z za uchylonej połowy twarz Maryetty ukazała się znowu, wołając męża niecierpliwie:

— Girolamo! Girolamo! Chodźże. Mówiąc to mierzyła jeszcze ukradkiem oczyma chłopca, który stał jak winowajca.

— Odprawię go, odprawię, rzekł uprzedzając chęci pokorny Włoch i westchnął.

— Tak! tak! biednego sierotę wypędzić na ulicę gdy przytułku nie ma! któż ci mówi o tem.

— Więc pozwalasz go przyjąć Maryetto!

— Albożeś się mnie o to pytał? Już jest, niech więc zostanie.

— Lecz jeśli ci to może robić przykrość, jeśli ci się zdaje, że i tak jest nas w domu zawiele? —

— Któż to mówi! zapalczywie przerwała Marya, od kogożeś to słyszał? Niech zostanie powiadam, niech zostanie! Ja chcę ażeby został.

Mówiąc to jeszcze raz spojrzała na Jana i zamknęła drzwi z gniewem, złościwie, popędliwie jak zawsze.

Włoch posłyszawszy to — Ja chcę — wprowadził natychmiast Jana do swojego domu, bo wszelki rozkaz żony był dla niego nieodwołany.

Tegoż wieczora Jan zniósł rzeczy swoje, pożegnawszy poczciwego Adama i już w kącie wielkiej Batraniego malarni dumiał nad przyszłością. Poczciwy malarz ukradkiem przyniósł mu trochę jedzenia, pogłaskał go po głowie i nie spieszył z daniem roboty, sam wołąc się krzątać i siebie posyłać, niż w tej chwili uroczystego smutku oderwać od rozmyślań biedne dziecko, które już serce jego za swoje było przyjęło.

Nadzwyczajne zmiany zaszły wkrótce potem w domu malarza Batrani. Jan, który zdawał się wzięty prawie przeciwko woli wszechwładnej Maryetty, stał się jej ulubieńcem widocznie. Malarz przypisywał to najlepszemu, złotemu jak je nazywał sercu Maryetty, inni ruszali ramionami. To pewna, że po najdroższym Michasiu, a daleko przed biednymi dziećmi malarza, stał uczeń w łaskach pani. Często ukradkiem rozwarłszy drzwi Maryetta patrzyła na pracującego, ze łzą w oku. A łza, łza inna nad wylaną w gniewie, tak u niej była rzadką! Ilekroć przemówiła do Jasia, to tak łagodnym głosem, tak drżącym, jakby się ona jego, nie on jej lękać miał. Czasem zamyślona godzinę stała wpatrując się w niego. O cokolwiek poprosił, uprzedzając życzenie podsuwała mu. Michaś nawet nie miał prawa nad nim się znęcać i nieraz burę oberwał, gdy wzorem braciszka i siostrzyczki chciał wyćwiczyć ucznia. Malarz przewidujący jak źle Jasiowi musi być u niego, dziwnie się zawiódł, jak zwykle w domysłach i przeczuciach zawodziemy się wszyscy. Coś niepojętego przywiązywało Maryę do tego dziecka; często gdy sam jeden w malarni siedział stulony, rysując na kolanie z gipsów, wkradała się za niego i cicho i łagodnie poczyniała rozmowę z takim wzruszeniem, jakby głos biednego chłopca znała już dawniej, jakby on jej przypominał coś drogiego, utraconego. Nie tylko postawą i ciałem, ale sercem i duszą włoszką była ta kobieta.

Batrani cieszył się i błogosławił dzień, w którym wziął Jana do siebie, bo teraz częściej miał chwilę spokojną. Lecz Maryetta jakby zapierając drogi pytaniami i wszelkiemu tłumaczeniu, udawała przed mężem obojętną dla chłopca, czasem nawet niechętną. Batrani przywiązywał się do niego co dzień mocniej. Prędko bardzo objawił się prawdziwy wrodzony talent w chłopięciu a Włoch zapalił się myślą uczynienia z niego wielkiego artysty. Każdemu postępowi ucznia poklaskiwał ciesząc się nim jak dziecią. Uczył on nie jak drudzy, co zazdrośni najdroższe tajemnice zostawują sobie, ale z duszy i z głębi serca dobywając co miał najszacowniejszego. Myśli swoje, doświadczenie długie, smak wykształcony, drogie sztychy, które zbierał i nad którymi nieraz płakiwał przypominając oryginały w pałacu

Pitti i Trybunie — wszystko otworzył Janowi zachęcając do czerpania. Sam nauczony wedle odwiecznej i najlepszej metody u najslawniejszych mistrzów, wlał w ucznia swego co miał tylko od nich, natchnął go tym zapalem co mu z oczu nieraz łzy wyciskał, świętym ogniem, bez którego nic ma artysty wielkiego, choć tylu pospolitych bez niego się obchodzi!

Cóż bowiem jest sztuka? co artysta? sztuka nie jest głupim małpowaniem natury i prozaicznym tłumaczeniem myśli, ale tworzeniem ideałów, ale spotęgowaniem życia ziemi i wszystkiego, co ono wyraża. Natura widoma, jest tylko objawem myśli niewidomej, a malarz winien wiedzieć znaczenie

wszystkiego co widzi, aby użył go jako znaków, jako środków ku wydaniu swojej myśli. Co natura myśli i objawia wrywkowo, niekompletnie, to składa artysta na rysy obrazu swej myśli; myśli znającej siebie, pełnej i wielkiej. Nie ma malarstwa, nie ma sztuki bez prawdy idealnej, jak nie ma ich też bez prawdy realnej będącej wyrazem pierwszej. Artysta nie jest, nie powinien być rzemieślnikiem malującym twarze, drzewa i przedmioty pewne, mniej więcej prawdziwie i dokładnie; ale poetą co myśl wielką, uczutą, pojętą i wrywającą się na świat puszcza nań strojną we wszystko co jej dać może, aby ją widomą, ucieleśnioną, dotykalmą uczynił. Bez tego twórczego ognia co unosi mistrzów, co uświęca i oczyszcza sztukę, co ją dzieli od rzemiosła, nic ma obojga. Bez niego zostaje robota bezduszna i bezduszny robotnik.

Są niestety, i jakże wielu podobnych artystów, co siadają do pracy zadanej jak szewc do skrojenia buta, zimno, mechanicznie, bezmyślnie, na traf się zdając, przypomnienia za tworzenie biorąc; ale sąż to godni nazwania tego, artyści? O! nie! Zapatrzmy się na extazę Ś. Łukasza, który w niebie okiem szuka wzoru do twarzy Matki Bożej — jest to cudnie piękny symbol. Choćby Ś. Łukasz nie był malarzem (jak chcą krytycy protestanci) legenda ta będzie zawsze wielką i piękną nauką. Tak! w niebie są wzory pierwotne, w duchu i myśli ideały nasze być powinny, a bez extazy i zapału nie ma tworzenia. Ideały linii, ideały kolorytu, ideał wyrazu, ideał całości: wszystko powinno wystrzelić jak kwiat aloesu razem, rzutem jednym, — z głębi myśli, z łona artysty ogrzanego zapałem.

Tak właśnie zwysoka, tak wielką pojmował sztukę Batrani, pojmował ją jak naówczas rzadkie tylko, niepospolite i wiek wyprzedzające umysły rozumiały. Czytajmy dzieła XVIII wieku o teorii sztuki, a przekonamy się, że sztuka naówczas mniej zrozumiana była, gorzej pojętą, niż gdy Leonardo pisał swój traktat, Rafael listy swoje, Benvenuto Cellini pamiętniki, Michał-Anioł sonety. Tam to, w tych urywkach szukać należy rozpięzchłych rysów odwiecznej prawdy o sztuce, którą umysły wyborowe, wielkie, zawsze jaśniej i lepiej od współczesnych pojmowały. Plato stary, boski Plato, nazwał *piękno*, *blaskiem prawdy*, i kazał tworzącemu dzieło zapatrywać się we wzór idealny, nieśmiertelny. Po Platonie, wieki czekać było potrzeba, aby toż samo powtórzono (*).

Batrani, wierny uczeń tej potężnej szkoły włoskiej, która razem w jedno wzięta jest może największą w świecie; najlepiej pojmował ideał w sztuce i najłatwiej pojęcie o nim wlać umiał.

Jan przez rok tutaj więcej skorzystał niż przez dwa u Szyrka. Rysunek jego począł dążyć do tej cudnej czystości linii, która zachwyca w sztuce starożytnych, do tego wdzięku, który ani energii ani prawdy nie wyłącza.

(*)"Odd'õ ěŸi d'Ÿi Ÿi 'ó äçčéd'õňăõň đńóň ôo xáoŸ Í÷d'õ âěŸđoí Ÿİß, ôoéoyõř ôéiß đńoó÷ńťělíd'ň đánaálßăéáôß, ôŦi ßăŸŸi xáß äŸiáěéi ŸđlńăŸčđâé, xăéoi Ÿi ŸiŸăxçň ofôũň Ÿđođlúóćáé, đŸi or ä'ái lßň ôó äłăoióň, äłiçôŦ đánaálúăéáôé đńoó÷ńťělíd'ň, d'Ÿ xăéoi".

Plato, *Óßăééd'ň* Włoch, jak wszyscy ludzie kompletniejsi, nie był zwolennikiem ani jednego stylu, ani jednej manieri, ani jednego mistrza. Widział on w zachwycającej całości sztuki myśl z tysiąca stron objętą i wystawioną, umiał ocenić stronę właściwą każdemu, choć wyłączością grzeszącą.

Szukał siły w Michale-Aniele, idealnej piękności linii i wyrazu w Rafaelu, wdzięku naiwnego u Fra Bartholomco, kolorytu u Ticiano, Palmy i Bellinich, wykwintnej roboty u Hollendrów, idealizujących kapustę, marchew i zmarszczki stany baby; przywiązanych tak do kraju, że własne suknie i twarze dają rodzinie świętej, czystych i przezroczystych w robocie jak skrupulatnie czyści i umyć się w domu.

Lecz z mnóstwa dziwacznych utworów germańskiej sztuki, stary Łukasz Kranach, nieporównany Martin Schoen, naówczas tak mało jeszcze cenieni, byli dla Batraniego przedmiotem czci i podziwu: płodność i siła Dürera wymawiała w oczach jego niepojętą czasem karykaturalność, a raczej przesadę wyrazu, zbytek realnej prawdy.

W takiej szkole Jan odetchnąć nie miał czasu, każda chwila była tu drogą, wszystkie leciały piorunami, dnie migały błyskawicą, zapominał o wszystkim, znikająca mu z oczów ziemia jak Eliaszkowi porwanemu na wozie ognistym. A! jakże rzadko, jak rzadko ten wóz ognisty zapału porywa z ziemi wybranych i unosi ich w obłoki! Jak daleko częściej miasto świętego wozu, przypina sobie biedne człeczko, lepione i klejone skrzydła Ikarów, aby spaść potem z wyżyny na ziemię, w otchłanie morza!

Wkrótce Jan stał się nawet pomocą malarzowi, wziął pędzel do rąk i nieśmiało pierwszemi barwami wyrazić się starał myśl przenikającą, jeszcze niepochwyconą, której ustalić nie umiał. Łagodnie kierowany, uczył rozwijanie się własne, a radość dodawała mu sił nowych. Gdy się te wielkie niepostrzeżone zmiany w głębi niego odbywają, Maryetta gorącym okiem, w którym każdy inny prócz pocziwego Batraniego, byłby namiętność ognistą wyczytał, obejmuje, rozgrzewa chłopca daremnie.

Oprócz strachu, żadnego uczucia nie wzbudza w nim to wejrzenie dziwne, którego zapału, ognia, czułości, nadziei, chwilami błyszczących, on nie rozumie nawet. Napróżno rozpoczyna rozmowy Marya, on jej tylko wyrwanymi odpowiada słowami, pyta o rozkazy nie śmiejąc nawet podnieść na nią oczów.

— To on! to drugi on! cicho szepcze rozdzierając na sobie suknię z niecierpliwości kobieta, jak on zimny, jak on obojętny! O! jakże dziwnie, jak cudownie go przypomina! Ale przynajmniej patrzę na niego, widzę go co dzień jeszcze. Łudzę się i zdaje mi się, marzę, że on mnie kocha znowu, choć na chwilę. Dla czegoż niczem do życia go pobudzić nie można? Jestże tak dziecinny jeszcze, czy tak zimny już? O! nie, oczy świadczą, że już myśli, ale nie o mnie, nie dla mnie. —

Trzeci rok bytności u Batraniego upływał. Jan gorliwie pracował i rozumiał mistrza i wiedział, wiele mu samemu brakło. Kto wie, że nie jest doskonałym, ten najpewniej jest na drodze do udoskonalenia. Tylko dla ludzi, którzy się sądzą skończonymi, w istocie wszystko się skończyło, nic z nich już nie będzie. Dopóki te wielkie, sine przestrzenie nieskończoności widzi przed sobą człowiek, dopóty idzie i gdy ściana ciasna świat mu zamknie, cofa się, maleje i kona. Jan widział niezmiernie drogi przed sobą, pojmował ile pracy, poświęcenia, ile nauki różnorodnej potrzeba, aby się można nazwać mistrzem i twórcą. Rzecz można, że cały świat podbić wprzód musi, kto świat ten ma odtwarzać. Nic mu tajnego, nic mu obcego być nie powinno. I rzeczy lu-

pina-forma i ten duch wewnętrzny co formie wyraz nadaje i blaski powierzchowne i jasności wewnętrzne: życie we wszystkich swych objawach począwszy od znikomych światła do ogromnych potworów, człowiek fizyczny i duchowny, dzieje jego, twarz jaką mu nadaje, klimat, ród, obyczaje,

cywilizacja, indywidualność, charakter, wszystko zbadać i poznać musi malarz. Dla niego wielką całego żywota zagadką — związek ciała i ducha, przyczyny i objawu i formy i myśli — uczy się czytać hieroglify odwieczne i pisać niemi tak, aby zrozumiany został. Musi myśleć jak filozof a tworzyć jak natura; każdy twór jego długo dumany, a szybko wcielony być powinien. Dwie prawdy: prawda prozy dla oczów gminu stworzona i prawda idealna, muszą w nim walczyć i równoważyć się z sobą.

Dla tego pewnie wielcy mistrze dawni nietylko malarzami byli, ale jak nieśmiertelny Leonardo twórca *wieczery*, uczonymi w całym znaczeniu wyrazu. Czegóż bowiem nie potrzebuje umieć artysta?

Zstąpmyż do serca: ile znajomości jego, ile poznania natury ludzkiej potrzeba dla nadania wyrazu jednej twarzy, dla nadania odpowiedniego ruchu ciału? A gdy już wszystko pojęte, zbadane i pomyslane, ile pracy, aby rękę własną podbić jeszcze pod panowanie myśli, aby ona posłuszna, szybko i silnie wyrażała w całości, co pomyśli, co stworzy głowa?

Ten ogrom nauki, nauki ducha i materii widział przed sobą Jan i nie wzdrygnął się, ona go ogromem swym pociągała ku sobie, jak światy pociąga słońce. Pyły tylko rozpadają się bezwładne w niebieskie przestrzenie, ale co żyje, krąży i zbliża się do celu, i wiąże się z czemś żywym jak jest sama.

Nie będziemy dłużej wystawiali wam Jana w tych walkach pierwiastkowych, bo któżby na obrazek nasz chciał patrzeć? Ty- siące szczegółów wyraziłby tu potrzeba, gdy sam ogół nawet tak mało kogo obchodzi. Ta historia duszy tak mizerną jest w oczach ludzi co wolą zabawną historię złodzieja, niż dla nich obojętne a tak nauczające życie artysty!

Dla Batraniego ten niespodziewany uczeń był darem niebios. Pojmie to każdy kto długo tajone a drogie myśli znalazł nareszcie gdzie wylać, w serce i duszę otwarte ku ich przyjęciu, sympatyczne. Czasem wieczory całe upływały na kreśleniu gorących obrazów pięknej Florencji, którą młodemi łzawemi oczyma, oczyma tęsknoty widział zawsze przed sobą Batrani, z jej kościoły, pałacami, ogrodami z kampanillą i chrzcielnicą, z posągami i temi niezmiernymi bogactwami, które zostawili Medyceusze po sobie, jakby na zatarcie pamięci swych zbrodni. Jan zapalał się obrazami, które ciepłe uczuciem padały nań nieustannie, a w duszy wołał ciągle jak Izraelici na puszczy poglądający w stronę obiecaną ziemi, *Italia i Roma*. — Wołał i odpowiadał sam sobie: Może kiedyś, może tam nigdy nie dojdiesz. Na cóż się przyda ubogiemu ten wykrzyknik próżny, ten krzyk Tantalą, wołanie co się rozchodzi i ginie nieposłyszane nigdzie, nawet w niebie!

Wszelkie imiona artystów sławy pełne, laurami uwieńczone wryły się w pamięci chłopca. Z rozmów Batraniego, z jego tek i dawnych rysunków, które przedstawiały wszystkie sławniejsze freski, w rzadkich tylko i kosztownych widzieć się mogące zbiorach, znaczniejsze zaś figury i głowy osobno studyowane dla wyrazu, anatomii, linii, światła, skurczeń umiejętnych lub rzutów draperyi; z mnóstwa prac tego niezmordowanego człowieka, co jak prawdziwy artysta całe Włochy wyniósł w swej tece: i pałace Palladiów i obrazy Sanziów i ruiny teatrów i starożytne obłamki pogańskiej sztuki; szczęśliwy Jan uczył się Włoch wcześniej i gotował do ich widzenia. A mistrz, jakże się unosił młodą jego radością na widok tych arcydzieł! On, odmłodził z nim i gdy pierwsze postacie myśli własną wyrażające narysował Jan drżącą ręką, z policzki płomieniejącymi natchnieniem jeszcze

dziewiczem, jakże go serdecznie uściskał poczciwy nauczyciel, jakże łąz w oku błogosławił mu wyciągnionemi rękoma, ojcowską duszą!

— O! możesz i ty wykrzyknąć, rzekł poruszony: *Anch' io son' pittore*. Ty będziesz wielkim malarzem! Byleby ci życie nie stanęło w poprzek geniuszowi, byleby nędza nie przykuła do ziemi, a robak namiętności nie wkradł się w zawiązki owocu, a poziome chęci nie ściągnęły z polotu na ziemię.

Mówił i spuścił głowę zasmucony.

A Marya? Maryetta ubóstwiona zawsze prawie jednako przykra dla Włocha, dla Jana co dzień wyraźniejszą okazywała czułość. Darujmy jej, nie była to bowiem po- spolita zalotność, nie była to prosta zwierzęca żądza młodości, było to silne wspomnienie niedokończonego szczęścia, co się dopominało praw swoich.

Jan tak był podobny do pierwszego jej kochanka, do uwielbionego i nieodżałowanego młodych lat towarzysza, że Marya pokochała w nim nie nowego człowieka ale swą dawną miłość.

Obojętność Jana, który w pół nierozumiał czego od niego chciano, w pół nie chciał rozumieć, gdyż byłby w swem przekonaniu winien zdrady i podłości, gdyby choć jednym wejrzeniem stał się uczestnikiem uczucia niewywoływanego, natrętnego; obojętność ta zwiększała jeszcze zapał i niecierpliwość kobiety. Niezrażona zimnem uszanowaniem Jana podwajała oznaki przywiązania ale napróżno, zawsze i ciągle napróżno.

Jan tylko nieustannie palony jej oczyma, których wreszcie uniknąć nie mógł, uczuł budzące się w sobie uczucie, któreby może jeszcze długo w nim spało. Niespokój młodzieńczy, pragnienie nieopisane, tęsknota, zamyślenie, opanowywały go. Dokoła siebie szukał czegoś, jakby przeczuwał zbliżenie, jakby czuł oddech nadchodzącej. —

Koniec tomu pierwszego.

Tom drugi.

II.

Naprzeciw małej izdebki, którą rzadko we dnie, ale zawsze wieczory i rankami zajmował Jan, wprost okna jej wychodzącego na dziedzińce, był stary dom nowemi budowami tak objęty dokoła, że okna jego wychodziły w podwórzec rozciągający się ku Kanonii i oddzielony murem tylko od podobnegoż podwórza domu, zajmowanego przez Batraniego.

Stara ta kamienica nieforemna, szara, mnóstwem kominów różnokształtnych najeżona, ścieśniona przybudówkami różnego przeznaczenia i wysokości różnych, nigdy w początku nie zwróciła oka pracowitego Jana. Nie miał on tej próżniaczej ciekawości lat młodych, tego chciwego późniejszych pragnienia wniknięcia w życie otaczających go ludzi, żył jeszcze w sobie i co się działo obok nie widział. Ale gdy wejrzenia i słodkie słówka Maryetty wprawiać go zaczęły w zadumania długie, mimowolnie oczy poczęły też błdzić dokoła, jakby czegoś utraconego, czegoś do zdobycia szukały. Tęskność, to pragnienie pomieszane z nadzieją, tak różne od tęsknoty będącej tylko słodkim smutkiem, uderzyła na serce Jana. Szukał a nie wiedział czego, spodziewał się, nie pytając nawet siebie, kogo? Dziwnym a czę- stym jednak w życiu ludzkim trafem, jedno spojrzenie wytłumaczyło mu tęsknotę i niepokój wewnętrzny.

Naprzeciw okien Jana, w przeciwległym domu, ukazywał się zwykle z za wypłowiałej firanki kolorowej, suchy i dziwaczny profil staruszki, jakby z obrazu Gerarda Dow wycięty. Nieraz Jan, chociaż starości zmarszczonej na sposób flamandzki, w czepku z wielkimi białymi falbanami muślinowymi, nie miał za przedmiot malarski; mimowolnie chwycił ten profil stale przez część dnia ukazujący mu się za murem.

Staruszka zgięta, skurczona we dwoje, z pofałdowaną twarzą, z cienko zakończonym nosem, z wystającą brodą, pomimo tych pospolitych rysów wiekowi właściwych, wiele miała szlachetności, wiele stylu w fizjonomii. Jan przemyślał nawet nieraz, czy lepiej było schwytać ją do teki na starą sługę Judyty, czy na matkę Daryusza. Rysy twarzy czyniły ją prawie godną być Daryusza matką.

Na sługę Judyty musiałby ją być chyba skarykaturować. Starszy, a nadewszystko ciekawszy, dawnoby był dopatrył, że głowa staruszki często się ukazywała nie samą, ale jakby opleciona dwiema anielskimi twarzyczkami prześlicznych dziewczątek. Jan jak cudo i zjawisko, dnia jednego gdy słońce biło w otwarte okno przeciwka, ujrzał nagle dwie młodzieńcze twarzyczki aniołów, uśmiechające się ptaszkowi białemu, gołąbkowi, którego jedna z nich trzymała w ręku, dzióbek różowy do rumianych swych przytykając ustek. Wnuczki dwie starej kobiety, były prawdziwie piękne!

Złote włoski dzieci północy, błyszczały na białych ich skroniach, niebieskie oczy jednej, ciemne drugiej, opasane były rzęsami co taką dają wejrzeniu łagodność. Świeże jak dwa tylko co rozwite kwiatki, uśmiechały się do gołąbka, ukazując i usteczka różowe i ząbki bieluchne a drobne. Był to

gotowy obrazek i malarza naprzód jako obrazek uderzył; potem zadumał się dłużej popatrzywszy na profil niebiesko-okiej i począł ją ścigać wzrokiem i przesiedział w oknie trochę dłużej niż zwykle.

Dziewczęta bawiąc się swoim gołębiem, swawoląc wracały ciągle ku oknu, aż jedna z nich jakby poczuła wejrzenie, (któż nie wie, że wejrzenie, uczuć można nic widząc go?) zwróciła oczy na Jana. Szepnęła coś siostrze, obie ukradkiem spojrzały na niego, ale nie uciekły od okna. Owszem, choć młode a już zalotnice, poczęły bawiąc się umyślnie może nastroczać oku patrzącego. Gołąb zerwał się, wyleciał oknem i jakby namówiony (ile trafów w życiu!) splątawszy się kilka razy w powietrzu, zawrócił ku otwartemu oknu Jana, zatrzepotał, i przywabiony usiadł na niem. Dziewczęta wychyliły się śmiejąc za okno, potem zakryły oczki, ustąpiły wstydliwie i zaglądały tylko ciekawie z za firanki, spარłszy się główkami na ramieniu staruszki. Jan wyciągnął rękę ku ptakowi a gołąb oswojony usiadł na niej: serce mu biło, twarz płonęła i... pocałował gołębia.

Ptaszek jakby poczuł dopiero obcego po oddechu, zerwał się szybko, okrążył dzielące domy podwórze i odleciał do dziewcząt, które go przyjęły śmiejąc się, zamknęły okno swoje żywo i pobiegly z nim do drugiej izdebki.

Ta dziwnie sielankowa scena, choć zresztą naturalna bardzo, była pierwszym wstępem do wielu późniejszych. Odtąd dziewczątka z przeciwka stały się znajomymi Jana, Jan ich przyjacielem zdaleka. Szukano się wzrokiem, witano ukradkiem, a gołąbek zawsze przypominał poznanie. Młodsza niebiesko-oka często rozsuwała firanki, otwierała okno; czasem sparta na ramieniu babki długie wejrzenie rzucała w przeciwną stronę dziedzińca. Jan też często spieszzył do izdebki, zamyślał się w niej, stał, czekał.

Po kilku tygodniach znajomość zupełna zawartą została, miłość obudziła się, ale z obu stron nic umiano, nie chciano, czy obawiano zbliżyć się więcej. Jan był nieśmiały z natury, nieśmiały biedne swe znając położenie, lękał się wreszcie sam spełna nie wiedząc czego.

Łatwo mu było dowiedzieć się o dziewczętach; wszyscy je znali, niewiele jednak więcej od niego. Kto one były? kto babka? różnie różni opowiadali, ubóstwo tylko, pracowitość i śliczne twarzyczki powszechnie uznawano. Zajmowały ze staruszką parę pokoików w domu, którego okna nie wychodząc z tej strony na ulicę, skazywały na mieszkanie wydziedziczonym od losu, tym co do ruchu życia świetniejszego mieszać się, ani nawet na ten ruch patrzeć nie mieli prawa. Im ciche schronienie i praca. Gołąbek jedyną był zabawką. Mało miała staruszka znajomych i przyjaciół, bo nie widać było odwiedzających. Jeden tylko czasem stary, złamany, w polskim ubiorze z siwą głową dziaduszek, może daleki krewny, może młodych lat przyjaciel, czasem się tam ukazywał sparty na lasce z gałką kościaną. Spędzał on wieczory śmiejąc się, jak to dawniej śmiać się dobrodusznie umiano, ze staruszką i dziewczętami. One chodziły tylko do kościoła razem, rzadko po południu na przechadzkę. Znano je w okolicy mieszkania pod nazwiskiem siostrzyczek, bo jednakowo ubrane, bardzo do siebie podobne, uderzały i zajmowały każdego. Miały wielu jak Jan nieznanomych przyjaciół.

Staruszka regularnie opłacała za mieszkanie, żyła bardzo skromnie, jedna sługa najęta z miasta, kuchnią i całą zajmowała się posługą. Służąca wypytywana nieraz przez ciekawych, na wszystkie zapytania odpowiadała: — Albo ja co wiem! lub ruszała ramiionami dając do zrozumienia, że wypytywać niebardzo było warto.

Raz, stary Batrani zastał Jana siedzącego w oknie i tak zapamiętale wpatrującego się w niebieskooką sąsiadkę, że wchodzącego malarza nie posłyszał, nie postrzegł, nie przeczuł; zbliżył się Włoch, spojrzął, powstał chwilę z wyrazem litości na twarzy i położywszy z wolna rękę na ramieniu chłopca, uśmiechnął się gorzko.

— Janie, rzekł powolnie do zarumienionego, schwytanego na uczynku chłopca. Tyś już nie dziecko, powiem ci jak mężczyźnie: unikaj kobiet, twoją jedyną kochanką sztuka. *Ars longa, vita brevis*; życie jej poświęć mało. A kobieta daż ci większe i pewniejsze rozkosze? O! nigdy! Starożytny Egipt, którego niepojęta mądrość dziś się nam ćmami pokryła, w pięknym symbolu całą zamknął historię kobiety w społeczeństwie. Widziałeś Sfinxa? to kobieta. Wiekuista zagadka, którą najpospoliciej rozwiązuje śmierć ciała albo śmierć duszy. Twarz anioła, piersi matki, ciało zwierzęcia, lwie nogi a ptasie skrzydła. Obiecuje ci wejrzeniem anioła, lecz uściśniesz w niej potwór, zwierzę, matkę, a skrzydła uniosą wkrótce daleko od ciebie, to dziwne jakby senne widziadło! Odwróć oczy i nic patrzaj. Ciągnie cię kobieta, tym urokiem jakim pociąga przepaść, niebezpieczeństwo, śmierć!

Kochaj sztukę, kochaj piękność idealną niecielesną, ale nie kobietę. Słowo tej zagadki — kobiety, opieczętowane w księdze siedmiu pieczęci na drugim świecie. Nigdy, nigdy jej nie zrozumiesz. — W oczach Sfinxa, wieczne pytanie tylko, pytanie i pytanie bez odpowiedzi. —

To powiedziawszy głosem stłumionym, wyszedł Batrani, a Jan łzawo się zamyślił. Niebieskooka dawno była uciekła zawstydzona, postrzegłszy wchodzącego starego Włocha. Skarżym się wszyscy na zawody, lecz któż z nas przestrzeżonym nie był? Głos wewnętrzny, głos ludzi, głos umarłych co swe doświadczenie nam przekazali, wszystko mówiło młodemu: zwiedzisz się.

A jednak poszedł aby się zawiódł i zawiódł umyślnie. Mówią, że na wielkich wyżynach gdy wzrok zwrócisz na dół, czujesz potrzebę upadku, ziemia cię pociąga gwałtownie, wlepiasz w nią wzrok fatalnie, tracisz przytomność, myśl niebezpieczeństwa i śmierci, wyciągasz ręce, upadasz. Tak właśnie młodość ciągnie nas koniecznie ku zawodom. Uwiadomienie o następstwach niczem jest: *Homo vult decipi*, wola jest tu konieczności objawem. Jan też zrozumiał wyrazy Batraniego: błyskiem ukazała mu się przyszłość przed nim, a jednak nie zamknął okna, ani go na później unikał. Niebieskooka ciągnęła go zawsze ku sobie. Nie widział w tem przyszłości, nie mógł się spodziewać jutra ze wschodem słońca we-

sela, brnął jednak sercem i kochał. Bo kochanie samo jest taką koniecznością w młodości, jaką i spadanie kamienia podniesionego w górę, upuszczonego z ręki. Mniejsza o rozbicie się w druzgi, upaść potrzeba.

Wkrótce Jan dowiedział się, wyszpiegował kiedy siostrzyczki wychodziły do kościoła, znalazł sposób wymykać się z domu, spotkać z niemi na drodze i zerwać uśmiech z jej ustek, spojrzenie, potem słówko obojętne, potem słówko pożądane, drogie, potem był już szukanym, nareszcie dawano mu znak z okienka, gdy siostry wychodzić miały w ulice, ale tak zręcznie! tak zręcznie, że nikt go zrozumieć nie mógł, prócz Jana. A Jan coraz dłużej, zamyślał się i przesiadywał w izdebce.

Stary Batrani powtarzał często:

— Janie! Sfinx cię zgubi! Nie odgadniesz zagadki a zginiesz dla niej. Wielki symbol świadczy, że kto nie odgadł zagadki Sfinxa, ginąc od niego musiał. Tak jest po dziś dzień, wszyscy giniemy bo nikt jej nie zgadnie. Janie mój, zbyt często wpatrujesz się w Sfinxa.

Jan zaczerwieniony, zawstydzony nic nie odpowiedział.

Maryetta, która nie pojmowała obojętności młodego chłopca dla siebie, bo od chwili ' przybycia Jana, starała się być i była dla niego miłą, łagodną a piękną; poczuła nareszcie rodzący się gniew w sercu, oczy jej zachodziły krwią i łzami, serce biło wściekle. Naturalnie, myśl wreszcie, że Jan gdzieindziej kocha, obiegnęła ją niespokojem. Poczęła go śledzić i podejrzewać. Zamyślanie, częste wycieczki z domu, częstsze do izdebki wychodzenia i przesiadywania w niej, coraz pewniejszą czyniły ją, że Jan kocha kogoś. — Ale kogo? kogo?

Jednego poranku Jan wstał raniej od wszystkich i zasiadł w oknie. Piękna Jagusia otworzyła przeciwległe i sparta na łokciu odpowiadała oczyma na ciche wyrazy kochanka. Maryetta jakby przeczuwała coś, schwyciła się z łóżka i poczęła po całym domu szukać Jana. Słyszała (znała chód jego) przed chwilą stapanie w pokoju: cicho skradając się przysunęła pod drzwi izdebki, rozwarła je i ujrzała go w oknie. Z bijącym sercem na palcach postąpiła zobaczyć, w co się tak pilnie wpatrywał. Wzrok jej spotkał Jagusię. Wszystko było wytłumaczone: w chwili zatrzęsa się gniewem dawniejszym, nieokazywanym od czasu przybycia Jana, i wybiegła głośno drzwi zatrzaskawszy.

Jan osłupiał.

Obrażona kobieta leciała do męża.

— Precz z nim! zawołała, tupiąc nogą, niech ztąd idzie, niech idzie sobie, niech zebrze! Precz z nim, to niecnota!

— Kto? co? spytał pokornie Włoch.

— Kto? Ty mnie pytasz jakbyś nie rozumiał? Dawno musiałeś o tem wiedzieć. Ten próżniak, bałamut, zamiast pracować, bała- muci się z dziewczętami jakimiś z przeciwka. Twój Jan, twój ulubieniec! Nie chcę go więcej w domu, precz z nim jednej godziny.

— Ale Maryetto droga, samaś —

— Tak! samaś go chciała, sama chcę teraz abyś go samotnie wypędził. Zaraz, zaraz, natychmiast.

— Moja Maryetto droga. Ja go kocham, ja się do niego przywiązałem. Jeżeli winien można go naganie, postraszyć. Ale cóż zawinił? To szal młodości. Daj się przebłagać, ja sam cię za niego przepraszam.

— Nie chcę nic słyszeć! nie chcę wiedzieć o niczem więcej! Niech sobie idzie, niech idzie precz. Oddawna już znieść go nie mogę, nic cierpię.

Malarz się uśmiechnął..

— Jesteś nieubłagana? spytał raz jeszcze biorąc za klamkę.

— Wypędzić go i to zaraz, mówię ci zaraz! Batrani spuścił głowę, ruszył ramiona, chciał mówić coś jeszcze; ale kobieta, której gniew mieszał się ze łzami, wypchnęła go za drzwi i zamknęła się na rygiel, aby płakać niewidziana.

Włoch długo się namyślał, potem wziął ukryty w kąciku woreczek, odliczył kilka dukatów, łza mu się zakręciła w oku, westchnął i poszedł ku izdebce Jana tak smutny, jakby sam został wypędzony.

Jan przeczuwał coś i lękał się; powitał jednak wesoło mistrza, którego chmurne czoło, zaczerwienione oczy, skłopotana mina, wiele mówiły.

— Janie, rzekł Batrani cicho, dobywając głosu, kochany Jasiu — poprawił się — musim się rozstać.

— My! rozstać! jako?

— Tak, powtórzył Włoch ocierając łzę rękawem, nie ja, nie ja, ale ona. Maryetta cię wypędza. Nie wiem co zrobił. Musiałeś ją oburzyć temi nieszczęsnymi miłostkami przez okno, ona tak święta i czysta!

Jan spuścił oczy jak winowajca.

— Nie chce cię widzieć więcej w domu, kazała mi cię ztąd wysłać. Lecz dokądże ty pójdziesz biedne dziecko?

I Włoch oparł się o mur zamyślony.

— Ja nie wiem, Bóg poprowadzi, rzekł Jan smutnie patrząc w okno, w którym mignęła twarzyczka Jagusi.

— Jak ty bezemnie, jak ja się obejdę bez ciebie? Niewiem; tyle rzeczy mogłeś się tu jeszcze nauczyć, na tak dobrej byłeś drodze! A! mój drogi, bądź co bądź nie rzucaj malarstwa. Ono jest także kapłaństwem i poświęć mu kobiety, nadzieje znikomego szczęścia, świat, życie. Nie dla sławy, bo cóż sława? ale dla nagród, które znajdziesz w sobie samym. Sztuka jak wiara (na mniejszy rozmiar) sama płaci sobą. Nie porzucaj jej, zaklinam cię. Ludzie cię może nie poznają, świat cię sponiewiera, nie ocenią cię pewnie: będziesz dla jednych za wysoko, dla drugich pozornie za nisko; napoją cię octem i żółcią, przebija ci bok i serce. Ty wszystko to poświęć sztuce, ona wielka, ona ci nagrodzi męcznie chwilami niezrównanej rozkoszy. A jeśli jeszcze wiara dawna, gorąca, w sercu twem z sztuką za ręce się wezmą, ty będziesz szczęśliwszy o kawałku razowego chleba, niż inni opływający w rozkoszach ciała, które się przejedzą, które się przebiorą; gdy rozkosze sztuki, nigdy. Sztuka jedna nieskończona i bezdenna. Sytości nic ma na dnie czary, bo dna nie ujrzysz tam nigdy. —

Janie mój, ale gdzież się podziejiesz, co myślisz począć z sobą!

— Radź mi, ja nie wiem.

— Radzić! Jabym ci radził. Jedno jest tylko na świecie miejsce dla poety, dla prawdziwego artysty, ale ty dziś przynajmniej jeszcze nie zechcesz go, nie odważysz się w nim zamknąć. To jedno miejsce: kla- sztor. Wielka samotność, modlitwa, pogarda świata, cześć Boga podnosząca duszę, oddanie się sztuce bezwyjątkowe. Gdybym miał drugie życie, nie inaczejbym niem rozporządził pewnie! Ale ty...

— Ja mam matkę, siostry w ubóstwie, którym winienem być pomocą.

— Tak, świat cię ściga, wszystko odrywać będzie! Obowiązki, moje dziecko, przed wszystkim. Jesteś synem, bratem. Ale cóż poczniesz z sobą?

— Powrócę do matki.

— Dzielić się z nią nędzą i zwątpieniem. O! nie! nie! jeszcze ci nie pora wracać, z czymże przyjdiesz?

— Gdzież pójdę?

— Pozostań w mieście, spróbuj sam zarabiać na życie, a ucz się.

— Zarabiać! lecz jak? Chceszże żebym na zawołanie, dla pieniędzy, dla potrzeb brudnych, zniżał się do robót, — do robót. —

Batrani się uśmiechnął. — Każdy tak musiał, rzekł. Jestto jednym z warunków życia artysty, być zapoznanym i umęczonym głupstwem ludzi. Trzeba umieć być wyższym nad to. Niedośćże ci, że czujesz piękno i czcisz je w duszy?

— A płodzić będę musiał nieforemne, poczwarne?

— Dla chleba! Wszak Bóg stworzył żaby i węże, aby nimi zapełnić wody i kałuże; możesz i ty zlepku rąk Jego, tworzyć co ci każą na zapełnienie żądań, które są jak kałuże i bagniska.

Była chwila milczenia, długa, ciężka, Batrani wsunął woreczek w rękę Jana.

— Dałbym ci więcej, rzekł, ale Bóg świadkiem, nie mam. Jan rzucił mu się do nóg i oddał nazad ten dar prawie płacząc.

— Weź proszę! Na cóż mi to dajesz? Dałeś mi więcej niż skarby, bo dałeś mi duszę nową, uczucia, myśli, uczyniłeś mnie człowiekiem. Kiedyż ci się i tak wypłacić potrafię? — Pamiętaj o mnie, o starym Batranim, który wkrótce może — (pokiwał głową i umilkł). A jeśli kiedy jaki los szczęśliwy zagna cię do pięknej, czarownej mojej Florencyi, jeśli ujrzysz to miasto Medyceuszów i ucałujesz ziemię grodu sztuki, zejdź na małą uliczkę, gdzie stoi stary nasz domek. Może tam go już nie ma! tyle to lat ubiegło! Pokłoń się odemnie wspomnieniom starym, pójdź na cmentarz Franciszkanów i poszukaj kamienia pod którym leży Giulia Batrani, święta matka moja, pomódl się za nią, i powiedz popiołom...

Głos wrzaskliwy Maryetty przerwał wylanie się Włocha.

— Idź, idź! rzekł żywo do Jana, słysząc jej głos. Bierz te pieniądze. Oddasz mi je gdy będziesz mógł, jeśli zobaczymy się kiedy. Radzę zostać w Wilnie. Zobaczymy się dziś jeszcze, za chwilę, w kościele świętego Jana. Zbieraj rzeczy i idź. Idź! A! czemuż nie mogę cię zatrzymać! Po cichu stary Wioch otworzył drzwi, powiódł okiem za uczniem, który z lekkim tłómaczkiem i teką swoich rysunków, schodził już ze wschodów pomieszany. W ulicy zastanowił się, przypadł do muru, usiadł. Maryetta spojrzała na niego oknem i zaśmiała się ze łzami.

— Wypędzony! zawołała, tak! nie ma go! wypędzony, nie ma i nie będzie. Dobrze! niech idzie, niech zginie, niech przepada.

I upadła na łóżko ślochając.

Jan siedział odurzony pod murem jeszcze gdy dwie siostrzyczki, ujrzały go idąc na mszę.

— Patrz Jagusiu! rzekła starsza pocichu, twój gołąbek! Co to jest?

— Gdzie? A! to on! Cóż tu robi? Z tłómaczkiem! Wypędzili go czy co? Wiem, wiem, rozumiem wszystko.

Jagusia widziała żonę malarza w oknie, domyśliła się sceny całej, postąpiła ku Janowi żywo i dotknęła jego ręki, bo on nic nie widział.

— Panie Janie? spytała, co to jest?

Jan się dopiero ocucił.

— A! żegnam panienkę! odchodzę, idę.

— Dokąd ?

— O! daleko zapewne! do swoich, do matki.

— Ale zkądże to tak nagle?

— Nie mam już miejsca u Batranich.

— Dla czego?

— Nie potrzebują ucznia.

— Wrócisz tu kiedy?

— Czy wrócę? nie wiem, a! nie wiem, rzekł smutnie. To wiem, że nigdy, do śmierci, nie zapomnę

ciebie, dodał kładnąc jej rękę na swem sercu. Chodźmy do kościoła i ja potrzebuję się modlić. Dzwonią na mszę.

Ulice były jeszcze prawie puste, ranek prześliczny, przeszli przez kościół razem, smutni, kilka tylko słów do siebie przemówiwszy. Dziewczynce srebrne łańcuchy w oczach się kręciły! Jan już był mężczyzną i dumał. Batrani po chwili napędził ich niespokojny, znalazłszy jakiś pretekst wynijścia z domu. Wywołał Jana do kruchty.

— Cóż z sobą myślisz? spytał znowu.

— Nie mogę tu pozostać, odparł Jan, później, kto wie, powrócę może. Matka dawno nic nie wie o mnie. A potem cóżbym tu począł? Co dzień więcej przywiązuję się do tego anioła (wskazał na modlącą się Jagusię) muszę uciekać.

Włoch nic już nie rzekł. — Na drogę, wybąknął po chwili, potrzeba ci więcej pieniędzy. Pomyślałem o tem, ale ich nie mam. Jeśli masz dla ranie trochę wdzięczności, przywiązania, jeśli kochasz nauczyciela, przyjm jeszcze odemnie ten stary zegarek, on mi nie jest potrzebny. To pamiątka po ojcu, z nim przybyłem z gorącej Florencyi pod wasze zimne niebo. Oddaję ci go chętnie; w potrzebie, w pilnej potrzebie sprzedasz go, (tu westchnął). Gdybyś się obejść potrafił, powrócisz mi go później. Jeśli żyć nie będę, zachowaj go na pamiątkę.

— O! wolałbym pracować jak wyrobnik, zapłakał młody chłopiec ściskając ręce i rzucając się na piersi starca, niżeli przyjąć taką ofiarę. — Nie chcę, nie chcę.

I w długim uścisku pożegnali się.

Jagusia jeszcze raz rzuciła mokry wzrok na niego. Jan nie czekał dłużej, pokłęknał, pomodlił się gorąco, ze łzami, i ruszył sam nie wiedząc dokąd idzie: oszalony, nieprzytomny. Każda podróż w młodości zajmuje tak silnie! Podróżujemy naówczas myślą po obszarach nieskończoności! a gdy i oko ciała przebiega coraz nowe przedmioty, gdy świat w całej mu się swojej nieskończonej różnorodności przedstawia, dusza i ciało harmonizują rozkosznie. Starcem, gdy wszystko w duszy ssiadło, gdy skrzydła wypęły, i ciału już wówczas nie podróżować więcej. Podróż męczy, nam trzeba spoczynku, spoczynku, cichego przygotowania do śmierci. Jan, który lat kilka przesiedział w mieście nie podróżując dalej nad okolice Wilna i to zbyt rzadko, bo rzadko wstawał od jednostajnej pracy; pomimo smutku głębokiego uległ uroczym widokom nowym jeszcze dla niego, zewnętrznego świata.

Było to lato — w całej krasie jaką ta pora miewa czasem u nas, wszystko ubrane zielenią wesołą, niebo w coraz nowych barwach, ziemia w pełni życia swojego. Pieszko powolnie idąc, zatrzymując się gdzie i jak długo chciał nasz malarz, nieraz dobywał ołówki i dumał długie godziny spoglądając z pagórków w doliny daleko usłane. Ranki parne, wieczory dziwnymi blaski zachodu oświecone zachwycały go; zdawało mu się, że pierwszy raz natura jest tak urocza, tak nieporównanie piękną.

Znużony pieszą wędrowką przysiadł się na wóz wieśniaczy po drodze za małą opłatą przyjmujący go gościnnie na szerokie z siana posłanie; przyłączał się do podróżnych jak sam ubogich ale uboższych jeszcze duchem od niego. Nocował czasem sam jeden pod drzewami, czasem u ognisk

gospody, wśród pokotem usłanych, znużonych jak on ludzi, którym sen był najwyższem szczęściem, bo dawał zapomnienie. Chciwie chwycił te naiwne opowiadania ludu, które się słyszeć dają u gościnnego stoła karczemnego, gdy się człowiek rozgrzeje, posili i wypocznie, a myśl w nim zaszumi. Niekiedy tylko wspomnienie przeszłości tak nagle i niespodziewanie zerwanej, niespokój o jutro, o matkę, o rodzinę, zasępiły mu czoło.

— Jak ją znajdę? pytał się siebie.

I szedł dalej a dalej, a gdy się zbliżył ku rodzinnej stronie, która mu mglisto i niewyraźnie rysowała się w pamięci, podwójnie zabiło serce.

— Co tam się dzieje? co się tam dzieje? powtarzał w duchu i pomodlił cicho.

W kilka dni zmęczony, bo nieprzywykły do pieszej podróży, ledwie już mogąc dźwigać tómaczek choć lekki, Jan stanął na wzgórzu, z którego obejrzeć można było całą znaną okolicę. Miejsce to zwało się Grabową górą, z niego widać było bardzo daleko dokoła: wierzchołki lasów sinych, które przebył, jak ciemna zasłona leżały za nim ginąc w oddaleniu przed nim: kraj znany; w prawo na kraju brzozowego lasu wśród rzadziejących drzew, ujrzał Dworek Brzozowego Ługu, który mu teraz wydał się mniejszy, bardziej przytulony do ziemi, pochyły, stary, ze swą zagrodą kamienną, szopką i znanymi kilką pniakami czerniejącymi wśród podwórka. Dalej, poniżej, spało miasteczko nad rzeczułką za zieloną łąką, miasteczko zwinięte jak ślimak w skorupce, z którego jak dwa rogi, dwie białe wysuwały się wieżyczki kapucyńskiego kościoła z klasztorem, przytkniętego do drugiego pasma lasów. W lewo a dalej Nowy Dwór na wzgórzu, poniżej we mgle Zasiszki, Troba i inne folwarki: drożyny, krzyże na rozdrożach, wąskie grobelki, przecinały obrazek.

Wszystko tak znane i tak nic niezmienione!

Nasyciwszy się widokiem tyłą wspomnieniami brzemiennym, zwrócił Jan niespokojne oczy na chatę matki, jakby chciał zbadać co tam zastanie.

Niewyraźnie ztąd tylko dojrzał nieco lekkiego sinego dymu wzbijającego się w górę, na dziedzińcu nikogo nie zobaczył.

Cisza ranna panowała na drogach, chmury siwe po burzy wczorajszej, porwane i poszarpane wiatrem leciały spiesząc na zachód, gdzie już siny ich wał zapadał. Chwilami słońce błysło na część wielkiego krajobrazu zostawując resztę w cieniu. Dwa czy trzy razy ozłociła się facyata z krzyżem kościoła Kapucynów, któren we świetle panować się zdawał otaczającemu krajowi; potem mdły półcień oblewał znów cały widok jednostajnymi tony. Jan jakby się obawiał iść dalej, pozostał chwilę, potem zawstydzony się własnej bojaźni ruszył żywo. Ale nieraz zastanawiać się musiał. Któż nie zna tego bojaźliwego zbliżania się do domu po długiej niebytności? Człowieka byt i szczęście tak zależą od chwili, od jednego nic, że się zawsze boim nie znaleźć czego najwięcej pragniemy, znaleźć czego się lękamy powracając do domu. Jan szedł i stawał a im był bliżej, tem nierówniej to pospieszał chwilami, to się włókł powolnie. Patrzący z boku wzięłby go może za szalonego.

Gdy wreszcie odkryła się chata ojcowska, krokiem niespokojnym puścił się ku niej żywo, żywo,

aż mu zabiło oddech, aż krew uderzyła do głowy. Pusto było w podwórku. Starego psa, towarzysza zabaw i dumań, stróża, piastuna dzieci nie zastał; trawa gęsta nietknięta zębem koni i była porastała dziedziniec. Szczebiotania siostr, głosu matki, nie; tylko dzieciół bił w drzewo niecierpliwie i wrony krakały unosząc się nad polami.

Drzwi dworku były na wpół przymknięte, lecz Jan doszedł do sieni a nikt go nie powitał. Pustynia, cisza. W sieniach jak zwykle na wsi wszystkie narzędzia gospodarskie stały, leżały przy ścianach: niecki, beczki, żłukta, garnki, grabie, rydło, widły, drabiny, w kątach zepchnięte spoczywały. Otworzył drzwi izby, cicho jeszcze. Czemuż głosu matki, ani siostr głosu nie słyszę?

Przeżegnał się i wszedł powoli.

— Kto tam? ozwały się dwa głosy z głębi, a w jednym z nich poznał Jan głos macierzyński, głos słodki, ale zmieniony i drżący. — Kto tam? powtórzono.

— Niech będzie pochwalony, — podróżny. Stara nieznajoma kobieta wywlokła się z za pieca, przy którym skulona siedziała i popatrzała na Jana głupawym wzrokiem. Potem matka, matka wysunęła się także, patrzyła, patrzyła, zarumieniła się, milczała; przeżyła pięć lat w tej chwili i poznawać zaczynała swe dziecię.

— Matka, wykrzyknął Jan pierwszy, rzucając się ku niej. Mniej była zmieniona od niego; ona zestarzała, zbladła, zmalęła, on wyrósł, wymężniał, wyszedł z dzieciństwa. Łzy zakręciły się w oczach obojgu. To on! — to ona! — Tak zbiedniona! tak hoży i tak piękny!

Czarne oczy kobiety obwiedzione były piętnami płaczu i cierpienia, zagasłe; twarz żółkła i pomarszczyła się, barki pochylili. Świeże dawniej i staranne ubranie teraz tłumaczyło nędzę prawie. W chacie biedniej jeszcze było niż dawniej. Też same ławy, stoły, łóżko; ale sprzęt lepszy, kufry, odzienie wiszące przed tem na kołkach, znikły. Łóżko okryte było mizerną starą kołdrzyną w piecu ledwie iskierka ognia u jednego garnka dymiła powolnie. A ta cisza! ta cisza! Jan rzucił się ku niej i kilka razy powtórzył wzruszony: Matko! matko! — Mój Jan, Jan mój, Jan! zawołała kobieta, chwytając go w objęcia, płacząc, ściskając, modląc się i płacząc znowu. Jan nie śmiał spytać o siostry.

— A! wrócił! moja dobra Małgorzato! powrócił. Widzisz, że wrócił do mnie. Modliłam się o niego do świętego Antoniego jak o powrót zguby, bo mnie strachy o mój jedyny skarb opanowały. Modliłam się i wymodliłam. Jan powrócił!

Aż łzy zatamowały jej mowę i nie dały nic wyrzec więcej.

— Siostr, siostr nie zastałeś, rzekła opamiętywając się jakby po chwili. Widzę, że o nie zapytać nie śmiesz! Nie ma ich, nie ma... i nie wrócą.

Poczęła płakać, porwała Jana za głowę i oderwała się żywo:

— Siadaj, odpocznij! Tyś głodny? Cóż ci dam jeść! Piwa mu zgrzej Małgorzato. Moja stara wyręcz mnie, ty widzisz, że ja nie potrafię, że nic nie mogę. Czemuż was troje do siebie przytulić nie

mogę? Z trojga jedno tylko pozostało! Siostry twoje, dzieci moje, u Boga. Bóg pobrał je na aniołki sobie.

Otarła oczy powolnie.

— Pół roku temu odrą panowała, w chacie chłodno było, zasłabły obie i razem prawie na lepszy świat poszły bez grzechu, czyste duszyczki! Teraz tyś jeden u mnie! A! jak co godzina drżałam o ciebie! Chciałam cię widzieć a nie śmiałam nawet żądać tego. Powiedzże mi coś tam robił? co masz? jaki twój stan? co na przyszłość myślisz? Przytuliszże biedną matkę do siebie?

— Uczyłem się droga matuniu, odpowiedział Jan smutnie, uczyłem się na malarza; ale jeszcze długo i wiele uczyć mi się potrzeba, i wiele pracować. Przerwałem naukę aby ciebie zobaczyć, potem muszę do niej powrócić znowu. Wkrótce jednak spodziewam się mieć kawałek chleba; a dla ciebie spokojną starość i kątek własny przy mnie

— Mój drogi, nagle przerwała matka, ty przyszedłeś pieszo widzę? Musisz być zmęczony bardzo, spocznij, nie chcę cię pytać, ani się skarżyć przed tobą, to na potem, teraz cieszymy się żeśmy razem, ach! tylko nas dwoje! poszły do nieba aniołki.

— Nie jestem zmęczony, nie czuję tego przynajmniej, powiedz mi matko, jakie było życie twoje? Maszże żyć z czego! Maszże kogo coby się tobą opiekował? nie zbywa ci na czym?

O! alboż mi tak wiele potrzeba! odpowiedziała. Schronienia, kąta a łyżkę stawy i kawałek chleba. Gdy mam przy sobie moje dziecko jedyne, ostatnie, czegoż chcesz więcej? nie mówmy o niczem. Ale ty znowu

pójdiesz...

— Jeśli pójdę, to żebym powrócił i zabrał cię z sobą matuniu droga.

— Doprawdy? doprawdy? a dożyjęż ja tego szczęścia?

— Bóg łaskaw, Bóg dobry. — O! dobry, odparła matka ocierając oczy. On mi dał dzisiejsze szczęście. Dla czegoż mi jednak choć jednej z moich dziewczątek nie zostawił? Obie poszły, obie! Gdybyś ty wiedział jak te dwa aniołki umierały. Biedne dziewczęta, to może i lepiej dla nich. Świat tak ciężki ubogim!

Stara Małgorzata krzątając się około ognia, zaczęła gderać na swą Jejmość (tak ją zwała), za ciągle jej płacze.

— Ot, cieszyłabyś się Jejmościuniu z syna, dodała, a tamte że Bóg wziął, nie potrzeba mu ich żałować.

— Prawda, prawda, odpowiedziała wdowa, ale mówże mi Janie o sobie, całując go w głowę dodała zwróciwszy się do syna.

Jan opowiadać jej musiał wszystko. Okno tylko i Jagusię przez wrodzoną wstydlivość zataił,

złożywszy na dziwactwo Maryetty co było zazdrością i gniewem zawiedzionej kobiety.

Matka nacieszyć się nim nie mogła. — Patrz bo moja Małgorzato, wołała, jaki on piękny. Widziałas ty kiedy w życiu tak pięknego chłopca? O! wrócił mój Jan, powrócił.

Tak cały boży dzień, tak zeszła część nocy. Nazajutrz biedna matka powiodła syna do kościoła Kapucynów, wzięwszy najlepszą swą suknię i najweselszą twarz na tę uroczystość serdeczną. W drodze mówili o zamiarach na przyszłość. Jan chciał powracać do Wilna lub udać się do Warszawy, sam już próbować pracy o swych siłach, a gdyby można matkę utrzymywać, wziąć ją do siebie, nie rozdzielać się z nią więcej. Ale do Wilna czy do Warszawy zarówno trudno było dostać się bez opieki, bez pieniędzy. Wdowa nie miała czem bardzo dopomódz synowi, bo lepszy nawet sprzęt w czasie choroby dzieci i na ubogi ich pogrzeb, wszystko aż do koni i owiec, wyprzedać musiała. Mogła wprawdzie dość w miarę jego wartości korzystnie sprzedać swój grunt; lecz gdzieżby podzielała się naówczas? Jan pocieszał ją, że może zapracuje na tę podróż, a w najgorszym razie, o niewielkim zapasie, pieszo, powoli, dowlecze się gdzie do miasta. Matka łamała głowę zkąd dostać pieniędzy, a że pobożna więcej miała ufności w pomocy świętych niż ludzi, poczęła więc zaraz nowe nabożeństwo do świętego Mikołaja i do ulubionego świętego Antoniego patrona okolicy.

Jan postanowił szukać roboty. Westchnął myśląc jak ona ciężką mu będzie; ale konieczność wielka, żelazna siła, każdy upada pod nią, trzeba było w głębi duszy zachować na później myśl i natchnienie artysty.

Krzyżem pobłogosławiła matka gdy wychodził z domu za robotą i usiadła na ławie pod okienkiem goniąc go okiem. Jan poszedł do klasztoru.

Stary znajomy nam z czasów Rugpiutisa Gwardyan dawno był umarł, nowe rozpoczęło się panowanie, przełożony nowy, troskliwy o kościół swój zdawna trochę opuszczony, odnawiał go, oczyszczał, odzłacał, była to właśnie pora dobra do zarobku dla Jana. Dowiedziawszy się o tem, poszedł do celi Gwardyana i skłonił się całując go w rękę.

— Ojcie Dobrodzieju, rzekł — Jestem malarz; uczyłem się lat kilka w Wilnie u Szyrka i Batraniego. Możebyście raczyli mnie użyć do odczyszczenia obrazów, złocenia ram i odświeżania malowań na sklepieniu. Nic mam grosza, a matkę ubogą, chorą i przyszłość, której trzeba mężstwem tylko i pracą wystarczyć. Chleba i pomocy potrzebuję.

Przełożony któremu Jan jak z nieba spadał, począł go wypytywać, a sam niegdyś znawca i człowiek wielkich zdolności, niepospolitej nauki, poznał łatwo, że talent, zapał, szczerść z młodej mówiły piersi.

— Moję dziecię, odpowiedział rozpytawszy się go wprzód, przyjąłbym twoją ofiarę, ale co Kapucyni dać ci mogą? dawniej jałmużny bogate były jak serca, dziś ubóstwo i nas uciska. Niczem ono dla nas, bośmy na nie przysięgli, bo ono powołaniem naszym, bośmy dobrowolnie je znosząc powinni mimowolnym ubogim dać przykład jak się znosić ma niedostatek w pobożności, pokorze, rezygnacyi i weselu ducha. Zapłacić ci jakby było warto za twoją pracę dziśby mi trudno.

— Mój Ojcie, rzekł Jan przejęty, zrobiłbym cobyś mi kazał darmo, za chleba kawałek, przez

pobożność, ale matka i przyszłość!

— Wieleżby ci potrzeba? spytał Kapucyn zamyślając się.

— Nie mam doświadczenia mój Ojczy, rzekł Jan, nie wiem. Matka niema sposobu do życia, mnie trzeba dostać się znowu do Wilna lub do Warszawy, i starać się być już na swoją rękę malarzem, aby jej starość spokojną zapewnić. Gwardyan głową pokiwał.

— Słuchaj rzekł, chodź ze mną do kościoła, obejrzymy wprzód robotę, potem znajdziemy może pobożną duszę, co ją zapłacić zechce.

Brat Zakrystyan otworzył milczący kościół i poszli od ołtarza do ołtarza, Jan wskazywał co zrobić można i potrzeba było, zwłaszcza, dla fresków Danckertsza które pył i kopeć brzydki okrywał, gdyż nieoczyszczane nigdy, lat przeszło sto przetrwały. Do tego potrzeba było rusztowania dość kosztownego i czasu długiego.

— Przyjdź moje dziecię w niedzielę wieczorem. Z rana spodziewam się na nabożeństwo i obiadek kapucyński kilku osób z sąsiedztwa, pomówię z nimi, może też kto dla chwały Bożej kosztów podjąć zechce.

Jan odszedł, wieczorem zaraz z karteczką od Gwardyana przywiózł parobek klasztorny zboża i zapasów spiżarnianych dla wdowy. W karteczce pisał pocziwy ksiądz: "Dzielim się jałmużną, ubogi z ubogim, nic dziękujcie wcale."

Jan tymczasem, pomimo, że chata biedna, światła i izby nie miała stosownej, usiadł malować obrazek dla Gwardyana, przez wdzięczność, a trochę dla pokazania, że coś umie. Czuł że nieznajomy może i ma prawo o jego umiejętności powątpiewać, może się wahać powierzyć mu robotę. Święty Antoni na pustyni którego odmalował szybko, udał mu się bardzo, choć rzucony pospiesznie na płótno i do niedzieli ukończony, prawie od razu tylko, gdyż trzeba go było jeszcze z pomocą letniego słońca wysuszyć.

Matka stojąc za synem pół dnia, każdy ruch jego ręki śledziła. Sercem matki potrafiła odgadnąć sztukę, aby ocenić i zrozumieć syna. Radowała się pracy i składała ręce z uniesieniem. Wyraz twarzy świętego, niebieskie światło skronie jego otaczające, dzieciątko Boże które piastował na ręku, zachwyciły ją.

— Mój miły Boże, to żyje! to żyje! wołała. I dumna, szczęśliwa całowała go w głowę. Nadeszła niedziela; Jan poszedł na nabożeństwo, ale że to była oktawa festu a osób mnóstwo, nie udał się zaraz do Gwardyana, przechadzając po okolicy i czekając wieczora. Po nieszpórach dopiero zapukał do jego celi gdzie jeszcze słyhać było głosy przy starym miodku siedzących gości. Jan wszedł, Gwardyan pośpieszył ku niemu.

— Wszystko idzie dobrze, dzięki Bogu, rzekł zaraz przełożony, pan Łowczy ofiaruje trzysta złotych na poprawę i oczyszczenie sklepień i obrazów. Są one u mnie, uważaj je za swoje. Rusztowania obiecał swoim kosztem wystawić.

Malarz ucałował rękę zakonnika i drżącym rzekł głosem:

— Ojczy, chciej przyjąć tę moją robotę, dla ciebiem ją malował. A gdy Gwardyan rozwijał ciekawy, Jan wysunął się i uciekł. Wszyscy z krzesel powstawali aby ją zobaczyć.

Zgromadzona szlachta hurmem otoczyła księdza i zaglądała chciwie na obrazek, któremu przyglądając się zakonnik zadumał głęboko aż łza zwilżyła mu powieki. On jeden z tego tłumu czuł całą wartość pracy młodzieńczej. Inni to dotykali jej palcami, to szukali błędów usilnie, to chwalili nie wiedząc dlaczego i poco, to spoglądali jakby zrozumieć nie mogli, co tam było do widzenia.

— Ten chłopiec zajdzie daleko jeśli Bóg pomoże, rzekł nareście Gwardyan, człowiek co jest w stanie taki obrazek stworzyć, ma i talent, ma i naukę. Tak młody! próbka śliczna!

— Prześliczna! chórem powtórzyli zapijający miodek, prześliczna!

— A maluje on portrety? spytał ktoś z boku. — Dla czegożby nie? odrzekł zakonnik, nie jestto rzecz tak trudna schwycić podobieństwo, większa daleko myśl swoją tak wyrazić. Dajcie mu robotę, będzie to dobry uczynek. Ala matkę ubogą, chciałby sobie co zarobić, aby się dostać do Wilna lub Warszawy gdzie mu łatwiej będzie na życie i na sławę zapracować.

— Gdyby się nie drożył, rzekł postarzały ex-Ekonom z Nowego Dworu, niechby i mnie i Jejmość odmalował.

— Drożyć się nie będzie ale i wam panie Strukczaszy (dawano mu ten tytuł w niedostatku innego) wstydy by było za mało dać gdy to dla wiecznej pamiątki czynicie, a malarz wyborny, jakiego i po miastach znaleźć trudno.

— Jak Ojciec dobrodziej sądzi, cóżby też to konterfekt mój a Jejmości kosztował? Dwa spore kolorami na płótnie, w ramach, z herbami w górze. — Juściż nie mniej jak po sto złotych jeden jeśli duże, i to bez ram, bo ramy nic jego rzecz.

— A! na rany Pańskie! A toćby lepiej przestać siać hreczkę, a malować tylko i malować. To dalipan piękny wcale mógłby być dochód.

— I wielka bo praca, rzekł O. Gwardyan, wielcy tylko panowie, dodał z lekkim ledwie dostrzeżonym uśmiechem, mogą mieć portrety swoje.

Powiedział to z intencyj, znał ludzi.

— Panowie ! panowie! alboż to my nie panowie! każdy z nas pan, rzekł kręcąc węża Strukczaszy; mnie taki stanie na dwa konterfakta choćby po sto złotych od sztuki.

Inni zbliżyli się opatrywać obrazek świętego Antoniego, a Gwardyan tak zręcznie choć w niewinny sposób, umiał Jana zalecić, że mii znalazł robotę w kilku domach sąsiedztwa. Nazajutrz rusztowania po ka-

plicach stawić poczęto a Jan wziął się gorliwie do pracy. Matka przychodziła niekiedy do niego,

modliła się godzinami, rozmawiała z nim po cichu, dodawała mu serca i ochoty. Cieszyła się powodzeniem syna, a pocziwemu zakonnikowi co ich poratował, do nóg ze łzami upadła.

Godziny w tej pracy płynęły szybko i mile dla ucznia, który wpatrując się w roboty dobrych malarzy doznawał rozkoszy, jakiej kosztują tylko prawdziwi artyści. W długich godzinach samotności, Gwardyan czasem, matka codziennie prawie, niekiedy niewinnie wesół braciszek klasztorny, przychodzili go rozrywać i nie dawali mu smutno zadumać się na długo. Odczyszczanie, poprawki małe i ostrożne zniszczonych, obmywanie obrazów poszło dość szybko. U Szyrka i Batraniego nauczył się był sam z całą ostrożnością potrzebą obchodzić się z starymi utworami, które czasem bezczelnie partacze psują, nieodżałowane wyrządzając szkody. Z Batranim odczyszczali oni część pięknych fresków u świętego Kazimierza i kaplicę katedralną Danckertsa wystawującą cuda patrona Litwy.

W przerwach wielkiej roboty, Jan zaczął portret dla Strukczaszyca z Nowego Dworu. Ale tu ciężej mu szło daleko. Ile wymagań, ile dziwnych znieść było potrzeba sądów! Jejmość utrzymywała, że ją odmalował nie dość młodą i nosa jej nadał, że cień pod nim wyglądał jak zatabaczenie nieprzyzwoite, że była plama na jednym policzku niepotrzebna. Jegomość chciał gwałtem jaskrawej sukni i poważnej miny, której wcale nie miał, kazano poprawiać, przerabiać bez końca. Cały dwór i czeladź zwoływano na sądy: parobcy, dziewczki z praczkami, arędarz, przypuszczeni byli do wyrokowania o podobieństwie i piękności obrazów. Jan srodze cierpiał ale milczał, jeden też sposób w trudnych razach. Przecież tak mu się udało, że i Jejmość z wielkim nosem i Jegomość z poważną miną, byli z siebie dosyć kontenci, chociaż nigdy dosyć jaskrawo odmalować ich nie było można. Gdy przecie dzieci, parobcy, słudzy poznali gospodarzy, i panów swoich, opłacono nie bez stękania koprowiną i złemi tynfami malarza, odprawiając z wżgardliwym, Bóg zapłać.

Zbierał się powoli zasób na podróż pożądaną; ale matka widziała go zawsze jeszcze niedostatecznym. Kilka miesięcy zabrały roboty w kościele i w sąsiedztwie; potem ciężko się było rozstać z matką, nie wiedząc kiedy się z nią znów zobaczy. Wahano się też dokąd się udać? Jan chciał do Warszawy, matka do znajomego i bliższego radziła Wilna. Codziennie u komina jesiennego radzono, naradzano się i nic nie postanowiono. Jan od dnia do dnia odkładał podróż, tracąc odwagę gdy pomyślał iż znowu przyjdzie mu się puścić w świat nieznanomy, tracąc odwagę

starą opuścić matkę, bez sposobu do życia, Bóg wie na jak długo!

— O mnie nie masz się co troskać, mówiła mu co dzień pocziwa matka, ranie tak niewiele potrzeba. Całą przeszłą zimę żyłam z pracy, z przedzenia i robót kobiecych, choć daleko mniej byłam silna, smutniejsza. Stara Małgorzata wdowa jak ja bez kąta i dachu gdzieby się przytuliła, pozostanie ze mną. We dwie zapracujemy daleko więcej niżeli zjeść możemy. Byleby tobie tylko nie zabrakło. A! czemuż nie możemy być razem? ale może doczekam tego! Teraz tyś rai jeden i wszystka macierzyńska miłość zlała się na twoją głowę. Sprzedamy później nasz grunt i wyniesiemy się do miasta.

Miało się już ku późnej jesieni, gdy ciągle odkładana podróż, nareście na dzień pewien oznaczoną została, fundusze na nią zebrane, nabożeństwo odprawione na tę intencją. Gwardyan pobłogosławił, matka wcześniej opłakała. Jan zbierał swoje teki i pakował tłómoczek, wybierał się do Warszawy, Mówiono wówczas wiele o stolicy w której król sam lubownik sztuki, protektor artystów, nieraz w

pracowni Bacciarellego malujący dla zabawki, rozrywał się czując że stoi nad przepaścią. Malarz nasz często myślał o królu, rachując na szczęście swoje, że go ku niemu zbliży.

Nie wiedział, że ten którego na szczycie szczęścia widział, cierpiał może więcej od najbiedniejszego ze swoich poddanych. Słaby Stanisław August szukał po niewczasie pociechy we wszystkim co go od smutnej odrywało terażniejszości. Otoczony blaskiem, wrzawą, a nie dość jeszcze ślepy aby nie widział chmurnego końca tej uczty, na której pierwszym zasiadł miejscu, bawił się jak bawią dzieci, którym lekarz zapowiedział zgon rychły. Wszystko im naówczas wolno, bo jutro umrą. Stanisław August nic też nie odmawiał sobie, co go zabawić i rozzerwać mogło. Szukał rozrywki w zabawach szumnych, w sztukach, w literaturze, w zbiorach, w tych drobnostkach codziennych, któremi żył w niedostatku większego życia.

Był to los człowieka, któremu chleba braknie a konfitur podostatkiem: łechcą one podniebienie, ale nie nasycają.

Sir James Harris (Lord Malmesbury) (1) doskonale maluje stan duszy tego króla w swoim dzienniku.

Raz polowali razem. — Nigdy Waszej królewskiej Mości, nie widział tak wesołym, rzekł Harris. — A! odparł August; — czasem tak miło samemu się oszukiwać!

Drugi raz wziął go król pod rękę poufale:

— Sir Harris, mówił mi, czuję ją dobrze ciernie mojej korony. Rzuciłbym ją do pięćdziesięciu tysięcy djabłów, gdyby mi nie wstyd opuścić stanowiska. Wierz mi, nie ubiegaj się za wzniesieniem! gorycze tylko

(1) Diaries and Correspondence. Lond. 1844. zbierają się w końcu. Przyjdzie ci niespodzianie i nieproszona wielkość, przyjm ją. Gdybym i ja tak był zrobił, lepiejby mi z tem było! Duma mnie uniosła. Chciałem korony, dopiąłem jej, i jestem — nieszczęśliwy. Ten nieszczęśliwy i słaby król bawił się malarstwem, snycerstwem, stawiał we Włoszech posągi sławnym mężom, obchodził uroczyste stuletnią pamiątkę Wiedeńskiego zwycięstwa, malował z Baciarellim, kochał panią G... a płakał łzami w duszy.

Ale wówczas nikt tych łez nie widział, łez słabości, łez dziecinnych, łez bezsilnej niewiasty, widziano tylko powierzchowne wesele i zwodniczą pomyślność. Zachwalano wspaniałość króla, który dawał Karpińskiemu nagi kawał ziemi puszcza niewytrzebioną okrytej, a Naruszewiczowi bogate biskupstwa, którego dnie uprzyjemniali Trębecki wychowaniec Francyi i Węgierski naśladowca Pirona. O. Gwardyan sam zachęcił Jana aby szedł do Warszawy, prorokując mu tam świetne dla jego talentu losy, byleby się dał poznać królowi jakimkolwiek sposobem. Z odwagą w sercu, z tą żądzą gorącą zdobycia świata, która tylko do krańca młodości towarzyszy człowiekowi, Jan postanowił spróbować szczęścia. Niebieskie oczy Jagusi nieraz go zwabiały ku Wilnu, lecz los

matki, nadzieje lepszej przyszłości, rozkazywały iść do Warszawy.

Chłodnym porankiem jesieni, pożegnali się w progu chaty, Jan napotkał był furmana powracającego do Warszawy, który podjął się zawieść go za małą cenę.

— Czemużbym cię nie odprowadziła choć trochę, rzekła matka, dłużej będziemy z sobą. A zobaczymy się kiedy jeszcze? Bóg wie jeden.

Milcząc (bo kto słowa znajdzie w takim razie?) pocieszał ją Jan. Zobaczymy się, zobaczymy prędko matuniu, przemawiał niewyraźnie. Czuję, mam nadzieję.

Idąc ścieżka ku miastu, ciągle tak rozmawiali o przyszłości i nie odeszła matka aż zobaczyła Jana na bryce. Potem stała jeszcze długo, długo, odwracała się często dopóki pył wzbity widziała na gościńcu. Zawróciła się nareszcie ku pustemu już domowi, ale dłuższą drogą, bo zaszła jeszcze do kościoła Kapucynów pomodlić się przed obrazem świętego Antoniego na intencją syna. Znowu miała chmurne dni pędzić, myśląc tylko nad kądzielą, myśląc nawet przy modlitwie. Co on tam robi? Jak mu się tam wiedzie? czekając wiadomości od niego. Stara Małgorzata jedyna powiernica i towarzyska, słuchała macierzyńskich skarg, domysłów i nadziei, potakując im skinieniem głowy lub zinnem:

— Jakoś to będzie, da on sobie radę. Jan tymczasem zamyślony, znużony pobytem na wsi, którego rozjaśniało jedno serce matki i współczucie zakonnika, a ubarwiały tylko praca i myśli, ale niczyja nie ożywiła serdeczna zachęta; jechał powolnie do pożądanej stolicy. Kraj w tej podróży coraz się zmieniał jak tylko może u nas się zmieniać przedstawiając sobą najrozmaitsze próbki. W ogólności jest to kraj płaszczyzn i zieleń, ale wyjątkowo znajdziesz tu góry, znajdziesz niespodzianie urozmaicone widoki. Najczęstsze są wielkie lasy i nie głębokie w nich krajobrazy zewsząd obstawione gajami; przecież i długie doliny ginące w mglistym oddaleniu i nagie równiny dzikie napotkasz nieraz na drodze. Ziemia czarna i żyzna obok złocistych piasków porośniętych czarnym jałowcem, wąskie strumienie i szerokie rzeki i ogromne zwierciadlane jeziora i zielone niezmiernie łąny i głuche puszcze i zaludnione gęsto kąty; wszystko tu znajdziesz na przemiany.

Ręka tylko ludzka zabijającą jednostajnością porozstawiała na tej ziemi budowy, wszystkie sobie podobne i należące do pierwiastkowej epoki, więcej zajętej ubezpieczeniem schronienia, niż myślą o formach jego, o wdzięku linii. Pałace tam i owdzie ukazujące się, miały jeszcze wówczas miny feodalnych gniazd sokolich: poosadzone w widłach rzek, wśród trzęsawisk, wieżycami nasróżone, murami i wały opasane, bramami żelaznymi zamknięte. Ale już mosty zwodzone ledwie gdzieniegdzie na swych łańcuchach wisiały, już z wielu wieżyc porobione gołębniki, a jaskółki słały spokojnie gniazdko na blankach, a mech porastał gzemsy, podwórzec zajmowały szeregi ścieśnione pokrzywy i chwastów. Wierzchołki krągłych rondelli opadały, zamki mieniły się w pałace, gdzieniegdzie ogród włoski z kondygnacyami szumiał na rozkopanych wpół wałach; mostki i kapliczki zajmowały miejsca młynów prochowych i starych skarbców innej epoki świadków. Szlacheckie dworki, jedne z najcharakterystyczniejszych budowli krajowych, wyglądające jak ptaszki z gniazd ze krzaków bzu, wiśni i grusz starych, ze swemi serniczkami, ze spichrzami malowniczymi o galeryach drewnianych, z gankami na słupkach, bramami których rozpięty strzegł jastrząb u szczytu, nieraz uderzały Jana. Widocznie tu było życie i uczucie silne, tu cechy właściwe krajowe ukazywały się. Samo mnóstwo tych dworków mówiło kto tu panem. A jaka różnorodność przy jednostajnej zda się wszystkich

powierzchności. Jedne opuszczone i obite z tynków, inne strojne jakby im się chciało z pałacami mierzyć; w tych herby na facyacie, lam gniazda wróble tylko, lub schnące na tarcicze sery.

Jan wśród próżniactwa podróży, patrząc na dwory, usiłował zgadywać kto je zamieszkiwał, wnikał w ich życie z kolei spokojne lub wrzawy pełne i budował z kilku zdziebeł całe losy, całe historie pełne obrazów i obrazków. Potem zwracał myśl na siebie, na matkę, i biegł popatrzeć duchem na ubogą chatę, stojącą w Brzozowym ługu, tak naga, tak wcześnie pochyloną, tak biedną.

Jednego dnia ukazał ran się wieczorem wielki pałac Sapiehów na górze panującej miastu, gdzie zapewne dawniej musiało być starsze od niego zamczysko obronne.

Teraz wymownie świadcząc o potędze czasu, wielki gmach bez wałów, mostów zwodzonych i wieżyc, stał sobie spokojnie i patrzył po okolicy. Zdawał się mówić ziemi opasującej go, dolinom i miasteczku, wsiom i folwarkom: — Jam pan wasz. Stał jak na straży, podparłszy się w boki długimi galeryami, które trzypiętrowy korpus łączyły z oficynami.

Piękna brama z zegarem wiodła na owalny podwórzec. Pańskie herby świeciły na frontonach, ale w pałacu było pusto. Nie jak dziś, gdy ruina i żydzi opanowali opuszczone a pamiątek pełne miejsce; lecz pusto na chwile, bo panowie odjechali. Lasy, miasteczko, zamek i dalsze widoki, wszystko to razem wzięte, a oświecone na chwilę tak, że pałac w świetle był cały, wywiodły Jana z ołówkiem w rękę za miasteczko, dla naznaczenia sobie widoku tego, na podróźnej księdze, gdzie zwyczajem artystów wziętym od Batraniego, twarze dziwne lub piękne, drzewa, budowy, widoki, zbierał poczynający malarz. Żyd właśnie się tu był zastanowił dla szabasu, nie brakło więc Janowi wolnej godziny. Wyszedł szukać punktu do rysowania. Wieczór choć jesienny był przecie prześliczny.

Pajęczyny srebrzyste jak symboliczne nici łączące z sobą wszystko co żyje, połyskiwały od zachodzącego słońca, lasy fantastycznie ufarbowane jesienią, krwawe, złociste, pomarańczowe, ciemne, białawe, sine, plotły się w wieniec prześliczny; trawy miały barwę brązowego kobierca, gdzie nigdzie resztką zieleni przetykanego, a pożółkłe słomiaste nawet ściernie różnych odcieni, zdały się kwadratami misternie wytkanemi na wielkim tym dywanie. Mleczne chmurki polatywały nabierając barw zachodnich, księżyc czerwony, gniewny, straszny, ogromny, unosił się w sinych parach na wschodzie.

Cisza panowała w pustym miasteczku, które przechodziły stada bydła i owiec, zastanawiając się po kilka razem u wrót go- spodarzy. Jan przeszedł ulicę i piaskiem poza miastem puścił się ku pałacowi.

Zapylony powóz pański obwiązany tłómokami, powolnie włókł się ku miasteczku, ale w nim nie było nikogo, minął go obojętnie malarz. O kilka kroków dalej zdziwił się widząc na niewielkiej wyniosłości siedzącego mężczyznę młodego, przystojnego i ślicznie ubranego. Zdawał się on czytać czy rysować. Byłoto wówczas dziwnem zwłaszcza u nas zjawiskiem. A że to miejsce właśnie najlepiej przypadło mu do rysowania, postąpił ku niemu powolnie Jan wpatrując się uważnie w nieznanego. Byłoto mężczyzna młody jeszcze, miłych rysów twarzy, prawie piękny, z pudrowanym włosiem, różowemi policzki, siwemi oczyma, uśmiechem w twarzy ledwie nie dobrodusznym. Żywo poruszał ręką i niecierpliwił się, rzucał papier i chwycił, mówił do siebie, śmiał się i kiwał głową. Ubrany w ciemny frak i takąż wyszywaną blaszkami kamizelkę długą, z mankietkami koronkowemi u

ręki, na głowie miał na ucho włożony kapelusz ówczesny, maleńki, bez żadnych ozdób. Na nogach, pończochy szare z klinami, trzewiki wytwornej roboty z szerokimi srebrnymi klamrami kameryzowaną robotą. Wielkie guzy sukni także były srebrne, a na koszuli buchastej, błyszcząca szpilka złota z topazem. Para rękawiczek, płaszcz niedbale rzucony, laska i chustka od nosa delikatna, leżały na boku tuż przy nim. Wszystko opowiadało w nim jakiegoś wielkiego pana, nawet owo brwi marszczenie, owe ruchy dziwne, samowolne, gwałtowne, ów uśmiech pogardliwy i niecierpliwe rzucanie się. Jan tak się przybliżył, że cień jego padł na papier rysującego który podniósł oczy siwe, przenikliwe, pełne życia, zatrzymał je na nim, zagryzł usta zmierzwszy od stóp do głowy lice jego i niepoczesne ubranie. Na ukłon Jana odpowiedział lekkim głowy skinieniem, jakby się chciał co najprędzej od natręta uwolnić.

— Waćpan jesteś tutejszy? spytał zwracając oczy na Album.

— Nie! podróżny, i właśnie szedłem także zamek rysować.

— A! doprawdy! szydersko trochę rzekł panicz: spojrzął na Jana ruszając ramionami nieznacznie. Waćpan chciałeś rysować. Zająłem mu dobre miejsce, nieprawdaż? Mnie się jednak zdaje, że nie zawadzi jeśli z niższego odemnie stanowiska na zamek spojrzysz.

— Zapewne, rzekł Jan z uśmiechem także — ale w takim razie linie zbyt uciekać będą, wyda mi się dziwnie i niekorzystnie. Z dołu patrząc często się nam zdaje, jakby to co widzimy waliło się.

Nieznajomy spojrzął Janowi w oczy gdy ten rzucił zarazem wejrzenie ciekawe na Album na którym zuchwał linie, poprawiane, pokrzyżowane, coś tworzyły nakształt niepojętej pajęczej sieci.

— Waćpan zapewne będziesz szczęśliwszy, bo ja tego widoku nie mogę nawet oznaczyć, a słońce szybko zachodzi.

— Spróbuję, rzekł Jan ufny w siebie, bo czuł się silniejszym, a nic go mniej nie kosztowało nad widok z natury. Batrani z perspektywy starego Hondyusza wyuczył go tajemnic dających klucz do pojęcia wszystkich linii pejzażu i architektury.

Siadłszy niżej a tak przecie aby nieznajomy mógł widzieć jego robotę, oznaczywszy w myśli horyzont, rzucił Jan główne linie, oznaczył plany i z dziwna, poprawnością i szybkością wytłumaczył idealnie cały ten wielki widok, któremu kilka cieniów ołówka rozartych tuszownikiem, kilka silnych uderzeń (touches de sentiment) dodały życia i kolorytu.

Nieznajomy w miarę jak się posuwała robota, coraz się jej ciekawiej przypatrywał i mrucał pod nosem. Nareszcie zaintrygowany widocznie, wstał, oparł się na lasce, długo chodził za ręką malarza i odezwał w końcu:

— Wybornie! Waćpan jesteś artysta, co się zowie artysta! I zażył tabaki ze złotej tabakiereczki. Nie mógłbyś mi pan mojego rysunku poprawić, spytał biorąc swoje Album.

— Na cóż mara panu psuć jego myśl, wolę jeśli mu to zrobi przyjemność ofiarować ten nie wiele warty szkic mój. Niech mu to miejsce, pewnie wspomnieniem jakim poświęcone, przypomni.

Uklonił się podając swój rysunek. Młody człowiek jakby się wstydził, że z początku nie bardzo grzecznie przyjął podróżnego, podniósł kapelusz protekcyjnie z wyszukaną grzecznością nieskończenie wyższego ku nieskończeniu mniejszemu i przyjmując dar, rzekł:

— Gdybym mógł czem zawdzięczyć... — Rzecz ta małej wartości, ani wdzięczności, ani podziękowania nie warta. Cóżbym lepszego robił? Jestem więźniem tutaj, bo mój furman zatrzymał się na dzień cały, szukałem zajęcia

— Pan więc jesteś artystą i krajowcem! to dziwna! mierząc go oczyma rzekł młody pan zabierając płaszcz, chustkę i powoli naciągając rękawiczki.

— Artystą? nie śmiem brać tego nazwiska, uczę się i chcę nim być kiedyś, będę może. Ubogi, jadę do Warszawy pracować, o niewielkim groszu, bez opieki niczyjej, ale z wielką ochotą.

Pan spojrzał z ukosa.

— Możeby mi mógł być użytecznym, szepnął. Powiedz mi nim dojdziem do miasteczka, kto jesteś, co myślisz z sobą, gdzieś się uczył?

— Mogę tak pana męczyć?

— O! ja lubię artystów! to lubię wyrzeczone było jakby: lubię pieski. Jan pomimo to, cały w płomieniach począł swoją historią, którą słuchający pan przerywał dziwnymi żarcikami, nic słuchając jej bardzo uważnie. Czasem naiwność wyznań śmiech mu na usta wywoływała. Dopiero o Batranim i nauce u niego, uważniej słuchać począł.

— To dobry wcale malarz, rzekł, znam jego obrazy, tanio się płacą ale znawcy je cenią. Masz pan zapewne tekę swoją z sobą, studia, myśli? może mi ją zechcesz pokazać, stoję w murowanym domu, cały wieczór sam będę, proszę do mnie.

Jan szczęśliwy z tego wypadku, który mu dawał nadzieje niespodziewane, wnosząc, że ów pan do wielkiej jakiej rodziny należy, pospieszył do murowanej gospody.

Przygotowana już herbata i angielski podwieczorek podróżny z jaj, wędlin i słodczy złożony naprędce, okrywał stolik, za którym siedział a raczej wpół leżał na sofie okrytej dywanem nasz panicz. Nie wstawszy nawet i nic podniósłszy się na przybycie Jana, prosił go jeść, ale temu odpadł apetyt choć był głodny. Nadzieja go paliła.

Dobłą godzinę nic nieznaczące tylko odpowiedzi jękając, spędził w oczekiwaniu. Nareszcie słudzy zabrali jedzenie, panicz się wyciągnął na posłaniu i prosił o pokazanie leki.

Roboty Jana daleko większe teraz i pochwały i zdziwienie w nim wzbudziły niż pierwsza próbka na gościńcu, która może nieco miłości własnej artysty w nim ubodła.

— Waćpan jesteś na bardzo dobrej drodze! Będiesz artystą, powiadam ci! są tu głowy wyborne, lecz trzeba żebyś jechał uczyć się dalej niż do Warszawy, trzeba żebyś był we Włoszech. Masz Waćpan znajomych w stolicy?

— Nikogo.

— Mogę więc zawdzięczyć mu za rysunek listem do króleskiego malarza pana Marcellego Bacciarelli, lub do Smuglewicza, który ma z Rzymu powrócić.

Jan poskoczył z takim uniesieniem, że rękę jego ucałował.

— O! nie dziękujże Waćpan! Jeśli mu się moja pomoc na co przyda, będę szczęśliwy zem kraj obdarzył znakomitym artystą. Ale Waćpan masz jeszcze znaczną przestrzeń drogi do Warszawy, a pieniądze? Szczerze mi powiedz wiele masz pieniędzy?

Jan wybąknął cicho co wioził z sobą, a Panicz rozśmiał się na całe gardło.

— Daruj Waćpan, rzekł, nie mogłem wytrzymać, — lecz czyż to podobna?

— Tak jest.

— Czuję się w obowiązku ciągnąć dalej, rozpoczęte przez mego kuzynka Kasztellanica dzieło i dopomóż mu trochę. Oto dwadzieścia dukatów, które mi Waćpan oddasz jeśli kiedy będziesz mógł, jutro gotów będzie list dla niego.

Niepodobna odmalować radości Jana, uniesień i podziękowań, które młody dobroczyńca przyjął z obojętną, zimną grzecznością.

— Zresztą, dodał zegnając go protekcyjnie, ja sam wkrótce spodziewam się być w Warszawie. Oto zwykły mój adres, rzekł wsuwając bilet. Kto wie, czy ja wprzód czy Waćpan staniemy, chociaż ja wracam Pan jedziesz; bo z małym zapasem zapewne bardzo powoli wlec się musisz. Listy i pieniądze nigdy zbyt cennie dla niego być nie mogą.

Rozstawszy się z nowym opiekunem swoim Jan napisał zaraz do matki, oddzielił dla niej część pieniędzy, doniósł o szczęśliwym trafie, uważając go u wrót nowego życia za przepowiednię dalszego powodzenia, za daną przez Opatrzność zachętę do wytrwania.

Jan jeszcze naówczas wierzył w tę Opatrzność tajemniczą, zwysoka ogarniającą jednym spojrzeniem wszystkich ludzi, czytającą w ich myślach, uściełającą im drogi i zsyłającą manę dla ciała a pociechy niespodziane dla duszy. Smutne to były i świetne zarazem czasy, gdy nasz Jan z bijącym sercem wjeżdżał do stolicy tak wówczas zepsutej, tak splamionej wszelkiego rodzaju spodleniem, przedajnością, rozpustą; że nie wiem czy co bardziej nad ten stan chorobliwy głównego grodu dowodziło blizki upadek całego kraju. Ta obojętność u brzegu przepaści, ten szatański taniec rozpasanych rozkoszników po jednym padających w otchłanie, pijanych, szalonych, bez jutra, okropnym był widokiem, lecz straconym dla współczesnych. Mało kto widział rzeczy jak były. Kilku ludzi z sercem, głową, zresztą szlachetnego charakteru, ostatnich przedstawicieli kraju, walczyli z tysiącami bez serca, głowy, bez charakteru, bez żadnego poczciwego uczucia. Jak szlachetne i piękne twarze rzadkie są w tym tłumie, tak rzadka też postać coby lepiej zepsucie, spodlenie malowała, coby równie była typem zgnilizny moralnej, jak pan Podskarbi koronny. To także reprezentant całej tej masy ludzi obojętnych, upijających się na stypie, odzierających katafalk, zwlekających z

dogorywającego trupa ostatnie szaty, ostatnie klejnoty, targujących się z sukcesorami o bogatą spuściznę. O! szumiała bo naówczas Warszawa stypą okrutną, ale nie było prawie oka, coby smutną stronę tego wesela mogło zobaczyć. Wszystkim tak było miło, dobrze; tak się bawiono doskonale! Wprawdzie wpośród śmiechu ozwał się czasem głos straszny, rozeszła nowina ponura, ale wprędce taniec i skrzypki głużyły ten odgłos podobny hukowi poprzedzającemu trzęsienie ziemi. Dla młodego chłopca, coraz pierwszy widział stolicę, widok to był oszalały, straszny: tyle domów, tyle ludzi, zgiełk taki, tłum tak ogromny a tak rozmaity; przepych i nędza, rozpusta i pokuta, starość bez wstydu i dzieciństwo bez sromu, wszystko pomieszczone razem, zbite w jedno, ogromna masa stworzeń sklejonych tysiącem interessów, powiązana wzajemnymi potrzeby i namiętnościami. Zimno się robiło Janowi gdy pomyślał wjeżdżając na biednej, odartej furmańskiej bryce do stolicy: Co ja ta pocznę? jak się tu wyróżnić wśród tylu? jak dać poznać i jak docisnąć!

Wszędzie zdawało się pełno do zbytku, wszędzie miejsca brakło. Bez opieki, znajomych, młody, ubogi, nieśmiały, myślał co począć i już żałował, że za radą matki nie udał się do Wilna. Tymczasem mimowoli pożerał oczyma przepyszne kawalkady pańskie, owe cugi nieskończone, owych błyszczących laufrów, paziów, dworskie kozacznice, strzelców, hajduków, strojnych, wzgardliwych, dumnych, rozpychających tłumy; złociste powozy i skrzywione w nich twarze, naszywane i kameryzowane suknie panów i cudne strojnych kobiet oblicza uśmiechające się, wesołe, tchnące zalotnością, rozkoszą, zdające się mówić: — Co mi dasz?

Zaćmiło mu się w oczach, zakręciło w głowie. Tam leciał laufer z pochodnią wyprzedzając pazia na koniu wysłanego do Pani Krakowskiej, do Pana Zamojskiego, do Księdza ex-podkomorzego, do pani Mniszchowej i t. d., dalej sunął się powóz skromny na pozór lecz smakowny i prześliczny Pani G., ukazującej przez spuszczone okna sławną pierś ową, którą kupiła króla, kibić, której pieśczęty zepsuć nie potrafiły, i dumne faworyty spojrzenie, która wie co może.

Tuż zaraz wieziono trupa na mogiłki a kondukt ze śpiewy przesuwiał się mimo oświeconego szyneczku gdzie tańcowały pijane kobiety z lokajami niemniej zepsutymi od panów. Próżne powozy wlokły się za konduktem; panowie ich nie mieli czasu, grali u W. gdzie im jechać na mogiłki! pan podskarbi koronny incognito spieszył do pewnego domku na Krzywe Koło gdzie miał napatrzonego ptaszka, usiłując się ułatwić między objadem u Kanclerza a konferencyą w zamku, i z zimną twarzą idąc się tarzać w kałuży. Błada jego maska wyzierała z czarnej karetki jaszczurczemi strzelając oczyma, uśmiechem zimnym jak lód. Stary kanonik Szulc szedł bokiem, pieszo, z parasolem pod pachą, w starych łatanych butach, w wytartej sutannie; czemuż postrzegłszy go tak mu się kłania Pan Podskarbi? O! o! nie darmo, czyha na sukcesyą i testament. —

Za nim pędzi, leci, rozbija L..., brat rodzoniuteńki Pani G..., pilno mu na grę, której winien ostatnie wrażenia człowieka zrujnowanego i bez przyszłości. Codzień spodziewa się milionów, zgrywa do koszuli, a król Jegomość targuje się z szulerami o długi rozpustnika! Ostatki zostawił u W... szpinki nawet, pierścienie, konie a co gorzej dwa tysiące czerwonych złotych na słowo: nazajutrz smutna pani G... aż póki nie wyprosi u króla, żeby przegrani! zapłacił. Oj! bywało i gorzej.

Za nim tysiące postaci, coraz dziwniejszych, coraz poczwarniej w oku Jana malujących się; za nim w ostatku — powolnie idący bokiem jakiś poważny mężczyzna pięknej postawy, godności pełnego oblicza, Izą mu niebieskie zachodzi oko, wąs smutno opadł na wargi, ręce się skrzyżowały na piersiach, patrzy i płacze w duszy. I młody wrzący wzgardą chłopiec z orłem spojrzeniem: —

bohaterowie nieznani w tłumie jeszcze!

Zapalano nieliczne latarnie, żydzi snuli się ze światłem, wszyscy zdawali spieszyć, pędzić, uganiać, szturchać, wyprzedzać; wszystkim rzekłbyś pilno nie wiem dokąd i po co. Na zamku, który się przemknął przed oczyma Jana, błyszczało we wszystkich oknach; miasto całe jak tysiące oczów tysiące szyb otwarło jasnych i patrzyło niemi w ciemność. A wrzawa! któż ją opisze tę wrzawę stolicy pod wieczór, gdy wszystkie namiętności wychodzą ze skorupy i lecą się napaść?

Żyd poganiał do znanej gospody, kędyś w pośrodku miasta, do zażyłego czy do krewniaka. Zwykły do fałszu, chciwy na zysk, nielitościwy dla reszty ludzi a zasklepiiony w sobie: częściej jednak niżby myśleć można, żyd uczuje coś przecie i uczucie zapłaci z serca. Ów pogardzony Izraelita ma człowieczą fibrę w skośniałem sercu, co zadrga poruszona, zadźwięczy, aż zimny rozum nakaże jej milczenie.

W ciągu dość długiej podróży Jan potrafił łagodnością swoją, cierpliwem wysłuchiowaniem powieści i przygód, pozyskać nie powiem przyjaźń ale życzliwość furmana. Stary siwobrody Duwid choć zdzierał go jak mógł, czasem znowu za to od cudzego zdzierstwa obronił, gadał z nim poufale, a gdy już wjeżdżali do wrzawliwej stolicy wiedząc o wszystkich Jana projektach, obiecał mu wyszukać tymczasem stancyjkę tania/, obiecał nawet (gdyby tego koniecznie potrzebował) jaki grosz pożyczyć.

— Ja często bywam w Warszawie, mam tu teścia i siostrę, to jak dom dla mnie choć sam jestem z Piasków pod Lublinem, mówił. Gdybyś Ać mnie potrzebował, nu, nie mówię, mógłbym mu co zrobić. I pocierał brodę, Wać dobry człowiek, a dobry człowiek to i żydowi brat, tylko gałgany goje.

Postawiwszy konie w stajni (bo też konie szły przed Janem i im się pierwsze należało staranie), Duwid pomógł wziąć zawiniątko Janowi i poszedł z nim do gospodarza. — Milcz Ać, rzekł, ja sam stancya wam zgodzę, oni by ciebie zdarli, Wać mizernie ubrany, niewiele zechcą, a jak ja godzić będę to odtarguję dla was trochę. Nu! mi! puść się Ać na mnie choć ja żyd, nie będziesz żałował.

Jan zgodził się na te pomocnicze usługi Duwida, a ten w zajezdnym domu najął mu stancya za dwa złote na tydzień prawda na strychu, zimną, czarną, biedną, ale mógłże wybierać?

Żydóweczka strojna, zalotna, kręcąca główką maleńką na tłustym karczku białym zwieszoną od niechcenia, przyniosła świecę i ofiarowała rybę, kawę, mięso, coby chciał. Zgłodniały Jan przyjął wszystko, pilno mu było najeść się i ruszyć w miasto, gdzieby niechybnie był zbłądził i dostał może w ręce oszustów, gdyby Duwid nie przyszedł i nie powiedział mu opiekuńczym tonem:

— Połóż się Ać spać i odpocznij sobie, po nocy nie chodź, ludzi się strzeż. Poznają cię żeś fryc i ogolą łatwo a nie to obedną gdzie w kacie. Drzwi zamykaj, pieniądze noś przy sobie albo tak schowaj, żeby ich broń Boże złodziej nie domyślił się gdzie szukać. Często grosz bezpieczniejszy w popicie niż w szkatułce, nu! nu! wać jeszcze nie żył, a mnie trzy razy do koszuli okradli. Wierz wać mnie.

Jan mało go nie uściskał! a co lepiej posłuchał, położył się głową na tłómczku i tece, zaparł drzwi i nie długoczekając zasnął.

Gdy się przebudził dzień był wielki, ale mało go przez brudne szyby wpadało do izdebki, która teraz dopiero wydała mu się w całej swej brudocie i obrzydliwości. Noc wszystko upięknia i idealizuje, przez nią plam, skaz i brudów nie widać. Szare tynkowane ściany, piec spękany, dwie jakieś ohydne ryciny podpisane przez jednego z tych sztycharzy, co mają sławę bazgraczy na całym świecie, stół kulawy przyparty do ściany olapany piwem, łojem, py-

łem i nie wiem już jakimi ostatkami jadeł, okruchami brudów; tapczan a na nim siennik poplamiony, podłoga chwiejąca i powypalana a od dziesięciu pewnie lat nie myta; stołek wypoliturowany rękami i czemś jeszcze czego powiedzieć nie umiem: oto była izba i sprzęt jej cały. Powietrze dusiło.

Jan chciał otworzyć okno, ale to było zabite; jedna tylko szybka na jednej zawiasie raczyła się odemknąć i wpuścić zgniły, smrodliwy wyziew jakiegoś śmietniska na zaułku.

— Za dwa złote na tydzień to wyborne, rzekł Jan, ale wolałbym dworek matki. Tam jest czem odetchnąć; tu mi przez tysiące ludzi wydychane powietrze, zepsute, skalane do piersi zalatuje — A! cierpliwości!

Począł myśleć o skromnym ale przyzwoitym ubiorze; gdy weszła posługująca czarnobrewa Żydóweczka z figlarnym uśmie- szkiem do zepsutych owych czasowi domu w którym żyta zastosowanym,

— Dzień dobry panu! Pan spał tak długo! dwa razy pukałam do drzwi; Jegomość potrzebuje czego? jest kawa, jest śniadanie? a może czego do miasta?

— Chciałbym sobie, moja panno, kupić jakie ludzkie odzienie, albo kazać zrobić; bo mi się w mojem trudno na miasto pokazać.

— Odzienie! a waj! To niechże pan mówi! Zrobić! po co robić! to tylko wielkie panowie każą sobie robić odzienie, pan kupisz nowe, nowiusieńkie, śliczności u mego stryja. Mój stryj ma handel win, kupuje starzyzny. —

— Ale ja nie chcę starzyzny.

— Ja się omyliła starzyzna! a waj! to lepsze od nowego! Mój stryj kupuje w wielkich domach, u Senatorów. A jak pan chce się ubrać? po francuzku? teraz wszyscy porzucili niezgrabnego kontusza. — — Ubiorę się jak zechcę.

— Zapewne, tak najlepiej. To będzie zaraz. Mój stryj tanio przeda, a jest w czem wybierać. Proszę pana ze mną. Jan zamknąwszy na klucz izdebkę, z pieniędzmi w kieszeni wedle przepisu Duwida, zszedł za Sorką ze wschodów które mu dziś wydały się okropne, tak były połamane, wybite, brudne. IV miarę jednak jak schodziły rozszerzały się i śmiecie się zmniejszało. Zeszli aż na dół; po kilku słowach i chwilce poczekania wyszedł średnich lat żyd w koszuli tylko i spodniach po kolana, w trzewikach, z piórem za uchem i tabakierką w ięku; otworzył ciemny skład i wprowadził Jana do

izby sklepionej, gdzie nietylko widać ale czuć było mnóstwo złożonych sukien. Były tam nowe i stare, kosztowne i liche, pasy i łachmany.

— Co Jegomość chce? spytał mierzając chłopca oczyma.

— Cały ubior czarny. — Doktor? spytał żyd znowu. — Nie.

— Nu a cóż? ksiądz?

— Nie, — malarz.

Żyd skrzywił się pogardliwie i począł szukać, Jan także. Widział on kilka osób na ulicach po drodze, i zrobił sobie wcześniej wyobrażenie o przyszłym stroju; zresztą jako malarz miał trochę smaku: wybrał więc w prawie nowych sukniach cały strój czarny aż do pończoch jedwabnych mało co noszonych, trzewiki nawet z czarno szmelcowanymi stalowymi klamrami znalazły się na podręczu, kapelusz, wszystko.

Ale przyszło do targu, żyd ogromne kładł ceny i nic ustępować nie chciał.

— Waćpan zapłacisz drugie tyle na mieście. Widocznie chciano ułowić i oszukać fryca; Jan pomyślał i rzekł: — Słuchaj mości kupcze, jestem ubogi, nie mam grosza do wyrzucenia; zgodzim się ocenę, połowę zapłacę, a drugą połowę gdy znajdę kogo co lepiej znając się ode mnie, poświadczy że to istotnie tyle ile chcesz warto.

Po długich sporach wśród których żyd trzy razy zamykał i odmykał izbę, chodził i wracał, sprzedał nareszcie żądane suknie. Jan obejrzał po dniu swoje odzienie, które mu się wydało świeże i do miary, i pobiegł z niem na górę. Wprędce ubrany, gotów do wyjścia, pomyślał co zrobić z sobą? gdzie się udać!

Do Bacciarellego nie wiedział jak dojść, ani jak nawet trafić. Zszedł na dół zamyślony błądzić po mieście. Jestto jedna z wielkich przyjemności nowoprzybyłego, gdy jeszcze w ogromnej stolicy błądzi jak w pustyni, wśród ludzi a nieznanym nikomu, wszystko mu nowe, zajmujące a obce: oczy pasie a czuje że nic w sercu go nie dotyka. Jestto rodzaj moralnej kąpieli przyjemnej dla bardzo wielu. Artysta sto razy stawał przed gmachami, sklepami, ludźmi, z tą nowego człowieka ciekawością, ciekawością młodości i niedoświadczenia, którą wszystko zajmuje, zadziwia, zachwyca, unosi.

Tysiące rzeczy nowych zupełnie, a przez to samo kolosalnych, nowe barwy, linie ledwie marzone, twarze tak pełne różności, które namiętne życie miasta nadaje rozwijając wszelką skłonność, jątrząc ją łatwością zaspokojenia: wszystko zastanawiało wędrowca. Jan szedł, topił się w tłumie i błądził w nim długo. Teraz nawet, w blaskach wielkiego jasnego dnia, wydało mu się miasto wielkiem, pięknem, lecz wielość ludzi, ścisk ich, zgiełk, wrzawa, ruch niepojęty męczyły go jeszcze. Powtarzał sobie: Jak dać tu rady? wśród tylu? jak odznaczyć? jak dojść do czegoś?

Potem przychodziły mu na myśl wyrazy Batraniego, nieraz słyszane: Miasto wielkie tysiące dla malarza przedstawia pomocy, wzory żywe, ryciny, obrazy w wielkiej ilości; współubieganie się z

innemi podsyca i zachęca. W tłumie można być jak na pustyni, kto zechce i potrafi. "Ale pamiętaj naprzód, mówił stary Włoch, wyrzec się świata i pokus jego, stłum w sobie żądze, poświęć się całej sztuce, miej ją za cel jedyny dla siebie".

Ta rada była mu przytomną, ale nie wiedział czy potrafi jej sprostać. Pomodliwszy się u Kapucynów, gdzie jeszcze mszę zastał, długo wymęczywszy się niespokojnym oglądaniem miasta, odważył się nareszcie szukać Jan Bacciarellego. Powiedziano mu, że stoi w Zamku, bo król musi go mieć pod ręką i pracownia własna ulubionego artysty łączy się nawet z apartamentami królewskimi. Często do niej schodzi Najjaśniejszy, nie gardząc pędzlem i paletą. Malarz musiał być dumny słysząc to: król sam, król zajmuje się malarstwem; los malarza mógł pod takim panującym być świetny! Serce poruszyło się nadzieją.

Z bijącą jeszcze marzeniami piersią posunął się Jan drogą wskazaną do zamku, ale już w ulicy wiodącej ku niemu, z tyła się powozami mijał, tyle osób spotykał, potem w podwórku ogromnym w taki wpadł zgiewk ludzi, z których żaden odpowiedzieć mu niechciał, bo wszyscy czemś zajęci byli, że całkiem głowę stracił. Spojrzawszy na czarne zleżale ubranie chłopca, nikt nawet nie raczył go objaśnić; chodził od jednego do drugiego, kłaniał się, prosił i wytykany palcami, popychany od drzwi do drzwi, w końcu całkiem głowę stracił, nie wiedział co począć. Nie pojmował, że trzeba było talarkiem sobie drogę torować i nie śmiałyby był nikomu z tych wygalonowanych panów zaproponować datku. Smutny, z niczem powrócił wieczorem do stancyi, a resztę dnia spędził na dumaniu. Stary Duwid i młoda Żydóweczka, która mu jeść przynosiła pocieszyli go zapewnieniem, że nazajutrz byleby chciał zaofiarować talarka, utworuje sobie drogę choćby do samego króla, byle nie oszczędzał datku. "Albo wie pan co, dodała Sore, ja panu dam żydka ubrane- go po francuzku, który czasem wielkim panom służy (zarumieniła się trochę, bo Duwid spojrzał jej w oczy) za talarka on się wypyta, dowie i pokaże panu gdzie masz iść"

Nazajutrz o południu Jan pospieszył ze swoim przewodnikiem i potrafił docisnąć się aż do przedpokoju Bacciarellego. Przez drzwi w pół otwarte ujrzał ztąd ogromne pracownie, szeregiem idące za sobą i wiele a wiele pokojów wysokich, w których kręcili się młodzi ludzie około płócien i stolików. Wnijsć mu dalej nie dozwolono. Z dumną a kwaśną miną spotkał go czarno ubrany siwa wy już człowieczek, sekretarz artysty; poczynając rozpytywać po francuzku. Jan nic umiał po francuzku, zamknięto mu drzwi przed nosem. Wyszedł znów służący dopytując czego chce?

— Chcę się widzieć z p. Bacciarelli.

— Interes jaki?

— Interes. — Od kogo?

— Jak to od kogo? od siebie. Mam prócz tego list do P. Bacciarellego.

— Proszę mi go oddać.

— Sam w ręce muszę go oddać. Kiedy widzieć go mogę?

— P. Bacciarelli widzieć się daje tylko na chwilę i to jeśli jest co bardzo pilnego, między

czwartą a piątą po południu.

To rzekłszy zamknął, mu znów przed nosem drzwi służący. O naznaczonej godzinie stawił się Jan, ale Bacciarellego nie było, malował panią G... Czekał do samej piątej aż nareszcie schwycił wracającego do domu z sessyi malarskiej, znużonego i kwaśnego.

Włoch przyjął go zacierając ręce i ukośnem mierząc wejrzeniem, w przedpokoju, nie zdejmując szuby którą był okryty.

Jak skłonił się i podał list w milczeniu. Bacciarelli począł go czytać, skrzywił się, zmierzył oczyma nowo przybyłego, pokiwał głową i począł z razu mówić coś złą francuszczyzną. Jan odpowiedział mu po polsku. Ruszył ramionami i zawołał złą polszczyzną: — No czegoż chcesz?

— Chcę mieć szczęście korzystać z jego nauki.

Bacciarelli udobruchał się i rozśmiał.

— Ja nie daję lekcyi — rzekł, mam uczniów, ale im płacę nie oni mnie. Wojewodzie S... chce bym wam pomógł i nagli mnie o to. — Choć Waćpan.

I wprowadził go do wielkiej malarni, pracowni na ogromną skalę, której ściany okrywały od góry do dołu obrazy, po większej części portrety różne w całej postaci, popiersia i t. p. Portrety Stanisława Augusta, którego co roku przez ciąg panowania malowano i sztychowano, były tu w największej liczbie, w różnych mundurach, strojach, postawach: najwięcej wyobrażały króla w granatowym generalskim ubiorze z piórem za uchem, u stołu na którym stał kałamarz i karta biała leżała. Piękne ręce królewskie pulchniutkie, białe, obie były na widoku: wyraz znużenia i przymuszonej wesołości może mimowolnie przebił się z fizyognomii królewskiej. Kilka innych obrazów przedstawiały prawie nagie kobiety, jakieś Wenery Kallipygi, malowane z zalotnie, z uśmiechającymi się pyszczkami i mdlejącymi oczyma. Innego rodzaju utworów było mało.

Kilku uczniów ciągle kopiowało portrety Najjaśniejszego Pana, podmalowywało, zarzucało draperye, wykończyło koronki i t. p.

Jan obejrzał się dokoła, ale prócz kilku nóg i rąk nie zobaczywszy żadnego gipsu, żadnych posągów, zdziwił się bardzo. Mannekin w generalskim mundurze siedział zadarłszy nogi na krześle.

— Gdzie pan byłeś? spytał Bacciarelli spoglądając na Jana z uwagą.

— W Wilnie u Batraniego.

— Co to Batrani?? A! a! Włoch, florentczyk, povero! skrzywił się. Co mniesz? robiłeś z natury? malujesz z natury? malujesz

Olejno?

— Trochę, odpowiedział Jan skromnie.

— Chciałbym coś zrobić dla Wojewodzica, rzekł Bacciarelli, c'est un charmant garçon, ale tyłu już mam w mojej malarni! Weź waćpan kredeę, dodał od niechcienia, odrysuj mi co chcesz na tem płótnie.

To powiedziawszy stanął i ciekawie przyglądać się począł.

Jan pomimo przelęknienia, rzucił kilką śmiałemi rysami głowę starca, (w rodzaju świętego Hieronima) oznaczył piersi i ręce złożone, potem główne plany torsu.

— Nie źle, rzekł zakasując usta Bacciarelli, lecz możesz malować? długo malowałeś ?

— Rok!

— A! tylko rok. I zazdrosny Włoch, który się zdziwił śmiałemu rysunkowi Jana, znowu pogardliwą zrobił minę. Jan zawstydził się i smutnie rzekł w duszy: na nic mu się nie przydam.

— Jeśli pan pozwolisz, dodał, ja o to tylko proszę, żebym mógł przyjść czasem i służyć mu na rozkazanie. Żadnej nagrody nic będę żądał. A gdybym mógł mieć kątek jaki i kawałek chleba.

— Każdy z moich uczniów, prócz jednego, stoją w mieście, jedzą w mieście. Dam Waćpanu na to pieniądze, ale dorzucił niedbale, mało mam czasu, ściemnia się, pokaż mi jak malujesz, umiesz się obejść z broszą?

W czasie rozmowy poprzedzającej, kilku młodych ludzi nadeszło z drugiej sali i popostawało dokoła, ciekawie wpatrując się w obcego. Bacciarelli dał znak aby mu dano paletę i pęzle. W chwili spełniono rozkaz, ale najgorsze brosy naturalnie podstawiono umyślnie. Jan stanął u płótna czując, że tu o los może jego chodzi. Nie wiedział on, że Bacciarelli zazdrosny, wszystkie wielkie odpychał talenta, że przysyłane z Rzymu (jak twierdza) obrazy Smuglewicza, psuł umyślnie aby króla ku niemu zrazić.

Głowa starca już rzucona na płótno w chwilę poczęła się cieniować, nabrała wypukłości i ożywiła cudownie. Wyraz jej, koloryt, półcienie, w których cała zatopiona była prócz części czoła i jednej strony twarzy, zdradzały talent silny i oryginalny. Obrysy może były trochę za ostre, zbyt wyraźne, ale zresztą nic jej zarzucić nie było można. Szybkość wykonania, pewność ręki, zdumiewały przytomnych uczniów. Bacciarelli bladł, to czerwieniał.

— Che diavolo! przecedził przez zęby, wcale nie źle, wcale nie źle! Biorę Waćpana na takich warunkach jak innych. Będiesz pracował pod moją dyrekcją, dla mnie i dla nikogo więcej.

— Jak to? spytał Jan nieśmiało. — Tak, rzekł malarz. Co zrobisz będzie mojem, a roboty u mnie nie zabraknie. Robię to dla Wojewodzica. Od jutra proszę być na miejscu. O ósmej schodzą się wszyscy i pracują do obiadu, czasem po obiedzie, ale teraz dni krótkie. O reszcie kolledzy go nauczą. To rzekłszy odwrócił się i wyszedł, ale ze drzwi zawołał do ucznia: Zetrzeć tę głowę, bo płótno mi potrzebne na jutro.

I natychmiast mokra ścierka z terpentyną nielitościwie przesunęła się po ślicznym szkicu Jana. Głowa znikła jak senne marzenie. Jan ujrzał się otoczony ludźmi, którzy mieli być towarzyszami jego;

młodzieżą wesołą, żartobliwą, któraby była niechybnie rzuciła się nań jak na pastwę, gdyby jej nie dał próbki tak dalece zastanawiającego talentu, że najzłośliwsi upokorzonymi, a co gorzej wzruszonymi się uczuli.

— Jak się nazywasz kolego? i z kąd przybywasz? rzekł jeden. Jan dopiero po tem pytaniu rzucił okiem na swych towarzyszy. Było ich pięciu. Okryci zielonemi bluzami, różnych wzrostów i postawy, otaczali go ciekawi. Ten który pytanie rzucił, słuszny, czarno-oki, piękny, i całkiem już mężczyzna, bladej twarzy, rysów szlachetnych, zdał mu się najsympatyczniejszym. Ogień błyskał w jego oczach: ruchy, postawa, wszystko mówiło o szlachetnym charakterze, o duszy dumnej ale czystej. Drugi za nim stojący mały blondynek, z zadartym noskiem, niebieskimi a zbladłemi od śmiechu oczyma, tak się wszystko w nim śmiać zdawało, opierał się na malsztoku, a rękę trzymał w bok wparta. Trzeci mały także i trochę ułomny, seryo poważny, włos ciemny rozczochrany, ręce silne i ogromne, czoło chmurne, brwi zmarszczone, usta zapadłe, nosił ślady schorowania, boleści, strapiień; stał z boku i nie mieszał się do szeptów i rozmowy. Czwarty cienki, smukły, piękny jak anioł, mający coś wy-razu i rysów twarzy Rafaela, w berecie axamitnym na uchu, z włosiem blond długim, ubrany był wytwornie; szeroko wyłożony kołnierz koszuli dawał mu coś dziecinnoniewieściego. Był to faworyt Bacciarellego; a różnic sobie ludzie to upodobanie w nim mistrza tłumaczyli. Ostatni najświeższy przybylec, wzrostu słusznego, pospolitych rysów twarzy mężczyzna, nie miał wybitnego wyrazu, obojętnie spoglądał, bez ciekawości, bez zajęcia, bez ognia, ruszał machinalnie pęzlem po palecie, który trzymał w rękę. Myśl jego widocznie była gdzieindziej.

Na zapytanie pierwszego Jan odpowiedział:

— Jestem Litwin, uczyłem się w Wilnie, miałem list od Wojewodzica S... Chcę się uczyć. Jestem ubogi a kocham sztukę. Was panowie i przyszli towarzysze proszę usilnie o przyjaźń, a sam starać się będę na nią zasłużyć. Tych kilka słów prostych, przerywano bo z uczuciem powiedzianych, dobre zrobiły wrażenie. Ostatni z uczniów, obojętny, i faworyt Bacciarellego w axamitnym berecie poszli zaraz do sąsiedniej sali, spiesząc zapewne do roboty. Jan pozostał ze trzema, owym figlarnym śmieszkiem, pierwszym co go był zapytał i smutnej twarzy ułomnym.

— Daj ci Boże szczęście mój Żmudzinie, mój Litwinie, rzekł żartowniś, ale czy wiesz co cię czeka? Całemu światu wiadomo, że Litwa jest dotąd pogańska i że czci żaby i węże, musimy cię więc ochrzcić.

— Widzisz, że to ubogie chłopię, przerwał ponuro ułomny, daj mu pokój ze chrztem i bierzmowaniem. Może przybył tu o ostatnim groszu, spiesząc jak do portu ocalenia.

— Więc już nie ma za co nawet towarzyszom chrztu sprawić? spytał młody chłopak. — Znajdę, rzekł Jan, ale będzie ci smakować kollego, grosz ubogiego, choćbyś go w najlepsze wino zamienił?

— Za tę odpowiedź niech cię uściskam, zawołał wesoło chłopiec, darujemy ci chrzest. Dowiedziona, że byłeś ochrzczony za Władysława Jagiełły, przez biskupa Dobrogosta, a chrzest się nic powtarza. Dixi.

To mówiąc porwał go za szyję i ucałował serdecznie. Pierwszy co Jana zapytał i ułomny zbliżyli się do niego z zajęciem, ścisnęli go za dłoń i prawie razem szepnęli: — Poczekaj, pójdziemy razem.

Nieopatrznie sympatyczna jest młodość, nie ma ona tajemnic, którychby się wahała powierzyć: ściśnienie dłoni, uśmiech przyjazny, słówko serdeczne, całą ją zabiera i płaci. W chwili potem Jan schodził ze wschodów powoli, słysząc goniących już za sobą dwóch towarzyszków co mu szeptali u wyjścia aby się nieco zatrzymał.

W podwórzu dogonili go i szli razem. — Słuchaj, rzekł mały ułomny, którego zwano Felixera. Jaki zły duch zagnał cię do pracowni Bacciarellego?

— Zły duch? spytał Jan, ja to miałem za największe szczęście.

Drugi, w malarni przewany Longinem i wabiący się na to narzucone nazwisko dorzucił:

— Oj śliczne szczęście! sprzedać się z duszą i ciałem człowiekowi co ci każe pracować jak maszynie, pracować dla siebie ze swej myśli, niewolniczo-bezimiennie.

— Chodźmy do Saskiego ogrodu, prze rwał Felix zwany Chmurą, opowiesz nam jaka cię tu burza zagnać mogła.

Jan po prostu opowiadać zaczął wszystko o sobie: młodość swą, naukę u Batraniego, pobyt u matki, podróż, spotkanie z Wojewodzicem.

— Wojewodzie S..., rzekł Chmura, pomścił się na tobie za upokorzenie, którego doznał, zarekomendował cię Bacciarellemu na twoją zgubę.

— Nicze się tu nie nauczę? spytał Jan.

— Widzieliśmy próbkę tego co umiesz, rzekł żywo Longin, Bacciarelli bladł i czerwieniał patrząc na twoją robotę. Rad cię użyje, ale nie spodziewaj się nic prócz wprawy mechanicznej ręki. Może napatrzywszy się na nasze roboty stracisz śmiałość linii i cieniów, nabędziesz miękkości i mglistości, zlania tonów cudownego, którem celujemy. Ale głowa ci się nie rozwinie, bo u nas nie mówi się o sztuce, nie tłumaczy żadnej czynności, bo sam może mistrz jest tylko zręczną maszyną. Za to używać cię będziemy bez litości!

— Ja miałem nadzieję, że ztąd po jakimś czasie do Włoch się dostanę.

— Nadzieja nas wszystkich! Żaden przecie tego nie dopiął, prócz Smuglewicza, o którego już Bacciarelli jest zazdrosnym. On nie wiele dba o rysunek, chociaż ma go jeśli się o to stara, nie wiele stoi o wyraz, trochę więcej o mity, harmonijny koloryt, a nade wszystko o podobanie się królowi, i tym przed którymi dworuje. Najwięcej robi portretów i nagich bogiń. Jeśli kogo wyśle do Włoch, to chyba w przekonaniu o niewielkiej jego zdadności i zmuszony. Ciebie zaś nigdy.

— Pochlebiasz mi, rzekł Jan, ale ja czuję jak mało umiem.

— Pełen jesteś prostoty lub wielki z ciebie figlarz, dodał Chmura.

— Bierzcie mnie jak widzicie. Wolę być oszukany niżeli oszukiwać. Radźcie mi co mam począć?

— Stało się, wpadłeś w kleszcze Bacciarellego i nie łatwo z nich wynijdziesz, wprawdzie nie miałeś może do wyboru. Chybabyś...

— Chyba co?

— Chyba cię król wyróżni i postrzeże. W takim razie Bacciarelli pod jakimkolwiek pretekstem usunie cię z przed jego oczów. Wolno ci naówczas będzie osiąść samemu, żyć z pracy i zająć się malarstwem swobodnie. Tak rozmawiając chodzili długo, a dwa poczciwe serca wylały swój smutek w duszę Jana który postrzegł, że wielkie szczęście jakiego dostąpił, na oko tylko było wielkiem szczęściem a w istocie wielkiem na drodze postępu opóźnieniem. U Bacciarellego bowiem prawie nic nie mógł się nauczyć, a bardzo wiele zapomnieć.

Gdy się trzej towarzysze rozstawać mieli, Chmura niektóre jeszcze dobre rady dał na pożegnanie temu, którego już uważał za pokrewnego w nieszczęściu i przyszłego przyjaciela.

— Zdaje rai się i chcę na to rachować żeś niezepsuty i poczciwy, rzekł powolnie, przyjmij niektóre rady mogące ci bardzo w nowem życiu posłużyć. Nie mów prawdy zbyt porywczo, a gdy komu niemiła zamilcz ją całkiem. Niepotrzebnie porobił- byś sobie nieprzyjaciół. Nie pokazuj swojej wyższości. Strzeż się pięknego kolegi co ma minkę Rafaela a chodzi w berecie jak on, jak on się uśmiecha: a serce ma Guida!

Strzeż się milczącego słupa, który jest także zausznikiem Bacciarellego. Wesoły chłopiec co cię chciał ochrzcić, dobre dziecko, ale dziecko. Nam zaufać możesz. Ja i poczciwy Longin wzdychamy tu jak Izraelici na pustyni. Tamtym chce się pieniędzy, chce się świata i gotowi spodlić się aby je mieć: my myślim, że sztuka jest rodzajem kapłaństwa, jak mówił twój nieoszacowany stary Batrani. Bądź zdrów. Lecz gdzie ty mieszkasz?

Jan ze wstydem wyjąknął.

— Słuchajże, przerwał Chmura, przenoś się zaraz do mnie, mam mieszkanie obszerne, jasne, gdzie można pracować, gdzie będziemy we dwóch. Stoję niedaleko zamku, bliżej nam będzie chodzić. Wspólnie opłacim mieszkanie i razem go- spodarować w niem będziemy: obu lżej nam będzie. Jeśli później nie pokażesz się tak dobrym chłopcem jakim mi się dziś wydajesz, no, to się bez ceremonii rozstaniemy.

Ofiarę tę z radością Jan przyjął i tegoż dnia przeniósł wieczorem rzeczy swoje do Felixa, którego mieszkanie czyste, widne, wygodne, rajem mu się wydało po smrodliwej izdebce w żydoskiej gospodzie.

Nazajutrz i następnych dni kazano Janowi podmalowywać portrety, które on sobie właściwym kolorytem nabranym u Batraniego, szerokim pędzlem, szybko i grubo odszkicowywał. Nie podobała się ta maniera mistrzowi i pierwszy ulubieniec Włocha począł ją wyśmiewać, skazywać na nią. Kazano Janowi zastosować się do manieri miejscowej i robić jak wszyscy. Praca była niesłychanie jednostajna, niewolnicza i bynajmniej nienauczająca. Bacciarelli rzadko przychodził i poprawiał, a najłżejsze odstępstwo od swegosposobu karcił jak przestępstwo. On jak wszyscy ciasnej głowy ludzie, widział tylko jedną doskonałość swoją. Nic pojmował, żeby piękność mogła rozlicznymi

środki i w różny coraz sposób być wydana. Jan postrzegł wkrótce, że zamiast uczyć się, cofał. Dusza jego wzdychała do Włoch, ale jak mu się tam dostać?

Chmura boleśnie żartował z nadziei.

— Wpadłeś w studnię, mówił, siedźże w niej spokojnie. Pracujmy cicho u siebie; mamy całą niedzielę a czasem i święta; możemy mieć wzory, używajmy resztek zbywającego czasu, abyśmy się doskonalili sami. A nadewszystko chceszli być artystą, unikaj miasta. To sodoma i gomora!

W istocie Warszawa wówczas zasługiwała na to nazwanie, tak była zepsuta, tak przegniła od górnych warstw towarzystwa do najniższych prawie.

Jan ocierał się między ludźmi i poglądał zblizka na jedną z najciekawszych epok krajowej historii, na tę stypę pijanych grabarzy, która się zowie świetnem panowaniem Stanisława Augusta. Codziennie w zamku bywając, pomimowolnie wnikał w to życie dziwne zmianami opinii, fizyognomii, charakterów, gdzie nieledwie wszystko obracało się na najnieszlachetniejszej osi osobistego interessu.

Feliks, towarzysz codzienny jego, jak Kassandra wzdychał przepowiadając smutne przebudzenie po szale: dla niego kłamane wesele nie miało tajemnic.

Przybycie do Warszawy na sejm, księżnej kurlandskiej ze świetnym dworem i przepychem królewskim prawie; nowe jeszcze wlało życie w len ruch już i tak do szału podobny. Bale goniły za balami, król Jegomość przelatywał motylem od piękności do piękności; przysiadł się był nawet razem z księciem Sapiehą przy księżnej Biron; ale go zazdrosna odwołała G... i posłuchał.. Jan wpatrzył się przez czas pobytu swego w Warszawie w ten obraz który podobno nie znajdzie malarza coby go wystawił w całej fantastycznej okazałości jego i szkaradzie. Jego wspomnienia ze smutkiem jako obce przedmiotowi powieści, całkiem tu wyrzucać musimy.

.....

Żyjąc tylko jedną rozmową z przyjaciółmi i pracą domową, którą sam wedle swej myśli kierował, Jan począł nareście rozpaczać nad sobą. Nie było promyka nadziei dostania się do Włoch, nawet sposobu wyróżnienia się od drugich i okazania talentu.

Szczególny traf pomógł mu do podróży upragnionej i dziwnie spełnił życzenia, gdy się już był wyrzekł długo karmionych chimerych młodości.

W chwilach wolnych malowali oni oba z Feliksem w domu u siebie, chociaż to zdawało się przeciwne umowie z Bacciarellim, który ich całkiem chciał mieć sobie za- przedanych. Roboty te wszakże nie wychodziły z malarni.

W czasie stawnego karuzelu na pamiątkę zwycięstwa Jana III pod Wiedniem, karuzelu, który tyle kosztował króla, a z takim śmiesznym odprawiony był przepychem — Jan dostawszy bilet i pozwolenie, był przytomny. Wszyscyście pewnie słyszeli o tej Stanisławowskiej zabawie, na którą z zagranicy zjeżdżali się ciekawi; gdzie damy zwycięzcom turniejów przypinały złote i srebrne na

niebieskich wstęgach medale, a zwycięzcami byli ośmnastoletni chłopcy, co drewnianych kiereszowali Turków, kółka łapali w pędzie koni na kopie, lub brechlace łamali nadkruszone.

Przypatrzył się Jan walkom liliputów i świetnym zwycięstwom, będącym najsroźszą krytyką panowania tego i całej przepysanej uroczystości, takimi naówczas okrytej oklaskami i cudnemu nakoniec fajerwer- kowi, który zielonym ognistym laurem oświecił kamienną twarz bohatera.

Nazajutrz gdy z dowcipnym dwuwierszem przylepiano kartki:

Sto tysięcy karuzel, jabym dwakroć łożył.

By Stanisław skamieniał, a Jan III ożył, a król uśmiechał się przyniesionemu conceptowi, mówiąc nań: — A to wcale dowcipnie! (ale z gorzkim ust skrzywieniem); Jan rysował z pamięci widok dość malowniczy gonitw, w chwili gdy paziowie, gwardyacy i kadeci z szablami na siebie nacierają (gadzie Lipiński dostał taki raz od Nakwaskiego przez gębę, że od niego na całe mu życie szram pozostał).

Rysunek ten zrobiony w domu, naprędce, przyniesiony został do malarni i porzucony na krześle. Jan niedbale go wprawdzie wykonał i massy tylko pooznaczał, ale w obraniu punktu widzenia, grupach, pojedynczych postaciach, znać było malarza. Konie narysowane były z ogniem i wybor- nie, jeźdźcy cięli się serdecznie, co na obrazkach rzadko. Dla znawcy rysunek ten wart był wiele. Król tego dnia opatrujący malarnię Bacciarellego, dla zdecydowania o portrecie pani N..., która odmalowana została leżąca w łóżku i bawiąca się z pieskiem, prawie naga, z uśmiezkiem figlarnym, z ręką na głowę zarzuconą, w pozie dziwnie bezwstydney; chodził od trójnoga do trójnoga, a przechadzając się postrzegł zamazany arkusz niebieskiego papieru.

Z ciekawością wziął go w ręce.

Bacciarelli szeptał. To bazgraniny moich uczniów.

— A! to karuzel, rzekł Stanisław August

i wybornie schwycony. Co za rysy pewne, jaka śmiałość ręki, jakie grupowanie! kto to rysował?

Jan pobladł, milczał nie śmiejąc się odezwać.

— Nie wiem, który z nich, rzekł Bacciarelli, ale niby mimowolnie i z roztargnienia wskazał na faworyta swego w axamitnym berecie.

— Winszuję ci mój chłopcze! odezwał się król wpatrując coraz uważniej w rysunek; prawdziwie wybornie, chciałbym żebyś spróbował odmalować to dla mnie pod okiem Bacciarellego.

Młody chłopiec nie śmiejąc brać dla siebie niezasłużonych pochwał, już miał usta otworzyć i odezwać się, że nie on to rysował, bo i na karuzelu nawet nie był; gdy Bacciarelli zagadał Najjaśniejszego znawcę, który odszedł do jakiegoś obrazu, a nieco później wrócił do swoich pokojów. Jan odebrał swój rysunek i schował go.

W kilka godzin potem wbiegł do mieszkania Feliksa i Jana ulubieniec malarza, prosząc o rysunek karuzelu, wedle którego kazano mu widok gonitw malować,

— Maluj, rzekł Jan jeśli chcesz i jeśli ci kazano, ale maluj sobie z głowy, z pamięci, bo ja mego rysunku ci nie dam. — Proszę do pana Bacciarellego, kwaśno odpowiedział wychodząc faworyt.

Jan poszedł natychmiast; Bacciarelli przyjął go blady i gniewny mówiąc na wstępie:

— Proszę o rysunek karuzelu, Rudolf będzie go malował.

— Rysunek jest moją własnością, odparł Jan.

— Wszystko co pan robisz jest moje, za to mu płacę, rzekł w gniewie Włoch miotając oczyma. Taka była umowa nasza. Podoba mi się kazać Rudolfowi malować i malować będzie.

— Być może, ale nie z mojego rysunku. Jestto pamiątka, którą chcę zatrzymać dla siebie.

— Maluj więc razem z Rudolfem, wyjąknął malarz szybko.

— Nie mogę, bo wiem, że to tylko jemuby na coś posłużyło, jemu sławę nie mnie przyniosło. Nie chodzi mi o nagrodę żadną, ale o własność pomysłu, której nie dam wzięść sobie. — Waćpan jesteś uparty i zarozumiały, zawołał Bacciarelli ściskając ramionami i ostrem wejrzeniem ścigając Litwina. Waćpan wiesz, że śmiesz się sprzeciwiać woli królewskiej ?

— Ja!!! z rozkoszą woli Najjaśniejszego Pana będę posłuszny, jeśli mi się pracy mojej wyrzec rozkaże.

— Wolą jest Jego aby Rudolf malował.

— Niechże maluje, odrzekł znużony naleganiem Jan, ale pracując nad sobą aby się nie poddać.

— Waćpan mu będziesz pomagał ? dodał tryumfujący Bacciarelli

— Nie.

— Stanowczo?

— Stanowczo, nie.

— Proszę więc nie powracać do mnie.

Jan skłonił się i wyszedł.

Ta scena, która w gniew niepojęty wprawiała Bacciarellego, rozeszła się od ucha do ucha podawana po zamku; od uczniów z malarni do paziów J. K. Mości i dalej.

Nie bardzo lubiony Bacciarelli, powszechnie wyśmiewany był przez wszystkich.

Turkuł ów sławny paż królewski, figlarz i dowcipniś, którego żarciki lubił Stanisław August, a śmiałość tolerował, bo ta go bawiła — Turkuł był narzędziem szczęścia dla Jana.

Turkuł wysiany został z prześlicznymi wiśniami, nowalią osobliwszą od króla J. M. do pani Zamojskiej. W drodze, zepsute dziecko, trzpiot i łakomiec, tak się wpatrzył w wiśnie, że mu się ich poczęło zachciewać niezmiernie. Ulegając nieszczęsnej pokusie, zjadł śliczne wiśnie posiane, po jednej aż do dna; a na miejsce ich kupił w straganie kwaśnych i maleńkich, odnosząc je od króla pani Zamojskiej. Nazajutrz gdy Stanisław August odwiedza siostrzenicę, skarży mu się pani Zamojska: — Cóż to za żart zrobiłeś W. K. Mość ze mnie? Przysłałeś mi jakieś wisienki, których w usta wziąć nie mogłam,

— Jakto, ma toute belle, prześliczne, łutowe i najpierwsze wiśnie!

— Szkaradne, drobne, kwaśne!

— Kto je przyniósł?

— O! nie wiem doprawdy.

— Czy nie Turkuł?

— Bardzo być może, dorzucił przytomny Bacciarolli, który malował portret pani Zamojskiej dla króla, — wczoraj go widziałem na koniu stojącego przed straganem nic opodał ztąd i kupującego wiśnie.

— A łotr! śmiejąc się zawołał król, il n'est pas degouté!!

Z powrotem do zamku przywołują pazia.

— Coś zrobił z wiśniami pani Zamojskiej? spytał król kręcąc go za ucho.

— Najjaśniejszy Panie! a cóżem miał zrobić, dopełniłem ich przeznaczenia. Tak! ale nie oddałeś ich pani Zamojskiej. Na miejsce ich kwaśne jakieś, brzydkie, maleńkie! — Prędko jechałem, utrzęśli się może, zbiły i skwaśniały.

— Bacciarelli powiada, że cię widział kupującego jakieś wiśnie w straganie ?

— Mnie?

— Waści.

— No! to wolę wyznać W. K. Mości, że mnie skusiły jak jabłko Adama. — Owoce dla mężczyzn są tak niebezpieczne! Daruj królu! Wiśniom i kobietom oprzeć się niepodobna! dodał z głębokim westchnieniem i udanym strapieniem. P. Bacciarelli! (zapłaci mi, szepnął do siebie) on zawsze widzi co chce, a czego nie chce nie widzi. —

— No? czegóż tam się nie dopatrzył, panie Turkuł?

— O! wielu rzeczy Najjaśniejszy Panie! Naprzykład zobaczył, że pan Rudolf rysował Karuzel, a nie widział, że rysunek, który W. K. Mość pochwaliłeś, był wcale innej ręki.

— Innej ręki? czyjeżże naprzykład? — Biedaka Litwina jakiegoś, który z tego powodu wyszedł od Bacciarellego i stracił miejsce, nie chcąc dać malować ze swego konceptu.

— Pleciesz Waćpan! rzekł król obojętnie. Tegoż dnia było posiedzenie w malarni

dla portretu nowego J. K. Mości corocznie się malującego. — Po krótkiej chwili wyszedł Stanisław August do innych sal zobaczyć roboty poczęte: zbliżył się do Rudolfa i zapytał wpatrując się w niego:

— A co? mój Karuzel?

— Najjaśniejszy Panie, podchwycił Włoch szybko, jeszcze się do malowania go przygotowujemy.

— Wszakże to Rudolf go rysował? dodał z intencją król mierząc go oczyma.

Ten postrzegł a raczej przeczuł z wyrazutwarzy królewskiej, że się coś święci nie dobrego i chciał wyprzeć się nie swojej roboty, ale Włoch przerwał nie dając mówić. — Zdaje mi się, rzekł żywo, żem się omylił mówiąc W. K. Mości, iż on rysował. Ale to pewna, że tak drobnego przedmiotu. o tysiąca szczegółach nikt nad niego lepiej wykonać nie potrafi. Il a une touche très spirituelle; pod mojem okiem byłby się dobrze z włożonego nań polecenia wywiązał.

— Któż przecie rysował? spytał król obojętnie.

— Nie ma go tu, odrzekł Bacciarelli, nie wiem czemu od kilku dni nie przychodzi, musi być chory.

— Niech maluje Karuzel, ten co pierwszy miał myśl szczęśliwą rysować go, — proszę cię Mości Bacciarelli.

To rzekłszy król się odwrócił i poszedł. Po południu Włoch posłał po Jana, ale Jan zrazu przyjść nie chciał. Wysłano z naleganiem raz drugi, i przyszedł nareszcie. Bacciarelli przyjął go zimno, udał jakby nie wiedział dla czego tyle dni nie pokazywał się w pracowni i nakazał brać się do Karuzelu. Jednakże chcąc sparaliżować efekt obrazka, wyznaczył rozmiar tak mały, że przy mnóstwie osób niepodobieństwem prawic było wybrnąć zwycięzko z tak trudnego zadania. Jan podżęgnięty trudnością, w kilka dni prawdziwe stworzył arcydzieło: drobniutkie figureczki wykonane lekko, łatwo a z duszą, żyły; wszystko było wyraźne choć drobne a nie twarde; eksekucya zachwycała barwą i światło-cieniem. Pod pretextem poprawek, Bacciarelli popsuł obrazek. Jan zobaczył to i zebrawszy się na odwagę, potajemnie starł świeże jeszcze poprawki cierpliwie i przywrócił robotę do pierwszego stanu. Malarz nic o tem nie wiedział, nie spodziewał się takiego zuchwalstwa, a śpięgi pracowni nic dojrzeli tego i nie donieśli. Obrazek wysychał w kącie. W kilka dni król zapytał o Karuzel. Przyniesiono mu go, ale jakież było zdziwienie Bacciarellego gdy na nim roboty swej nie mógł znaleźć: oczy mu zaszyły krwią od gniewu, zagryzł wargi, ale zmilczał w początku. — Bestja! mruknał tylko przez zęby.

Stanisław August tak był kontent z roboty, tak się nią bawił, że w uniesieniu chwilowem, nie

zważając na kwaśne uwagi i krytyki Włocha, rozkazał zawołać Jana i spytał go czegooby życzył?

Ośmielony łagodnym i wesołym wejrzeniem króla, Jan rzucił mu się do nóg, w kilku słowach opowiedział biednego swego życia historią, a z piersi wyrwał mu się wyraz ów żądań niepoahamowanych każdego artysty: Włochy!

— Jedź, rzekł król, a wracaj nam mistrzem! Jest już tam nasz Smuglewicz, po którym wiele się spodziewam. Wiele ci dać na podróż nie mogę, ale artysta obejdzie się małem: wyznaczę ci pensyjkę i na podróż pieniądze, przysyłaj mi roboty swoje, prócz tego, dodał cicho, nie masz tu podobno przyjaciół. Jan w uniesieniu radości powtóre upadł do nóg królowi i rozplakał się w zbytku niespodzianego szczęścia. W kilka dni potem opatrzony w pieniądze, paszport, listy polecające, napisawszy kilka słów dla pocieszenia matki, Rugpiutis dążył już do wrót nieśmiertelnego Rzymu.

Wyjazd jego z Warszawy zaćmił się bolesnym wypadkiem: towarzysz Jana poczciwy Feliks znękany, zrozpaczony, i gwałtowną chorobą rzucony o łożę, podał mu na pożegnanie dłoń zimną, która w rękę jego skrzepła na wieki! Kilka rozpoczętych płócien, teka rysunków pełnych energii i niezwykłego ognia; wspomnienie w jednym sercu prędko zatrzeć się mające: oto co po nim zostało.

— "Witaj ziemio! Grecyi dziedziczko, ojczyzno odrodzonej sztuki, matko wielkich artystów, których wykarmiłaś na ruinach starą myślą umarłego świata, których wykołysałaś głosami nadziejskimi przeszłości, witaj Italio! witaj Roma!..." wołał Jan ze wzruszeniem wstępując na odwieczną drogę, na której czuł raczej niż widział ślady rzymskich wozów, ujrzawszy starą naddrożną kolumnę, jedną z tych co olbrzymie drogi olbrzymiego państwa rozmierzały.

Zpodwójnem uczuciem chrześcianina i artysty pokłonił się wielkiej ruinie i zamyślił nad nią głęboko. Nigdzie tak żywo nie mówi przeszłość jak na tym grobowcu. A dla Jana grobowiec rzymski był także kolebką. Tu wykołysała się na falach krwi męczeńskiej wiara Chrystusowa, nowa religia, nowe prawo dla świata. Sztuka starożytnych na chwilę zapomniana, ustąpiła w jego umyśle miejsca katakumbom o nieforemnych symbolicznych postaciach i podaniom z pierwszych heroiczych chrześciaństwa wieków. Wzruszenie, w którym niepojętym sposobem mieszały się wiara i sztuka, — opanowało serce jego. Jan bowiem pomimo zaniedbanego wychowania, przejął od matki, wyssał z mlekiem głębokie, silne uczucie religijne, dotąd niestarte i nieosłabione niczem. On wierzył sercem, a głowa jeszcze u niego serca słuchała.

Wszystko tu przemawiało do niego, a pierwsze dni w Rzymie spędzone, nic pogański świat, nie sztuka jego wspaniała i podziwu godna, ale pamiątek chrześciańskich i świętych miejsc obejrzenie zajęło. W kościele świętego Piotra, u świętego Stanisława dei Polacchi, u Jana świętego, na Lateranie u Maryi większej, u Maryi Anielskiej, u świętego Piotra in vincoli, modlił się naprzód jako pielgrzym, posyłając w modlitwie westchnienie za matką.

Ochłonawszy dopiero z tego pierwszego uczucia wyłącznego w początku, Jan poczuł się artystą, pomyślał, że jako artysta nie jako pielgrzym tu przywędrował. A arcydzieła sztuki z kolei silnie go pociągnęły ku sobie. Przygotowany do widzenia ich i ocenienia przez Batraniego, nie zaraz jednak

potrafił wielkość i piękność ich uczuć, rozeznąć.

Ze sztuką jak z wszystkim innym na świecie, potrzeba wyrobić w sobie smak różnostronny, pojęcie szerokie jej całości, aby wszystkie objawy tak rozmaite gieniuszu ludzkiego zrozumieć, aby przez uwielbienie dla jednych nie stać się niesprawiedliwym dla drugich. Mało jest ludzi coby razem rysunek, linią boskiego Rafaela, wyraz naiwny starych mistrzów, potęgę Michała-Anioła, koloryt uroczy szkoły Weneckiej, wdzięk Albana pojąć i uczuć umieli, nie wyłączając jednego przez cześć dla drugiego, nie stając się niesprawiedliwymi dla którego z tych wielkich, w swoim każdy rodzaju, mistrzów.

Jan też w początku nie uczył całej wielkości, arcydzielności tworów, które spotykał, błdził od jednych do drugich i tysiącem sprzeczności rozmarzony, nie pewien co wybrać i kogo słuchać, był jakby wśród wrzawy stu pięknych głosów, coby każdy inaczej śpiewały. Każdy w początku tego doznaje, kto nie ma wielostronnego uczucia w sztuce i wyrobionego wyższego o niej pojęcia; później, najczęściej jeden mistrz najsilniej do organizacyi, temperamentu, wykształcenia przemawiający, staje się wybranym i uwielbionym kosztem innych. Jego stawimy na czele gmachu, a resztę pod nogami bohatera. Lecz jestli to sąd sprawiedliwy, sąd jakim on być powinien? Nie — jestto poprostu ślepe zamiłowanie siebie w drugim. Ledwie prawdziwie wyżsi niem się nie zadowolniają: pracują nad sobą, aby umysł potrzebny do pojęcia zakrytych im piękności wyrobili w sobie, i dochodzą do tego pracą, żądzą i wolą niezłomną.

Jan długo błdził od obrazu do obrazu, od posągu do posągu, zapytując siebie: Co jest prawdą dla sztuki? czy linia, czy barwa, czy wyraz, czy wdzięk, czy siła? Każde dzieło inaczej mu na to wielkie pytanie odpowiadało; żadnego nie znalazł coby wszystkie pojedyncze warunki sztuki skupiło w jednym i równie dobitnie zadość im czyniło. Tu dopiero pojawił on co jest ideałem, tym odwiecznym wzorem boskiego Platona, na którego ma się mistrz tworząc zapatrywać. Ideał jest to właśnie owo dzie-

ło niestworzone, niezrealizowane, które tłumacząc i wcielając niedoskonale, zawsze zbyt w jedną stronę pochylamy, ze szkodą całości.

Ideał, to dzieło energii Michała Anioła, linij wdzięcznych Rafaela, wyrazu Fiesole, kolorytu Tycyana, żywotności Rubensa, wdzięku Guidów i Albanów: ideał, to nadziemski doskonałość wiążąca w sobie wszystkie ziemskie doskonałości niekompletne, ułomne.

Oddać sprawiedliwość, pojąć, ocenić każdego z wielkich twórców arcydzieł: oto nad czem Jan silił się naprzód nim zasiadł do pracy. Błdził po galeryach i muzeach, godziny całymi siedział u posągów i obrazów aby z nich myśl twórcy przeczytać. Im mniej sympatycznym było dla niego arcydzieło, tem usilniej starał się zjednoczyć w niem z myślą artysty. W ten sposób dopełniał braki w swej organizacyi, rozwijał w sobie zamarłe w zarodzie siły. Po długich godzinach wpatrywania się w dzieło, świeciła z niego zakryta wprzód myśl powolnie, aż otoczyła pierwiej mglisty twór, blaski swemi. Jaśniał mu on; czytał jego znaczenie, jego dzielność pojmował; pochylał głowę, czuł w duszy iż mu nowy zmysł przybył, nowe uczucie w sercu. Słowo jednej zagadki, rozwiązywało krocie drugich.

Tak spłynęły pierwsze dni pobytu w Rzymie, pierwsze tygodnie całe, na próżniaczej

powiedziałabyś może wędrowce, która przecież chwilą w życiu Jana ważną i dla rozwoju duszy jego stanowczą była. Artyści jak Jan zdaleka, z Francyi, Niemiec, Hollandyi, Anglii i innych stron świata przybyli do Rzymu dla nauki, poglądali na tego obcego przybysza z podziwieniem i szyderstwem. Była to chwila najfałszywszych pojęć o sztuce: młodzież biegła malować, nie myśleć, i uczyć się do Rzymu; łapała piękne lub tylko uderzające wzory po ulicach, myśli do obrazów, widoki ruin tysiąc kroć rysowane, ścisła piękne Rzymianki, weseliła się chwilą swobody, chwilą młodości; ale nie głęboko wtajemniczała się w zamknięte dla niej sztuk tajniki. Sztuka była piękną linią, pojmovaną najdziwniej, poziomo i bez zapachu; sceptycyzm może XVIII wieku obnażył ją z uroków, osuszył, i materji, powierzchnię daną do naśladowania, ograniczył.

Myśl uciekła z tego nagiego skieletu, któren napróżno silono się ożywić sztucznie, ubarwić, upstrzyć i uczynić wdzięcznym dla oka.

Jan poważny, zamyślony, często ze łą w oku, częściej jakby nieprzytomny, tak głęboko zadumany i zwinięty w sobie, stał się pośmiewiskiem młodych artystów towarzyszków, z którymi pracował pod przewodnictwem Landi'ego.

Znalazł i tu przecież kogoś co sympatycznie uczuł się w początku pociągniony ku niemu. Młody Annibal Cipriani, ubogi przybysz z Wenecyi, który napoiwszy się dziełami kolorytu w Ojczyźnie Bellinich, Palmów, Tycianów, i Tintorettów, szedł do Rzymu szukając tu linij i wyrazu, rysunku i myśli; — pierwszy ku niemu dłoń wyciągnął. Spotykali się razem w pracowni Landi'ego, którego byli uczniami. Annibal choć Włoch nie miał chytrości włoskiej, szyderstwa im właściwego, próżności jaką oni mają; serdeczny, zbyt może czuły i uciążliwy, z czczością w sercu, bo pozbawiony był tego uczucia religijnego, które jeden lud jeszcze w tym kraju zachowuje; — rzucał się na wszystko, ku wszystkim, gdziekolwiek domyślał się pokarmu dla serca. Szukał on napróżno przyjaciela w tłumie i po innych zwrócił się do Jana. Jan dotąd miał wielkie i szczere uczucie religijne; Annibal który więcej czytał, zakosztował XVIII wieku owoców, pozbawiony był wiary, świat i życie nie miało dla niego tajemnic. Ze łą w oku nad nędzą ludzkości, pod pozorem litowania się nad nią, powtarzał zdania pseudo-filozofów, dowodząc że wiara jest zasłoną umyślnie przed światem wyciągniętą aby z ciemności korzystać, by ludzkość ślepa pozostała na wieki i na wieki związaną.

Annibal tem niebezpieczniejszy był dla Jana, że szlachetny w duszy, nie szydził prawie ale się oburzał, że zdawał się mówić za ludzkością, za postępem; za wszystkim wielkim, dobrem i szlachetnem. W początku wielkie zdumienie opanowało Jana, gdy pierwsze jego słowa wyrzeczone w zapale postłyszał: załął się, osłupiał; potem z ciekawością ucha nadstawił, aż wreście, nieznacznie przyjął zarazę nie wiedząc o tem. Wyższość umysłowa i wykształcenie naukowe Annibala, który jako artysta był mierny i mały, ale jako człowiek myśli szybkością pojęcia, obeznaniem z wielością przedmiotów i zagadnień górował nad Janem — ułatwiła nawrócenie. Jan czuł się małym w jego przytomności, choć w istocie daleko był potężniejszym. Co serce mu dyktowało na zbiecie słów Annibala, tego nic umiał i nie śmiał wyrazić, bojąc się okazać nieukiem. Słuchał więc, oburzał się, milczał i pił zarazę.

O! tysiąc razy powtórzym — wszystko jest zaraźliwe na świecie, cnota i występki, myśli, przekonania, sądy.

Myśl rodzi myśl z siebie, a wszczepiona na drugiej miesza się z nią i pośrednie wydaje płody,

które dorastając ojcowską lub macierzyńską przybierają fizyognomią. Tak u Jana wszczepił się sceptycyzm na uczuciu religijnem i wyszły z niego myśli płowe, barw niepewnych, już wiodące do obojętności, do niedowiarstwa. Nie przyjmując z równą jak Annibal gwałtownością wszystkich jakie przeciw religii wyprowadzał zarzutów, nie powtarzając obelg, zobojętniał przecie i zastygło powoli dawniej tak silne religijne uczucie. Świat w pierwszych chwilach tego przebudzenia zdał mu się nagi, zimny, pusty i straszny: za nim widział tylko śmierć, zgniliznę, zapomnienie, nicość.

Na nieszczęście z innych względów Annibal był dla niego drogim darem: przewodnikiem, tłumaczem, pomocnikiem, przyjacielem. Prędko poznajomieni, połączeni ściśle, już się nie rozdzielali.

Włoch potrzebował się wylać i znajdował duszę naiwną, otwartą dla siebie, w którą rzucał coraz gwałtowniej wzbierające myśli i uczucia; Jan miał towarzysza i przyjaciela, a wyrzec się go młodemu, jednemu wśród obcych tak trudno! tak trudno!! Często po dniu rozmowy, gdy dziwne nowości sceptycyzmu, tak rozczarowujące, tak ostre, tak zimne wbiły się weń; Jan spędzał noc w gorączce i niepojętych dla siebie zgryzotach sumienia. Czuł że źle robił, a rozbierając czynności, złego się w nich dopatrzyć nie mógł. Prawdy mniemane, prawdy wyższe, których Apostołem był Annibal, powoli zasiane wschodziły w nim i rozgałęziały się w duszy. Ciemnota! niewola! przesady! powtarzał cicho w sobie poglądając na duchownych, na religijne obrzędy — kiedyż ludzkość Otrząśnie się z tego?

Biedna ludzkość! biedni ludzie! A ani razu nie rzekł nikt w sobie, nic spytał się siebie: kto dal to światło za pomocą którego walczone teraz przeciwko wierze? kto zniszczył niewolę poganizmu? kto uznał braćmi świat cały, kto wyrzekł jedno prawo do nieśmiertelności dla całego świata, jedną nagrodę za cnoty, jedne za występki kary? kto zaszczepił pierwszy myśli? Teraz odrodne dzieci obracają się przeciwko matce. Nic pytają się i nic odpowiedzą sobie: chrześcijaństwo, wiara nowa. Zdawało się naówczas wszystkim, że naturalny rozum, długo spowity, nagle rozwiązał pieluchy i roztoczył samoistne swe błyszczą- ce promienie; że jemu ludzkość winna była wszelkie światło. Czemuż jednak ani boski Plato, ani żaden z filozofów starożytności pełnych owego naturalnego rozumu, przed chwilą wielkiej ofiary nie wyrzekli wielkiego słowa — bliźni ani razu; czemu Miłość, Ofiara, te najwyższe tajemnice chrześcijaństwa, nieznanne były przedtem nikomu; czemu płac dobrem za złe, przebaczyć, nikt nie wyrzekł wprzód; czemu duch nie podniósł się nigdy do wysokości, na której dopiero od 1800 lat stanął? A świat tak stary! tak stary!

Myśli te nie mogły przyjść Janowi; jego przyjaciel Annibal wielkimi wyrazy ludzkości, swobód, oświaty, i najlepszych chęci pełnego serca, z gorliwością młodzieńczą i zapałem przekonania szczerego, silnie działał na człowieka dotąd nietkniętego z tej strony, niemającego mocy na oparcie się pozornie potężnym rozumowaniom. W doktrynie XVIII wieku którą wiek XIX przedłuża, strona wielka i piękna, strona jej ślachtetna i prawdziwa, jest niezaprzeczoną. Każdy system ludzki najfałszywszy nawet i najzgubniejszy, na jakiejś myśli wielkiej się opiera, inaczej nikogoby sobie niejednął. Nowość niedostateczną jest jeszcze ponętą. Tak też i filozoficzno-socyalne doktryny przeszłego i terażniejszego wieku, niosą przed sobą chorągiew jasną, promienistą; lecz z zasad najpiękniejszych błędzą we wnioskach i szerokich zastosowaniach, w utopiach prześlicznych zapewne, w marzeniach dusz prawych i szlachtetnych; niemniej jednak w utopiach i marzeniach, w niepraktycznych teoriach. Na dnie najfałszywszej nauki jest jakaś prawda co jej życie daje, co ją

złoci i podnosi. Fałsz rzadko jest w pierwszych zasadach, najczęściej w rozwinięciu i zastosowaniach szukać go potrzeba. Na lep zasad lgną umysły płytkie z sercami poczciwymi, a gdy się opatrzą gdzie zaszły, powracać już nie czas.

I filozofia dawniejsza i nowa, szły w imię ludzkości, walczyły o braterstwo, oświatę, o wywrócenie zgubnych przesądów; lecz zaszły od tych pobudek szlachetnych do pomysłów, których skutków nie wyrachowały, których praktycznego zastosowania przewidzieć nie mogły, zaszły do pojęcia człowieka za warunkami jego bytu, za szrankami jego natury. Chciały i chcą przerobić ludzkość na idealną, nie wiedząc, że śmierć jej może gotują. Po gwałtownem lekarstwie ciężko odchorować musi świat cały. Lecz wróćmy do Jana; przebaczenie mimowolny ustęp.

Jan mieszkał już z Annibalem, i nie rozłączał się z nim. Włoch postrzegł ze zdumieniem, że ten obcy, którego tak niższym od siebie sądził, jako artysta daleko lepiej i wzniosłej widział rzeczy od niego. Uczył się więc z kolei od Jana, nie bez wewnętrznego upokorzenia, nagradzając sobie swoją niższość artysty wyższością oświeconego człowieka i filozofa, jak naówczas zwano. Ale Jan skutkiem ciągłego towarzystwa Annibala w dziełach sztuki powoli stracił sposobność czytania ducha i myśli. Annibal widział w nich tylko koloryt, kształty, zręczny układ, efekt ogółu, światło, nagości, draperye; — twórczej duszy, niewidomej myśli co ożywia to wszystko, spaja, porusza, tchnie życie, niedomyślał się. Materyalizm artystyczny Annibala nie mało wpłynął na Jana; począł i on coraz wyżej cenić piękne karnacye, cudne kształty ciała, mięsistość torsów, utoczenie rąk, morbidezzę, więcej nawet niż łzy w oczach Nioby, niż wyraz boleści żywej w oczach Laokona. Sztuka dla Annibala całkiem była cielesną. Jan jej już tak materyalnie widzieć nie mógł, lecz zobojętniał dla duchowej jej części. W widzeniu Ezechjela (Rafaela) naprzykład, Annibal tylko kompozycyą czterech zwierząt Apokilypsy, układ i swobodę lotu przez przestrzenie wynosił; Jan zadumywał się jeszcze nad znaczeniem obrazka, nie śmiejąc już przyznać że myśl jego leciała ze Zbawicielem w nieskończoności przestrzenie.

Lecz któż opisze kiedy historią duszy i myśli człowieka, tak aby wszystkie odcienia zmian w nich zachodzących wystąpiły jasno na jaw? kto potrafi rozedrzyć łono swoje aby z niego jak pelikan wytoczył krew najtajniejszych ran, najskrytszych

boleści?

Jan zmieniał się, obojętniał, i w stolicy chrześcijaństwa stawał nieznacznie poganinem; lecz zawsze pierwsze młodości wrażenia wiosenne, niezgluzowane niczem, żyły w nim jeszcze tajemnie, przychowane na dnie jak zeschnięte pierwszej miłości pamiątki. To co mu się gwałtownie narzucało pod szatą błyszczącą postępu, pukając do serca w imię bolejącej ludzkości, pokrywało tylko warstwą popiołów głąb duszy, ale nigdy nie wyrugowało ze wszystkim, co na dnie jej rosło.

Rozerwany, w niepewności, jednego dnia po staremu się modląc, drugiego oburzając znowu przeciwko przesądom z Ann i balem, Jan był w tym stanie pośrednim, niepewnym, któren dla wielu słabych ludzi całego życia jest męczarnią. Dwie prawdy błyskały z kolei w jego oczach, a wybrać nieumiał między niemi, a nie wiedział która jest jedyną prawdą, prawdą matką.

Nauka tymczasem szła powolnie, a na niej także wypiętnowała się historia wewnętrznej walki. Jan uczył się więcej materyalnych sztuki warunków, niżeli jej ducha. Annibal wmówił mu że się do

Rzymu przyjeżdża jedynie aby podkraść się w tajemnice kompozycji linii, światła mistrzów wielkich, aby studyować naturę; nie żeby szukać sposobów wydania myśli, uczucia i napełnienia twórczych — duszą. W Sądzie Ostatecznym Michała-Anioła, kolosalnej karcie najpotężniejszego z malarzy, widzieli tylko dziwny potęgę rysunku, osobliwych złamań torsy, muskulatury, skrótów śmiały; w sławnej Dyspucie, piękne starców oblicza i układ wyborny, w kommunii świętego Hieronima wdzięk i zręczność kompozycji i t. p. Annibal zniża! Jana do swych poziomych myśli, nie był jednak Jan bez jakiegoś wewnętrznego niepokoju zawsze zwiastującego człowiekowi, gdy się cofa lub zniża.

Malowali razem u Landi, Jan nabywał mechanicznej wprawy szybko i zastanawiająco, z ucznia przechodził na mistrza. Kilka jego robót wychwalanych przez nauczyciela, wynoszonych przez Annibala, ściągnęły nań nareście uwagę i innych współbraci artystów, którzy zapoznali się z nim, przyjęli go uściskaniem dłoni do swojego grona i uznali bratem. Towarzystwo różnorodne, liczniejsze, oderwało go od wpływu ustawicznego Wenecjanina. W tym czasie Jan odmalował kilka swoich własnych kompozycji na wielką skalę; między innymi Venus i Adonisa do których mu dwa najpiękniejsze wzory Rzymu służyły. Annibal odciągnął go od zamiaru malowania męczeństwa świętego Pawła, które przedsiębrał, do którego nawet rozpoczął studia; przekonywając że sceny podobne nie są przedmiotem dla sztuki! Biedny Jan w początku walczył, nareście usłuchał. Jak gdyby sztuka miała się ograniczać jednym tylko wdziękiem, jednym tylko dla oka samego powabem.

Dla Włocha ciało, nagość, urocze linie i koloryt mglisty, stanowiły całe malarstwo; expressya wedle niego psuła linie a nie tworzyła; unikał też jej jak starzy poganie, których cudowne kształtami posagi, z jednym pospolitym uśmiechem lub obojętnym skrzywieniem wszystkie się nam przedstawiają. Już konający Gladyator jest jakby przecuciem sztuki chrześcijańskiej, sztuki myśli i wyrazu, sztuki ducha.

Dotąd pomimo towarzystwa w którym zostawał, Jan był czystych obyczajów i czystych myśli, a chociaż nieraz burzyła się w nim krew młodzieńcza, zapal artystyczny, duchowy ją ochładzał. Wspomnienie też Jagusi, wstrzymywało go i strzegło jak anioł opiekuńczy. Często takie wspomnienie, w głowach łoża przez Anioła stróża trzymane, jest tarczą przeciwko brudnym namiętnościom. Lecz jak, we Włoszech, artyście, otoczonemu pokusami, kiedy mu najpiękniejsze kobiety Rzymu za wzór Wenery godzinami służą, wytrwać niepokalanym, wynijść czystym? Jak, w tęsknych wieczorach gdy tysiąc myśli wiedzie za rękę tysiące żądź, młodemu, z całą ciekawością młodości ku rozkoszy ciągnionemu, nie dać się uwieść Szepczącej do ucha Włoszce: — Ja cię kocham — ja kocham ciebie! ? Rzadki pewnie, ktoby w młodości kochał jedną nie wszystkie kobiety, coby kochał kobiety, a nie miłość samą. A miłość cielesna i duszna tak są z sobą związane, tak często jedną biorą za drugą, tak często poczyna druga, a kończy podstawując się pierwsza. Dwie te miłości, dwie siostry rodzone: jedna powietrzna, idealna, smętna ze łzawem wejrzeniem i westchnieniem, wzniesioną piersią; druga gorąca, wesoła, uśmiechająca się, drażniąca, niedbała o jutro i na jutro niepamiętna. A podobne do siebie (choć odmienne) jak dwie siostry rodzone. Annibal który cały żył kobietą i rozkoszą, bo wiara żadna nie dawała mu przyszłości, a myśl występku nie była hamulcem, szydził z prostoty dziewiczej Jana. On już kilka łatwych kochanek przekołysał na kolanach i porzucił bez żalu, Jan jeszcze żył myślą dawnej czystej miłości dzieciństwa.

Czarnowłose i czarno-okie Włoszki spoglądały na Jana ciekawie, obojętność jego, układ dziwny,

zdumiewały ich i drażniły. Nie raz czarne oko Angioliny, ostatniej z kochanek Annibala, którą porzucił co miesiąc, i co miesiąc się z nią godził, spoczęło w źrenicy Jana z pytaniem: — Nie jestem dość piękna? Nie raz w wesołej igraszce, gorące usta spoczęły długo, zajadle lejąc truciznę żądz w krew Jana i mówić się zdając, któż ci da więcej rozkoszy nademnie? Nie raz objęła go drażniąc Annibala i przytuliła się do niego Angiolina, aż biedny młody artysta drżał, bladł i na chwilę czuł się obłąkanym, wytrwał jednak długo, długo, wierny wspomnieniom swoim.

Lecz wewnątrz niego tlał już ogień, a oczy Angioliny go rozdmuchiwały codziennie. Mieszkając z Annibalem widywał ją codzien, pędzili wieczory, noce letnie na rozmowie i śpiewach, był nie raz świadkiem całego dramatu cielesnej żądz, namiętności, nasycenia, obrzydzenia, obojętności, świadkiem tych odpływów i przyływów passyi zwierzęcej, co jak morze zalewa brzegi i cofa się od nich ze wstrętem.

Miłość duchowa nie zna podobnych, równie gwałtownych zmian i ostateczności, ona jest zawsze jedną, dopóki czystą. Cielesna musi mieć charakter cielesny, znikomy, przychodzi potężna, rozkwita jasno i więdnije i znowu wzrasta i znowu upada.

Angiolina, dla której Jan był niepojętą zagadką, może dla tego tak uparcie po każdej kłótni powracała do Annibala, że chciała nareszcie rozwiązać pytanie:

— Co to za kainen-czlowiek? Dla czego tak młody a tak zimny? Jestem tak szpetną, tak nieponętną, nie pożądaną? czy on tak dziwnie zastygły?

Zwierciadło i ludzie nieustannie powtarzali jej, że była bardzo piękną. Angiolina bowiem powszechnie za najcudniejszą Venus całego Rzymu uważana była; nigdy Rubens nie wymarzył takiej wspaniałości ciała w takich kształtach uroczych, takiej karnaeyr złocistej nigdy nie odmalował Tycyan: dwoje równie jasnych, czarnych oczów nie świeciły może od wieków nad Tybrem. Oczy Angioliny, mijając jej inne wdzięki, były może najpotężniejszą jej bronią. Cała ciałem będąc; namiętna ale bezmyślna, wyuczyła się jednak Włoszka nadawać swym oczom wyraz tak dziwny a tak coraz różny, że mówiły więcej niż tysiące słów, niż najrozkoszniejsza muzyka.

Raz, zmrużone, łzą zwilżone, przygaste, zdały się szeptać: kocham cię, kocham, umieram z miłości. Luby chodź do mnie, chodź do ranie!

To znowu jasne ogniste, otwarte, wołały: pragnę, palę się, goreję!

Czasem z jakimś biednym marzeniem błąkały się niby nieprzytomne, a pełne wdzięku nieskreślonego, jakby patrzyły winny świat, i nie widziały ziemi.

Czasem zwracały się prosto w niebo, szukając w niem zda się pociechy, ratunku w nieszczęściu, litości. Czasem pływały w łzie srebrnej, miękkie a gorejące, wyrazem boleści chwytając za serce.

Czasem się śmiały bezwstydne, zalotne, płomienne, szyderskie, rzucały wejrzenia ostre jak sztylety, kłuły jak owe długie szpilki, któremi Angiolina upinała włosy.

Angiolina mogła mieć lat dwadzieścia kilka, ale wyglądała na podziw świeżo: dziecię ulic mniej

bało się czasu, słońca i wzruszeń: na wszystko było już zahartowane od młodu. Biała jej szyja osobliwszej form doskonałości, nieco ozłocona słońcem południa, nie miała tych mdło zielonawych tonów, barw chleba czerstwego, które wielu Włoszkom są właściwe i zdała się zdjęta z obrazu Tycyana, pokrytego złotą długich lat patiną. Piersi trochę wzniosłe i spore jak u Bacchantek Rubensa, gładkie były jak marmur i jak marmur chłodne, chlubić się zdawały swymi kształty i mało co ukrywały pod rozświetlającą z niechęcią suknią. Ręce i nogi tylko dalekie były od idealnej doskonałości, ale uchodziły wszakże i nic raziły bezkształtem. Angiolina stroiła się jak Włoszka w krasne gdyby cyganka płachty, ulubione dzieciom południa i wschodu, w złociste świecidełka, bursztyny, korale, łańcuchy; nawet z tem ładnie jej było.

Różnymi sposobami Angiolina próbowała Jana, to weselem, to rozpustą, to smutkiem, to rozpaczem udaną, to drażniąc go wzrokiem, to jątrząc pocałunkiem: nic jednak nie pomagało.

Raz wieczorem; a był to wieczór tęskny, cichy, smutny; usiadła mu na kolanach (Annibala nie było); poczęła szeptać jak dziecię pieszczone, czystą udawać i skromną, poczęła potem milcząca policzek gorący przykładając do jego twarzy, obejmować go rękoma za szyję i... zapłakała. Nic wiem co jej te łzy wycisnęło. W szeptach cichych głos Angioliny był tak uroczy i dźwięczny! Jan. usłyszał w nim jakby dalekie echo rozmowy z Jagusią, coś podobnego do głosu dziewczęcia swojego, i ucałował łąz oblane policzki. Poczawszy usta jego na swej twarzy, Włoszka chwyciła go nawzajem, zjadając pocałunkami, przyciskając piersią wzdętą i marmurowymi ramionami: ale ten wyskok czułości szalonej zamiast oszalić Jana, rozbił urok co ją otaczał. Wyrwał się i uciekł od niej. Angiolina w gniewie szukała noża, aby go zabić, nie znalazła pod ręką, nadszedł Annibal, nazajutrz rozpoczęła znowu obłąkanie.

Czemuż człowiek tak słaby? czemu tak dla niego łatwym niepowrotnym upadek, którego płacze bezsilnymi łzami? Wkrótce Annibal śmiał się z upokorzonego Jana i zwyciężkiej Angioliny, która chodziła w tryumfie jakby jej kto koronę na głowę włożył. Wenecyanin poznał od razu co ją tak uszczęśliwiło, rozpromieniło i zrobiło dumną.

Pierwszy krok tylko łzami się opłaca, a rzadko pierwszy ostatnim.

Jednego wieczora siedzieli na wschodkach używając chłodu, Annibal, Angiolina i Jan. Angiolina brząkała na gitarze śpiewając starą piosnkę w której amor felice grał wielką rolę, a każda strofa nim się kończyła niezmiennie; twórca canzoni zapewne piosnką chciał nagrodzić co niedostaje życiu.

Księżyc nad grodem Cezarów pływał srebrzysty na nieba głębinach, krociami gwiazd usypanych. Maleńkie dzwonki klasztorne brzęczały jak komary w oddaleniu, świerszcze śpiewały pieśń swoją po skwaronym dniu letnim ciesząc się nocą chłodniejszą. Angiolina spartą miała głowę na ramieniu Annibala, jedną ręką obwinęła go za szyję, drugą ukradkiem podała Janowi, a ten ją trzymał bez myśli i uczucia, gdzieś daleko goniąc marzeniami, jak prawdziwe dziecię północy, tęskny chmurnego nieba wychowanek, co zawsze ucieka od świata w mgliste krainy marzeń. Annibal nucił przez zęby wyuczoną od którejś ze swych kochanek canzoni starą:

Peroch amore no se po vedere.

Na wschodkach dały się słyszeć chód i śmiechy, ale Włoszka nie cofnęła jednej, ani drugiej ręki,

choć widziała nadchodzących. Byli to dwaj artyści, Niemcy, znajomi Annibala i Jana: Martin Grone i Jeremiasz Süssemann: dwa w swoim rodzaju typy.

Pierwszy z nich, Martin Grone, po swojemu pojmował tylko sztukę jako materiał do historii postępów umysłu ludzkiego i objawów jednej idei, coraz inaczej i pełniej się wyrażającej. Szukał zabytków starożytnych, śledził on ich symbole, allegorye, myśli ukryte, a często nawet czytał hieroglify gdzie ich nie napisano. Czytał je powiedziawszy sobie wprzód, że tam być powinny. Często tak niemiecka postępuje uczoność. Archeolog więcej jeszcze niż artysta, uganiał się po Rzymie za wszelkiego rodzaju starożytnościami, chcąc nimi, jak mówił, lepiej niż historią pisaną, wytłumaczyć starożytne wieki, ich obyczaje, ich ducha. Miewał on nie raz szczęśliwe pomysły, a jakkolwiek wyłącznie i jednostajnie plastycznym utworom nadawał większą niż należało i jedyną ważność, wiele przecie dla sztuki razem i historii uczynił. Z jego notat później wydane zostały dzieła sławne w Niemczech, które choć imienia jego nie noszą, jemu początek swój winny. Grone był poważny, suchy, sztywny, i cały zajęty myślą, która mu jeść i spać nie dawała: wytłumaczyć Rzym i dawną cywilizację ich pomnikami, oto co zamierzał. Dla niego poczynające się naówczas Muzeum Katakumb i Muzeum Neapolitańskie z Herkulanum i Pompei dobytých zabytków, były najrozkoszniejszych dumań przedmiotem. Rozczulał się nad rondelkiem, płakał nad lampą lupanaru i przysięgał, że trójnog całą w sobie zawierał historią paganizmu. Owe trzy nogi były dlań pełne znaczenia! Jeremiasz Süssemann, malarz czuły i słodki jak nazwisko które nosił, robił obrazki z Idylli Gesnerowskich z wielkim wdziękiem. Dla niego ten wdzięk, przyjemność kolorytu, wyraz słodczy, zawierał całą sztukę. Po za tem była już esageracya i obłąkanie. Podobać się oczom, wydrzeć westchnienie z piersi, nic więcej nie zamierzał: nie chciał ani głęboko wzruszyć, ani kazać myśleć. Z długimi włosy, jasnymi niebieskimi oczyma, bez wielkiego wyrazu, Jeremiasz był poczciwy chłopak, a choć protestant, nie sceptyk, nie racjonalistą, nie szyderca. Owszem pobożny i czuły, najlepsze w nim serce kryło się pod pozorem flegmy, oziębłości; a często oko szkliste i zimne pozornie zwilżało się łzami, której źródło on znał tylko. Jan kochał go i sympatyzował z nim; Annibal śmiał się z niego, ale go oceniał. Zbliżały ich niektóre prawdy, na które filozof i protestant godzili się, przeciwko katolicyzmowi.

Angiolina podniosła trochę głowy z ramienia Wenecyanina, spojrzała i cicho szepnęła: Jeremi i Martin!

— A! witajcież, zawołał Annibal powstając ze wschodów nagle i wyciągając dłoń. Jak się macie? gdzie idziecie? przerwaliście Janowi lnianą przedzę jego, którą obwija nie wiem przeszłość, terażniejszość czy przyszłość. Dumał jak muł (przepraszam) gdyście przyszli.

Jan uśmiechnął się trochę złośliwie i podał dłoń Jeremiaszowi. Jak się macie? jak się macie?

— Po co pytać? któż chorym może być w Rzymie? odparł poważnie Martin. Myśl daje tu siły, zajęcie, zdrowie, nie ma czasu słabnąć i chorować. Lecz do rzeczy, słuchajcie! chcecie jutro być z nami?

— Gdzie jutro? spytał Annibal, czy na jakiej villi, czy przejażdżce w okolice, czy może w jakim starym zwalisku pod którego ruiną Martin odgrzebie myśl zaspaną od lat tysiąca i kartkę dziejom wydartą?

— W wielkiem zwalisku — kolebce, w Katakumbach, odrzekł Martin. Dość już pogańskiego świata, chcę zbadać tę nić co łączy dwie sztuki, dwa światy, dwie oddzielne historye. Pójdziecie z nami do Katakumb? Nie możecie nie być ciekawi! Był tam kto z was? Anglik Sir Artur Cromby, jego siostra, ja, Jeremiasz, idziemy jutro zwiedzić podziemia.

— Kolebkę przesądów i niewoli umysłowej, podchwycił Annibal.

— Nie, kolebkę ducha! poważnie odparł Niemiec.

— Groby męczenników! dorzucił Jeremiasz.

— A straszne pieczary! żegnając się szeptała Angiolina, mówią że w wielu z nich kryją się bandyci.

Jan jeden zmilczał. — Idę, rzekł po chwili namysłu, dawno tara być pragnąłem, a dotąd nie miałem sposobności; wdzięczny wam jestem żeście omnie nie zapomnieli.

— A więc jutro rano, zbieramy się u Paolo Pansy, w kawiarni na rogu. Paolo nam sprowadza dobrego i umiejętnego Cicerone, Anglicy wiozą swojemi powozami na miejsce. Będzie nas sześciu i weselej.

— A ty nie idź mój Nibal, zawołała pieszcząc się z nim Angiolina, po co tobie? To cmentarz, pieczara, straszne, ciemne! zostaniesz ze mną, można się zabłąkać, można zginąć, nie idź. Mówiąc to tuliła się do Annibala a patrzyła w oczy Janowi. Wenecyanin rozśmiał się z próżnych strachów Carity i obiecał na jutro.

Nazajutrz u Paolo Pansy zastali już Anglików i dwóch artystów niemieckich. Anglik Sir Artur był oryginał jak prawie wszyscy jego współziomkowie, których mamy szczęście widzieć na stałym lądzie; lecz oryginalność jego zależała na tem, że chciał uchodzić za człowieka co się potrafi zastosować do wszystkich krajów i towarzystw; co umie wcielić się wszędzie. Jednym słowem: Anglik był oryginał, tem, że udawał wcale nieoryginalnego, a w głębi był nim przecie.

Z artystami artysta, uczony z uczonemi, z ludem człek prosty i przesadny, z filozofami sceptyk, Anglik z Anglikami, Włoch z Włochami, Sir Artur Cromby stawił się na oznaczoną godzinę w kawiarni wierny swemu słowu. Ubrany był za Transteveranina, ale z fizyognomią tak widocznie wywiezioną z West-End, że wzbudzał tylko śmiech patrzących na niego. Miał minę karnawałową. Błady, bardzo pociągłej twarzy, dość niezręcznych ruchów, białawych włosów, długich rąk i laskowatych nóg, typu zupełnie normandzkiego, Sir Cromby przebrany za Włocha, wyglądał potwornie, pociesznie, cudacznie. Uprzejmy i grzeczny aż do zbytku dla tego, że powszechnie obwiniają Anglików o dumę i rubasność, ścisnął za ręce artystów; całował się z nimi i fraternizował aż do przesady. Udawał popularnego i wesołego towarzysza, choć go to męczyło i wiele kosztowało.

Ale potrzeba go było widzieć w towarzystwie różnorodnem: gdy zmuszony kilku osobom podobać się, do wszystkich zastosowywać, z kolei najróżniejsze miny i postacie przybierał, najrozmaitszą odzywał się mową, zawsze dosyć pociesznie. Sir Cromby pewien był, że ma talent niepospolity

jednoczenia się z tem co go otacza; ludzie co z tej myśli jego korzystać umieli i za słabość podchwycić, byli mu najulubieńsi. Od lat pięciu, bezwstydnym jakimś Francuzem bijąc w to, żył z jego kieszeni, całą za nim niemal obiegłszy Europę.

Dla dania sobie placu do popisu podróżował całe prawie życie, w każdym kraju usiłując się stać jakby krajowcem: wyuczał się języka, którego wymawianie z angielska przekręcał, uczył się obyczajów i do nich święcie stosował, ale po większej części brał je nie z życia żywego, lecz z książek, to też pociesznie wyglądały niekiedy!

Słowem, był to jeden z najdziwniejszych może znanych oryginałów, a przy swych białych włosach, przeciągłej twarzy, w krasnym stroju Zatybrzan z sztyletem u pasa, zawiniętym na ramiona płaszczu, karykatura wyborna! Na widok jego Jan i Annibal, ledwie się od śmiechu powstrzymać mogli. Anglik powitawszy ich po bratersku, poufale, zamaszysto, dyalektem włoskim wymawianym po angielsku, którego zrozumieć nie potrafili; począł kląć na opóźnienie jakieś i wysypał cały słownik przekleństw i połań miejscowych.

Lecz uwagę nowo przybyłych odwróciła na siebie wkrótce siostra Sir Cromby, Miss Rosa: postać jeśli nie dziwniejsza od pierwszej to przynajmniej w oryginalności jej nieustępująca. Była to śliczna córka północy, biała, niebieskooka, wysmukła, lekka, powietrzna, na której widok serce Janowi wspomnieniem gorącym kraju uderzyło wzruszone. Twarze podobne Miss Rosie, tylko się podobno na obrazach widują; tak była idealną, tak uroczą, tak piękną. Opisać wdzięk tego zjawiska, wdzięk w każdym z pojedynczych rysów a w ogóle tylko i zbiorze ich będący, nie można piórem, nie można! Miss Rosa biała była jak alabaster, złotowłose, z wielkimi głębokiego lazuru oczyma, zbudowana jak Sylfa: skrzydeł tylko zda się brakło jej aby ulecieć z ziemi, a gdy się poruszyła, myślałeś, że się zerwie i zniknie jak ptaszek. Ręka biała miała kształt arystokratyczny, a paluszki jej cienko i zagięto kończące się, miały pozór artystycznego utworu, snycerskiej roboty, nie żywych rąk ludzkich. Nóżka, kibić, szyja, ramiona, odjęte rzekłbyś z obrazu starego jakimś aniołowi Ribeiry. Lecz ubiór, wyraz oblicza, postawa, sprzeczały się dziwnie z rysami anioła i spojrzeniem anielskim. Miss Rosa Croniby była ubrana na wpół po mężku: z chusteczką na szyi, w amaronce, w sznurowanych bucikach, w popielatym kapelusiku z piórem, z teką pod pachą; wyraz jej oczów był pełen słodczy, usta uśmiechały się szydersko i złośliwie. Zdziwili się niepomału artyści gdy ich powitała po angielsku dając im rękę do uściśnienia, żartobliwym śmiechem przez które poglądały białe zębki, poczynając znajomość.

— Miss Croniby, rzekł prezentując brat.

— Siadajmy i jedźmy do Katakumb, dodała Rosa zbliżając się do Jana, którego twarz widocznie ją szczególnie uderzyła od pierwszej chwili. Wy panie ze raną? Wszakżeście malarzem? artystą? spytała szybko.

— Tak jest.

— Zkąd? z północy pewnie ? z Niemiec może!

— Z Polski.

— A! zawołała Rosa, bądźmy przyjaciółmi.

Nim stanęli u wnijscia najdawniejszego podziemia na smętarzu świętego Kalixta, przy kościele świętego Sebastjana, Jan miał się czas przekonać, że kobieta z którą w towarzystwie Martina Grone jechał, dziwniejszą jeszcze była niż mu się z razu wydała. Jej mężki strój, postawa i nicby niczem były w porównaniu z mężkim aż do zbytku umysłem, któren angielska filozofia materyalizmu przekreśliła w najsceptyczniejszy sposób. Angielska dusza, artystka, cała żyła sztuką, oddawna nie oddalała się już z klassycznej ziemi włoskiej, czas swój dzieląc i godziny zupełnie swobodne między malowanie a czytanie dzieł co ją postawiły na najwyższym szczeblu niewiary. Wierzyła tylko w terażniejszość, w życie; przypuszczała coś nakształt duszy, ale oburzała się zarówno na tak zwane przesady religijne i przesąd nieśmiertelności po zgonie. Z wielu innymi dawniejszych i nowszych czasów marzycielami, wołała przypuszczać metampsychozę. — Życ, użyć, zapłakać, pokochać, umrzeć mówiła do Jana: z żywością kobiety której pilno pokazać swe myśli, — a potem, zostać zapomnianym i drugim miejsca ustąpić. A moje, moje, odrodzić się robaczkiem, muszką, lub jeszcze człowiekiem. Jan osłupiały ją słuchał.

— Czytałeś pan Spinozę? spytała go po chwili.

— Nie, odparł Jan, ja jestem z kraju pobożności i wiary, z kraju katolicyzmu starego; ledwie tutaj spotkałem się z wątpliwością, sceptycyzmem i filozofią; tu dopiero oswoiłem się z niemi. A szczerze lękam się ich, krwawią mi serce.

— Tak, dodała Miss Rosa, kiedy ślepemu zdejmują kataraktę, boli go także, on się także lęka; lecz później oswaja się ze światłem i cieszy niem.

Jan westchnął.

— Pani, rzekł — wyzuc się nieśmiertelności, rzec przyszłości, rzec nieba i nadziei niełatwo.

— Człowiek jest śmiertelny, ludzkość nieśmiertelna, człowiek żyje w ludzkości zawsze. Wreście nie przemawiaż do pana stara idea metampsychozy?

Jan potrząsł głową, zamilkli znowu, lecz Rosa w milczeniu strzelała ku niemu oczyma, mówiła do niego spojrzeniem. Pomimo wstrętu i podziwu jaki w nim wzbudzała, Jan nie mógł się na nią napatrzyć, oderwać od niej. Jakaś dziwna sympatya łagodna dwojga dzieci północy spotykających się pod gorących Włoch niebem, łączyła ich dwoje.

Wysiedli z powozu, a gdy się przed niemi otwarły drzwi starych podziemiów podkopujących Rzym pogański, Grone ja-ko antykwaryusz pospieszył naprzód ze swą erudycją. Umieściwszy się w pośrodku grupy, której ostatnie ogniwo stanowiła Miss Rosa i Jan, nie dał nikomu westchnąć, spojrzeć ani wyrzec słowa, póki nie wyrzucił z siebie, co nazbierał przez dni kilka cytat i wiadomości.

— Katakumby, rzekł poważnie, albo raczej Katakumby jak je zwano początkowie, bo pierwszy Grzegorz święty użył wyrazu katakomby, mówiąc właśnie o tych które zwiedzamy, nie są cale dziełem chrześcian.

— Jakto? przerwał Anglik, dziełem pierwszych chrześcian niezawodnie!

Przewodnik Cicerone w którego atrybucy wdzierał się Grone, pokiwał z nieukontentowaniem głową i szepnął: Heretyk! — splunąwszy ze wzdardą.

Tak, nie są początkowie dziełem chrześcian całe powtórzył Grone. Były to karjery z których dobywano puzzolanę i tuf wulkaniczny do budowli. Zwano je arena- riae. Cycero pisze o nich w mowach, mówiąc o Asiniusie.

— Tyś sam taki, szepnął zniecierpliwiony Annibal. Ja nie pojmuję, dodał głośno, co też tu ciekawego? Labirynt kilku piętrowy ciasnych przejść, pułki i szufladki na grobowce, popsute, i złego stylu sarkofagi, malowania pozacierane i brzydkie. —

— A myśl? a wspomnienie łez, męczarni, ofiar pierwszych bohaterów krzyża? zapalczywie podchwycił Anglik, broniąc miejscowości wedle swojego zwyczaju, i wcielając się w otaczające.

— Arenariae ciągnął dalej poważnie Grone idąc ciasnym korytarzem, którego sklepienie to się zniżało, to podwyższało, a boki z kolei rozszerzały i zwężały nierówno. Wspomina także Swetoniusz w Neronie o nich, powiadając że Faon radził cesarzowi schronić się in specum Egestae arenariae. Witruwiusz tymże wyrazem je oznacza. Pierwsi chrześcianie... — Pierwsze ofiary! zawołała Miss Rosa, ofiary które za sobą tyle innych ofiar przesądu pociągnęły.

— Ofiary, machinalnie powtarzał archeolog, niez mieszany bynajmniej ciągle przerywaną rozmową. Zwano także katakumby latomiae, coemeteria, areae, cryptae. Tertullian i Hieronym temi wyrazy je oznaczają.

— A! co nam tam do twego Tertulliana i Hieronima, przerwał znowu Annibal, ot patrzaj lepiej z nami jeśliś ciekawy, a nie bałamuć nas.

— Katakumby, posłuchajcie, ciągnął dalej flegmatycznie Niemiec, rozsuwały się w różnych kierunkach dokoła Rzymu. Te które zwiedzamy uważają się za najstarsze. Ciągną się one pod drogą Appijską i smętarzem świętego Kalixta. Katakumby świętych Saturnina i Thrasona u Porta Salaria, świętych Marcellina i Piotra za Porta Maggiore, są także bardzo stare. — Stare! spodziewam się że stare, rzekł ruszając ramionami Anglik, nieznośny gaduło Niemcze. Nim powiesz o ich wieku i nazwaniu, złóż wprzódę łzę u wnijścia. To schronienie świętych, to pierwsze kościoły wiary co świat odrodziła, tu uciekający od krwawych wyroków Numeriana, Maximina, co im nawet wstępu do katakumb broniły, mogli użyć w ciemnościach chwili spokoju i chwili modlitwy.

— Bracie szalejesz! przerwała Rosa, to byli biedni zaślepięcy.

— To byli święci! rzekł zginając się przewodnik.

— To były wielkie dusze bohaterów chrześciaństwa, wyjąknął Jan z uczuciem.

— Twórcy owej sieci co zagarnęła świat cały, uśmiechając się z politowaniem dokończył Annibal.

Wśród tej dziwnie sprzeczącej się rozmowy, szli wszyscy za przewodnikiem w światła ustrojeni, korytarzami które się ciągną pod Appijską drogą. Co chwila najmniej ciekawych coś uderzało, a Niemiec który się był przygotował na lekcję i czytał dobrze Bosio, Boldettego i Bottari, tłumaczył natychmiast na cokolwiek natrafiali. W owym czasie więcej jeszcze pamiątek później do muzeum Watykańskiego przeniesionych, znajdowało się w Kryptach. Korytarze nieforemnej ciasne przejścia, wschodki niezgrabne, małe bazyliki, studnie i cysterny do chrztów, ozdoby sklepień, symbola, napisy; w jednych szyderstwa, w drugich ciekawości, w innych uniesienia oznaki wywoływały. Jan silnie był poruszony widokiem tej kolebki chrześcijaństwa, gdzie ubodzy i biedni naukę nową dla świata, oblaną krwią męczenników pielęgowali, gdzie spoczęły kości ofiar co chętnie szły na stosy, na pożarcie, na męczarnie, na śmierć. Jak wielką, jak silną wówczas była wiara! myślał w duszy. Niemiec tymczasem chwycił się pierwszej zęczności, aby paplać i objaśniać — Ta izba, mówił podchwytyjąc aby go kto nie uprzedził, była kaplicą — kościołem: te wyżłobienia w jej ścianach są to locula, z obu stron na grobowce przygotowane, w pośrodku to głównego męczennika: memoria, confessio, martyrium, testimonium, titulus. Wiara jak widzicie, opiera się na ofierze, świadczyła się krwią wylaną, na grobach pierwsze niekrwawe składała ofiary. Jak Chrystus za wszystkich, tak wszyscy za wszystkich poświęcić się powinni. Ofiara, miłość, głównymi są zasadami nauki chrześcijańskiej, całym jej symbolem.

— Dla czegoż to tak przekręcono? tak na złe umiano obrócić? zapytał Annibal.

— Tak! dla czego, powtórzyła za nim Angielka, dla czego co kruszyło więzy, więzami się stało, co świeciło gasi światło?

— Deklamacye czcze! pogardliwie odpowiedział Grone, słuchajcie lepiej. — Będzie nam bez końca tłumaczył, rzekł Anglik, a my czuć, my się wcielać, my sercem pojmosfera chcemy.

— Jam tylko poprostu ciekawa, szepnęła Rosa i zastanowiła się u jednego z przedstawień Jonasza, jakich pełne są katakumby.

— Jonasz! zobaczywszy to zawołał zaraz Niemiec. A wie pani co znaczy Jonasz? symbol, myth, allegorya. Nowi nawróceni chrześcijanie widzieli w Jonaszu, i nie bez przyczyny może, to co poganie w mycie Herkulesa, pochłoniętego przez wieloryba i po trzech dniach wyrzuconego przezeń. Są i greckie wazy z tego rodzaju przedstawieniami. Jonasz także krewni się z Jazonem połkniętym przez smoka i wyswobodzonym z gardła jego. Mythy są wieczne, a odkrycie ich znaczenia...

— Do was należy! rzekł łagodnie uśmiechając się z ukłonem Sussemann.

— Tak! rzekł naiwnie Niemiec, pewna jest, że to do mnie należy. Znajdziecie tu nie tylko Herkulesa, dołożył, ale i Orfeusza, którego pierwsi chrześcijanie wzięli za emblemat missyi Chrystusa na ziemi. Ten Chrystus Pastor Bonus, to także postać którą sztuka chrześcijańska wzięła od pogan i swym zwyczajem zastosowała do siebie. Kalamis był twórcą tego typu w starożytności. Jest to Merkury Kriophoros.

— Bredzisz kochany Grone, rzekł Anglik idąc dalej.

Przewodnik pluł i oczy wywracał słuchając tego. Korzystając z chwili milczenia, które zdumiony

niecو apostrofą zachował Niemiec, Anglik podchwycił, cały przejęty sytuacją, z oczyma dziwnie rozplamionymi:

— Wystawcie sobie owe wielkie, tajemne uroczystości, owe zgromadzenia wiernych i ofiary i uczty i braterski pocałunek tych którzy wkrótce paść mieli pod katowskim mieczem. Co za obrazy! Jak wielkie i święte obrazy! — Ten, to dobry katolik, mruknął przewodnik Antonio, ale ten drugi *tedesco diavolo, eretico*.

Wtem Niemiec przyszedłszy nieco do siebie nie dal rozczulonemu dokończyć, bo go erudycja dusiła i zmuszony był zrzucić ją z siebie.

— Zgromadzenia, zaczął krzyżeć szybko, zgromadzenia owe zwały się *agapes, Üääääé* od *ÜäÜđę*, *charitas*, miłość; były to zgromadzenia braci w Chrystusie. Miewały miejsce z różnych powodów, z okoliczności poświęceń, pogrzebów, urodzin, a ztąd zwały się *connubiales, dedicatariae, funerales, natalitiae*. Agapy nareście potępione jako zabobon pogański przez świętego Ambrożego, wkrótce zarzucone zostały. Oto, dodał, malowanie jedno wyobrażające obchód tego rodzaju, ucztę z kilku tylko osób złożoną.

— Co za mizerna bazgranina! jakie linie! jakie twarze poczarne, rzeki Annibal zbliżając się.

— Okryłbym złotem ten kawałek ściany, gdyby mi go dla British Museum sprzedano, zawołał z uniesieniem Sir Artur.

— Proszę nie ruszać, rzekł żywo Antonio.

— Ten stół okrągły to *cibilla*, — na nim, uparty kończył Grone, — widzicie potrawy. Sługa trzyma w ręku szklankę do picia *cyathus*. Oto chleby z wyciętymi na nich krzyżami (*quadra*), oto jaja symbol *expiacyi* u starożytnych.

Tak szli ciągle dalej a dalej wśród tłumaczeń Niemca, uniesień Anglika, ironij Annibala, rozczulenia milczącego *Süsse*mana i cichej rozmowy Jana z Miss Rosą Cromby. Ona go rozpytywała, on odpowiadał ale roztargniony, widokiem miejsca przejęty, pół słówkami. Ze wszystkich najmniej uważała Miss Rosa na to co ją otaczało: wspomnienia owych czasów tak żywe, tak dotykające, ani ją rozczulały, ani unosiły, dusiła się w ciasnych korytarzach, poglą-

dała na niezgrabne malowania, śmiała się z Noego, który w arce maleńkiej, jak w pudełeczku, do wpół zamknięty wyglądał i t. p.

Niemiec tymczasem porównywał Abrahama, Mojżesza, Jonasza i Daniela, do Persensa, Bellerofona, Herkulesa i Thezeusza, prawił o nieśmiertelności symbolu, o jego znaczeniu, o symbolach słońca, wołu, jelenia u źródła, pawia na kuli stojącego i innych przedstawieniach, które się spotykają w Katakumbach. Tak przeszli znaczną część krypt, a Angielka nie zważając na zaostrzoną ciekawość towarzyszy swoich, poczęła się napierać do powrotu.

— Powietrze to dusić mnie zaczyna, rzekła, pomimo otworów.

— Foramen, szepnął Niemiec odwracając się.

— Niedość-że macie jeszcze tych jednostajnych przejść, schowanek, grobów i ołtarzy? A! wracajmy już proszę! Naprózno uniesiony Sir Artur, chciał od świętego Sebastjana i Katakumb drogi Appijskiej, udać się zaraz do innych i dalej ciągnąć badania, które Niemiec ofiarował się wspierać swą erudycją; spóźniało się, Antonia przewodnik znużył i gniewał, że nie miał co tłumaczyć, Miss Rosa niecierpliwiła: trzeba było powracać, pośpieszali więc ku wnijsciu za przewodnikiem: Jan smutny, Miss Cromby zamyślona, Sir Artur zawsze w extazach. Süssemann milczący ze łzą w oku, Annibal uczepliwszy się za rękę Antonia przewodnika prawił mu koncepta filozoficzne tłumaczone z francuzkiego, bawiąc się oburzeniem Włocha i łajaniem jego.

Grone szeptał wciąż pod nosem wyrazy jakieś niezrozumiałe.

Część dnia spędzona w Katakumbach, a raczej przypadkowe poznanie Anglika i jego siostry, większy wpływ wywarło na Jana, jego życie, wyobrażenia, może na przyszłość, niżeliby przewidywać było można. Tak często drobny na pozór wypadek, farbuję długą lat przestrzeń.

Rozstając się po przebyciu Appijskiej drogi, Anglik uściskał za rękę Jana, a Rosa chwyciwszy dłoń jego, długo ją wstrzymując i wpatrując w oczy rumieniącemu młodzieńcowi, szybko wysypała tysiiąc grzeczności i złonych słówek: zapraszała go aby ich odwiedził i usilnie żądała bliższego poznania, ściślejszych stosunków. Annibal widząc to, świszcząc poszedł przodem, gdy Jan wstrzymany i naglony, musiał wreszcie dać słowo Rosie, że ją odwiedzi, że częściej widywać się będą. Angielka dała mu bilet z adresem, a na rozstaniu rzekła — pamiętajże pan! pamiętaj! Tyle naszego co w tem życiu. Gdy w niem spotkamy twarz i serce naszemu pokrewne, miłe, czemuż od nich odbiegać, czemu się do nich nie zbliżyć? czemu nie spróbować szczęścia?

Brat tak się bawił swoim włoskim ubiorem i sztyletem, że końca rozmowy nie słyszał, a może nie chciał jej słyszeć. Jan milczący, zamyślony powrócił z Annibalem do cichej izdebki gdzie zastali Angiolinę na łóżku leżącą i uśpioną z gitarą w ręku. Włoch ją przebudził brząknięciem po stronach. Zerwała się żywo i poskakując ku obu razem, zawołała: A! wróciliście Bogu dzięki! i cali! cali! nic się wam nie stało! Chwała Matce Bożej, ale już drugi raz szczęścia nie próbujcie. Mówią że tam łatwo zabląkać się i zginąć można.

Nazajutrz przypomniawszy sobie obietnicę, Jan musiał pójść do pałacu, którego Anglik zajmował na Corso. Dwie zupełnie oddzielne jego części były mieszkaniem brata i siostry. Sir Artur tegoż ranka wyjechał był do Neapolu w celu zbadania życia Lazaronów i rybaków. Czekają go już najęte mieszkania w Castellamare, w Sorrente i samej stolicy. Miss Rosa Cromby była sama jedna.

Ona ze służącą tylko zajmowała obszerny, ale opuszczony choć dawniej wspaniały apartament. Dwóch murzynów przebranych po orientalnemu usługiwało jej; reszta licznego dość dwom i służby mieściła się na dole i nic była widzialna. Ogromna sala i gabinet do niej przytykający pełne były kwiatów, dywanów, posągów, obrazów dość smakownie porozstawianych i porozwieszanych dokoła. Przepyszne naczynia marmurowe napełniały świeże i wonne pęki kwiatów, okna zasłaniały firanki pół przezrocyste; posadzkę wszędzie zwyczajem angielskim wyłożono dywanami. Miss Rosa na szezlongu leżała z książką. Czytała jedno z upodobanych dzieł Russa. Przed nią na trójnogu stał

poczęty obrazek, na ziemi leżała paleta i porozrzucane pęzle.

— A! jak się masz! zawołała zrywając się — jak się masz artysto. Czekałam na ciebie i gdyby nie resztką wstydu kobiecego, głupiego wstydu którego pozbyć się nie umiera, byłabym cię pierwsza odwiedziła, tak byłam niecierpliwa.

Jan podziękował w milczeniu, nie umiał odpowiedzieć.

— Wiesz co, dodała śmiała Angielka, jestem Lawaterystka, rysy twojej twarzy podobają mi się; chcę koniecznie bliżej się poznać z tobą, chcę cię pokochać jak brata. Siadaj.

Przyjęcie, sposób powitania, mowa, ruchy prześlicznej Miss Rosy były tak dziwne i niepojęte dla Jana, który nigdy nic podobnego nie widział, nie wyobraża! nawet sobie; że miał się za uśpionego i marzącego dziwacznie. Dotknięcie białej ręki przywołało go do świata i uczucia życia: łza zakręciła mu się w oku. Ona go po mężku ścisnęła za rękę, i wskazywała na krzesło.

— A Sir Artur? spytał Jan nie wiedząc od czego począć rozmowę, — Pojechał dziś do Neapolu, odpowiedziała śmiejąc się. Nie mów mi o nim, to dziwny szaleniak, dziwnie lekki człowiek! Serce dobre, ale głowa słaba. Cały w extazie, wszystko uwielbia a nic nie pojmuje. Ale szczęśliwy może, a to najważniejsza. Szczęście! rzekła z westchnieniem, szczęście zagadka życia, tysiąc razy zdaje się bliska rozwiązania i — wiecznie nieodgadniona!

— Szczęście, rzekł Jan pytając, wszakże to cisza w duszy, spokój bez żądzy, zadowolenie pragnień i długi byt bez zmiany.

— Gdziez ono? gdzie ono? przerwała Miss Rosa. Nie! nie! nic podobnego nie ma na świecie. To szczęście stare, ideał niepościgniony, a ludzkie prawdziwe szczęście, to suknia arlekina. złociste i czarne łachmany pozszywane razem; życie jakim jest: boleść z nadzieją, nadzieja i rozkosz w cierpieniu, ciągły ruch, ciągła walka, ciągła czynność. To szczęście nasze. Innego nie ma! dodała, nie ma! nic ma! — Takiego ja szczęściem nie nazwę.

— Boś ty jedną z tych organizacyj szczęśliwych a biednych, co wiecznie ludzi się muszą i tęsknić za spokojem, nie mogąc go dostąpić. Powiedz mi, kochałeś ty?

To pytanie w różowych ustach Miss Cromby miało coś przykrego. Jan się zarumienił jak dziewczę i odpowiedział z bolesnym zająknięciem: Któż nie kochał? .

— Kto? ja! ja! smutnie odpowiedziała Rosa. Możnaż to nazwać miłością, cośmy oboje zapewne doznali, chłodne jakieś uczucie, chwilowe, przemijające. Ciepły wietrzyk wiosenny wiejący przez serce młodociane? Ja inaczej wyobrażam sobie to uczucie, które sprawia, że zapominamy i nie znamy świata prócz w sobie, że w sobie mamy wszystko: przyszłość, niebo, Boga, a, to się wysłowić nie daje.

Zarumieniła się, spuściła twarz w dłoń białą i zamyśliła. — Takbym kochała, rzekła żywo, gdybym kochała kiedy. — I szczęśliwy kogobyś Miss kochała, boby pewnie wart był tego, powiedział Jan zmieszany i niespełna przytomny.

— Alboż koniecznie kochamy kto wart tego? Alboż my wiemy co miłość? Nie kochamy ani piękności, ani cnoty, może ani przymiotów, ani nic z tego co się daje pojąć, określić, kochamy coś niepochwyconego, nieokreślonego, tajemniczego, kochamy to co kochamy, nie. wiedząc dla czego; ciągnie nas siła fatalna. Serce uderzy raz, drugi, idziemy za niem; widzimy, że nas wiedzie ciemnymi drogi i nad przepaście prowadzi; cóż po tem, nie umiemy, nie możemy mu się oprzeć.

— Alboż nie można oprzeć się sercu?

(Pytania i odpowiedzi Jana tak były chłodne i pospolite, że wszelki inny nie Miss Rosa, byłby ostygł słuchając ich; ona się coraz ożywiała).

— Tak! kto go nie ma! zawołała dumnie błyskając okiem. Ale po cóż ta rozmowa? Myśmy w zdaniach i wyobrażeniach daleko od siebie; uczuciem może bliżsi jesteśmy niż myślą. Ty wierzysz we wszystko, tyś dziecię jeszcze, ja! w nic!

— O! omyliłam się, podchwyciła zrywając się z siedzenia i podając Janowi rękę, wierzę w sztukę i wierzę w miłość, wierzę: w przeznaczenie i fatalność.

— Jest to wiara tych, co innej nie mają.

— Spokojnam z nią dosyć i innej nie żądam. Chodź, zobacz obrazy moję i roboty.

Miss Cromby powiodła naprzód Jana przed stare płótna, które świeżo zakupiła była na licytacji po kardynale R....potem do swoich własnych robót. W tych wiele było ognia, zapału, ale część mechaniczna słaba i nieumiejętna.

— Pokazuję ci moje, po tamtych, rzekła, aby ci się gorzej wydały, abyś je osądził surowiej, powiedz mi o nich prawdę: kocham szczerłość, naprowadzisz mnie na drogę, będę ci wdzięczna. Jan tak zagadniony, chwalił co było godne pochwały, lecz nie ukrywał co widział słabem. Rosa ścisnęła go za rękę: — Dobrze rozumiesz sztukę, a jeszcze lepiej obowiązki przyjaźni. Bo nieprawdaż, że jesteśmy przyjaciółmi od dzisiaj? A ty moim nauczycielem?

— Sam dotąd jestem uczniem.

— O! to nic nie szkodzi! uczym się do śmierci. Będziemy więc, nieprawdaż, uczyli się we dwoje? Podaj mi rękę, Janie, zgoda?

— A teraz, dodała siadając, chciałabym poznać cię lepiej, powiedz mi swoją przeszłość.

Zagadniony tak porywczo i niespodzianie, Jan chciał się od wyznań wymówić, chciał tę spowiedź nagłoną odłożyć, ale Miss Rosa miała szczególny dar ośmielenia, rozognienia człowieka najzimniejszego, przywiedzenia go ku czemu chciała. Wymogła więc nie ustępując, że Jan opisał jej szczegółowie przeszłe swoje życie, a zeznanie to szczerze nie jedną tajemną łzę go kosztowało. Kilka razy w ciągu opowiadania przerwała mu pytaniem, uzaleniem, uściskiem ręki, a gdy skończył, z zapalem i uniesieniem zawołała:

— Jesteś dziecię ludu i dziecię natury! podwójną teraz czuję ku tobie sympatyą. Czem jesteś,

winieneś tylko sobie. Szczery, szlachetny! otwarty! o! proszę cię, bądźmy przyjaciółmi. Ty mnie malarstwa, ja ciebie tego com sama z książek zaczerpnęła, nauki świata i życia, uczyć będę. Tyś ślepy jeszcze mój bracie.

— A teraz chodźmy do ciebie, chcę cię nawzajem odwiedzić. Mówią, że Lavater poznaje ludzi z pisma, ja uczę się ich z mieszkania. Chcę widzieć twoje.

— Miss Cromby, ja mieszkam daleko, i, dodał, nie sam jeden.

— Jakto? z kimże? z kobietą może? spytała lekko się rumieniąc.

— Nie, z Włochem Annibalem malarzem, który wczoraj był także z nami. — Wiem! ten co mi potakiwał nieustannie. Nie lubię potakujących.

— Myśli jak wy!

— Tem lepiej dla niego. Chcę widzieć roboty wasze, chodźmy, bez wymówki.

— Pieszko?

— Czemuż nie? Chodzę wiele i szybko; podaj mi rękę. Zadzwoiła.

— Lecz w ulicy, sami we dwoje.

— Właśnie negr mój Nero pójdzie za nami, a zresztą, co mi tam!

— Będą mówili...

— Niech mówią, i ja mówię o drugich, na zdrowie. — Chodźmy.

To rzekłszy chwyciła kapelusz popielaty z głowy posągu, wzięta laseczkę w rękę i zbiegła ze wschodów wołając Nerona. Neron ogromny, straszny negr rzucił się ich śladami. Ona ciągnąc za sobą Jana, śmiała, żywa, lekka i dumna, leciała ze swobodą niepojętą w kobiecie. Nic postrzegli się jak stanęli u drzwi, przez które dawał się słyszeć brzęk gitary. Jan domyślił się po fałszach, że Angiolina grała.

— Pozwól pani, rzekł, pójdę naprzód, Annibal nie sam jeden.

— A! z kobietą zapewne?

— Zdaje mi się. .

— Cóż nam to szkodzi! kto ona? model wasz? znam je wszystkie. Jej imię?

— Angiolina.

— Prześliczna! znam ją, to i moja Venus. Chodźmy! czegoż stoim? Cóż ona mi szkodzi? Annibal

spiał gdy weszli, Angiolina wyciągnięta na ziemi na macie, oparta plecami o łóżko, grała z cicha na gitarze. Na widok Jana i Miss Cromby zerwała się żywo, zarumieniona i składając ręce spytała:

— A! Signora! wy tu co robicie?

— Widzisz Angiolino! przyszedłam zobaczyć roboty twoich dwóch malarzy; dwóch kochanków może? — O! nie, Jan nie mój kochanek wcale,

to kamień czy kawał lodu północny, to..... I skrzywiła się, ale w tej chwili z za drzwi czerniejąca twarz negra uderzyła ją, zapomniała o wszystkich i poczęła się w niego wpatrywać, łamiąc ręce i kiwając głową. A! jaki czarny! jaki czarny straszny heretyk! co za bestja okropna! a jak to ubrane! I wyszła na wpół złękniiona, wpół rozdrażniona przypatrzeć mu się z blizka. Annibal pochwycił się ze snu i powitał Miss Rosę. Ta za ledwie kiwnąwszy mu głową, poczęła oglądać roboty Jana. Zachwycona niemi unosiła się, chwaliła, przypatrywała i co chwila ścisnęła go z uczuciem za rękę.

Annibal trochę w miłości własnej obrażony, widząc że mu się ani cząsteczka pochwał nie dostaje, tak hojnie Janowi sypanych, usiadł w kącie zachmurzony. Nareszcie portret Angioliny w jej wdzięcznym narodowym stroju odmalowany dość szczę-

śliwie przez Włocha, zwrócił uwagę Miss Cromby; zażądała go kupić od Annibala.

— Nie jest do sprzedania, odparł zimno.

— Moglibyście sobie zrobić drugi, wszak macie na zawołanie oryginał? szydersko rzekła Rosa.

— Chcę mieć i kopię.

— Do woli. Adio! Wy ze mną, nie prawdaż? spytała obracając się do Jana, odprowadzicie mnie?

Opierać się było niepodobna, poszli razem. Angiolina długo jeszcze wyglądała niby za negrem, a może więcej za Janem. Annibal położył się na łóżku z gitarą, ona przyszła po chwili oprzeć głowę na jego kolanach i śpiewała tak do późnej nocy, stare włoskie piosenki.

Jan tymczasem powracał z Miss Rosą do jej mieszkania, po drodze zastanawiali się razem u posągów i fontan, mówili o sztuce. Angielka umiała suchą i zimną teorię sceptycyzmu i materyalizmu z ogniem i zapa- łem wyklądać. Pod wpływem uroczych jej słówek, Jan czuł się silniej zachwiany wciąga dnia jednego, niżeli długim obcowaniem z Annibalem.

Przekonania jego chwiały się, niepokój był w duszy. Kobieta jakby miała na sercu ku swej niewiarze go nawrócić, o wszelkim przedmiocie w duchu swoim mówiła, wszędzie umiała wrzucić słówko znaczące, słówko co więzło w głowie słuchacza i rozwijało się później same w cichych dumania godzinach.

Nie ma nasienia coby łatwiej się przyjmowało nad sceptycyzm i niewiarę. Niszczyć daleko zawsze łatwiej niż tworzyć, trudniej nawracać niż wywracać. Nawrócenie-jest dziełem natchnienia, wywrót robotą zimnej myśli. Natchnąć wiarę, cud tylko może, lada głupiec zachwiać nią w słabym potrafi, a potem nigdy już ona nie wróci.

Miss Rosa do późnego wieczora czytała Janowi, mówiła z nim i takie potrafiła wzbu- dzić zaufanie topiąc w nim niebieskie swe oczy, czarując niepojętym wdziękiem, że wyznał przed nią więcej niż przeszłe swe życie, bo stan terażniejszy duszy, walki z sobą, niepewność, pragnienie pozostania przy starej wierze, którą miał za jedyną prawdę i jedyną szczęścia rękojmię.

Angielka śmiała się z niego jak z dziecka, śmiechem, wymową, opowiadaniem i mamiącemi wielkimi słowy filozofii, postępu, światła, zdeptania przesądów; oszalonego puściła nareszcie ściskając silnie za rękę i mówiąc mu na pożegnanie:

— Powrócisz jutro?

— Jutro, nie wiem, mam godziny nauki. — Ja chcę, ja wymagam, przyjdiesz?

I Jan przyjść obiecał. Nazajutrz znowu zatrzymała go długo, a gdy się rozstawali:

— Wiesz co, rzekła, mamy próżne mieszkanie. Sir Artur nie wróci tak prędko; każę ci małą urządzić u mnie, mieszkać tutaj, to lepiej będzie. — A ludzie?

— Znow ludzie! co mi ludzie! rozśmiała się.

— Lecz znaszże mnie dosyć?

— O! dziecię! Jakbym cię znała od kolebki! Umiesz się zakryć? No? nieprawdaż, że zgoda? Twój Annibal z Angioliną to nudne towarzystwo, Annibal bazgracz, bez duszy artysty, Angiolina ładne zwierzątko. Zechcesz jej dla wzoru, przyjdzie i tutaj. A tak będziemy razem!

— Prawdziwie, nic śmiem, nie wiem.

— Wahasz się! biedny! a więc pomówimy o tem jutro jeszcze, odezwała się żegnając go z uśmiechem. Bądź zdrów bracie. Chrześcianie zwali się braćmi w Chrystusie; myśmy bracia przez sztukę i uczucia. Me wiem co fatalnie ciągnie mnie ku tobie.

Jan słysząc te ostatnie wyrazy, które były prawie wyrzeczeniem się chrześcijaństwa, zasmucił się odchodząc. Angielka zadziwiła go, pociągała ku sobie urokiem niewytłumaczonym, ale razem czuł jakieś politowanie nad nią, i jakby bolesne przeczucie wiszącego nad nią nieszczęścia. Były chwile, w których jasne lazururowe oczy tej kobiety niepostrzeżenie nabierały wyrazu zdradzającego wewnętrzną mękę, pokrytą pozorem tylko wesela i swobody.

Annibal i Angiolina byli w mieszkaniu, gdy Jan nadszedł. Jedli macaroni, których sobie przynieść kazali, i śmieli się do rozpuku. Wioch zobaczywszy Jana nagle zamilkł i ukośne puścił nań spojrzenie. Na powitanie nie odpowiedział wedle zwyczaju i widocznie skrzywił się jakby zagniewany. Myśląc, że ten zły humor przejdzie, Jan zaczął coś mówić, ale mruczenie tylko odbierając miasto odpowiedzi, zamilkł także. Wieczorem o jakąś drobnostkę żywe wymówki począł Annibal robić Janowi; nazajutrz już się rozstawali.

O niewielkim zapasie, gdyż pensja królewska nic była wystarczająca i nieregular- nic dochodziła, Jan musiał myśleć bardzo jak sobie najać mieszkanie i utrzymać się, nie przypuszczając nawet aby

Miss Rosa pod niebytność brata, chciała go u siebie umieścić. Lecz najniespodzianie, Nero, dwóch tragarzy i służący Miss Cromby nadeszli po zabranie rzeczy Jana. Karteczka Rosy zapraszała go usilnie do przygotowanego mieszkania, pod pozorem lekcji, których od niego żądała. Nie bardzo mając czas nad tem co robił zastanowił się, Jan pozwolił zabrać obrazy i rzeczy. Annibal poglądał na to gniewnie i zazdrośnie, pożegnał go zimno i szydersko, odwrócił się pogardliwie i usiadł do roboty.

Przyszedłszy do hotelu Anglika, Jan nie zastał Miss Rosy, była na przechadzce w Filia Borghese; otworzono mu jego pokoje. Widocznie wybrane były jak dla malarza i wybornie oświetlone: jeden bardzo obszerny do pracy, drugi dla spoczynku chłodny, zacieniony i miły. Tu znalazł Jan małą biblioteczkę i naczynie z kwiatami na konsoli marmurowej: uderzyły go te przedmioty jako dowód troskliwości i pamięci Miss Cromby. Biblioteczka składała się z tych ksiąg chciwie naówczas czytanych, które gotowały wielkie burze świata w imię idąc postępu, ludzkości i światła; nowsi pisarze francuzcy i angielscy, kilka sławnych romansów, kilka ksiąg pseudo-filozoficznych zajmowały pułki.

Jan oczekując przybycia Miss Rosy, usiadł tymczasem czytać. W rękę mu wpadł Russo. Był tu cały zbiór pism jego, Heloiza, Wyznania, Umowa społeczna, Listy. Pisarz ten zdawał się stworzony dla Jana, od pierwszych kart uczul się pociągniętym ku niemu i chciwie go już pożerał; gdy niespodzianie otworzyły się drzwi i w ubraniu z przechadzki weszła Rosa

— A! przecie! jużes tu bracie! zawołała, cieszę się, zobaczysz jak ci dobrze będzie. Jan odpowiedział jej niewyraźnem podziękowaniem.

— Teraz, twoja godzina niewoli, godzina mojej lekcji, chodź do mnie.

Poszli razem. Lekcyje były wzajemne! Jan uczył malarstwa Angielkę, ona z całym zapalem nauczycielki co nigdy jeszcze nie miała ucznia, zasady szkoły filozoficznej któremi napojoną była, przelewała w niego. Wszystko co XVIII wiek wydobył z prochu historii przeciwko wierze: uciski w jej imieniu dopełniane, inkwizycya, wojny, zabójstwa, zdrady, mordy przesuwaly się w obrazach żywo skreślonych przed oczyma Jana. A nauczycielka tak była natchniona! wyraz jej każdy tak gorąco z duszy wyrzeczony, tak mówiący i przenikliwy!

Nauka ta trwała długo, codziennie nauczycielka i uczeń, nauczyciel i uczennica stawali się sobie potrzebniejsi, miłsi, co dzień poufalsi z sobą. Już kronika gorsząca plo-

ta dziwy o ich pożyciu; a jednak, jak zawsze prawie, w tych pozornych bardzo plotkach nie było prawdy. Rosa i Jan żyli z sobą jak brat z siostrą.

W jej sercu może od pierwszego wejrzenia obudziło się czulsze i gorętsze uczucie, usiłowało wyrobić wzajemność, ale dotąd napróżno. Jan patrzył z zachwyceniem na Miss Cromby, długie godziny wlepiął oczy w jej twarzyczkę tak uroczego wdzięku, ale w sercu nie czuł ku niej nic nad przyjaźń prawdziwą, nad spokojne przywiązanie brata. Żadna inna strona w nim nie zadrgała. Często wieczory całe pędzili na długich samotnych przechadzkach, w których tylko zdala idący Nero im towarzyszył; często dnie całe przepędzili obok siebie, oko w oko, dłoń w dłoni, z całą szczerością młodości uczuć się swoich i myśli spowiadając. Ale Jan nie miał na sumieniu wielkiego grzechu

miłości, z któregooby się choć mimowolnie wypowiedział Rosie. Cze- kała ona, czekała, serce jej biło, oczy płonęły lub łzą zachodziły, on pozostał jak był.

— To przyjdzie z czasem, mówiła sobie, to przyjdzie z czasem!

Ale czas ubiegał, a nic nie przychodziło; Jan kochał ją zawsze tylko jak siostrę, ona go już jak jedyną istotę na ziemi, z gwałtownością tej wyłącznej miłości, która się chwyta swego przedmiotu jak własności, która za nim, bez niego, nie widzi nic w świecie, pustynię tylko. Miss Rosa kochała pierwszy raz w życiu. Długo, długo nikt tego uczucia nie potrafił w niej wzbudzić, tu jedno wejrzenie gdy go idąc do Katakumb spotkała, zrobiło wszystko. Dla tego Miss Cromby tak silnie przywiązała się do Jana, tak gwałtownie chciała go przyciągnąć ku sobie — obawiała się iż nigdy już więcej kochać nie potrafi. Względy urodzenia, nierówności stanu, były dla niej przesądem, nie zważała na nic zresztą, kochała. Miłość ta była już tak gwałtowną po kilku miesiącach pobytu razem, że jeden Jan uparcie w niej tylko szczerą przyjaźń mógł upatrzeć.

Dokoła zaś powiadano głośno, że Miss Rosa była kochanką Jana, może nawet zaślubioną przez niego tajemnie. Annibal zazdrościł mu bogatego ożenienia!!! filozof! Jan tymczasem gorące objawienia uczuć biorąc za właściwość charakteru Angielki, nic nic rozumiał, niczego domyśleć się nie chciał.

Po kilku tygodniach próżnego usiłowania, nauczycielka stała się milczącą i smutną. Całe dni przepędzała w milczeniu, oparta na kanapie lub przed trójnogiem z pęzłem w rękę a nie mogąc malować. Raz tak zastał ją Jan smutnie zamyśloną i zbliżywszy się powoli, wziął za rękę, mówiąc po cichu:

— Miss Cromby, co to wam? — Co mi jest? podnosząc łzawe oczy zawołała — Co mi jest? nic wiesz?

— Jakże mam wiedzieć ? widzę tylko od niejakiego czasu: smutek, roztargnienie, zamyślenie, powodu nie wiem: powiedz mi go szczerze?

— Nie wiesz powodu! nie wiesz! powtórzyła smutnie. I nigdy go wiedzieć może nie będziesz, po co? dla czego? dodała jakby do siebie mówiąc.

— Spodziewam się że mi to powiesz! rzekł Jan, może potrafię cię pocieszyć, poradzić, może.

— Gdybyś chciał, a raczej gdybyś mógł.

— O chęci możesz wątpić? Lecz jestli w mojej to mocy?

— W twojej i nie w twojej ! mógłbyś a nie możesz, o! nie pytaj Janie, nie pytaj, na co ci wiedzieć czem biedna twoja siostra choruje? Choroba nieuleczona, smutna, kończy się śmiercią. A śmierć, drogi mój bracie, to sen bez przebudzenia, to sen bez

marzeń mówi nasz Shakspeare, kto wie czy bez marzeń? kto wie sen to jaki?

I pierwszy raz pod panowaniem silnego uczucia Miss Rosa, za śmiercią i zniszczeniem cielesnem,

rzuciła to wielkie: Peut être? którego wprzódki nie było dla niej. Wprzódki widziała tam nicość, gdzie dziś bijące uczuciem serce, już jej jakieś wskazywało życie. Nigdy rozum zimny nie zaprowadzi człowieka niewsparty uczuciem w te nieprzystępne krainy. Zawsze wiodem podróżnego serce. Wiara też nie w rozumie ale w sercu, a w rękach ciekawego rozumu ona się rozpada jak blaski tęczowe, gdy dziecię schwytać je pragnie.

— Nie! dodała, to sen wieczysty, to zapomnienie, to zniszczenie i nic więcej. I powstała od trójnoga rozrzucając wkoło siebie co trzymała w rękach. Padła na sofę i płakać poczęła.

— Miss Rosa, na Boga cię zaklinam, powiedz mi co to jest?

— Na Boga? powtórzyła z uśmiechem i straszne bluźnierstwo z chorej wyrwało się duszy. Jestże on? ta istota pełna dobroci której dzieci cierpią tyle? która patrzy nie wiem z kąd, patrzy i nie wyciągnie im ręki?

Jan osłupiał.

— Cierpisz, rzekł, podzielmy to cierpienie, proszę, powiedz mi, powiedz je. Ty wiesz Miss Cromby że cię kocham jak brat, że dałbym życie dla ciebie.

— Tak, szepnęła Angielka po cichu, tylko jak brat! Na co mi tve życie? gdy nie mogę mieć serca! nie prosz, rzekła głośno, nie chciej wiedzieć tego, nic mi nie pomożesz, nic Janie; choroba to nieuleczona.

— Ulżyć jej przecie można?

— Nie! pogorszyć tylko!

— Droga Miss Cromby!

Ona spojrzała obłąkanym wzrokiem na niego: — Janie, rzekła, nie dopytuj się, na Boga, na tego Boga na któregoś mnie zaklinał! — Tajemnica! Więc nie chcę jej wiedzieć.

— Nie mam dla ciebie tajemnic.

— Coż więc takiego kryjesz?

Czoło dziewczyny pokryło się znowu rumieńcem, westchnęła cicho, pomyślała, potem jak gdyby nagłą myśl ją uderzyła.

— Słuchaj, rzekła, daj mi słowo, daj słowo uczciwego człowieka, a wiesz jak wysoko cenię godność ludzki}, że cokolwiek się dowiesz ode mnie, nic naszych stosunków nie zmieni.

— Możesz wątpić Miss Rosa? zawołał Jan, któremu myśl przebiegła po głowie, że ona kogoś kochać musi, że go posądza także o miłość ku sobie odpowiedzieć jej nie mogąc; zarumienił się, zatrząsł.

— Jeśli kochasz kogoś, siostró, rzekł szybko, jeśli kochasz, czemuż mi powiedzieć nie możesz, myślisz że ja cię także Kocham tajemnie? nieprawdaż? Nie chciałabyś wyznaniem przywiązania dla kogo innego odepchnąć tego, któremu zostawiłaś tylko przyjaźń swoją? O Miss Rosa! jakże mnie nie znasz? Śmiałyżebym ja kochać ciebie, podnieść oczy tak wysoko? do tego domu do któregoś mnie ze szlachetnem zaufaniem wprowadziła, wejść z myślą zwodziciela, z podejściem? Zdradą opłacać przyjaźń! Ty myślisz to pewnie, lecz przysięgam ci, pewnie brat nie kocha cię więcej, ale nie kocha cię czyściej, nie kocha cię inaczej,

Te słowa wyrzeczone z zapalem porwawszy się z siedzenia wysłuchała Rosa i padła na nie znowu zakrywając twarz rękoma. Wyznanie Jana uderzyło ją w serce.

— Co to jest? spytał po chwili, nie chcesz mi odpowiedzieć? gniewasz się? wątpisz.

Kobieta płakała.

— Na Boga, oszaleję, zawołał Jan, wytłumacz mi, zlituj się.

— I w tem nieszczęście moje, że rozumieć mnie nie możesz, płacząc i padając mu do nóg wyrzekła Angielka. Nie rozumiesz, że cię Kocham, nie rozumiesz żeś mnie zabił; że chcę być twoją, żeś ty mi jeden na świecie, że bez ciebie jam ciało bez duszy, zginiona, umarła.

Jan słuchał i nie rozumiał, wlepił w nią oczy, zadrżał i rzucił się ku drzwiom. Rosa pobiegła za nim z gwałtownością niesłychaną, pochwyciła go za rękę którą do bólu ucisnęła mu i żywo zawołała:

— Dałeś mi słowo, że cokolwiek ci powiem, nic stosunków naszych nie zmieni. Dałeś mi słowo, pamiętaj! Nie uciekaj bo umrę. Janie mój, nie uchodź, nie zostawuj mnie samą. Nic nie chcę od ciebie tylko żebyś ze raną pozostał. Zapomnij com mówiła, jeśli możesz; będę wesolą, będę spokojną, ale nie uchodź odemnie. Czego chcesz? uśmiechu? roztrzepania? śpiewu? udam uśmiech, roztrzepanie, zaśpiewam, nawet spokojność odegram przed tobą, choć mi serce wrzeć będzie, ale nie odchodź! Bo, dodała powolnie a. z mocą największą, daję ci słowo kobiety i słowo człowieka, jeśli uciekniesz, umrę. Nie będę czekała śmierci i siedziała z założonemi rękoma, ale pójdę sama przeciwko niej. Tak, umrę!

Po tej scenie poruszającej, Jan pozostał wprawdzie, ale ani wdzięki Rosy, ani nawet wyznanie nie obudziły w sercu jego uczucia, które nigdy na zawołanie nie przychodzi. Kochał ją jak brat. Rosa spodziewała się, że urodzi się miłość, czekała na nią, wyglądała, widziała czasem gdzie jej nie było wcale, cieszyła się, to znów wpadała w zadumienie, milczenie i rozpaczliwą odrętwiałość.

— Gdybym wiedziała kogo on kocha, mówiła w duszy, poszłabym i zabiła ją. Ale on nikogo nie kocha, jakieś może wspomnienie... najniebezpieczniejsza z miłości, bo odczarować się nie może. Czekajmy, czas ją zwycięży. Tak płynęły miesiące. Życie Jana nie zmieniało się; napróżno chciał kilkakroć usunąć się z domu tego i ukryć; nie mógł, nie puszczano go. Śpiegowany, otoczony sługami, kroku uczynić swobodnie nie potrafił. Brat Miss Rosy przybył z Neapolu, zastał gościa w domu, nie zadziwił się temu wcale, wstrząsnął go tylko silnie za rękę, opowiadał przez dwa wieczory o życiu rybaczem które wiódł w golfie; a trzeciego odjechał do Sycylii, zostawując ich znowu samych.

Czy widział czy nie widział co się działo w domu, nie wiem. Cały teraz zajęty był ubraniem sycylijskiem i Sycylią, do której chciał już przybyć o ile możności Sycylińczykiem. Jan malował, czytał i rozczarowując się codziennie książkami które poezją życia ścierały pod pozorem przesądów, doskonalił się w sztuce coraz bardziej. Landi uznał że go nic mistrze nie nauczą więcej, że sam sobie najlepszym być może. Ciągłe zapatrywanie się na arcydzieła wyrobiło w nim smak, uczucie prawdziwego piękna i wtajemniczyło go w najtrudniej nabywające się, językiem nigdy nieokreślone, arkana sztuki.

Miss Rosa już nie malowała wcale. Od pierwszej owej rozmowy, nie mówiła więcej z Janem o miłości swej, stała się zimną na pozór, dumną, szyderską nawet czasem; ale w oczach to błyszczących ogniem, to płaczących tajemnie, czytać było można uczucie tłumione. Siadała często na koń i latała po okolicy aż do unuzenia, starała się o silnie wstrząsające wrażenia, szalała, zatapiała się w ulubionych książkach, ale na tę chorobę co ją trawiła, nigdzie, w niczem nie znalazła lekarstwa. Janowi zdawało się, że oddalenie być niem mogło jedynie, a chociaż Miss powtarzała mu często, że dał jej słowo pozostać, zamyślał usunąć się i pracował nad tem, aby ujść niepostrzeżony. Obrazy swoje przesłał powoli w różne miejsca pod różnemi pozorami i Angielka nie sprzeciwiała się temu; rzeczy nie miał prawie, i jednego wieczora niepostrzeżony zszedł ze wschodów z bijącym sercem i smutkiem w duszy i cierpienie zostawiał za sobą. Zdawało mu się, że nikt nie wie o jego zamiarze ucieczki, nikt go o nią nie posądza. Zaledwie minął bramę pałacu, gdy z okna głos Rosy dał się słyszeć z cichem — Adio.

Podniósł głowę.

— Idziesz, rzekła łagodnie, idziesz bez powrotu, uciekasz odemnie! nie wstrzymuję cię więcej. Bądź zdrów i szczęśliwszy odemnie.

Okno żywo się zamknęło.

Jan pozostawszy sam nie wiedział co miał czynić, powrócić czy uciekać?

— A! rzekł w sobie, żegna mnie spokojnie, zapomni i nie wstrzymuje, siła więc tej nieszczęsnej namiętności minęła już i wspomnienie czas zatrze. Spojrzał w okno, westchnął i odszedł. Na odległej uliczce tydzień spędził zupełnie samotny, smutny nie wiedząc czemu, rozdrażniony, cierpiący. Zaczynał czuć rodzące się jakieś przywiązanie, którego wprzód nie miał; chciał ją widzieć, chciał ku niej powrócić, głowa mu się paliła, sny dzikie chodziły po niej, pytał się siebie sto razy na dzień: i kochamże ją teraz? Może już kochał ją biedny, ale silną wolą wstrzymywał się, by do niej nie wrócić. Tak kilka dni zeszły, gdy wieczorem zastukano do jego izdebki.

Poznał głos Sir Artura i nim miał czas zaryglować się od niego, już Anglik wszedł z pudełkiem pod pachą, uklonił się i postawił je w milczeniu na stole, otarł pot z czoła, dobył papieru z kieszeni i podał go Janowi.

Był to testament Miss Rosy.

— Co to jest? zakrzyczał Jan obłąkany.

— Co? ostatnia wola umarłej.

— Umarłej? — Tak, utopiła się w Tybrze, dość zimno na pozór, rzekł Sir Artur.

— Kiedy?

— O! blisko tydzień już temu. Nie wiecie, per Baccho! nie wiecie! wy! a to pociesznie! Cospetto! nie wiecie! przecież wam zapisała piękne dobra w starej merry England.

— Ona! mnie!

— A tak! czytacie, siadając rzekł Sir Artur. Czytajcie tylko; dowiedcie się powoli wszystkiego. Cóż to za ciupka? mówił do siebie, jak trudno mi was wyszukać było!

Ale Jan pogrążony w boleści nieprzytomnej, która zdaje się na chwilę odbierać człowiekowi uczucie nawet jego osobistości i mąci wszystkie myśli, leżał na posłaniu zbladły, z zaciętymi ustami, omdlał.

Sir Artur dość niezręcznie zlał mu twarz zimną wodą i potrząsając go za rękę rzekł:

— Panie artysto! obudź się, lepiej było nieco wprzód mieć trochę więcej uczucia. Mamy z sobą do pomówienia. Jan otworzył oczy, zawołał: Umarła dla mnie! i gorzko płakać począł.

— Tak, umarła dla was, zawsze na pozór zimno mówił Sir Artur, zapisując wam piękne majątności odziedziczone po matce i ciotce. To dobrze: ale kto mi za jej śmierć odpowie? Miałem jedną tylko siostrę i kochałem ją szczerze. Tak! kochałem ją choć po cichu i tajemnie, jak się kocha jedyną istotę co nas obchodzi na ziemi. Ona mnie wiązała z Anglią. Teraz nic mam nikogo. Jeden z nas musi paść, dodał wskazując na pudełko, będziemy się strzelać. Tak, strzelać się na śmierć.

Jan się wzdrygnął.

— Boisz się? spytał Anglik, musisz jednak bić się, powiedziałem ci. Strzelać się będziemy na grobie Rosy, którą kazałem pochować na cmentarzu świętego Kalista, nad temi Katakumbami, które na nieszczęście nasze razem zwiedzaliśmy. Ażebyście

zaś nie myśleli, że was chcę zabić, abym wydarł spadek po siostrze.....

— Spadek! majątek! gorzko rzeki Jan, możecież mówić nawet o tem, w tej chwili?

— Mogę mówić, bo bardzo cierpię i nie gram komedyi, dodał Anglik z flegmą. Jeśli was zabiję, to dobra rozdaję na szpitala, zwrócę krewnym Waćpana, jak zechcesz. Lub posłuchaj, założę religijny jaki zakład wychowania; niewiara zabiła Rosę. Chrześciankę byłaby się modliła, płakała, zapomniała lub cierpiała z rezygnacją.

— Wolałbyś pan żeby cierpiała a żyła? cierpko rzekł Jan.

— Wolałbym, bo miałbym zawsze uleczenia jej nadzieję, pojechałbym z nią do Kairu, pod

piramidy, do Indyi; nic ma bolu, którego by czas i podróże nie uleczyły. Wierzcie mi, ale godziny lecą, a ja muszę was zabić jak najrychlej. A zatem, chodźmy.

— Dokąd? — Na cmentarz świętego Kalixta, na grób Rosy.

— W nocy?

— Tem lepiej! strzelamy się na płaszczu, a bout portant, chybić nie można. Jeden z nas padnie. Ciągniemy losy o pistolety, jeden z nich tylko nabity.

Jan z zimną krwią poszedł za Anglikiem, chociaż zataczając się chwilami, łzy wielkie wzbierały i upadały mu z powiek. Księżyc przyświecał idącym powoli, w milczeniu, starą drogą Appijską.

Na świeżej, gładkiej i zimnej płycie marmuru, która pokrywała grobowiec biednej dziewczyny, Artur rozesłał swój płaszcz, ukląkł i pomodlił się naprzód. Jan już nie umiał się modlić, zapłakał, skrzyżował ręce, czekał. Anglik podał mu dwa pistolety Lazara do wyboru: chwycił jeden z nich Jan, stanęli przeciwko sobie, podali dłonie na znak przebaczenia i strzelili. Artur upadł na wieko grobowe, a głowa jego, przez której usta krew się rzuciła, zatoczyła się zimna po za marmur, na zieloną murawę; chrapliwy głos konania dał się słyszeć, ucichło.

Nazajutrz tłum ludzi cisnął się na cmentarz świętego Kalixta, gdzie znaleziono trupa Anglika, który, jak powiadano, zastrzelił się z rozpaczy na grobie ukochanej siostry. Ręka jego skrzepła i skośniała cisnęła jeszcze pistolet wystrzelony. Wywleczono ciało biedaka za poświęcony obręb i pochowano gdzieś w ruinach bez żadnego obrzędu. Dwór tylko i ludzie Artura, którzy go niewymownie żalowali, towarzyszyli cichemu pogrzebowi.

Jan z gorączką wspomnień nieznośnych, wywłókł się z Rzymu, aby zwiedzić Włochy, przebiegł grody sławniejsze Italii, a dłużej niż winnych zamieszkał w Ojczyźnie Batraniego, Florencyi.

Jako malarz zyskiwał on co chwila nowe siły, nowych dochodził tajemnic, nowych nabywał przymiotów; lecz jako człowiek utracił co miał najdroższego; wiarę, ze wszystkiem czem ona życie ozłaca. Ta nić czarodziejska co łączy duszę naszą z niebem, zerwaną była dla niego.

Obojętny, milczący, chłodny, machinalnie prawie szedł drogą, którą wprzód sobie wyznaczył.

Jedno wspomnienie matki sercem jego wzruszyło czasem, i to tylko wspomnienie rodziło tęsknotę za krajem, gdzie nic więcej, nawet twarzyczka Jagusi zapomnianej, już go nie wabiła.

Na wygasłym popielisku miłość synowska stała jeszcze ostatnią świecąc iskierką.

Czasami zadumany tęsknił za domem, myślał o chatce gdzie nad kądzielą stara o nim myślała matka, w nieznanym kraju za synem nie mogąc nawet puścić myśli. Czasem wyobrażał ją sobie chorą, w niedostatku, płaczącą nad synem, którego zobaczyć rozpaczła i porwany nieopisanym jakimś niepokojem, nagle z Florencyi puścił się do kraju. Podróż tę, pozbawiony zasiłków, musiał odbyć powolnie i pieszo, a z coraz wzrastającą niespokojnością. Niepokój ten równał się chorobie. Gdy stanął na granicy swej ziemi, pierwszy raz oddawna łąza zaszyły mu powieki, serce zabiło młodością, obejrzał i rozmierzył co utracił a co zyskał w podróży. Zyski nie nagradzały strat niepowetowanych:

Jan nic mógł się już modlić.

Lecz ze wstąpieniem na ziemię rodzinną uczuł przynajmniej potrzebę modlitwy i wielkość swej straty.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

Tom Trzeci.

DO WINCENTEGO SMOKOWSKIEGO.

W Warszawie.

Gródek dnia 3 listopada 1846 roku.

Za dawnych czasów, pierwszą książki kartą, nasi poprzednicy literaci frymarczyli na korzyść Jaśnie Wielmożnych protektorów, sprzedając białe miejsce, na którym rozsiadały się tytuły, herby i prozapje magnata. Dziś, przy wielu innych zmianach i to dobre, że możemy owe pierwsze miejsce zostawić przyjacielowi, poświęcić temu, kogo z serca kochamy i szacujem.

Przyjm, kochany Smokowski! tę małą odemnie pamiątkę. Pracując pędzlem i piórem na korzyść sztuki, znając aż nadto dobrze ilą przykrościami okupić potrzeba poświęcenie się dla niej, masz większe prawo nad innych zapisania pocziwego i zasłużonego imienia swego na czele tej książeczki.

Jeśli obrazy, które tu znajdziesz, zdadzą ci się trafnem życia odbiciem; przyjmę to jako dowód ich prawdziwości największy. Napatrzywszy się na wielu artystów w kraju, sam artysta, professor, mogłeś i musiałeś zagadkową exystencją człowieka co się sztuce poświęcił, zbadać i ocenić.

Wiem, że wielu może przeciwko zakończeniu powieści oburzać się będzie, dziś, gdy klasztor wydaje im się siedliskiem gnuśnego próżnowania i szkodliwych przesądów. Mój bohater kończy w klasztorze! Okrzyczą mnie za cofniętego i ślepcę. Pozwalam; lecz ci co to wyrzekną nie zastanowili się nigdy nad znaczeniem i potrzebą przytułku tego dla społeczeństwa, choćby je tylko ze stanowiska socyalnego uważać przyszło. Są exystencye, są charaktery, są zagadki, które tylko eremy stare i monastery rozwiązać umiały.

Mnożą się samobójstwa cielesne i umysłowe, bo nie ma schronienia zbolałym, rozczarowanym, zropaczonym; bo odrodzić się, zerwać ze światem, przyoblec nowego człowieka, nowe imie i nowe życie, nie ma gdzie; bo duch religijny wygasł, a człowiek nieszczęśliwy, ubogi, w obliczu industrializmu i teoryj dobrego bytu, jest anomalią, czemś niewytłumaczonym i niepotrzebnem. Dawniej, gdyśmy jeszcze mieli wiarę, nieszczęście odrywało tylko od ziemi a zbliżało do Boga; dziś, gdy wszyscy gonią tylko za dobrym bytem ziemskim, bo w przyszłość nie wierzą żadną, — cierpienie, rozpacz, są narzędziami samobójstwa.

Lecz jakkolwiek świat się przerabia i zmienia, uznajmy w tem cierpliwie wolę Bożą i czekajmy lepszego, do którego nas to wieść musi, nie sarkając. — I ciebie i czytelników moich mu- szę tu

przeprosić za często długie ustępy o sztuce. W powieści, której bohater jest artystą, uniknąć ich niepodobna było. A jeśli powszechność nasza, zmuszona odczytać te urywki, pochwyti z nich jakie nowsze lub zapomniane pojęcie? nie zaszkodzi. Na całym bożym świecie mało jest dzieł w tym przedmiocie, cóż dopiero u nas. Oczy czytelników naszych otwierać się dopiero poczynają i przecierać zaspane, po długim śnie, w ciągu którego czuli zapewne co piękne, ale dla czego i przez co? nie bardzo wiedzieli.

Jakże długo, jak długo teoria sztuki zasadzała się cała na czczej i fałszywej definicyi: — naśladowania natury. To: naśladowanie natury położone za cel sztuce, odzywa się aż po dni nasze. Sztuka przecie nie jest żadnem naśladowaniem; ona myśl ludzką objawia widocznie, ucieleśnia ideę, tworzy z przedwiecznego ideału.

Sztuka jest jednym z języków duszy; naśladowanie natury, narzędziem tylko. W obrazie, posągu, rycinie, nie jej naturalność, bo ta dla samego wykonania warunków zawsze jest trochę konwencyjonalna, nie jej piękność nawet, ale myśl, dusza ożywiająca, wartość całą stanowi. Im silniej, im w potężniejszej, organicznej całości wydałeś na świat i wcieliłeś myśl, tem doskonalszym jest dzieło. Wlej w nie duszę a życie będzie; ale na to potrzeba żeby jak powiada Rückert, artysta miał zbytek duszy i podzielić się nią mógł z utworem swoim.

Ich sah ein schönes Bild, und wusste nicht, was ihm fehle!

Jetzt aber weiss ich es, ihm fehlt das Beste, Seele!

Warum ihm Seele nicht sein Meister eingehaucht?

Weil er nur eine hat, die er zum Leben braucht.

Der ist ein Künstler mir, der einen Ueberfluss

Von Seelen hat, die er in Bilder giessen muss.

Takich artystów o jakże nie wielu jest wszędzie!

Exystencya wszelkiego bardziej duszą niż ciałem żyjącego człowieka, w teraźniejszym społeczeństwie naszego składzie, jest i pozostanie ciężką próbą. Taką właśnie wystawiamy tu: życie Jana, stawiając obok niego innych artystów jakich po Bożym świecie i u nas nie mało. W każdym bowiem zawodzie mnóstwo jest powołanych, ale wybranych nie wiele. A zawód może się od tego tak zowie, że często człowieka zawodzi.

Przyjmij, kochany Smokowski! za tyle pięknych twoich prac, które mi ciebie w Gródku nieustannie przypominają, nie wiele warty może, ale z dobrego serca, podarek.

J.I. Kraszewski

Część Druga.

I.

Powracający z Rzymu Jan, za ledwie się zastanowił w stolicy, którą wielce znalazł zmienioną. Król nie mógł go widzieć nawet, tak był w tej chwili zajęty sobą i wypadkami co go otaczały groźne, naglące; znajomi dawni rozpierzchnieni. Grób tylko

Felixa znalazł na Powązkowskim cmentarzu, którego krzyż drewniany nadgniły i pochylony groził upadkiem. Położywszy trwalszy nieco od drzewa kawałek kamienia przyjacielowi i pożegnawszy Warszawę, Jan śmiertelnie smutny, targany niespokojem, który go gnał ku matce, nie mając już nawet środków dostania się do niej, tak resztę grosza stracił w drodze, sprzedać tu musiał za bezcen kilka kopij przywiezionych z Rzymu, aby za nie dojechać do Brzozowego Ługu co najrychlej. Od roku już wieści nawet nie miał o jedynej istocie wiążącej go do ziemi, o matce. Przyszłość wydawała mu się zewsząd chmurną i groźną: kraj nie był wcale w tym stanie spokoju i świetności, który sprzyja sztukom i literaturze, wszystko wrzało jak w chwili pożaru.

Serce nie ze wszystkim jeszcze odrętwiałe ciągnęło go do starej chaty na Litwie; mizernej, ubogiej chatki gdzie się urodził, gdzie pierwsze lata dzieciństwa spędził nie śniąc nawet takiej, jaka go czekała, przyszłości. Niepokój wewnętrzny mówił mu, że tam go może czeka matka sił ostatkiem, aby pożegnać i pobłogosławić.

Ale od stolicy (gdzie Jan spotkał się z wyprawionemi inną drogą obrazami i pakunkiem dość znacznym) opóźniła się podróż dla niedostateczności funduszków na jej odbycie i niepewnego stanu kraju. Obrazy, studia, książki, były mu ostatnimi pamiątki pobytu we Włoszech, rozstać się z niemi nie miał siły, obawiał się o nie i włókł się za niemi powolnie.

Sto razy wstrzymywany w drodze przez różne partyę wojsk krzyżujących się po kraju i niszczących go pod pozorem ocalenia; dostał się nareszcie do rodzinnego miasteczka.

Na widok kościoła Kapucynów i dworka ubogiego, którego komin dymił w oddaleniu, łza mu się dawno niewidziana znowu zakręciła w oku. Chmurny i smutny wieczór kradł ten widok pożądany; resztę drogi musiał już odbyć po ciemku i na oślep. Serce go prowadziło.

Gdy ciężka bryka wtoczyła się w dziedziniec, stara Małgorzata, ukazała się w progu pochylonej chaty.

— Moja matka? spytał Jan rzucając się niespokojny naprzeciw niej.

— Żyje biedniaczka, żyje! odparła żywo staruszka, choć Bóg widzi, lepiej żeby ją wziął do chwały swojej, tak wiele cierpi! Od pół roku z łóżka nic wstaje paraliżem ruszona, co dzień zdaje się konać a skonać nie może. Wiele to my ją razy kładli na ziemi, myśląc, że tak lżej będzie wyjść duszy z ciała. Ale nie! od czasu jak język odzyskała, ciągle powtarza: Muszę czekać na Jana, pobłogosławić go i umrzeć. Litościwy doktor co ją odwiedzał, trzy razy naznaczał jej termin. Ale nie! ona taki zawsze go przebyła i powtarza: Muszę czekać Jana. Za ledwie dosłuchawszy tego, Jan pospieszył do izby.

Tu okropny przedstawił mu się widok. Uboga chata jeszcze była odartsza, uboższa, puścieszka od czasu jak ją opuścił; łóżko chorej pokryte ohydnymi łachmany, w ognisku ledwie główienka smutnie dogorywająca. Zimno, pusto, wiatr chodził ze ścian i sufitu się wkradając, podłoga cała przesiąkła wilgocią i porosła pleśnią. Ściany okopcone od dymu, czarne, i wiadro z wodą u drzwi, garnek nadbity na kominie, dzban na stole i trochę okruszyn razowego chleba. Serce się ścisnęło patrząc na tę nędzę tak nagą i tak straszną; szpital nie byłby okropniejszy.

Zaledwie Jan ukazał się na progu, matka, która od pół roku wstać i ruszyć się nie mogła? podniosła się wprost na łóżku, błyszczące jak szkło otworzyła oczy, a usta jej zawołały głośno, wyraźnie: — Mój Jan, mój Jan! — Spiesz się, czekałam na ciebie! umrzeć nic mogłam, ah! atak ciężkie życie! Niech cię pobłogosławię.

Syn we łzach przykląkł przed nią, ona złożyła ręce na głowie jego, ucałowała czoło synowskie, dwie łzy szkliste potoczyły się po bladej i zmarszczonej twarzy i już kostnieć poczynała opadając bez władzy i ruchu.

— Wody! wody! ratunku! zawołał Jan nieprzytomny.

A Małgorzata zbliżając się rzekła:

— Na co wody, paneczku, nieboraczka umarła już dzięki Bogu!

Spojrzał syn i postrzegł, że prawdę mówiła stara; dobył sił dla zamknięcia jej powiek jeszcze we łzcie otwartych i usiadł obok łoża nędzy na ławie, powtarzając w duszy, machinalnie:

— Za późno wróciłem! mój powrót ją zabił! mój powrót ją zabił!

Cała noc zeszła mu u lichego łoża umarłej, której nędzę i męczarnie sobie wyrzucał. — Nie lepiej było, mówił, pozostać tu przy niej, wspomagać ją w starości, uprawiać ten ziemi kawałek i żyć tem życiem, którem żył ojciec, dziad; życiem cichem, nieznanem, ukrytego w trawie robaka? Cóżem zyskał? Wielkie myśli, które zginą ze raną, wielki niespokój i niepewność, męczarnie! Straciłem jedno serce, które mnie kochało na ziemi, jedno i jedyne. O! dla sztuki jak dla wiary czyż wszystkiego się zaprzeć, wszystkiego wyrzec potrzeba, wszystko jej spalić na ofiarę?

W gniewie na siebie, w smutku głębokim przebył noc całą na ławic. Ten domek osierocony teraz, którego został dziedzicem, był mu drogą pamiątką cierpienia i życia matki. Nie miał krewnych, przyjaciela, opiekuna, nikogo, nikogo. Co począć z sobą? Świat był mu obojętny, a wielka strata świeża zmniejszyła jeszcze jego wartość.

Nad rankiem Małgorzata z babami przybyłymi z miasteczka, poczęła się zaprzętać około pogrzebu; umywać ciało, ubierać je dla wystawienia na tapczanie w pośrodku jedynej izdebki. Twarz zmarłej świeciła pokojem, jakby błogosławieństwo, które oddała Janowi, wszystkie nici łączące ją ze światem cierpienia, zerwało.

— Paneczku, zawołała Małgorzata, a macież wy na pogrzeb pieniądze?

To zapytanie dopiero przywołało Jana do rzeczywistości; ostatniey posługi matce nie było oddać

za co! kilkanaście złotych całą było pozostałością, z którą przyjechał Jan.

— U nas wątpię, żeby był jaki grosz, mówiła stara, bo Jejmość żyła ubogo, skąpiła strasznie, odmawiała sobie wszystkiego, a pracowała, że aż oczy traciła biedniaczka. Gdyby miała, toczy sobie tak nie żałowała, i słudze starej a wiernej. A Bóg widzi żeśmy cały rok pościły i w łatanem chodzili tylko, nawet do kościoła. Pod poduszczyką są klucze; niechno panicz je weźmie, pójdziemy, a poszukamy odzienia dla nieboszczki.

Machinalnie powlókł się Jan do bokówki, gdzie stała jedyna skrzynia ale zupełnie pusta. Trochę w niej bielizny, kilka zużytych gałganów.

Gdzież się podziały jej zapasy odzienia, sukni ? spytał syn. Czemuż nie odezwała się do mnie o pomoc! Byłbym dał duszę, a przysłał jej coby chciała! a! taka nędza, taka nędza!

Wtem Małgorzata podniosła brudny kawał płótna i krzyknęła:

— A toż co? A toż co? W imię Jezusa Pana! Toć to worek z pieniędzmi!

W istocie spory wór z prostego płótna leżał w kąciku gałganami pokryty.

Przy nim była karteczka szara, wydarta z książki od nabożeństwa, a na niej krzyżyk skreślony niezgrabnie i napisane nieforemnie słowa: Dla mojego Jana. Syn w rozpaczy załamał ręce, padł czołem na skrzynię.

Całe jej życie dobrowolnej nędzy, pracy bez spoczynku, z utratą zdrowia składało się na ten dar pośmiertny. Ona była sercem całą, całą matką. Małgorzata zdumiona stała ruszyć się nie mogąc i wyrzucając sobie zapewne, że wprzód nie dośledziła bytności tego worka, który teraz przechodził na własność Jana. Jan ucałował go ze łzami, ale w sercu rzekł:

— Nie tknę grosza z niego! święte to pieniądze! bo z wielkiem poświęceniem zebrane, pójdą za duszę twoją, na grób twój i pogrzeb, dla jedynej sługi co lepszem była dziecięciem odemnie. Jam ich niegodny.

Nazajutrz wspaniały, na jaki tylko zdobyć się było można, pogrzeb zdziwił miasteczko i okolice; zbiegli się nań wszyscy z sąsiedztwa. Kościół wystąpił z całym przepychem wiejskim; a tłumy szły za truną biednej matki, którą syn utrzymywał na wozie czarnemi wołami ciągnionym.

Reszta pieniędzy pozostała na msze, na pomnik, na wynagrodzenie Małgorzaty, której oddał wszelki sprzęt po matce i na jałmużny. Krzyż tylko, medalik noszony na piersi, włosów trochę i srebrny ślubny pierścionek zatrzymał Jan dla siebie.

Oddalić się z tego miejsca potrzeba było, a trudno, trudno dla serca; komu powierzyć dom, komu zadzierzawić rolę? godziłoż się ją sprzedać ? Tej myśli Jan przypuścić nic mógł. W kilka dni sąsiedzi zaczęli przybywać z propozycjami nabycia mniej więcej korzystnymi, ale zawsze poczynając od tego, że kawałek ten nic nie wart, i że tylko on dla niego, przez szczególny wzgląd, przez przyjaźń, przez jakiś affekt nagły i gwałtowny, dać może tyle a tyle, każdy niby z łaski go chciał

kupić.

Jan wszystkim podziękował i odpowiedział, że nie sprzeda. Strzelec sąsiednich lasów zadzierzawił chatę i rolę z warunkiem, aby w niej nic nie odmieniał i wszystko pozostało jak za życia matki było. Odwiedziwszy Kapucynów i grób matki, na którym odzyskał pragnienie modlitwy i pobożność młodzieńczą jak gdyby cudem, Jan ruszył do Wilna, wspomnienia młodości wiodły go tutaj na lep swój zdradziecki. Było to jedno miejsce, z którego mu zostały pamiątki miłe i pociągające, ale między odjazdem a przybyciem taka rzeka lat i kału przepłynęła, tyle wypadków i uczuć! Wszystko tu teraz okrutnie do niepoznania zastał zmienionem.

Ledwie wysiadłszy poszedł pytać o Batraniego. Stary Włoch umarł; wdowa po nim z dziećmi pozostała zubożała i wiodła najnędzniejsze życie w domu na Zarzeczcu, gdzie wynajmując resztę lokatorom, sama stała na tyłach. Długi nieopatrznie zaciągnięte dojadły ją i groziły najzupełniejszym niedostatkiem. Jan czując obo-

wiązki dla rodziny Batraniego, pospieszyłku niej.

Niedaleko od mostu, ku rzece posuniony, w części na palach oparty, stał lichy domek, w połowie drewniany, w połowie z muru starego; pochylony, zdawna nie podparty i nie poprawiony, brudny, zdawał się grozić upadkiem: ze wstrętem zbliżał się każdy ku niemu tak niechlujne otaczały go kałuże. Mieszkańcy po większej części zamesznicy i skórnicy, których tu bliskość rzeki zwabiała, obrzydliwymi wyziewami fabryki napełniali powietrze. Mydlarz żyd mieścił się z niemi na dole; sznury pozawieszane skórami przecinały dziedziniec w różnych kierunkach, kupy garbarskich reszt zalegały wszędzie, a smrodliwy rynsztok wiodł wody i fussy mydlarskie do rzeki, która je zabierała z sobą. Czarna połamana galerya okrążała wewnątrz czworościenne domostwo, wspierając dachy nadgniłe budowli. Tu dawniej pieszczona Maryetta mieściła się w dwóch ciemnych izbach z dziećmi, które podrosły i popsuły się zaniedbaniem i nędzą; syn starszy wyrost na hultaja rozpieszczony i ukochany, młodsze wyuczyły się złego, znękanie i prześladowane od matki. Znienawidzone przez nią biedne Batraniego ulubieńcy chodzili w łachmanach; a starszy przepijał i trapił co zarwał; powracając do matki niemal codzień pijany, obity, odarty, jeśli nie nocował pod wartą.

Na widok tego przerażającego obrazu serce Jana się wzruszyło, zapłakał. Wszystkie roboty męża posprzedawała była żona za bezcen, nie zostawiwszy nawet jednej na pamiątkę i wyrzucając biednemu zmarłemu nędzę, której sama była przyczyną; którą zwiększał nieład i rozpusta najohydniejsza.

— O! toż ma być los dzieci biednego artysty? spytał się Jan w duszy. Nie! nie! to być nie może.

Dawniej tak piękna Maryetta teraz z zagasłymi oczyma, wychudła, obrukana, scho-

rowana, przyjęła gościa nie poznając go i nie umiając sobie wytłumaczyć co sprowadzało tutaj porządnie ubranego mężczyznę.

Ledwie się jej potrafił przypomnieć; zaczerwieniła się. zapalczywem na niego i dumnie rzuciła okiem. Niechęć, gniew, nienawiść jeszcze w tem dzikim sercu nie była całkiem zagasła.

— Idź pan sobie, zawołała wzgardliwie, nic nie potrzebuję od niego! Batrani twój poczciwy zostawił mnie z dzieciskami swemi w nędzy. Bodaj cierpiał na tamtym świecie jak ja tu cierpię głupia com za niego poszła ! Nie przypominaj mi go, abym nie klęła.

A gdy Jan trzęsącym głosem spytał o ryciny lub obrazy, czyby ich nabyć nie mógł, z przekleństwem bezwstydnem i obrzydliwym, zamknęła mu drzwi przed nosem kobieta.

Ale zaledwie kilka kroków odszedł za wrota, starszy synek jejmości dogonił go w ulicy. — Jegomość! zawołał kiwając ręką na niego i stając nad rynsztokiem, w któren pluł dla zabawki.

— Co chcesz?

— Daj mi Jegomość dwa złote na piwo? I zrobił minę głupowato-uśmiechniętą wyciągając rękę. Ja przyniosę za to rysunek ojcowski. Było ich wprzódki dużo i na płótnie i na papierze, ale diabli wzięli!

Jan żywo wyciągnął rękę ku niemu podając mu pieniądze i uciekł.

Obrawszy sobie ubogie mieszkanie na Zamkowej ulicy, może przez pamięć, że tu mieszkał z Batranim, którego polecenie spełnił, modląc się jak umiał na grobie jego matki we Florencji;. Jan począł myśleć co pocznie i jak żyć dalej będzie?

Dotąd zadaniem była sama sztuka, teraz się odkrywała druga strona, strona czarna zagadki: — zastosowanie sztuki do życia, pogodzenie obojga. Poświęcić się dla materializmu korzyści i bytu dobrego, obrócić natchnienie w chleb, godziłoż się? pomyślawszy, że w tej drodze za zarobkiem nieraz przyjdzie zaprzeć się sztuki, zdeptać myśl i poniżyć się do wyrobów bezdusznych, drżał i oburzał się artysta. W pełni życia, talentu, siły, czuł się usposobionym do tworzenia, do wydania swych myśli: ale w kraju jaki mu los wydzielił, jak było użyć talentu, kto go potrafi ocenić? kto go nagrodzi współczuciem? Czasy stanisławowskiej stypy przechodziły, walką wrzał kraj cały; obraz i dzieło sztuki w obliczu wążących się losów wielkich ludu były nikczemne, nieznaczące. Co pozostawało artyście? czekać i cierpieć.

Tak, ale i żyć było potrzeba.

Jan więc musiał wynijść z apatij, ruszyć się i szukać chleba.

Wiele go kosztowała robota niestosowna i upokarzająca, którą mu dawano, przecież zdobył się na odwagę potrzebną i w dumie znalazł środek do zniżenia się bez skalania. Robił ręką bez duszy, z gorzkim uśmiechem owe malowania na murze, które kilka tygodni, nieznanym nikomu, dla chleba podejmować musiał.

Nie umiał prosić, starać się, zabiegać, nie wiedział co począć z sobą.

Błądził jak obłąkany: świeża strata matki, wspomnienia włoskie, obraz rodziny Batraniego przejmowały go do głębi, wprawiały w rozpacz, zubożenie, odrętwiałość.

Nareszcie zebrał dostateczne fundusze, otworzył malarnią na zamkowej ulicy i kilka wierszy

za opłatą wydrukował w gazecie, oznajmujących o przybyciu malarza, ucznia Bacciarellego, powracającego z Wioch. Tytuł ucznia Bacciarellego podyktowano mu życzliwie, gdyż w jego przekonaniu nie było wcale czem się chwalić, ale u nas dzięki cudzoziemskiemu nazwisku, Bacciarelli więcej ma dotąd sławy od Smuglewicza, Czechowicza i Leksikiegp. To ogłoszenie w gazecie, powtórzone razy kilka, zwabiło naówczas licznie zgromadzonych na święty Jerzy obywateli litewskich.

Zbiegł się tłum do mieszkania malarza otwartego dla wszystkich. Wielkie jego obrazy przywiezione z Rzymu, kopie cudnie wykonane z Rafaela i Dominiquina, którychby się sławny Guizzardi z Bolonii ani Michele Micheli Florencki, naśladowcy starych arcydzieł, nie powstydzili, zwracały nawet nieznawców oczy.

Lecz serce mało nie pękło malarzowi co przywykł do rzymskiego i florenckiego ludu, bez pojęcia sztuki prawie, bez kultury tak trafnie umiejącego sądzić dzieła artystów, tak nieodwołane wydającego wyroki, gdy usłyszał sądy i zdania swojej rodzinnej publiki.

Wybrane towarzystwo nasze, niżej daleko stało w uczuciu i pojęciu piękna, w rozumieniu celu malarza, w ocenieniu jego wartości, niżeli włoscy lazzaroni.

Słuchając uwag, zapytań, uniesień swych ziomków, Jan zmartwiał.

— U nas, rzekł do siebie smutnie, nie godzi się być artystą — jest to samobójstwo: jest to narzucanie się dobrowolne na pastwę dzikim zwierzętom cyrku, co szarpia cię nie czując, że w tobie mieszka duch Boży, natchnienie święte.

Po tej próbie, przyszłość czarniejszą jeszcze ukazała się Janowi, potrzeba było wracać do Włoch, lub malować dla siebie bez nadziei zrozumienia, ocenienia; — ale z czego i jak żyć? Nie miał nawet komu wylać swoich cierpień i podzielić się niemi. Lepsze towarzystwo, do którego był przywykł za granicą, tu go odpychało jako rzemieślnika prawie; z niższemi co go zrozumieć nie mogli, sympatyzować nie potrafił.

Kilka dni, w ciągu których za zasłoną, często czasem za drzwiami, lub siedząc na oczach, wysłuchiwał zdań o swoich obrazach, stały mu za wieki męczarni. Głosy to były prorocze na przyszłość. Twarz mu się zmieniła, oczy wciągnęły, policzki zapadły. Ajeść, ledwie miał co! Ostatniego dnia, nie mając już nadziei sprzedać co ze swoich robót, siedział zadumany i zrozpaczony, gdy karetą jakaś zatrzymała się przed domem.

Lokaje przybiegli naprzód, oznajmili wielkiego pana, który wszedł poważnie w kapeluszu na głowie, w płaszczu, z rękami w kieszeniach i prosto skierował się ku obrazom. Jan także nie powstał na jego przyjęcie.

Hrabia zmierzył go oczyma i powrócił czmychając do obrazów, mierząc je osowiałemi oczyma.

Śmierć Adonisa, przedmiot kilkakroć traktowany przez różne szkoły włoskie, obraz w którym Angiolina była Wenerą, najgłówniejszym był utworem Jana. Wszyscy się zgadzali oddając mu najwyższe pochwały.

Angiolina była tu wyidealizowana i upiękniona jeszcze, na Adonisa stał wzorem najprześlicniejszy Rzymianin. Pejzaż cudowny otaczał tę parę, której koloryt miły, harmonijny, złocisty i rysunek poprawny a lekki zachwycały.

— Co za tę sztukę? spytał amator. Przypadłaby mi do salonu, — pobożne obrazy nie w modzie — gdyby nie drogi! Wenus wcale niczego!

— Ten obraz, rzekł Jan wstając powolnie, kosztował mnie prawie rok pracy i pensji królewskiej; jest to dzieło na którym zakładam sławę moję, nie chciałbym się z niem rozstać, nie będąc pewien, że poznają się na niem tu ludzie czy nie, cenić go będą przynajmniej dla pieniędzy, które kosztował. Nie oddam go od tysiąca czerwonych złotych!

— Peste!

Hrabia osłupiał, popatrzał, plunął, zawinął się i odszedł. Powrócił od drzwi i zmierzył oczyma Jana i spytał:

— Waćpan oszalałeś? Nic nie odpowiedziawszy, rzucił się malarz na krzesło.

Obrażony już hrabia wskazał laską na kopia niedbale zarysowaną świętej Cecylii Rafaela, którą we Florencyi począł Jan dla siebie. Była ona niewykończona, ale rozmiary obrazu i świeży koloryt złudziły amatora.

— A ta sztuka? zapytał.

— Dwadzieścia.

— Dla czegoż to różnica tak wielka?

— To kopia i niewykończona.

— Dam dwadzieścia, ale miją skończysz.

— Na to potrzebaby wrócić do Florencyi aby sumiennie zrobić. Kończyć zaś tutaj, dorywczo, na pamięć, to popsuć.

— Nic nie rozumiem! to jakiś szaleniec, rzekł pan ruszając ramionami. Więc nie kupię ?

— Jak mu się podoba.

Mrucząc zszedł nienkontentowany amator, który tegoż dnia kilka szkaradnych płócien kupił tak właśnie jak Stany Zjednoczone Ameryki kupują w Rzymie wszystkie szkarady nie droższe nad cztery czy pięć szellingów. Cena stanowiła tu obraz.

O południu mlekiem i bulką posilił się Jan i czekał.

Nadeszło kilka osób znowu, ale przez prostą tylko ciekawość nie dla kupienia czegokolwiek.

Dotykano obrazów palcami, śmiano się, szydzono, porównywano, prawiono głupstwa i brudy, aż odeszli nareszcie.

Trafił się jeszcze amator drugi, który jak sam powiadał potrzebował obrazów dla tonu, bo je wszyscy wielcy panowie mieli. Był to dawniej kuchmistrz pana Ogińskiego. którego, gdy wielki pan się zrujnował, skupił po nim i wziął w długu znaczne dobra i zaczął grać rolę pana.

Zachciało mu się z kolei obrazów. Sądził że ich za bezcen dostanie, a o wartość wewnętrzną wcale mu nie chodziło, bo jej nawet nie przypuszczał. Zniecierpliwiony jego napuszoną gadaniną Jan, gdyż kuchmistrz — amator chciał zakupić wszystko razem a dawał tyle ile za jeden dać było można; — prosić go musiał wręście aby raczył pójść za drzwi. Kuchmistrz odszedł trzaskając drzwiami i klnąc na całe gardło.

Nazajutrz też same sceny z tysiącznemi odmianami. Dwie tylko osoby w tłumie mógł Jan wyróżnić i o nich w notatkach z których czerpiemy, zostawił wspomnienie.

Z rana bardzo wsunął się człowieczek średniego wieku, zgarbiony, o lasce, w okularach, w futerku, axamitnych butach i ciepłych jedwabnych rękawiczkach; — bladym okiem powiódł po obrazach. Głowa jego wyłysiała okryta była czapczką czarną, której nie zdejmował. Spojrzał po pokoju jakby chciał zmierzyć nędzę Jana i pociągnął nosem, popatrzył na okruszyny bułki i resztę mleka niedopitego na stole; potem dopiero wziął się do obrazów znowu. Pilnie, szczerze, oglądał je z kolei, kiwał głową, robił minki, uśmiechał się, kłaniał, przecierał okulary, ale nic nie gadał. Niekiedy zukosa spojrzął na malarza i znowu pilnie zdawał się badać obrazy: choć daleko pilniej przypatrywał się zbladłej twarzy Jana.

Po godzinnem prawie przeglądzie, który już zniecierpliwiał artystę, zbliżył się nareszcie do niego, pytając o cenę kopii Madonny z Rafała, maleńkiej ale con amore wykończonj, jakby dla oszukania znawcy.

— To bardzo śliczne! mógłbym to mieć!

— Rzecz mała, a ja do niej dość przywiązuję wartości.

— Doprawdy? ale cóż przecie za cena? Jan powiedział ogromną, staruszek się cofnął, uśmiechnął i położył obrazek. — Cóżby kosztował oryginał? zawołał.

— Oryginał sprzedany był w Rzymie za tysiąc funtów szterlingów, a kopia Andrea del Sarte za mało co ranej.

— Toż przecie Andrea del Sarte!

Jan się uśmiechnął, to też cena moja jak imię — mała.

Nieznajomy odskoczył, wrócił od progu.

— Gdybym się mu ośmielił ofiarować dziesięć dukatów.

— Jabym nie przyjął, rzekł grzecznie Jan.

— Piętnaście.

W tej chwili nędza, grożąca przyszła na myśl Janowi i rzekł rzucając się na siedzenie.

— Bierz pan, ale niech nie patrzę. Jest to pamiątka, z którą mi rozstać się trudno.

Malował tę kopię u Mis Rosy.

Nieznajomy dobył woreczka, wybrał jak najsumienniej poobrzynane dukaty i położył na stole, wsunął obrazek pod futerko i skłoniwszy się grzecznie odszedł z ciężki. Tegoż dnia amator ów, handlarz, wziął 100 czerwonych złotych, sprzedając płótno za oryginał z galleryi królewskiej skradziony przypadkiem i skrycie wywieziony z Warszawy. Staruszek ten zajmował się wszelkiego rodzaju handlem i lichwą. Mieszkanie jego pełne było obrazów ponabywanych na licytacyach, sprzętów starych, sreber, mebli, kosztowności i rupieci najrozmaitszych; trochę znajomości a wiele szarletaństwa i wprawy, dawały mu łatwość nabywania i korzystnego odprzedawania obrazów. Młodzi panicze, starey głupcy i biedne kobiety padali jego ofiarą.

Mając Jana w ręku, bo poznał łatwo niedostatek, postanowił okrzyczyć go za bazgracza, a sam korzystać z sprzedaży jego robót, podkurzając je, naklejając na stare _ płótna i fabrykując cenne oryginały dla nieuków. Starzec ten bezczelny i bez rodziny, skąpiec godzien wzorem służyć dla Moliera, zastawił swoje sidła tak zręcznie, że nikt już nawet nie zajrzał do malarni artysty

On czekał tylko póki nie wyjdą owe piętnaście obciętych dukatów, gotując się sam i przez swych wysłańców ponabywać resztę obrazów za lichą cenę.

Tymczasem kolledzy malarze, wydrwiwali przybysza, nie widząc nawet jego robót, i wymyślając nań najdziksze potwarze dla obrzydzenia. Jan w kilka dni widząc, że wystawa była próżną, zamknął się znowu i postanowił nie dopuszczać więcej nadaremnie błota tylko nanoszących ciekawych.

Rzucił się do pracy jak do jedyne go lekarstwa na boleść i dopóki stawało pieniędzy malował od rana do wieczora; znużony wychodził błąkać się nad Wilią.

Od dwóch czy trzech dni, równie ubogi i biedny snycerz krajowiec z Włoch przybyty? a jako krajowiec odepchnięty wszędzie gdy właśnie dla restauracyi katedry sprowadzono Włochów, przywiązał się z miętą radością do Jana. Oba razem będąc, mówili przynajmniej o Włoszech i pocieszali się dzieląc myślami. Oba narzekali na powrót do ojczyzny, gdzie artysta, poeta, im bardziej artysta i poeta, tem pewniejszy umrzeć z głodu, nędzy i niepoznania. Tymczasem bazgracze umiejący pochlebiać, płaszczyć się, uniać i przedawać co kto chciał, robiąc- co się komu podobało, bez pojęcia sztuki, bez myśli, bez sumienia i zapału w wykonaniu, z bogacali się co dzień. Jan chciał wszystko co miał sprzedać i do Wioch powrócić.

— Będę zebrał, mówił, będę zebrał patrząc na cudne ruiny, na arcydzieła mistrzów, mając z kim myślać się i wzruszeniem podzielić. Zostanę cicerone przy jakiej galeryi, stróżem jakiego pustego pałacu w Wenecyi.

W istocie nic go nie wiązało do kraju od śmierci matki. Kilka razy od czasu przybycia do Wilna, chodził ku oknom gdzie wi- dywał Jagusię, ale tam mieszkał już kto inny, a dziewczę znikło jak sen.

Różność charakterów tych dwóch ludzi łączyła ich silniej może jeszcze niż podobieństwo przeznaczeń i jedna w obu miłość sztuki. Snycerz jak Jan dziecię ubóstwa, dziwnym trafem mając w ręku dłuto i młot artysty, opuszczony od swoich, wspomagany przez obcych dumnie i pogardliwie, z tą wzgardą, która odejmuje wartość nawet dobremu uczynkowi, poniewierany, zmuszony zamknąć się w sobie; nabrał tej niechęci ku światu, odrazy ku wszystkiemu co błyszczący, upodobania w samotności, niewiary w los i ludzi, które odznaczają prześladowanych, biednych, a w duszy czujących się godnemi lepszego czegoś, nad to, co mają. Tytus Mamonicz, jedyny potomek dawniej możnej i znacznej w Wilnie rodziny, kosztem kilku dalekich krewnych i Chreptowicza wyszedł i wyuczył się na snycerza. Ale wśród studyów swych we Włoszech na- gle opuszczony, zapomniany, o chlebie suchym przywłókł się do kraju do którego czuł nieopisaną tęsknicę, powrócił; niedługo potem mówił z gorzkim uśmiechem Janowi: — Nie było poco! Nikt go nie znał, nikt go nie chciał, nikt nie potrzebował.

Powierzchnowość wcale nieuprzedzająca, bo Mamonicz był mały, czarny, o kwadratowym torsie, muskularnych rękach, które praca powiększyła jeszcze, szerokich ramion, szerokiego czoła, dumnego szyderskiego uśmiechu, z jakimś wyrazem w twarzy, którenby Porta nazwał pokrewieństwem z bykiem; — powierzchowność nie pociągała ku niemu. Spojrzenie przenikające, bystre małych czarnych jego oczów, czasem przykrem było jak uderzenie, a gdy im towarzyszyło skrzywienie warg, cofnąć się było można od niego, tak srogim wyrazem przerażał. Lecz w innych chwilach też same oczy bywały słodkie, bywały zadumane i niewinne jak dziecięcia. Tytus Mamonicz pomimo najlepszego serca, szydził ze wszystkiego. Ubóstwo zniszczyło w nim pozornie przynajmniej, w głębi najszlachetniejsze instynkta. O wygody życia dbał bardzo mało i żadnej do nich nie przywiązywał wagi; cały zajęty sztuką, miał ją za cel jedyny, a resztę za dodatki. Tych co sztuki nie pojmowali, bez litości wskazywał hurtem na pogardę powszechną. Dobroczynny, ale raptusowo i jakby od niechcenia, w sercu pełen namiętności i uczucia, szydził aby pokryć jak wiele cierpiał, jak czuł wiele. Życie, świat, ludzie, dla niego, mawiał, byli ziarnami piasku. Wytrwałość stoika, niekiedy cyniczna obojętność na przyzwoitości, piętnowały go także cechą mu właściwą. Jan przeciwnie pełen uczucia ale przelewającego się co chwila z ust jego i oczu, choć zahartowany, przecież łatwo przeciwnością się złamać dający, czulszy a mniej namiętny, przy Tytusie twardym i obojętnym przeciw losom, wyglądał na słabą niewiastę. Poprzyjaźnienie się ich, dla obu było wypadkiem wielkiej wagi. Nic o tem nie mówiąc, poprzysięgli sobie wieczny związek i przywiązanie niezłomne. Tytus rzekł w duszy: — wszystko dla niego; Jan: nie rozdzielim się nigdy. Ale gdy pierwszy rozważał już jakby przyjacielowi dopomódz, drugi tylko rozmyślał nad co dzień ukrywanymi przymioty Tytusa.

Codziennie Tytus przychodził do Jana, a widząc go zrażonym, przybitym, smutnym, szydził po trosze, dziwując się, iż tak łatwo zwalczyć się daje.

— Co u licha, mówił, masz chleb powszedni, masz dach, czas swój i nikomu niezaprzędany, czujesz w sobie natchnienie a skarżysz się? Czegóż ci u kaduka potrzeba?

— Wiesz! współczucia! poklasku! zachęty! rzekł Jan.

— A! dymu!

— Nie dymu, Tytusie. Pomyśl, wielu wielkich ludzi stworzyło współczucie i oklaski ludu? Czyby Rafael stworzył kiedy swe łoża i freski, gdyby go następca świętego Piotra nie pokrył płaszczem swoim? Byłżeby Michał Anioł rzucił swą śmiałą kopułę na najwspanialszy chrześcijaństwa kościół, gdyby nędza i zapomnienie marzyć nawet o tem dziele nie dozwalały! Wierz mi, los, traf, szczęście czy opatrność, jak je nazwać zechcesz, wiele wpływają na podniesienie człowieka; wyobraź sobie, że pierwsze dzieło artysty przypada w chwili jakiego silnego zajęcia, jakiej nieuwagi spowodowanej wypadkami i odepchnięciem zostaje zimno. On się zrażony zaprzęga do roboty mechanicznej, traci siłę, zapal i gaśnie. Wieluż takich nieznanym upadło gieniuszów ?

— Być może, ale w naszejże mocy temu zapobiedz? W naszej tylko nie zrażać się i pracować, nie szukać zasiłku po za sztuką i żyć nią samą.

— Tak! daj na to siły! Jeżeli ich zabraknie, giniemy.

— Nie! nie ginąć, wytrwać i żyć! Z losu przeciwnego drwijmy. Righi dał mi modelować statuetkę, którą potem sam ma poprawić, będę miał na miesiąc roboty i chleba. Jużem syt i szczęśliwy. A głową tymczasem marzę, marzę, o mojej grupie Herkulesa ze Lwem! Co za szczęście marzyć! Dnie, noce, widzę tę moją grupę przed sobą ze spiżu wylaną, na wspaniałej podstawie! Lecz potrzeba mi gwałtem wzoru do Lwa rozjuszonego, a o to do licha trudno. Często mi przychodzi na myśl dać się schwytać w niewolę Algierskim piratom, aby dostać do pustyń Libijskich i lwów Libijskich. Tam pójść do schronienia lwicy, rozjuszyc ją, walczyć i schwytać do swojej grupy. Na Herkulesa djable mi też brak wzoru. Naprzykład ręce! ręce! Wyobrażasz ty sobie ręce Herkulesa, napięte od wysilenia, muskularne, potężne, żelazne a piękne! cały tors najeżony mięskami a nie skarykaturowany przecież niemi, twarz wyrażającą odwagę zimną, obok złośliwe, gniewne, bezsilne miotanie się lwa w rękę bohatera! Co za przedmiot dla snycerza! jaka grupa! Odlana z brązu, postawiona gdzie w stolicy...

— Mój drogi, rzekł Jan, odlewaj ją w myśli, bo inaczej...

— W myśli! to właśnie najlepiej. Umrę z mojem arcydziełem, pieszcząc się niem i co dzień mu coś dodając. Ot, wiesz co Janie i ty zrób podobnie. Utwórz sobie myśl wielką, pracuj nad nią, a świata zewnętrznego nic uczujesz. Wyobraź sobie naprzykład ogromne płótno jak jedna z uczt Weronezyusza, a na niem...

— Cóż na niem ? spytał Jan.

— Co? ogromną jaką kompozycją, któraby życie ci kosztowała całe. Naprzykład wystawiałbym chrześcianina na pastwę rzuconego zwierzętom w cyrku. W górze Neron, widzowie i tłum głupi i drudzy oświeceni nagle męczeństwem, i spokój oblicza świętych nieczujących nic, i zażarcie bestyj głodnych i tylu ludzi! Co za sprzeczności, ile charakterów, jaki obraz!

— A gdzież go umieścisz?

— Na ścianie.

— Kiedy nie będzie nawet za co nająć ściany, żeby go rozwiesić, kupić farb, żeby go odmalować?

— To zawieś go w duszy twojej, odparł Tytus. Tam mu będzie najwygodniej.

Jan nie zrozumiał spełna słów przyjaciela i nie pojął jakby obraz chrześcianina, męczennika, zaludnił był pustynie jego duszy.

Rozprawiali tak co dzień, a co dzień Jan upadał bardziej na siłach.

Jednego dnia z wieczora przyszedł snycerz weselszy niż wprzód, chodził po izdebce i świstał.

— Co to? spytał, nie malujesz Janie?

— Ochota mi odpadła! dla kogo?

— Dla przyszłości, dla potomnych.

— A daj mi pokój z niemi! — Patrz co za różnica między nami! Jam znowu szczęśliwy. Robię za kilka set złotych dwanaście posążków drewnianych do kościoła karmelitów na Żmudzi. Otoż będę ciął drzewo, ot to wyrzucę z duszy tyle oryginalnych postaci! Prawda, że praca tania, że ledwie jest wyżyć za co, ale co mi tam! chleb bielszy czy czarniejszy, trochę go mniej luli więcej? Nie jednym chlebem żyje człowiek! Będę tworzył, będę marzył! robię makiety, roję fizyognomie dla świętego Piotra (zobaczysz co za majestatyczną dam mu łysinę), dla świętego Pawła, dla ukochanego Jezusowi Jana (będzie to twój portret), dla Jakóba!... Jest czem żyć długo i po królewsku! A teraz, chodźmy nad Wilią! Przechadzka jest dla mnie potrzebna, ruch, powietrze, ludzie, i tem się żyje także. No chodź mój gnuśny rozpaczliwce i rozpogódź czoło!

To mówiąc pociągnął go gwałtem prawie za sobą.

Wiosna była tak świeża, piękna i porywająca, że Jan nawet rozmarszczył się poglądając na nią; Mamonicz co chwila unosił się i wykrzykiwał, wskazując umyślnie rozmaite postacie, różne światła i cieni rzuty malownicze, dla zajęcia przyjaciela i ożywienia go. Wtem na zakręcie ulicy, która od dawnego zamku biegła ku Antokolowi, powóz wytworny ówczesną modą, fabryki sławnego Dugla, zwrócił ich oczy. Cztery piękne konie tarantowate wolnym kłusem umyślnie zapewne idące, przesuwały się pociągając za sobą spuszczoną karetę. Dwóch wygalowanych służących stali z tyłu, wpośród siedzieli mężczyzna i kobieta.

Mężczyzna młody jeszcze człowiek, blondyn, wytwornie bardzo ubrany, z wyrazem pańskiej obojętności na ustach i czole, tak zdawał się podobny do owego Wojewodzica, którego Jan spotkał w drodze do Warszawy i któremu był winien umieszczenie u Bac- ciarellego, że malarz zastanowił się wahając, czy ma ukłonić lub nie. Ale Wojewodzie po upływie tylu lat mógłże go poznać? Oczy artysty padły mimowolnie na siedzącą obok kobietę, piękną jak piękny być może wzór, któryby obrał artysta do głównego swego obrazu. Siedziała w powozie z wdziękiem pięknej pani, co każdy swój ruch stara się uczynić idealnym, która wie, że jest piękną i korzysta z tego: zgięcie białej jej szyi, założenie rącek, zmrużenie oczów, niedbałe niby osunięcie ciała utopionego w poduszkach axamitnych, prawdziwie były malownicze. Nie zbyt biała, z czarnymi oczyma, czarnymi brwiami

zakreślonymi jakby pędzlem Chińczyka, zmaleńkami usteczkami różowymi, zdawała się znużona, nie rada sobie; wzrok jej w przeciwną od mężczyzny biegł stronę; nuda, ten trąd duszy widocznie ją pożerała. Wzrok tej kobiety przez chwilę zatrzymał się na Janie, a Jan spotkawszy go doznał wzruszenia jakby od przebiegających po piersi płomieni; kobieta odwróciła się za nim raz jeszcze. Mężczyzna obok siedzący, śledząc na co pooglądała odwrócił się także, spojrzawszy uważniej na Jana, który sięgał do kapelusza, pozdrowił go skinieniem głowy z uśmiechem i kazał zatrzymać konie...

Jan zbliżył się do powozu, od którego zdaleka pozostał Mamonicz.

— Nie myślę się, rzekł dość grzecznie Wojewodzie, nic jestżeś pan tym artystą, którego miałem przyjemność spotkać lat temu kilka i... polecić pocziwemu Bacciarellemu?

— Tak jest! odpowiedział Jan rumieniąc się, bo to wspomnienie w obec kobiety wpatrującej się w niego ciekawią i zalotnie, u bodło go okrutnie. Ja to jestem szczęśliwy, że mogę mu wynurzyć prawdziwą wdzięczność.

— Cóż się z panem stało? nie widziałem go ostatnimi czasy w Warszawie? — Byłem we Włoszech.

— A! byłeś pan w Rzymie! A więc doszedłeś celu upragnionego. Lecz dla czegoś wróciłeś tutaj ?

— Sam się teraz pytam o to siebie. We Włoszech tęsknota za krajem mnie wypędzała do domu; w Warszawie zbyt wielu znalazłem artystów i umieścić się było mi trudno. Sadziłem, że tu łatwiej mi pójdzie; lecz dotąd...

— O! domyślam się jak ciężko iść musi! U nas sztuka nie płaci. Proszę go jutro do siebie. Mieszkam w pałacu Ogińskich moich krewnych... o czwartej z południa.

Jan uklonił się i odstąpił, powóz ruszył.

Ta króciuchna scena, w ciągu której kobieta milcząca wpatrywała się z ciekawością nudy nowemu przedmiotowi mogącemu ją rozerwać, trwała chwilę, ale melancholiczne, czarne oczy pani poruszyły do głębi biednego artystę i zawróciły mu głowę, tyle

w nich było wyrazu zaczepnego, tyle wyzwania, tyle obietnic.

Jan w samej sile młodości, piękny jak Antynous, a nietknięty dotąd żadną gwałtowną namiętnością, prócz dziecinnego przywiązania do Jagusi, urodzonego w oknie a skończonego w kościele; mógł roić bez zarozumiałości, że choć raz w życiu znajdzie to, co drudzy spotykają co chwila, miłość. Ta myśl rozweseliła go i sił mu dodała. O kilka kroków spotkał się z Mamoniczem, który szydersko spojrzawszy mu w oczy, tak, że go zmieszał i zarumienił, a potem dodał z uśmiechem nielitościwym.

— Cóż tam Jasiu kochany, cieszyra się?

— A! znalazłem protektora:

— Myślę, że i protektorkę razem. Widzę już twoje nadzieje jak rybki pływające w przezroczystej wodzie. Ale biada ci jeśli się tym rybkom unieść pozwolisz. Nic dla nas życie i stosunki, które tu czekać cię zdają się. Miłość tej pani może cię kosztować życie, ona znudzona tylko, ty zapalony i zaufania pełen. W domownictwie panów wiele zapewne zyskać możesz, ale drogo to opłacisz. Nie milszaż ci nasza swoboda, nasze poufałe rozmowy, nad grzeczne ich wzgardy, dobrotliwe, protekcyjne szyderstwo? O serce tam trudno!

— O! jak niesprawiedliwy jesteś! W ich świecie wszystko znajdziesz co u nas piękne: kobiety, uczucia, myśli. Bogactwa ich czynią naturalnymi protektorami sztuki, bez nich my nic uczynić nie możemy, oni naszą podporą — Wojewodzie...

— Już nie Wojewodzie, ale Kasztellan, przerwał Mamonicz, opowiem ci zaraz jego historią. Ty jeden może jej nie wiesz, bo dotąd nie miałaś ucha i oka tylko dla sztuki i dla własnych swoich strapień.

— Zkądże ty wiesz jego historią tak dobrze?

— Ja! co za dziw. Historia jego chodzi po ulicach, złapałem ją niewiem kędy i jak. Posłuchaj. Wojewodzie, dzisiejszy Kasztellan jest dzieckiem ostatniem możnej i znacznej rodziny, tego ci mówić nie potrzebuję, dość imienia. Imię to wypisane jest na mnóstwie pomników, grobowych wiek i na zbutwiałych kartach naszych kronik. Jego ród i on sam w ostatku najlepiej przedstawiają historią panów w naszym kraju. Rodzina ta jedna z najstarszych szlacheckich, późno się zjawia między panami. Istotnie wielkie zasługi wojenne jednego człowieka, jego zwycięstwa głośne, ofiary majątkowe, czynne i śmiałe stanie przy władzy królewskiej, nagle podnoszą szlachcica zamożnego, do rzędu panów, w XIV wieku czy później. Ten jeden wielki mąż, którego portret pełen majestatycznej powagi choć niezgrabnie zrobiony wczoraj razem oglądaliśmy w kościele... przypominasz? wprowadza przodków Kasztellana w koło starych magnatów, proceres Regni. Z początku, jak zawsze kwaśno go przyjmują, ale trzykrotne związki małżeńskie łączą go nierozzerwaniemi węzłami z wielkimi imionami Górków, Tęczyńskich, Leszczyńskich i kniaziów Litwy i Rusi. Synowie bohatera już są panami i przyjętemi za takich.

Aliści w panach, w synach magnatach niknie jeniusz ojcowski.

Z ludzi użytecznych, panowie nasi wychodzą na niebezpiecznych. kupowani starostwami i darami, zapominają powoli, że obowiązkiem jest panów: ofiarą i myślą przed innemi przodkować. Jak skoro panowie umysłowie nie są pierwsi, nie są pierwsi cnotami i poświęceniem, już po nich. Missya ich prowadzi i do prawdy i postępu.

W czasach reformy dwóch z tej rodziny odpada od kościoła katolickiego. Rodzina dzieli się na dwoje: katolicy zostają przy królu, protestanci idą z opozycją, co była pierwsza zarodem bezrządu i słabości. Pod pozorem uzyskania coraz większych i wy-

łączniejszych dla stanu jednego przywilejów; protestanci podkopują tron, jedyne ognisko siły i spójności. Lecz słabe na pozór i nieszczęściami brzemiennie panowanie Zygmunta III zwraca znowu prawie wszystkich odpadłych panów do katolicyzmu. Szlachta co za ich przykładom przyjęta reformę, trzyma się jej szczerze; panowie rzucają lekko, jak wzięli. Burzą oni zbory postawiane przez

ojców, wznoszą kościoły i nawracają uroczyście, zwiększając liczbę penitentów wymownego i prawdziwie wielkiego Skargi. Od Zygmunta III począwszy nie ma już w tej rodzinie wielkich ludzi, kłótnie rodziny z rodziną o procedencyą, o majątki, o dziedziczki bogate, Bóg sam wie o co, spory domowe, w których szlachta gra smutną rolę; różnią panów między sobą. Dziadowie Kasztellana nie stawiają pułków na wojnę aby nie iść pod buławę hetmana z nieprzyjaznej im familii! Ojciec Kasztellana jest już tak dalece panem, że nic poświęcić nie chce i żyje sobie i dla siebie. Żeni się z Niemką wielkiego rodu, a tytuł Wojewody wcale go już nie obowiązuje do niczego, prócz do zasiadania w senacie milcząco, dumnie i znudzono. Zcudzozieraczały przez wychowanie i żonę, jedynego syna wysyła za granicę, przebiera po francuzku, ze wzdargą przed nim o swoim kraju się wyrażając. Fryderyk, dzisiejszy Kasztellan, wychowuje się w Paryżu. Wróciwszy do kraju bawi się, baluje, szydzi z kontuszowych i łbów wygolonych, rusza ramiony na widok chat brudnych i pyta: czemu ci niegodziwi chłopci nie chcą sobie budować domków porządnych jak niemieccy wieśniacy. Bawi się, bawi. nudzi zabawą i wyczerpany, zmęczony gdy go kto wielką jaką myślą budzi; ziewa, przeciąga się i odpowiada: O! dajcie mi pokój, c'est assommant. Kasztellanowa, którą tylko co widziałeś nie jest Polką.

— O! to widać! rzekł Jan, ma duszę.

— Wielka kwestya! Rodem z Paryża, z kąd owe nasze d'Arquien i tyle innych weszły. Wojewodzie wziął ją nikt nie wie z kąd; mówią, że jest znakomitego urodzenia, ale zupełnie uboga. Rodzina jej przez dwór protegowana; król sam pisał się do intercyzy Kasztellana, ale niemniej Kasztellan sam wyprawę żonie sprawić musiał. Uboga francuzica, nudzi się w Polsce i utrzymuje, że zrobiła z siebie ofiarę idąc za bogatego pana polskiego, w kraj niedźwiedzi i lodu. Bo tak z Desportem jeszcze dotąd zowią naszą ziemię, na zachodzie i południu. Kasztellan nudzi się żoną, która go zmęczyła, utrzymuje kochankę, równie podobno z Paryża wywiezioną za drugiej tam przeszłorocznej bytności.

— A! niegodny! zawołał Jan z oburzeniem, tak piękną mając żonę, tak niegodnie ją opuścić! — Piękne kobiety póty są tylko pięknymi póki się nie przejedzą, rzekł Mamonicz, stary to axyomat. Ale nie widziałeś kochanki, kto wie czy nie piękniejsza od żony?

— Tyś ją widział.

— Sto razy: wiesz, że z nami całe miasto zdaleka, z widzenia. Jest to Aspazyja, Lais, Fryne całą gębą. Piękna, wesola, dowcipna, a niedowiarek a cynik z niej opętany! niepojęty! Mnieby może ta dziwna kobieta lepiej się pewnie podobała i łatwiej chwyciła za serce, od znudzonej pani, która nawet śpiąc pamięta, kto ją rodzi i z kim się krewni. Tam uczucia za herbowną tarczą nie szukaj.

— Dopóki uczucie nie przejdzie w gwałtowną namiętność.

— Ono nigdy u nich w namiętność nie przechodzi. Wiesz, że są rośliny co zbujawszy w liście nie kwitną całkiem. Tak z niemi, zdaje się zbierać na pączki, ale z nich tylko nowe liście wystrzelą.

Jan nie chcąc się uparcie sprzeczać zamilkł; chodzili długo, a Mamonicz zmienił przedmiot rozmowy; gdy już wracali ku miastu, odezwał się ściskając Jana za rękę:

— Mój Janie, idź jeśli chcesz do Kasztellana, może ci dać zajęcie, okryć cię swoją protekcyą, ale

zaklinam cię strzeż się oczów francuzicy! Pamiętaj, że tam mogą cię spotkać tylko zawody i próżne męczarnie, jeśli tak nieostrożny będziesz, że dasz się jak naiwne zwierzątko w pastkę spojrzenia złapać. To nie nasz świat, powiedzmy to sobie i pamiętajmy o tem.

Rozeszli się, a Jan z głową pełną marzeń, całą noc czuwał. Nazajutrz ubrany starannie, ledwie mogąc wytrzymać do czwartej, stawił się w mieszkaniu Kasztellana. Słudzy w przedpokoju grający w karty, nie powstali nawet gdy wszedł, a na jego zapytanie odpowiedzieli hardo, mierząc go wzrokiem badawczym i szyderskim: — Jaśnie Wielmożnego Kasztellana nie ma

— Naznaczył mi wczoraj tę godzinę.

— To ten Jegomość, odezwał się jeden z ludzi, co się z nami wczoraj spotkał na Antokolu. Szerepetka! dodał ciszej.

— Coż ztąd? rzekł drugi starszy, pana nie ma, wróc Waćpan jutro.

Odprawiony tak grubiańsko i zuchwale, wycierpiawszy pod wzrokiem sług pańskich więcej w jednej chwili, niż przez kilka dni od własnych myśli; skosztowawszy próbki życia w tym świecie, do którego tak się wrywał, Jan zbiegł ze wschodów, obiecując sobie nie powrócić więcej; ale zaledwie był na dole, gdy starszy ów sługa niedbale wychyliwszy się z galeryi zawołał:

— Proszę-no pana!

— Wszakże Kasztellana nie ma w domu? spytał Jan.

— Jaśnie Wielmożna Pani prosi go! To: pani prosi, rumieniec wywołało na twarz Jana; powrócił i wszedł do salonu przyciemnionego, materyą w kwiaty złociste naprędce widać ociągnionego. Przepych dobrego tonu bez błyskotek, świecideł i niesmacznych drobnostek uderzył go na wstępie. Srebrny stolik o kręconych nogach z zegarem prześlicznej roboty, na perskim dywanie, stał przy sofie obitej axamitem. Meble wszystkie podobną materyą okryte były, ogromne zwierciadła w srebrnych ramach zdobiły ściany. Szpinet palisandrowy inkrustowany hebanem i perłową macicą stał w kąciu. Sama pani leżała raczej niż siedziała na sofie. Firanki zmniejszały światło dzienne w pokoju i przedstawiały ją w uroczym pół-mroku. Piękniejsza jeszcze ale jeszcze bardziej znudzona pani, podniosła się nieco, sparła na łokciu, uśmiechem i główki kiwnieniem niedbale pozdrawiając artystę. — Mój mąż wyjechał, odezwała się, jutro powróci, nie chciałam dozwolić na niegrzeczne odprawienie Pana i dla tego kazałam go prosić. Jutro z moim mężem widzieć się będzie można. Pan jesteś malarzem? dodała po chwili milczenia topiąc w nim oczy ciekawe i poprawiając opuszczone pukle włosów.

— Tak jest, Pani.

— Pan byłeś w Paryżu?

— Nie, ale w Rzymie i Florencyi, zkad wracam.

— A! i skrzywiła się trochę. Cóż pan maluje? spytała.

— Obrazy historyczne, pejzaże.

— A portrety?

— Rzadko, lecz...

— Chciałabym bardzo mieć mój portret dla moich krewnych w Paryżu, podjąłbyś się Pan go?

— Z prawdziwą wdzięcznością. Kasztellanowa uśmiechnęła się, widząc jak szybkie wrażenie robił wzrok jej na Janie. Chwilka milczenia.

— Tylko proszę mi nie pochlebiać, zrób mnie Pan smutną, znudzoną jak jestem; niech wiedzą w Paryżu, że mrę tu pod waszem zinnem niebem.

Malarz nic nie odpowiedział, ale westchnął tylko.

— Kiedyż zaczniemy? spytała. — Kiedy Pani rozkażesz.

— A! ale to podobno potrzeba jakiegoś umyślnego światła, trzeba siedzieć nieruchomie, długo, niewygodnie, nudno.

— Niekoniecznie.

— Malowano mnie w Paryżu. Takem się znudziła. A! od tego czasu zbrzydłam tak bardzo! zmizerniałam, dodała jakby do siebie mówiąc i poglądając ukradkiem w zwierciadło. Jan spuścił oczy.

— Więc jutro o południu, każ Pan przynieść co potrzeba do malowania. I skłoniła głową; ale do obojętnych wyrazów, do tonu prawie wzgardliwego, przyłączyła wzrok tak wymowny, tak silnie przenikający, że Jan wyszedł oszalony. Niewiedział, że często Fanie próbują wzroku in anima vili, jak strzelcy broni na wróblach i jaskółkach, czy też dobrze bije? — Artysta wziął za jutrzenkę szczęścia, co było błyskawicą burzy.

Uszczęśliwiony spotkawszy Mamonicza opowiedział mu wszystko. A! co za wzrok! dodał kończąc powieść, ile on mówi, ile mówi!

— Wzrok, rzekł Tytus zimno, tyle tylko mówi ile chcemy aby mówił. Wzrok kobiety jest najzwodniejszym ze zjawisk. Strzeż się, powiadam ci, to zalotnica, która przywiodłszy cię do rozpacz, śmiać się z ciebie będzie.

— Tytusie, nie masz serca.

— Janie, nie masz głowy. Wymów się od tego malowania, na Boga! wymów się, bo widzę jak zginiesz, lepiej nie mieć roboty niż wleźć w taką przepaść.

Jan ruszył ramionami zniecierpliwiony, ścisnął za rękę Tytusa i odszedł nie chcąc dłużej słuchać jego przestrog.

Jutro przyszło nareszcie, a malarskie przybory odesłane wprzód do pałacu oczekiwały na Jana. Słudzy w przedpokoju głupowatym śmiechem przyjęli go, nim wpuścili do salonu, wpatrując się w dosyć biedne ubranie, chociaż to było jego najlepsze. Prawie pogardliwie kamerdyner wskazał mu drzwi nie racząc ich otworzyć i usiadł w oknie z powagą. Upokorzony Jan wszedł, ale w salonie nikogo nie było. Z drugiego pokoju, odezwał się głos:

— Kto tam?

— Ja, Pani.

— Cóż za ja? powtórzył głos. Kasztellan ukazał swą upudrowaną głowę. — A, to wy! prosimy, Kasztellanowa czeka na niego, do roboty, do roboty! bo się znudzi. I skinął na malarza, który po dywanie przeszedł do drugiego pokoju.

— Jestem sam trochę artysta, rzekł Kasztellan, ustawiłem wam trójnog i wybrałem światło. Ale spieramy się od półgodziny z Panią, o kolory sukni i o akcesorya portretu.

W tej chwili ujrzał Jan Panią siedzącą w krześle z książką w ręku i mdlejący wzrok zawracającą ku niemu ze skinieniem głowy i uśmiechem.

Ubrana była w ciemną asamitną suknię, z koronkami białymi, różę miała we włosach. Ślicznie jej było.

— Możeż być lepiej jak jest? zawołał Jan.

— A widzisz Pan ! odezwała się kobieta. Kasztellan rzekł rzucając się na siedzenie:

— Ja chciałem cię widzieć weselej ubraną.

— Dla czego? tu tak zimno, smutno i nudno w tym waszym kraju chmur i błota. — Dziękuję! rzeki Kasztellan. Światło wszak dobre? spytał.

— Wyborne.

— Widzisz, że się znam na tem. — No, malujmy.

— O! malujmy, bo długo tak nie wytrzymam, uprzedzam, przerwała Francuzka. Godziny siedzę czasem z wlepionymi nie wiem gdzie oczyma nieporuszona, ale gdy mi siedzieć każą! o! nie cierpię posłuszeństwa. C'est plus fort que moi. Proszę się spieszyć.

— Niech Pani jeśli chce, jak chce się porusza, rzekł Jan siadając, mówi, chodzi, to nic nie będzie przeszkadzało portretowi. Podłożę go i tak, a suknie i draperye w domu dokończę. Dziś może schwycę tylko rysy.

— A! Jakżeś Pan grzeczny, znów go rozbijając wzrokiem dodała kobieta, pozwalasz mi się ruszać!

— Znalazł sposób żebyś siedziała jak przykuta, szepnął Kasztellan. No, zostawiam was, jadę do księcia biskupa na śniadanie. Kiwnął głową i wyszedł.

Kasztellanowa pogoniła wzrokiem za mężem, ale wzrokiem obojętności, niechęci; skrzywiła usta jakby mówić chciała: "Gardzę tobą, brzydzę się. "

A potem zwróciła tak uporczywe wejrzenie na Jana, że rysującemu ręka się zatrzęsała. Słabym głosem rzekł do niej:

— Pani zapewne każesz się malować a regard perdu, to doda smutku wyrazowi twarzy, prosiłbym więc o odwrócenie oczów w głąb.

— Boisz się Pan? zawołała śmiejąc. Jan zaczerwienił się, ale nic nie śmiał odpowiedzieć. — Nie, chcę mieć wzrok jak jest.

Ile razy spojrział malarz, tyle razy znalazł jej oczy utkwione w sobie, wejrzenie to uporczywe, ogniste, przejmowało go do głębi. Męczył się jak Damokles pod mieczem, ocierał czoło i cierpiał widocznie. — Gorąco Panu może? spytała szydersko Kasztellanowa.

— O! gorąco!

— Mnie tak chłodno! dodała ze znaczącym znowu spojrzeniem.

Jan rysował, ale co chwila ręka go zawodziła. Owal twarzy narzucony zręcznie, oznaczone usta i oczy, nie zaspokajały go, mazał i poprawiał.

— Mogę się ruszyć? spytała.

— Jak Pani zechce. Poruszyła się zaraz, ale wzrok niezmiennie pozostał utkwiony w malarzu.

— Wiele Pan masz lat ? spytała po krótkim milczeniu.

— Dwadzieścia kilka.

— Długo Pan byłeś we Włoszech?

— Chwilę, tak mi się tam lata wydały krótkimi.

— Przysięgnę żeś Pan tam zostawił kogoś, po kim ci tęskno? nieprawdaż! spytała ze znaczącym wejrzeniem. Ale na to pytanie, łzy wytrysły z oczów Janowi, bo głaz na cmentarzu świętego Kalixta przypomniawszy mu się, i poblądł, błagająco spojrzawszy, a cicho odpowiedział:

— Nie zostawiłem nikogo.

— Panbyś nie kochał dotąd?

— Nie miałem czasu, kochałem, ale sztukę.

— Jakto? nigdy? ani razu? męczyła go nielitościwa Francuzka.

— Nigdy.

— O! to być nie może!

— W mojem położeniu to naturalne.

— Pod waszem niebem, prawda! wszystko tu tak zimne!

— Nie Pani, tu gorące serca, ale głęboko kryją się płomienie.

— Doprawdy! szepnęła już szydząc — przecież jak wulkan płomienie te kiedyś buchnąć muszą. Więc pan istotnie nie kochałeś?

— Nie Pani.

— I nie znasz co miłość? — Domyślam się.

— Żałuję Pana; tyle straconego czasu!

Znowu urwała się rozmowa, ale uparty szatański jej wzrok spoczywał na malarzu. — Ona widocznie chce mnie o szaleństwo przypawić ! zawołał Jan w rozpacz.

— Jak Panu imię? spytała.

— Jan.

— A nazwisko?

— O! Panibyś go nawet nie wymówiła, barbarzyńskie. We Włoszech zwano mnie Rupiuti, niech to umiękczone nazwanie służy mi i tutaj.

— Pan masz familią?

— Nikogo.

— Jakto, zupełnie nikogo? zawołała z niejaką radością — zupełnie nikogo?

— Matka moja umarła niedawno, noszę po niej żałobę, to był ostatni węzeł łączący mnie z ludźmi. Teraz jestem zupełnie sam.

— Biedny! przerwała. Więc i wy umiecie kochać? Nie jestem więc w kraju zupełnie z uczuć ogołoconym, dodała, widząc łzę w oku Jana. Ja nie znałam matki! Spuściła głowę, ale rychło ją podniosła uśmiechając

się.

— Jestże życie bez uczucia! odparł malarz.

— A! dość na dziś! zerwała się Kasztellanowa, dosyć roboty! dosyć siedzenia. Chodź Pan, pokażę mu nasze obrazy. Ciekawys?

Jan porzucił pęzle, okrył trójnog i poszedł za nią posłuszny.

Powolnym krokiem przeszła pani po pokojach uprzedzając go i wskazując mu kilka płócien francuskiej szkoły Lesueura, Valentin'a, Poussina, portrety Largirier'a, które przywiozła z Francji. Jan, który Le Sueur'a zwłaszcza cenił wysoko, unosił się nad śliczną kopią sławnego obrazu jego, świętego Brunona, pełnego uczucia, pełnego wdzięcznej a surowej prostoty.

— Pokażesz mi Pan jaką swoją robotę? — Po większej części przywiozłem z Włoch ogromne obrazy, które przenieść trudno, rzekł Jan, a potem nie wiem prawdziwie czy warte są pokazywania.

— Poznałeś Pan mego Lesneur'a, mego Poussin'a, nie wątpię teraz, że musisz pięknie malować. Chcę widzieć koniecznie jego roboty, proszę mi zaraz przysłać jedną z nich. Zaraz, zaraz, dodała nastając. Na dzwonek Kasztellanowej zbiegli się słudzy, a widząc ją z malarzem, stary kamerdyner nieznacznie pokiwał głową.

— Niech dwóch ludzi idzie do mieszkania tego pana, rzekła wskazując na Jana i przyniesie mi tu obraz. — Jaki ? spytała malarza.

— Ja idę z niemi.

— Nie, nie! powiedz Pan tylko jaki przynieść mają?

Jan napisał karteczkę ołówkiem do Mamonicza, który na niego czekał w mieszkaniu, wybrawszy na pokaz prześliczną Magdalenę, malowaną w Rzymie ze sławnej pokutnicy Anunziaty, i Narcyza w pejzażu, także dzieło w Rzymie zrobione, ale nie wielkich rozmiarów.

Gdy z kartką wysiani ludzie spieszą, Kasztellanowa usiadła i wskazała krzesło nie opodal Janowi. Zamilkła, ale wzrok utrapiony, z zajądłością niewytłumaczoną zwracała na niego ciągle. Ile razy zadrżał pod nim, znudzona kobieta uśmiechała się do siebie.

— Cela lui fait de l'effet, myślała.

— Czemuż nie przynoszą? czy to tak daleko? rzekła po chwili z niecierpliwością dziecka, ja tak nie lubię czekać!

— Dość daleko.

— Pan mieszkaś ?

— Blizko zamku.

— Ah! I znowu milczenie, a wśród milczenia spojrzenia jak błyskawice ciche, co uprzedzają

burze, zdaleka na horyzoncie bez łoskotu przemykając się, latają raz po raz. — Pan masz tu dużo znajomych?

— Nikogo. Jednego tylko jak ja artystę.

— A! ten zapewne, który z nim szedł, gdyśmy się spotkali.

— Pani go widziałaś?

— Ja wszystko widzę. Tu tak nudno, tak smutno, że szukam jakiej mogę rozrywki. A! wyborna myśl. Chciałabym się uczyć rysować, zawołała, Pan ranie będziesz uczył.

— Pan Kasztellan pozazdrościłby mi tego, on sam...

— Od kilku lat nie trzymał ołówka w ręku. Nareszcie po dość długim oczekiwaniu

usłyszano kroki na wschodach i ludzie weszli niosąc dwa obrazy. Jan pochwycił je i ustawił w świetle przyzwoitem. Kasztellanowa porwała się z ciekawością i spojrzawszy na Magdalenę:

— A! to arcydzieło doprawdy! zawołała, Pan jesteś wielkim malarzem! doprawdy arcydzieło. Podeszła ku Narcyzowi. I to bardzo ładne, ja jednak wolę Magdalenę. — A ja Narcyza, dodał Kasztellan, który był wszedł niepostrzeżony, zaczął i przypatrywał. Pańskie roboty! prawdziwie wieszuję mu z całego serca.

— Na co mi się to tutaj zdało... rzekł Jan, gdzie artystów nie pojmują, nie cenią, nie potrzebują.

— O! Pan masz słusność. To kraj niedźwiedzi. Jedź do Francyi, zobaczysz.

Zaczęto tak wychwalać obrazy, że Kasztellan zakończył wreszcie pochwały żądaniem nabycia ich obu.

— Bardzom szczęśliwy, że się podobały; jest to rzecz małej wagi, ale gdybym nią mógł okazać wdzięczność jaką Panu winienem, byłbym bardzo szczęśliwy. Gdybyś Pan przyjął je raczył...

— O! nie, nie! nie tak! żywo obruszył się Kasztellan.

Nie słuchając odpowiedzi, Jan porwał za kapelusz i wybiegł szybko się ukłoniwszy, słysząc tylko za sobą śmiechy obojga państwa, które nie wiem czemu, trochę boleśnie odbiły się w jego duszy. Mamonicz czekał go w mieszkaniu, ale nie sam; przy nim siedział bardzo lichy ubrany podeszłych lat człowiek, siwy, trochę łysy, w czarnej łatanej sukni, z laską o gałce kościanej w ręku. Fizyognomia jego wyrażała dobitnie niespokojną chciwość jakąś, żądzę posiadania, samolubstwo w najwyższym stopniu; najmniej wprawny badacz charakterów, nie mógłby się być omylić na nim.

— Pan Żarski, rzekł Mamonicz, dawny mój znajomy, jako amator chciał widzieć twoje obrazy.

Stary się ukłonił pokornie, uśmiechnął i rzekł cicho:

— Piękne obrazy! ale dokądże dwa z nich ztąd przy mnie odniesiono?

— Do Kasztellana. — Jakto? sprzedane? spytał, a ja właśnie chciałem mówić o Magdalenę. — Tak, dodał Tytus, targujemy się o nią od dwóch godzin, odstępowałem ją za 50 dukatów i chodziło tylko o pięć czy sześć, żebyśmy targu nareszcie dobili.

— Szkoda, bo już nie moja! przerwał Jan.

— A! musiałeś za nią i za Narcyza wziąć dość pieniędzy?

— Darowałem je.

— Pan je mogłeś darować! wykrzyknął stary.

— Zrobiłbyś to głupstwo? rzekł Mamonicz ruszając ramionami. Śmiać się tylko z ciebie będą zamiast wdzięczności.

— Niech się śmieją, nie chcę być winnym nic nikomu. Kasztellan dopomógł mi gdym był w potrzebie, zalecił Bacciarellemu, jemu może winienem pobyt we Włoszech.

— To co innego, zapomniałem, rzekł Tytus. Pokwitowałeś się z procentem. — Nie, rzekł Jan, tego nie czuję, jeschcem mu dłużny pewnie.

Mamonicz śmiał się, stary począł tchórzliwie dowiadywać się o ceny różnych robót Jana, nareszcie rzekł:

— Wie Pan co! to wszystko drogie dla mnie. Ale zbieram roboty artystów krajowych, muszę mieć co pańskiego, potrzebuję też dla krewnych pamiątki, aby ją im po sobie zostawić; nie mógłbyś Pan zrobić mojego portretu? wszak malujesz portrety?

— Rzadko i niechętnie.

— Ja nie chcę tuzinkowego portretu, ale takiego, któryby był wypracowanym obrazem, dziełem sztuki, a razem pamiątką.

— Tem trudniej się go podjąć. Mamonicz przerwał:

— Maluj, będzie to studyum dla ciebie, głowa oryginalna, patrz jaki w niej charakter.

Stary się zarumienił. — A pan Żarski, mówił Mamonicz, za tak wypracowany portret zapłaci... — Zapłaci, przerwał stary szybko i żywo. Zwykle portrety płacą się u nas sto złotych, a że ten ma być tak bardzo wypracowany, więc podwójną cenę.

— Tysiąc złotych, rzekł Jan.

— Zaraz widać, że Pan z za granicy przybywa. Ale kochany Panie, u nas tysiące nie sypią się tak za obrazy z za rękawa; kraj ubogi.

— Nie zmuszam leż Pana, abyś się malował.

— Radbym mieć pracę takiego artysty jak Pan, rzekł staruszek przypochlebiając się.

— Więc maluję bez żadnej pretensyi.

— Jakto?

— Nic nie wezmę, z tym tylko warunkiem, że oryginał portretu będzie moim, a kopią zrobię dla niego.

Starzec poskrobał się po łysinie.

— Widzisz, rzekł Mamonicz, czy ci nie wstyd? ty, tak bogaty! — Ja bogaty! ja bogaty! ze strachem zawołał stary, kto! ja? potwarze!

— Tak śliczny mając zbiór obrazów.

— Ja nie mam obrazów.

— O! o! na co te figle z nami! przerwał Tytus rubasznie, — wiemy dobrze o twoich skarbach. Żarski przerwał rozmowę pożegnaniem nagleni szepcząc na ucho Janowi: "Jutro mu będę służył.

— Wiesz, rzekł Mamonicz gdy wyszedł, jest to osobliwszy dziwak. Nabywa obrazy i zamyka je aby ich nikt nie widział, nie pokazuje nikomu. W kufrach i pakach leżą u niego kosztowne, po klasztorach za kopie ponabywane płótna, pozwijane starannie, ponumerowane, które nie ujrzą bożego świata chyba po jego śmierci.

— Ale powiedz mi cóżeś zrobił u Kasztellaństwa?

Jan nie zataił nic przed przyjacielem, opowiedział mu wszystko.

— Źle, rzekł Tytus. Kasztellanowa chce się widać bawić twoim kosztem, a ty poddajesz się kapryswi jej jak dziecko. Wiele cię to kosztować może. Zakochanemu w niej (jeśli na nieszczęście tak być ma), wiesz co ci pozostaje? udawać doskonałą obojętność, delikatnie szydzić i śmiać się, to jeszcze jeden sposób. Czułością tam nie wygrasz. Francuzka, pewien jestem, z mężem nawet śmiać się z ciebie będzie. Ty będziesz cierpieć, a ona tryumfować jak z żaka. Źle się to skończy przepowiadam ci. Stracisz czas daremno; dałeś im dwa obrazy, czy nie dość, przestań bywać dla jakiegokolwiek przyczyny.

— Nie mogę.

— Bądźże zimnym i obojętnym.

— Nie umiera grać komedyi, jestem, jakim mnie okoliczności uczynią.

— Bez trochy komedyi nie ma życia. Zresztą jak chcesz. Co się tyczy tego starego, któregom dla

ciebie zwerbował, nie puszczaj go z rąk i w najgorszym razie jest to jaki taki ratunek. Ten przynajmniej lubi obrazy i zna się na nich. Znałstwa nikt mu nie odmówi, a najdziwniejsza i prawie niepojęta, że się chowa z obrazami i pieści jak z klejnotami skąpiec. Całe dni przepędza nad nimi (1).

Zdarzało mi się zastawać go nad zczerniałym Bambochem, wyczytującego mozolnie intencje malarza, zginione efekta zaczerpnięte wyjsciem dnia lub niegodziwym wernixem; zdarzało mi się widzieć go klęczącego przed płótnami w estazie i zachwycie młodzieńca. Naówczas twarz mu się mieni, oczy łzami zachodzą; zamknięty na klucz, rozwija swe ulubione obrazy i poczynają ich przegląd. Każdy z nich znany mu jest aż do najdrobniejszych szczegółów, odczyszczony, odchuchany i najstaranniej zachowany. Zdaje mu się, że oko obcego

(1) Postać historyczna. ujęłoby coś, przypatrując się jego skarbowi. On żyje w idealnym świecie sztuki, jak nikt podobno nie żył jeszcze. Pamiętam raz (bośmy zdawna znajomi), jak mi całą historią jednego obrazka opowiadał. W ubraniu osób, w ich fizyognomiach, w otaczających akcesoriach znalazł na czym zbudować całą powieść, odgadywał życie, dokończył dzieła, rzekłbyś, że je sam stworzył, tak znał doskonale. Raz z kimś obojętnym i półznawcą trafiłem do niego na godzinę przeglądu, gdy nie zamknąwszy rozpatrywał obraz Czechowicza: Przywrócenie wzroku świętemu Pawłowi. Półznawca rzucił od niechcienia zdanie, ledwie spojrzawszy zlekka na utwór. Żarski zaczerwienił się oburzony, gniewny, zły aż do passyi. Gniew rozwiązał mu zwykle zamknięte usta: Pan jesteś ślepy lub płochy, zawołał. I nuż dopiero w zapale wskazywać piękności, dobywać myśli, tłumaczyć wszystko tuk doskonale, że nam się wreszcie profanom oczy rozdarły i uj- rzeliśmy czegośmy się nawet nie domyślali. Przeczytać obraz, dobyć z niego myśli, nie jest to rzecz tak łatwa jak się zdawać może. Koloryt i rysunek łatwiej ocenić daleko.

Szkoda mi twoich darowanych obrazów: Żarski poznał w tobie prawdziwego artystę i byłby je dobrze zapłacił. Teraz trzymaj się tylko i nic mu nie dawaj darmo, musi w końcu kupić co z twoich robót, bo w nich widocznie smakuje. Oprócz tego, pomimo dziwacznej skrytości swojej, Żarski uchodzi za znawcę, a jego bytność u ciebie i zdanie o tobie, z którym się taić nie będzie, zjedna ci pewnie sławę. Bądź zdrow, ja idę dumać o moim Herkulesie.

I wyszedł Mamonicz z czapką na ucho, śpiewając.

Jan w istocie skutkiem kilku słów rzuconych przypadkowo raczej niż umyślnie przez Kasztellana i Żarskiego, był na drodze do pewnej więzności, daleko skuteczniej popchnięty na nią niż wprzód wystawą swoich obrazów. U nas pospolicie zdanie gotowe bierze tłum i nie wdaje się w rozpoznanie jego słuszności. Jan nagle został znakomitym artystą dla pewnych ludzi, którzy wprzód nie wiedzieli co o nim mówić, ale razem wybuchnęła przeciw niemu silna i potężna zazdrość współubiegających.

Gdy jedni chwalili, drudzy szydzili tworząc baśnie dziwne o Janie. Ci powiadali go szpiegiem czyimś (pospolity u nas bardzo zarzut), drudzy nieznanym intrygantem pod obce podszytym nazwisko, inni ogłaszali partolą nieumiejętnym, chwającym się cudzą pracą. Najlichsi zmagali się na

najczarniejsze brednie. Wysokie ceny jego robót nazwano szaloną szarletaneryą, protekcyę Kasztellanica wyśmiewano nielitościwie, domyślając się z góry, że najpodlej pozyskać ją sobie musiał artysta. Słowem, w chwili gdy się znajomym uczuł Jan w tym nowym świecie, poczuł razem na sobie pociski potwarzy, którą usłudzy znajomi z gorliwością i pośpiechem co najrychlej mu podawali.

Z pogardą odwrócił się on od tych, którzy udając grzeczność i pochlebiając chętnie, szkalowali go za oczyma. Ale zasłużona wzgarda wydała się im niewdzięcznością, okrzyczano go dumnym.

Tysiące drobnych pocisków doganiało go wszędzie. Nędzny paszkwil przybito na kamienicy w której mieszkał; Kasztellan odebrał list bezimienny, donoszący mu, że Rugpiutis nie był nawet szlachcic! i kałał jego progi! Cała historia ojca opisana była w tym liście z ohydniemi dodatki. Rzucił go w ogień nie doczytawszy oburzony protektor z obojętnością wielkiego pana, ruszywszy tylko ramionami. W ulicy namówieni chłopcy spotykali go co chwila proponując mu pomalowanie powozu lub drzwi. Przechodząc spotykał złośliwe spojrzenia wymierzone ku sobie. Ale wszystko to Jan, w tej chwili cały zajęty Kasztellanową, zniósł łatwo i nie wiele na tem cierpiąc.

Następne posiedzenia malarza, wielce były pierwszemu podobne; w godzinie malowania zwykle mąż odchodził, zostawali sami, rozmowa urywała się lub ciągnęła powolnie; ale wzrok, w którego potęgę wierzyła kobieta, trapił Jana bezustannie. Wzrok ten, przy dość często obojętnej rozmowie, był niepojętego znaczenia: oczy mówiły całkiem co innego, co innego usta. Jan zrozumieć tej antytezy kobiecej nie mógł. Czasem piękna pani doprowadzała rozmowę do stromych brzegów, z których łatwo upaść było na kolana i powiedzieć co się w sercu działo; ale w chwili niebezpiecznej, zimno zrywała się z miejsca i stawała znowu Kasztellanową. Były to męczarnie słodkie, ale niemniej męczarnie. Jan spieszył z portretem, sam pomiarkowawszy nareszcie, że to do niczego doprowadzić go nie może krom boleści zawodu, że służy za jakąś igraszkę. Ale absolutna jak kobieta, pani Elwira, nie dozwalała pospieszać z robotą, nie pozwalała wziąć portretu do domu, ciągnęła posiedzenia umyślnie.

Jan u siebie, zupełnie z pamięci, odmalował jej portret drugi, robiąc z niego fantastyczną głowę ubraną w laur i ze stosownemi akcesoryami idealnemi. Był to rodzaj Sybilli.

Oczy co go prześladowały zwrócił w niebo; pomimo odmian stroju i pozy, podobieństwo było uderzające, a Mamonicz przypuszczony do oglądania arcydzieła, unosił się nad tem studjum, wyrazem przypominającym najpiękniejsze utwory Dominichina.

Czas ubiegał szybko a Jan go tracił, co dzień głębiej plątał się w miłość bez celu i bez wzajemności. To pochlebiał sobie że może być kochanym i płakał nad dwojgiem nieszczęśliwych, to znowu dumnym niekiedy pożegnany wzrokiem, rozpaczał o sobie. A Mamonicz mówił mu: — Dopóki czas jeszcze, proszę cię przestań tam bywać. Kasztellan złośliwie spytał go kilka razy:

— Ten portret będzie arcydziełem, tak Pan nad nim pracujesz?

— Ja oddawnabym go skończył, lecz nie jestem panem mojej roboty, słucham rozkazów.

— Ma chere, spytał mąż żony, dopókiż malować się będziesz?

— Dopóki mi się podoba. To mnie bawi, mam jakąś rozrywkę.

— Ale ten biedny malarz ?

— Traci czas? Cóż? zapłacim mu... I uśmiechnęła się.

W istocie, Janowi w tej porze dawano robotę w katedrze i do innych kościołów odświeżających się, poprawki w Pożajściu u Kamedułów, musiał odmówić wszystkiego; a gdy Kasztellan dopytywał go czy ma jakie zajęcie inne, odpowiadał, że nie.

Mamonicz, który wiedział o wszystkim, gniewał się na tę kobietę i klął ją z całego serca. Ale to wcale nie pomagało.

Jan szalał za nią. Od niejakiego czasu bowiem zdawała mu się czulszą i wzrok zawsze ten sam padał na niego i palii, ale słowa już się z nim nie tak sprzeczały. Kilka razy dozwoliła mu powiedzieć coś dwuznacznego, nie oburzyła się, nie wstrzymała, odpowiedziała spojrzeniem. Jan czuł w piersiach pragnienie Tantala, a owoc z gałęzią blizki ust, umykał od nich znowu. Portret nie był dotąd skończony: Kasztellanowa wymagała poprawek i przerabiania bez końca.

Już drugi miesiąc tej pracy Penelopy upływał, gdy Jan smutny w milczeniu przybył dnia jednego i gotując farby, stał zadumany u trójnoga.

— Czegoś Pan taki smutny? spytała go Elwira.

— Jestem jak zwykle.

— Więc Pan zwykle smutny jesteś? — Dziwi mnie to pytanie z ust Pani: jestem sam na świecie, nie mam przyszłości, straciłem smak i zamiłowanie w sztuce; nikogo coby mnie kochał, kogobym zajął, ktoby pomyślał o mnie!

— Bo Pan sam nie kochasz zapewne nikogo.

— A, pani! godziź się tak szydzić ?

— Zkąd ta myśl o szyderstwie? Pan sam zimny jesteś jak lód.

Jan zmilczał jeszcze, ale wzrok jego odpowiedział raz pierwszy z całą siłą na wymowne spojrzenie Pani. Ona, nie odwróciła wejrzenia, lecz nagle wyraz jego się zmienił, brwi namarszczyły, zaiskrzyły oczy i tak stała się dumna, wielka, nieprzystępna, że Jan zadrzał nad swoim zuchwalstwem. Spuścił oczy na płótno, łzy upokorzenia zwijały mu się pod powieką, gniew zawrzał w sercu. Spojrzał ukradkiem. Kasztellanowa znowu spoglądała na niego łagodnie, łzawo, obiecująco, zdawała się mówić: ko- cham ciebie, a ty mnie nie chcesz rozumieć!

Nadzieja odpędzona, jeszcze raz wstąpiła w niego. Omyliłem się, rzekł w duchu, to było złudzenie. — Dla czego Pan tak upornie milczysz? spytała po chwili Kasztellanowa. Chciałabym wiedzieć od Pana, czy od czasu jak się znamy, jak tu bywasz, prawdą jest jeszcze coś mi mówił pierwszy tu raz przybywszy, nie kochałeś nigdy? nie kochasz?

— O! teraz, kocham! zawołał Jan, nie mogąc się powstrzymać.

Pani Elwira zrobiła minkę szyderską. — Jakżebym rada widzieć tę, którą kochasz! Nieprawdaż, że malarz musi kochać piękną?

— Jak anioł piękna, a każdy ruch jej, każde skinienie, tyle ma nieopisanego wdzięku...

— Musi być dobrą jak anioł.

— Jak anioł nieprzystępna i niepochwyciona. — A! a! to coś wysoko oczy pańskie padły! Szkoda! I zadawszy usta zmiłkła, a Janowi aż zimno się zrobiło. Wstała z kanapy.

— Dość na dzisiaj, rzekła, jutro skończymy, nieprawdaż?

Powiedziała to zimno i dumnie, wychodząc obojętnie i z miną znudzoną wielkiej pani do salonu; ale we drzwiach odwróciła się i Jan spotkał wzrok łagodny, pociągający, którego już nic umiał sobie wytłumaczyć. W tej kobiecie było dwie dla "niego: jedna czuła i kochająca, druga zimna i dumna. Wybiegł do domu. Mamonicz go tam czekał, wysłuchał wyznań:

— Mój drogi, rzekł, nic oczywistszego nadto, że żartuje z ciebie. Kończ robotę i porzuć ich do djabła, uciekaj.

— Uciekaj! powtórzył Jan, dobrze ci to mówić na zimno. Już nie czas! Ja niczego nie żądam, tylko wzgardzony, wyśmiany choćby, być przy niej, widzieć ją co dzień i cierpieć od niej. Byłbym jej sługą, byle być z nią. Stała się potrzebą życia, widzę ją we snach, na jawie, w każdej kobiecie, w każdym oczach co na mnie patrzą widzę jej wejrzenie, zapomniałem dla niej o wszystkim. Wiesz, słuchaj, dla niej gotówbym był zrobić — podłość! Tytus zbladł.

— Janie, rzekł, nie rękę za samego siebie, żebym raz w życiu podobnemu jak twoje nie uległ szaleństwu. Ale jeśli to nieszczęście dotknie mnie, to chyba wyrokiem bożym, trafem nieprzewidzianym. Ty zaś sprowadziłeś je sam, dobrowolnie na siebie. Był czas cofnąć się.

Jan spuścił głowę smutnie. — Już po czasie! rzekł, po czasie!

— Tak, teraz po czasie, ale jeszcze jest ratunek. Nie powracaj jutro, weź się do pracy, przedsięweźmij co wielkiego, zakochaj się zresztą gdzieindziej, na uleczenie tej choroby zrób sobie drugą. Będzie to rodzaj wezykatoryi. — Mówisz na zimno, sądzisz bez serca, bo niepodobna!

— A! biedny Janie, biedny Janie! otóż może i po twojej całej przyszłości! Trzebaż ci było samemu się wplątać?

Nazajutrz miał już wreszcie być skończony portret Kasztellanowej: Jan z gorączkowym niepokojem wybrał się do niej. Zastał ją oczekującą już na niego, z książką francuską w ręku; chmurną, smutną, roztargnioną, Kasztellana nie było..

— Kończmy, rzekła. Jan stanął do roboty żywo, w milczeniu malował, ona czytała, ale po chwilce odrzuciła książkę z niechęcią i znowu wzrok swój złojecki zwróciła namiętnie na niego.

— Prędko Pan skończysz? pytała.

— Dzisiaj! Z tą myślą trudno mi się oswoić, tak przywykłem co dzień tu być, nie wiem co zrobić z sobą.

— Będiesz Pan malował Kasztellana dla mnie! dodała szydersko. — O! to wcale co innego!

— Znajdujesz mnie Pan tak dobrą do malowania? Mogłabym służyć za wzór? Jak to pochlebnie! Ale ja tak zbrzydłam, schudłam, zczerniałam pod waszem niebem szkaradnem.

— A! Pani aż nadto jesteś piękna! — Kobieta nie może być nadto piękna, odezwała się z uśmiechem i swoim zwykłym spojrzeniem, c'est son métier á elle.

— Może być nadto piękną, bo często jej piękność i zwycięstwa są nieszczęściem drugich.

— O! takie nieszczęścia! (rozśmiała się) to dzieciństwo!

— Dzieciństwo, które może kosztować życie?

— Cóż życie? spytała.

— Zapewne, rzekł malarz, a jeszcze życie jednego robaka! Gdy to mówił, wzrok jego wypowiadał wyraźnie: Ja cię kocham! tego jednak w żaden sposób zrozumieć nie chciała Kasztellanowa.

— Mówiłeś mi Pan wczoraj, że kochasz? Przyznajże mi się kogo? Ciekawam widzieć Fornarinę mojego Rafaela.

— Moja Fornarina! nie nazywaj jej tak Pani, to bóstwo! Ale tak wysoko i tak daleko odemnie!

— Juściż nie ja? nagle marszcząc się i powstając dumnie, a wżgardliwie i z góry mierząc go oczyma, zawołała Kasztellanowa. Jan oniemiał, skośniał, pęzel wypadł mu z rąk, nie śmiał ust otworzyć, ni powiedzieć słowa, ni poruszyć się nawet.

— Od Pana do mnie, rzekła, zbyt daleko! Co to jest? pęzel upadł? Pan się mienisz? Miałabym zgadnąć? Dziwnie się zapomniałeś! dodała ruszając ramiony. Kończ z łaski swojej bezemnie; słyszę mojego męża, mara z nim do pomówienia w salonie. To powiedziawszy zamknęła (pierwszy raz) drzwi za sobą i śmiejąc się wyszła do salonu.

Janowi zdawało się, że się świat przewrócił do góry, że księżyc spadł na ziemię, noc wpośród dnia się zrobiła i skończenie świata było blizkie; w oczach mu pociemniało, uszy napelniły się wrzawą szyderskich głosów.

— Nie ja, nie ja! A? a? Stał z pędzlem i drżał.

A z salonu wyraźnie, dobitnie, dochodziła go dość głośna rozmowa małżonków, w której panował zimny, szyderski głos pani Kasztellanowej.

— Wystaw sobie Fryderyku, mówiła, ten twój malarz, rzucał mi przez kilka dni tak osobliwsze spojrzenia, tak czułe błyski swoich czarnych oczów, tak dziwne mi rzeczy prawił.

— A! pokochał się w tobie. Il n'est pas dégouté, śmiejąc się rzekł Kasztellan. Biedny chłopiec. — Kilka dni już dawał mi do zrozumienia swoje zapęły, ale dziś musiałam go skarcić wzrokiem. Co za zuchwalstwo niepojęte!

— O! patrzyłaś bo na niego.

— Alboż mi patrzeć jak chcę nie wolno? Próbowałam siły moich oczów, bo jużem zwątpiła o nich.

— I rozpałałaś na węgiel biedaka.

— Co mi tam!

— Szkoda, ładny chłopiec! zimno rzekł Kasztellan.

— Ładny! hm! juściz...

Reszty już Jan nic słyszał, puścił się ku oknu, które z gniewem nieprzytomny otworzył, rozerwał. Było to na pierwszym piętrze, a okno wychodziło w ogród, ale nad tem, że dwadzieścia łokci dzieliły go od ziemi, Jan nie zastanawiał się wcale. Cały w płomieniach gniewu, oszalony, upokorzony, skoczył z wysokości, upadł, uczył ból wielki w nodze i zwyciężając go powlókł się do furtki, którą wyłamał raczej mi otworzył. Nieprzytomny przeleciał ulicę i wbiegłszy do mieszkania swego rzucił się na łóżko.

W pół godziny potem Mamonicz i lekarz starali się przerwać silną gorączkę, w której leżał. Noga była zwichniona.

W salonie tymczasem ciągnęła się dalej rozmowa, aż Kasztellan, który nadto oswojony był z obyczajami swego czasu, aby się miał gniewać, śmiejąc się otworzył drzwi zamknięte, chcąc pożartować sobie z artysty.

Spojrzał wewnątrz, dokoła i zobaczył tylko okno otwarte!

— Gdzie on jest? spytał żony. — Jakto? alboż go nie ma? — Chybaby się schował? Kasztellanowa stanęła w progu. — Nie ma go i okno otwarte!

— A! słyszał pewnie naszą rozmowę, skoczył i może się zabił — biedny! Kasztellan skoczył do okna, ale z niego nic nie zobaczył. — Nic mu się nie stało, uciekł. Mais c'est un saut perilleux.

— Uciekł! uciekł! podchwyciła rumieniąc się kobieta. Słyszał! ale to być nie może! mówiłam cicho? nieprawdaz? I powróciła na kanapę z udaną obojętnością: — Trzeba mu jego rzeczy odesłać, portret zapłacić, dorzuciła zimno.

Mąż dość pogardliwie spojrzał na żonę i usunął się milczący. Ta chłodna krew Francuzki oburzyła

go raz pierwszy: nienawidził jej, nie miała serca.

Gdy się to dzieje w pałacu Ogińskich, Jan leży między życiem a śmiercią. Doktor Fesz, z litości, a raczej przez chciwość (bo przewiduje, że niemający mu czem opłacić artysta będzie musiał oddać swój piękny obraz Adonisa i Wenery) przychodzi, odwiedza go i kurnje. Mamonicz pocziwy nie odstępował od łóżka: w nocy modeluje makietki, pracuje za dwóch, bo Jan pozostał bez sposobu odzyskania zdrowia, nie mając za co się leczyć; gdyby nie Tytus musiano go odwieźć do szpitala. Ale Mamonicz rozumie obowiązki przyjaciela, posprzedawał wszystko co miał, mieszkanie porzucił, przeniósł się do Jana i ocalając jego obrazy, pracą go własną żywił i nią opłacał doktora.

Nazajutrz przyszły zaraz pieniądze od Kasztellana za portret, w rulon zawinięte; wyjeżdżał bowiem do Warszawy zostawiając żonę w Wilnie; ale nie wiedząc czy Jan użyć ich zechce, czy odesłać nazad, nie mogąc się go o to zapytać, Mamonicz tknąć ich nie śmiał. Jan ciągle leżał w gorączce. Doktor Fesz kiwał głową i przepowiadał długą słabość. Chwilami okropny szal i gwałtowne miotanie się na wszystkich opanowywały chorego; chciał bić, dusić, męczyć, zarzynać i mścić się. Mamonicz porwanym zniemacka nożem, o mało bardzo niebezpiecznie skaleczony nie został. Po takich szalach i przystępach obłąkania, rozpląwał się chory we łzach, gadał z matką, uniewinniał się przed Rosą, modlił za duszę Artura, pieścił z gołębiem i śpiewał piosnkę dziecinną. — Z piosnki dziecinnej kończył na de profundis.

Słabość przybierała tak dziwne cechy, a tak była uparta, że Tytus począł się lękać obłąkania na zawsze.

Wszakże dzień i noc od łóżka nie odstępował, sprowadzając najlepszych lekarzy, wysechłszy i wybladłszy od tych strapień, współczucia, bezsenności, pracy; powitał jednego ranka świtającą przytomność! Co to była za radość!

Jan budził się po długim śnie i wyrzekł naprzód:

— Zabiłem ją?

— Ty? kogo?

— Ją!

— Me.

— Cóż się stało? — Nic się nie stało; leżysz i chorujesz, a ja cię pilnuję, masz się lepiej!

— A ona?

— Kto taki?

— Elwira.

— Nie wiem prawdziwie! zapewne musi próbować oczów na kim innym.

Zawstydzony Jan umilkł.

Tytus miał jeszcze dość siły, żeby go rozweselać i rozrywać; a gdy widział znaczne polepszenie, przyniósł mu pieniądze Kasztellana i list jego.

— Nietknięte? spytał Jan, ale ja tak długo chorowałem? Nie było pieniędzy.

Tytus nic nie odpowiedział.

— Przeczytaj mi ten list.

Kasztellan w kilku grzecznych słowach zęgnął zimno Jana, przeproszał go za długi czas stracony i oznajmował mu o wyjeździe swym do Warszawy na sejm. Sto dukatów było w papierze. — Myślałem, rzekł Tytus, że przez dziwactwo zechcesz je odesłać nazad, dla tego nie śmiałem ich ruszać, wołałem sam się wyprzedać.

Uściskali się w milczeniu.

— Prawda, rzekł Jan, odesłać muszę, napisz słów kilka i zwróć te pieniądze. Napisz, że przyjąć ich nie mogę, adressuj do Kasztellana. Takie męki jakie wycierpiałem, nie płacą się złotem! rzekł z westchnieniem upadając na łóżko.

— Ale powinny być całego życia nauką dodał Mamonicz. Jesteś przytomny, możemy mówić otwarcie. Teraz ja potrzebuję gwałtownie spoczynku, czuję się trochę znużony, nic mamy grosza, potrzeba coś sprzedać. Mnie już nic nie zostało, kolej na ciebie. Żarski chce kupić jeden obraz; bierz co daje bośmy gwałtownie potrzebni, mamy długi, wczoraj sprzedałem ostatni Płaszcz i zegarek. — Sprzedaj co chcesz, jak chcesz, ja do niczego nie przywiązuję wartości, a pieniądze odeślij.

Tytus poszedł sam i w ręce Marszałka dworu złożył list z pieniędzmi, prosząc o rewers, który mu dano.

Jedna przyjaźń ubogiego może tyle wycierpieć, tyle ofiar zrobić, i tak się niemi nie wynosić, jak milczący uczynił Tytus dla Jana.

Przychodzącego do zdrowia pocieszał, rozweselał, starał się zwrócić znowu ku sztuce, roił wędrówki artystyczne do Włoch, na brzegi Renu, obiecywał towarzyszyć, a unikał wspomnienia kobiety, która tak srodze zraniła serce łatwowiernego Jana.

Chory przechadzał się już po pokoju ogołoconym prawie ze sprzętu i części obrazów, ale wybladły i wyniszczony, gdy Kasztellan powracający rychło z sejmu znalazł w domu list z pieniędzmi. Dumny, oziębły, zdumoziemczały, nie miał jednak w głębi złego

1 serca, a wady swoje po większej części winien był wychowaniu; dowiedziawszy się o niebezpiecznej chorobie artysty, pospieszył ku niemu wzruszony do żywego. Wchodząc na wschody, postrzegłszy ubóstwo wszędzie wymownie napiętnowane, zabolał nad stanem biednego a szlachetnego człowieka, który niedoświadczeniu swemu winien był cierpienie, zrządzone przez kobietę próżną i bez serca. Z grzecznością, na którą się zdobywał tylko gdy był żywo poruszony,

powitał artystę i spytał go dla czego odesłał pieniądze?

— Nie mogłem ich przyjąć, rzekł Jan, mam jeszcze obowiązki wdzięczności dla niego.

— Ale zmiłuj się, dość tego, odparł kładąc na stole podwójną ilość Kasztellan, nie przesadzaj swoich obowiązków, proszę cię abyś to przyjął jako dowód mojej wdzięczności za portret prześliczny kobiety, z którą się rozstając, miło mi po niej choć tę zachować pamiątkę. Portret ten arcydzieło!

Jan się zarumienił, oparł o stół bo czuł drżące pod sobą nogi.

— Tak rozstajemy się, dodał Kasztellan z uśmiechem, nasze humory i charaktery nie dość się godzą, nie mamy dzieci, rozwód łatwy. Mieszkamy już nawet osobno, a process się toczy. Jeślibyś Pan kiedy potrzebował jakiej pomocy, rady, udaj się proszę do mnie.

I szybko skłoniwszy się odszedł, a w chwilę potem kareta potoczyła się po bruku.

Tegoż samego wieczora Jan wyszedł na pierwszą przechadzkę, którą Mamonicz mu doradził, na którą namówił, odzyskawszy ze zdrowiem Jana zwykłą swoją wesołość.

— Nic głupszego, rzekł, jak siedzieć w zamkniętej izbie, to druga choroba, powietrze zsiadłe daje ci gorączkę, patrzysz na ściany czarne, jedne zawsze; w głowie ci się zasklepia; zdaje ci się, żeś uwięziony. Chodźmy. Wieczór był znowu piękny, ale Jan tak zmieniony dziwnie, zestarzały, osłabły; musieli wkrótce usiąść na kłodzie wywróconej pod pałacem Służków, przypatrując się rzece płynącej, okolicy i zachodowi słońca.

Wtem ktoś przechodzący pozdrowił Mamonicza:

— Witaj Praxytelu!

— A to wy doktorze!

I ujrzeli za sobą dorodnego wzrostu mężczyznę, za którym szła zakwefiona kobieta. Doktor był już szpakowaty, wysoki dość, silnej budowy, ramion szerokich, żółtej cery a oczy piwne błyszczące ogniem niezwykłym biegały pod arkadą brwi gęstych i nawisłych. Uśmiech skrzywiony, konwulsyjny, nałogowy, wyłamywał mu usta. Ubrany całkiem czarno, ale krojem niewidzianym, bez pasa, z szerokimi rękawy, miał na głowie pielgrzymi o ogromnych skrzydłach kapelusz podobny żydowski, obwiązany taśmą czarną i kij wysoki w rękę. Ruchy jego były spazmatyczne, nierówne, rzucane. Zastanowił się naprzeciw nich i spytał:

— Co tu robicie?

— Siedzimy i spoczywamy. Wyprowadziłem na przechadzkę chorego przyjaciela, który zapotrzebował spoczynku.

— Chorego! tak chorego! rzekł doktor puszczając rękę kobiety i zbliżając się ku nim. A co mu jest?

I począł patrzeć w oczy Janowi.

Wtem kobieta odrzuciła kwef z twarzy i oczy jej spotkały się z oczyma Jana.

Ten porwał się z miejsca zdziwiony. Sen czy marzenie, to była Jagusia, nie mylił się, to ona!

Doktor postrzegł to poruszenie tak nagłe, poznanie wzajemne i z flegmą spytał:

— Cóż to? dopieroście się poznali? ha! dopiero teraz?

— Nie rozumiem tego! rzekł Tytus. — Dopiero, wybąknął Jan niewyraźnie i niezrozumiale. Nie wiesz Tytusie, że dawno temu, ucząc się jeszcze u Batraniego tu w Wilnie, miałem przyjemność często widywać pannę Agnieszkę, byliśmy sąsiadami.

— A tak! tak! rzucając oczyma dziwnie zawołał doktor, dawno! dawno, jeszcze naówczas była u babki!

— I byliśmy jeszcze razem, obie z siostrą, dodała kobieta zbliżając się, teraz jam sama! Wskazała na oddalony cmentarz. Babka tam! siostra tam!

— Tam, smutnie powtórzył doktor, żyją!

— Ale Pan byłeś, jesteś chory? czule zapytała Jagusia.

Jan się zmieszał na wspomnienie choroby.

— Byłem chory, upadłem, miałem przytem gorączkę długą, ciężką.

— Z przestachu, rzekł Tytus.

— Z zawodu! szepnął doktor. Jan spojrzał mu w oczy z podziwieniem, od początku bowiem rozmowy, nieznamy zdawał się doskonale o wszystkim co się go tyczyło, uwiadomiony; lecz ostatni wyraz tak trafny! dosypał miarki. Na wejrzenie Jana, doktor kiwnął tylko głową znacząco:

— Tak, rzekł, puściłeś się Pan wysoko, a upadłeś nisko.

— Nie żartuj doktorze z choroby! tyś sam przecie nie bardzo zdrów.

— Cha! cha! wy to chorobą nazywacie! Do zobaczenia! Chcecie być u mnie wieczorem? możemy się rozerwać, chorym to nie wadzi. — Czekam obu.

Jagusia także słodkim niebieskim okiem wezwała Jana, któremu żywo przypomniła się młodość i uderzyło do szczęśliwych czasów serce. — A! to nie dumna Kasztellanowa! rzekł w duchu. Ale już doktor z Jagusią, machając laską zniknął jak widmo w oddaleniu. — Kto to jest? spytał Jan, z jego żona?

— Nie, córka, rzekł Tytus. Wszakże ją znasz? musisz wiedzieć kto on?

— Pierwszy raz go widzę i nigdy o nim nie słyszałem.

— Idźmy powoli, opowiem ci po drodze.

Ale zacznę od najważniejszego: Doktor nasz nie jest z profesyi doktorem, nikt nie wie kim i czym jest, wszyscy go sądzą waryatem.

— Jak to? tak przytomny miałby...

— Waryat, tak jest lub tak się zdaje. Całe miasto z mowy, z życia, z dziwnego stroją, uznało go nieodwołalnie szalonym.

— Cóż tak szalonego zrobił?

— Posłuchaj. Stara babka, którą widywałem z okna, o której mi wspominałem nawet, tutejsza dawniej kupcowa, miała córkę, naówczas jeszcze śliczną, młodziuchną Julię. Był to kwiat jej wdowiego życia, było ukochane i wypieszczone dziecko; dziewczynka nie uboga, ale i nie bogata, jedy-

naczka. Wiesz co są ukochane jedynaki; są to szczęśliwe stworzenia, których młodość często płaci za całe życie; bo nikt potem nie może mieć dla nich serca matki; wszędzie i zawsze źle im być musi po dzieciństwie rajskim. W czasie gdy cała młodzież Wileńska szalała za piękną Julią, którą nazywano królową, tak była cudownie i wspaniale piękną; zjawił się w Wilnie człowiek dziwny, o którego pochodzeniu, rodzic, narodowości nawet i stanic majątkowym, najosobliwsze chodziły wieści, co zawsze znaczy, że ludzie nic nie wiedzą. Jak się tylko pokazał, zwrócił oczy wszystkich. To co zwykle ludzie chowają w sobie, obawiając się pomówienia o dziwactwo, on objawia! bez najmniejszej obłudy i zastanowienia jak sobie to ludzie tłumaczyć będą. Mówił prawdę często ostrą a czasem tak osobliwszą, że go brano za szalonego. Nazywano go doktor Fantazus, ale wszyscy szeptali, że to była nazwa zmyślona, przybrana na zamydlenie oczów. Choć zwał się doktorem nie leczył, a zwłaszcza lekarstwami zwykłymi; mówił, że w człowieku nigdy ciało nie choruje z własnej przyczyny, ale od duszy, przepisywał leki osobliwsze, po większej części moralne, czasem zmianę powietrza, wodę jaką, mieszkanie inne, towarzystwo pewne, czytanie, nabożeństwo lub t. p.

Języki jakie tu znamy umiał wszystkie doskonale; fizyognomia zdawała się zdradzać obcego, przybysza. Żył skromnie, lecz w potrzebie pieniędzy mu nigdy nie brakło: sypał ubogim, dawał nawet natrętom. Przyjmowany w najlepszych domach, wolał bratać się z ubogimi niż wycierać progi pańskie. Ze wszystkich jego dziwactw najosobliwszem było, opowiadanie i rozmowa pochwytyjąca tak, że często ludzie co go nawet nie spoina rozumieli, zachwyceni mimowolnie, zaciekawieni, pociągnięni jakimś urokiem jego myśli, zasłuchiwali się długie godziny, tracąc rachubę czasu i pamięć na siebie. Rzekłbyś, że słowo jego pętało i wiązało do ust. Najczęściej mawiał o mało nam znanych krajach: o Indyi, Chinach, Afryce, zawsze jak gdyby tam był. Zaczepić go tylko o najmniej znajomej stronie świata, każdy ci kątek opisywał najdokładniej.

Toż samo z historią-, — każdy wypadek z przeszłości opowiadał jak gdyby był jego świadkiem, ze szczegółami niepojętej dokładności. Gdy go pytano, z kądby je miał? odpowiadał z uśmiechem:

— Byłem tam.

Zupełnie jak w bajce, odwracał się i odchodził zamyślony. Młody naówczas i przystojny, a więcej jeszcze zajmującej niż miłej twarzy, obaczy! Julię i z wielką rozpaczą matki, począł często u niej bywać, widocznie kochać się i starać. Matka przelękniona modliła się ze strachu: Julia od pierwszego widzenia jakby mu się czuła przeznaczoną, przyłgnęła do niego. Przerazenie biednej matki i krewnych opisać się nie da. Matka starała się odepchnąć awanturnika, który jakby tego nie widział, wchodził zawsze gdy mu drzwi chciano zamknąć przed nosem i zasiadał przy Julii uparcie. Pół słowa ostre, wymówki, nawet widoczny gniew matki, nic nie pomagały. Grzecznie odpowiadał na nie, a swoje robił. Usilnie starano się dowiedzieć o nim czegoś? ale prócz tego, że do Wilna przybył wprost z Astrachanu, nic dośledzić nic było można.

Nareszcie jednego wieczora oświadczył się matce uroczyście, drżała jak listek.

— Mam już słowo Julii, rzekł, Julia mnie kocha, nie pójdzie za kogo innego.

— Ale któż Pan jesteś? na Boga! spytała matka.

— Jestem, doktor Fantazus, odpowiedział. Daję Julii los niezależny, jestem bogaty. Reszta wiadomości o mnie należy tylko do mnie, to tajemnica, której teraz wyjawić nie mogę. O szczęście Julii starać się będę chwili fatalnej zjawił się doktor Fantazus, Deus ex machina, staraniem prawdziwie synowskim dla starej, macierzyńskim dla córki, osładzając chorobę ich, ale nie mogąc mimo najnsilniej szych zabiegów, zapobiedz śmierci. Obie umarły, a on pozostał z Jagusią tutaj i mieszka odtąd w Wilnie. Ludzie co go znali wprzód i teraz, utrzymują: że widoczniej niż kiedy zdaje się waryatem.

Opowiadania jego i prawdy, które ogłasza, są tak dziwne, że nie mogłyby wyjść z ust przytomnego człowieka. Gdyby tak w istocie myślał, obawiałby się powiedzieć. Doktor Fantazus ma teraz manię utrzymywania, iż żył od początku świata ciągle; że był na całej kuli ziemskiej, a wprzód na planetach, które dawniej od ziemi chodzą koło słońca. Powiada, że nie zadługo znijdzie z ziemi i pocznie żyć na kulach bliższych słońca aż do Merkurego; ostatecznie zaś ma wniść w samo słońce i tam spoczywać przez resztę wieczności. Tym podobne prawi brednie. Niektórzy się z niego w oczy śmieją, inni obawiając się drwią gdy go nie ma, słuchając z gębą otwartą. Poważny, seryo, w potocznych sprawach ma przytomność wielką, przebiegłość i znajomość ludzi niezrównaną. Spojrzy i wie już całego człowieka. Niekiedy zda się to cudownem, tak czyta w sercu, tak myśli, sprężyny czynności i całą przeszłość twoję zgaduje. Pytany jak się to dzieje, odpowiada po swojemu:

— Byłem w nim, lub byłem nim (nie wiem jak).

Jedni drwią z tego i szydzą, choć często ich niedowiarstwo wstydem okrywa, drudzy uważają za rodzaj natchnionego proroka i wierzą w niego nie pojmując. To pewna, ie czy przeszłość czy przyszłość ci objawia, o ile wiem, nigdy się nie omylił. Ma widać więcej jednym od nas zmysłem, organizacją szczególną, niepojętą, która mu dozwala wcielić się w każdego, we wszystko, zresztą nie wiem.

— Malujesz mi go dziwnymi straszny, zawołał Jan. Jagusia jego córką! Jagusia!!

— To ci, zdaje mi się, bynajmniej nie przeszkadza kochać Jagusię. Ona jak widzisz czuie pamiętała o tobie. Kto wie, z nią może byłbyś szczęśliwy? Zapomnij tej nieszczęsnej zalotnicy, zapomnij, Jagusia, to lata szczęśliwe młodości...

Właśnie tych słów domawiał Tytus, gdy powóz ciemny ich mijał. Z niego twarz Kasztellanowej wyjrzała i wzrok znany, przeszył na wskroś Jana. Zachwiał się i uderzony zasłonił oczy.

— Co ci jest? spytał Mamonicz.

— To ona!

Ale konie już ją były uniosły.

— Chodźmy do doktora, rzeki Tytus, ta kobieta, to zbrojca. — Chodźmy, powtórzył Jan, i owszem! potrzebuję rozrywki, dodał z uśmiechem, zmuszonym, prowadź mnie gdzie zechcesz, prowadź! Żywo poszli ulicą na Zarzecz, w stronę gdzie przez dziwactwo może, unikając miasta i wrzawy, wielki dom murowany obrał sobie doktor Fantazus za mieszkanie.

Dom ten ogrodem przytykał do rzeki, a wierzby płaczące pochylonemi gałęzmi kąpały się w jej wodach. Gęste drzew sploty zewsząd opasywały i zakrywały budowę, która zapewne skutkiem wytrzebienia późniejszego otaczających zarośli tak się zmieniła, że teraz nicby podobnego do niej w Wilnie nie znalazł. Małe piąterko na wzniesionym suterenie, podnosiło się z kilką oknami, pokryte dość płaskim dachem, podwórze czyste i piaskiem wysypane zdobiła brama dziwaczного smaku, której chińskie ozdoby jaskrawe, wisiadełka, dzwonki i łby smocze zastanawiały niejednego przechodnia. Bramę tę zbudował na miejscu starej zwyczajnej sam doktor. W ganku domu leżał sfinx kamienny stary z czarnego bazaltu, który w tej chwili przypominał boleśnie Janowi pamiętne proroctwo wyrazy Batraniego, o symbolu kobiety.

W pustych sieniach zawieszona była lampa grecka na łańcuszkach brązowych, wyobrażająca orła unoszącego Ganimedesa.

Wschody ubrane w niewidziane kwiaty wiodły na górę.

— Tam przyjmuje doktor, na dole mieszka on i córka, od ogrodu, chodźmy na górę, rzekł Mamonicz.

Wonną tą drogą puścili się na górę, po kolorowych matach, jakiegoś cudzoziemskiego pozoru, plecionych z nieznaney rośliny w żółte i czerwone pasy.

W przedpokoju otworzył im drzwi negr ubrany w turban biały, pasowe szerokie spodnie, kaftan pasowy ze złotem, i pas czarny bogaty, za którym błyszcziała ręko- jeść sztyletu. Biały dzieciak, którego brązowa twarz i czarne oczy zdradzały wschodnie pochodzenie, wyjrzał z za parawanu (z laki chińskiej) i schował się. We drzwiach napotkał ich doktor, ubrany teraz po wschodniemu, z głową okrytą tylko bogatą czapeczką zamiast zawoju.

Salonik do którego weszli przedstawiał najosobliwszy widok, najdziwaczniejsze Kafarnaum, wśród którego nagromadzonych dziwadeł i osobliwości wszelkiego rodzaju, sprzętów ze wszystkich

świata krańców zniesionych — siedziało dziewczę w białej sukience, Jagusia, wydająca się kwiatkiem łąki rodzinnej, włożonym w wytworne naczynie. Uśmiech dziewczęcia błogą przeszłość przypomniawszy Janowi; ale z proga prawie pochwycił go doktor silnie za rękę, zaczął ścisnąć i rzekł:

— Witaj mi, witaj mój drogi mistrzu. Moja Jagna całą drogę o tobie tylko prawiała, choć nie potrzebowałem tego aby znać

cię doskonale! O! znamy się! znamy! pogroził na nosie. — Ale po co było u licha wpaść na siła Kasztellanowej?

Jan pobladł, ale się przymusił do uśmiechu.

— To choróbsko ci odejdzie. Siadajcież starzy znajomi (wskazał Jagusię) i gadajcie swobodnie. Ja choć wszystkiego mimowoli słucham, ale gdy potrzeba, nic nie słyszę.

To mówiąc odwrócił się do Mamonicza, i pocałował go w czoło.

— A co mój Benvenuto! (na ten raz tylko tak cię nazywam, boś mi w porę przyszedł), inną razą będziesz mi znowu Praxytelem, jak się tam miewa twój Herkules?

Gdy tak idzie rozmowa między doktorem, którego oczy zdają się być wszędzie razem, tak szybko przebiegają z miejsca na miejsce, a Mamoniczem, Jan uśmiechając się do Jagusi, mierzy ciekawym wzrokiem salon doktora. Pokój to nie wielki z oknami na ogród, ubrany był jakby na umyślnie dla wywołania podziwie/i i wzbudzenia ciekawości. Meble pokrywały materye nie krajowe, nie pospolite u nas, w olbrzymie ptaki, kwiaty i pagody przetykane na tle złocistem. Na stole zwieszona była stara makata z drzewem genealogicznym, jakiegoś starego Barońskiego domu Germanii i herbami zawieszonymi. Na ścianach obrazki Chińskie, sztychy wyborne Angielskie, prześliczne Holenderskie obrazy olejne niewielkich rozmiarów; ubiory i orężę Indyan i mieszkańców wysp morza południowego, broń Tatarska, narzędzia muzyczne różnych ludów tworzyły zręcznie wiązane trofea. Suknie futrzane Samojedów i Ostyaków, koszule z rybich plewek i koszule druciane, kaftany wschodnie i suknie Mandarynów powiązane razem dziwić się swojemu sąsiedztwu zdawały. Na wysokiej kolumnie w ślicznym starym hełmie żelaznym, posypanym złotymi gwiazdkami, o skrzydłach motyli, stała ubrana głowa Indyanina cała w rysunkach dziwacznych, zasuszona ze skórą sposobem nam nieznanym. Mumia z bandeletami swemi, podparta naczyniami z ibisem i psem nabalsamowanym, odpowiadała jej w drugim kącie. Śliczny stary bronz Grecki, Minerwa, w pośrodku na konsoli stała sama jedna. U nóg jej kilka książeczek Chińskich i owe papierowe zwitki, które Chińczycy palą na ofiarę przed swojemi bóstwy. Ale któż opisze tę rozmaitość dziwną, tę zbieraninę pamiątek błahych i pięknych i poczwarnych?

Na kominie królował bożek Indyjski z nagim brzuchem i głupio rozwartą gębą; siedział na skulonych nogach istny Brahmańskiej nauki symbol, nauki co zgłupienie spokojne, podaje za zjednoczenie z Wielkim Duchem. Obok tej poczwarki tańcowały pasterki z Sewrskiej porcellany i starego saskiego biszkoktu, błyszczące skorupy ogro- innych ślimaków, skamieniałości osobliwszych kształtów, konchy nizane na sznury służące gdzieś negrom zamiast pieniędzy, obłamy stalaktyków i szyszki z cedrów Libanu.

Ani zliczyć, ni przepatrzyć!

Zwierciadło nad' kominem było wklęsłe i cały pokój zmniejszony w nim się przedstawiał, a co więcej piękny razem widok z okien. Pióra ptaków Afrykańskich i Ameryki lasów, poukładane w ogromne wachlarze, pozszywane w piękne pstre płaszcze zdobiły ścianę nad kanapą. Tuż przy niej na drążku biała jak śnieg papuga z czerwonym zakrzywionym nosem, ostrzyła dziób o szpony błyszczące, potrzepując niekiedy skrzydłami.

— To Muzeum nie pokój, rzekł Jan siadając przy Jagusi.

— A! i mnie to z początku dziwne się i śmieszne wydawało, ale teraz oswoiłam się ze wszystkim. Ojciec mój lubi te swo- je zbiory, są to wspomnienia jego podróży po świecie, a skóra lwa naprzykład co leży pod stołem, ten tygrys rozpięty na ścianie, na którym indyjskie noże błyszczą, są to trofea zwycięstw jego nad dzikimi zwierzęty. Gdzież on nic był! i czego nie widział!

— Jakże to wszystko mógł zgromadzić?

— Powoli! z różnych świata stron, pozostawiane u przyjaciół ściągnął tu swoje pamiątki, osiadłszy w Litwie przy mnie i dla mnie. Tylem mu winna! bo to ofiara wielka! On się tak biedny nudzi spokojem i jednostajnością! Codziennie wzdycha wieczorem i szepcze powtarzając, że i biegun północny go wabi. Widzi na nim jakieś ziemie zamieszkałe, gdzie próżne jeszcze miejsca są na wszystkich kartach. Chciałby tam popłynąć, mimo brył lodów co drogę mu tamują. Ale z kąd pieniędzy na tę wyprawę? Kto z nim pojedzie? Kto uwierzyć zechce w tego Kolumba? To mówiąc Jagusia spoj- rzała na Jana i spytała go ciszej, poglądając na ojca ukradkiem:

— A z tobą Panie co się działo przez te lata? gdzie byłeś?

— W Warszawie, potem w Rzymie, potem, pochowałem biedną matkę, której przybyłem zawrzeć oczy! teraz —

— O! teraz, słyszałam! Chorujesz Pan na oczy Kasztellanowej jak ojciec powiada, dodała % uśmiechem. Mój ojciec tak cudownie wie wszystko. Ale on powiada, że to przejdzie.

— Zkądże wie? spytał Jan pomieszany.

— Zkąd? nie umiem rozwiązać zagadki! Ale wie wszystko! wie wszystko! dziwny człowiek, gdybym go nie kochała, przejmowałby mnie strachem. Spytaj go o kogo chcesz, o co chcesz; odwróci się, pomyśli długo, popatrzy w oddalenie, zagłębi się w sobie i powie ci, co wiedzieć chciałeś. Gdybym nie wiedziała, że pobożny, myśla- łabym, że to czary. A ludzie co go nie pojmują, zowią szalonym, dodała smutnie.

W tej chwili chociaż doktor Fantazus zdawał się ich nie słuchać, zwrócił się nagle i kładnąc rękę na kolanach Jana, rzekł:

— Tak, zowią mnie szalonym! Dlaczego? Dla tego, że im opowiadam ze szczegółami o śmierci Sokratesa i tłumaczę tajemnice Eleuzyńskie, że opisuję im mur Chiński Szi-Hoang-Ti, który istotnie jest wielkiem dziełem a może większem od zeszlonych ogniem nieba ruin Babciau; że im opowiadam

o puszczech i trzęsawiskach Ameryki zaludnionych potworami, że rysuję pagody indyjskie, że... że... ot dla czego mówią żem szalony.

Jan nic nie odpowiedział, spojrzał mu w oczy, ale błyszczący wzrok doktora, który nie spoczął nigdy, nie dał się pochwycić i przebiegł jakby uciekając dokoła pokoju z żywością niepojętą. — Mówią żem szalony, dodał zapalając się trochę, dla tego, że im dowodzę, iż byłem świadkiem zdobycia Meksyku, odkrycia Ameryki i podbicia Chin przez Mongołów, a co więcej współczesnym Aspazyi, Alcybiadesa, Solona, wojownikiem Termopilów, a Leonidasa znałem doskonale i byłem z nim w największej przyjaźni. Co za szkoda, że my go tu nie mamy!

— Doktorze, to trochę trudne do uwierzenia, rzekł Jan.

— Dla was! zapewne. Ale bo wy fałszywe macie pojęcie o przeszłości. Myślicie, że co było, było i przeszło, a ja powiadani wam, że co raz było, to jest i trwa. Można tam pójść i ujrzeć i żyć przeszłością, można zawędrować do starych wieków jak się wędruje do Chin, do Ameryki, do Bombaj i Kalkutty. Powiadam ci można zajść w przeszłość. —

— Ale droga?

— A! tu sęk! Drogę ja tylko wiem! Nie długa, ale djable trudna.

Wstał i przeszedł się po pokoju,

Mamonicz nie bardzo rozmowie się przysłuchujący, bo ta nie była dla niego nowością, przepatrywał Album leżące na stole i zwabił Jana do siebie. Ten z niechęcią wstał od Jagusi i zbliżył się do niego. Ogromna księga wytarta, oprawna w twarde, czarny jaszczur i zamknięta na kłamry Midocznie Azyatyckiej roboty, zawierała twarze, ubiory, sceny, widoki z różnych krajów. Na każdej karcie była data. Z podziwieniem zobaczył tu Jan głowę Sokratesa bardzo podobną do popiersia Kościuszki, z podpisem z natury; głowę Dżengiskhana z natury i Poncynsza Piłata.

Tego ostatniego zobaczywszy, doktor zawołał nagle: — A! Piłat! biedny Piłat, słabość charakteru go zgubiła! Nie był to zupełnie zły człowiek, ale dziwnie powodować się dający: żona go nawet za nos wo- dziła; przytem dbał zbytecznie o popularność, o opinią ludu! Wierzył w nią! Otoż biedaczysko odpokutował za swoją słabość! Piłat jest uosobieniem, symbolem tych ludzi, co nic sami przez się nie czynią, w gruncie dobrzy może, a przez słabość stający się narzędziem złych.

Data podpisana pod Piłatem była historyczną, o rok poprzedzającą męczeństwo wielkie, dopis z natury, czynił ten rysunek niepojętym. Jan i Tytus spojrzeli po sobie.

— A! a! i wy mnie widzę macie za szalonego ! zawołał doktor Fantazus, cha! cha!

— Juściż nie zaprzeczysz, przerwał Mamonicz, że trochę dziwne prawisz nam rzeczy.

— Może i dziwne dla was coście przywykli całe życie patrzeć tylko pod nogi. Wszystko czego nie wiemy wydaje się nam dziwne raz pierwszy. Gdybyś w życiu swem nie słyszał nigdy i niewidział robaka, muchy; a zobaczył je nagle; nieprawdaż, że mógł- byś w pierwszej chwili zdumienia wziąć

je za Awatar Wielkiego Ducha?

Wtem ujrzał Jagusię i wykrzyknął opamiętywając się:

— Jagusia tu! a my gadamy Bóg wie o czym. Ot! dalibyśmy pokój a rozweselili lepiej chorego na oczy Kasztellanowej. Biedny Jan! Co za bolesna oftalmia!

— Proszę Pana, jeśli istotnie litujesz się nademną, nic przypominajże mi tych oczu.

— I owszem gwałtem wykurować cię potrzeba. Ja znam dawno Kasztellanowę, dodał doktor Fantazus. Widywałem ją na dworze Kleopatry

Przyjaciele ukradkiem spojrzeli po sobie.

— I przyznam, mówił dalej Fantazus, że od tego czasu, nic się prawie nic odmieniła. Rysowałem wówczas jej portret, zobaczcie go na tysiącznej drugiej stronnicy, w stroju jaki naówczas nosiła. Pszent na głowie zmienia ją tylko nieznacznie. Jagusia ciekawie nachyliła się także na książkę, a Jan nie mógł wstrzymać okrzyku podziwieniu ujrzawszy rysunek w stroju Egiptu starego, ale tak żywo wyobrażający Elwirę, że go odepchnął ze wstrętem i strachem.

— Jeśli chcecie opowiem wam nawet jej historią. Ojciec jej był kapłanem bóstwa Mandu w Hermontis, bóstwa jednego z Trójcy Egipskiej. Kleopatra ujrzała ją w czasie uroczystości i wzięła na swój dwór. Strzelała oczyma czarnemi tak trafnie, że nawet Marek Antoniusz był się w niej trochę pokochał. Ale że miłość starożytnych nie wiele była wymagająca, prędko nasycony porzucił ją. Z Rzymu dokąd się dostała, rozplómienny królik jakiś Sarmacki wywiózł ją na północ. Ani go kochała, ani on ją zajmował; gardząc nawet barbarzyńcą wyjechała z nim jedynie dla przzerwania nudów nieuleczonych, widokiem krainy tak wybor-

inie opisaney przez Herodota. Ale w Sarmacyi Herodot wydał się jej takim bałamutem i łatwowiernym baśni kopijstą, jakimi nam wydają się Benjamin z Tudeli i Marko-Polo. Wyobraźcie sobie kobietę znudzoną w starej dzikiej Sarraacyi! Królik nie mógł sobie dać rady; przejeżdżał z nią z nad brzegów starego Tyras do Kolchidy, woził ją nawet w kraj, gdzie jak stary Herodot powiada, ciągle padający puch świat zasłania; — nic nie pomogło na chroniczne nudy. Aż nareszcie skuteczna znalazła się rozrywka. Słuchajcie. Gdzieś nad jeziorem Białych koni stał pałac królika. Tam tłumy wojennych jeńców jęczały w łańcuchach. Co dzień podawano jej po jednym niewolniku, i stawiano przed nią. Ona póty patrzyła na nich, patrzyła, patrzyła, aż zabiła wzrokiem. Trzeba wam wiedzieć, że jest wzrok co zabija. Średnie wieki tę siłę wejrzenia wyrażały symbolem Bazyliuszka. Dodatek podania mówiącego, że Bazyliuszek sam tylko odbitym własnym wzrokiem pokonany być może, znaczy, że nieczułość na ten wzrok, umarza siłę jego i zwraca ją na zbójcę!

Nie wiem spełna co się stało potem z Kasztellanową; jeśli się nic mylę widziano ją na dworze Franciszka pierwszego; nareszcie znalazła się w Paryżu gdy Wojewodzie kończył tara wychowanie pod przewodnictwem jakiegoś wiercipięty i poszła za niego. Oczy jej, oczy Bazyliuszka są jej manią, mówił doktor dalej z powagą nieporuszoną, probując ich na wszystkich czy mają tę samą siłę co dawniej. Na mężu już nie skutkują, ale na nowicjuszach! Chcesz zwyciężyć? spytał Jana.

— Zwyciężyć to jest zapomnieć, rzekł Jan, innego nie wart ten bój zwycięstwa.

— Nie, potrzeba ją poprawić. Dam ci talizman na to. Wskazał Jagusię, a ta zaczerwieniona i zawstydzona odwróciła się grożąc ojcu.

Doktor się rubasznie rozśmiał. Podano herbatę w maleńkich chińskich filiżaneczkach, na wielkiej tacy z wytwornej laki. Wszystko tu miało jakąś fantastyczną minę, dziwaczne było, piękne i zupełnie niespodziewane.

Fantazus chodził po saloniku w wybornym humorze.

— Czuję, rzekł, będzie burza; cieszę się . z tego mocno, trochę przynajmniej hałasu

narobi i powietrze odżywi; nudna długa pogoda

— A! burza! burza! zawołała Jagusia biegnąc do okna. Ja się jej tak boję! całą noc pewnie spać nic będę.

— O! nie dziś jeszcze będzie burza, za trzy dni o południu.

— Zkądże wiesz o tem?

— Gwiazdy spadające, to jest to, co wy tem nazywacie imieniem, padają już kilka wieczorów w stronę gdzie burza się zbiera. Są to posłańcy, którzy po nią idą, powrócą z piorunami.

Gdy doktor rozprawiał z Mamoniczeni, Jan znowu zbliżył się do Jagusi. W jej cichej rozmowie lżej mu i spokojniej było, odzyskiwał lat dawnych swobodę i wesele, zapominał świeżego cierpienia. Serce mu biło znowu, ale inaczej, inaczej wcale niż gdy Elwira budziła je do ruchu wzrokiem szatana. Tamto wrażenie było piekielną żądzą, te niebieską błogością i spokojem.

— Pamiętasz gołębia ? spytał jej po cichu.

— O! jakże nie? odpowiedziała. We trzy dni po twojem odejściu, gołąb z rąk moich uleciał na okno twoje, ale tam schwytała go i zabiła Maryccta. Płakałam po nim długo, wynieśliśmy się potem z mieszkania. Stary Batrani często, widziałam, do twojej izdebki przychodził i zamyślony, kryjąc twarz w dłoni, nie wiem płakał, czy dumał gorzko. Czasem synek siadał mu na kola-

na i pieścili się, póki ich Maryetta nie wyгнаła z tego nienawistnego dla niej kątku. Wkrótce — słyszałam to potem od sąsiadów, — zmęczony malarz stary, przestał naprzód mówić zupełnie. Przez kilka miesięcy nikt słowa z niego dobyć nie mógł, nawet

ukochane dzieci; nareszcie umarł. Śmierć jego była straszniejszą może nad życie, konający zrzucony z pościelą na podłogę widział jak żona wszędzie szukała po nim pieniędzy, jak zbierała rzeczy i nic poglądając nawet na dogorywającego, przekleństwa i krzykiem dobijała go. Na pogrzebie dzieciom nawet nie wolno było być podobno. Synka starszego matka zamknęła na klucz, dziecko skoczyło oknem i wybiegło za trumną boso, w jednej koszulce. Całe miasto płakało patrząc na to; matka różgami je osiekła.

— Mówisz o Batranim, spytał nagle doktor mieszając się do rozmowy. Znałem go, znałem, pocziwy to był, ale biedny człowiek. Znałem go kilka razy. — Jakto? zawołał Jan, zapomniawszy excentryczności doktora.

— Tak, młodzieńcem w Grecyi, potem dorosłym mężem w Rzymie, mężczyzną za czasów Medyceuszów, a starcem już w Wilnie. Nosił różne imiona. Zwał się, niepomnę, Kleantem z Delos, potem wyzwoleńcem Licinem, potem... e! mniejsza o nazwisko! Jemu podobni zawsze bywają zabici przez swoich, los wybiera za narzędzie męki dla nich to brata, to żonę, to dzieci. Batrani Grek umarł od syna, Rzymianin od rozpustnicy Greczynki, Wioch od zazdrosnego o talent ojca, nasz od żony, tak być musiało. Pocziwy Bal rani, pokój mu!

— Ale ja widzę, że się wy wybieracie, rzekł Fantazus, w istocie, spóźnia się podobno. Przyjdźcież do mnie jutro, widujmy się częściej, wy mnie, a ja wam przydać się mogę. Wy nic nie pamiętacie, ie nasza przyjaźń zawiązała się w więzieniu Sokratesa jeszcze, gdyśmy się tam zeszli razem przed piciem Cykuty. Ty kochany Janie byłeś Cebesem, nie pamiętasz? ty Mamoniczu Ktezypera z Peanii.

— A tyż szanowny doktorze?

— O! ja, odpowiedział poważnie, byłem wówczas Eurypidesem i chociaż mnie nie mieści Plato między świadkami wielkiego zgonu, mogę zaświadczyć słowem uczciwego człowieka, że kazał Eskulapowi zarznąć koguta na ofiarę: o czym później tyle się narozprawiano, szukając utajonej intencji, zaprzeczając faktowi nawet! Niewdzięczny Plato! ale my z nim wówczas byliśmy nie najlepiej; wybaczam mu to z całego serca. Chociaż Bogiem a prawdą, wiele mu pomogłem do Teaiteta. Wierzcie mi, że chronologia Eurypida dotąd fałszywa, ja o tem wiem najlepiej. Dobranoc.

To mówiąc drzwi zamknął, ale Jagusia przez szparę zamykających się pożegnała wzrokiem Jana; Jan odszedł spokojniejszy daleko i ukołysany jej niebieskiem wejrzeniem.

— Co myślisz o doktorze? spytał Mamonicz gdy z dziedzińca wychodzili.

— Nic nie rozumiem, obłąkanie, dziwactwo — rachunek jakiś.

— Wstrzymaj się jeszcze z ostatecznym sądem.

— Doktor widzę bogaty?

— Nikt o tem nie wie. Najsprzeczniejsze chodzą o tem wieści; jedni mu przyznają skarby Krezusa, drudzy mówią, że jest tajemnym naczelnikiem bandy zbójckiej, inni, że ubogi ma nawet długi. On sam stale skarży się na ubóstwo swoje. Żyje skromnie, całe jego bogactwo w tych coś je widział rupieciach.

— A i to przecież coś warto.

— Zapewne, rzekł Tytus, dla kogoś.

— Niezrozumiany człowiek. — Dumając doszli do drzwi Jana i ściśnieniem ręki dali sobie,

dobranoc. Jan zastał służącego od Kasztellanowej, którego prosił aby się stawił nazajutrz w pałacu Ogińskich, gdzie dotąd mieszkała, dla pilnego interesu.

Nazajutrz rano Mamonicz swoim zwyczajem nadszedł i zastał Jana wśród najzaciętszego boju z samym sobą, walczącego czy ma pójść do pałacu Ogińskich lub nie. Wiedział, że Tytus powie mu:

— Nie idź; nic więc nie wspominając przed nim o wezwaniu, około południa ciągle jeszcze walcząc z sobą, ubrał się i wyszedł z domu bez projektu dokąd. Poszedł do pałacu Ogińskich!

Jaki interes mogła mieć Kasztellanowa? po dziwnym wyskoku z ich domu, mógłże wejść tam znowu; miałże być nieposłusznym i odrzucić to, co może było późnem serca opamiętaniem? Wstyd mu było ludzi, mogących go poczytywać za waryata. Kilka razy zbliżał się ku pałacowi i powracał, nareszcie uzbroiwszy się w odwagę, dumę i obojętność na szyderstwo jeśliby się z niem spotkał, wpadł na wschody, przeszedł przedpokój nie śmiejąc spojrzeć na ludzi i znalazł w salonie. Ale tu nie było nikogo. Nie widząc nic przed oczyma udawał, że obojętnie przepatruje obrazy po ścianach rozwieszone i fraszki na gerydonach; gdy szelest jedwabnej sukni wyrwał go z udanego zajęcia.

Odwrócił się w milczeniu, Kasztellanowa stała nakładając czarne mitenki jedwabne i wzrokiem swym upartym poglądając na malarza.

— Kazałam Pana prosić, odezwała się — Portret mój dostał się dawnemu mężowi mojemu, chcę mieć inny.

— Miłoby mi było spełnić jej rozkaz, odpowiedział Jan, ale przekonałem się, że portret Pani nie jest ani łatwą dla mnie, ani całkiem bezpieczną pracą.

— Czemuż niebezpieczną? odparła dumnie ustami a czule oczyma Elwira. Będziesz malował, będziesz malował, chcę tego i spodziewam się. — Nie pani! zbierając się na odwagę stanowczo rzekł malarz. Jestem chory jeszcze i zaledwie przychodzę do straconego może na zawsze zdrowia — nakazano mi wypoczynek. Nie wiedząc jaki był powód wezwania, stawilem się na rozkaz; ale spełnić życzenia jej, przynajmniej teraz, niepodobna mi.

— Bardzo żałuję, odparła krzywiąc się kobieta. Chciałam koniecznie mieć portret robiony przez niego, bo cenię wielki talent, któremu tu równego nic mamy.

Jan się uklonił.

— Portret jest rzeczą tak pospolitą, tak zużytą, rzekł zcicha wpadając na myśl dziwną, gdybyś Pani chciała mieć popiersie swoje, znam snycerza coby je doskonale zrobił.

— Popiersie? biust? Prawda! to daleko mniej pospolita rzecz, przyślijże mi Pan tego kogoś, co je zrobić potrafi. Nie spoglądając już na Kasztellanowę, która uparcie ścigała go oczyma czarnemi, Jan pożegnał ją i odszedł szybko. We drzwiach pożegnała go wejrzeniem jeszcze Pani, próbująca sił swoich. Ale wczorajsze spotkanie z Jagusią było istotnie zbroją dla Jana. Czul, że urok w połowie prysnął. Pobiegł jednak z sercem wzruszonym do Mamonicza, który znowu stał osobno.

Tytus mieszkał naówczas w mizernym domku na Bakszcie, nad szyneczkiem w dwóch izdebkach,

które znakomitym odznaczały się nieładem. Zastał go Jan modelującego na ziemi ogromnego lwa z gliny. Zawsze owa grupa Herkulesa zajmowała go wyłącznie. Zobaczywszy Jana, który rzadko do niego przychodził, narzucił prędko mokre szmaty na poczetą robotę i wstał pytając oczyma, co go tu przywiodło.

— Szedłeś aż tu szukając mnie, mówże co cię sprowadza?

— Zemsta! — Zemsta! do mnie! cha! cha! Cóżem ci u kaduka zrobił?

— Ty! nic, ale nie wiesz.

— Wiem doskonale, że dziś znowu rano byłeś u tego szatana Kasztellanowej. — Chce znowu swego portretu. — A! rozumiem! A ty zezwoliłeś na to.

— Nie! nie! nie! powiedziałem owszem, że do pracy za słaby jestem jeszcze, namówiłem ją na popiersie.

— Tak! a mnie chcesz na ogień jej oczów wystawić?

— Przestrzeżony, pomścisz się za mnie. — Któż wie, czy siłę mieć będę!

— Tytusie mój ! dla mnie! uczyn to dla mnie! Zezwól, idź, a gdy cię ta syrena wzrokiem ścigać będzie, oddaj jej za wejrzenie wejrzeniem; ale zimnem i zdziwionem. Niech się wściecze bezsilna. O! jeszcze mnie bolą rany.

— Tak! kochasz ją jeszcze.

— Nie, ale pragnę się pomścić. — To zawsze miłość potrosze.

— Uczyniszże dla mnie, o co błagam?

— Nie wiem; nie widzę potrzeby iść naprzeciw niebezpieczeństwu, gdy nic do tego nie zmusza.

— Dla mnie! Tytusie.

— Ona mnie pewnie wzrokiem ścigać nic będzie, a darmo pracować.

— Darmo! darmo! któż ci to mówi! pewny jestem, że wynagrodzą wspaniale.

— O! nie o to mi chodzi.

Po długich rozprawach, Tytus dał się wreszcie namówić. Ubrany skromnie ale starannie, w parę godzin stawił się do pałacu z miną zimną, odważną i pewną siebie. Kasztellanowa przyjęła go wdzięcząc się, uśmiechając, rozpytujac, ale nie potrafiła rozmarszczyć stoika. Po półgodzinnej rozmowie Mamonicz odszedł ją prawie gniewną.

W godzinę potem przyniesiono glinę i to niewdzięczne rusztowańko, które się używa do

modelowania małych statuetek i popiersi.

Z zimną krwią, brwią namarszczoną, począł snycerz lepić głowę, oznaczać szyję i piersi wielkimi massami. Kasztellanowa wytrzymała wzrok na niego.

Kilka razy spotkawszy go, Mamonicz rzekł obojętnie i poważnie:

— JW. Pani nie wie zapewne lub zapomina, że popiersie nie potrzebuje oczów i prawie ich nie ma. To tak piękne dla malarza spojrzenie, stracone jest dla mnie i wprawia tylko w rozpacz, bo go wykuć ani ulepić nie potrafię. Żałuję, że niejestem malarzem.

Zacięła usta kobieta, ale odwróciwszy się na chwilę, powróciła znowu do swej próby zwyczajnej. Spotkała wzrok surowy i chmurny Mamonicza, tak, że musiała prawie gniewna odwrócić oczy. Mamonicz udawał potężnie zajętego robotą i namarszczonego namysłem. Jeszcze raz, nie dając się pokonać niczem, z czułym wejrzeniem obróciła się ku Tytusowi. Ten się uśmiechnął.

— Czego się Pan śmiejesz?

— Przebaczy mi Pani gdy jej powiem?

— O! cóżby mnie to obchodzić tak miało? — Więc powiem szczerze. Dziwię się sile i piękności wzroku, którego żałuję, że w popiersiu wydać nie potrafię. Rzadko spotyka się oczy podobne. Ale na nieszczęście wszystkie biusta mają jedno prawie spojrzenie. Zgięciem tylko brwi i kształtami powiek, możemy nieco oznaczyć charakter oczów. Ale JW. Pani nadto przywykła siedząc do portretu, kierować w ten sposób wejrzeniem, które tyle kosztowało mego przyjaciela Jana.

— Malarza? spytała od niechcienia.

— Tak! ten biedny człowiek usiłował jej wejrzenie pochwycić koniecznie do obrazu, który maluje. Dziwny zaprawdę artysta: ognisty gdy chodzi o sztukę, lodowaty i szyderski dla ludzi. Nigdy nic zapomnę jak, gdy

mu się zdało nareszcie, że pochwycił tajemnicę tych oczu, skoczył gdyby szalony oknem i biegł malować do domu.

— Malować! do obrazu! powtórzyła rumieniąc się pani Kasztellanowa.

— Nie mógł żadnym sposobem pochwycić wzroku tego, zapomniał go skoro wyszedł i nad tem rozpaczał. Niekiedy zrażony śmiał się z siebie i swojej dziwnej pretensyi.

— Więc badał mój wzrok, aby z niego taką korzyść wyciągnąć? O! to niegodnie. — Wybaczone malarzowi, chwytą jak i gdzie może kształty i expressyą. Tyleśmy się tez uśmieli z niego i on sam wreszcie z siebie. Bo pomimo pozorów czułości, które wybornie odegrywa gdy chce, jest to niezrównany szyderca.

— On! szyderca!

— A! Pani, nie znam nikogo nielitościwszego zwłaszcza dla kobiet.

— I jakież to. obraz malował?

— Wieczór u Aspazyi. Na te słowa Kasztellanowa obrażona, wzdrygnęła się na kanapie. Spodziewam się, rzekła, że mój wzrok...

— Chciał go koniecznie dać Aspazyi, patrzącej na zimnego jakiegoś filozofa, bryłę niedającą się rozgrzać i poruszyć.

Kasztellanowa porwała się z siedzenia.

— Dość tego na dziś, rzekła z gniewem, któren pokryć usiłowała, głosem nagle zmienionym, z wejrzeniem pałającym. Jutro wypada mi odjechać, — a więc...

— Każę zabrać tę głowę, aby tu nie zaschła, rzekł Mamonicz. Odchodził już, gdy w progu spotkał się ze wzrokiem czulszym, namiętym a razem rozpaczliwym prawie. Lecz ruszył tylko ramionami i odszedł.

Po tem posiedzeniu, które dość długo potrwało, powrócił do domu zmęczony, złamany i musiał się położyć. Silny ten człowiek, czuł się przecie poruszony także i pojmował teraz całą Jana historią.

— A co? spytał go malarz. — Co? czuję, że dłużej tam chodząc, oszalałbym także od wzroku, którego i na mnie biednym probuje. Ale miałem dość siły na dzisiaj, odegrałem komedią i pomściłem się za ciebie.

— Jak?

— Wy tłumaczyłem Kasztellanowej, żeś ty jej wzrok studyował do obrazu Aspazyi, wścieka się teraz na ciebie. Odmalowałem cię szydercą nielitościwym, skrytym i zimnym. Nienawidzić cię musi. Więcej tam nie pójdę: zdaje mi się, że i ona dała także urlop nieograniczony jako niedźwiedziowi' nieokrzesanemu. Życie spędziłem nieznając ile uroku daje kobiecie, strój piękny, ułożenie wdzięczne i atmosfera bogactwa a zbytku otaczająca ją dokoła. Znałem kobiety jak je stworzył Bóg, nie jakimi je uczynił świat, ludzie i towarzystwo cywilizowane. Czuję, że u nóg tej nowej dla mnie i nieznaney kobiety mógłbym poledz. Gdybym zaś kochał, to raz na zawsze, na wieki. Nie chcę próżno narażać się na niebezpieczeństwo, gdy o niem wiem. Dla ciebie nawet nie uczynię tego, nic pójdę!

Nie wiem czy znasz, dodał zamyślony po chwilce milczenia, — legendę o świętym Martynianie. Jako malarz nie powinienbyś wypuszczać z rąk żywotów świętych i Martyrologii; nigdzie bowiem chrześcijański artysta, nie znajdzie tyle co tu przedmiotów do obrazów. One natchnęły największych malarzy najwspanialszemi utwory, Rafaela, Ribeirę, Fra Angelico, Guidów, Caraccich, nieraz Tycyana, Palmów i Bellinich, nieraz naiwnych Hollendrów nawet i metodycznych Niemców.

Na każdej karcie znajdziesz tu przedmiot pełen wyrazu; a wyraz jest celem nowym odrodzonej sztuki. Grecka sztuka szukała linii tylko pięknej do wydania swej myśli; idealizowała ciało i jego kształty, nic więcej. Nowa nie wyrzekając się formy, posługując się linią, przebija kształt

powierzchnowy i wyprowadza na wierzch duszę, myśl, jednym słowem: wyraz. Wyraz oznacza, że nowa sztuka przemówiła, że otwarła usta; stara była piękną ale niemą.

Lecz wróćmy do legendy. Czytałem ją raz roztargniony w roztwartej księdze, którą dnia 13 lutego znalazłem w jakimś refektarzu klasztornym i odtąd nieustannie na myśl mi przychodzi, a dziś więcej niż kiedy. Si non e tero e hen trovato. Jest wielka w niej nauka, a mnie i tobie w obec tej kobiety, jakże przydatna. Posłuchaj:

Martynian urodził się podobno w połowie czwartego wieku, w Cezarei Palestyńskiej. Były to czasy gorącej wiary i nie dziw, że w ośmnastym roku życia poruszony przykładem tylu świętych, udał się młodzieniec nasz na blizką pustynię. Sława dziwnej pobożności tak młodego anachorety rozeszła się wkrótce po kraju i lud z podziwem patrząc na ostre jego życie, na świętobliwość niezmaszaną żadną zdaje się myślał światową, żadnem nawet wspomnieniem przeszłości (bo tej nie miał), tłumem chodził w pustynię, prosząc go o błogosławieństwo.

W Cezarei żyła podówczas nierządnicą Zoe imieniem, bogata jak Lais darami kochanków, młoda jeszcze, piękna gdyby grecki posąg, a tak zwykła do zwycięstwa, że o niem nawet wątpić nie umiała. Każdy jej wzrokiem, jej głosem, jej pieśczęt obietnicami znęcony, upadał przed czarodziejką.

Jednego z tych wesołych wieczorów, w których tysiące rzeczy niespodzianych na myśl i usta przylata, Zoe śmiejąc się mówiła jak niegdyś sławna dworka Grecyi, że nie ma kogoby nie pokonała, kogoby nie spokusiła, gdyby nawet był świętym. Poczęto śmiać się z niej i zaprzeczać, a że najbliżej w pamięci był pustelnik Martynian, wystawiono go Zoi jako niezwykłego. Zoe, która go widywała a może tajemną czuła namiętność ku niemu, żywo i stanowczo zawołała, że obali jego cnotę i mieć będzie kochankiem. — To słoma! uśmiechając się rzekła, przytknąwszy ogień ku niej, zapali się łatwo.

I w tej chwili zabiera klejnoty swoje, bogate stroje, pasy, opony, wieńce, a wdziawszy na się odzienie żebracze, osłoniwszy twarzyczkę, w słotę i burzę, niepohamowana leci na blizką pustynię Martyniana.

Przychodzi do chaty pustelnika i prosi go płaczącym głosem o przytułek, ten nie spodziewając się zdrady, otwierając, przyjmuje, karmi i dla osuszenia szat ogień rozkłada. Tymczasem Zoe zrzuciła zmokłe łachmany, wkłada ukradkiem stroje przyniesione, i w całej potędze wdzięków, nachodzi na człowieka, który w ośmnastym roku począwszy pokutę bez grzechu, wszystek jeszcze płomień namiętności miał w sobie, walczył z nim jak z wrogiem a pokonać nie mógł.

Martynian przelektły, wzruszony, nareszcie pochwycony wzrokiem nierządnicy, która zwykła była oziębłych rozgrzewać i obojętnych kusić, upadł.

Zoe pozostała przy nim i nie myślała już zwycięzko powracać do Cezarei; puszcza stała się jej miłą.

Ale w chwili upadku prawie, zgryzoty przyszły dla pustelnika. Martynian dręczył się swoją słabością i płakał nad nią, zwyciężyć nie mogąc. Jednego wieczora przyszli doń jak zwykle ludzie po błogosławieństwo, chat się niegodnym dać je, zamknął w celi płacząc i rozpaliwszy ogień wielki,

sam karząc się, włożył weń nogi obie.

Zoe nadeszła. — Co to jest? pyta strwożona. — Probuję, odpowiedział pustelnik, czy potrafię znieść piekielny płomień, bo ten mnie minąć nie może.

Nierządnica wzruszona upada przed nim na kolana; tak wielka, dobrowolna męczarnia, ta myśl upadku żyjąca wśród grzechu, w jednej chwili ją oświeca. Zoe zo-

staje z nierządnicą poganki, chrześciance gorliwą.

Co za obraz Janie? nieprawdaż?

Ale to dopiero połowa legendy, a druga wymowniejsza jeszcze. Martynian odprowadził Zoe do klasztoru Pauli w Betleem, sam zaś widząc jak pokusy unikać należy, gdyśmy wszyscy do walki bezsilni a nigdy dowierzać sobie nie możemy; udał się na bezludną skałę wśród morza, gdzie rybacy co dzień dowozili mu ryby i chleb na pokarm i liście palmowe na maty, posłanie i ręczne roboty.

Długo, długo żył tak pustelnik; wtem raz burza się zrywa; okręt niedaleko ku brzegom zmierzający gruchocze się o skały w ciemnościach. Jedna żywa istota ocalona z rozbicia, wyciąga ręce ku Martynianowi, nie mogąc sama wdrapać się na skałę i zachować życia. Młode to i śliczne dziewczę. Pustelnik ratuje ją, oddaje swoją pieczarę, maty i wszystko co miał, ale nie śmie z nią razem pozostać. Samotność z kobietą nigdy nie jest bezpieczną: wspomnienie pierwszego upadku, daje mu naukę. Uratowaną dziewczynę zostawia a sam rzuca się ze skały w morze, nie wiedząc czy w niem śmierć, czy nowe tylko znajdzie życie. Brzeg był blizki i Martynian przyplłynął do niego: długo jeszcze żył później i umarł podobno w Athenach, w pięćdziesiątym roku życia. Ta legenda nie jestli wielką nauką, że często ucieczka jedynem zwycięstwem? Tak mój Janie. W pierwszej chwili uciekać potrzeba, bo później, kto wie, będąli siły? kto wie czy Martynian gdyby był dłużej pozostał z uratowaną, nie upadłby raz drugi?

Ta prześliczna legenda, przyszła mi dziś na myśl znowu, gdym poczuł płomień rozpalający się w piersi wejrzeniem tej kobiety. Uciekam, wolałbym utopić się raczej, niż pozostać z nią wystawiony na pociski tych oczu.

Jan uśmiechnął się i spytał:

— Odkąd tak stałeś się nabożnym?

— Nabożnym? Jestem nim zawsze, ale w głębi duszy, ale się z tem nie chlubię. Tu zaś nie idzie wcale o nabożeństwo. Dla siebie wolałbym szczere dziewczę uliczne, które spojrzy gdy czuć będzie i zechce myśl wzrokiem wyrazić i dziś mnie pokocha a jutro porzuci; niż ten ideał fałszu, kobiety bez serca, rodzaj ożywionego posągu, któremu nie potrafię być Pigmalionem, a cierpiećbym

musiał!

To powiedziawszy Tytus podniósł twarz, na której malowało się wzruszenie głębokie. — Przepraszam cię Janie.

— To ja ciebie raczej bym powinien.

— Niech Kasztellanowa szuka celu dla swych pocisków gdzie chce, my usuńmy się obydwu. To kobieta bez serca, powtarzam. Strzela na ptaszki, próbując czy broń jej dobrze bije, a padnie kto pod ciosem, cóż jej to? Chodźmy do Jagusi, to nas uspokoi.

Na drodze ku mieszkaniu doktora, spotkali go w zwykłej sukni czarnej i ogromnym kapeluszu. Powitał ich z miną wesołą. Tytus spieszył mu opowiedzieć o poczetem popiersiu.

— Tak! tak! poważnie odezwał się doktor Fantazus. Ta sama słowo w słowo, którą znałem na dworze nieboszczki Kleopatry, też sama. Ale jest na nią sposób.

— Jaki?

— Mówiłem wczoraj, wzgarda i szyderstwo. Jedyne otwór do jej serca tą drogą prowadzi, ktoby tego serca zażądał.

— Maż ona serce?

— Ma! ale widzicie, serce sercu nierówne. Robiliśmy z Galonem doświadczenia nad sercami ludzkimi. Nie uwierzycie jaka w nich różnorodność! nie tak różne są nosy, usta i twarze. Są serca wielkie, serca małe, ciasne, wysokie a wąskie, szerokie a niskie, okrągłe, kwadratowe, trójkątne, gwiazdziste, twarde i miękkie, gąbczaste i t. d. i t. d. Zdarzało mi się rozbierać wszakże ludzi, którzy serca nie mieli całkiem i na jego miejscu była maleńka główka tylko i odrobina skoncentrowanego mózgu, który funkcjonował wybornie, wyrabiając krew i myśl razem. Ci ludzie byli bez uczucia, ale ich zimne myśli wszystkie miały za to barwę krwistą uczuciową: kłamali serca doskonale. Znałem kobietę jedną co życie całe uchodziła za najczulszą istotę: wzdychała, jęczała, zawracała oczy, zdawała się cierpieć za wszystkich, dla wszystkich. Wszakże w życiu swem nigdy nic dla nikogo nie uczyniła inaczej jak językiem, ale egoizm w niej pokrywał się doskonale czułością, łzami i t. p. Umarła ze sławą najczulszej na ziemi istoty; po śmierci dopiero przekonaliśmy się, że nie miała serca. Do jednych piersi pro-

wadzi uczucie, drugie zdobywasz myślą, inne gniewem. Są kobiety, które łajane dopiero kochać poczynają, upartsze bić czasem potrzeba. Do kobiet dających się tylko zwyciężyć wyższością zimnego szyderstwa należy Kasztellanowa; ale wierzcie mi, że to nie bardzo ciekawy exemplarz kobiety. Oczy jej tylko mogłyby się przydać do kolekcji.

— I linia profilu! rzekł Tytus.

— O! linie to nic są wcale nowe. Po greckich medalach jestże coś w tym rodzaju nowego a pięknego do odkrycia? Wątpię, a zwłaszcza w profilu.

— Czoła, odpowiedział Tytus, czoła piękne i wzniosłe, których starożytność nie znała. Duszy, i czoła brakło pogańskiemu światu w ogólności; lecz w kobietach Grecyi i Rzymu, brak czoła najdobitniej maluje, że je owa cywilizacya z duszy i woli, z myśli wydziedziczała. Piękności dawne prawie są pozbawione czoła; trochę też były zwierzęta. Są co utrzymują, że od 1800 lat dopiero

datują piękne czoła nasze, wyrobiła je nowa era, nowe myśli, które wydeły i rozsądziły czaszkę.

— Być może, zdumywając się, odpowiedział doktor Fantazis, ale Sokrates i Plato, Dyogenes nawet, o ile go sobie przypominam, mieli piękne i wyniosłe czoła.

— Łyse, ale u kobiet w starożytności czoło nie exystuje.

— Po części jest to prawdą, tak pojmowali kobiecą piękność, bez myśli. Ale nie sądź przecie, aby medale, mozaiki, posągi i t. p. pomniki, w konwencyonalnych zamykające się typach, były całą prawdą o starożytności. Ja com tam był, widziałem piękne czoła żywe, których żadne nie uśmiertelniło dłóto. Takim było (darujcie! ale cóż poradzić przeciwko faktom?) czoło matki Nerona, choć na medalach niczem się ono nie odznacza, czoło bohaterki Łukrecyi (co za sprzeczności) i matki Gracchów. — Doktorze, doktorze, zawołał Tytus, wytłumaczcie nam kiedy proszę, co znaczy, to twoje życie w przeszłości? Co znaczy często powtarzane: Jam tam był.

— Co? że tam byłem w istocie, odparł stukając laską o ziemię i strzelając oczyma stary.

— Ale jak ?

— Poszedłem duszą i byłem.

— A! duszą przecie tylko! Myśmy tam w ten sposób wszyscy byli po trosze.

— O! nie tak! przerwał z uśmiechem Fantazus. — Jam był inaczej.

— Wiem, dodał zastanowiwszy się, że ludzie mnie mają za szalonego, niech sobie gadają zdrowi. Ale powtarzam wam, wiem co mówię: świat przeszły jest jako był, żyje! Ja to wiem. Każdy kto do niego znalazł drogę, może tam pójść i zajrzeć. Żadna chwilka nie zapadła w nicość. Co żyło, żyje może trwałej, pewniej, niż to co się jeszcze dziś przerabia, i co zowiemy dzi- siaj, życiem. Prorok zagląda w przyszłość, prorok może być i w przeszłości , albowiem wszystko co było, co jest i co będzie, jednym tylko jest opisać można. W środku tego nieruchomego koła, przebiega czas, który zwysoka nieporuszony się wydaje, zbliżka szybko pędzi. Tak rwące koło młyńskie, obraca się dochodząc żywością obrotu do nieruchomości prawie. Ale wy mnie nie zrozumiecie! dajmy pokój temu! dajmy pokój!

Założył laskę za plecy, spuścił głowę i szli powolnie ku jego domowi. Zbliżyli się do bazaltowego sfinxa, a doktor wskazał nań Janowi z uśmiechem.

— Tacy ludzie jak Batrani, rzekł, a raczej Batrani, musiał w sfinxie widzieć symbol kobiety, nieprawdaż?

— Zkąd to wiesz ? Jan zdumiony zapytał prawie z przestachem.

— Zkąd? Ja wiem wszystko, odparł doktor, lub nie wiele mi do tego braknie. A sfinx nie jest symbolem kobiety. Jest to symbol całej ery pogańskiej. Twarz prześliczna znaczy pojęcie piękności, uczucie wdzięku materyalnego, cześć kształtów i formy; skrzydła znaczą poetyczną lej epoki wzniosłość, filozoficzne jej marzenia; ciało zwierzęce znaczy brak ducha. Sama postać, samo

monstrualne połączenie dwóch natur ludzkiej i zwierzęcej mówi ci wyraźnie, że starożytność czyniła po troszę z człowieka bydłę. Od chrześcijaństwa też dopiero poczyna się człowiek-duch. Bogi, symbole starożytności ubierały się w skóry zwierzęce, aby w stosownym stroju do wieku się okazać. Ta forma pół człecza, pół zwierzęca znaczy także silny związek epok pierwotnych z naturą całą. Instynkt, ten dar stracony rozwinięciem rozumu, wiązał jeszcze człowieka do piersi matki natury, której płodnego sysaka nie wypuścił z ust jeszcze. Teraz mamy rozum, ale nie mamy już instynktu. Nie prawdaż ?

Jan westchnął poglądając na sfinxa.

— Usiądźmy w ganku, rzekł Fantazus, a jeśliście ciekawi, powiem wam Sfinxa historyą-

Ten, którego widzicie przed sobą, jest wizerunkiem najślawniejszego Sfinxa Tebańskiego, którego Heziod mieni być dziecięciem potworów Echiduy i Tyfona. Egipski Sfinx wcale jest inny. Tebańskiego cechy: głowa i piersi dziewczęcia, lwie pazury, ciało psa, ogon smoka a skrzydła ptasie. Nie jestli to wizerunek natury, której głową, człowiek? nie wiem. Juno zsyła go na Teby gniewna, na górze Ficejskiej zjawia się niszczący wszystko Sfinx; czatuje na przechodniów i zadaje im zagadki. Nie takli natura ze swemi zagadkami odwiecznymi czatuje na nas i zabija, jak zabijał Sfinx tych, którzy go nie odgadli? Nie takli w ostatecznym dniu, gdzie człowiek zgadł naturę, urok jej potworny i tajemniczy znikł z jego oczu, jak znikł Sfinx, gdy Edyp wyrzekł mu słowo zadania??

Słowem zagadki Sfinxa był człowiek. Tak w człowieku rozwiązuje się cel stworzenia, natura całą.

Sfinx pytał, mówią, przechodniów: — Co za zwierzę chodzi w czworaki rano, na dwunogach w południe, a na trzech wieczorem?

Edyp odpowiedział — zwierzęciem tem jest człowiek, czołgający się w dzieciństwie, poranku, idący o swej sile w południe życia, podpierający się na kijku na starość. A człowiek Edypa zawierał historyą trzech epok nieustannie powtarzających się w dziejach ludzkości.

Nazwisko Sfinxa pochodzi od kłopotu *óřéääléi*, zakłopotać czem, zatrudnić; miała też z odgadnięciem tego potwora symbolicznego nie mały kłopot starożytności i nowsza nauka. Pauzaniasz przerobił symbol w córkę Lajusa, uzbrojoną w tajemnicę wyroczni Delfickiej; — inni ze Sfinxa uczynili naczelnicę łotrowskiej bandy niszczącej Tebańskie ziemie!

Pocziwy Diodor, ojciec tych co wszystko z ciała wyprowadzić usiłują, zaklął się że Sfinsy w kraju Troglodytów znajdowano żywe, trochę tylko kosmatsze od malowanych, ale za to bardzo łagodne i charakteru wielce towarzyskiego.

Grecy upodobali sobie Tebańskiego zagadkarza i wyryli go nieraz na medalach Antiocha, na wagach ołowianych wyspy Chio i t. d. Ale go przerobili po swojemu i dalecy byli od rozwiązania zagadki jaką ten potwór sobą im przedstawiał. U Greków Sfinx powstał na nogi i nic leżał spokojnie.

Zresztą w starożytniejszych nawet czasach jakby na obalamucenie nas najdziwniej, rozmaicie przedstawiano to stworzenie. Jeszcze jedna zagadka? Sfinx, Herodotowy Androsfinges jest niewiastą z piersi, samcem z reszty ciała? Znowu natura którą wy- stawiają, widoczna w tyra pomyśle. Są

Androsfingi brodate, są z rękami ludzkimi, ale zbrojnemi w pazury ostre i zakrzywione.

Jakiś mądry archeolog, przeczytał je za obraz bóstwa! Inny miał go za hieroglyf oznajmujący czas wylania Nilu, i mówiący znakami do ludu: — Pod takim znakiem, w takim czasie, wyleje rzeka i przyniesie żywność dla pól waszych. Ale czegoż nie wymyślą archeologowie i mądrzy ludzie, co każdą rzecz swoją miarą chcą wytłómaczyć! — Diodor, dla tłumaczenia także, powiedział iż są żywe Sfinxy.

A co się tyczy pozostałych nam w spuściznie po starożytności, wszakże oba byliście w Rzymie i widzieć musieliście Bazaltowego Sfinxa w Villa Borghese, i czerwonego granitowego w Watykanie, takiegoż w Villa Giulia.

Sławny Sfinx ogromny naprzeciw drugiej piramidy w Gizeh, jest ledwie okutą bryłą skały. W jego grzbiecie dwie studnie wykute wiodą do podziemiów.

Często zdarza się widzieć na kornalinach i szklach starych, Sfinxa trzymającego łapę spartą na trupiej głowie.

— Takiego widziałem we Florencyi u Margrabiego Riccardi, rzekł Jan, a myśl ta podobała mi się.
— Dwie wielkie zagadki — natura i śmierć, — życie i zgon.

— Tak! tak, zawołał Fantazus, życie opiera się na śmierci.

W tej chwili Jan oparł rękę na bazaltowym Sfinxie leżącym przed gankiem i spytał żywo: — Ale jestże to bazalt? Coś mi się nie zdaje? nie jest to robota starożytna, wyborne chyba naśladowanie.

— Chodźmy, chodźmy, podchwycił doktor odciągając go i chmurne rzucił wejrzenie na Jana, który nie mógł już dłużej badać. Ale odkryty fałsz jeden w Sfinxie oczy mu otworzył: zaczynał postrzegać że także posążki, stroje, bronie doktora, po większej części przynajmniej, były tylko naśladowaniami. Nie śmiał jednak tego powiedzieć. Murzyn nawet zdawał się mieć twarz farbowaną, a z pod turbanu jego kosmyk gładkich wymykał się włosów.

Jagusia, która widziała ich wprzód rozmawiających w ganku długo, przyjęła w sieni, i jak starego znajomego powitała Jana, pociągając go za sobą do pokoju na dole, do swojego mieszkania. Doktor i Tytus także poszli za nią.

Pokoiki Jagusi po dziwacznym salonie Fantazusa, uderzały swą ubogą prostotą. Nic tu nadzwyczajnego nie znalazłeś, krosienka pod oknem, wazoniki na półkach ale z kwiatami pospolitemi, łóżeczko białe z krzyżem w głowach, poczęte robotki kobiece. Ogromna klatka z gniazdem gołębi, otwarta, zajmowała cały kąt jeden. Nic więcej.

Powietrze świeże, wonne, wpadało przez okno otwarte do ogrodu; cicho tu było i spokojnie, a wzrok spotykając znajome i miłe przedmioty przenosił tło duszy wrażenie cichej swobody i niepokalanego dziewictwa. Doktor był tu jakby nic na swoim miejscu: kręcił się i wywijał, zdawał zmieszany i znudzony. Jego postać tak dobrze harmonizująca z dziwnym sprzętem salonu, tu zupełnie obca, uderzała jak coś fałszywego. Po chwilce widząc że Jan zagadał się sparty na oknie z Jagusią,

Fantazus wziął pod rękę Tytusa i rzekł:

— Chodźmy do mnie, porzućmy ich samych, ja tu jestem jak okradziony.

Pierwszy raz Mamonicz wchodził na próg mieszkania doktora, równie dziwnie przybranego jak salonik na górze. Drugi pokój za nim będący, drągiem żelaznym stał zaparty zamknięty ogromną kłódką.

W tym do którego wchodzili, ogromne bióro tylko, wypchany aligator (jak na starych rycinach) zęb przedpotowego jakiegoś olbrzyma, wisiały od stropu. Szafy ze sło- jami, słoikami i cała. apteką okrywały ściany; na nich w wielkich naczyniach szklanych potworne mokły zwierzęta i dziwne płody. Krzesło wysokie stało przed biórem, dwa pomniejsze obok.

— Siadajmy, rzekł doktor — to moja pracownia, córki tu nigdy nie wprowadzam. Na co jej brudne tajemnice życia. Biedny kto w nie się zakopać musi! w cudze kiszki zagłębiać a swojemi trawić nie może. Przyrodzenie straszne jest, poczwarne często naszym oczom a piękne; lecz piękności w poczwarach i nieudanych jego płodach dojrzy tylko oko mędrca. Młodości dość jest widzieć wszystko po wierzchu i wierzyć w powszechną harmonię, w cudną przyrodzenia wspaniałość; na co jej zazierać do środka? Biedziłaby się z odgadnieniem wdzięku w ludziach, tworach, wypadkach dla niej niepojętych, bo strasznych i olbrzymich. — Jest to wiek, którego się nie go- dzi surowszą myślą zatruwać; i tak się budzim z niego zawczasie!

Tych słów z niejakim smutkiem domawiał doktor Fantazus, gdy z hukiem powóz się zastanowił przed gankiem i sługa w pańskiej liberyi, zawołał u drzwi:

— Tu doktor?

— Ja jestem! od kogo?

— Od Kasztellanowej...

— Ha! cóż jej? chora?

— Nie wiem! chora! przysłano mnie po niego.

— Leży?

— Nie, chodzi, ale z gorączką, jakieś niezrozumiałe żywo powtarzając słowa.

Doktor wziął kapelusz, laskę, flaszkę i wyjechał, mówiąc do Tytusa:

— Czekaście na mnie.

Tytus przeszedł do pokoju Jagusi, gdzie zastał ich jeszcze oboje w oknie bawiących się z gołębiem, co im pierwsze przypominał poznanie. Nie ruszyli się z miejsca widząc go wchodzącego.

Nie przerywając tez im rozmowy, usiadł przy stole i począł przewracać książki z rycinami,

których tam było pełno. Przepyszne stare sztychy, dane przez doktora Jagusi dla zabawy i nauki razem, dla Mamonicza dostateczną były rozrywką.

— Co się stało z doktorem? spytał go Jan po nieprędkiej chwili.

— Pojechał do chorego.

— Jest to rzecz osobliwsza, szepnęła Jagusia uśmiechając się, mojego biednego ojca wszyscy mają za obłąkanego; przecież gdy źle, każdy go zrozpaczony wzywa do siebie.

Kareta wioząca Fantazusa, zatrzymała się przed pałacem Ogińskich. — Poważnie, powolnym krokiem wszedł dziwny doktor do salonu. Jedna lampa paliła się w alabastrowem naczyniu blade rozlewając światło. Elwira chodziła żywo z rękoma założonemi, włosy rozrzucone, wzrok ognisty, na policzkach dwie plamy czerwone wypieczone; biała suknia pomięta okrywała ją niedbale narzucona.

Doktor wstrzymał się w progu i spytał po francuzku:

— Byłem tu wezwany?

Usłyszawszy głos, Kasztellanowa wzdrygnęła się, podbiegła, zaczęła przypatrywać się pilnie, potrząsała głową, zdawała się rozpoznawać kogoś dawno niewidzianego i powątpiewać czy się nie myli.

— Kto Pan jesteś? spytała z kolei.

— Doktor Fantazus!

— Doktor! ze śmiechem szyderskim podstępując ku niemu i wpatrując się w niego znowu zawołała kobieta: — Uleczze mnie z mojej słabości... Nudzę się, nudzę się, umieram, świat mi obrzydł... życie się wlecze ! wszystko znajome, wszystko zużyte, bez wdzięku,... a tu, wskazała na serce, czczość, tęsknica... rozpacz. I — dodała nagle, mówią żem podobna do

Aspazyi.

— To fałsz, odparł poważnie Fantazus, niby się jej przypatrując: Aspazya była daleko piękniejsza i nie nudziła się życiem, co dowodzi większego także rozsądku.

— Doktorze! co to jest!

— Najczystsza prawda! znałem osobiście Aspazją, między nią a panią nie ma najmniejszego podobieństwa.

— Jestem chora! jestem chora, ratuj mnie! radź mi!

— Pani nie jesteś chora ciałem, choroba twoja w duszy — i w oczach, dodał ciszej.

— W oczach!

— Tak, całe twe życie przeszło we wózek a darmo — ot choroba. Nie wypatrzałaś tej wielkości, tego tronu, tej czci, które ci się śniły, gdy...

— Doktorze! co to jest? z kąd mnie znasz?

— Ja? my się nie znamy — Kasztellanowa patrzyła na niego z przestachem, on dalej mówił:

— Przytem, Pani nie masz serca!

— Ja nie mam serca! ja go mam nadto! ja cierpię tyle.

— Serce masz tylko dla siebie! tylko na swoje cierpienie. Głową cierpisz więcej niż sercem: czem grzeszym, tem Cierpiemy.

— Doktorze, zawołała kobieta z gniewem, wezwałam cię dla rady, nie po to. — Daję rady.

— Lekarstwo! daj mi lekarstwo! — I to przyjdzie, proszę o puls.

Potrzymał za rękę trochę:

— Zły puls; Pani się gniewasz na oczy swoje, na los swój i na Aspazję trochę.

— Pan to wiesz od tego niegodnego rzemieślnika, który mnie tak rozgniewał.

— Ja to wiem — z pulsu. — Lecz mówmy o lekarstwie. Pani potrzeba kochać, a wszystko to przejdzie. Serce moje się utworzy i będziesz ocalona i staraj się o nie. Ale naprzód pozbyć się wezbranego egoizmu jeśli można. Wszystkie potężne organizacje, prawem powszechnem im silniejsze, tem więcej egoizmowi podlegają. Egoizm jest instynktem życia i bytu; im większy, silniejszy byt, tem większy w nim egoizm; ale z nim walczyć potrzeba i przerabiać go na miłość ludzi; roztoczyć to uczucie i rozlać na ludzkość. Zbądźmy się egoizmu a będziemy zdrowi. Pani potrzeba kochać! powtarzam.

— Nie rozumiem Pana.

— Pani mnie nie rozumiesz! — Uśmiechną! się. — A więc stanę się zrozumiałym. Pani masz matkę.

Kasztellanowa na te słowa pobladła i zakryła oczy rękoma.

— Pani masz siostrę, dodał doktor, Pani masz ojca.

— Doktorze, kto ci to mówił? kto ty jesteś?

— Doktor; Pani masz męża!

— O! męża! ruszyła ramionami kobieta, taki mąż!

— Zbyt tylko dobry.

— Ale któż ty jesteś? Kto jesteś? zawołała znów Kasztellanowa, — szatan?

— Nie, doktor tylko. — Skarżysz się na chorobę nudy, na nieznośne życie, na cierpienie wewnętrzne. Czemuż tego serca tak czczego nie zwrócisz ku matce biednej, ubogiej, zapomnianej przez ciebie, opuszczonej, zapartej; ku siostrze w nędzy prawie, ku siwemu ojcu, co za tobą rękę w obcy

kraj, niewdzięczne błogosławiąc dziecię, wyciąga?

— Doktorze! krzyknęła przerażona Kasztellanowa wpatrując się w niego coraz uważniej. Ja cię znam, ja cię widziałam, ty jesteś...

— Doktor, tutejszy, i jako żywo nie znamy się wcale.

— O! to oszaleć potrzeba! biorąc się za głowę zawołała kobieta. Niepojęte! niezbadane! — Kochaj! powtórzył Fantazus, ojca, matkę, siostrę, męża, kogokolwiek, ale kochaj kogoś prócz siebie. Nie sądź się lepszą nad innych dla tego, że ci Bóg dał piękne czarne oczy i czarną jak one duszę.

— To szalenie jakiś! przerwała obrażona, ale niespokojna Elwira.

— Tak, wszyscy mi to mówią, spokojnie rzekł Fantazus.

Kasztellanowa chwyciła za dzwonek.

— Kto przywiózł tego Pana? kto go tu wezwał ?

— Wskazali go ludzie jako najlepszego lekarza; myślałem...

— Odwieźć go nazad! zawołała dumnie kobieta. Doktor w milczeniu się uklonił, Kasztellanowa rzuciła mu trzy dukaty poglądając nieśmiało w oczy.

— Moja rada, warta najmniej trzydzieści lub — nic, rzekł Fantazus i zabierał się odchodzić. Szybko pochwyciła woreczek i ciskając go w dłoń starego, sama się cofnęła. — Bądź Pan zdrow.

— Bodajbyś była zdrowa! odpowiedział doktor. Kareta potoczyła się i Fantazus odjechał z uśmiechem poglądając na woreczek i dukaty.

Gdy wszedł do pokoju Jagusi, zastał jeszcze Tytusa u komina spartego i zamyślonego, a Jana z córką w oknie stojących, pochylonych ku sobie, szepczących w ucho słodkie słówka młode.

— Dzięki Bogu dwoje zdrowych, rzekł wchodząc. Jan ocalony.

— I Kasztellanowa także, dodał Mamoniczowi na ucho.

— Cóż to jej jest?

— O! nic, puchlina egoizmu padła na miejsce gdzie miało być serce; kongestia myśli i uczuć do głowy; gorączka zwykle napastująca trzydziestoletnie Panie. Zowie- my ją technicznie Febris climacterica, bo zwykle od 28 do 30 lat panie napastuje...

Na tem skończyła się rozmowa, i doktor poprowadził ich wszystkich w ogród nad rzekę; tu gwiazdziste ukazując niebo z największem serjo zaczął opowiadać podróże swoje po planetach i głębinach etheru.

— Wystawcie sobie, dodał w końcu, że raz (każdy ma swoje dziwactwa) zachciało mi się koniecznie poleceć dalej niż myśl ludzka sięga, w granice nicości, po za światy, za światło, w noc wieczną. A! nie opiszę com tam widział! W tej ciemnocie, w głuchem odwiecznym milczeniu, w absolutnej nicości, śmierć ogarnęła mnie całego, myślałem, że zginę owiany tą atmosferą chłodną i pustą, niszczącą wszystko co się w nią dostanie.

Szczęściem byłem jeszcze jedną nogą w świecie życia i miałem się czas cofnąć z nicości nazad! Głowę tylko w nią zanurzyłem, jeszcze mnie od tego boli! A! a! to

straszniejsze od piekła. Wystawcie sobie milczenie, ciemności, i próżnię, nic, a nic! a wśród tej nicości istotkę jak ja żywą i czującą, że nikt jej nie widzi, nikt nie słyszy, że jest sama, zgubiona na wieki. Tak, ta głupia ciekawość o mało mnie nie zgubiła, ale cofnąłem się w porę.

Jan i Jagusia słuchając zadrżeli.

— Ale jakże mi było wesoło, gdym wyrwawszy się z objęcia nicości, ujrzał pierwszą kulę lecącą pospiesznie w światłych już dla mnie etheru przestrzeniach! Spadłem na nią jak wystrzał i nie prędko się na niej rozgrzałem, nie prędko ochłonałem ze strachu. Sto lat kąpałem się w życiu gorącym na rozpalonej komecie, w czasie jego podróży od słońca do słońca (gdyż wiecie zapewne, że komety dwa słońca wiążą eliptyczną swą drogą). Nareszcie wytrzeźwiłem się, ale wspomniawszy, jeszcze mrowię chodzi po mnie. — Mój doktorze, śliczne nam prawisz bajki, przerwał Tytus, a nie byłeś kiedy na jednej z tych gwiazd obłoczkowych, co to są dotąd zagadką?

— Jaką zagadką? rzekł Fantazus. Są to biedne niedokończone twory syderalnego świata! Żadnej wtem nie ma tajemnicy. Niektóre z nich jak polipy kilka ganglionów, mają kilka ognisk w sobie, kilka węzłów dopóki się z nich nie wyrobi jeden, a naówczas staną się istotą skończoną, pełną, o jednym mózgu, głowie, o jednym sercu. Światy są jak twory naszej ziemi różnych stopni organizacyi. Księżyce chodzą ze swemi planetami nieoderwane od nich, nieoddzielne jak rośliny tutejsze. Są to kwiaty niebieskie; biedne niewolnicze twory. Gdy dojrzeją zwiędną, kto wie? mogą spaść na ziemię.

W przedhistorycznych czasach jeden taki rozłupany księżyc upadł na naszą i zostały ślady tego wypadku w wielkich skalistych gór pasmach. Patrzałem na to. Nasz poczciwy terazniejszy księżyc, jedna z najspokojniejszych istot jakie znam na niebie (choruje tylko na pryszcze, to jest wulkany, co mu skórę psują) także trochę przez pół pęknięty, kto wie jak się długo tak trzymać będzie? Heweliusz pierwszy dziurę tę w nim zobaczył, ale mu nikt nie wierzył, wszyscy się, z niego śmieli. A tymczasem, istna prawda, ja z kilką towarzyszami przechodziłem nią na wylot.

To mówiąc doktor ukłonił się wielkiej kuli ognistej zielonawego koloru, która się ukazała na

południu.

— Znajoma! rzekł.

Wszyscy się mimowolnie rozśmieli. .

— Czego się śmiejecie? spytał. A! a! i dzieci się śmieją, gdy czego nie rozumieją. Tak to zawsze! Ale nie uważajcie na mnie, śmiećcie się jeśli wam to potrzebne. Widzieliście ognistą kulę, której się pokłoniłem? Dwa razy w rok tych gwiazd spadających i meteorów ognistych mnóstwo stacza się w atmosferę ziemi i rozpływa w niej: dzieje się to pierwszych dni kwietnia i listopada. Ale wiecież czemu? Oto za ziemią chodzi niewidzialna przezroczysta bryła wyziewów, która się kocha w naszej planecie; ale skazana na niewidzialność, na ciągle próżne krążenie, dwa razy tylko zbliża się do nas i spalonymi usty jak Tantal ziemię dotyka. Wówczas to, ogniste owe rzuca jej pocałunki. Kwiecień i listopad są świadkami wielkiego niewidzialnego połączenia dwojga kochanków, którzy za ledwie zetknięwszy, rozłączają znowu.

To powiedziawszy zamyślił się doktor głęboko.

— Dość, rzekł Tytus, prawileś nam o niebie. Wiem jak opowiadać lubisz, powiedz nam teraz co o ziemi. Ty na niej widzisz pełno dziwów, gdzie my tylko pospolite wypadki; nie zabraknie ei przedmiotu.

— Przedmiotu? he? zapewne, odparł Fantazus rzucając oczyma. Widzieliście romans bardzo osobliwy na niebie, między ziemią a niewidzialnym jej towarzyszem, powiem wam drugą podobną bajeczkę. Bo wy, dodał, macie to wszystko za bajki! Was trochę dziwi co ja mówię, a trochę śmiesz, przyznajcie? Grzeczność tylko nie dozwala wam powiedzieć szczerze, że mnie macie za szalonego. Cóżbyście rzekli, gdybym wam wypowiedział cudne historye, które się przed oczyma mojemu przesnuły, historye jakich nikt nigdy nie słyszał, nikt nie pojął; ciągnące się lat tysiące i rozpoczęte nad błotnistym brzegiem u palm Nilu, a rozwiązane u Gangesu lub nad Orenoką, w seciny lat później ?

— O! o! mówił doktor Fantazus, mani ciekawe i osobliwsze historye w głowie.

Wy się nie raz dziwicie widząc kogoś raz pierwszy, że go czujecie jakby doskonale znajomym, jakby dawno kędyś widzianym. Dla mnie to rzecz jasna. Piekło nie jest ani w ognistym środku ziemi, ani po za nią, ale na niej samej. Kogo Bóg chce ukarać, śle go (nie jak chciały ludy pierwotne w ciało zwierzęcia, bo dusza ludzka nie może być tak dalece poniżoną) ale w ciało nowego człowieka. Biedny żyje więc powtóre, potrzećcie, podziesiąte. Jedna młoda dziewczyna, pomnę, pokochana została, w dawnych to wiekach jeszcze, gdy cywilizacja świeciła, w starym Egipcie. Nie znacie Egiptu! teraz to pustynia i piekło biednych fellachów; dawniej zaś było to tak (jak wy żowiecie) cywilizowane państwo, że gdybyście je znali, mniej dumni byłibyście sobą. Ale wszystko mrze i odradza się, tak i ta cywilizacja wasza! Tu zmarła, tam świeci młoda i potężna.

Ale o czemże mówiłem? a! o młodej dziewczynie z nad brzegów Nilu. Ujrzała biedna młodzieńca i pokochała go całą duszą. Młodzieniec obojętnie na nią spojrział i poszedł. Ona myślała o nim długo, żyła, kochała i umarła. To się dawniej trafiało, ie umierano z kochania, wierzcie mi, dziś to

— Nie, nie! odpowiedziała rzucając nań wejrzenie łagodne.

— Dla czegoś taić przedemną? poznam, przeczuję — płakałaś droga!

— Trochę.

— Powiesz mi łez przyczynę? — A śmiałyś się.

— Naprzykład, zobaczysz że się śmiać nie będę.

— Myślałam o przyszłości.

— Jestże w niej co straszego ?

— Dla mnie! tysiąc rzeczy. Mój ojciec męczy się tutaj. Chciałby znów rozpocząć swoje wędrówki, ja mu zawadzam. — Poszłabym do klasztoru, ale boję się mu to powiedzieć — nie pozwoli.

— Dla czegoś do klasztoru?

— Gdzież się schronię?

— Jagusiu, potrzebaż mówić że cię kocham, żem twój.

— Wiem o tem, mówiłeś mi to wczoraj. Ale Janie, tyś się nie powinien żenić, powiada ojciec. Żona zabija artystę, on cały winien siebie sztuce.

— O! lepiej sztuki się zaprzeć, niż szczęścia.

— Ja i tobie jak ojcu będę zawadą w życiu, ciężarem. Takie biedne przeznaczenie kobiety. U dzikich pól zwierząt, pól ludzi, ona dźwiga ciężar domu i całej pracy, mąż żyje właściwie, ona tylko jest narzędziem do życia jego.

U nas kobieta jest niby sobą, chce być oddzielną istotą, wymagacie tego po niej, a niedozwalacie. Ztąd tysiące zawodów dla obojga. O! życie! życie! prawda! wielka i straszna zagadka. — Którą rozwiązuje chwila szczęścia!

rzekł Jan.

— I długie lata wspomnień i długie lata

nadziei.

— Zawsze to taż sama chwila szczęścia widziana wprzód zdaleka, widziana potem w oddaleniu. Całe w niej życie. Jagusiu! po cóż płakać, będziemy szczęśliwi.

— Chwilkę! odpowiedziała.

— Czyż mogę zmienić życie i jego warunki nieśmiertelne? chcesz, pozwolisz, będę o ciebie prosił ojca?

Ona się zarumieniła, westchnęła i podała mu rękę.

— Słuchaj, rzekła, namyśl się jeszcze, niechce mojego szczęścia kosztem twojej swobody. Artysta niema u nas zapewnionego nawet chleba. Jam uboga, nie myśl żeby mój ojciec był bogaty. Ja najlepiej wiem o tem. Nie wiele, lub nic mieć nie będę.

— Ja nic nie chcę.

— Wyżyjem że z twojej pracy? Ty więc dla mnie zabijać się będziesz.

— Droga! będziemy żyli skromnie, ubogo, na co nam wiele? miłość złoci ubóstwo.

Jagusia zamyśliła się...

— A! odezwała się potem, nie pokazuj mi szczęścia, płakać potem będę jak pierwsi rodzice wypędzeni z raju.

— Kiedy raj dla nas otwarty!

— Chwila raju, a potem, kto wie?

— Dla czegoż chwila?

— Wszystko jest chwilą tylko, mówi mój ojciec — i wieczność chwila jest także, ale bez początku i końca.

Zamyślili się, głowy ich nakłoniły ku sobie mimowolnie, Jan uczuł złoty, miękki włos Jagusi głaszczący mu twarz, dotknięcie jej świeżego jak dziecinne ciało policzka; pochwycił ją wpół i pocałował. Jagusia porwała się zarumieniona, zmieszana, bo doktor Fantazus stał przed niemi z namarszczoną brwią.

— Co to jest? rzekł, złodzieja mam w domu?

— Nie, zawołał Jan, ale syna, jeśli się na to zgodzisz.

— Jeśli się zgodzę! Właśnie to pytanie. That is the question — jeśli pozwolę. Nie bardzo mnie o pozwolenie prosiliście! No — a jeśli pozwolę? spytał z uśmiechem.

— A! dasz mi szczęście! rzekł Jan chwytając go za rękę.

— A ty dasz-że go Jagusi mojej? dasz go na długo, na życie całe?

— Przysięgnę na to.

— Ale dotrzymasz?

— Wątpisz?

— Ojczy! możesz wątpić? przerwała dziewczyna rzucając się mu na szyję. Ty wiesz, że ja go kocham. — No! no! bądźże jego! zgoda — ale pamiętaj Janie, żebym cię o rachunek nie spytał, ze skarbu który ci oddaję. — Jan z zapałem całował rękę doktora, który zdawał się poruszony.

— A teraz, rzekł Fantazus, — myślicie o weselu, po weselu ja w drogę, zostawiam was samych — jadę — jadę, muszę.

— Ojczy? czyż znowu! dokąd? na długo? spytała z wyrzutem Jagusia.

— Ani dokąd? ani na długo nie wiem. Mam komu powierzyć Jagusię, a więc jadę, jadę!

I okręcił się na nodze wesoło, z dziką radością. — Ale pamiętajcie mi być szczęśliwi, dodał, bo łąza Jagusi zwabi mnie chociażby z drugiej planety.

I wyszedł porywczy z pokoju.

Nie będziemy opisywali szczęścia; byłoby to chcieć w dłoni utrzymać bańkę mydlaną — zostałyby z niej może trochę brudnej wody — nic więcej! A tęczowe kolory, a połyski owe, poszłyby z kąd przyszły, w niepojęty świat ducha i światła, w nieznan kraj niepochwyconych tajemnic.

Doktor Fantazus począł się krzątać bardzo pilnie około wesela córki, a razem wszystkie swoje sprzęty pakować i dom ogałacać. Nawet bazaltowy Sfinx z ganku znikł także, pozostały tylko rzeczy Jagusi i jej uboga dosyć wyprawa; a w pokoju doktora półki próżne i zrzynki papierów.

Jednego wieczora wszedł doktor do pokoju narzeczonych.

— Jest zwyczajem, rzekł porywczy wedle swego trybu, że się coś daje zwykle w dodatku do żony. Dość to głupi zwyczaj; bp to może uznanie, że kobieta może być nieużyteczną, i stać się ciężarem. Płacim aby ją sobie wzięto. Ludy wschodnie, ludy pierwiastkowe całkiem to inaczej rozumiały, a choć im zarzucają barbarzyńskie poniżenie kobiety, więcej jest uznania jej godności w tej sprzedaży dziewczęcia, niż w naszym, co za nią dajemy, posagu. Wiem że posag nasz wypłynął zapewne z myśli podziału niby ojcowizny i macierzyzny, ba! ale niemniej upokarza kobietę, bo nie ona bierze co na nią przypada, nie ona tem rozporządza, ale mąż, — a mąż bierze najczęściej kobietę dla tego co ona ma, a w dodatku ją. — Wiem że Jan o tem nie myślał co Jagusia mieć może; ale muszę mu powiedzieć że uboga.

— Tem lepiej, rzekł Jan, oboje ubodzy jesteśmy. — Po matce miała dom, alem go sprzedał i przewędrował.

— Nie pytam się o to.

— A ja mówię, abys nie myślał, że się wstydzę lub taję z tem co uczynilem. Za ten dom co wzięłem, niewiem; daję przecie mojej Jagnie wyprawę na jaką mnie stało i parę tysięcy złotych.

Więcej nie mogę. Mam pieniądze, ale ich potrzebuję na podróż, która tajemnicę wielką dla mnie i dla całego świata rozwiązać może. Czy powrócę z tej podróży, niemem. Chodzi mi o to, żebym był na biegunie północnym i przypatrzył się zadziwieniu igły magnesowej, gdy z nią tam przyjdę i położę na miejscu. A! a! będzie to wielki piąty akt dramatu dla was niepojętego, ale życia pełnego dla mnie. Wiesz zapewne Janie, że dwa są ściśle biorąc bieguny północne: magnesowy i ziemski, różne od siebie; nieruchomy jeden, drugi obracający się w koło niego. Wielka zagadka, jaką tam mi scenę odegra igła. — Muszę jechać, muszę jechać. — Może zginę, ale nie mniej pojedę.

— Jakto? wszak żyjesz doktorze bez końca i zginąć nie możesz?

— A! chciałbyś ranie złapać? Zginę! zginę jednej pochewce, aby się w drugiej znaleźć i przebudzić. Zginę dla was, ale nie dla siebie.

Jeżeli nie wrócę moje dzieci, rzekł siadając, nie bez wzruszenia, wspomnijcie też czasem o mnie! Po śmierci, to jeszcze dalszy ciąg życia na ziemi — wspomnienie. Wspomnijcie! ludzie różnie o mnie plotą: mówią żem szalony, żem głupi!! może, może! nikt nie powie przecie żebym był niepoczciwym i złym! Głupi? każdy kto nie myśli jak my, dla nas jest głupi; — zwierzę głupie dla nas, my głupiśmy dla niego, dla anioła, a anioł czem przed Bogiem?

Kocham więcej naukę i moję nienasyconą żądzę wiedzy, niż wszystko na świecie, niż was nawet (nie taję) — oto grzech mego żywota! lecz i kara za grzechem idzie. Każdy ginie przez swój grzech i ja zginę przezeń, wspomnijcież o mnie dzieci.

Wyszedł szybko, Jagusia rzewnie płakała, Jan się głęboko zadumał.

— Kochana Jagusiu, rzekł po chwili łzy jej widząc, ojciec, straszy nas tylko; nie myśl o tem, mówmy i myślmy teraz o sobie trochę, to nasz kwiat życia tych chwil kilka. Słyszałaś, że nie jesteśmy bogaci, nie obawiasz się tego?

— Boję się — dla ciebie.

— Jam dumny i szczęśliwy z tego; ale wybacz droga, że ci przepychu ani nawet zupełnej nie dam swobody. Musimy pracować oboje, musimy żyć skromnie. Kto wie jakie nowe obowiązki czekać nas mogą? Nie dajmy się unieść tej chwili i ułożmy nasze życie, aby bez zmiany trwać mogło. Pościelmy gniazdko szczęściu tak nisko, aby go burza nie zniosła.

— I aby go zwierz zły nie zdeptał.

— Tak aniele drogi, na gałązce krzewiny, między niebem a ziemią. Jutro wesele nasze, a po ślubie, na którym tylko doktor i Tytus będą (na co nam wrzawa i świadkowie?) przejdziemy do siebie. Rano każesz przenieść co masz tutaj, a ja cię w nowem mieszkaniu panią powitam.

— O! gdyby ojciec mój mógł pozostać z nami! — Słyszałaś, wiesz, że to być nie może, nie uprosimy go. Czekał tylko zdaje się chwili, aby cię powierzyć komu; uleci znowu gdzieś daleko. Kto wie? nie jestli to mędrzec co się zasłania ludzkiemu podziwieniu swoim udanym szalem, aby pod tą zasłoną pracował spokojny?

— Ja tak go znam mało. Wiem, że serce ma dobre i prawdziwie ojcowskie, ale umysł unosi serce, a nauka całego zajmuje. Boję się tej wyprawy na straszną daleką północ.

— Przekona się o jej niepodobieństwie i powróci nam. Wiek powoli ten zapał do podróży i odkryć ostudzić musi.

Tak rozmawiając o ojcu, o sobie, przesiadzieli do wieczora, a pożegnawszy Jagusię do jutra tylko, Jan powracał do domu w stanie oczekiwania, błogości, nadziei, który bez ochyby jest duszy stanem najszcześniejszym. Nigdy otrzymane nie zrówna oczekiwanemu.

Zabłąkał się umyślnie w ulicach księżycem oświetlonych i nie wiedzieć jak zaszedł przed dom Ogińskich, którego okna były mocno oświetlone. Spojrzał w nie i serce mu się ścisnęło, myśl wzgardy doświadczonej, czarne oczy Kasztellanowej, oczy tak ogniste, tak wiele mówiące stanęły mu przed duszą. Odepchnął niegodziwe wspomnienie. Lecz odwracając się ku domowi, dostrzegł kilka osób, które równie jak on wzdychały i zdawały się poglądać do góry, ku oknom, jakby tam siła niepokonanego uroku ich ciągnęła. W najbliższym, poznał Jan obojętnego Kasztellana, którego zadumany stał przed oknami dawnej żony. Musiał płakać po niej: jej oczy wtedy nawet gdy żyli razem nie raczyły padać na niego. Drugim był doktor Fantazus, także błądzący około domu jak wilk około przynęty. Postrzegłszy, że został poznany, uciekł. W ostatnim schwytał Jan Tytusa i najmocniej zdziwiony, pochwycił go za rękę: — Co tu robisz? spytał.

— Co? a ty?

— Ja? przechodzę do domu.

— Proszą drogą! I ja, idę.

— Stałeś?

— Odpoczywałem.

— Chodźmy razem dalej. A więc i ty Tytusie oczarowany zostałeś jak wszyscy co się do niej choć na chwilę zbliżyli? To niepojęta! Cóż jest w tych oczach?

— Co w nich jest? co w nich jest? powtórzył snycerz z zapałem. O! obietnice, których nikt dotrzymać nie może na ziemi, wielkie niepojęte słowa, jak muzyka, którą czujesz wytłumaczyć nie mogąc. Coś, jakiś język hieroglificzny, tajemny, wielki, uroczy, czarnoksiężki. O te oczy, te oczy!

— Te oczy, wcale nie mówią co im przypisujesz, odparł Jan. Ja je znam, bom przecie mało nie umarł od nich.

— A ja małym od nich żyć nie zaczął, zawołał Tytus. Ale wczas wstrzymałem się w pędzie. A jednak, patrz jak piętnastoletni chłopiec, ja — mąż, ty, doktor Fantazus, wlecemy się pod jej okna, gdy ona na kimś nowym może próbuje siły swego wzroku, niepojętej siły!

— Magnes nie jest absolutniejszy, rzekł Jan, ale uciekajmy od nich, uciekajmy, ja teraz mówię jak ty dawniej.

Jutro Tytusie wesele, jutro wesele! Rano urządzam mieszkanie, wieczorem jedziemy na Antokol, ty, ja, ona, doktor, nikt więcej. Potem spędzimy kilka godzin na rozmowie, u mnie! Będziemy sami. O! co za wielka uroczystość! Biada temu szczęściu co się potrzebuje chwalić przed ludźmi, aby Sie szczęściem poczuło. Z rana przyjdiesz mi pomódz dla urządzenia mego mieszkania, nieprawdaż?

— Dobrze, dobranoc.

— Nie wracaj tylko pod okna Kasztellanowej. Rozstali się śmiejąc z własnych szarów. Tytus poszedł uliczką ku Bakszcie, ale gdy go Jan zobaczyć już nie mógł, zawrócił się szybko i wrócił ku pałacowi Ogińskich. Doktor, mąż i jeszcze ktoś trzeci krążyli jeszcze dokoła, choć już światła w oknach pogasły.

Dziwne to były te oczy, te dwa ogniska duszy, co tyle zapalały pożarów, tyle wzniecały myśli! Oczy? cóż w nich zdaje się tak uroczone być może? Dwie czarne zrenice, zmrużone powieki, łzawy wzrok, nic więcej. A było w nich nieskończenie więcej i nieopisanego: zdawały się ciskać promienie, narzucać łańcuchy, uderzały cię do głębi, do dna istoty twojej. Gdy raz tam padły jak harpon na wieloryba, jużś był ranny na wieki. Kobieta przecie co niemi rzucała, nie miała uczucia ni serca, nie kochała nigdy w życiu, nudziła się życiem, otaczającami, całym światem! Zagadka dla Edypa. Wielki dzień dla Jana zaświtał nareszcie; miał być szczęśliwy, pozyskać rodzinę, towarzysza, cel życia; nie sam już jeden, podwojony miał iść dalej. Od rana krzątano się w pokojach na Zamkowej ulicy. Obszerna malarnia z oknem na północ obróconem, oczyszczona, ubrana świeżo, cała zawieszona obrazami, szkicami, podmalówkami, kopiami arcydzieł, przedstawiała miły widok. Ściany jej żyły istotami przez pędzel stworzonerai. I jak na świecie, śmierć tu była obok życia, smutek obok radości; Adonisa zgon i łzy Magdaleny obok Bacchanalii Albana, obok Kermessu Teniers'a. W ciemnym kątku Kasztellanowa-Sybilla patrzyła z obrazu swemi niebezpiecznymi zbójceckimi oczyma; ale na widnem, na najlepszym miejscu Jagusia z gołąbkim w ręku, w białej sukience, na tle zielonych drzew, uśmiechała się artyście. Była to jakby robota Greuza, co umiał tyle uczucia wlewać w głowy swoje.

Z malarni prowadziły drzwi do przechodniego pokoju i sypialni Jagusi; drugie z niego do bawialnego, niewielkiego skromnego saloniku. Korytarz łączył tę część domu z kuchenką i gospodarskimi kryjówkami.

Wielka klatka gołębi umieszczona u okna aby łatwiej ulatywać mogły, już tu wniesiona została, a biedne stworzeńka trzepotały się w niej ze strachu, nie widząc w koło nikogo znajomego. U łóżeczka Jagusi był krzyżyk, palma i obrazek świętej Agnieszki, umyślnie zrobiony przez Jana, w ramach snycerską robotą Tytusa.

W saloniku wszystko proste, czyste tylko i wdzięczne: dwa obrazy, kopie starych, na dwóch ścianach, nie wielki fortepianik przez ojca darowany, kanapka, krzesel kilka, zwierciadło. Mały brązowy Sfinx upodobany Janowi, darowany przez doktora także, leżał na komodzie dawnej roboty, wysadzaney drzewem różnokolorowem. Na niej stała także przez ojca dana Jagusi szafeczka hebanowa, bursztynem, kością, miedzią i srebrem misternie wysadzana. Klejnot drogi, tak była wypracowana starannie; drobne jej szufladeczki miały służyć Jagusi na schowanie robotek i listów. Z wierzchu leżał z kości słoniowej zrobiony, zamyślony Amor, oparty na łuku, dumający zda się, co miał począć z sobą. Więcej żadnych ozdób i świecideł: kilka wazonów z starej porcellany, firanki z

białego grubego muślinu, pajak ze szkła i porcellany, kupiony przypadkiem, bo ich już naówczas nie używano.

Jan i Tytus ustawiali drobne sprzęty i rozmawiali wesoło.

Tak przeszedł dzień do wieczora, słońce zachodziło, gdy upakowany powóz, ' stary i zużyty zatoczył się przed bramę.

— A to oni! chodźmy! chodźmy! zawołał Jan.

Zbiegli szybko ze wschodów, a tam już na nich czekano robiąc im miejsce w powozie. — Dla czegoż upakowano? spytał Jan.

— Nie pytaj, odpowiedział doktor Fantazus, nie pytaj.

Milcząc prawie dojechali do kościoła, Jagusia puściła rękę Janowi, który ją całował, siedząc blada i zadumana. Ślub odbył się poważnie, w milczeniu, a starzec ksiądz przełożył nowo pobranymi ich obowiązki wzajemne. Doktor stał w oddaleniu, córka jego długo się jeszcze modliła; a potem, wychodząc prosiła aby mogli pojechać po błogosławieństwo na groby babki, matki, siostry, na blizkich pochowanych mogiłkach.

Fantazus zgodził się na to milczący, i smutne odwiedziny smętarnie odbyły się szybko. Wszyscy pomimowolnie chcieli widzieć złą jakąś przepowiednię w pobożnym zboczeniu do grobów. Mieli wsiadać do powozu, gdy doktor odezwał się wzruszony: Moja Jagusiu, ja cię błogosławię i żegnam! Wróćcie sami do miasta drugim powozem, który na was czeka pod kościołem; ja jadę. — Ojcze! ojcze! zawołała córka z wymówką, opuszczasz nas tak prędko? dziś jeszcze? zaraz? godziż się to? chceszże nam zatruć najpiękniejszy dzień w życiu?

— Nie mogę, nie mogę zostać! przypatrzywszy się waszemu szczęściu, możebym nie potrafił opuścić was; a muszę, powinienem. Jadę, jadę natychmiast, nie brońcie mi. Janie, dodał, oto żona twoja; na świecie nie ma ona nikogo prócz ciebie, tyś jej opiekun, obrońca, wszystko i wszyscy. Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi! Bądź zdrow Tytusie, tobie nie potrzebuję życzyć szczęścia: dumaj tylko o swoim Herkulesie, a nie chodź pod okna Kasztellanowej, będziesz szczęśliwy.

Jeszcze raz ich uściskał.

— Mój ojcze dziś tylko, tylko dziś jeszcze do wieczora się zatrzymaj, pojedziesz jutro, pojedziesz w nocy, prosiła Jagusia. — Dziecię moje, ty wiesz, ja słowu mojemu nie kłamię nigdy, nie mogę zostać, nie prosz mnie o chwilę nawet. Bądźcie zdrowi! daj Boże nie na zawsze!

Pocałował w czoło Jagusię zalaną łzami, uściskał za rękę Jana i Tytusa i szybko rzucił się w powóz. Jeszcze nie przyszli do siebie z osłupienia przytomni, gdy jego już nie było. Jagusia upadła na ręce męża i płakała powtarzając boleśnie:

— On mnie nie kochał!

Ten odjazd ojca zasmucił cały wieczór państwu młodemu, powrócili do domu; a przerażona i

osamotniona nagle Jagusia ciągle płakała. Tytus, widząc się tu zbyt czynnym, odszedł rychło i zostawił ich samych; a Jan ukląkł przed nią i starał się pocieszyć jak umiał. Ale napróżno. Jak te gołębice Jagusi, tak ona przesadzona w obce miejsce, spłoszona była położeniem swem nowem, nowem a nieznanem jeszcze życiem, które rozpoczynała. Zniknięcie ojca odjęło jej wszelką radość, ścisnęło serce, odebrało nadzieję.

— Mój aniele, mówił jej Jan klęcząc i całując opuszczone rączki, zatruwasz twoim smutkiem dzień tak piękny i pamiętny. Ojciec twój wielką lub dziwną myślą odleciał ku ulubionym badaniom; myśmy sami; tak jak zawsze będziemy z sobą. Kilka dni spoczynku, a potem wezmę się do pracy, abyśmy byli bogaci, aby ci nic nie brakło. Boję się dla ciebie ubóstwa naszego, pókim był sam, ono mi było obojętne, ale teraz!...

I począwszy roić, układać, marzyć o przyszłości, wwiódł Jagusię w ten kraj uroczy za sobą. Oboje uśmiechać się zaczęli opowiadając sobie jak chcieli mieć tę przyszłość swoją. Stary zegar wybił dwunastą, a oni jeszcze rozmawiali; aż Jan uściskiem przerywając ostatnie wyrazy, powiódł ją zarumienioną do jej sypialnego pokoiku.

Jagusia rozplakała się i padła na kolana.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

Tom czwarty.

II.

obiad desserem; ale nie powieść z prawdziwego życia.

Słodczyte tej uczy ostatecznej są fałszem nawet w książce; życie kończy się gorzko, to jego niezmiennie prawo, skoro się w sobie zamyka i ziemią ogranicza. Z wszystkiego słodkiego tutaj, najśłodsza i największa śmierć z wejrzeniem w niebo; bo ta łączy nas z drugim światem.

Idźmy więc dalej a dalej !

Jan w przeciągu tego czasu, który minął od jego przybycia do Wilna, do opisanych tu zdarzeń, kroku jeszcze nie uczynił był prawie do sławy i z bogacenia, dla ustalenia losu swojego. Zazdrość tylko obudziła się silniejsza, zawziętsza, gdy głucha poszła pogłoska o wziętości jego u kasztellaństwa, o pochwałach acz skromnie udzielonych Żarskiego, o ożenieniu, które za bardzo szczęśliwe i bogate uważano.

Kilku malarzy, jak on pragnących zajęcia a nieznanym i niewziętym, sypali nań najczarniejsze baśnie i potwarze. Wedle nich Jan był człowiekiem zepsutym, dumnym, chytrym, złego serca, przebiegłości wielkiej a małego bardzo talentu. Obrazy uchodzące za jego utwory miały być obcej ręki, on sam niezdolny nic tworzyć, portrecista nawet lichy; cała sława pozyskana niewiedzieć jak i cudzą pracą.

Tak mówiono gdy Jan pracował i pokazywał się częściej, po słabości zaś jego i dobrowolnym odosobnieniu, które poprzedziło ożenienie, przestano się nim zajmować i zapomniano zupełnie. To zapomnienie gorsze jest może od potwarzy dla człowieka, co musi budować na wziętości i sławie swą przyszłość. Zapomnienie, milczenie, brzemienne jest lekceważeniem i wzgardą.

Gdy Jan po ożenieniu zażądał pracować; wprędce przekonał się, że najtrudniej będzie znaleźć zajęcie. Obrazy przywiezione z Rzymu dla wysokiej dość ceny, którą za nie naznaczał, sprzedane być nie mogły. Wziął się Jan do kompozycji, ale bez nadziei aby na prace jego znaleźć się mogli amatorowie.

Portrety, któremi żyje u nas biednie większa część malarzy, nie jego były rzeczą; pojmował portret tylko w sposobie Rafaela, Tycyana, Van-Dycka, portret monumentalny, idealizujący wyraz znakomitego indywiduum, wydanie typu uderzającego; poemat z twarzy ludzkiej. Ale taki portret był obrazem; nie każdy mógł za wzór mu służyć, a kosztował tyle pracy, że go za sto złotych (wyżej mało ktoby chciał zapłacić) oddać nie było podobna. Dwie czy trzy niewielkie znalazły się roboty, ale tych nagroda za ledwie wystarczała na codzienne potrzeby; w końcu kilku miesięcy musiano zajrzeć do woreczka Jagusi, z którego na długo stać nie mogło.

Jan oceniwszy swoje położenie, nic o niem nie mówiąc żonie, począł stanowczo myśleć jak mu zaradzić? i przy pierwszej zręczności postanowił o tem pomówić z Tytusem. Zesli się z nim cicho

w malarni, i na pierwsze słowo malarza, Mamonicz mu odpowiedział: —Wiedziałem, że tak będzie, kochałeś, nicem ci mówić nie mógł o przyszłości, sądziłem, że ją przewidujesz za dwoje, teraz seryo myśleć i radzić nam potrzeba. Portrety wyżywić cię nawet nie mogą; nie wielką ich liczbę potrzebną bazgrzą z zadowoleniem publicznem wyrobnicy, z którymi nie wytrzymasz współzawodnictwa. Nowych kościołów, w wieku niewiary i obojętności, nikt już nie stawia: freski są u nas rzeczą nieznaną. Duchowieństwo zajęło się polityką, literaturą, wychowaniem; sztuka po większej części rzeczą dla niego obcą, wreszcie kościoły i klasztory pełne są obrazów i posągów; rzadko gdzie pracować się trafi. Między krajowcem zaś a obcym, wybiorą pewnie obcego choćby tylko nazwiskiem. Książek wychodzi u nas nie wiele, na rysunki do nich spuścić się nie można: tłumaczenia ilustrują się nędznymi blachami tanio nabytymi za granicą. Prawdziwie, w głowę zachodzę co poczniesz z sobą. Myśl, myśl, myślmy chociaż nie przewiduję jak radzić. — Co począć?

— Gdybyś nie był sumiennym i szlachetnym radyby się znalazły.

— O! takich ani ja przyjąć, ani ty podać nie możesz. Drogi Tytusie, myśl jaką mi daj, naprowadź, co robić?

— Ledwiebym nie powiedział, żeby porzucić sztukę u nas niewdzięczną, a wziąć się do czego innego, ale ty na to także zgodzić się nie zechcesz.

— Niepodobna! powiedz mi na co się przydam? Ja nic nie umiem, pomyśleć nawet o porzuceniu pędla nie potrafię.

Tytus spojrział na Jana, który był blady i skutkiem przejrzenia się w położeniu swem, prawie rozpaczający. — Jesteś już w tak krytycznem położeniu? spytał.

— Nie, wcale, ale mogę być jutro, za miesiąc, trzeba więc zapobiedz wcześniej. Tyś jeden komu się z tem zwierzam, ratuj i mów co począć?

— Naprzód, rzekł Mamonicz po namyśle, potrzeba, jak to mówią, zrzucić zupełnie pychę z serca. Największą zaprowadzić w domu oszczędność; oszczędność drobnostkową, bo drobnostkami giniemy. To pierwsza: wszystkiego co łechce tylko dumę się wyrzec, co się kupuje dla oczów i dla przyzwoitości zaniechać. Powtóre, zapomnieć, że się jest wielkim artystą, szukać jaką Bóg da robotę i poddać wymaganiom choć głępszych od nas amatorów. Potrzebie, trzeba się poznajomić i porobić stosunki w mieście, odwiedzić kolegów malarzy, chociażby to byli tylko bazgracze i niepocziwi szczekacze co drą twą sławę za oczyma; trochę im podkadzić; pójść z uszanowaniem do panów, do wyższych mogących ci dopomódz, pokłonić się duchownym, urzędnikom i t. d. i t. d.

Sztuka mój miły Janie, jak skoro się chce mieszać z praktycznem życiem i ma mu służyć za podstawę, musi się unżyć i sprofanować, musi się przedzierzgnąć w służebnicę.

— O! ty mnie znasz! mogęż ja to uczynić?

— Spytaj się sam siebie. Pókiś był sam, sam jeden, nigdy ci tego nie radzi!, bo jednemu ubóstwo ze sztuką lekkie i wesołe; ale teraz masz obowiązki, a niemaszże siły do poświęceń?

Jan spuścił głowę.

— Nie odkładaj, od jutra zaczniemy ruszać się. Proś Kasztellana aby cię zalecił moznym krewnym swoim, słowo powiedział za tobą w swoim towarzystwie. Ja w dość wielu domach jestem znajomy nie jako artysta, ale jako wesoły gawędziarz, często jako potrzebny kołek do zajęcia dziury u stolika do małego Bostona lub Ówika. Będę mówił o tobie, wprowadzę cię gdzie mogę. Ale mój Janie! uzbrój się w uśmiech na wszystko odpowiadając mający nawet na słodkie niegrzeczności, uzbrój się wcześniej w anielską cierpliwość.

— Miłość mi jej doda, o! życie! życie! zawołał.

— Oswoisz się z tem. Tam to będzie tylko kuchnią życia, prawdziwe życie w domu.

— Lecz nawzajem przyjmować będę musiał u siebie, czas mój zabrany zostanie.

— Rozważysz czy skutek wart będzie ofiary; teraz zaś trzeba czegoś próbować jesteśmy zmuszeni, vogue la galere!

Na te słowa wbiegła Jagusia, wesoła, różowa i podała przyjacielsko rękę Mamoniczowi, któren ucałował ją milczący ale wzruszony. Wesołość pusta, dziecinna tej ko- biety tak dziwnie odbijała od smutku i niepokoju, któren ukrywali dwaj przyjaciele. — Co wam jest żeście mi tak chmurni? Chodźcie do mnie, wszak to już mrok pada, a Jan malować nie może, jam sama, pogadamy, pośmiejem się. Uciekam od Jasia, żeby mu nie przeszkadzać w czasie roboty, ale niechże mam wieczory przynajmniej. No, chodźcie!

Na rozkaz gosposi, ruszyli oba do pokoju, gdzie ich już czekał podwieczorek. Jagusia nie pojmując nawet co się w koło niej działo, a mając w ręku własny fundusz nie wielki, którym dysponowała; nic nie wiedząc, że Jan, straciwszy na ożenienie, tyle tylko prawie miał ile było w jej woreczku; z nieopatrnością szczęśliwego dziecięcia traciła na stroje aby mu się podobać, na śniadania, obiady, podwieczorki, aby się za swój dom nie powstydział.

Przyjęcie Mamonicza i kilku znajomych daleko było nad skalę ich możności posu- nione; ale Jan powiedzieć jej o tem nie śmiał. Boleśnie mu było rozbić jej szczęśliwą niewiadomość. Z drugiej strony, Jagusia, jak wszystkie młode panienki co zbliżka nie dotknęły się nigdy szczegółów gospodarstwa domowego, dała się dobrodusznie oszukiwać słudze. Prędzej więc niż spodziewać się było można, nastąpić mogło zupełne wyczerpnienie zapasów.

Jan drżał na myśl samą, ale nie wiedział jeszcze jak to było blizkie. Tytus przewidywał, że się potrzeby okażą prędzej niżeli Jan spodziewa: oko przyjaciela jasno patrzyło we wszystko, a serce jego bolało zawczasu.

Wieczór przeszedł im dość wesoło, Jagusia była w złotym humorze, i nie pojmując co za chmurka wisiała nad czołem Jana, rozpędzić się ją starała.

— Niewdzięczny! mówiła żartując, ja go tak kocham, a on nie wiem czy swoją się tam robotą jakąś trapi i przychodzi do mnie znużony a smutny. Pamiętaj, pamiętaj Jasiu, że dałeś ojcu słowo, iż

muszę być szczęśliwą; a jak nią być, kiedyś ty mi smutny?

Jan pocałował ją za całą odpowiedź; dwie łzy mu się potoczyły ukradkiem, otarł je z udanym uśmiechem. — A, rzekł w duchu, wszystko uczynię, byleby się nie domyśliła niedostatku, byle go nie uczuła nigdy. Żegnając Mamonicza, szepnął mu: — Pamiętaj! jutro!

— Cóż to, jutro? spytała ciekawie żona. — Jutro, odpowiedział Mamonicz, mamy konieczne wizyty, może ich nam stać na cały dzień.

— O! znów Jan mi uciecze!

— Potrzeba kochana Pani, a przed potrzebą schylmy głowę. Wolelibyśmy tego uniknąć, ale cóż począć? — potrzeba!

— Cóż to za potrzeba tak pilna? spytała Jagusia gdy zostali sami. — Mam nieprzyjaciół, rzekł Jan, mówią żem dumny, brak mi stosunków, muszę się z ludźmi poznać więcej. Inaczej nie będę miał nigdy ani wziętości, ani przyjaciół, ani chleba. Ostatnie wymówił cicho.

— Nieprzyjaciółmi wzgardź!

— Gardzę niemi, ale mi szkodzą. Na tem przestali.

Około dziesiątej Mamonicz się stawiał wedle obietnicy, poczciwy ten artysta, cały żyjąc przyjaźnią, poświęcał się ochoczo i nigdy dla siebie nie opuścił przyjaciela. Zaparcie się, poświęcenie tak mu zdawało naturalnem, że nie czuł nawet gdy robił ofiarę.

— Idziemy, rzekł wesoło, naprzód do malarzy. Jest ich tu dwóch znaczniejszych; oba (nie tajmy) dość nieprzyjaźni tobie. Portrecista Mruczkiewicz, i kościelnych obrazów malarz co się nigdzie nie uczył, ale ma trochę wrodzonego talentu, Perli. Choć nazwisko obce ale postać krajowa, zobaczysz. Mruczkiewicz bliżej, naprzód wstąpiemy do niego.

Na Dominikańskiej ulicy, w starym domostwie, którego dwa okna patrzyły w ciasne i ciemne tutaj przejście, po brudnych wschodach weszli nasi wędrowcy do wielkiej dość malarni, której ściany obwieszane były starymi, nowymi, różnych wymiarów, kształtów i kolorytu portretami. Nieład wielki panował w tym tak zwanym przybytku sztuki.

W pośrodku, z krótką fajeczką w zębach, malsztokiem w ręku, maleńki człowieczek w krymce czerwonej brudnej i chałacie wytartym, podpasanym, z połami zagarnionemi do góry, w pantoflach na boscie nogi włożonych; odskakując i zbliżając się z miną wesołą, szcztokował draperye jakiegoś portretu. Mógł mieć około lat czterdziestu, rumiany, pospolitych bardzo rysów twarzy, ospowaty bardzo, brzydki dosyć, z włosami klejkiemi i w pierzu zawałanemi z oczkami szarymi ale pełnemi przebiegłości złośliwej, usta odwalonemu szeroko: Mruczkiewicz nie zwróciłby na siebie oka gdzieindziej. Była to jedna z tych bardzo a bardzo widywanych często twarzy, co pod pozorem dobroduszości, kryją, niepospolitą chytryść i zręczność. Z ukosa spojrzął na wchodzących, wyjął fajeczkę z ust i postępując ku Mamoniczowi, a patrząc w Jana jak w tęczę:

— A! a! dzień dobry kollego, cóż to cię do mnie prowadzi?

Wzrok jego tymczasem ciągle rozmierzał Jana; nastroił się już do uśmiechu, bo uśmiechem wszystko pokrywał.

— Ot, widzisz przyprowadzam ci, rzekł udając też otwartą rubasznosc Mamonicz, co go tu nie mało kosztowało, przyprowadzam ci kollegę, który pragnie się z tobą poznać i poprzyjaźnić! Poznajcie się, dobry człowiek, skromny jak dziewczyna, a serdeczny jak... jak ja. Uśmiech szyderstwa razem i zwycięzki, ale wnet z twarzy zmazany zaświtał na ustach Mruczkiewicza. Błyskawicą tylko skrzywił się jakby do siebie mówił: — Coś tam kiepsko święcić się musi, kiedy Jegomość aż do mnie przywędrował.

— A! zawołał zaraz głośno zdejmując czerwoną krymkę, prawdziwe dla mnie szczęście. Anim się tego spodziewać mógł! Do mnie biednego bazgrały, Pan! Pan! Pan, co malujesz tylko wielkie obrazy i wielkich panów! Mnie to wprzód należało mu się pokłonić, ale anim się spodziewał żeby chciał ze mną znajomości.

Jan z przymusem wybąknął komplement. — Tylko nie patrz dobrodzieju na roboty moje, rzekł zasłaniając malarz, byłeś we Włoszech, a ja sobie domorosły partola. I same portrety tylko robię.

— Widziałem twoje roboty, szanowny Panie, odezwał się Jan, i znalazłem je pełnemi, pełnemi... zakrzuszył się artysta nasz, ale dokończył przecie, pełnemi talentu i łatwości.

— Tak to sobie szturchanina! rzekł niby skromnie Mruczkiewicz. At! to dobre dla tych, których ja maluję; ale to portrety po pięć, po dziesięć dukatów, a waścine po sto, gadają.

— Ja nie maluję portretów.

— O! o! wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi, a Kasztellanowej ?

— Jeden i to nakazany, uproszony, rzekł Tytus.

— Ale wart moich dziesięć!

— Nie widziałeś go Pan.

— Ja to mówię o żywcu, o groszu.

— I to nie, przerwał Tytus, ludzie przesadzają; sprzedane były razem dwa inne obrazy.

— Ale malujcie sobie, i owszem! i owszem! zawołał porywczo Mruczkiewicz, nie odmawiam, nie przeszkadzam, nie zazdroszczę. Ja się z panami wielkimi nie zadaję. Wysokie progi na moje nogi. Zwłaszcza, że tam czasem i nic drzwiami wynosić się potrzeba, gdy kto przyprze.

Była to bolesna przymówka do fałszywie wytłumaczonej przygody Jana, mówiono bowiem powszechnie, że Kasztellan zastawszy malarza z żoną, zmusił go do wyskoczenia przez okno. Tytus, któremu bardzo chodziło o to, aby od razu nie zraził się Jan, przerwał udając wesoły śmiech: Cha! cha! na co te przymówki!

Jan zachmurzył się, milczał.

— Między kolegami to bez cerymonii, rzekł Mruczkiewicz, ale czy to prawda?

— Cena portretu ? podchwycił Tytus, o! przesadzona, przesadzona, a co się tycze innych okoliczności, tych wcale nie wiecie, domysły! domysły!

— I dzikie plotki, w których za grosz nie ma sensu, dorzucił Jan, nie uciekałbym przed nikim w świecie. — Cha! cha! a to się domyślam, coś innego pilnego musiało przynaglić! I począł ryhotać Mruczkiewicz poglądając zjadliwie na Jana swemi szaremi oczkami.

— Nie, to był po prostu przypadek, zamknął Tytus zniecierpliwiony.

— E! to bo tysiąc fałszów, tysiąc głupich rozpowiadają plotek, odezwał się Mruczkiewicz niby dobrodusznie, ktoby zaś temu wierzył! Mało co bredzą! Ot i to naprzykład. że kolega jesteś synem wprost jakiegoś chłopca ze Żmudzi.

— To taka prawda, szybko zawołał Mamonicz nie dając odpowiedzi Janowi, jak to co o was gadają, wiecie? żeście synem przechrzty? No! ale któżby temu wierzył?

Mruczkiewicz zapyrzył się, ale opamiętał zaraz:

— Tfu! plunąć na te androny. Bądźmy, rzekł, przyjaciółmi! i podał rękę Janowi. A w razie, to i opiece pańskiej się polecam, dodał chytrze. Możesz Pan mieć dużo roboty, potrzebować pomocy, może mu co z nosa spadnie, niech to będzie dla mnie. Bardzo proszę, ja jaką Bóg tam da, nie gardzę robotą. Aby żyć.

Był to przycinek znowu, z którego poznał Mamonicz, że wiedziano już, iż Jan potrzebuje a nie ma zajęcia.

Odurzony, zbolały, Jan chciał odchodzić, ale Mamonicz odparł ze śmiechem choć kłamstwem:

— Coś podobnego nawet nas tu sprowadza. Mamy wielką jedną robotę przyrzeczoną i właśnie pomyśleliśmy o kolledze. Ale o tem jeszcze, cicho! bośmy się nie umówili całkowicie.

Powiedział to niby tając się, głos zniżając, a z takim przekonaniem, że Mruczkiewicz z kolei wpatrując się w obu, prawie uwierzył i zmieszał tem trochę, pomiarkowawszy, że nie dość był grzeczny.

— Tom ja tobie winien pocziwy Mamoniczu! kochany Mamoniczu! Niechże ci po- dziękuję! Ann? doprawdy? Jest jaka robota ? cóż to tam ?

— Dzisiaj się nic nie dowiesz.

— Tylko żebyście się z Perlim nie zgodzili!

Perli i Mruczkiewicz żyli z sobą w przyjaźni pozornie, ale się serdecznie nienawidzili.

— Masz co przeciw Perlemu? spytał Tytus.

— Ja? o nic! uchowaj Boże! uchowaj Boże! to mój przyjaciel nawet, ja go szanuję. Ale co chcecie? człowiek ma żonę, dzieciśka, bliższa koszula ciała niż kaftan.

Właśnie w tej chwili jakby na potwierdzenie ukazała się rozczochrana głowa starej trędowatej baby, z którą, Mruczkiewicz ożenił się był dla chleba, (bo miała nieco grosza) i pod jej żył rządami, ulegając ze drzeniem.

Za suknię Jejmości trzymał się bachur umalowany masłem, kończąc oblizywać kawał nasmarowanego niem chleba. Jejmość znacznie od męża starsza, mogła wyśmienicie służyć za wzór czarownicy do Makbeta. Czerwone jej ślepie i gęba otwarta, w której żółte zębów trzonki wyglądały, zwrócone były ku przybyłym, na których ciekawie się wytrzeszczała. Rozmowa szła tymczasem dalej.

— Perli ma się dobrze, a ja biedę klepię, mówił Mruczkiewicz. Ja go szacuję, bardzo szacuję, ale między nami mówiąc, on sobie rękę popsuł na tuzinkowych ogromnych robotach do cerkwi i kościołów. Ja zawsze delikatniejszą pracą się zajmuję.

Jan nie mógł się wstrzymać od uśmiechu, ale szczęściem Mruczkiewicz go niepostrzegł, bo był w tej chwili cały zajęty sobą.

— Ot, jeśli łaska zobaczcie moje roboty, zawołał, co powiecie!

I poprowadził ich ku płótnom, które były zbiorem najosobliwszych fizygnomij. Żaden z licznych fabryki pana Mruczkiewicza wyrobów, nie był czem innym krom bladym i bezmyślnym odbiciem typów w ogólności, nieszlachetnych i prozaicznych.

Jedna czy dwie twarze piękniejsze, niedbale narysowane, gorzej wykonane jeszcze, popsute były boleśnie. Dna, akcesorya, traktowane niby śmiało, ale z największym pośpiechem i nieznamościami rzeczy; bez studyów, z praktyki, przedstawiały mieszaninę światła i cieni okrutną. Nic natury, nic myśli, nic pracy widać tu nie było. Ostre cienie gęste, pół cienie brudne i poprawkami rozklapane, światła wylizane i chude, słowem były to roboty bez żadnej wartości, prawdziwie tuzinkowe. Trzeba było gwałtem chwalić: szczęściem jedna głowa znalazła się mniej poczwarnie wykonana i przy niej zdobył się Jan na skąpą pochwałę, którą Mamonicz potrafił rozwałkować. Malarz błyskał oczkami z ukontentowania

Po obejrzeniu obrazów musieli się zaprezentować szanownej pani Mruczkiewiczowej w jej Pandemonium (bo nie wiem jak tę izbę mam nazwać?). Trafili właśnie na chwilę rozbierania brudnej bielizny i wejść musieli w stos koszul i prześcieradeł leżących u drzwi samych. Inne części stroju leżały w przyjemnym nieładzie na dalszych planach obrazu. Jejmość przyjęła ich zapychając za siebie w pół gołe dzieci, i ocierając dłonią nos, która przy pracy utrzyć zapewne zapomniała, a teraz się jej dotkliwie przypomniał. Duma właściwa kobietom co przywykły panować w domu a mało na świat wychodzą, co czując się bogatsze i więcej znaczące od mężów swoich, obdzielają resztę ludzi ważnością i tonem nabranym w codziennem pożyciu; — malowała się na jej twarzy czerwonej. Dość

zimno przywitała gości, których jej malarz przedstawił; zobaczywszy że się nie spieszyli ucałować łapki i nie bardzo nisko pokłonili, choć była z domu Dubińska!!

— Kochaneczko! pan Jan Rugpiutis! składa ci swoje uszanowanie! rzekł Mruczkiewicz.

— Kłaniam się!... kiwnęła głową.

Szczęściem dla gości, zajęcie gospodarskie pani Mruczkiewiczowej z domu Dubińskiej, było pretekstem do rychłego cofnięcia się za drzwi.

Wyszli w ulicę, Mruczkiewicz szpiegował ich wzrokiem z okna.

— Janie, nie gadaj ani słowa, nie rób min, bo pewny jestem, że na nas patrzą, rzekł szybko Mamonicz. Dalej odszedłszy dopiero powiesz mi co myślisz.

Poszli więc w milczeniu; aż na Niemieckiej ulicy, Jan się dopiero odezwał:

— Po coś mnie tam wprowadził? Jeśli dla ciekawości, przyznam ci się, że nie ciekawe! a na cóż mi się przydać może znajomość bazgracza jak Mruczkiewicz, który pojęcia nie ma o sztuce?

— Słuchajno Janie, tu nie o sztukę chodzi. Mruczkiewicz nie maluje nigdy obrazów, bo ręki nawet narysować nie potrafi. Jeśli z nim bliżej się poznasz, może ci nastreczyć robotę, którą dotąd (choć nienawidzi Perlego) daje jemu. Rozumie się, nigdy darmo. Mruczkiewicz przebiegły, zły i chytry jak wąż, wszędzie się wkręci, i wszystko wie. Gdyby się nawet na nic więcej nie przydał, należy go zawsze usunąć z liczby nieprzyjaciół, już i to wiele. Znajomość ta nie bez korzyści być może dla ciebie. Ale pilnuj się! bo lis chytrzejszym być nie może, ani złośliwszym, nad Mruczkiewicza przy jego głupocie. Trzeba go ugłaskać i uspić.

Jan westchnij!

— Do czegoż to się zniżamy! rzekł.

— Świat! życie! odparł Mamonicz, często nas zmusza do gorszego! cóż na to poradzić? Gdy nasi dwaj przyjaciele idą dalej, w Mruczkiewicza pracowni, wszystko do góry nogami. Mąż i żona stoją przeciwko sobie i rozprawiają. Ona trzyma w ręku część stroju, której się nie opisuje, on malsztok i pęzel.

— Da co ich tu przygnało? pyta z domu Dubińska. Juścić nie prosta ciekawość, ani twoja robota serduńko, bo Bogiem a prawdą bazgrzesz szkaradnie.

— Kochaneczko!

— Powszechnie gadają, da i ja mam oczy.

— Ale gadają przez zajzdrość.

— Ja bo i sama widzę, co do niczego niepodobne.

— Ale bo ty się kochaneczko nie znasz!

— Patrzaj no go ? Ja się nie znam ? he? spytała groźnie z domu Dubińska. Jegomość przytulił uszy i szybko zaczął palić fajkę. A uważałeś asan (asan mówiło się w chwilach nieukontentowania), jaką to pańską ma minę, ten chamski syn? — Chyba hajducką.

— Albo Mamonicz! kuta bestya!

— O! znamy się i nie damy się.

— Przez zęby cedził diable pochwały.

— To zajzdrosć moja kochaneczko!

— Potrzeba, żebyś mu taki oddał wizytę.

— A juścić i przez samą ciekawość, zaraz jutro pójdę.

— Da! da! głupi! zaraz jutro! po kiego kaduka będziesz się spieszył? będą myśleli, że my ich mamy za coś extra! A to gołe! a to niewiedzieć zkąd? sroce z pod ogona! ostatkami gonia, roboty nie mają. Ani chybi przyszli po twoją pomoc, bo Mamonicz wie, co ty Perlemu stręczysz.

— Bo to i Perli skąpiec; gdyby się co trafiło, a Rugpiutis lepiej rai posmarował grzanke.

— Daj no pokój asan! nie wdawaj się! Starzy znajomi, to starzy znajomi, a nowe sitko, to lichy go wie jakie jeszcze, dodała z domu Dubińska. Potrzeba chytro, mudro. Jeszcze to dumne, nie mogli w rękę pocałować! Dać im pokój.

— Zapewne, kochaneczko! zobaczymy. Ty wiesz, że ja twojej rady słucham.

— Da! da, bo się boisz!

— Kochaneczko, co nie, to nie, ale cię szacuję i kocham.

— Da! da! porzuć! szacuję! szacuję! albo kocham! znam się na tem, pokiwała głową. Mruczkiewicz usiłując odwrócić rozmowę, rzekł:

— A taki portret Fafuły bardzo chwalił.

— Tać! przecedziła Jejmość przez zęby.

— I mówił, że mam siłę! a siła to piękna rzecz! Taki musiał wyznać, że mam siłę. Przysięgnę, że jemu jej braknie!

— Oj prawda masz siłę cherlaku! mruknęła Jejmość ruszając ramionami. Gadali aby gadać.

— A co ja mu naprzycinał kochaneczko! to tak, że bladł a czerwieniał gdyby dziewczyna. — A to

bez daj-racyi, i bez potrzeby.

— No! no! Już i tę mam anse, że późno się opatrzył poznać ze mną.

— Zachciałeś! Jaby wołała gdyby całkiem nie był. Jeszcze mnie tu pewnie swoją damuzelę przyprowadzi.

— Ni chybi! Czy to on nie wie, kto ty z domu kochaneczko. Dla jego żony wielki honor jeśli u niej będziesz!

— Tylko nie pierwsza. Taki przecie co Dubińska to nie jakaś tam kupcowej wnuczka ! Dubińscy burmistrzami bywali i w radzie zasiadali, z Mieleskiej się rodzę. A to szerepetki z Imbarów od złego końca po matce, a diabeł wie z kogo po ojcu. Rozmyśliwszy się, mogę i nie być u nich.

— Juściż.

— A jeśli to prawda, że on chłop?

— E! Jejmościuniu! staroświeckie przesady.

— Wasan głupi jesteś jak but! Co to u wasana i Dubińscy przesady? he? zkad to i ty wyniósł ? he ? To tak jak wczoraj coś mi chciał dowodzić, że w piątek pościć przesady. Asanu coś świta w głowie, nie wadziłoby na rekolekcyje posadzić. Tylko mi się z tym odzywaj, farmazonie jakiś! Jak mi Pan Bóg miły, kijem myśli te przepędzę.

Mruczkiewicz ruszył ramionami i poszedł malować.

Perli mieszkał na Niemieckiej ulicy, lecz nim do niego zajdziemy z dwoma przyjaciółmi, którzy się wcale nie spieszą, powiedzmy słówko o nim i jego pochodzeniu. Syn Włocha, mizernego malarza pokojów, którego jakiś Pan wywiózł z za granicy umyślnie, ożenionego i osiadłego w Wilnie; Perli nazwisko tylko miał obce. Ojciec jego nic nie zebrawszy, wreszcie rozpił się z rozpaczy, tęskniąc po cieplejszej ojczyźnie. Stanisław Perli syn, sam usposobił się na malarza. Troje ich było rodzeństwa: dwóch braci i siostra. Drugi brat, do którego nie bardzo chętnie przyznawał się malarz, był w Wilnie fabrykantem powozów, siostra poszła za bogatego kowala. Perli jak wielu dorobników, którym się zdaje, że się wynieśli wyżej nad rodziną, wstydził się jej. Ale w istocie często potrzebował; nie zrywał więc z niemi, bywał ukradkiem, zagniony pożyczał u nich pieniędzy, jednakże nigdy o nich nie wspominał, a słysząc wspomnianych udawał, że ich nic zna. Mruczkiewicz i inni, wiedząc, że tem go najboleśniej zranią, często mu napomykali o bracie i siostrze niby przypadkowo: — Pani Feder kowalowa, jak dziś wystrojona była na summie! Powiedzno? prawda, że to twoja rodzona siostra? — Perli kareciarz, śliczny wysztyftował powóz dla Wojewody. Czy to nie waszej familii ten Perli?

Lub: — Co to za Perli, co robi powozy? Lub: — Feder kowal wszędzie gada, że ma za sobą twoją siostrę. Perli zagadywał to jak mógł, ale głupi pocił się i czerwienił, jakby w tem, że ktoś pracuje inaczej od drugiego, w stanie jakim bodaj najbardziej poziomym mógł być wstyd i hańba! Gdyby był miał rozsądną odwagę powiedzieć od razu: To mój brat, to moja siostra! wszystkie szyderstwo

ustaćby było musiało. Ale Perli wyuczywszy się własnym sprytem trochę malarstwa, sądził się bardzo wielkim człowiekiem. Ze sam wszystko był winien sobie, mógł się i słusznie pochlubić. Gdy ojciec się zapijał, a matka mu dopomagała, młodem chłopięciem chodził do Batraniego trzeć farby i poduczał się u niego, to u innych potem po troszę. Schwyciwszy główne wiadomości, dowiedziawszy się jak się uczy rysować, jak maluje; począł macać, próbować, szukać, bazgrać, psuć płótna, malować szyldy; i w skutek pracy a sprytu doszedł do trochy mechanizmu, do słabego ale pełnego manieri i pretensyi rysunku. Głośno się z tem chlubił, że był uczniem Batraniego i cytował także innych mniemanych nauczycieli z wielką pewnością; obawiając się jak ognia, przydomku samouka, którego mu po cichu dawano. Perli całą umiejętność zasadzał na materialnych warunkach sztuki, a i tych z pełną nie pojmował. Dla niego myśl jakby nic była w obrazie, o nią się nie troszczył wcale; obraz to figury, trochę płótna, farby, oleju i pracy ręcznej. Nic więcej nie widział w nim. Tak się malują ludzie, głowy, tak się maluje niebo, tak się drapuje, tak podmalowywa, tak układa i t. p. mówił w duchu i na tem kończył.

Wyższe sfery sztuki, pojęcie jej w sobie, pojęcie malarstwa jako języka do wyrażenia myśli; były mu niedostępne.

Perli był sprytny; to stanowiło jego zasługę i definicyą najlepszą talentu; ale spryt nie zawsze wystarcza.

Sprytem tym kłamał on przecie wszystko, na czem mu zbywało. Nikt nad niego am- fatyczniej nie mówił o sztuce, ani jej wyżej nie podnosił; choć w duchu sam temu co mówił nie wierzył, myśląc, że nie wiedzieć dla czego tak ceniono sztukę, gdy to było proste tylko rzemiosło. To pytanie, które sobie po cichu nie raz zadawał, oznaczało dokładnie, czem on sam był: rzemieślnikiem, nic więcej. Wskutek pracy i sprytu, Perli zrobił sobie swój właściwy koloryt jakiś ceglasty, nie prawdziwy nawet konwencyonalnie, bo w cieniach schodził na zimną czarność; pewien rysunek nienaturalny pozornie styl imitujący, i udawał z tem malarza doskonale. Wzgardziwszy portretami, w których naturalności potrzeba, a nabyć jej nie mógł, wziął się do malowania ołtarzowych i wotałnych obrazów, które w początkach były szkaradne, ale powoli sam się doskonalać doszedł do ferminu, jakiego dosięga zwykle mierność przestąpić go już nie mogąc nigdy. Malował znośnie dla tłumu. W jego obrazach nie było wpra-

wdzie ducha, ale nie uderzały pozornie szpetotą widoczną, ani wadami krzyczącymi. Było to coś nie porywającego oczów, koloryt ciemny, czarny, brudny z czerwonym; rysunek jak może być najpospolitszy.

Zbyt sprytny, żeby miał kraść ze sztychów całe postacie i grupy; kradł po cichu kawałeczkami, tara nogę, tu rękę, indziej głowę, lub całą figurę, ale przebraną już do niepoznania. Tak tworzył swoje obrazy; natura była mu obcą, a radzić się jej nigdy mu nawet na myśl nie przychodziło. W rozmowie z malarzami tak był zręczny, że zawsze czegoś się od nich dowiedział udając umiejętnego. Z tak chwytnych wiadomostek korzystał cichaczem, a nikt się nie domyślał nawet, że był okradziony.

Perli robił dużo, łatwo i tanio W swoich utworach co umiał najlepiej, to unikać trudności. Zakryć część trudną akcesoryami, schować rękę, pokazać co umiał najlepiej wymalować, potrafił niezmiernie zrę- cznie. Malowanie jego w światłach było miękkie, rozlane, utopione kontury, szary pozór; w cieniach twarde i czarne. Pomimo to panowała w nich jakaś harmonia pozorna, nie czyniąca

ich rażącemi na pierwszy rzut oka.

Rozbierając dopiero przekonywało się o wadach i odkrywało, że pod tą łupiną nic było nic myśli, wyrazu, pojęcia. Kilka konwencyonalnych typów wyuczonych, kilka wyrazów fizioognomii, służyły mu do wszystkiego. Z nieudanej Matki Bolesnej, robił z największą łatwością świętą Magdalenę, ze świętego Piotra, świętego Stanisława, nie rozumiejąc jak ogromne różnice zachodzą między właściwymi im typami. Dla niego wszystko było w oczach spuszczonech lub zawróconych, ustach otwartych i dwóch łzach, które umiał rzucić na policzki, (choć te zwykle spadały wypukłościami nie wklęsłościami twarzy, czego nie uważał wcale Perli, byle łzy zrobił). Perli miał dosyć wziętości i roboty, spryt ran i tu dobrze służył: pochlebnik grzeczny a zimny, nikogo nie umiejący pokochać, nie przywiązujący się do nikogo, wkręcił się wszędzie, i zyskiwał robotę natarczywością bezwstydną lub sprytem. W wypłatach pilnował się surowo, a gdy zaszły trudności, nie wahał się męczyć, dokuczać, prześladować, aż swoje odebrał. Powierzchnowość Perlego odpowiadała jego charakterowi: chudy, blady, giętki, z małą główką osadzoną na żylastej szyi, z oczyma bladymi i ukośnym wejrzeniem, prawie bez brody, bo nic zarastał niemal na twarzy, usta miał wąskie, sine i nieznaczące. Wielkie białe uszy niezgrabne szpeciły jeszcze tę głowę. Mruczkiewicz nazywał go często po cichu: Długouchym samouczkiem; ale spotkawszy się ściskali serdecznie bardzo. Perli był dosyć gadający, a mówiąc dobierał wyrazów jak Szyrko najdziwniejszych, potężnych dźwiękiem, brzmiących głośno, które tak rozmierzał stosownie do osób, że zawsze niemi zadurzył i wielkie dał o sobie wyobrażenie. Używał umyślnie najniezrozumialszych dla tych, z którymi mówił i dobierał bardzo zręcznie; im niżej kto był umysłowie, tem więcej go zasypywał wyszukanymi słowami, zagłuszał, oślepił, przybijał. Z ludźmi z profesyi swojej, zmagał się na wyrażenia dziwnie brzmiące, na najwyszukańsze sposoby mówienia i techniczne stare łachmany wywlekał, ale już z innej szufladki. Słowem był to aktor niepospolity.

Perli ożenił się na swoją biedę, tu wcale mu spryt nie posłużył. Młode dziewczę żywe, prześliczne, swawolne a zepsute jak owa Maryetta batraniego, i bardzo do niej podobne, tak mu zawróciło głowę, a raczej przemówiło do zmysłów, że się z nią ożenił. Rozalia przezwana Rozynką, wodziła go nawet za nos w początku. Była to ładna jeszcze dotąd kobiecina, mimo, że trochę chuda i płci ciemnej, ale zręczna i wdzięczna niewymownie. Szatan zresztą w ludzkim ciele, dowcipna, lubieżna, egoistka jakich mało, a z sercem łatwo poruszającym się przecie; walczyła już teraz na dobre z mężem, usiłując wywalczyć chwilę swobody, szału i śmiechu. Rozynka lubiła się bawić i zawsze bawić; zabawy jej wedle miejskich powieści, nie zawsze niewinnym kończyły się pocałunkiem. Bywało różnie. Malarz się tego dopatrzył, powstał niepokój w domu i wojny domowe straszne, bo często na wzajemnych kończące się razach. Niekiedy przychodziło do podrapania; dodajmy, że rzadko.

Naówczas Rozyna płakała roznosząc po mieście swoje nieszczęście i ucisk; i korzystała z chwili osłupienia męża, który ją już nie posądział, odwiedzając swoich ulubieńców. Miała ich bowiem, jak powiadano, liczbę nie małą.

W domu, skutkiem starcia się tych dwóch charakterów, z których żaden jeszcze sta- lego sobie nie wywalczył zwycięstwa i wyższości, panował nierząd i nieład. Były dwie głowy, więc jakby żadnej nie było. Często sprzeczki kończyły się na tem, że Perli robił swoje, a żona swoje, on niepokonany, ona niezwyciężona. W wielkich razach robiono sobie na złość. Rozynka obita mściła się podjudzając

swoich krewnych na malarza. Perli bał się ich niewymownie, w nich była cała obrona kobiety, cała jej teraz potęga, bo wdzięki już nie skutkowały na malarza.

W chwili owego miłosnego szału, który go prawdziwie jak Włocha opanował, Perli się nic zastanawiał, że brał Rozynę z tej klasy, z której sam wyniść usiłował. Matka jej była komornicą biedną, a dwaj synowie, jeden furmanem w mieście, opojusem i sławnym hałaburdą; drugi miał sklepik na Łokciu gdzie z żoną sprzedawał różne wiktuały, kuchenne potrzeby i przysmaczki dla spólstwa: nie wyuczywszy się wcale przy swoim zajęciu łagodności i powolności. Trzeci, brat stryjeczny, najbogatszy, trzymał arędę, dom zajezdny na końskim targu, gdzie z największym upodobaniem zapijali się ludziska, w czasie tygodniowych targów. Ci trzej bracia Rozyny, kochali siostrę, dumni nią będąc i głośno się chlubiąc pokrewieństwem z panią malarzową. Nie raz Perli ciężkie miał z niemi przeprawy, gdy pobita żona poszła do braci na skargę; nie raz chować się przed niemi musiał, bo go nawet poszturgać byli gotowi. Barczyste owe chłopy: Szymon, Tadeusz i Bartłomiej opiekowali się czynnie Rozyną, ona niemi w potrzebie zasłaniała się jak tarczą. W domu jakieśmy powiedzieli, nie było rządu, wrzała ciągle głucha wojna. Chwilami następował rozejm czasowy, ale zaraz po nim najzaciętsze walki. Żona malarza nie mogła się ustatkować; mąż ją zanedbywał, a ona tak lubiła się bawić, swawolić i ząbki wyszczerzać, że gotowa była na wszystko się narazić, byle pochichotać i swobodnie ucieszyć. Szczęściem czy nieszczęściem nie mieli dotąd dzieci, bo co roku ronila biedna kobieta, i co roku oplakując to ukochane niedonoszone dziecię (gdyż bardzo pragnęła synka) znowu przez nieostrożność, narażała się na drugą stratę podobną.

Perli stał na Niemieckiej ulicy. Zastali go przyjaciele nasi właśnie wśród zaciętej z żoną walki, której wyrazy głośne, rzucane jak wystrzały, doszły ich uszu na wschodach.

— Byłam u brata Szymona! wołała Rozynka.

— U brata Szymona! i u brata Judy może? Wiele to razy zakazywałam ci tych trutniów braciszków odwiedzać? he? to są zbóje!

— Wolno tobie, wolno i mnie. Ty sobie chodzisz do Federów — a co to gorszego mój brat Szymon, Tadeusz, a choćby i pocziwy Bartłomiej? — Ja ciebie nauczę! ja ciebie nauczę!

— Bij, bij! to ci Szymon odda we dwoje!

— Wać pani kłamiesz! jako żywo nie byłaś u Szymona. Ja wczoraj umyślnie chodziłem do niego, nie było go w domu, jeździł za pokupkami.

— Co to ty będziesz mnie przespiewowywał! Więc się nic nie dowiesz. Mam ja przecie swoją woję. A co mi dowiedziesz? Tobie się roi w głowie licho wie co — i rogi ci rosną.

— Otoż to, ze rogi, aleja tobie innych rogów nabiję.

— Niedoczekanie twoje! Trzaśnienie drzwiami, które oknami zatrzęsło, zamknęło rozmowę, właśnie gdy Jan i Tytus wchodzili. Perli jeszcze był blady od gniewu i stojąc przed trójnogiem mięszał gwałtownie farbę na palecie, maczając pędzel bez potrzeby to w olej, to w terpentynę, to w pokost. Z palety ciekła rozbebrana farba na podłogę. Postrzegłszy we drzwiach Tytusa i kogoś

obcego, pomiarkował się w gniewie, nagle uśmiechnął się jakby nic nie miał ciężkiego na myśli i poszedł ku nim.

— Malarz przychodzi poznać malarza! zawołał Tytus, pan Jan Rugpiutis.

— A! bardzo szczęśliwy! rzekł chwytając za rękę Perli i podając krzeselka. Dawno pragnąłem mieć to szczęście poznania tak znakomitego artysty, który tyle swej

nacyi robi zaszczytu, jako też....Nie umiem

wyrazić mojej wdzięczności, jako też....

Zmierzył go okiem.

— Pan zwiedzałeś czarowne Włochy nasze! rzekł, ojczyzna moja, ale nie znam jej i nie mając okazji studiowania tam, noszę ją tylko w sercu przepelnionem, jako najdroższej matki wspomnienie! Jestem dyscyplem Batraniego.

— A ja także, rzekł Jan.

Perli się pomieszał. — Byłem u niego dość długo, o! był to człowiek i prawdziwy artysta, głową i sercem. — Za jego współdziałaniem dopiąłem tego czem jestem dziś, jako też, w tej chwili! dodał Perli — chociaż nie wojażowałem nigdzie, pracą i oddaniem się mojemu fachowi, tajemnie dochodzę, jako też...

Zawsze jako też, urywało mu mowę i zastępowało w niej próżnie niezapełnione myślą lub wyrazem.

Naturalnie wypadało obejrzeć obrazy i tu Perli chciwie począł wybadywać Jana spodziewając się czego nauczyć. Jan chodził, bo musiał, od płótna do płótna, a Perli dumniał widocznie pochwałami. Wtem drzwi otwarły się popędliwie: Rozyna nic niewiedząc o przybyciu obcych, wpadła niemi, nie ze wszystkim ubrana. Biegła do męża, zastanowiła się, spojrzała na Jana, który jej zaraz wpadł w oko, poprawiła suknię roztwartą na ślicznej jeszcze piersi i cofnęła się zarumieniona. — Moja żona! wybąknął Perli dławiąc się, moja żona; jako też.... Rozyna w płomieniach i zawstydzone, ukloniła się z uśmiechem szatańskim Janowi, uciekając z zalotną zręcznością i ukośnemi wejrzeniami ognistych swych oczek.

— Ten wielki obraz, mówił Perli, którego bezwstydne zyrkania Rozynki niecierpliwiły, maluję do świątyni jednej krajowej (vulgo do kościoła parafialnego), Uwolnienie świętego Piotra.

— Światła są bardzo umiejętnie rozłożono.

— W samej istocie, nie szukając z tego nienależnej chluby, w światłach, powszechną opinią, celuję, rzekł malarz. Rzuty onych (jako też) mam szczęśliwe. Raczcie wejrzeć na to oświetlenie oblicza apostołskiego.

— Bardzo dobrze, mruknął Jan, obraz tak wielki, ta głowa musi być zapewne z natury? spytał.

Perli, który głucho o tem tylko słyszał, że się głowy i ciała malują z natury, podchwycił zręcznie:

— Pragnąłem usilnie aby mogła być wydarta naturze, lecz (dodał) u nas wzory żywe niedostępne. Przesady! nałogi, ciemnota! (jako też) nędza, niepodobna mi żywych dostać wzorów! Malowałem dawniej z natury, teraz już tylko z głowy własnej, (jako też).

— Tem większa sztuka, tem piękniejszą wydaje nam się ta głowa! rzekł Mamonicz.

A głowa, o której mowa przerysowana była ze studjów wydanych w Rzymie z fresków Rafaela, i tak widocznie należała do jednego z doktorów w Dyspucie o Przenajświętszym Sakramencie, że omylić się nie było podobna. Perli wiernie ją przekalkował, ale popsuł kolorytem niewłaściwym i światłami nic na miejscu.

Zaczęła się rozmowa o malarstwie i tu dopiero pomimo całej swej zręczności pokazał się Perli nieukiem nastając ciągle, to na tajemnice, które posiadał w przygotowywaniu den, farb, to na głasowania jakieś osobliwsze i t.p. Z tej gawędy na inne pole wyprowadzić go nie było można. U niego sztuką nazywała się sama mechaniczna tylko robota. Jan cierpliwie przetrwawszy rozmowę, gdy Mamonicz podprowadzał Perlego i wyciągał z niego coraz bardziej olbrzymie głupstwa jakby naumyślnie, czuł się znudzonym i zmęczonym niewypowiedzianie. Perli w dobrej wierze paplał coraz górnijszym stylem i gęściej wstawując ulubione: jako też.

Podziwienie Jana rosło coraz, wytrzeszczał oczy, zaledwie mógł obronić się ziewaniu z jednej, śmiechowi z drugiej strony; a ramiona trzymał całą siłą aby niemi nie rzucać co chwila.

Ten człowiek zwał się dla ludzi, artystą! Z niego brano miarę o sztuce!

— A! zawołał Perli na pożegnaniu, wynosząc swoje dzieła, których piękności uprzejmie wskazywał. Głowa piękna! ręka tylko zaledwo być naganiona może. Ale Pan wie, (mruknął z uśmiechem na Jana), że i sławny Rabrant źle ręce malował, a co do rysunku to był zupełnie lichy

— Jednakże, rzekł Jan nie mogąc wytrzymać, widziałem portrety jego we Florencyi, których ręce są arcydziełami.

— Ale czy to tylko z pewnością Rabranta? spytał uśmiechając się Perli, bo on ile wiem, same ognie i nocne światła jako też cienistości malował!

Jan nic nie odpowiedział, Perli mógł nawet myśleć, że go pokonał; gdy ten nie widział potrzeby tłumaczenia i oświecania zarozumialca.

Wyszli i długo powolnie przechodzili ulicę, a Jan ze spuszczoną głową ani się odezwał do Mamonicza.

— Powiedz mi, rzekł nareszcie do niego, na co mi się przydać może znajomość z takimi ludźmi? to są bazgracze!

— Niestety! — rzekł!

— Więc pocóż mi oni?

— Mówiłem ci już i powtórzę. Są to bardziej jeszcze intryganci niż bazgracze, odpowiedział Mamonicz. Może ci mniej szkodzić przynajmniej będą, jeśli twa znajomość próżność ich polechce, jeśli ich rozbroi, o czym dotąd wątpię. W razie gdybym się mylił zawsze to ciekawe studia. I taką hałastrę znać potrzeba.

Wiesz co, mówił dalej wahając się Mamonicz, pokazałbym ci coś daleko godniejszego uwagi twojej jako człowieka i jako artysty, rzecz osobliwą, wyjątkową, ale, ale.

— Cóż ci przeszkadza?

— Co? tysiąc rzeczy, tysiąc uwag.

— Nie rozumiem, chybaby nas tam nie dopuszczono?

— O! i owszem przyjmą z wdzięcznością.

— Więc nie pojmuję dla czego byśmy nie poszli tam, gdyśmy byli u Mruczkiewicza

i Perli? — Bo te ostatnie odwiedziny, chyba dla przyjemności być mogą; użytku z nich żadnego, owszem kto wie, czy nie szkodliwe?

— Powiedzie mi proszę wyraźniej i nie męcz mnie dłużej.

— O! znowu bo powieść czy historia cała! i historia żyda malarza! jeśli chcesz zobaczyć Jonasza Palmer, opowiem ci wprzódki kto jest. Proszę tylko o cierpliwość.

— Żyd malarz! rzekł Jan z podziwieniem. Coś dziwnego w istocie!

— Zaprawdę, niepospolite zjawisko. Wiesz i pojmujesz co u nas znaczy żyd. Żyd jest jeszcze istotą napiętnowaną, wyklętą jak w średnich wiekach, wzgardzoną i niższą od wszystkich. Gdybyśmy po panu Mruczkiewiczu, którego żona z domu Dubińska i po Perlim, odwiedzili prostego żyda, pierwsi dwaj dowiedziawszy się, możeby się śmiertelnie gniewali. Ale myślę, że się nie dowiedzą, bo go podobno nawet nie znają. Jonasz tysiąc kroć więcej wart od nich, ale żyd. To dosyć. Co do mnie ja tego biednego parię, nigdy bez uwielbienia widzieć nie mogę. Wielce wyższy ukształceniem od swej tutejszej braci, nie zaparł się przecie, ani fałszywie przez niektórych wzgardzonego narodu, ani nienawistnej wszystkim wiary. Pojął on, że oddzielić się od zwycięzców dozwolono; ale opuścić braci podle. Jonasz, który zwiedził Palestynę, nieraz roi opowiadał o stanie Izraelitów tamtejszych, o upadku światła między wybranym Boga ludem. Nigdy nie zapomnę wyrazów jego, gdy mi malował cierpienia ludu swego, ludu co wyprzedził inne poznaniem jedyne Boga, co przez chwilę przewodniczył ludzkości jak gwiazda, dziś zmuszonego żyć w poczwarnem zrośnieniu z machometanami, ludom od siebie niższym cywilizacją; zmuszonego ulegać sile zwierzęcej, sile bezrozumnej a potężniejszej jednak nad wszystko, nawet nad opiekę Jehowy! Z jakąż rozpaczą wymówną maluje on co- fanie się powolne i zaślepienie Izraelitów, aż nareszcie ich upadek, upadek myśli, ubóstwo duszy. Niekiedy mówiąc o tem, staje się Jonasz poetycznym jak księgi prorocze, wzniosłym jak pieśń biblijna. Lecz za chwilę, poznasz go, idźmy, on ci sam to powtórzy, bo to

zwykle pierwsze słowa co się z wezbranej jego wylewają duszy i ostatnie. Żyd i malarz razem, u nas w Wilnie! zadziwi cię Jonasz Palmer. Lecz kilka słów jeszcze o nim, a wytłumaczy ci się to zjawisko.

Jonasz był sierotą, a miał w Hamburgu i Frankfurcie po matce i po ojcu, krewnych bogatych. Ci dowiedziawszy się o sierocie, wzięli go do siebie. Małym jeszcze dziecięciem przebył kraje dzielące go od tych, co mieli za obowiązek zaopiekować się dalekim powinowatym. Żydzi bowiem, powiada Jonasz, jak wiele ludów biednych, stali się prawie wszyscy jedną wielką rodziną Izraela; a póty żydów póki ta ducha jedność ich skupia i ożywia. I ma słuszość.

Jonasz Paliuer wzięty przez Falmerów Frankfurtskich, wychował się u nich; na jednej z tych ulic ciemnych i brudnych, gdzie wymieciono żydów jakby na wielkie śmietnisko. Znasz może sławną Frankfurtską Judengasse, ciemną ulicę wygnania, jak Ghetto w Rzymie, gdzie żydzi odłączeni od chrześcian gdyby plugawy zwierz żyją. Tam w ciasnej kamieniczce gotyckiej, którą żywo opisuje Jonasz, zeszło mu dzieciństwo smutnie ale spokojnie. W ostatnich czasach już przecie na noc przynajmniej jak zwierza w klatce, nie zaciągano ich łańcuchami. Tam w tych ubogich na pozór sklepach, w przysłonionych oknach, błysły malarzowi młodemu pierwsze wzory głów starców i czarnookich niewiast; tam na poddaszu dumał, czytał i rysował. Krewni dali mu (jak im się zdało) chleb i sławę, pozwalając (choć dosyć niechętnie) aby został malarzem, wedle powołania.

Nie wiem kto był nauczycielem Palmera, ale słyszałem, że ucząc się u chrześcian doznawał przykrego co krok prześladowania. Nigdy nie chciał zaprzec się, że był żydem; a skoro się o tem dowiedziano, wyganiano go ze szkoły, gdyż nikt z nim razem uczyć się nie chciał, ani siąść obok na jednej ławce. Uczył się najwięcej z książek, ze sztychów i mnóstwa arcydzieł rozsypanych w Frankfurcie i innych miastach niemieckich. Nic mógł być dotąd we Włoszech, ale je zna dobrze i przeczuwa. Kolorysta, człowiek pełen uczucia, ma coś w sobie naiwności dawnych mistrzów niemieckich, na których się z uwielbieniem napatrzył. Ale otożeśmy blisko, chodź.

Palmer jest tylko do czasu w Wilnie, powraca nazad do Frankfurtu. Tutaj sprowadziło go tylko niespodzianie spadłe nań dziedzictwo po babce, która schowała się i żyła ubogą, sprzedając zgniłe jabłka i kwaśne wisienki, chodząc w zabłoconych, słomą wypchanych butach, po najbrudniejszych miasta zakątkach; przecież znaleziono po niej zaszyte w łachmanach, więcej tysiąca dukatów uciulanych po jednemu dla wnuka. Przed śmiercią zawołała rabbiną i oddała mu rupiecie swoje, aby doszły w całości Jonasza. Palmer przez wdzięczność dla niej, przez ciekawość poznania kraju, w którym się urodził, przybył tutaj na czas. Życie wszakże nie może, codzień oburza się na nieszczęsny stan swych biednych współbraci i powiada, że choć podle zrobi, uciecze jednak 7. placu, bo mu serce pęka na widok ich skalania i moralnej nędzy.

Byli już u drzwi mizernego piętrowego domu żydowskiego, tak brudnego, tak straszliwie niedostępnego, że przez rynsztoki skakać na podwórze, a po kupach błota nalepłych na wschodach, wspinać się było potrzeba na górę.

Ledwie omackiem choć we dnie, dobili się do drzwi pół szklanych, które im odarty żydek otworzył, potem przechodzili szybko, okropnie zatęchłe izby, gdzie całe familie spychały się na kilku łokciach kwadratowych ucząc, swarząc, licząc, handlując, kochając i gospodarując w ciasnocie i zaduchu nieznośnym. Przez niecki z łokszynem, przez cebry pomyi, ocierając się o kotary odarte i

mnóstwo stojących i wiszących kołysek, precyzyjnie się nareszcie do wnijścia zamkniętego szczelnie pokoiku, które im otwarte zostało przez samego gospodarza.

Był to młody człowiek małego wzrostu, delikatny, chudy, i jak prawie wszyscy potomkowie umarłych ludów co dożywają wieku swego na pielgrzymce w obcej ziemi, biały jak kobieta, z płcią przezroczystą tak, że przez nią sine się żyłki przeświecały. Typ jego twarzy był wschodni. Ogromne ożywione oczy czarne, głęboko oprawne otaczały brwi ślicznego rysu, usta miał smutne ale rumiane, małą brodkę i wąsy ciemne, włos kruczy w siny wpadający prawie, a czoło wyniosłe i gładkie.

Twarz była blada i zmęczona, sine znaki pod oczyma, łzy czy cierpienie chorobliwe wyjadło.

Zarumienił się zlekka widząc wchodzących i powitał uśmiechem a wejrzeniem jakby ich pytał: czy mu pociechę, czy obelgę i upokarzającą wzgardliwą litość przynoszą?

Po przywitaniu, które ze strony Jana było tem serdeczniejsze, iż na pierwszy rzut oka, uczuł w Jonaszu jednego z tych ludzi, do których się łatwo przywiązać sympatycznie, żydek pochwycił za rękę Jana i zawołał:

— A! jakżem szczęśliwy! Co za radość! Wy nie gardzicie biednym Paryą! wy mnie odwiedzacie, mnie, żyda! Niech Bóg wam to nagrodzi.

Jan mu odpowiedział żywo: Pozwól kollego powiedzieć sobie, że dziś słusznie przesądem barbarzyńskim ochrzczono, wzgardy owe stare całych narodów dotykające niewinnie.

— A! to są słowa, rzekł żyd, myśmy jednak zawsze tym waszej legendy Ahaswernsem, któremu Bóg wasz rzekł: "Idź, wygnany, błędny i pożywaj chleb pięciu denarów twoich we łzach i pogardzie." Dla was myśmy skalaniem potomkami zabójców Boga.

— Potomkami wybranego ludu!

— Tak, wybranego i strąconego. Ale dodał z pewną dumą: Ludy jak ludzie umierać muszą, trzeba się umieć pogodzić z losem i Bożkie wyroki szanować. Są wielkie konieczności, przeciw którym ktoś co może? Kto jak Bóg? Boża prawica nad nami! Nie godzi się wyrzekać! Byliśmy, dodał z rosnącym zapalem, narodem wybranym, co reszcie ziemi, co całej ludzkości dał Boga swojego, Boga jedyne; dziś myśmy ostatnimi z ostatnich. Życie nasze zeszło jak trawa i minęło jako cień. Kto wie? kto wie? co wyrażał ów bałwan Egiptu, bałwan Tebański, zwany Sfinxem, owa wielka starożytności zagadka? Może los wszelkiego narodu podbitego co sile pięści ulega i zrasta się ze zwierzęciem, i mając skrzydła ale kamienne, ruszyć się nie może, ani podlecieć głową ludzką z ciałem zwierzęcem. Ten Sfins zawsze mi naszą dolę w Palestynie maluje. Żydzi co dali biblią światu, sługami miecza Mosleminów, nie jestli to głowa człowieka ulegająca ciału bestyi? A żale nasze bezsilne, rozlegające się po pustyni, nie sąż to skrzydła kamienne tajemniczego zwierzęcia, które mi z ciężkiej rzeczywistości ulecieć nie można? To mówiąc zakrył twarz ręką i jakby odpędzał myśli natrętne, uśmiechnął się łagodnie, wesoło prawie ale z przymusem. Żydowi, rzekł, nawet artystą być trudno, przystęp do arcydzieł sztuki ciężki dla niego, do świątyń waszych podchodzi ze strachem, Rzym dla niego miastem zapartem, gdzie mu na ruinach starych zwycięzców swoich upadłych, zapłakać nawet

nie wolno. Cierpieć, rzekł, modlić się i milczeć to los nasz.

Odwrócił się do Jana:

— Widziałem roboty pańskie, odezwał się, zachwyciałem się nimi, a obawiałem przystąpić do ich twórcy. Wówczas kiedy ogłosiłeś, że wolno je oglądać wszystkim i ja tam wśliznąłem się ukradkiem, ale ścisnąć ci dłoni jakem chciał, nieśmiałem! nie mogłem! Czyżem się spodziewał, że ty pierwszy przyjdiesz ku mnie? Czemże ci to odpłacę? chyba wieczną w sercu wdzięcznością, bo w naszym biednym położeniu wdzięczność bywa wieczna; rzadko też kto na nią zasłuży!

Na trójnogu w pośrodku izby stał mały jeden obrazek. Misternie obwieszona zielona zasłona, okrywała go raczej od oczów może niż od pyłu i spadającej ze sklepień, od wilgoci obłamującej się pobiałą. Jan prosił o pokazanie roboty.

— Twoje prace, rzekł Jonasz, są pracami prawdziwego artysty, moje to próbki i bawidełka tylko. Drobne, małe, bo nie porywam się na wielkie, wiedząc ile do nich potrzeba umiejętności. Pracuję sumiennie, każdą figurkę obrazka staram się robić z natury, ze wzoru lub w ostatku z makietki, która mi rzuty cieniów daje. Maluję najwięcej wnętrza i obrazki perspektywy, których kilka pokażę. Ten, na którego patrzycie jest wyjątkiem. Natchnęło go pismo, ostatni zabytek Izraela, którego nie zbezczeszczo, którego u ludów znalazł przyjęcie. Twoje obrazy panie, pełne są ognia, łatwo- ści i śmiałości, moje z serca idą ale powolnie, ciężko i mozolnie się rodzą. Ja tworzę jak rodzi matka z boleścią i krzykiem.

— Któż inaczej? spytał Jan poruszony.

— Któż z was nie czytał ksiąg Hioba? tego arcydzieła poezji wielkiej, natchnionej, świętej? Tam jeden ustęp wedle mnie doskonałym jest obrazem tworzenia umysłowego, tworzenia jak ja je pojmuję, tego porodu myśli, która staje przed nami oddzielając się od nas, i często upokarza lub zadziwia tego co ją z siebie wydał na świat.

Pochwyił biblią ze stolika i wpatrując się w nią wyrzekł tłumacząc drżącym od wzruszenia głosem:

— "Izasz ty wiesz czas porodzenia dzikich kóz na skałach, albo dojrzałeś kiedy jako lanie rodzą? Rozliczałeś miesiące poczęcia ich, a zwiedzałeś czas rodzenia ich? Schylają się do płodu i rodzą i ryk nie mały wypuszczają. Oddziela się od nich płód ich, a odchodzi. Odchodzą a nic wracają się do nich (1).

Tak z rykiem boleści tworzy prawdziwy sztukmistrz i myśl od niego odłącza się a nie wraca. Idzie w świat na pastwę, na ciosy, na to by niepoznana lub zabita została, jako dziecię łani i dzikie kozę. Spuścił głowę młody Izraelita.

Jan odsłonił obrazek stojący, choć malarz zlekka się temu zdał opierać jeszcze.

— A! zawołał, i to z ksiąg Hioba, chwila, gdy mu się urąga żona, a trzech przyjaciele siedzą z nim milcząc na ziemi.

— Tak! rzekł Jonasz, a Hiob to naród nasz! i z nim powinien powiedzieć na próbie: "Jeśliśmy przyjęli dobra z ręki Bożej, złego czemuśmy przyjmować nie mieli?(2)" I znalazł Izrael w obcej ziemi niejedną niewiastę co mu urąga, ale nie ma trzech przyjaciół coby w głuchem milczeniu

(1) Tłum. Scharffenberg. 1561.

(1) Rozd. 11. w. 10. boleści siedm dni około zranionego przesiedzieli !

Spojrzeli na małe płótno, które było prześliczne. Typy wschodu, stroje wschodnie, koloryt prawdziwie wschodni.

Jaka boleść spokojna a głęboka w głowie nagiego starca, jakie nikczemne urąganie w kobiecie ? trzej przyjaciele: Elifas Themanitczyk, Baldad Suhitczyk i Sofar Naametczyk, każdy inaczej wyrażali boleśne współczucie i litość serdeczna. Trzy te głowy zachwycające były boleści powagą. Skalisty pejzaż jak gdyby z natury wzięty służył za tło tej scenie. Postacie wszystkie choć nie miały nad kilka cali, choć pieszczone, wykończone, miękko jednak i szerokim pędzlem zrobione były. Tors Joba i chorobliwe plamy jego ciała, z dziwną doskonałością wyrażały boleść sromotną a nie były przecie obrzydliwe lub ohydne.

Jonasz przyjmował pochwały bez próżności, ale z widocznym pomieszaniem w którym przebijała się radość. Wysunął potem szufladę i pokazał Janowi kilka wybornych wnętrzów, ozdobionych scenami życia potocznego, w rodzaju flamandskich i hollenderskich obrazków. Były to roboty tak misternie skończone, tak umiejętnie idealizujące powszednie życie, prozę najprozaicniejszą żywota, że Jan zachwycił się nimi i cieszył. Wykonanie wszędzie było pracowite, dokładne, równe; a obok troskliwości największej, o wykończeniu, miękkie i harmonijne. Stopniowanie tonów zastanawiało, światła zdawały się świecić istotnie, tak doskonale podniesione były otaczającymi je półtonami.

Jonasz schował roboty powolnie.

— Tu, rzekł, u was ani znawców, ani kupców na nie nie znajdę. O! i cieszę się z tego! Gdybym mógł nigdy nie rozdzielać się z nimi! Kocham je jak dzieci, choć nie ślepo. Widzę wady i kocham z nimi. Długo robiąc przywiązuję się do robót moich może nad miarę, a gdy się przyjdzie rozstać, wstyd mi powiedzieć, żałuję ich, ledwie nie płaczę. A! któż z nas nie uczuł, oddając myśl swą ożywioną, narodzoną z siebie, jakie ją losy na świecie czekają? Nie jestli to koźle Hioba? W jakie się ręce dostanie? co ją za przeznaczenie spotka? Nic jestli to owe jaje striisiowe tejże księgi (1), które "noga podeptać może, albo zwierz polny zetrzeć?"

Znajdzie sieli kto, co wyczyta wszystko co artysta w dziele swoim zapisał? całą. myśl jego aż do najdrobniejszych jej latorośli?

Długo rozmawiali tak jeszcze, a Jan żegnając Jonasza prawdziwie był poniszony, tyle szczerego zapału znalazł w wyrazach jego, tyle ognia i natchnienia. Mimowolnie on i Tytus nastroili się do tej

jednostajnej pieśni Izraelity, śpiewającego zawsze jak nad rzekami Babilonu tęskną skargę wygnańców, po utraconej wielkości.

(1) Rozdz. 33, w 13, 14, 15. — Wierz mi, rzekł żyd w ostatku żegnając Jana, do śmierci twych odwiedzin nie zapomnę. Świat zwyciężonych, upadłych, częstuje wzgardą, winni są jemu bo upadli, a któryż upadek nic kala? Winni gdy rozpaczliwie chcą wznieść się ze swego kału i błota, winni jeśli się skarżą, winni gdy milczą, zawsze winni. A gdy z tłumu tych co wołają: Winni! wyrwie się głos serdeczny, głos współczucia i litości, jakaż to wdzięczność!

Wy, nie dożyjecie pewnie, lecz kto wie, synowie może wasi lub wnuki; nie trudno być prorokiem! chwili, gdy i dla was jak dziś dla mnie słowo pociechy, dłoń wyciągniona, współczucie serdeczne będą drogim darem. Nie daj Boże! ale narody giną i upadają jako ludzie, a przeciwko śmierci nie ma ratunku! Miecz to anioła Bożego!

Następujący dzień spędzili Tytus i Jan na odwiedzinach u znaczniejszych w mieście osób, których opieka mogła się przydać Janowi: u biskupa przełożonych klasztorów, celniejszych urzędników zamieszkujących Wilno. Kasztellan gdzie mógł podjął się zalecić Jana, któremu sprzyjał prawdziwie. Ale te odwiedziny, znajomości nowe, które tyle kosztowały Jana, te pokłony i uśmiechy wymuszone, nie wiele skutku obiecywały. I duchowni i świeccy bardzo grzecznie przyjmowali malarza, rozpytywali go o Włochy, o niego samego, o lata, o zdrowie, o powietrzu mówili i pogodzie, o czym tylko się mówi w takich razach; odprawiali z obietnicami pomocy, lecz ani chwili nie pomyśleli szczerze by co robić dla niego. W owym czasie nic wiele też było można; umysły zajęte były wypadkami politycznymi po sobie następującymi szybko a niespodzianie. Bóg jeden mógł tę niemoc konieczną uleczyć, ale Bóg często zsyła śmierć gdy wie, że lepsza będzie nad życie, gdy naród spełnił co mu należało, co mu było wydzielono, gdy skończył jak robotnik w winnicy. A śmierć z ręki Bożej to tylko pieluchy do nowego odrodzenia moralnego.

Odwiedziny u malarzy, na które Mamonicz rachował jako na lekarstwo, ledwie nie przeciwny spodziewanemu skutek sprowadziły. Perli i Mruczkiewicz wzajemnie się sobie niemi pochwalili zaraz, a dowiedziawszy, że Jan był u obu, oba nie byli temu radzi, że stali na równi. Mruczkiewicz pomyślał: Był u tego samouka!

Perli: Był u tego bazgracza portretów.

Mruczkiewicz pocieszał się także myślą, że u niego był wprzód (niewiedząc, że mieszkaniu to był winien), a Perli gniewał się, że u niego kwadransiem później się stawił.

— Będiesz ty u tego Jaśnie Wielmożnego? spytał portrecista.

— Nie wiem! odparł Perli, a w duchu pomyślał: Juściż będę. A ty?

— Należałoby być. Powiem ci, jestem ciekawy, dorzucił Mruczkiewicz. Jego wiel-

kie obrazy radbym zobaczył, ludzie chwałą. I tobie nie zawadzi, zawsze coś tam liźniesz! Bo to wy kolledzy w jednym rodzaju pracujecie ! mówił z intencye szyderską.

— Maluje tez on i portrety, i bierze za nie po sto dukatów, rzekł Perli niby nie umyślnie. No, a kiedyż tam być myślisz?

— O! nie mam się tak czego spieszyć.

— Ani ja.

— Jakże ciebie zastał?

— Jak? malującego rzekł Perli.

— A żonę ?

— A! (tegoś to chciał się dowiedzieć! pomyślał) żona tylko się na chwilkę pokazała.

— (Wiem już jak weszła, mówił do siebie Mruczkiewicz, pewnie z pięściami do góry i piorunami w gębie), głośno dodał: I cóż?

— I nic! poznał ją. A twoja?

— A! do mojej chodził aż do jej pokoju!

— Hm! a jakże ją zastał? spytał złośliwie Perli, udając życzliwą tylko ciekawość, ale w istocie chcąc się odciąć i odpłacić, wiedział bowiem, że z domu Dubińska, bywała niekiedy pijana do nieprzytomności.

— A zwyczajnie nad dziećmi i gospodarstwem !

Gdy się już mieli rozstawać, Mruczkiewicz cicho szepnął Perlemu:

— Wiem o robocie! co dobrego!

— Gdzie?

— Diabła ci powiem? Co mi dasz?

— Jakaż to robota?

— Mówię! co dobrego! co się nazywa! Cały kościół do malowania. Trzy obrazy ołtarzowe.

— Gdzie? gdzie? zawołał niespokojnie Perli ściskając go za rękę, już nie w mieście?

— Nie! na prowincyi.

— (Dowiem się sam! powiedział sobie Włoch).

— Co mi dasz? to ci tę robotę nastreczę, a nie, to ją przybylec porwie, bo koło niej już sznurkują i chodzili bodaj czy nie zatem do Gwardyana Bernardyńskiego.

— Cha! cha! wydałeś się! nic ci nie dam! krzyknął w uniesieniu Perli, stanie pede lecę do Bernardynów. Dla mnie dość, stopki całuję.

— Słuchaj, czerwieniąc się z gniewu na siebie za swe głupstwo, zatrzymał go Mruczkiewicz, jeśli się ze mną nie umówisz, ja przybylca podstawię, a jak przyjdzie wasze roboty porównać, stopki całuję!

— Ja pomaluję za pół ceny!

— Tak! tak, ale kiepsko! rzekł portrecista, za tanie pieniądze psy mięso jedzą, to wie nawet i gwardyan Bernardyński. Fundator spalonego niedawno Kapucyńskiego kościoła, dla którego malarza Bernardyni szukają, nie będzie żałował grosza. Dla niego to nie rzecz żeby tanio, ale żeby się nie wstydzi! No, co mi dasz? powtórzył chwytając go za rękę. — Ale to, rzeki Perli chwytając, ja tylko żartowałem, nie wiem nawet czybym się mógł podjąć. Sklepień nigdy nie malowałem, mam dosyć roboty.

— To co innego, odpowiedział Mruczkiewicz z ukłonem. Jak się podoba i do zobaczenia.

— Stopki całuję. Rozeszli się wzajemnie zamierzając oszukać; Perli myśląc biedz zaraz do Bernardynów; Mruczkiewicz chcąc jak najrychlej zaprzecć mu tam drogę; na pozór jednak obojętni.

W pół godziny później spotkali się nos w nos na korytarzu XX. Bernardynów.

— A! Pan tu!

— I Pan!

— Mam interessik.

— Ja mam tu w nowicyacie krewnego mojej żony, rzekł szybko Perli, chcę go odwiedzić.

-A! a!

Stanęli przeciwko sobie pomieszani srodze. — Po co te udawania? spytał wreszcie z przymuszonym uśmiechem Stanisław Perli, szedłeś mi szyc buty.

— Nie przeczę! a ty podemną trawę kosić?

— No! niechaj; ale kiedy tak, nie damy sobie rady, zgódźmy się.

— Co mi dasz ?

— Jakaż tam cena tej roboty?

— Dość znaczna, ale potrzeba potargować się o nią. Tu nie konwent płaci, ale pan, konwent ma także składki.

— Co ci dam ? powiedzie mi wprzód co ja wezmę?

— Dziesiąty procent dasz?

— Faktorski!

— Śmiesz mówić! obrażasz mnie Wać Pan! Co to jest Mości Panie?

— Słowo obraza go, a rzecz to nie ?

— No, idźże sam rób swoje interessa i dajmy sobie pokój. Już się rozstawali gdy Perli zmiarkowawszy, że nic nie wywojuje z lisem, dogonił odchodzącego i po cichu na prędce zawarli umowę ostateczni}. Potem, oba już razem weszli do celi gwardyana, robić razem wspólny interes. Perli pokorny był i nisko się kłaniał. Mruczkiewicz rubaszny i udający naiwnego jak dziecko, oba usiłowali się jeszcze podejść.

Mruczkiewicz przed Gwardyanem grał rolę człowieka zupełnie bezinteresownego i zarzuconego robotą:

— Bo, mówił, mógłbym to i ja się podjąć, ale woię kolledze usłużyć.

Gdy się to dzieje, Jan napróżno usiłuje walczyć z niedostatkiem, tym trądem, który pożera prawie każdego artystę, prawic każdego poetę, nie mającego wprzód losem obmyślonego kawałka chleba powszedniego.

Sztuka bowiem zawsze zawodzi, ilekroć chcemy jej użyć jako środka do polepszenia bytu materyalnego. Nie jej to przeznaczeniem. W szczęśliwych okolicznościach, po długich bojach, w krajach gdzie cześć arcydzieł stała się powszechną, łatwiej mieć chleb przy sławie; u nas to prawie niewidziany fenomen. I ten fenomenalny chleba kąsek nie otrzymuje się bez ciężkich ofiar: potrzeba dla popularności i pieniędzy często zaprzeć się siebie, pochlebiać tłumowi i tumanić niegodnie. Najdroższą ofiarą, myśli amputacją, zaparciem natchnienia, kupuje się pieniądz, chleb.

Lecz jeszcze Jagusi woreczek nie był całkiem wypróżniony, jeszcze na dnie jego brzęczały pieniądze, które nieopatrzne dziecko ufając w wielki geniusz męża, rozrzucało bez zastanowienia. Będziemy bogaci, mówiła ściskając go za szyję białemi rączki i całując w czoło, tyś tak wielki, ty nie masz tu równego, możnaż aby się ludzie nie poznali na tobie ? Jan bladł od wzruszenia, całował ją z uśmiechem milczącym, nie chciał odbierać złudzeń i nadziei, które i tak prędko miała biedna utracić.

Jagusia dziwiąc się częstym wycieczkom, odwiedzinom, upokarzającym stacyom w przedpokojach męża, o których głucho słyszała, niespokoiła się niemi, a pojąć nie mogła coby znaczyły. Ile razy smutny, zawiedziony powracał Jan, starała się go wybadać, napróżno odwagą młodości i niedoświadczenia, które rozgrzewają serce i zawiedzionym nawet, zrozpaczonem, na chwilę wlewając nadzieję.

Z obrazów przywiezionych nie sprzedać się nie dawało, Jan zniżył ich ceny: Żarski pozakupowywał mniejsze kopie, ale ich ceną długo żyć nie było można. Robota u Kapucynów, o której wcześniej wiedzieli

Mruczkiewicz i Perli zakrytą była dla Jana, przypadkiem czy umyślnie. Gwardyan Bernardyński mając go z miny czy z sławy za człowieka dostatniego i niepotrzebującego zajęcia, ani mu nawet śmiało mówić o tem. Inni zapraszali go, zmuszali do trwonienia czasu na odwiedziny i czece pogadanki; ale szczerze zając się nim nie myśleli. Prawda, że Jan dumny trochę, nie wspominał jak inni ciągle o sobie, o żonie, o swoich potrzebach, ubóstwie; nie wyciągał ręki co chwila jak żebrak w rogu ulicy. Mamonicz, który się lękał tem szczerzej, że nie widział skutku zabiegów, przyszedł jednego rana z zamiarem pomyślanym przez się, dawania lekcyi rysunków.

— Kilku uczniów znaleźć możemy, a i tem gardzić nie potrzeba. Gdyby ci codzienne wydatki zapłacili, byłbym spokojniejszy.

— Ale, spytał go Jan, wieszże ty co to jest lekcyja? to powolne szczepienie zasad, które do nich zwraca człowieka i obala znowu na ziemię wprzód uwolniony umysł; krępuje go i pęta w ciężkie, poziome, materyalne warunki sztuki, coby ich rad zapomnieć; bo je sobie przyswoił tak, że ich już nie czuje. — Wiem to wszystko, odpowiedział Tytus, ale pokaż mi co lepszego? znajdź inną radę? Trzeba pracować jak się zdarzy, zapomnieć na chwilę o sztuce i wprzędz się do pługa!

— O! gdyby tylko do pługa! zawołał Jan.

— Nie narzekaj, miej odwagę i działaj. Narzekanie osłabia nas i do niczego nie prowadzi.

Nadchodząca wesoła Jagusia, którą Jagnięciem swem Jan nazywał, przerwała rozmowę.

Mamonicz po swojemu zaczął się starać o uczniów i odkopał ich kilku. Wprawdzie płuca była nikczemna, ale mówił Janowi: zachęć tylko; gdy ci zrobią postępy, znajdą się inni, więcej, otworzysz szkołę. Gdybyśmy byli gdzieindziej nie w Wilnie, gdzie się mało drukuje i to co drukuje wydaje na bibule, startemi literami, możeby się znalazło zatrudnienie miłe, ryciny do ksiąg. Łatwo ci było wyuczyć się rytować na miedzi; ale tu... Poczęły się przenuadne lekcyje.

Aż jednego poranku znowu przyszła Jagusia wesolutka jak zwykle pokazując próżny już woreczek Janowi.

— No, rzekła, kolej na ciebie, napełnij mi go mój Krezusie.

Zaczerwieniony Jan pobiegł do szufladki, zebrał co miał do grosza i przyniósł żonie.

— A! tak mało! zawołała śmiejąc się, tak mało! chyba chowasz resztę przedemną.

— W istocie, rzekł Jan zmieszany, mam trochę jeszcze rozpozyczonych, nie poodbieranych.

— Na kilka dni to wystarczy, odpowiedziała Jagusia. No, a robota, Janie?

— Nie przychodzi.

— Drogoż bierzesz za lekcyę?

— Dosyć, ale to początek, muszę być tanim jeszcze, chcąc zachęcić. Bardzo nie wypada mi się drożyć.

— Dla czegoż? któż tu lepszy od ciebie? — Z czasem moje drogie Jagnię, wszystko przyjdzie!

Z boleścią w sercu, oszukawszy wesołą na pozór miną żonę, pobiegł do Mamonicza, który w zimnej izdebce, w której stał dzbanuszek mleka i parę bułek świeżych, śpiewając, modelował lwa z natchnienia

— Przyszliśmy, rzekł, do dna worka, oddałem Jagusi ostatki. Dziwi się, że mam tak mało! Co tu począć!

— A lekcyę ?

— Wiesz co one przynoszą.

— Słuchaj, ja nie wiele potrzebuję, mnie bułka, mleko, trochę gliny, to tylko co zapycha brzuch dopominający się strawy i co umysł zajmuje, wystarcza. Musiałem oszczędzić trochę, niewiedząc co z tera zrobię. Mam kilkaset złotych, bierz je, ale staraj się na przyszłość, myśl, działaj.

Jan wahał się w początku, ale naglony od Tytusa, wziął wreszcie te kilkaset złotych i tegoż dnia oddał je Jagusi. Nazajutrz potrzebując coś kupić a niezostawiwszy nic sobie, zapotrzebował od niej części pieniędzy na powrót. Biedna Jagusia zarumieniła się cała, pobiegła i przyniosła mu, ale nie tyle ile żądał.

— Cóż się stało z resztą, kochanie? Już nie masz pieniędzy? spytał Jan przerażony bledniejąc i pierwszy raz okazując widocznie pomięszanie i niepokój.

— A! daruj mi Jasiu drogi, musiałam, miałam, nie mogę ci powiedzieć.

— Jagnie drogie, ale cóż się stało z niemi?

— Oddałam ubogim, na msze za duszę matki, za pomyślność twoją.

— Wszystko?

— Tyle mi się tylko zostało!

Jan posadził ją na kolanach i obejmując w pół, okrywając pocałunkami, starając się osłodzić wyznanie, które całe życie ich zmienić miało nagle i jasne dotąd czoło Jagusi zachmurzyć, rzekł: — Droga moja! ty nie wiesz w jakim my jesteśmy położeniu, mamy już długi, a ani grosza zapasu.

— Jako mój Janie! Jasiu! to być nie może, ty niepotrzebnie mnie straszysz? sam musisz się lękać bez powodu. Mruczkiewicz i Perli co palca twojego u lewej ręki nie warci, żyją z pęzla, a tybyś miał trudność utrzymać się ze swojej pracy?

— Tak jest, aniele kochany, naprózno gonię za robotą, wszędzie znajduję lub miejsce zajęte, lub pracę ubieżoną przedemną, lub obojętność i nieznajomość sztuki. Przyszłość mnie przeraża. Bądźmy oszczędni, bardzo oszczędni, bo jesteśmy gorzej niż ubodzy, mamy już długi. Oszukiwałem cię trochę droga moja; ale mrę ze strachu abyś nie doznała kiedy niedostatku, którego wszelkiem z mojej strony poświęceniem będę się starał uniknąć dla ciebie.

Jagusia uściskała go, ucałowała i zawołała naiwnie: — Nie bój się: rozdane ubogim Bóg powróci. Pracujmy! oszczędzajmy, módlmy się i miejmy nadzieję. Nadto mam dobre jeszcze wyobrażenie o mojem rodzinnem mieście bym zdrzeć miała nad tobą. Nie, nie, Janku mój, nie obawiaj się. Złeś tylko zrobił, żeś się taił przedemną. Ja dużo straciłam naprózno, często pozwoliłam sobie nadto. Odtąd będę wiedziała jak oszczędzać, aby ci zapas zapewnił spokojność; zobaczysz!

W kilka dni Jagusia, przyniosła w fartuszkach Janowi kilka set złotych, któremi biegnąc po pokoju pobrząkiwała radośnie; rozsypała je na podłodze i zawołała:

— Bądźże spokojniejszy, oto masz pieniądze, masz pieniądze.

— Co to jest? zkad? spytał Jan.

— Zkad? sprzedałam moje wszystkie niepotrzebne fraszki, trochę nawet pamiątek po ojcu i babce, ale dla ciebie czegożbym nie dokonała! I rzuciła mu się na Jan o wszystkim zapomniała.

— A! będę oszczędzała! zobaczysz! zobaczysz jak! zawołała pieszcząc się z nim.

Na tę właśnie chwilę i rozsypane po podłodze pieniądze nadszedł Perli, który rozniósł po całym mieście wiadomość, że Jan nie wie o swoich skarbach, że zbiera kapitały. I ci coby byli może, wiedząc o prawdziwym jego położeniu, postarali się o zajęcie dla niego, woleli dać robotę komu innemu, pierwszemu Perli, który ciągle stękał mówiąc o swoim położeniu artysty niewynagrodzonego, zostającego w przykrem ubóstwie.

Tymczasem Jagusia, spodziewała się być matką.

W każdym innym razie byłoby to radością napełniło dom cały, teraz było dla Jana przestraszeniem prawie. Jagusia tylko cieszyła się spodziewaniem dziecięciem i robiąc mu czepeczki, szyjąc koszulki rumieniła się weselem, liczyła dni oczekiwania na palcach. Za tyle a tyle, mówiła, gość nasz pożądany przybędzie. Wymawiała mężowi, że nie dosyć podziela jej szczęście, jej radość.

— Jeśli będzie syn, dam mu imię Jan, jeśli dziewczynka, nazwę ją Joasią. A jaka będzie śliczna! Jak te dziecię Albana, które ja tak lubię, wiesz? Zobaczysz! będzie służyć ci za wzór aniołka, tylko mu przypniemy skrzydełka.

Długie godziny spływały nie zajęte, oderwane pracy, wśród słodkich pieszczot i zapomnienia na wszystko. Lekcje Jana niewiadomo jak i dlaczego, powoli upadły, brak znowu dał się czuć w domu. Niewidząc ratunku innego, Jan poszedł do Żarskiego prosząc go o pożyczkę. Stary amator, który wyrachował korzyści wypłynąć ztąd mogące, chętnie się na to zgodził; zapewnił Jana, że mu zawsze przyjdzie w pomoc póki tylko będzie mógł i uspokoił go na przyszłość. Jak wszyscy ludzie

nieopatrzeni i chętnie czerpiący z otwartego źródła, a na jutro niemający oczu, Jan łatwo mogąc pożyczyć, wkrótce zadłużył się bardzo. Z przestachem obejrzał się dopiero gdy obliczył swoje długi i postrzegł, że niepodobieństwem było, opłacić je całym rokiem pracy.

Głowa mu się zawróciła.

Jagusia cierpiąca, osłabiona, zapomniała o oszczędzaniu, cała żyła w dziecięciu. Niemający odwagi sprzeciwić się jej, widząc ją chorą, Jan i lekcy zaniebawił i pracę porzucił siedząc tylko przy niej, z nią, a nie umiejac odmówić jej niczego.

Ostatnie zapasy znowu wyczerpane zostały. Mamonicz milczał smutny i zamyślony, Jan przez uczucie wstydu nie spieszył się także skarżyć i wynurzać przed nim, aby go nie wyciągać na nowe poświęcenia. Nareszcie jednego dnia gdy Jagusia niemogąc sama wyjść z domu naprzechadz-kę, wyprawila ich zostając z jedna ze swych przyjaciółek młodości; Mamonicz przełamał kilkumiesięczne milczenie i spytał:

— Powiedźże mi co o sobie, o swoich interessach, masz ty pieniądze?

— Nie pytaj mnie o to, odparł Jan.

— Znowu ci brak, to pojmuje, ale jak utrzymywaliście się dotąd?

— Pożyczałem, rzekł Jan cicho.

— A! pożyczales? spytał żywo Tytus, gdzie u kogo ? u żydów może ?

— Nie, po większej części u Żarskiego.

— To prawie na jedno wychodzi, z zapalem odezwał się Mamonicz. Jemu chce się reszty twoich obrazów; potrzeba mu oddać. Mów, mów mi szczerze wieleś ty mu winien?

— Wiele! Będiesz się dziwił i gniewał, nic powiem. Ale Jagusia chora, nie dogodzić jej potrzebom w tym stanie byłoby okrucieństwem, ciągle jej przypominać o oszczędności niepodobna. Sam wyznaj. Bawię ją i kołyszę nadzieją roboty, zarobku, a o pożyczkach słowa nie wspominam, taję, muszę.

— Lecz czemże je zapłacisz?

— Żarski może wzięść obrazy, sam mówiłeś.

— Tak, ale w jakiej cenie! za nic.

— Miałżeby być tak chytrym, tak...

— Dodaj podłym; więcej niżeli myślisz. Tymczasem Mraczkiewicz i Perli podchwycili jedyną robotę, która ci przystać mogła. Cały kościółek Kapucyński nowo na miejscu spalonego założony o kilkanaście mil ztąd.

— Co mówisz?

— Tak jest! Dopiero wczoraj się o tem dowiedziałem. Perli ma kilka tysięcy złotych w sperandzie; Mruczkiewicz wziął tylko faktorskie. O tobie rozgłaszają, że śpisz na złocie, a ty nie masz za co może chleba kupić! — Właśnie wybrałem się znowu do Żarskiego.

- A lekcyje?

— Zeszły na nic; musiałem się opuszczać. Biedna Jagusia niespokojna, cierpi więcej kiedy mnie nie widzi przy sobie. Stan jej pełen cierpień nieznośnych; z oka jej spuścić nie mogę. Sług mi przybyło, a w domu ani grosza.

— Oto tymczasem trzy dukaty, rzekł Tytus, niosłem je tobie na przypadek, więcej nie mam.

— Daj mi pokój i tak ci winienem.

— Nic! dopóki nie przyjdę i nie powiem ci z kolei, daj mi, bo potrzebuję. Lecz słuchaj Janie, myślmy, mówmy, nie maszli sposobu jakiego wybrnąć z tego? Kasztellan.

— Zrujnowany. Francuzka nałożyła mu taką cenę na rozwód w intercyzie, że ta dodana do dawnych długów zuboży go zupełnie. Żyje po pańsku: pożyczanem. Cała nadzieja jego w bogatym ożenieniu. Stręczą mu bogate dziedziczki nieznanego nazwiska. Ale dotąd sam pożyczka po sto dukatów i karmi się, nadzieją.

— Mówiłeś mi kiedyś o kawałku ziemi dziedzicznej!

Jan zczerwienił się, zabełkotał.

— Przedałeś już ją?

— Nie jeszcze, ale i to mam prawie za grzech, że mi myśl przedaży kilka razy przechodziła przez głowę. Tam żył ojciec, tam żyła i umarła pocziwa, święta matka moja — to pamiątka !

— Janie, ale pamiątkami nie wyżyć! Jeśli przedażą tego kawałka ziemi możesz zaspokoić długi swoje, a zresztą pozostałą wyjechać ztąd do Warszawy, do Lwowa? Gdyby żyła matka twoja, onaby pierwsza, ochotnie zrobiła ofiarę z tego kątką, którego ty już nigdy nie zamieszkasz pewnie.

— Masz może słuszność; mówię to sobie, ale myśl sprzedaży oburza mnie przecie i napełnia wstydem. Nie mogę się z nią oswoić.

— Janie, tu idzie o los twój i kobiety, której jesteś opiekunem. Pamiątkę matki złóż w sercu.

— Zgadzam się, ale jakże sprzedać ? jechać samemu ? Musiałbym opuścić Jagusię, a koszta podróży? Sam nic nie znam, ani ceny ziemi, ani form prawnych, tyle tylko wiem, że ten kawałek przyległy jest wielu sąsiednim i bardzo im pożądany. Kupią go chętnie.

— Znajdziemy kogo co go sprzeda, postaram ci się. Wiele myślisz zań wziąć? — Nie wiem! ja

go tak cenię!

— Rozległość?

— Nie znam dobrze. Myślę, że musi być wart kilka tysięcy.

— Kilka tysięcy! To chyba bardzo obszerny! Wszak to ziemia nie osiadła, bez ludzi?

— Chata, łąka, pole, ogród, dziedziniec, kilka brzoź. — Tylko! lecz pola muszą być wielkie? inaczej nie mógłbyś rachować na tysiące.,

— To ostatni mój ratunek.

— Chcesz więc próbować i chwycić się go?

— Muszę! muszę!

— Jutro więc daj plenipotencję, a ja ci nastreczę kogoś uczciwego do sprzedaży w tej okolicy mieszkającego, co ci i kosztu podróży oszczędzi i zrobi jak najrychlej.

— A! nieopisana to, niewysłowiona ofiara! westchnął Jan, ale dla niej nie mam się co wahać, muszę ją spełnić.

W skutek tej rozmowy wyprawiono listy i plenipotencją, a dość długi przeciąg czasu upłynął, nim na nie otrzymano odpowiedź.

Tymczasem zbliżało się rozwiązanie Jagusi, która w miarę jak ta chwila nadchodziła, coraz smutniała i płakiwała codzien. Biedna, dopatrzyła pomimo ukrywanego starannie niedostatku, że nędza gnała ich, swą rękę kościstą i wyzółkła kładnąc już na ramieniu Jana. Jan czekał sprzedaży gruntu, a tymczasem zadłużał się coraz bardziej, grzął coraz głębiej, już nie w zaciągnięty dawniej i powiększający się coraz dług u Żarskiego tylko, ale w drobne dłużki, które jak wrzody osiadają człowieka przy schyłku choroby. Byli już winni wszystkim: praczce, mleczarce, piekarzowi, rzeźnikom, żydkora, przekupniom, za mieszkanie i wszędzie. Robota była marzeniem; ani jednego portretu nawet nie miał Jan, choć wywiesił z boleścią serca napis, co go we własnych oczach na rzemieślnika skazywał:

Malarz portrecista.

Zasmucony, upadły na duchu, ile mu razy myśl przysła wielka, ogrzewająca, którą chciał wydać na płótnie, pytał się siebie mimowolnie: Dla kogo? dlaczego? kto to zobaczy? kto oceni ? kto pokłaśnie i zrozumie?

I rzucał pęzel w rozpacz. Gdybyż w tym stanie duszy choć promyk wiary rozświecił ciemności, gdyby religijne natchnienie, missyę artyście wskazało wyższą a uświęciło cierpienie ? gdyby boleść umiał ofiarować Bogu i znosić z dumą szlachetną, z pogodą męczeństwa na czole? gdyby aureola chrześcijańska otaczała skroń zżółkłą i pomarszczoną? Ale nie, Jan od pobytu we Włoszech nie miał wiary w sercu i zapomniał modlić się, ufać Opatrzności, odzywać do Boga. Rachował tylko na

siebie! Biedny! stokroć biedny, bo w upadku pociechy żadnej, osłody z nikąd i tylko głucho, zabójcze milczenie nicości otaczało go do koła.

Dziwił się brakowi natchnienia i rozpaczy, ostudzonej wyobraźni, wygasłemu uczuciu, a nie widział, że z wygaśnięciem wiary, wszystko co z nią ma związek, co z niej pochodzi, z nią się łączy... ginąć musi.

Płakali z Jagusią wieczorami u komina, bo ona tem przecuciem właściwym kobiecie, a wzmagającym się jeszcze w stanie choroby, widziała już wszystko jak na dłoni, ceniąc Jana jak był wart, choć pokonanego od okoliczności i zwalzonego losem. Dziwiła się tylko, czemu pociechy nie szukał w modlitwie, czemu nigdy nie wspomniał serdecznie o Bogu? Spytany artysta, uśmiechał się boleśnie i milczał.

— Nic, nic, mówiła Jagusia, nie chcę mieć syna malarzem.

— Niech lepiej rzemieślnikiem będzie, po cichu dorzucił mąż. Rzemiosło da mu wszędzie chleb; sztuka tylko w uprzywilejowanych czasach i krajach, a spokojny chleba kawałek, czyste sumienie, domowe pożycie niczem nie zachmurzone, nie sąż to skarby droższe nad wszystko?

— A przywiązanie żony, a serce kochanki? ty tego nie liczysz!

— O! to nad wszystko, zawołał Jan ściskając ją, to się nie liczy, o tem się nie mówi, to tajemnica między nami a Bogiem, o której mówić czasem, zdaje się świętokradztwem.

Niewcześnie postrzegłszy znów niedostatek, Jagusia ujmowaniem sobie, potajemnem odmawianiem najpotrzebniejszego, nadwerżyła słabe i tak zdrowie. Udawała ona wstręt nieprzewyciężony ku wszelkim wymyślniejszym pokarmom, których przeciwnie pragnęła niepohamowanie; płakała w nocy, we dnie zabijając się z dość wesołą twarzą. Nie chciała kołyski ładnej dla dziecka, o której wprzódy marzyła tak bardzo, grube pieluchy przygotowywała mu w miejscu ślicznych koszulek i czapecek dawniejszych, teraz odrzuconych z heroizmem.

— Niech się uczy cierpieć, niech wprawia do niedostatku, mówiła, biada tym co ufają w szczęście i kołyszają do niego!

Jagusia blizką już była rozwiązania, gdy listu oznajmującego o sprzedaży gruntu czekano jeszcze. Codzień Tytus chodził na

miasto i powracał smutny, z niczem. A na ten list i mające nadejść pieniądze rachowano takdalece, że do niego odsyłano wszystkich wierzycieli, że ciągle mówiono o nim. Roboty nie było. Dwa portreciki wyżebrane prawie i wymuszone zabiegami Tytusa, malowane bez przytomności, bez zapału, niepodobne bo zbyt wyidealizowane przez Jana, ledwie potoczne opędziły potrzeby, a odstąpiły innych od malarza, bo wszyscy widząc je mówili:

— Gdzież by najmniejsze podobieństwo?

Portret bowiem aby był oceniony powszechnie, potrzebuje być albo doskonałym arcydziełem albo karykaturą. Tłum, który rozumie każdą fizioznomią po większej części z jej strony prozaicznej, w

rysunku szuka także wyrazu codziennego, nie ideału, nie typu do którego familii należy oryginał portretu. Kilka dni pozostawały do oczekiwanej zdawna chwili; w domu niedostatek, wierzyciele codzien dokuczliwsi, Żarski uprzykrzony, wygod coraz bardziej brakło; jeden Mamonicz podsyczał po trosze poddając nic wiedzieć jak zarobionego grosza, na wydatki codzienne.

Po nocach wyrzynał on lalki lipowe i sprzedawał je ukradkiem do sklepów za bardzo niską cenę. Ile go kosztowała ta wyrobnicza praca, trudno opisać. Ale ze to się przynajmniej łatwo wyprzedawało prawie zawsze, robił je chętnie. Żył sam bułką i mlekiem, ograniczał się jedną izdebką; a co zapracował, oddawał Janowi lub częściej słudze domu, mówiąc: — Wyplacam się powoli com u twego pana pożyczył dawniej, w lepszych czasach.

Sam wesół i swobodny, nigdy nie narzekał, nie skarżył się, a za całą nagrodę godzin kilka w dniu lepił z gliny z tym ogniem, łatwością i natchnieniem, które mają tylko wybrani.

Jan tymczasem malował obraz, ale bezsilnie, bezdusznie, rzucając go co chwila i nie mogąc myśli połapać; nie rad swojej robocie, zmęczony nią, zbity niepowodzeniem. Długi (a Żarski najwięcej mu pożyczył) dochodziły pięciu tysięcy; grunt dotąd był nie sprzedany. Stary amator nadszedł nareszcie raz na Jana tak zboląłego, tak zrozpaczonego, iż zmiarkował, że teraz lub nigdy, zrobi z nim co zechce. Za dług więc zaproponował przyjąć dawniejsze roboty.

— Wezmę już obrazy, rzekł, choć wiem, że się to u nas nigdy nie sprzeda, na stratę; ale dla Pana, którego szacuję.

— Cóżbyś życzył wziąć?

— A! naturalnie, naprzód co najlepszego; Adonisa.

— Moją główną pracę! którą ceniono w Rzymie tysiąc dukatów, i ja ją tak cenię.

— Bo to w Rzymie paneczku; a w Wilnie sto dukatów rzecz wielka i za obraz opłacona, niesłychana! niewidziana cena! No, ale robię to dla was, wezmę we stu dukatach. — Panie! nie kraj mi serca! Jutro! jutro! może mi nadejdą pieniądze.

— A dobrze niech będzie i do jutra, rzekł stary nareszcie po półgodzinnej walce, tymczasem widzę coś u Pana w domu chudo, oto jeszcze dziesięć talarków, obrachujemy się potem.

Jan go uścisnął i pobiegł zaraz kupić jakiś przysmak dla Jagusi, która o nim przez sen mówiła biedna. Serce mu się krajało, ale wprzód kupić nie mógł! Ów przysmak, owoce; kosztowały w tej porze cały czerwony złoty, reszta rozeszła się między pilniejszych wierzycieli po trosze. Dano po kilka złotych z dawna dopominającym się: piekarzowi, rzeźnikom, słudze.

Wieczorem tegoż dnia wpadł Mamonicz, ale blady jak ściana i pomięszany widocznie, wziął Jana pod rękę i rzekł na ucho:

— Chodźmy!

— Dokąd? — Tak przejdziemy się, jestem nie zdrów, potrzebuję ruchu. Skinął, ze mu ma coś

pilnego powiedzieć, a nie chce przy żonie.

— Tylko mi wracajcie prędko, zawołała Jagusia, ja się sama nudzę, boję, a zostawszy jedna płaczę i płaczę.

— To nie idźmy lepiej, rzekł Jan.

Mamonicz zdawał się mocno nie rad z tego, ale nadejście przyjaciółki Jagusi, dozwoliło im wymknąć się na chwilę.

— Masz mi co do powiedzenia?

— Jesteś mężczyzną i powinieneś umieć znosić boleść po mężku, to nasza rzecz, rzekł Mamonicz bez wstępu. Nic nie mów i nie pokazuj po sobie przed Jagusią, wybrniemy z tego jak Bóg da, ale wybrniemy. Oto list.

— Grunt sprzedany?

— Sprzedany, ale gdybyś był wiedział jego wartość i rozległość, lepiej go było zatrzymać. Jan schwytał oczyma list plenipotenta i zrozumieć go w początku nie mógł.

— Nie miał więc już kątką na ziemi coby go mógł nazwać swoim, a sprzedaż nie przyniosła nic prawie, nic, w miarę tego co się spodziewano.

W liście donoszono, że stosownie do woli Rugpiutisa i danego pełnomocnictwa, zjechało na grunt dla oceny i sprzedaży. Nadanie gruntu nie obejmowało całej nawet włóki. Sprzedaży sprzeciwił się dzierżawca, któremu Jan nieopatrznie puścił na lat kilka chatę, ogród i pola, nie warowawszy sobie ustępstwa na wypadek sprzedaży; bo się do niej zmuszonym być nie spodziewał. Spadkobiercy tego, który grunt Rugpiutisowi nadał, sformowali manifest przeciwko nadaniu i jego ważności, usiłując grunt nazad zabrać. Kontrahenci do kupna liczni w początku, zrażeni formalnościami i processu zarodkiem, ustąpili. Adwokat szczęśliwie usunął wszystkie wady, kończąc z spadkobiercami nadawcy o sprzedaż gruntu im przyległego, a dzierżawcę uspokoiwszy nie wielką bonifikatą.

Grunt wedle najwyższej ceny, w okolicy niepraktykowanej, zapłacony został, pięć set złotych. Rozległość była nie wielka, chata zrujnowana nie powiększała wartości, łąka była błotnista i rowy osuszające ją zapadłe. Z tych pięciuset złotych odtrąciwszy kilkadziesiąt dla dzierżawcy, koszta przejazdu i t.p., pozostałych trzysta dziewięćdziesiąt kilka odesłano przy liście.

Jan czytał, czytał i doszedł do ostatecznej summy; rozumiał, że trzy tysiące odbierze, tak mu się trzysta pomieścić w głowie nie mogło.

— A! zawołał, trzy tysiące to nie wystarczy!

— Trzy tysiące myślisz?

— Tak 3, 900 i coś złotych.

— Ale czytajże lepiej! zawołał z rozpaczy Tytus. — Cóż więcej ? I Jan powtórnie czytać począł uważniej, trafił na 390, rzucił list, załamał ręce:

— Jakto? tylko tyle! Ale to rozbój, to oszukaństwo niegodne!

— Janie! co za obłąkanic! Z tym listem od dwóch dni chodzę od prawnika do prawnika, robiłem indagacye po sądach pytałem, śledziłem, kwerendowałem sam ceny nieosiadłej ziemi; inaczej sprzedać się nie mogło. Cenę nawet zapłacono nadzwyczajną; ale ziemia twoja więcej warta nie była.

— A! cóż pocznę!

— Nic ci nie pozostaje tylko wyprzedać obrazy, wyrzec się wysokiej ich ceny i oddać za co bądź. Potem wynieść się ztąd i szukać gdzieindziej losu. Ja także wytnę kij na Zakręcie i miasto moich sławnych pradziadów, opuszczę bez żalu, ubogi. Pójdę wam służyć i pomagać.

Rzucili się sobie w objęcia ze łzami. — A! kto może tak zapłakać jak my w tej chwili, nie nazywa się jeszcze nieszczęśliwym, zawołał Tytus. Tylko odważnie! Czytałeś Vasarego, pamiętasz losy malarzy twoich braci, w lepszej ojczyźnie, we Włoszech. Oddaj obrazy Żarskiemu za co je przyjąć zechce. Wielka to zapewne ofiara, bo nie chodzi o cenę, ale o to, żeś inną do swej pracy, wyższą przywiązywał wartość, przecież, cóż to w porównaniu innych nędz ludzkich! Jagusia będzie spokojną. Ubóstwo jak śmierć, straszne tylko tym co sobie oboje dziwnie wystawują z daleka. Chleb, powietrze, spokojne sumienie; a gdy jeszcze Bóg da serce jedno, da dwa serca towarzysze ! ah! czyż nie dosyć!

Właśnie domawiali tych słów, zbliżając się ku domowi, gdy mimo przechodzący a może szpiegujący ich Żarski, który od rana o liście wiedział, przydybał ich niby wybrany na przechadzkę. — A panowie to dokąd? spytał z uśmiechem.

— Wracamy do domu.

— Jutro tedy, rzekł stary, jutro panie Janie.

— Dziś jeśli chcecie, odparł Jan, któren nie wiedział co mówił i raz wyrzekłszy się swych marzeń, spieszył pozbyć obrazów, które mu tylko jego zawody przypominały.

— O! dziś. pocóż się spieszyć?

— Dziś, jutro, bierz i nabywaj resztę, bo ja się z tąd wynoszę, mówił Jan.

— Jakto? z żoną na złączeniu?

— Zaraz po połogu wyjeżdżamy.

— No! jutro! I odszedł.

Byli w progu, Jan chciał wprowadzić do siebie Mamonicza, aby resztę wieczora spędzili razem.

— Nie mogę, rzekł Tytus cofając się szybko pomieszany, mam robotę.

— Cóż takiego? — O! to tajemnica moja! Uśmiechnął się i odszedł. Wistocie Tytus tylko unikać musiał domu Jana, gdyż z powodu najniewinniejszych ale częstych i w różnych porach odwiedzin, z powodu częstego zastawania sam na sam z Jagusią nawet szaremi wieczory, najpodlejsze potwarze krążyły po mieście; a Mruczkiewicz, o którego godnej połowicy mówili, że dla tego się tylko napijała aby zapomnieć o dawnych kochankach guorum numerus erat injinitus; Perli którego Rozynka słynęła z wesołej konduity, skorzystali z pozorów aby rozpleść o żonie Jana najniegodniejsze fałsze, mieszając ją w miłostki z Tytusem.

Mamonicz przestrzeżony w czas chciał przeciąć niegodną potwarz, niedając do niej pozoru nawet. Z tego powodu powoli przestawał bywać u Jana, widując się z nim najczęściej na przechadzce za domem. A gdy Jagusia wymawiała mu to, odpowiadał: — Droga Pani, mam roboty i lubię się bawić, szalenie bawić się lubię. Nie zawsze chwilę uchwycę.

Jak na złość młoda kobieta wychwalała w niewinności i prostocie serca, przed obcemi Mamonicza, ubolewając głośno, że ich opuszcza, i podając się w podejrzenia na nowo.

Żarski stawiał się nazajutrz około południa, a Mamonicz uczuwszy niezbędną potrzebę znajdowania się przy targu, pospieszył także wiedząc, że Jan wprzódzy zbyt wysoko ceniący obrazy, teraz może je oddać za bezcen.

— Naprzód obliczymy się, rzekł stary, i dobywszy czerwonego pugilaresu wypisał z niego kredką summy wypożyczane, które już do trzech tysięcy dochodziły, dodał procenta nie wielkie wprawdzie, ale skrzętnie tygodniowo obiachowanc.

— Adonisa, rzekł cenię sto dukatów, a dali bóg to bardzo piękna cena.

— Bierz Pan, odpowiedział Jan.

— O! nie, podchwycił Mamonicz, gdybyś korzystając z położenia Jana uczynił to, wiesz stary, zabiłbym cię. Co nadto, nadto: dasz półtora sta; wreszcie długu policzymy twój portret, a za pozostałe obrazy zapłacisz gotówką.

. — A! daj mi pokój! ja nie mam gotówki! krzyknął Żarski; trzy tysiące to mój dwuletni dochód.

— Stój stary przyjacielu, nie oszukuj się. Musiałeś diable stracić pamięć. Masz u księdza biskupa kapitału....Żarski zgrzytnął zębami. No! co mam to mam! to moje, to zahorowane ciężko! liczyć nie ma potrzeby.

— Żarsiu, kochanku, szepnął z cicha odprowadzając go na stronę Mamonicz, jeśli będziesz nad miarę lichwiarzy!, dalipan opowiem całą historią Brygadierowej. Żarski spojrział na Jana i ścisnął za rękę Tytusa, prosząc go o milczenie. Stary bowiem mimo podeszłego wieku, kochał się! Wstydział się swej słabości, włosów resztę z głowy wyrywał z desperacyi a nie umiał się zwyciężyć. Piękna wdówka po Brygadyerze Wyjmiczu była bóstwem starca; a to bóstwo poczęści kosztem Żarskiego utrzymywało się w obłokach dostostatku i promienistej koronie stroju.

Mówiono, że Żarski przystrajał co inni odzierali, ale czegoż nie mówią? Dość, że stary bał się Brygadyerowej, która go traktowała z góry, bez litości i przyjmując od niego dary, łajała czasem miasto podziękowania.

Wspomnienie Brygadyerowej pomogło wielce do interessu: mrużąc zgodził się Żarski o Adonisa i o swój portret, ale więcej już obrazów nabywać nie chciał. Napróżno go Mamonicz kusił, zachęcał, nic nie pomogło.

— Co mi dasz? zawołał przystępując Jan w rozpaczy, przyciśniony potrzebą, nie taję się, mam długi, zmuszony jestem prosić cię! kupuj!

— Wszystko a wszystko, powolnie rzekł Żarski, nie wyjmując Sybilli, Kasztellanowej.

— O! niewyjmując! dorzucił szybko Mamonicz.

— Chciałem ją zostawić! szepnął Jan nieśmiało.

— Po co? surowo pogładając, rzekł Tytus dopatrzwszy się po raz pierwszy, że Jagusia nie całkiem niebieskimi wspomnienie czarnych oczów zatarła. Nie wyjmując jej! co dasz?

— Ale naprzód, nie mam gotowych, chyba bym pożyczył.

— Pożyczysz.

— I procent zapłacę, nabycie ciężkie.

— Co dasz?

— Pięć sztuk pozostało? tysiąc złotych.

— Dwa tysiące.

— Niepodobna. — Tysiąc pięćset, rzekł Jan prawie prosząc.

— No? tysiąc dwieście i dajcie mi pokój, rzekł stary biorąc za laskę i czapkę.

— Zgoda, odparł Jan zakrywając oczy, aby nie spojrzeć na obrazy, z którymi ran tak boleśnie było się rozdzielić.

— Ja idę po pieniądze, a ty ludzi przysyłaj po płótna! zawołał Mamonicz.

Jan uciekł do Jagusi. Pocieszając ją i ukrywając prawdę, powiedział tylko, że sprzedał obrazy, że ma pieniądze, że wieczorem zamówi kołyskę. Jagusia już poczyniała cierpieć, w milczeniu ścisnęła go za rękę i z tą czułością anielską, na którą zdobyć się może tylko kobieta, ukryła męczarnie swoją, niechając by Jan był ich świadkiem: wyprawiła go z domu, choć czuła jak lżejby jej było, gdyby on był przytomny. Z bojaźnią, ze drżeniem zegnała go pocałunkiem. Cały wieczór upłynął na rozplatach z kupcami, z gospodarzem, na rachunkach i bieganinie. Jagusia tymczasem jęczała w bólach i po

sześciogodzinnem cierpieniu, omdlewając wydała na świat dziecinę, która świat powitała płaczem, jak zawsze. Gdy uznojony Jan niedomyślając się niczego wszedł do pokoju, powiedziano mu: cicho! cicho!

Wsunął się do pokoju, którego okna były zasłonięte i postrzegł Jagusię bladą, leżącą w pościeli i spoglądającą na małe czerwone dziecię, spowite już i skąpane, które otwierało usta a zamknięte mrużyło oczy.

Któżby śmiał opisywać podobne sceny?

Jan był szczęśliwy i najbiedniejszy: uczył się ojcem w chwili gdy uznał się bezsilnym do zapracowania na chleb dla siebie i dla drogich mu istot. Dnie trawił u łóżka niemogąc się od żony i dziecięcia oderwać, czas płynął, pieniądze szybko wyczerpywały, roboty nie było żadnej. Mamonicz chodził jak oszalony, milczący, obłąkany, w rozpacz.

Po dwóch tygodniach gdy Jagusia już się przechadzać poczyniała, Jan wybiegi szukać jakiegokolwiek zajęcia. Wpadł do Mruczkiewicza, ale tu tylko spotkał, grzeczne najgrawanie; niewiedząc co czyni pospieszył do Perlego.

Na wschodach spotkała go Rozyna wesoła, śpiewająca i strojna jak wielki ołtarz na święto.

— A! dobry wieczór Panu! podobno nie ma mego rneża. Co Pan chcesz od niego?

— Od niego, możeby mi nastreczył jaką robotę!

— Jakto? Panu jej braknie?

— Od dawna, nie mam żadnej!

— Mój mąż wybiera się malować kościół Kapucyński w.....Chwała Bogu, będę przynajmniej na czas jaki wolna od tego gbura! gdybyś Pan chciał czasem odwiedzić.....

— A! pani, nie mam i chwilki wolnej! — A nie masz roboty? zagadła kobieta.

— Żona, dziecię. Rozyna spojrzała na smutną twarz jego

i zawołała z politowaniem serdecznem:

— Czyż doprawdy tak nic nie macie, jak mówią?

— Nic! nawet nadziei!

— To dziwna! Perli zarzucony obrazami, ledwie wystarczyć może. Ale on, o, ja go znam! on się nie podzieli z nikim, chciwiec! wysław Pan sobie, że mnie, własnej żonieżałuje!

Doszli do drzwi. Tu z podziwieniem Rozyny znaleźli Perlego; ona porzuciła Jana i pobiegła do siebie, sam na sam ich zostawując.

Myśl o Jagusi, o dziecięciu, odjęła wszelką dumę Janowi, grzecznie powitał malarza, który teraz czując swą wyższość nadymał się okrutnie.

— A! Pan chciałbyś roboty, rzekł powoli, mógłbym go może użyć, ale są warunki. Perli podjąwszy się malowania kościoła i wielkich trzech obrazów, nic wiedział jak temu podoła, a nadewszystko jak się obejść murem. Szło mu najbardziej o rysunki. Postanowił z Jana wyciągnąć co było można, a gdyby się dało, zyskać wzory wielkie, choćby na trzy ołtarzowe obrazy.

— Pan masz robotę! zawołał Jan z zapalem, a! jakbym mu był wdzięczny, gdybyś mnie użył. Łaskąby to było dla mnie, wielką łaską: żona, dziecię! W tym kraju nie ma co począć! Tak rzadko trafia się zamówienie.

— Ja lego nie doznaję, mówił Perli, jestem zarzucony robotą.

— Bardzo Pan szczęśliwy!

— A! a umiesz Pan malować al fresco?

— Robiłem kilka w tym rodzaju obrazów po kościołach we Włoszech; mam dosyć wprawy.

— Jakże się to robi? Jan zaczął opowiadać, ale gdy przyszło do reguł perspektywy, potem do processu mechanicznego, przygotowań tynku, żywego i pospiesznego kładzenia farb na świeżem, postrzegł Perli, że niepodobna mu nauczyć się z rozmowy.

— Będiesz mi pan pomagał? spytał.

— Chętnie.

— Ale robota uważać się ma za mają.

— Jakto? spytał Jan.

— Tak, że co Pan zrobisz, ja podpiszę, rzekł bezwstydnie malarz. Pan będziesz tylko moim pomocnikiem.

Nie rzekłszy słowa na tę dziwną propozycję, Jan pokłonił się i wyszedł. Rozyna zbiegła drugimi wschodkami szybko, aby go spotkać na dole i szepnęła żywo: Bez ciebie Perli się nie obejdzie, trzymaj się tylko dobrze.

Ogłuszony dziwną propozycją zaprzędania nie już ręki swej ale głowy, pomysłu, sławy, Jan zszedł nieprzytomny, wysłuchał z roztargnieniem rady pani Perli i zataczając się prawie powracał ku domowi. Z przeciwnej strony żywo gonił Maraonicz, ale tak też zajęty czemś, z tak pałającą twarzą, że zrazu nie postrzegł Jana. Mijali się i dopiero wstrzymali poznawszy wzajemnie.

— Dokąd? spytał Mamonicz, zkąd?

— A! od Perlego.

— O! u niego już byłeś? Co cię tam poprowadziło?

— Prosiłem go o robotę.

— Ty! jego! To okropnie! I cóż ci odpowiedział?

— Zezwala na udzielenie jej, ale chce abym pracował pod jego imieniem.

O! infaimis! zawołał Tytus ściskając pięście.

— Dokąd ty spieszysz tak bardzo?

— Daruj mi! daruj! zdyszany rzekł snycerz, każdy ma swoje chwile brzydkiego egoizmu w życiu: jestem w jednej z tych godzin. Spieszę, lecę, boję się, żeby mi jedyna może zręczność nie uciekła, ty wiesz o moim kolosalnym Herkulesie ze lwem. Jestto marzenie mojego życia: moja kochanka, Jagusia, dziecię, wszystko! Tem żyję, tyłkom co się dowiedział, że wiozą przez Wilno dwa lwy afrykańskie, dwa prawdziwe Numidy na pokaz do stolicy ruskiej, biegnę szalony zobaczyć, uprosić, dobić się, aby mi je modelować dozwolono.

— Tytusie drogi, powiedz co mam zrobić z Perlim, co z sobą?

— Będę wieczorem lub jutro! Teraz daruj mi, przebacz i puszczaj bo wytrzymać nie mogę, lew ten dusi mnie! Nuż go złąd uwiożą, będę musiał gonić za nim. Potrzebuję go koniecznie, lecę.

I zniknął piorunem w ulicy.

Jan okiem zazdrości spojrział na niego. Ten jeszcze był artystą! Jan już rzemieślnikiem tylko, bez zajęcia. Tytus nie pytał kto mu zapłaci za grupę Herkulesa ze lwem, ale jak ją najpotężniej wykonać, jak tworzyć. Żył sztuką i dziełem swoim, nosił je w łonie jak matka nosi dziecię, póki nie przyjdzie chwila wydania go na świat.

Gdy smutny Jan wlecze się do Jagusi i dziecięcia licząc ostatki grosza i myśląc o jutrze, Mamonicz pospiesza ku ratuszowi, gdzie dwa lwy stanęły w zajezdnym domu, w dwóch żelaznych klatkach. Zabrał z sobą co tylko miał pieniędzy, ołówek i papier, z zapalem domaga się wpuszczenia.

— Jutro pokazywać będą! odparł faktor żydek.

— Jutro! ale ja dziś chcę się widzieć z właścicielem, dziś koniecznie, zapłacę.

Ciśnie żydowi dwuzłotówkę w rękę, wpycha do izby gwałtem i szybko poczyna tłumaczyć się mieszając wszystkie języki, przed flegmatycznym niemcom słuchającym go cierpliwie, uważnie, niemal pogardliwie.

Nareszcie dopuszczają go do sieni, gdzie dwa Numidy stoją w klatkach. Królowie pustyni znuzeni kołysaniem wozu, zmęczeni, zbici, legli na posłanie bezwstydnie, drzemiąc i jakby bez życia. Tytus spojrział tylko na nich.

— Wcale nie tego mi potrzeba! rzekł, to są dwa wielkie ścierwa, dwie wypchane lwic skóry, ale nie mój lew, o jakim ja marzę.

— Czy zawsze tak ospale i powolne? spytał Niemca.

— O! ja! dajemy im jeść do syta, aby ociężały. Czasem powstają, zakołyszają się na nogach, ruchem, do jakiego płynąc i jadąc nawykły. — I nigdy nie ryczą? nie złoścą się, nie rzucają, nie rwą?

— Gott bewahr! niech Bóg broni! rzekł Niemiec z przestachem. Gdyby były głodne, mogłyby to być może, ale karmimy je do sytości.

— Do licha! szepnął Tytus, takie lwy na nic mi się nie przydały! darmo straciłem pieniądze, ale poczekaj Niemcze! I począł usiadłszy rysować lwa, ale tak powoli, tak nudnie, tak cierpliwie nastrzępiając mu grzywę, że gospodarz zostawiwszy małe tylko chłopię przy klatkach, wszedł zniecierpliwiony do izby.

Tytus dobył talarka dla chłopięcia i rzekł mu:

— Idź sobie kup pierników, a dla lwa kawałek mięsa, damy mu jeść!

Trochę się potargowawszy, chłopiec odszedł, Tytus korzystając z tego, że sam pozostał, wyłamał pręcik w płocie, którym odgradzony był chlew karczemny dla krowy żydowskiej w stajni noclegującej; i przez pałki klatki, począł po nosie drażnić nim dzikie zwierzę.

Nienawykły do takiego obejścia się z sobą, ale niepojmując jeszcze, żeby go kto śmiał zaczepiać, lew podniósł łapę i opędził z nosa różgę, myśląc, że mucha mu dokucza: oczu nawet nie otworzył. — A! łotrze! niechce ci się gniewać! udajesz psa podwórzowego! poczekaj!

I ćwiknął go po łapach co miał siły. Lew się otrząsnął, podniósł łbisko, otworzył zamrożone oczy, rozdziawił paszczę i... ziewnął szeroko.

— Na honor, to wielkie jakieś koty nic lwy! to poprzebierane cielęta! cóż u licha! wołał Mamonicz.

Bojąc się, żeby kto nie nadszedł, Tytus począł coraz srożej smagać rozbudzonego lwa, który w początku nie rozumiał co to jest, ale przekonany nareszcie o złych intencjach zaczepiającego, zerwał się na nogi z rykiem i spiął łapami przednimi na prętach klatki. Klatka stojąca na wozie, ale już sznurami krępującymi ją zwykle nie przytrzymywana; przechyliła się, zadrżała, upadła ze lwem razem na podłogę i rozbiła tak, że gdyby Mamonicz nie odskoczył na stronę, byłby się znalazł pod pazurami roz- juszanej bestyi. Lew wybijał się ze swego więzienia łamiąc je i rycząc.

O! piękny był w istocie w gniewie swoim, a drugi, brat jego, ujrzawszy obudzony oswobodzonego, zaczął się także rwać i miatać na wszystkie strony odzywając przeraźliwie. W chwili wszyscy się na ten odgłos zbiegli, ale ujrzawszy klatkę wywróconą, lwa wolnego rzucającego po ziemi, a Mamonicza uwieszonego na belce, z zapalem i rozkoszą poglądującego na to widowisko, na które lat tyle czekał, cofnęli się krzycząc i zamykając drzwi wszystkie. Gospodarz Niemiec i żyd

rwali sobie włosy z głowy i przeklinali, co nie wiele pomagało. Tytus skoczywszy na niższą belkę z tej wspiął się na wyższą, rozzarty także, nie przestawał lwa drażnić prętem. A lew choć długim zaniknięciem odrętwiały, znużony, dobywał sil podskakując ku niemu zajadle. Za trzecim razem uchwycił łapą Mamonicza tak silnie, że go o mało nie stracił. Zachwiał się chwilę na belce, która mu za schronienie służyła. Przestał więc go drażnić, czując jak ciepła krew lała mu się z podrapanej ręki, ale oka nie spuszczał ze lwa aby zapamiętać wszystkie jego ruchy, fizyognomię, wspaniałe i muskularne kształty.

Pierwszy to lew żywy trafił mu się w życiu, nasycił się nim jak nigdy może kochanek widokiem upragnionym swej ulubionej, co ją marzył młodość całą, jak nigdy skąpiec widokiem stosów złota. Rana go nie bolała, nie czuł skaleczenia, cały był w oczach, cały w artystycznym zapale. Tak pewnie wyglądał Vernet przywiązany do masztu w czasie wspaniałej burzy.

Tymczasem okropny rozruch powstawał w karczmie, wmieście; mówiono już, że lew wyrwał się z klatki i przebiegał ulice, zamykano domy, uciekano na piętra, a okna pełne głów były.

— Narobiłem biedy, potrzeba ją naprawić, rzekł wreszcie ochłonawszy Tytus, po belce więc pospieszył na strych i wschodami do izby żydowskiej doszedł. Ale tu gospodarz i właściciel lwów pochwycili go, witając krzykiem, obelgami, narzekaniem, biciem. Niemiec się wściekał.

— Cichoż do stu szatanów! zakrzyczał Mamonicz, albo was wnet wszystkich tam powyganiam, abyście krzyczeń przynajmniej mieli czego! Dajcie mi co potrzeba, a uwięzę go znowu.

Wyrzekł to z takt} pewnością, iż niemiec, żyd i wszyscy uwierzyli mu do razu. Postrzegli płynącą krew z ręki jego, a widząc męztwo jakiego dał dowody, obskoczyli pytając:

— Co chcesz? co zrobisz?

— Dajcie mi sznur, drąg, kawał mięsa spory i siedźcie spokojnie.

Wszystko się zaraz znalazło, bo mięso, za któremby najdalej posyłać przyszło, było już przygotowane dla lwów. Mamonicz wlaź znowu na wschodki i strych, potem na najbliższą belkę i ujrzał lwa znużonego, przewracającego się do góry brzuchem na śmietniku.

Klatka miała tylko drzwiczki potrzaskane, a padła tak, że ją podnieść rychło było trudno. Można więc było myśleć, aby go wprowadzić do klatki. Ale stajenka odrębna gospodarska, ciasna i próżna teraz, stała w kącie otworem. Do niej należało wprowadzić lwa i zamknąć; ale jak? Obejrzał wprzód Mamonicz czy ma sufit, czy nie wychodzi z niej gdzie okno; potem idąc ciągle po belkach, zbliżył się po nad lwa i rzucił mu kawałek mięsa.

Głodny, podniósł się, spojrzął, pochwycił je i połknął. Tak powoli, coraz mniejszemi kawałkami ścieląc drogę ku stajence, szedł Tytus w górze przelaząc z belki na belkę, aż do progu. Upadek był śmiercią; trzeba się było trzymać dobrze i postępować śmiało. Doprowadziwszy do drzwi, pozostawało najtrudniejsze: rzucić mięso w głąb stajni, a gdy lew wnijdzie za niem, spuścić się szybko, drzwi zatrzasnąć i uwięzić. Drzwi te zamykały się od środka stajni, na drewnianą tylko klamkę. Odwaga i przytomność wyrabiają się okolicznościami.

Mamonicz tak zręcznie a raczej tak szczęśliwie rzucił mięso, wybrawszy co największą jego sztukę z kością, że uderzyło się aż o przeciwległą ścianę stajenki. Lew poskoczył za nim przez wysoki próg, a w tejże chwili Mamonicz po sznurze rzucił się w dół i zatrzasnął drzwi silnie, które umocował drągiem i uwiązał sznurem, potem zabarykadował drabinami, korytami i co tylko znalazł pod ręką.

Lew znużony, ani się ruszał i pozostał spokojny w stajence; a Tytus pobiegł oznajmić właścicielowi menażeryi, że go już zamknął bezpiecznie. — Idź, rzekł, naprawujcie klatkę, przystawcie ją do drzwi włożywszy w nią, kawał mięsiwa, a lew znęcony karmią wnijdzie łatwo.

Niemiec nie bez strachu odważył się wniść do stajni, gdzie pozbawiony towarzysza, drugi lew w klatce i lew w stajence, oba ryczeli przeraźliwie.

Mamonicz teraz dopiero poczuwszy ból silny w poszarpanej ręce lewej, wymknął się i pospieszył do doktora.

W pół godziny później z obwiniętą ręką leżał na łóżku; ale pomimo cierpienia i gorączki, chwycił glinę i na desce opartej o krawędź łóżka, modelował rozjuszoną bestyę, nieczując jak czas upływał, jak ręka mu gwałtownie rwała, a gorączka pod wieczór wznagała się coraz silniejsza. Glina pod jego palcami ożywiona, otwierała paszczę i ryczała; artysta radował się w sercu dziełu swojemu.

Po mieście tymczasem z każdą godziną coraz osobliwsze rosły wieści, i olbrzymie przybierały rozmiary. Opowiadano już o rozdartych przez lwa dwóch ludziach, dwojgu dzieciach i pięciu koniach; mówiono, że jakiś nieznajomy nareszcie czarami go w stajence zaklął i zamknął, a to z takimi dodatkowymi szczegółami, iż nie wierzyć zdawało się niepodobieństwem. Doktor, który opatrzył rękę Tytusa, pospieszył rozpowiedzieć znajomym, jak silnie i głęboko zaryły się lwie pazury w mięso ludzkie, ile ścięgn naruszyły, ile wydrapały ciała.

Nad wieczór plotka machając skrzydłami Skały, nadleciała do Jana; a ten niemając nawet czasu narzucić czapki, poleciał na Baksztę. Ale jakże się zdziwił znajdując Tytusa w łóżku modelującego zajadle, z okiem zapalonem gorączką widoczną, a nieporzucającego roboty.

— Widzisz szalony zapaleńcze, co cię lew kosztuje!

— Mam lwa! mam lwa! podchwycił snycerz z uniesieniem, nie mów mi co on kosztuje; wszystko to głupstwo! Cóż tam rana! kupiłbym go drożej, kto wie czy nie kalectwem! Patrz na to stworzenie! Brak teraz Herkulesa. Alboż zła postawa, albo nie silne łapy? ile otwarta groźna paszcza? A! teraz, na Boga! Herkulesa! zobaczysz moją grupę! Mógłbym lepić to konwencyjonalne zwierzę herbowe z ufryzowaną grzywką i zadartym ogonkiem jak wąsik kawalerzysty, które z wdzięcznym uśmiechem i gracyą, trzyma herb W. Brytanii?? Tfu, wołałbym nigdy gliny nie wiaść w rękę, nie lepić więcej, nie ciosać kamienia, nie dotknąć marmuru, a belki obrabiać.

Lew, lew, co za prześliczne stworzenie, wołał coraz się zapalając, jaka w nim siła i zręczność mimo tak długiego zamknięcia, jak mu się plątała jego kudłata grzywa płowa, jak mu grzbiet połyskiwał. Szkoda, żałuj żeś ty go nie widział! Śliczny, cudny widok i gotowe studium do świętego Hieronima. Jan łajał a Tytus śmiał się uszczęśliwiony i pobudzony jeszcze gorączką. Całą potem noc

marzył o walce ze lwami, siebie wystawując sobie Herkulesem. Nazajutrz osłabiony znaczną krwią utratą i cierpieniem, przespał dzień cały. Doktor nie bardzo był rad z jego ręki, ale przeciwko wszelkim oczekiwaniom rana się goić poczyniła i artysta szybko do zdrowia przychodził. Tak szczęście, tak radość skutecznem są nawet na rany lekarstwem.

Lew ogólnemi kształty z gliny utworzony w pierwszej zaraz chwili, obłożony starannie mokremi szmatami, aby mógł być wykończony później, przerabiany na coraz większą skalę, wyrosi nareszcie do naturalnej wielkości i zajął pół izdebki Tytusa, który go pieścił, poprawiał, aż nareszcie odrzucił ébauchoir i powiedział: — Dość, czuję że jużbym go popsuł.

Prześliczny ten wzór zamykany na klucz pilnie, stał się skarbem snycerza; oglądał go codziennie i wzdychał tylko myśląc gdzie znajdzie Herkulesa dla tego lwa, tak pięknego wyrazem siły i zajadłości. Rana naprzód, potem blizna po niej pozostała, stała się drogą dla Mamonicza pamiątką, wspomnieniem, którem się chlubił nawet trochę.

Ludzie pospolici niepojmując wcale tej sceny, mieli go po prostu za waryata; a Włoch Righi, który skopiował Mojżesza, Michała Anioła do wnijścia katedry, naśladowca bez duszy, najpierwszym był do szydzenia z zapaleńca; śmiał się z niego do rozpuku. Odtąd snycerz nasz uchodził za pół-waryata, lecz cóż mu to szkodziło, gdy tak doskonale gardzić umiał paplaniem ludzi? gdy miał siłę wewnętrzną by sam wystarczyć sobie?

Jan walczył, ale z losem tylko. Ciężka walka gdy codzien bezskuteczna się odnawia, a zawsze zwyciężony w niej, upada coraz na siłach!

W domu przy wielkiej oszczędności przebierały się zapasy, i widać już było chwilę, w której nie pozostanie ratunku. Wybrać się z Wilna, nie było o czem z Jagusią i dziecięciem. Jan chodził obłąkany niemogąc się wziaść do pracy, lub siedział u kolebki i dumiał patrząc na dziecię. Codzień gorzej, codzień gorzej. Mamonicz zmagił się, ale napróżno. Zachęcał Jana do pracy, ten brał się do niej ale bez zapału, i wkrótce rzucał pęzel bezsilny. Brakło mu wyższego natchnienia w sercu, brakło odwagi, którą daje wiara; czuł się spętany tą nieustanną, niepokojącą go myślą o losie żony i dziecka, która go we snach nawet trapiła.

— Tak, powtarzał bezsenny w duchu poglądając na żonę uśpioną przy kolebce, artysta nie powinien mieć ani żony, ani dzieci, ani rodziny. Wyrzec się tych związków dla sztuki, umieć jak Tytus radować się w ubóstwie i żyć o suchym chlebie, obejść się bez współczucia, bez uznania, wzgardzić z góry zazdrością i głupstwem. Na to wszystko brakło mi siły, a niebieskie oczy, które mi tyle dały szczęścia, odebrały teraz odwagę..... Pracujmy! sława już dla mnie za

wysoką, rzec się potrzeba świętych wzruszeń zapału, którego doznać nie mogę; żyć tylko dla niej i dla dziecka, być rzemieślnikiem.....a wszystko dla nich! cóż mi tam!

Nazajutrz poszedł powtórnie do Perlego; ale szczęściem spotkał go na wpół drogi, bo inaczej wiele byłby stracił, okazując jawnie nędzę swego położenia.

Perli sam go zaczepił. — A! witani! tylko bez gniewu, rzekł, wszak się nic gniewasz? — Ja! na pana! odpowiedział Jan wpół pogardliwie, na wpół spokojnie.

— Otóż to tak dobrze! zgoda! zgoda! A cóż, robota jest? (Wiedział dobrze, że jej nie było).

— Spodziewam się jej, mam przyrzeczoną, ale dotąd wolny jestem.

— No, możebyśmy się umówili? Jakie?

— Mów otwarcie, zawołał Jan. Wiele ci płacą, co chcesz wziąć dla siebie, nic nierobiąc i zyskując sławę w dodatku. Zrobię co potrzeba i na twoje imię, mniejsza z tem, nie dbam o tutejszą sławę.

— No! no! otóż właśnie! zgodzimy się! bardzo dobrze, i spisujemy kontrakcik.

— Co chcesz!

— Widzisz pan kochany, rzekł Perli biorąc go poufale pod rękę. Ja bo nie chcę się całkiem z cudzego chełpić. Mam wiele praktyki, pan sam przyznałeś mi rzuty świateł szczęśliwe. Otóż to, jako też, udzielę rady mojej i niektórych myśli.

— Dobrze, dobrze! odpowiedział Jan ogłupiały swoim położeniem.

— Choć i nie byłem we Włochach, ale panie spryt jest! Sprytem wszystkiego dochodzę (jako też). No! panku Janku jakoś to z nami będzie. Ot tak. Mnie płacą za sklepienie i trzy obrazy olejne ołtarzowe wy- sokości łokci czterech do pięciu, ogółem, jako też. Maia ci prawdę powiedzieć?

— Zdaje się, że należałoby. Perli namyślał się o ile miał skłamać.

Brał za wszystko 4, 000, utrzymanie w klasztorze, farby i materiał miejscowy.

— Dają. mi tedy za robotę złotych 3, 500; tak, trzy! A czy uwierzysz panie, że ten infamis Mruczkiewicz pod pozorem że mi nastreczył (jako też) choć palcem nie kiwnie, bierze mi z tego pięćset złotych, które sobie w kontrakcie zawarował pod pretextem współuczestnictwa. Hultaj! infaiuis, powiadam! Ale niedoczekanie jego, odemszczę!! Tandem, zostaje nam z tego: 3, 000. Daję utrzymanie, stół, chłopców, rusztowanie, farby, wszystko, z warunkiem, aby ultra maryny nie używać do draperyj w olejnych obrazach, a obchodzić się pospolitszą, antwerpską. Otóż zostaje 3, 000. No, samże powiedz co ja mam wziąć, bo ja będę naczelnikiem, będę głową, a ty ręką moją- Jan się uśmiechnął gorzko.

— Głowie dwa tysiące, a rękę....

— Mój panie Stanisławie, rzekł Jan, czyż cię sumienie nie rusza? Wszak nic robić nie możesz, bo na murze nie umiesz, wielkich figur nie narysujesz nawet.

Jak piorunem rażony odskoczył Perli.

— Kto to panu mówił? To ta bestya Rozyna którą widział szepczącą coś pod wschodami, albo niegodny Mruczkiewicz; ale to są o pomstę wołające potwarze! to są kalumnie, to są (jako też) niegodziwości!

— Nikt mi nie mówił, ani Rozyna, ani Mruczkiewicz; dość jest widzieć twoje obrazy.

Perli zaciął sine usta i biorąc za rękę Jana:

— Ale ty tego nie gadasz? spytał.

— Ja? czyż kiedy mówię o tobie!

— A gdy robić będziesz za mnie....

— Skoro się zgodzim, nikt w świecie wiedzieć nie może, żem tam malował, nie znają mnie. Księża mogą mnie niewidzieć, zamknę się.

— Słowo?

— Słowo.

— No, to dam ci półtora tysiąca, nie dosyć? nie dosyć?

— Daj dwa i imie sobie pożycz w dodatku, będę robił sumiennie i jakbym dla siebie pracował. Będziesz miał sławę.

— Dalibóg nie mogę, ale dla ciebie (jako też) cóż począć? tysiąc osiemset i zgoda. A farby pozostałe odeślesz mi! dodał szybko. . Jan poruszył ramionami obojętnie.

— Weźmiesz je sobie! rzekł, Poszli więc spisać ohydną umowę, a Perli

wyliczył pięćset złotych na rachunek, bo sam wziął był tysiąc.

Niosąc pieniądze żonie, artysta płakał w duszy; ale postanowił nie mówić przed nią jak wielką ofiarą kupował chleb powszedni jej i dziecka. Za dwa dni potrzeba się było rozstać z niemi i iść bodaj pieszo na miejsce, gdzie pilno żądano rozpoczęcia roboty.

Mrok był gdy Jan wszedł powolnym krokiem do swego pomieszkania. Nie było to owe strojne, wesołe i nadziejami jak wieńcami obwieszone mieszkanie nowożeńców. Dwa lata niespełna upływały, a jak wiele się tu odmieniło!

Ożywiona wprzód obrazami malarnia, jasna, widna, miła oku, zdająca się oczekiwać na pracownika, teraz stała naga i odarta. Kilka płócien niedokończonych, zamazanych, świadczących o braku sił i zapału, wisiały zerwane z ram i gwoźdźmi tylko przymocowane niedbale. Wszystko pokryte było pyłem, w zapomnieniu, opuszczeniu. Teki porzucone w kącie gniły, pełno śmiecia i zrynek. Kot bawił się gałką odkręconą od malsztoka.

Na bocznej ścianie kilką rysami ponarzucane głowy, wyrażały boleść i rozpacz;

w ich rysach poznawałeś Jana. Zaczęty dawno portret Jagusi, stał nieskończony na trójnogu.

Toż samo w bawialnym pokoju ciasnym, smutnym, chłodnym. Znikły fraszki miłe i pamiątki, jeden tylko Sfinx maleńki na kominie pozostał.

Ujrzawszy go Jan, załamał rękę, położył przy nim worek z pieniędzmi, i rzekł: — Wiem teraz Sfinxie co znaczysz! Sfinx to artysta. ' Głowa ludzka, to duch wielki, to cząstka bóstwa w piersi jego; ciało bydłęcia, to zwierzęcej natury więzy co nas pętają. Rozwite skrzydła, to zapał, który przecież nie uniesie kamiennego potworu od ziemi obrzydłej! Kamienny, żelazny, nigdy żywy; to artysta, którego nie stworzyła natura, ale potrzeby cywilizacyi, ale ręka i umysł ludzki! Dla tego zawsze w świecie nie dla świata, pogodzić się z nim nie umie, i dobrze mu być nie może. Artysta potrzebuje podniesionej cywilizacyi, szczęśliwego czasu i kraju; a u nas! u nas!!

Powolnie przyszedł do izdebki Jagusi. Tu jeszcze tłała resztką życia. Maleńki pokoik z łózkami, był jak dawniej czysty, świeży i miły. Przybyła w nim tylko kolebka, w której spał Jaś mały, a nad nim siedząca matka robiła pończochę. Ubranie jej było skromnie ubogie, a rysy twarzy zdradzały długie, tajemne cierpienie. Codziennie ją widząc Jan, nie postrzegał zmiany jaka w jej rysach od niejakiego czasu codzien wyraźniej się okazywała. Bładła, rumieniec jej gasnął, a z wesołej twarzyczki dziewczęcej, powstała surowa twarz niewiasty co się zamyśla, roi i lęka, głębsza uroczystym wyrazem, niemniej piękna choć nie tak już świeża. Wprawdzie na widok Jana, na wyciągnięte rączki dzieciны ku sobie, zakwitał uśmiech na ustach Jagusi; ale ileż razy po nim, bez przejścia, bez widocznej przyczyny, następowało głębokie zamyślenie, poważne jak chrześcianina smutek. Tych uniesień dziewczęcia, tego trzpiotarstwa młodej małżonki, tych wesołych śmiechów radej życiu istoty, wprzód tyje ją zdobiących, już nie znała teraz. Oko patrzyło czasem długo w dał, gdzie nic nie było przed niem, w błękit niebios, w ciemności nocy, jakby tam szukało rozwiązania niepojętej zagadki.

A młodości piosenka umilkła, odzywała się tylko jeszcze u kołyski, zmieniona w śpiew melancholijny, nieskończony, powolny, wijący się jak myśl jednostajnie, smutno, ciężko. Patrząc na Jana, łza czasem kręciła się w jej oku; patrząc na dziecię, ciężko, boleśnie wzdychała.

Taką była Jagusia, taką zastał ją Jan siedzącą z pończochą u kołyski. Położył przed nią worek i rzekł z uśmiechem grającym nieszczere wesele.

— Oto przecie zadatek roboty! pierwszej którą przedsięwiorę. Cały kościół trzy oł tarzowe obrazy nędznie zapłacone; ale to początek!

Jagusia spojrziała niedowierzając.

— Doprawdy? spytała.

— Widzisz dowód — ale...

— Jest ale? spytała żona rzucając pończochę i patrząc mu w oczy.

— O! i dość bolesne, rzekł tając myśl całą, a rzucając jej połowę; muszę cię na czas jakiś pożegnać.

— Jakto? spytała powstając nagle.

— O! nie trwoźże się! O kilkanaście mil ztąd maluję kapucyński kościółek. Będę spieszył, będę spieszył jak cię kocham. Zostawiam cię pod opieką poczciwego Mamonicza, a te pięćset złotych przy twojej oszczędności wystarczą ci na jakiś czas. Ja nic nie biorę, pójdę pieszo.

— Ty! pieszo! Boże!

— O! bo ty nie wiesz, zawołał żywo, ile jest przyjemności w pieszej podróży. Wolę tak. Nie męczę się, bawię owszem, rysuję,

tysiącem nasycam się widoków. Podskoczę, staję i rządę sobą jak chcę.

Jagusia już usiadła zamyślona, odpychając ręką pieniądze.

— A! potrzeba tego! odezwała się, ale Bóg widzi jak mnie to wiele kosztuje.

— Inaczej nic mielibyśmy roboty, bo drugiej nie znajdę.

— Kiedyż się wybierasz? spytała na pozór obojętnie.

Jutro, pozajutro najdalej. Pójdę tylko po znajomych, do Mamonicza, aby ciebie im polecić. Tytus już zdrów zupełnie na rękę, jemu cię śmiało oddam, to jeden prawdziwy przyjaciel.

Jagusia wstała, poprawiła coś niby koło kołyski i odeszła ukryć łzy swoje, które się jej cisnęły do oczów. Udawała, że się zajęła wyprawą Jana, a szła płakać niewidziana. Kilka razy uśmiechnęła się boleśnie, zagadała żywo i znowu składała rzeczy; wielkie łzy jak krople deszczu przed burzą padały jej na ręce, na trzymaną bieliznę, na twarz śpiącego dziecka.

Jan zadumany i pogrążony w swem upokorzeniu nic nie widział.

Siedli potem na cichą rozmowę u kołyski Jasia i przytulili głowę do głowy, złożyli ręce, zbliżyli się do siebie, jakby na długo nacieszyć chcieli sobą. Nic nie mówili, ale myśl jedna zajmowała oboje, myśl którą słyszeli w milczeniu własnem. Późno już w noc położyła się Jagusia, kryjąc łzy, udając sen. Jan wściekle rzucał się po łóżku.

Jak świt pobiegł do Mamonicza opowiedzieć mu wszystko. Słuchaj, rzekł, konieczność mnie ztąd wypędza, od niej, od dziecka; tobie ich polecam, oddaję. Pięćset złotych wziętych od infama tego zostawuję jej, sam z kijem w ręku idę..... O! czuwaj nad nimi! Niech sobie ludzie plotą co chcą, ty ich nie opuszczaj, codzień się dowiaduj. Jagusia widocznie słaba. Donieś mi gdyby broń Boże gorzej się miała, uprosz doktora. I rzucił się na łóżko.

— Janie! Janie! zawołał Mamonicz, nie bądźże babą i albo miej odwagę na nędzę, albo odwagę do czynu, któren raz postanowiłeś. Jedno z dwojga. Spełniasz ciężkie obowiązki, ale święte. Powinieneś być spokojny i czoło mieć pogodne. Zresztą będziesz tworzył, malował, będziesz żył. Gdyby tu nie była potrzebna bytność moja, o jak ochotnie poszedłbym z tobą lepić ci makietki z twoich rysunków. Nażartowalibyśmy się z poczciwymi brodacami, naśmieli, natrzpiotali po

młodemu.

— O! mnie serce nie do tego ciągnie.

— Janie nieznośny, co u licha, mężczyznaż jesteś? O Jagusię swoją się nie lękaj. Będę jej ojcem, bratem, dziecku twojemu niańką, babką, czem chcesz. Niczego im nie zabraknie.

Jan poszedł do Perlego, którego znowu zastał w zatargach z żoną; oznajmił mu, że jutro wychodzi, Perli dał list do Gwardyana i powiedział obojętnie:

— Ja tam wkrótce przybędę. Pożegnanie z Jagusią było rozdzierające.

Napróżno Jan udawał wesołość, obojętność, pocieszał ją; ona uczepliła mu się na szyi i nie chciała puszczać, oblewając twarz gorącymi łzami.

— Mój Jasiu, mój drogi! oszczędzaj siebie, wracaj prędko! I dawała mu dziecię do pocałowania, raz i drugi i dziesiąty. W zawinięty węzełek z rzeczami Jana, tajemnie wcisnęła mu połowę pieniędzy; przeprowadziła go na wschody, do drzwi, w ulicę, do końca jej, a gdy nareszcie potrzeba się było rozstać, uciekła nagle nie odwracając głowy jak szalona, pobiegła do pokoiku, rzuciła się na kolana przy łóżku i poczęła płakać ukrywszy twarz w pościeli, tak płakać, że rozbudzonej nie posłyszała dzieciny. Jan szedł szybko, obejrzał się, już mu zniknęła, podniósł głowę. Mamonicz go odprowadzał. Janie! Janie, rzekł, gdzie twoje męztwo? powtarzam ci to ciągle, czyś niewiasta, że stąpić nic śmiesz kroku nic oblawszy łzami i nieotoczywszy płonnym żalem? Cóż rozstanie kilkotygodniowe, miesięczne? Idziesz pracować!

— Tak! dla sławy drugiego!

— Powoli! przyjdzie czas, że i sam na siebie pracować będziesz! odwagi!

Podali sobie ręce: Tytusie! żona i dziecię.

— Mówiłem ci, przenoszę się na przeciw ich domu, abym z oka nie stracił, będę czuwał. Bądź o nich spokojny. Czemuż nie mogę pójść z tobą! Mój lew, jakby ci się przydał do świętego Hieronima; bo musisz im palnąć pięknych czterech doktorów!

Rzucili się sobie na szyje. — A w przypadku daj mi znać.

— Bądź zdrow! bądź zdrow! . Uszedł szybko kilka kroków malarz, ale machinalnie podniósł potem głowę ku oknu. Z okna patrzyła na niego Kasztellanowa, temi niezapomnianymi oczyma, które dotąd pamiętał. Ona go poznała pod skromną odzieżą podróżnego, popatrzyła uważnie, uśmiechnęła się pogardliwie i cofnęła z okna. Poszedł dalej.

Tak go żegnało miasto, które on witał tyłą nadziei, do którego jak do portu spieszył.

Kasztellan minął go i poznał czy nie, ale mu się nie odkłonił. Mruczkiewicz otarł się przechodząc, popatrzał, rozśmiał i głośno zawołał:

— A co? na żołdzie Perlego! Ej! ej! sameś temu winien.

W zaułku żydowskim minął kogoś nieuważając, bo oczy miał spuszczone. Był to Jonasz Palmer. Żyd go poznał, choć parę tylko widział razy i pognął za nim, niezblizając się do niego aż za miastem.
— Panie Panie! rzekł cicho gdy już byli za bramą.

— Kto? co? spytał odwracając się Jan.

— To ja! cicho żyd odpowiedział pokornie go witając. Dokąd? dla czego tak przebrany? Co to znaczy?

— Ubóstwo! ubóstwo i wszystko co ono wiezie za sobą. Siądźmy tu, opowiem ci co się ze mną stało, dawnośmy się już nie widzieli. I tak nogi drżą podemną.

Usiedli na pagórku, z którego widać było miasto szeroko, malarz opowiedział Izraelicie całe dzieje swoje, potem milczący oba spojrzeli w dół, pod siebie na stolicę starą i zadumali się.

W dole, między górami ścisnęło się i siadło nad rzekami dwiema, u stóp wzgórzy gliniastych, stare grodzisko litewskie. Czemu tak nisko? dla czego tak ściśnięte? Czemu wieżyce kościołów jak łodygi olbrzymich trawisk strzelają w górę, niby chcąc się bliżej słońcu i niebiosom przypatrzeć? Czemu ciasne uliczki wiją się opasane wysokimi kamienicami, poprzerywane wystającymi domostwy, niewyprostowane, nierówne? Czemu do koła rynku taki tłum domów, gdy takie pustki na przedmieściach? a wiatr nieopodal piaskami miata na rozłogu?

Czemu? czemu? Miasta rosą jak grzyby, ani dojdiesz czemu który z nich ma krągły lub spiczasty, szary lub czerwony kapelusz. Znać temu grzybowi wypadało tu i tak a nie inaczej urosnąć, zasłonionemu górami, odwilżonemu wodą. I do koła ogniska, zamczyska, u rynku, skupiły się budy, domy, gmachy, kramy, kościoły z sięgającymi po nad góry łodygami rozkwitłymi w krzyże, i powstał gród i stoi.

A wieleż to już wieków przepłynęło po nim! Każdy z nich z różgą w ręku, mieczem w dłoni i rydlem na nowych mogił odkrycie. Jeden grzebał ludzi, drugi gmachy, trzeci wspomnienia starożytności. I nie

każdy z nich postawił na mogile znak, że pod nią zawarł się grób; wiele zakłęsło w ziemię szkieletów, i ani śladu gdzie legły. Matka ziemia przerabia te szczęty na nowe życie, a po wierzchu się zieleni, gdy w środku tajny ów process nieśmiertelności zakryty oczom naszym, nieustannie się odbywa.

Spojrzyj po dachach, po wieżach, po budach słomą pokrytych, a myśl ci przyjdzie tęskna: ile tu przeszło pokoleń ludzkich, ile zabytych wypadków, ile zapomnianych cnót i daremnych heroizmów? Kto wskrzesi starożytność? Kto? terazniejszość może. Siostry to rodzone: jedna krew, jedno życie, jedne obu twarze, bledsza tylko tamta, kraśniejsza druga. Na grobie pierwszej ona wyrasta, na jedną formę kształtuje się żywot nieustanny, bo śmierć w materii, jest żywota nasieniem.

Oto jesienne słońce zachodzi jaskrawe za góry, podnoszą się z kominów dymy szare; wierzchołki

wieźyc na sinem niebie malują się, błyszczące jakby nieziemskim światłem, ściany podniosłych domostw łyszczą śnieżną białością; dalej we mrokach niższe chaty, zapadłejsze dachy pokornych lepianek, tylko gdzieniegdzie od szyby odbity iskrzy się blask zachodu. Góry sinieją w dali, a obłoki ubrane jak dziewczęta na niedzielę, pokładły na się wszystkie barwy tęczowe.

O! Pan Bóg tylko tak malować umie, jak czasem ukazuje się niebo, myśleli malarze, człowiek nigdy! Wszystkie tam barwy idealne złane, idealnego natężenia i siły, harmonijnie pożenione, zdają się temi odbłyśki jakąś wielką, nie wyraźnie nam się czytać dającą myśl odbijać.

Kto nie czytał nigdy zachodu słońca i wschodu, kto w nich długo nie zatapiał wzroku, niech mi nie mówi, że poeta.

Ale, otóż nagle ciemnieją kolory tak przed chwilą świetne, szafir tylko i purpura pozostają jeszcze; nareszcie gaśnie rumianość chmur i zastępuje ją sina, jednostajna szata. Oko opada na ziemię smutne, skończyła się uroczystość w obłokach, szary powszedni dzień po niej.

Dzwony odzywają się różnemi głosy jakby sobie odpowiadały, pytały się i drażniły. Jedne dobranemi dźwięki zgodnie sobie wtórują, drugie się przeciwią. a starzec Smoleński z wysokiej wieży poważnie, powolnie, żalobnie, zdaje się gromić cienko wyśpiewującą młodzież. Wpółśród tego gwaru, zegar gdzieś zasyczał i wyprzedzając modlącą się drużynę, wybił prędko pięć razy. Jeszcze raz, dwa, zakołysały się dzwony jak do snu i... cicho.

Teraz z miasta jak z wrzącego kotła na wielkiem ognisku, słyhać szum gotującego się ludu. Nierozpoznasz w nim pojedynczego głosu! wszystkę złane, niewyraźne, pomieszane, a tysiąca ludzi szmer, jęki, śmiechy, rozmowy płyną w górę jednym głosem. A jest ktoś wysoko co ze splątanych tysiąca odgłosów, dopuści do siebie, wybrane. Ale ludzkiemu uchu ani się pokusie o rozginatwanie tej pieśni życia takim nuconej chórem. Posyłasz ucho, zdaje ci się żeś coś podchwycił, w tem krzyżują się nici, zasłaniają ci złapaną — i znowu nic nie rozumiesz.

Szmer ten, gdy się weń wsłuchasz, już ci się potem wydaje głuchem milczeniem, tak dobrze utarł się w jedność.

Taki obraz mieli przed sobą, a oczy lgnęły do niego. Jan rzekł poruszony:

— Tam, pod tym pochylonym dachem zostawiam co mam najdroższego na ziemi: żonę, dziecię! Dla czego sztuką, myślą nic nie żyje samą? Muszę pracować jak rzemieślnik, aby jak on zarobić na życie! Idę malować najęty, a nawet na pracy znikomego imienia mojego nie podpiszę. Kupiono pracę i sławę moją.

— Jakże! zawołał żyd powstając, nie było ci wprzód poskarżyć się przedemną? powiedziec rai o tem? Ja prawie bogaty jestem; czemu nie było żądać odemnie abym się z tobą podzielił? Myślisz, że mam mojej biednej braci przywiązanie do grosza i siebie! O! nie! nie!

— Dzięki ci! dość dzieliłem się z innemi; czas pracować samemu. Lecz któż wie, czy ty nie możesz mi być jeszcze opiekuńczym duchem, zostawiam tu żonę i dziecię, nad niemi czuwa serce najlepsze, Tytus. Lecz on ubogi jak ja, może im czego zabraknie choć zostawiłem pieniądze. Zobacz

się kiedy z Tytusem, powiedz mu, że w przypadku pożyczysz im na chleb jeżeli go brakło.

To mówiąc Jan ścisnął go za rękę i chciał odejść, ale go Jonasz nie puścił jeszcze.

— Czekaj, rzekł, przeprowadzę cię jeszcze. Gdybyś nie wstydził się mieć we mnie przyjaciela, powiedziałbym ci co czuje serce moje..... Kocham cię !

Jan się odwrócił ku niemu: — Mój drogi, dla mnie jest tylko dwoje pokoleń ludzkich na ziemi, dzieci Boże i dzieci szatana, poczciwi i źli. Pierwszych kocham, nad drugimi się lituję. Ty należysz do pierwszych. Z tobą i z Tytusem spędziłem pod tym lodowatym niebem kilka jedynych chwil rozkosznych na rozmowie o sztuce, o piękności. Te chwile na zawsze są pamiętne, na zawsze! Jeśli odjedziesz do Niemiec, do rodzinnej twojej krainy, wspomnij tam kiedy o mnie, na własnej ziemi wygnańcu.

— Ale pocóż odchodzisz, gdy cię tyle to kosztuje? spytał Jonasz. Wzięłeś zadatek, ale to umowa hańbiąca i niegodziwa. Zerwij ją, ja zadatek wrócę, zastąpię ci pierwsze koszta utrzymania. Od jutra zaś, jeśli nie masz wstrętu, wyrobię ci miejsce w handlowym kantorze, gdzie twój szlachetny charakter wstęp ci zjedna. Ja zaręcę za cię jeśli pozwolisz, weźmiesz kasę, a godziny wolne poświęcisz malarstwu. Janie! rzekł, proszę cię, przyjm.

— Nie mogę! nie mogę! ale wierz, że ci z serca dziękuję.

— Daj się namówić, proszę!

— Musi się spełnić moją przeznaczenie:

— Niech Bóg błogosławi cię, mój biedny Janie, zawołał Jonasz, Bóg jeden nas wszystkich! Bądź zdrow! życie — pielgrzymka, moje gdzie jeszcze spotkamy się na drodze, jeśli nie, wspomnij na mnie; któż wie gdzie się zobaczymy jeszcze?

Gdy się rozeszli słońce już było zaszło, a Jan straciwszy czas na pożegnaniach i rozmowie, przenocował w bliskiej gospodzie, z której jeszcze widać było miasto. We snach marzył o Jagusi i dziecięciu swoim.

We dwa dni później znużony zakołatał do drzwi klasztoru, gdzie go uprzejmie przyjęto. Nie był to wprawdzie ów zamożny znany mu kapucyński klasztor; ale przytułek cichy przy swem ubóstwie i bogaty w ludzi jakich Jan teraz więcej niż kiedy potrzebował. Gwardyan, starzec pięćdziesiątletni, był niegdy pięknego rodu i najlepszego wychowania; bracia co go otaczali, szczęśliwym trafem, wszyscy ludzie światli i łagodnego charakteru. A co najbardziej, uroczysty spokój klasztorny, błoga cisza serc i duszy panowała tu na wyjaśnionych malując się czołach.

Na widok sklepień nagich, które myśl jego zaludnić miała, płócien i przygotowania; obudziła się w Janie reszta artystycznego zapału. Wielkie myśli pisma świętego, z których malować miał obrazy, przeszły w głąb jego duszy i zadziwioną poruszyły. Olbrzymie, majestatyczne postacie i pogodne oblicza rosnące pod ołówkiem malarza, budziły w głowic pytania o życiu religijnem, których nie umiał rozwiązać. Pracował szybko, ale natchnieniem zupełnie świeckim, nieumiejąc ożywić jakby

był chciał obrazów, niemogąc wlać w nic duszy i dziwiąc się sam w sobie niedołęzności swojej.

Kartony, acz niezaspokajające dla artysty ale piękne dla obcych oczów, wyrosły prawie bez pracy: była w nich umiejętna kompozycja, rysunek poprawny, postawy piękne, linie wdzięczne i powagi pełne, były oznaki wielkiego talentu: brakło tego co starym obrazom w XV i XVI wieku urodzonym w modlitwie nadaje ów nieopisany urok, a czego nic nie da, gdy kto w piersi nie ma ognia wiary, płomienia modlitwy. Jan ich nie miał oddawna, i dziwił się, że oblicza jego postaci idealnem życiem poruszyć się, zagrzać i przemówić nie chciały.

W pośrodku niewielkich sklepień, na pamiątkę widzianego w młodości obrazu al fresco u Kapucynów, zamierzył wystawić Wniebowzięcie, Apotheozę matki Boga, czyli tryumf kościoła. W czterech narożnikach, siedli czterej prorocy, wielkie figury natchnionych starców, po których kolossalnych postaciach popłynęły surowo obliczone draperye. Dwa bocznych sklepień freski, miały być z życia patrona zakonu. Na jednym z nich, odebranie bulli utwierdzającej zakon, na drugim śmierć Świętego. Trzy ołtarzowe, pół okrągło zakończone obrazy, przedstawiać miały: główny: Tróję świętą w chwale aniołów i światłości; dwa boczne: świętego Antoniego z dziecięcim Jezus i świętego Franciszka.

Pocziwi księża zdumiewają się nad talentem i bolejąc nad smutkiem głębokim artysty, nastreczyli mu w sąsiedztwie parę portretów i zamówili dwie inne do kościoła roboty nie objęte kontraktem; to się zrobiło nim rusztowania i inne przybory ukończone zostały. Zapłacono je jak było można, dopełniając nic wielką kwotę temi grzecznościami z serca pochodzącymi, tem przyjacielskiem współczuciem, które jest droższe nad wszystko. Jan uspokojony nieco, do koła siebie pogodnie tylko widząc czoła, uczuł na duszy nieznaną dawno ciszę i pozazdrościł zakonnikom ich swobody. A! rzekł w sobie, gdybym wierzył jak dawniej i umiał się modlić, jakżebym wzdychał do życia zakonnika-artysty, który nic po za sobą na świecie nic zostawił i sam tylko z Bogiem w sercu pozostał.

Nieznacznie, pobyt w klasztoru działał na Jana; ale szczególnie wpłynęła nań jedna okoliczność, która może i o przyszłości jego dalszej stanowiła. W początkach nabożeństwo, obrzędy, ledwie nie szyderczym go znalazły, później obojętnym, nareszcie zamyślonym i jakby usiłując przeniknąć tajemnicę głębokiej wiary, którą utracił; zastanawiał się, dumał, niepokoił sobą. U ludzi co go otaczali, zwłaszcza Gwardyana, znalazł tyle oświaty, tyle nawet świeckiej nauki przy tak szczerzej i serdecznej wierze, ie go to zastanowić musiało. Dotąd Jan wiarę przypisywał ślepotcie, tu ze zdumieniem ujrzał ją połączoną z nauką wielką i panującą jej, posłyszał na swe zarzuty częste, odpowiedzi bez zdumienia i łatwe, spotkał uśmiech łagodnego politowania.

Serce mu zabiło nieznaną trwogą i jakimś nieopisanem żądaniem.

Gdy się to dzieje, a Jan biedzi się, czując brak natchnienia, jednego południa zszedłszy z rusztowania, począł się przechadzać po pustym kościółku. Myśli czarne opadły go jak krucy trupa, myśli, kruki, które tylko na umarłą wierze pierś nalatują. Chodził i dumał gryząc się sam sobą, szarpiąc pogardą swej słabości i upadku. W tem nieraz już pomijane bez uwagi drzwi, wiodące do malej kapliczki Chrystusowej, nieobjętej jego kontraktem, zamknięte na klucz, uderzyły go teraz niewiedzieć dla czego. Miałż zostać nie pomalowana? lub kto ją miał zdobić? Częsty stukot i przechodzenie do

niej oznajmowały, że tam coś robiono; dla czegoż zawsze była zamknięta? Spróbował drzwi, ale mu się nie otworzyły, nieukontentowany za danym znakiem udał się do refektarza.

— Ojcie Gwardyanie (pytał po obiedzie), cóż będzie z kaplicą Ogrójcową, którą tak pilnie zamykacie? Czyż myślicie ją zostawić białą, czy chcecie powierzyć komu innemu?

Na to pytanie, starszy spojrział ukradkiem ku przechodzącemu mimo braciszкови, który milczący do drzwi się wymykał, i odpowiedział trochę zakłopotany:

— Ta kapliczka, ta kapliczka, nie należy do waszego kontraktu.

— Ja wiem o tem, rzekł Jan, i właśnie jestem ciekawy.

— A! to źle kochany Panie żeś ciekawy! śmiejąc się odrzekł żartobliwie Gwardyan, nie ma tam nic ciekawego. Milczący braciszek stał jeszcze we drzwiach poglądając na Gwardyana błagającym wzrokiem, zatrzymał się na progu, potem zniknął. Rozeszli się.

Ale Jan wprowadzony w większą jeszcze ciekawość milczeniem starszego, niepoprzestał śledzić co się działo w tej kapliczce. Następných dni, dostrzegł, że ktoś raniej od niego przychodził tam i zamykał się w niej; parę razy przesunął się chłopiec niosący coś, ku tym drzwiom tak pilnie zamykanym.

Spytał się znowu Gwardyana, ale on tajemnicę w żart obrócił i rozmowę inaczej skierował. Jan poczynął się niepokoić i niecierpliwić: dostrzegł, że ilekroć mówi o kaplicy, zawsze ów braciszek nieznajomy, milczący, pogląda błagającym wzrokiem na Gwardyana. Cóż wtem miał braciszek? nie pojmował; ale postanowił go śledzić i zbliżyć się do niego o ile możliwości. Zdziwi to może kogo, że Jan tak zajęty sobą i polo-żeniem swoim, mógł być wprawiony w ciekawość okolicznością tak małej wagi. Lecz niewytlómaczone są poruszenia duszy, z których żadna psychologia sprawy nam nie zdaje.

Braciszek o którym mowa, mógł mieć lat czterdzieści kilka: maleńkiego wzrostu, chudy, twarzy niezmiernie bladej, na której dziwnie czerniały oczy błyszczące silnie, z posrebrzonym już włosom na skroni, z brodą długą, ciemną jeszcze, zastanawiał fizjognomistę czołem niewidzianej piękności i dziwnego kształtu. Twarz jego była spokojna, uśmiechająca się, wdzięczna; on sam milczący. Mało go Jan widywał w klasztorze: najczęściej przychodził do refektarza tylko i zniknął po jedzeniu szybko. W czasie uroczystości i nabożeństw tymczasowo w kapliczce odprawianych, odznaczał się zapalem, z jakim trwał na modlitwie. Nie raz wśród niej widział malarz łzę błyszczącą w jego oku i po białej spadającą twarzy. Jakaś tajemnica widocznie otaczała tego człowieka, księża nic o nim nie mówili. Gwardyan pytany o niego, odpowiadał:

— A cóż? to brat Franciszek!

— Zkądże on rodem i jakiego stanu?

— O stanic nie wiem prawdziwie, a rodem jest z naszych prowincyj.

I na tem się kończyło, bo nic więcej wysledzić Jan nie mógł. Przyszędłszy jednego dnia raniej niż

zwykle do roboty, malarz zobaczył z rusztowania jak braciszek przemknął się do kaplicy, po cichu zamknął się w niej i nie pokazał już więcej. Jan próbował zbliżyć się do brata Franciszka, ale pomimo uprzejmości, wesołej rozmowy jego i pozornego nieunikania, przekonał się, że mnich zdala od niego zostać pragnie.

Wszystko to razem jątrzyło artystę tak, że postanowił dojść tajemnicy kaplicznej i tego zagadkowego zakonnika.

Drobne postrzeżenie, plamka od farby na habicie brata Franciszka, naprowadziła

nareszcie na domysł, że on maluje zapartą część kościołka. Wszystko się tym sposobem tłumaczyło skromnością mnicha, któren ze swoją robotą popisywać się nie chciał.

— Juściż muszę zobaczyć co on robi i jak! zawołał Jan w sobie.

W niedzielę, w czasie nieszpornego nabożeństwa, udał się do kościoła i tak zręcznie podchwycił klucz, wiedząc gdzie go zwykle kładną, że nikt nie miał czasu zapobiedz temu. Wcześniej bowiem śledził jak go dostać.

Z ciekawością zajątrzoną długim oczekiwaniem, wpadł malarz nasz do Ogrojcowej kapliczki, wyobrażając sobie, że zobaczy coś naiwnie potwornego w robotach Franciszka. Ale jakże się zdumiał!

W pośrodku stał ołtarzowy obraz poczęty; mury już okryte były całe malowaniem lekkim, Powietrzem i wesołego kolorytu. Obok trójnoga leżały dyscyplina, brewiarz i różaniec. Na boku nieco, drewniany krzyżyk, osadzony czasowo, prosty bardzo, wskazywał miejsce modlitwy. Jan obejrzał się bacznie. Roboty zakonnika tak były odmienne od jego robót, tak nacechowane odrębnie, że chwilę pozostał w niepewności i zdumieniu jakimś, nim szczegółowie rozpatrywać je począł. Freski i obraz zarówno przypominały stare malowania widziane przez artystę we Włoszech z epoki poprzedzającej tak zwane odrodzenie sztuki. Był w nich jakiś styl gotycki, surowości pełen a życiem tchnący, coś razem prostotę i wielki wyraz łączącego w sobie. Wdzięcznych linii, sztucznych sprzeczności i malarskich wybiegów dla efektu, tu nie znalazłeś: wrażenie jakie robiły obrazy było spokojne i poważne. Światła i barwy nie trzpiotały się na nich i nie wysilały jak na pokaz, tylko użyte były jak narzędzia. Jan przywykły do sztuki wymyślnej i wymyślającej, sztuki co z rąk Angelico da Ficsole przeszła nareszcie we władanie Rafaela Mengsa i nosiła na sobie ślady manery, wymusu, rafinacyi; widział tu coś jakby cofnionego, zastarzałego, gotyckiego, ale razem zdumiewającego prostotą i niesłychanym wyrazem. A wyraz to był nic ziemskich twarzy, nagiętych na oznaczenie pewnego uczucia, ale idealnych obliczów rozjaśnionych niebem, uniesionych, lub heroicznie i nie po ludzku cierpiących.

Anioły z narzędziami męki Chrystusa Pana, ukazujące się na freskach, były tak piękne a tak anielskim owiane smutkiem, że Jan wpatrując się w jednego z nich, co nań zdawał się patrzeć i wskazywać mu krzyż, uczuł bicie serca i nieznane jakieś dotąd wrażenie.

Obraz ołtarzowy wyobrażał Chrystusa w Ogrójcu.

Dziś gdy znamy Overbecka, do jego tylko utworu można ten obraz porównać; on tylko lub Veith mógłby z taką siłą prostoty i natchnieniem tak potężnym, z takim coś zrobić namaszczeniem. Malowanie było nie- co twarde, draperye łamały się zbyt może w sposobie Martina Schön: koloryt zbyt natężony, ale nie raniej było to dzieło zachwycające nieporównaną espressyą. Cierpienie w Chrystusa twarzy, anioły ze łzami na oczach i uśpieni uczniowie, narysowani byli z uczuciem, na które powiedział sobie Jan, zdobyćby się nie umiał.

— Zrobiłbym wdzięczniej, milej dla oka, ale nigdy tak. Ten wyraz twarzy, ruchów, wylał się z piersi na modlitwie może. Jest to rodzaj intuicyi, widzenia, co podyktował czegoby zimna rozwaga i umiejętność nie była dać w stanie.

Krzyż, dyscyplina, brewiarz i różaniec wytlómaczyły Janowi z kąd pochodziło natchnienie brata Franciszka. Stał, patrzył, myślał długo i westchnął nad sobą.

Uczuł się z całą swą doskonałością, małym i bezsilnym.

Jeszcze był nie dokończył rozpatrywać kaplicy, gdy szybkie kroki dały się słyszeć w kościele i brat Franciszek bledszy niż zwyczajnie, poruszony stanął w progu. Ujrzał Jana zdumionego, zamyślonego i zawahał się czy wnieść czy cofnąć.

Malarz pobiegł ku niemu.

— Daruj, rzekł, ciekawości!

— Czy się to godziło! czy się godziło! mruzczał zakonnik.

— Przebacz mi, a razem rozwiąż zagadkę, którą twoja praca jest dla mnie. Kto ci dal wyraz, kto daje duszę twoim postaciom, kto to nie wyuczone i nie naśladowane życie, które tchnie z nich i zachwyca? Kto cię nauczył?

— Modlitwa, odpowiedział po cichu braciszek.

— A! jesteś wielkim malarzem! jesteś wielkim malarzem! a moje roboty przy twoich, zimne posągi przy żywych to ludziach!

— O! kochany Panie! jam nieuk, nie zawstydzaj mnie. — Ty! jabym się winien uczyć u ciebie, pojmuję czemu nie malowałeś całego

kościola!

— Jestem tu na krótko, a potem czyżbym potrafił? zawstydzony i jak dziecię spuszczaając ciągle oczy odzywał się zakonnik.

— Czybyś potrafił! rzekł Jan z zapałem, o! gorętsze życie lałoby się z tych figur, które teraz zimne i sztywne stoją, jakby czekały, czy kto im nic da duszy.

I usiadł na bliskiej ławce, pochylił głowę, milczał.

Brat Franciszek wziął go za rękę i uściśnął ją z politowaniem.

— Bracie, rzekł, bo możemy się tak nazywać, chory jesteś na duszy, ciężko chory. Spokój cię odbiegł, wiarę straciłeś i świat ci czarno się pokrył. Módl się! módl się! módl się! to jedyna rada. Spojrz w niebo gdzie mamy ojca, na ziemię gdzie masz braci, a odwróć oczy od siebie, bo może tam za często poglądasz. I módl się! Zrzuć pychę z serca i otwórz je miłości Zbawiciela i miłości ludzkości w Zbawicielu. Modlitwa cię uleczy.

— Modlić się! rzekł Jan, modlić się, gdy nie wierzę!

— Przyjdzie wymodlona wiara! Wiara ten dar Boży, której wołą ani żadnym nie pozyskasz środkiem, którą tylko wyzebrać łzami można. Nagle oświeci cię jak wschodzące słońce promieniami swemi i obudzisz się w blasku poranka, padniesz na kolana dziękując. Módl się, módl się, dodał, a i ja za ciebie Boga prosić będę.

Od dnia tego począwszy nie zamykała się już kaplica Ogrójcowa przed Janem, a dwaj artyści zbliżyli się do siebie, powolnie wiążąc najściślej szeptami. Pomimo rad wszakże brata Franciszka, Jan nie mógł jeszcze wymódz na sobie, zwrotu ku wierze i modlitwie, pozostał zimny jak był, tyle tylko uczynił zakonnik, że go uprosił, aby nabożeństwa nie opuszczał i chociażby najchłodniej, bez uczucia, spełniał wszystko co nakazuje religia, czekając cierpliwie aż duch zstąpi na niego. Jan nie wiele ufając w ten środek, dał słowo, że go użyje i dotrzymał słowa. W kilka dni po opisanem widzeniu kaplicy, Jan dowiedział się od niego samego historii księdza Franciszka.

Ubogich szlacheckich rodziców spędził młodość najdziwniej, miotany po świecie i w najzupełniejszej obojętności religijnej. Z bogatszymi od siebie zwiedził Hollandyą, Francją, Anglią, a na ostatku Szwecyą.

W ciągu młodości co doświadczył, jak bolał? tego się zaledwie domyślać było można; gdyż ani on, ani nikt nie umiał o tem powiedzieć. Głęboka tajemnica okrywała dzieje serca jego i duszy.

Powracając ze Szwecyi, zachwycony burzą na morzu nie opodał od Połongi, brat Franciszek naówczas świecki jeszcze człowiek, uczynił w przestachu ślub wstąpienia do zakonu, jeśliby uratował życie. Okręt osiadł na mieliźnie, a rybacy przewieźli nazajutrz na brzeg pozostałych podróżnych. Nasz wędrowiec dotrzymując uczynionego przyrzeczenia, ku czemu wiodły go także zapewne zawody przeszłego życia, natychmiast obłócił suknię zakonną. Tu dopiero nagle, bez przejścia prawie, z największej obojętności, uczuł się oświeconym i pełnym gorącej wiary. Tu, nigdy wprzód niebędąc artystą, natchniony począł malować obrazki świętych, sam się poduczył, sam nauczycielem stał własnym i doszedł do wyrobienia sobie stylu, do umiejętności jaką w nim Jan się zachwycał.

Taki był rys życia brata Franciszka. My wróćmy do Jana.

W pierwszym tygodniu odebrał on list od żony, pełen łez ukrytych, ale wesoły pozornie. Tytus opisywał mu także obszernie zabawy dziecięcia, zatrudnienia matki, stan domowych interesów i żarcikami umyślnie kończył dla rozweselenia Jana. To go zaszczyliło właśnie. Wzdychał do Wilna! Mamonicz pisał, że Perli wybierał się do kościołka zobaczyć w jakim stanie były roboty.

Jakoż w istocie nadjechał wkrótce Perli z całą powagą mistrza, który idzie zajrzeć w robotę ucznia. Księża zbiegli się wnosząc z Jana, że mistrz ten musiał być nierównie jeszcze wyższy nad niego. Lecz jakże się zdziwili widząc tylko dumnego, zarozumiałego nieuka, który zręcznie nawet pokryć czego mu brakowało, nic potrafił. Teraz bowiem Perli z postępową pomyślnością w interesach, mniej już miał baczenia na zdradzający go język.

Udając znawcę wielkiego, wszedł na rusztowania dla obejrzenia kartonów, które przedawał za swoje, i roboty, ale na widok rozrobionych farb tyłu, pośpiechu z jakim na świeży tynk kłaść było potrzeba tony nie poprawiając się wcale; na widok ogromu figur i złamania linii niepojętego mu, osłupiał, zdurzył się, języka w gębie zapomniał. Malowanie, które z dołu zachwycało go, z bliska wydawało mu się szkaradnem. Dziwił się, zrywał, ganił, niewiedząc co począć z sobą. Wstyd mu było pokazać się nieumiejętnym całkiem przy księżach, próbował udawać, że maluje; ale ilekroć brał pędzel do rąk tylekroć przekonywał się, że tu, jak w jego olejnej robocie, wykpić się nic było można sprytem. Nic darmo Michał Anioł olejne roboty zwał kobiecą zabawką. Upokorzony w duchu, zszedł Perli z rusztowania udając, że nauki daje Janowi, który wysłuchiwał go cierpliwie choć z szyderskim boleści uśmiechem. Księża nie mogli pojąć co znaczy ta osobliwsza komedia.

Na dole opowiedział im malarz, że od lat trzech boleść w prawym ręku, pracować mu nie dozwala, i dla tego cudzą swoje pomysły wykonywa.

Poczęte obrazy olejnie zupełnie złe wydały się Perlemu i nelitościwie je zganił. Zaraz nazajutrz ufając w to, że gotowy już rysunek, roboty mu ułatwi, wziął się do obrazu głównego ołtarza; bo wstyd mu już było nic a nic nie robić. Ale obraz ten jasny i cały w delikatnych półtonach a światłach, był dla niego niepodobny do wykonania. Pomazał chmury, począł tak widocznie psuć, że sam się na tem poznał i poskarżywszy się na rękę, że mu nawet olejno malować nie dozwala, wstał od roboty.

— A przytem, dodał, to tak dziwnie słabo poczęte, że wziąć się do tego nie mam ochoty. Brat Franciszek stał z daleka tak zdziwiony, że słowa wyrzec nie mógł. Jan w milczeniu starł robotę Perlego i cicho mu szepnął z uśmiechem:

— Nie frasuj się, nie stracisz sławy podpisując moją robotę.

Obraz świętego Antoniego był jeszcze nie narysowany, tego więc chwycił się z kolei Perli dni parę wypocząwszy, Jan dał mu. rysunek zostawując wykonanie, a sam przechodząc do świętej Trójcy i fresków. Porównanie podmalówek do reszty zbiło z tropu, z dumy i z powagi Perlego, któren tak uczuł się niższym, że począł milczeć, zadumywać się i wspominał o nagłej potrzebie odjazdu do Wilna. Księża, którym się naprzykrzył gadatliwością prózną, wcale go nie wstrzymywali.

Na pracy i w tych dramatycznych przejściach (bo nic nie było zabawniejszego nad Perlego usiłującego zrównać się lub przynajmniej bez wstydu wyniść przy Janie), minęło kilka tygodni. Listu od Jagusi dawno już nie było. Pisał tylko raz Tytus, że dziecię przechorowało na kaszel, ale jest już zdrowsze, a żona dodawała: powracaj gdy będzie można, mój drogi! tęskno nam za tobą!

I jemu tęskno też było, ale jak powrócić gdy praca ledwie poczęta? Poczciwi kapucyni pocieszali go rozmową, towarzystwem swoim i jakimś serdecznym braterskim uczuciem, które najsilniej objawiało się u Franciszka. Wieczorami znalazły się książki, a czas wygnania tego spływał daleko

lżej i prędzej niżeli się spodziewał. Roboty szybko prowadzone z żalem zakonników zbliżały się ku połowie, Jan bowiem przywilejem wielkim tylko talentom i geniuszowi wspólnym z wielką miernością, tworzył szybko i łatwo.

Księża, a zwłaszcza brat Franciszek, widząc taki postęp roboty, często smutnie mówili mu:

— Źle nam będzie bez ciebie gdy odjedziesz, ot, zostań się z nami!

— A żona i dziecię! Tam wszystko moje i serce, odpowiadał Jan.

— lidzie skarb twój, tam i serce twoje! Już nareszcie część rusztowania odjęto

i mniejsze freski odkryte, jaśniały temi żywymi kolorami, tą barwą obłokową, którą mieć powinny unoszące się w kościele nad głowami idealne postacie; obraz ołtarzowy świętej Trójcy miał się wykończyć, gdy jednego ranka do sali, w której teraz pracował Jan, wszedł żyd zbłocony z listem od Mamonicza. List nakreślony był żywo na kawałku udartego papieru, niezapieczętowany, i zawierał tylko te słowa:

— Janie, siadaj na koń i przybywaj, spiesząc o ile możności. Spiesz do nas, spiesz.

— Co się stało? zawołał do żyda.

Ale żyd posłaniec, nic powiedzieć nie umiał. Jan ściśnięty za serce, przerażony, porzucił wszystko i z listem w ręku, rozognioną twarzą, stanął przed gwardyanem.

— Ojciec mój, krzyknął, konia! zaklinam cię na miłość Bożą, konia mi daj! Coś okropnego mnie czeka w Wilnie, wzywają mnie, konia na Boga! dam za niego co zechcecie,

Gwardyan wstał powolnie.

— Moje dziecko, rzekł smutnie, nie wstrzymujecie, jedź, dam ci najlepszego jakiego mam konia, ale godziłoż się chcieć mi za niego płacić? Wyjął z szufladki zwi- tek pieniędzy, wcisnął go do ręki osłupiałemu i rzekł: To na drogę. I to na drogę, dodał błogosławiąc go wzruszony.

Jan wyrwał się do drzwi, poleciał do stajni, pochwycił za uzdę konia na wpół osiodłanego i siedział już na nim bez płaszcza i czapki, gdy brat Franciszek nadbiegł rzucając mu na ramiona nakrycie, aby pochwycić dłoń jego jeszcze i cicho powiedzieć:

— Janie, módl się!

Wszyscy zakonnicy wyszli spojrzeć na odjeżdżającego, modląc się w duchu za niego. On nie widział nikogo, nie słyszał nic, spiał konia, poleciał.

Na ostatniej mili zhasany koń, bo mu nic dał tchnąć prawie, począł widocznie ustawać, potrzeba było zatrzymać się, a Jan porachował, choć nie bardzo był przytomny, że wypoczętym prędzej się dostanie niż pieszo, rzucając go na drodze. ranka do sali, w której teraz pracował Jan, wszedł żyd zbłocony z listem od Mamonicza. List nakreślony był żywo na kawałku udartego papieru,

niezapieczętowny, i zawierał tylko te słowa:

— Janie, siadaj na koń i przybywaj, spiesząc o ile możności. Spiesz do nas, spiesz.

— Co się stało? zawołał do żyda.

Ale żyd posłaniec, nic powiedzieć nie umiał. Jan ściśnięty za serce, przerażony, porzucił wszystko i z listem w ręku, rozognioną twarzą, stanął przed gwardyanem.

— Ojciec mój, krzyknął, konia! zaklinam cię na miłość Hożę, konia mi daj! Coś okropnego mnie czeka w Wilnie, wzywają mnie, konia na Boga! dam za niego co zechcecie.

Gwardyan wstał powolnie.

— Moje dziecko, rzekł smutnie, nie wstrzymujecie, jedź, dam ci najlepszego jakiego mam konia, ale godziło się chcieć mi za niego płacić? Wyjął z szufladki zwi- tek pieniędzy, wcisnął go do ręki osłupiałemu i rzekł: To na drogę. I to na drogę, dodał błogosławiąc go wzruszony.

Jan wrywał się do drzwi, poleciał do stajni, pochwycił za uzdę konia na wpół osiodłanego i siedział już na nim bez płaszcza i czapki, gdy brat Franciszek nadbiegł rzucając mu na ramiona nakrycie, aby pochwycić dłoń jego jeszcze i cicho powiedzieć:

— Janie, módl się!

Wszyscy zakonnicy wyszli spojrzeć na odjeżdżającego, modląc się w duchu za niego. On nie widział nikogo, nie słyszał nic, spał konia, poleciał.

Na ostatniej mili zhasany koń, bo mu nie dał tchnąć prawie, począł widocznie ustawać, potrzeba było zatrzymać się, a Jan porachował, choć nie bardzo był przytomny, że wypoczętym prędzej się dostanie niż pieszo, rzucając go na drodze. Ktoby go ujrzał naówczas, z trudnością by poznał: blady, wynędzniały, zgarbiony, we dwa dni zestarzał lat dziesięć. Twarz jego wyrażała tę niespokojną srogość, którą daje wielka boleść w pierwszej chwili: gdy nieznając się sam jeszcze, nie wie jak się szeroko rozleje.

Zaledwie dawszy wytchnąć koniowi, przebiegi ostatnią milę w pół godziny; minawszy ulicę miasta wpadł przed dom, na którego okna rzucił naprzód wzrokiem lęklwym. Były ciemne.

Rzucił konia w dziedzińcu, wbiegł na wschody, cisza, głęboka cisza niezrozumiała, panowała wszędzie. W pierwszym pokoju siedział Tytus oparty na rękę, zamyślony i widocznie zboleły.

— Gdzie oni ? spytał Jan lecąc.

— Cicho! cicho! rzekł Mamonicz, śpi!

— Śpią?

— Śpi.

— Kto? — Ona.

— A dziecię?

— Dziecię, Bóg ci je dał, Bóg wziął. Daruj mi! daruj! Któż może co przeciw Bogu! Zebrałem wszystkich z miasta doktorów, robiłem co było w mocy ludzkiej. Dwie nocy nosiłem je sam na rękę.

Z sypialni odezwał się słaby głos Jagusi:

— Jan przyjechał! niech przyjdzie! Janie! I Jan rzucił się ku niej. Leżała w łóżku

blada, wychudła, a kolebka próżna stała przy niej. Po kołdrze, na stoliku rozrzucone czepeczki dziecięcia i jego zabawki, których matka nic chciała odrzucić.

— Nie ma mego Jasia... zawołała we łzach, wzięli Jasia! O! czy ja to przeżyję? Patrz Janie, żyją jego zabawki, jego ubiorki, a jego już nie ma! Pocóż się było rodzić, poco cierpieć? Cóż to życie? Zawód nieustanny. I słochała biedna schylona nad czepeczkiem. To jego włoski, mówiła pokazując, ucięłam je z zimnej już główki, trochę kaszlu i duszyczkę oddało niebu i poleciało z aniołkami.

Wieczór ten był jednym z najcięższych w życiu Jana. Mamonicz uciekł bojąc się wyrzutów, on, co sam chory, stał się drugą matką, piastunką i lekarzem dziecku, co je pogrzebł swemi rękoma, pierwszy może raz w życiu płacząc nad grobem.

Kazajutrz i dni następnych, Jagusia miała się lepiej, Jan odrywał ją od nieustannych wspomnień dziecięcia i pracował by ją pocieszać, odurzyć. Ale są bole, które nie chcą się ukrócić, są cierpienia lube, z którymi rozstać się nie chce. Taką była boleść matki, która obawiała się drugi raz utracić dziecię, zapominając o niem.

Perli tymczasem dowiedziawszy się o powrocie Jana, pospieszył do niego.

Niemogąc ocenić uczucia, jakie śmierć dziecięcia i cierpienie żony wzbudzały w Janie, przyszedł dopytywać go, po co przyjechał. — Po co? wszak widzisz!

— To dobrze, ale robota nieskończona!

— Nie wiele braknie, obraz wielkiego ołtarza i wielkie sklepienie są na dokończeniu, z mniejszych rusztowanie odjęto.

— Ale, mrucał Perli, nie dadzą pieniędzy póki wszystko nie będzie skończone, potrzeba wracać!

— Kilka dni, kilka dni przynajmniej, prosił Jan z wyrazem boleści.

— Kilka dni, to jak sobie chce, ale mnie potrzeba, żeby to było rychło zrobione.

Jagusia dosłyszawszy rozmowy, zawołała Jana do siebie.

— Jedź, rzekła stanowczo, jedź, kończ szybko i powracaj. Choroba dziecięcia, pogrzeb jego

zabrały nam co było zapasu, znowu nic nie mamy. Mamonicz tylko przynosi co ma i Jonasz przysłał, ale to oddać potrzeba.

— Pojadę, rzekł Jan z rezygnacją, ale nie lękaj się Jagusiu, powrócę rychło. Tymczasem dadzą mi co na rachunek. —

Tego dnia poszedł do Perli, ale ten odmówił pieniędzy. — Nie mam swoich, rzekł gburowato, tam płacić nic myślą aż będzie wszystko skończone, nie dam nic.

Od niego poszedł Jan do Żarskiego, który wielki obraz śmierci Adonisa przedawszy do Petersburga, zyskał na nim, a resztę robot Jana dostał darmo; ale Żarski sypiący dla wyróżzonej pani Brygadyerowej, zaklinał się, że nic nie ma. Nareszcie, czy litością czy sumieniem tknięty, wyjął niechętnie dwieście złotych, które rzucił na stół mrużąc. Malarz w każdym innym razie, byłby tak udzielanej pomocy nie przyjął, ale teraz chodziło o spokój Jagusi chorej, której zostawić bez grosza nie było można. Jonasz zaś mogący chętnie usłużyć, został się na ostatni ratunek, jeśliby wszystko chybiło. On i tak już na pierwszą wieść o chorobie dziecka przybył, niosąc pieniądze i prowadząc lekarzy, przesiedział na wschodach nie jedną godzinę niepewności.

Uprosiwszy znów Mamonicza, który się już łamiąc ręce wymawiał od opieki, Jan musiał z wieczora pożegnawszy Jagusię, trzeciego dnia odjechać. Pieniądze spodziewane za robotę, służyć im miały na podróż do Warszawy, Tytus obiecał jechać z niemi. Ale inaczej chciało przeznaczenie. Gdy Jan z pośpiechem bezprytomnie pracuje, kończąc swoje obrazy, Jagusia nieposłuszna Mamoniczowi dnie i zimne wieczory i ranki mgliste przepędza na grobie ukochanego dziecięcia.

Kilka razy prosił ją Mamonicz, zaklinał aby zdrowie swoje szanowała, aby się starała rozerwać; ona mu na to odpowiedziała:

— Kochany przyjacielu! Na com ja na świecie potrzebna? Dla Jana, ja jestem zawadą w życiu, ciężarem, utrapieniem, boleścią tylko. Kocha mnie i męczy się dla mnie. Na coż mi zdrowie? na co mi życie? pójdę z ochotą do Jasia, aby uwolnić mego Jana i tam czekać na niego. Wszystkie jego nieszczęścia od ożenienia się poczęły. O! nie żeń się Mamoniczu, dodała, artyście niepotrzebna żona! nie! nie! I płakała gorzko.

Te smutne myśli rozproszyć się nie dały. Jagusia zaczęła słabnąć, pokaszliwać i całe czasem dnie pędziła w krzesle, u okna ze spuszczonej rękoma, okiem nieruchomo wlepionem w ścianę, płacząca nad włoskami dziecięcia. Codziennie zdrowie jej pogorszało się widocznie; a dać znać nie mógł Janowi Mamonicz, bo robota musiała być na ukończeniu i on rychło miał powrócić. Na cóż dodawać mu niepokoju gdy przybyć było mu niepodobieństwem?

W listach wszakże napomykał Mamonicz o osłabieniu i smutku niepokonanym Jagusi. Jan odpowiedział, że prędko powróci. Księża obiecywali mu spłacić jego część należności zaraz, tak ażeby już nie miał nic do czynienia z Perlim. Pomimo milczenia Jana, do którego się był zobowiązał, umowa jego z malarzem, jej warunki nawet, wszystko to wyszło na wierzch i stało się wiadomem. Księża wzdrygali się na niepoczciwe postępowanie pseudo-artysty. Ale Jan na czynione mu propozycje zerwania ohydnej umowy przez fundatora, odpowiadał, że się zobowiązał i świecie dotrzyma.

Mamonicz był w najstraszniejszym położeniu: Jagusia widocznie gasła, a Jan nie przybywał. Starania lekarzy, troskliwość przyjaciół, nic już jej nie mogło przywrócić nadwerżonego zdrowia. Poczciwy Tytus silił się napróżno na rozrywki. Przypomniawszy sobie, że dawniej lubiła gołębie, a niemogąc ich kupić, dopuścił się największego upodlenia dla wyżebrania pary gołębiąt, które z klatką wniósł do jej pokoju. Ale widok ptasząt, które jej przypomniały młodość i szczęśliwsze czasy po ożenieniu, łączył tylko gwałtowne wywołał. Musiał co

najśpieszniej Tytus i gołębie wypuścić i klatkę precz wyrzucić. Wstydział się tylko, gryzł i łajał siebie, że tego nie przewidział.

Nareszcie Jan był już w ciągu tygodnia spodziewany, a Jagusia codziennie wychodziła na jego spotkanie. Z początku te przechadzki i cmentarzowe odwiedziny ożywiały ją nieco, teraz sił na nic zabrakło.

Nieustanne czuwanie Mamonicza, ciągłe krążenie jego około domu, podbudziły znowu plotki dawniejsze. Posądzano go o miłostki z Jagusią, korzystającą z niebytności męża. Kilka razy obity się o uszy Tytusa wyrazy szyderskie, które zapalały go gniewem; ale wstrzymywał się od wybuchu, bo wiedział, że ten mógłby jeszcze stan rzeczy pogorszyć. Jednego dnia gdy byli na przechadzce, śmiechy, urągania, wytykania palcami, umyślne obelgi rzucane aby wprost trafiły do serca Jagusi, tak już były głośne i widoczne, że pomimo starannego zagadywania i zagłuszania przez Tytusa, kobieta usłyszała je, ścisnęła go za rękę i szybko, zadyszana, powróciła do domu, płacząc gorzkimi łzami.

Mamonicz słowa nic rzekł, ale wyleciał wściekły na ulicę; trafił mu się na drodze Mruczkiewicz, który właśnie głośną swoją rozmową tak srodze mu dopiekl.

— Mosanie, rzekł snycerz porywając go za kołnierz, wiedziałem żeś głupi i podły, ale nie myślałem, żebyś chciał zabijać ludzi swoim zjadłym językiem. Co znaczą twoje śmiechy i słowa w czasie przechadzki?

Mruczkiewicz zczerwienił się, zapyrzył.

— Nie potrzeba ich było do siebie i do pani Janowej stosować, na złodzieju czapka gore.

— Jeśli nie będziesz trzymał języka za zębami, to ci go w gardło wepchnę, zakrzyczał Mamonicz.

— Co znaczą te pogróżki, oszarpańcze jakiś?

Mamonicz potężnym odpowiedział mu policzkiem i dodał:

— Jeśli chcesz się bić, to cię jutro czekam. Rzucił się był Mruczkiewicz na Tytusa, ale oderwany przez kogoś, uszedł miotając się od gniewu

Nazajutrz po tak publicznej obeldze, niepodobna było unikać pojedynku, umówiono się o miejsce i czas. Wyznaczony Zakret na spotkanie. Mamonicz z wesołą twarzą poszedł do Jagusi i powiedziawszy jej, że ma pilną sprawę wymagającą bytności wieczorem, a może i dłuższego pobytu w okolicy, zostawił jej pieniądze i pobiegł na plac.

Spiesząc tam wstąpił jeszcze do Jonasza Palmera, ale go nie zastał; bo odjechał był do Frankfurtu,

list tylko do Jana zostawiwszy. Z listem tym pospieszył Tytus na brzeg Wilii oczekiwać przeciwnika, który nierychło przybył zjadły, gniewny, ale bardziej jeszcze blady i wylęknioty. Gdyby czterech Mamonicza trzymało, byłby go w kawałeczki posiekał.

Zgoda była niepodobieństwem. Odrzucono pałasze, bo oba bić się w nie nie umieli i dawano pistolety. Drżącą ręką strzelił Mruczkiewicz, śmiałą i pewną Tytus: Mamonicz przecie z przebitą lewą ręką, tą, która wprzód skaleczona została przez lwa, upadł na ziemię. Miał tylko czas zawołać: Ta ręka szczęśliwa! Wprzód lew, teraz osioł! i zemdlał.

Przeniesiono go ze zgruchotaną kością do domu. Jagusia nic o tem nie wiedziała; a wieczorem tegoż dnia Jan powrócił.

Radość żony nie umiała się już inaczej wyrazić jak łzami. Jan przestraszył się spojrzawszy na jej twarz zmienioną, wypłakane oczy, zwiędłe policzki. Spytał o Mamonicza, Jagusia nic wiedziała gdzie był. Wieczór cały spłynął na projektach, na marzeniach. List Jonasza odesłany przez Tytusa przed przybyciem Jana jeszcze, zawierał wexel na dwieście czerwonych złotych i czułe pożegnanie, które łzę wycisnęło Janowi. "Jeśli się interessa twoje polepszą, pisał żyd, oddaj to ubogim braciom moim."

— Teraz możemy jechać do Warszawy, zawołał malarz.

— Poczekaj odpowiedziała żona, ja czuję się dziwnie osłabioną, cierpiącą... pogrzebiesz mnie tu na mogiłkach, obok babki, matki, siostry, Jasia naszego, i pojedziesz sam. Będziesz wolny.

Napróżno Jan błagał ją aby tę myśl odpędziła, aby ożyła i rozweseliła się, uwierzyła w życie i przyszłość; napróżno, choć z rozpaczą w sercu, malował jej oczekujące ich szczęście. Jagusia milczała, uśmiechała się i całując go w czoło powtarzała:

— To nie dla mnie! to nie dla mnie! Wszystkieśmy pomarły jak ja młodo. Matka, siostra, Jaś, ledwie skosztowawszy życia.

Przestraszył się Jan gdy ujrzał, że od łóżka prowadzić ją było potrzeba pod rękę do okna, a wśród pokoju stawać dla spoczynku.

Straszna prawda stanęła mu w oczach: Jagusia konała już, tylko powolnie.

Zwołano lekarzy, którzy z obojętnością zwykłą w razach zdesperowanych, ogólnymi jakiemiś nadziejami karmili, i rozeszli się przepisując czyste powietrze, spokojność i kozie mleko.

We trzy dni później biedne dziecię, co nie zaznało z życia tylko trochę miłości a wiele smutku — nie żyło.

Śmierć jej była ostatnią poetycznego snu sceną. Na kilka godzin przed nią wyjaśniło się jej czoło, zarumieniła twarz, poczuła się lepiej, weselszą, zdrowszą, zażądała ubrać, wzięła sukienkę białą, uczesała włosy jasne i prosiła Jana o gołębia. Wyszukano jej białą ptaszynę wspomnień, którą pieściła i bawiła się nią jak dziecko.

Była to wiosna i dzień prześliczny. Prosiła aby jej otworzono okno, kazała przynieść sobie zakwitłą gałąź czeremchy i powąchała ją z rozkoszą. Zdawała się budzić po długim cierpieniu; Jan uwierzył w polepszenie i roił dla niej życie. Ale to były tylko gasnącego już żywota ostatki, płomyk lampy co się dopaliła.

Jagusia niespokojnie pytała potem o Mamonicza:

— Chcę go zobaczyć, mówiła, podziękować mu za tyle starań. Co mu się stało? gdzie jest?

Jan wiedział już o wypadku, choć nie znał powodu spotkania; pobiegł prosić przyjaciela aby przyszedł jeśli będzie mógł. Z ręką na temblaku zwlókł się z łóżka Mamonicz, wysilił się aby przejść ulicę i stanął przed Jagusią blady.

Ona mu się uśmiechnęła. — A cóż to, znowu lew? spytała.

— O! nie, na ten raz to tylko osioł, odpowiedział uśmiechając się snycerz. Rękę mam trochę przełamana, ale to nic. Jakże się masz droga pani? lepiej? nieprawdaż?

— Jak widzisz! dobrze mi, wesoło, sama nie wiem czemu, a tak lekko na sercu! Wszystko to powrót Jana zrobił. I pocałowała go w rękę. Zdaje mi się, żem odmłodziła, żem tak wesoła i szczęśliwa jak gdy z okna mieszkania babki posyłałam wzrok ku oknom Batraniego.

Mówiła, mówiła długo, aż zmęczona poczęła mrużyć powieki.

— Wyjdźmy, może zaśnie, rzekł Mamonicz. Ale Jagusia przytrzymała rękę Jana i nie dała mu odejść od siebie. To ściśnienie ręki było już ostatniem... chłodny białe paluszki Jagusi i opadły, martwe. Główka pochyliła się, uśmiech przyleciał na usteczka — duszy nie było już na ziemi.

Jan wybiegł z mieszkania i rzucił się płakać, w kościele; w tym samym kościele, w którym ją pierwszy raz pożegnał.

Gdy Jagusia zamykała oczy, powóz podróżny opakowany zatrzymał się przed domem wskazanym przez żyda

Doktor Fantazus wysiadł z niego zestarzały, złamany pracą, osiwiwały, opierając się na lasce.

Wszedł na wschody, do pokoju, milcząc przeszedł pierwszy, obejrzał się i prosto skierował do łoża, na którem w białej sukni, jakby snem tylko głębokim zmorzona, spoczywała córka umarła.

Gołąb siedział na poręczu łóżka i dziubał swobodny.

Starzec patrzył długo, rzucił się w krzesło i z pionem w nią okiem, pozostał tak odrętwiały. Wszyscy, których sprowadza śmierć: kobiety, księża, ciekawi, przyszli, przeszli; noc zapadła a on nie wstał, nie ruszył się. Jan, który błądził po ulicach, późno w nocy powrócił do domu. Ciało umarłej już leżało w pierwszej izbie rozciągnięte wśród świec: wyraz spokoju nie opuścił pięknej twarzy anioła. Pokłękł u nóg jej Jan.

Wtem jak zjawisko senne wysunął się o kiju Fantazus, wołając głosem ochrzypłym:

— Janie! Janie! coś zrobił z córką moją? Malarz odwrócił się i zadrżał.

— Zostawiłem ci ją pełną życia, nadziei; zastaję umarłą, umarłą! Tyś winien! Tyś winiem! Niech śmierć jej spada na. ciebie! nie na mnie com ją opuścił, myśląc, że lepiej kocha mąż od ojca! Biedne dziecko!

— Ojciec zawołał Jan rzucając mu się do nóg ze łkaniem. Cóżem winien? Jam ją kochał, otaczał staraniem i miłością.

— A przecież umarła! umarła! zajęcza! Fantazus. Jak mogłeś dopuścić ażeby umarła? Tyś winien. Nie, nie ty! nie! Ja com ją opuścił, ja com ci ją odda! Tyś nic nie winien. Jam nic dość ją kochał, kochałem naukę i ona mnie zabija. Znowu nikogo na świecie, nikogo! Na starość sani jeden z pozerający jak sęp myślą. Prometeusz przykuty! Nie ma drogi na północ! lody! nic ma sposobu dostania prawdy, a ja zmarnowałem życie. Nie dotknąłem pulsu ziemi a straciłem dziecię.

Garść siwych włosów wyrwał z głowy i rzucił ją pod nogi trupa.

— Późny żal, próżny żal!

W nieprzerwanem milczeniu przesiedzieli tak oba ci nieszczęśliwi noc całą u łoża śmierci.

Nazajutrz rano, Mamonicz pomimo pogorszenia jakiego doznał po wczorajszem wyjściu z domu, przywłókł się po Jana i gwałtem go odciągnął od umarłej. Ojciec pozostał zajmując się pogrzebem, milczący ale z ognistym swym wzrokiem, którego jedna łza nie odwilżyła.

Gdy trumnę wynoszono z domu, posłał po Jana. Mamonicz nie chciał go puścić, ale malarz wyrwał się i poszedł za wozem żałobnym do mogiły. Babka, matka, siostra, dziecię, spoczywali już na kawałku ziemi gdzie i jej grób wykopano. Dziwne wieści chodzące o doktorze i całej jego rodzinie, sprowadziły tłumy ludu na pogrzeb.

Gdy ostatnia garść ziemi upadła na trumnę, a wieko jej przykryte zostało, Jan pomodliwszy się, powstał żywo; doktor Fantazus bez łzy w oku usiadł w powóz, wejrzeniem nawet nie pożegnawszy nikogo, i wskazał ręką, na północ.

Po kilku dniach Tytus zdrowszy znacznie i na chwilę nieodstępujący Jana, zapytał go:

— Czemu się nie weźmiesz do pracy? Praca czas zabija i boleści.

— Nie chcę! nie chcę! Modlę się, to mi wystarcza, a umiem się modlić! Teraz po czasie!

I wpadł w odrętwienie, w którym spędzał dni całe siedząc na jednym miejscu nieruchomy, nieprzytomny, zatopiony w sobie.

Czas upływał, a nic się nie zmieniało, tylko niekiedy wyszedł do kościoła lub na mogiłki. Do pracy nie mógł go niczem Tytus zachęcić.

Nagle jednego poranka wstał z pościeli, ubrał się żywo, zaczął zwijać tłumoczek i wyraźnie wybierać się w drogę.

— A to co? zapytał Mamonicz.

— Idę, rzekł Jan.

— Dokąd?

— Do domu, do matki. Świat mi zbrzydł, tyś na nim jeden wyjątkiem. Nie pojmuję sztuki zmieszanej z takim życiem jak nasze. Zkąd natchnienie? nie! nie! sztuka w religii powinna czerpać swe życie. Idę, zamknę się w klasztorze na resztę dni i modląc się, płacząc, pracować będę. Czuje dusza moja, że tam tylko jeszcze szczęśliwym być mogę. Napróżno Mamonicz chciał go od tej myśli odwieść, uważając ją za chwilowy i mogący się wprędce rozwiać pomysł, ofiarując mu się towarzyszyć gdzieby poszedł.

— Gdzież iść? mówił Jan, światam waszego nie ciekawy; najlepsze i najgorsze z niego poznałem, doznałem. Reszta byłaby tylko próżnym powtórzeniem znanego. Batrani mówił zawsze, że artysta nie znajdzie szczęścia i swobody chyba w klasztorze. Tam tylko prawdziwy spokój. Wszystkie nadzieje ziemi zawiodą, dla wszystkiego jest jutro ze śmiercią i końcem! Lepiej się wyrzec wszystkiego, aby po niczem nie płakać.

Z tym głębokim smutkiem, ale z modlitwą już w ustach, Jan wziął kij i pożegnał Tytusa. — Żal mi cię, rzekł w ostatku, ty na świecie zostaniesz na zawody, na męczarnie, ja idę do dobrowolnej mogiły, co mnie zamknie żywego, a z której widać niebo! Życie moje skończone. Sława, do- statki, nie uleczyłyby mnie z odczarowania nieuleczonego, z nieprzebranego smutku. Wiara tylko i modlitwa goją rany śmiertelne, zadane przez życie. Błogosławię Perlemu, że mnie posłał do kapucynów, tam kropla rosy niebieskiej najpierwej spadła na spalone usta! Ty jeden w moim życiu, Tytusie, byłeś zjawiskiem cudnym co się niezaćmiło na chwilę. Ty z Jagusią i z matką moją, pozostaniesz w sercu na wieki, umierający, wspomnę cię w modlitwie.

Powolnie przeszli miasto, które śmiało się, ryczało i hukało właśnie jakimś uroczystym wjazdem senatora. Nowy dygnitarz przy odgłosie trąb i kotłów, w orszaku skrzydlastych rycerzy, ciągnąc za sobą szereg powozów, wjeżdżał na starą stolicę.

Jan wychodził z niej z sercem zranionem, z łzą w oku, a orszak jego składały wspomnienia zmarłych i jeden wierny przyjaciel.

Biały gołąb przeleciał nad ich głowami i zniknął w dali. Gdy wyszli za miasto i nie słyszeli już tylko chwilami odgłos dzwonów i trąb, przynoszony im wiatrem do ucha, Jan uścisnął znowu Mamonicza.

— A! gdybyśmy się jeszcze zobaczyli w tem życiu.

— Przyjdę do ciebie! zawołał Tytus, kto wie gdzie i mnie prąd życia zaniesie. To pewna, że puste dla mnie Wilno i ciężko w niem będzie pozostać. Do zobaczenia!

— Do zobaczenia!

W kilka tygodni potem Jan wdział suknię zakonną braciszka, w klasztorze, któren z dawną chatą ojcowską sąsiadował; smutny, ponury ale spokojny, pokrył kapturem dumne myśli, posypał popiołem zgasłe nadzieje, wieki.

W klasztorze wziął imię brata Maryana. Nowicyat odbył ze zbudowaniem ojców i wkrótce przyjęty został do grona zakonników.

Nie prędko ciężki smutek zszedł mu z czoła chmurnego, ale zszedł nareszcie. Wiara i modlitwa uzdrowiły go, spokój zamieszkał serce, a jasna pogoda otoczyła rozchmurzone oblicze. Wesele ziemskie, cielesne, co przypada nagle i odchodzi nic dognane, za którem idą łzy i rozpacze, nie zajrzało do niego więcej; ale owo inne wcale stałe, nieprzełamane niczem i trwające w sercu chrześcianina, któren pogląda tylko naniebo i idzie ku niemu powolnie. Życie upływało na modlitwie zroszonej łzami, przechadzce samotnej ku mogiłkom gdzie pogrzebieni byli rodzice, ku polom gdzie stała chata ojcowska, teraz zwalona, po której tylko mur pozostał i kilka brzóz do koła; na malowaniu nareszcie.

Na cmentarzn modlił się Maryan za wszystkich swoich co blisko i dalej leżeli, tam także wspominał jedyne go żywego Tytusa. Zaraz w pierwszym roku pobytu w klasztorze przybycie brata Franciszka, stało się wielkiem dobrodziejstwem dla nowicyusza. Ten z troskliwością matki i brata czuwał nad biednym, umacniał, pocieszał, prowadził, i gdy się oddalił przeniesiony gdzieindziej, zostawił już Maryan a na drodze, z której nic zbić go nie mogło.

Po kilku leciech przebytych w zaciszy klasztornej, Maryan raz wybierał się wedle zwyczaju na mogiłki, gdy u furty postłyszal wymówione imię swoje; chciał się cofnąć, bo zerwał był ze światem na wieki, ale poznawszy głos Mamonicza, pospieszył przeciwko niemu. Spojrzeli na siebie i rzucili w objęcia.

Razem poszli potem do celi brata Maryana, gdzie usiadłszy długo na słowa zebrać się nie mogli. Nie prędko ściśnione radością usta, otwarły się na dłuższą rozmowę.

Tytus z podziwieniem poglądał na przyjaciela, którego nie spodziewał się widzieć tak pogodnym, tak wesołym prawie, a nadewszystko spokojnym. Żadna myśl szara, dojmująca, nie patrzała mu ze źrenicy, żadna zmarszczka nic krajała czoła. Jakaś dziecięca, niewinna radość, śmiała się na ustach.

— Czyżeś ty zdrów? czy szczęśliwy? pytał Tytusa.

— Ja! jak widzisz! zawsze ten sam waryat jakim był. A ty? — Spokojny i o ile może być szczęśliwy kapucyn ze mnie! nic więcej!

— Nie pytasz mnie o Wilno?

— Owszem, owszem, opowiedz; widzę, że masz ochotę— słucham, choć wątpię żeby się tam zmieniło. Moje tylko drogie groby porosły gęstszą trawą. Powiedział to ze smutkiem, ale ze smutkiem pogodnym.

. — Perli, prawil Mamonicz, uchodzi teraz, dzięki twojej robocie, za wielkiego artystę. Studja, rysunki i kartony, które zakupił gdyś mi je kazał sprzedać dla postawienia grobowca Jagusi i Jasiowi podtrzymują go. Nauczył się trochę lepszego kolorytu, a bezwstydniej niż kiedy kradnie rysunek.

Jan uśmiechnął się tylko wzruszając ramionami.

— Mruczkiewicz zawsze maluje portrety i popija z żoną, która potrafiła go zachęcić do kieliszka. Kasztellanowa wyjechała do Paryża z wracającym tam emigrantem. Ka-

sztellan ożenił się z bogatą dziedziczką korzennego kupca.

— A tyż? spytał Maryan, o ciebie mi najwięcej chodzi przecie. Zapewniałżeś sobie swobodę i kawałek chleba na stare lata?

— O! zachciałeś! ktoby tak daleko myślą sięgał! Dotąd marzę o Herkulesie, którego szukam i lwie co go mam pod kluczem. Żyję jak żyłem: chlebem, wodą i myślą o sztuce. Nie ożeniłem się i nie ożenię; dla artysty sztuka powinna być żoną. Maryan znowu się uśmiechnął:

— Kochany Tytusie, rzekł, sztuka jest córką wiary, pojąłem sztukę dopiero kiedym wdział habit zakonny. Świat nie dla nas, on nęci, odrywa, męczy, niepokoi; a spokój tylko daje natchnienie, a spokój jedna tylko da ci wiara. Szczęśliwy zem się tu zamknął! To życie wam smutnem się wydające, przedzielone od świata murami, jednostajne codzien, milczące, swobodne, bez wzruszeń, bez walk prawie i zawodów— jest jedynem szczęściem ziemi. Długie godziny płyną mi u trójnoga w zapatrywaniu się na postacie święte, wielkie, wspaniałe, które wywołuje na płótno czytanie i modlitwa. Czasem przyjdzie pamiątka stara przesunąć się po tym błękanie, jak złocista chmurka po niebie. Nie zaprę ci się łez, które płyną z tych oczu, ale to nie są łzy rozpacz, to słodki płacz cichego smutku oświeconego nadzieją wieczności!

— Szczęśliwy! tyś szczęśliwy! Me pojmuje i zdumiewam się i dziękuję Bogu. Lecz z kim tu podzielić myśli?

— Myśli! Dawne myśli moje dumne i skrzydlate złożyłem na ofiarę Bogu. Umorzyła je wiara cudem mi przywrócona. Pokorne myśli dzisiejsze wspólnymi są z dziecięciem i wieśniakiem. Dusza moja nie potrzebuje dziś wywnętrzać się jak dawniej gdy tęskniła za ideałami, które próżno goniła po rzeczywistym świecie. Mamonicz postrzegł jedyną pamiątkę dawnego życia, brązowego Sfinsa, na którego grzbiecie zakonnik wbił krzyż i postawił go nad łóżkiem. To dziwne godło zastanowiło go, a spojrzenie Tytusa objawiło Maryanowi zapytanie.

— Spoglądasz na Sfinsa, spytał, dziwi cię tutaj! krzyż na nim! To pytanie, a to rozwiązanie zagadki. Chrześcijaństwo rozwiązało wszystko — drugim życiem. Sfinx nie jest tem czemeśmy go sobie dawniej coraz inaczej tłumaczyli. Sfinks to człowiek i ludzkość. Pół anioła, pół zwierzęcia, wieczna zagadka, rozplątana nieśmiertelnością, bojem, walką i wzniesieniem się duszy aż do bóstwa. Naówczas rozwiną się skrzydła kamienne i opadnie ciało bestyi, a Sfinx ku niebu wzleci! Chrystus skruszył zagadkę tysięcy lat i objawił nam czem jest człowiek. Cała starożytność próżno szukała rozwiązania pytania. Plato nauczony przez Sokrata przeczuwał tylko ciemno co ewangelia objawiła jasno i dobitnie. Wielkie umysły napróżno tysiące lat mozoliły się na odpowiedz Tebańskiemu

potworowi! Wieleż to pożartych przez Sfinxa zwątpienia i rozpaczy. Pojąć człowieka bez drugiego życia niepodobna. Jest to frazes bez słowa; jest to coś niedokończonego, tajemniczego. Poeta, artysta, duchem wyższy nad innych, tem większą jest zagadką, bez tej myśli ostatecznej co ją rozwiązuje.

Dzieła artysty świadczą tylko o ducha zamkniętym w glinie znikomej, ale dla czego zszedł duch tak nisko, dla czego rośnie, walczy i do czego dąży? Nie odpowiesz jeśliś nic chrześcjanin.

Wysoko i wysoko podnieśliście utwory sztuki, a coż one są przecie jeśli nic chłodne, księżycowe promyki odbite od wielkiego ogniska! Człowiek tworzy, bo stworzony jest na podobieństwo Boże; ale utwory jego znikome; myśl oderwana od łona artysty błyszczy chwilę tylko i opada bańka,

mydla. Czem człowiek? a czem dopiero dzieła jego! Tytus słuchał i dumał.

Kilka dni spędził w klasztorze na oglądaniu biblioteki, obrazów i rozmowie ożywionej z Maryanem; nareszcie musiał z żalem się z nim rozstać, wziąć znowu kij pielgrzymi i ruszyć nazad do Wilna. Na polu gdzie stała chatka Rugpiutisa, odprowadzony przez zakonnika, pożegnał go Tytus uściskiem, tając łzy co mu się wiły pod powieką. Żal mu było klasztoru, w którym kilka słodkich dni przepędził.

— Módl się za mnie! rzekł przyjacielowi.

— W ostatniem tchnieniu nawet, nie zapomnę o tobie. Matkę, żonę, dziecię i ciebie w każdej wspominam modlitwie i nie zapomnę was nigdy!

Słówko jeszcze o Mamoniczu, którego historia jest dalszym ciągiem znanej nam jego młodości. Dopóki miał Jana dla którego mógł się poświęcać, cały żył sztuką i przyjacielem tylko; po utracie przyjaciela znalazł się sam jeden, osierocony, tak, że po jakimś czasie wytrzymać niemożąc strasznej samotności, pognął się zobaczyć z nim w klasztorze, spytać go czy szczęśliwy? dowiedzieć czy zdać mu się na co nie potrafi?

Uspokojony powrócił nazad do Wilna, gdzie mniej niż kiedy mógł się spodziewać zajęcia. Jeśli gdzieindziej rzeźba nie jest popularną, u nas ona zaledwie znaną. Sąd o pracach tego rodzaju fałszywy i dorywczy. Materiału nam braknie do rzeźby, począwszy od pięknych wzorów aż do brył kamieni i metalu, w które się ideał przelewa. Tytus więc pozostał ze swem marzeniem o grupie Herkulesa ze lwem, modelując tors olbrzymi, poprawując zwierzę i chowając starannie ten wzór jako jedyne dzieło swoje coś warte, wedle niego.

Życie jego było osobliwszą tajemnicą; nikt nie pojmował z czego się utrzymuje, jak przy ubogiem utrzymaniu, ledwie na konieczne potrzeby wystarczających dochodach, których źródeł nie domyślano się nawet; nigdy nie stęknął, nigdy nie leciał przeciw robocie coby mu się nie uśmiechała jaką myślą upodobaną, celem swym lub znaczeniem duchownem. Mruczkiewicz, Perli i tym podobni artyści łamali głowy przemyślając z czego on żyje, robiono przypuszczenia najdziksze, a nikt na prawdę nie wpadł.

Fałsz często ma minę prawdziwszą od samej prawdy.

Mamonicz wesoło popijając mleko i pożywając bułkę lub chleb czarny, zamknięty w swojej izdebce, strugał lipowe figurki, wylewał z gipsu popiersia, które ubogie chłopaki roznosili po mieście a czasem i dalej po kraju. W ostatku dłutował srebrne wyroby, dawał rysunki rzemieślnikom i tak zapracowywał mozolnie ale wesoło, ma ubogie utrzymanie swoje. Kiedy miał czem opłacić mieszkanie, chleb, mleko, dość mu było. Szedł na przechadzkę nasycać się przyrodzeniem, dumał przebiegając ulice miasta, a czasem zaryglowawszy się lepił z gliny statuetkę, którą potem stawiał gdzie w kącie izdebki.

Nie stronił wcale od towarzystw, wiedząc, że człowiek w najnudniejszym z nich jeszcze coś korzystać może: psycholog jaki rys duszy, malarz fizioznomią jaką cielesną, snycerz linią wdzięczną lub ruch szczęśliwy. Szyderski ale nie złośliwy Mamonicz, można rzec, śmiał się z serca. Dowcip jego nie był zimnym francuzkim sztylcikiem co wpija ci się w serce, ale wesołym polskim szmigusem. Serce jego nie było zimne, nieczułe tak, żeby ni raz w życiu nie zadrżał patrząc w oczy kobiecie! ale powiedziawszy sobie, że artysta ubogi żenić się nie powinien, unikał pięknych oczów, opowiadając zawsze legendę o świętym Martynianie. Westchnął nawet na samotność swoją, zwłaszcza gdy włos mu siwieć począł, nad tem co inni zowią straconą młodością, a raczej nad utraconym Janem i jego rodziną, którą był już przybrał za swoją; ale westchnienie to zamykało się pocieszającym:

— Jeśli cierpię to sam przynajmniej. Potrzebujcie wszakże zapełnić czemś serce, wziął później chłopaczka sierotę, synka Batraniego, na wychowanie, opiekę i naukę. Było to biedne opuszczone dziecię, a i ku niemu wyciągając rękę Tytus, pomyślał wprzódy, rozważał długo, czy ta odrobina nauki jaką mu dać może, dobrem dla niego będzie? Nareszcie przemogła potrzeba przywiązania się do kogoś i wziął dziecię. Ujęła go niezwykła piękność chłopięcia, które na bachusika wyglądało, dowcip i zdatność do wszystkiego. Przywiązał się do niego, począł uczyć, i resztę życia płakał nad wychowanicem. Zawiódł się bowiem na nim. Pracował aby mu dać wychowanie, zaspokoić potrzeby życia i wygody nawet, a odebrał za to zapłatę niewdzięczności.

Kto wie, czy ucieczka ostateczna wychowańca, który okradłszy go zniknął z Wilna, nie przyspieszyła mu zgonu; umarł bowiem wkrótce potem, spokojny, wesół prawie, ale boleśnie ranny w serce. W jego izdebce, gdzie na troszę słomy i ubogiem dogorywał łóżeczku, znalazł gospodarz lwa glinianego, ogromnego, z tuzin posążków, kilka lipowych figurek zaczętych, dużo popiersi połamanych, dzban bez ucha, stół, stolik, w kącie dużą kupę mieszanej gliny, kamień jakiś trochę obrobiony i stary płaszcz, którym zamiast kołdry się okrywał. Resztę rzeczy zabrał wychowanek.

Pogrzebiono go w prostej sosnowej trumnie, a nikt nie poszedł nawet za pogrzebem krom kilku starych pobożnych kobiet; nikt mu nawet nie postawił skromnego drewnianego krzyża na Bernadyńskim cmentarzu, gdzie leży w kąciku zapomniany jak za życia. A przecież był to ostatni zasłużonych Mamoniczów potomek i wielki nieznany artysta co potrafił wzgardzić nawet sławą i przeżył, karmiąc się tylko własną myślą, długi żywot próby, cierpienia i nędzy.

KONIEC.

